



LEN

DEIGHTON

Żegnaj, Myszko Mickey

Z angielskiego przełożył
Krzysztof Sokółowski



Świat Książki

Tytuł oryginału
GOODBYE MICKEY MOUSE

Projekt okładki i stron tytułowych
Jarosław Jasiński

Redakcja
Ewa Borowiecka

Redakcja techniczna
Alicja Jabłońska-Chodzeń

Korekta
*Elżbieta Jurszczyń
Jolanta Spodar*

Copyright © *Len Deighton* 1982

© Copyright for the Polish edition by „Świat Książki”, Warszawa 1997

© Copyright for the Polish translation by *Krzysztof Sokołowski*, 1997

Świat Książki,
Warszawa 1997
Druk i oprawa w GGP

ISBN 83-7129-387-9
Nr 1604

Każdy zabija kiedyś to, co kocha –
Chcę, aby wszyscy prawdę tę poznali.
Jeden to lepkiem pochlebstwem uczyni,
Inny - spojrzeniem, co jak piotun pali.
Tchórz się posłuży wtedy pocałunkiem,
Człowiek odważny - ostrzem zimnej stali.

Oscar Wilde, *Ballada o więzieniu w Reading*
przełożył Adam Włodek

Myszka Mickey - amerykański slang wojskowy. Wszystko, co jest niekonieczne lub nieważne. Określenie to wywodzi się od imienia postaci z filmów rysunkowych Walta Disneya i jest aluzją do jej dzieciennego charakteru, naiwnej prostoty itd.

The Barnhart Dictionary of New English

W odróżnieniu od europejskich amerykański pułk (*Wing*) lotniczy miał organizację czterostopniową. Składał się z reguły z trzech grup (*Groups*) stanowiących podstawową jednostkę organizacyjną, którą tworzyło do czterech dywizjonów (*Squadrons*); dywizjon zaś z dwóch do trzech eskadr (*Flights*), a każda z nich z czterech kluczy (*Elements*).

(przyp. tłum.)

Prolog, 1982

Wąską, krętą wiejską drogą autobusy posuwały się w niemal pogrzebowym tempie. Niebo było ciemne od niskich deszczowych chmur. Pasażerowie przyglądali się przez okna łąkom i malowniczym wioskom, którym resztki indywidualności odebrały reklamy, anteny telewizyjne i znaki drogowe, oraz sdom i strumieniom, szarym po długich zimowych miesiącach.

Zatrzymały się dopiero wtedy, gdy dotarły do wielkiego pola, oszpeconego rdzewiejącymi pozostałościami baraków z blachy falistej i ceglanym gruzem. Pole to przekreślone było gigantycznym betonowym X, niczym znakiem ostrzegającym przed zarazą. Tu i ówdzie pozostały ślady po usilnych staraniach jego usunięcia, jednak z wielkiego krzyża odłupano zaledwie okruchy.

Pasażerowie ostrożnie wychodzili z autobusów wprost na przenikliwy wiatr, przewiewający rolniczą równinę wschodniej Anglii. Skuleni, z rękami wyciągniętymi w charakterystycznym geście osób lada chwila oczekujących deszczu, pozapinani pod samą szyję, zbili się w małe milczące grupki i z rezygnacją ruszyli pomiędzy zrujnowane budynki.

Byli Amerykanami. Mieli kolorowe wiatrówki i kapelusze w szkocką kratę, aparaty fotograficzne i płócienne torby na ramionach, nie mieli za to ciepłych swetrów ani grubych płaszczy, koniecznych w angielskim klimacie o tej porze roku. Niektórzy byli siwi, inni łysawi, niektórzy rumiani, inni bladzi, niektórzy tędzy, inni chudzi, lecz - z wyjątkiem

kilkorga młodych krewnych - wszyscy znajdowali się w tym późnym stadium życia, które nazywane bywa pogodnie wiekiem średnim.

Nerwowe, kiepskie żarty wywołujące wymuszony śmiech podkreślały tylko napięcie, widoczne w każdym ruchu mężczyzn. Żony wyrozumiale przyglądały się mężom, gorączkowo biegającym po wielkim, rozbrzmiewającym echem ich podniesionych głosów hangarze, mierzącym krokami wewnątrz nie istniejącego od dawna baraku mieszkalnego, zagląającym w mroczne kąty lub zdrapującym brud z szyb tylko po to, by stanąć oko w oko ze stareńkimi maszynami rolniczymi. Długo czekali, z daleka przybyli, zapłacili ciężko zarobionymi pieniędzmi, by spotkać kolegów, których spotkać pragnęli. Czasami nie potrafili ich rozpoznać bez pomocy trzymanyh w tym celu starych fotografii, czasami z napięciem musieli wsłuchiwać się w brzmienie prawie już zapomnianego głosu. Lecz w miarę jak uspokajali się, jak w hołdzie przenikliwemu zimnu zapełniali powoli ciepłe autobusy, boleśnie oczywiste okazało się, że żaden z nich nie odkrył tu prawdy o człowieku, którego wszyscy pamiętali tak dobrze.

Jedna z par oddzieliła się od reszty towarzystwa.

Trzymając się za ręce niczym młodzi kochankowie, mężczyzna i kobieta ruszyli dziurawą asfaltową drogą, otaczającą pole niczym gigantyczny pierścień i łączącą końce pasów startowych. Rozmawiali, idąc na skróty wydeptaną w trawie dróżką. Wyplątywali się z krzaków jeżyn, omijali krowie placki, zbierali stokrotki, by zasuszyć je pomiędzy kartkami dziennika jako pamiątkę z podróży. Mówili o pogodzie, o urodzaju i urodzie wiejskiego krajobrazu. Mówili o wszystkim oprócz tego, o czym myśleli.

- Spójrz, jak kwitną wiśnie - powiedziała Victoria, która, mimo trzydziestu lat spędzonych w San Francisco, nadal mówiła z brytyjskim akcentem. Zatrzymali się właśnie przed bramą sadu, która niegdyś stanowiła

granicę między farmą Hobdaya a lotniskiem.

- Dlaczego Jamie został w autobusie? - zdziwił się mężczyzna, potrząsając bramą. - Czy nie obchodzi go, skąd jego ojciec startował do walki z Niemcami?

Victoria przytuliła się do niego.

- Ty jesteś jego ojcem. Odpowiedz sobie na to pytanie.

1. Pułkownik Alexander J. Bohnen

Okna wielkiego biura pułkownika Alexandra J. Bohnena wychodziły na Grosvenor Square, a umeblowanie składało się z przedziwnej kolekcji różności. Dwa wysiedziane fotele z magazynów ambasady amerykańskiej wydzielaly woń naftaliny. Biurko oraz rozkładany, zawalony kartotekami, stół nosiły oznaczenia brytyjskiego Ministerstwa Robót Publicznych. Antyczny dywan i zabytkowa szafka na porcelanę pochodziły z domów zniszczonych w czasie nalotów; Bohnen kupił je tanio na licytacji. Tylko składane krzesła - było ich sześć, ustawionych porządnie za drzwiami - przyjechały ze Stanów. Był przecież grudzień 1943 roku i Londyn nadal walczył o życie.

Nad nagimi drzewami rosnącymi na placu wisiały niskie ciemne chmury. Wielki jasnoszary balon z zapory nosił koronę bieli, na trawie miejscami również leżał śnieg.

Większość płatków topniała jednak na ziemi, barak zaś, schronienie żołnierzy z obsługi zapory, lśnił wilgocią.

Unoszący się znad kuchenki dym tańczył w podmuchach wiatru, podobnie jak niesiony nim śnieg. Nie hałasowały dziś za to silniki samolotowe. Niewielkie było zagrożenie niemieckim nalotem - natura postawiła mu własną zaporę.

Pułkownik Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych Alexander J. Bohnen był wysokim, czterdziestoparoletnim mężczyzną. Nosił dobrze skrojony mundur, a naporowi lat przeciwstawiał się codziennymi ćwiczeniami fizycznymi oraz korzystaniem z usług drogiego dentysty, fryzjera, masażysty i krawca. Obwód w talii pułkownik miał taki sam jak

w czasach studenckich i podobną fryzurę z falujących szpakowatych dziś włosów. Można byłoby wziąć go za wyczynowego sportowca.

Wraz z nim w gabinecie znajdował się siwy Amerykanin ubrany w standardowy garnitur, z okularami bez oprawki na nosie. Starszy od Bohnena, był zarówno jego partnerem w interesach, jak i przyjacielem. Dwadzieścia lat temu miał udziały w niewielkiej linii lotniczej, której Bohnen był głównym inżynierem. Miał kontakty wśród bankowców, i to pozwalało mu nadal traktować Bohnena z kpiącym pobłażaniem, tak jak potraktował niegdyś zadufanego młodzika, któremu udało się pokonać sekretarkę.

- Zdumiewa mnie, że zadowoliliś się stopniem pułkownika, Alex - mówił właśnie. - Myślałem, że skoro już poprosili cię o włożenie munduru, wyciągniesz dłoń po gwiazdkę.

Bohnen zrozumiał żart, niemniej jednak odpowiedział poważnie.

- Chodzi o to, że mogę być użyteczny. Stopień nie ma żadnego znaczenia. Wystarczyłyby mi nawet paski sierżanta.

- Więc pogłoski, że lada chwila zostaniesz generałem, to tylko plotki, tak?

Bohnen drgnął. Gość wytrzymał przez chwilę jego wzrok, po czym puścił oko.

- Zdziwiłoby cię, co słyszy w ambasadzie ktoś, kto umie poruszać się cicho.

- Spotkałeś jakichś znajomych?

Starszy mężczyzna uśmiechnął się. Uznał, że Bohnen pozostał tym samym bystrookim geniuszem, którego poznał przed wielu laty: ambitnym, wrażliwym, inteligentnym, śmiałym i... pnącym się w górę. Zawsze pnącym się w górę.

- Wyłącznie karierowiczów z Departamentu Stanu. Nie należą do ludzi, których zaprosiłbyś na obiad.

Bohnen poświęcił chwilę rozważeniu kwestii, co gość mógł słyszeć o jego słynnych londyńskich obiadach, na które zapraszano pieczołowicie dobranych gości, a których gospodynią była utytułowana dama mająca

męża w marynarce wojennej. Nie wolno dopuścić do tego, by zaczęto łączyć go z tą damą!

- Jestem tak zajęty, że nie mam czasu na życie towarzyskie - oznajmił w końcu.

- Nie bierz armii tak poważnie, Alex - poradził mu z uśmiechem gość. - Nie powinienes pogrążyć się w lekturze opisów kampanii napoleońskich ani tłumaczyć Tukidydesa.

Nie powinienes także ćwiczyć w gabinecie musztry, tak jak niegdyś ćwiczyłeś golfa - tylko po to, by mnie pognębić.

- Za wielu jest wokół biznesmenów paradujących w garniturkach khaki tylko dlatego, że kolor ten ostatnio stał się modny. Prowadzimy wojnę. Każdy idący do wojska mężczyzna musi być gotów na poświęcenie mu wszystkiego.

Mówię to najzupełniej poważnie.

- Nie wątpię. - Bohnen mógł być sobie człowiekiem pełnym wdzięku, ale pod wdziękiem tym kryła się stal.

Nieszczęśni ci jego podwładni, którzy wahaliby się przed poświęceniem wojsku „wszystkiego”. - Cóż, przypuszczam, że Jamie zzielenieje z zazdrości, kiedy dowie się, że dotarłeś do Europy przed nim. A może on cię wyprzedził?

- Jamie jest w Kalifornii. Ktoś musi uczyć pilotażu; to bardzo, bardzo ważne zadanie. Być może nie satysfakcjonuje go stanowisko instruktora, ale mówiąc o wojsku miałem na myśli właśnie to - wszyscy musimy wykonywać rozkazy, nawet jeśli się nam nie podobają.

- Jego matka myśli, że to ty załatwiłeś mu tę pracę.

Bohnen znów zerknął za okno. Przybyły znał go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że wołałby nie omawiać tej kwestii.

- Nie mam aż takiej władzy - odparł wymijająco.

- Nie zrozum mnie źle. Mollie błogosławi cię za to. Oboje cię błogosławią, ona i Bill. Bill Farebrother traktuje twego chłopca, jakby był on jego własnym synem. Zdajesz sobie z tego sprawę, Alex, prawda? Kocha go.

- Pewnie chcieliby mieć syna.

- Nie bądź osłem, Alex. Nie mają i kochają Jamiego. Powinieneś cieszyć się, że tak jest.

Bohnen skinął głową. Nikt inny nie ośmieliłby się rozmawiać z nim tak otwarcie o jego żonie i mężczyźnie, którego poślubiła, lecz ta przyjaźń przetrwała dobre i złe czasy, a poza tym stary człowiek nie miał przecież na myśli nic złego.

- Masz rację. Bill Farebrother zawsze grał uczciwie. I wszyscy ucieszyliśmy się, kiedy Jamie został instruktorem.

- Podejrzewam, że się do tego przyczyniłeś. Podejrzewam też, że Jamie odziedziczył po ojcu umiejętność osiągania celów, które osiągnąć pragnie. Nie wyobrażaj więc sobie, że nie znajdzie sposobu na wzięcie udziału w wojnie.

- Jamie do ciebie pisał? - Bohnen ożywił się nagle, zdradzając zazdrość o przyjaźń syna z gościem. - Dla mnie to ważne. Jeśli chłopak dostał przydział bojowy, mam prawo o tym wiedzieć.

- Wiem tylko, że podczas przepustki odwiedził matkę. Sprzedał samochód i wysprzątał pokój. Zaniepokoiła się, że może wysyłają go za ocean.

Przybyły obserwował Bohнена przygryzającego dolną wargę, a potem poruszającego bezgłośnie ustami - identyczne miny robił Jamie rozwiązując słupki i ucząc się pilotowania trzymotorowca. Widać było, że pułkownik szuka w myśli sposobu na kontrolowanie poczynań syna.

- Zajmę się tym - oznajmił, zacisnąwszy usta w bezsilnym gniewie.

- Nie zdołasz chronić go przez całe życie. Jamie jest dorosły.

Bohnen westchnął i podniósł się.

- Tak naprawdę to wcale mnie nie rozumiesz; tylko ci się wydaje. Nie stosuję wobec nikogo taryfy ulgowej. Gdybyś znalazł się pod moim dowództwem, nikt nie oskarżyłby mnie, że darzę specjalnymi względami przyjaciół. Jeśli Jamie uważa, że stary wszystko mu załatwi, to grubo się myli. Jasne, pogadałem tu i tam, by umieścić go jako instruktora na kursach lotniczych dla zaawansowanych. Znam chłopaka. Potrzebował czasu na przygotowanie do walki, ale to było kiedyś. Teraz jest już gotów.

Jeśli tu przyjedzie, będzie ryzykował, tak jak każdy z młodych pilotów.

Gość wstał. Zdjął płaszcz z haczyka wbitego w drzwi.

- To nie grzech ułatwić życie synowi, Alex - zauważył.

- Nie. To tylko przestępstwo, za które grozi sąd wojenny.

- Zakochałeś się w wojsku, Alex, tak jak w każdej podejmowanej przez siebie pracy.

- Taki już jestem - przyznał Bohnen, pomagając ubrać się mężczyźnie. - I dlatego do czegoś dochodzę.

- Podczas wojny armia ma milion kochanków i staje się kurwą, Alex. A wołałbym nie widzieć cię zdradzonego.

Bohnen odparł z uśmiechem:

- Jak to powiedział Shelley? „Wojna to gra polityka, rozkosz księdza, żart prawnika, zawód najemnego mordercy”. Czy to miałeś na myśli?

Gość sięgnął po kapelusz z podwiniętym rondem.

- Zazdroszczę ci pamięci bardziej niż znajomości klasyków. Myślałem jednak raczej o słowach Oscara Wilde'a: „Ludzie fascynują się wojną, bo widzą w niej coś przewrotnego; przestałaby być taka popularna, gdyby zdali sobie sprawę z jej wulgarności”.

- Oscar Wilde? A od kiedy on jest autorytetem w sprawach wojny?

- Odpowiem ci na to pytanie w przyszłym tygodniu, dobrze?

- Lunch w Savoyu w piątek. Nie mogę się doczekać.

2. Kapitan James A. Farebrother

- Jesteś najfartowniejszym gościem na ziemi, zawsze ci to powtarzałem, prawda?

- A co z człowiekiem, który ma zamiar zostać najbogatszym pilotem pasażerskim w Ameryce? - Kapitan James Farebrother odpowiedział pytaniem na pytanie, zażenowany wyraźnie słyszalną w głosie przyjaciela nutką zazdrości.

Kapitan Charles Stigg odrzucił płachtę i wyrżał z ciężarówki. Ulice Londynu były ciemne i wilgotne po deszczu, ale nawet o tak późnej godzinie wszędzie widziało się ludzi: żołnierzy i marynarzy w ozdobnych mundurach obcych krajów, rozjeżdżającą się jeepami brytyjską żandarmerię w czapkach z czerwonym denkiem, członków obrony cywilnej w hełmach. Zapewne ogłoszono kolejny alarm bombowy.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - stwierdził Jamie, bardziej do siebie niż do przyjaciela.

Rozstanie z Charliem miało być cholernie przykre. Poznali się w szkole lotniczej, razem uczyli się pilotażu na starych stearmanach; nie trudno było zrozumieć, dlaczego zostali tak dobrymi przyjaciółmi. Obaj byli spokojnymi, pewnymi siebie młodymi ludźmi o szerokich uśmiechach i stonowanych głosach. Niejeden członek komisji kwalifikacyjnej wyrażał opinię, że brak im agresywności koniecznej do uczestnictwa w rytualnej rzezi odbywającej się codziennie na pogodnym niemieckim niebie.

- Dlaczego nie zabrałem ze sobą długich gaci? - rzekł zamyślony Charlie, opuszczając klapę osłaniającą przed zimnym nocnym powietrzem.

- Zbliża się Boże Narodzenie - zauważył Jamie.
- Moim zdaniem nie spotka nas tu nic gorszego od uczenia kadeta Jenkinsa lądowania na AT-6.
- Moim zdaniem nie spotka nas tu nic niebezpieczniejszego. Norwich w sobotnią noc to przy tym betka.
- A wiesz, dlaczego przestałem chodzić na tańce? Nie zniósłbym kolejnej dziewczyny mówiącej, że wyglądam za młodo na instruktora.
- One nie miały na myśli nic złego.
- Były pewne, że uchylam się od walki. Wyobrażały sobie, że zgłosiliśmy się jako ochotnicy na instruktorów!
- Dziewczyny, które ja spotykałem na tańcach, nie wiedziały nawet, że jest wojna! - zauważył Jamie.

- Norwich - powtórzył Stigg. - Tak to się wymawia? Do tej pory nie radziłem sobie za dobrze z tym słowem. Świetnie, doskonale. Odwiedz mnie od czasu do czasu, Jamie. Z pewnością poprawi mi to humor.

Ciężarówka stanęła. Kierowca uderzył pięścią w drzwi sygnalizując w ten sposób, że Charlie Stigg dotarł do miejsca przeznaczenia, do Klubu Czerwonego Krzyża.

- Powodzenia, Charlie.
- Uważaj na siebie, Jamie. - Charlie wyrzucił worek i wyskoczył na ziemię. - Wesołych Świąt!

Coś tu nie grało. Nie grało! Charlie Stigg przecież pracował ciężko i opanował tajniki pilotażu samolotów wielosilnikowych. Dlaczego więc, kiedy wreszcie pozwolono mu pójść na wojnę, odrzucono jego podanie o przydział na myśliwce i skierowano go do grupy bombowej? Jamie zaś świadomie oblał loty na dwusilnikowcach, a dostał przydział, którego Charlie tak rozpaczliwie pragnął. Straszne to świństwo, ale wojna jest świństwem i życie bywa świńskie.

Przepełniony poczuciem winy, kapitan James Farebrother patrzył, jak zataczając się pod ciężarem worka Charlie wspina się na stopnie klubu, po czym z okrucieństwem właściwym młodości zapomniał o nim. Miał zostać pilotem myśliwskim!

- Jedziecie do Steeple Thaxted? - zawołał z ciemności jakiś głos.
- Tak mi powiedziano - odkrzyknął.

Do ciężarówki wspiął się oficer w nieprzemakalnym płaszczu, a za nim kilku żołnierzy. Kiedy zorientowali się, że jest wśród nich obcy, odsunęli się od niego jak najdalej, jakby był nosicielem zaraźliwej choroby. Samochód ruszył.

Oficer zapalił papierosa. Poczęstował Jamiego, który jednak odmówił.

- Jak tam jest w tym Steeple Thaxted? - spytał Jamie.

- A wiesz pan, jak jest w Okefenokee Swamp, kiedy wyłączą ogrzewanie? - odparł pytaniem oficer.

- Aż tak źle?

- Wyobraź pan sobie gówno po horyzont z powtykanymi w nie namiotami, i wszystko stanie się jasne. Ilekroć spotkam na tańcach jakąś damę, przede wszystkim pytam, czy ma w domu łazienkę z ciepłą wodą.

- Nerwowo zaciągnął się papierosem, świadom obecności przysłuchujących mu się żołnierzy. - Ale jesteśmy w Anglii, więc na ogół żadna z tych dam nie ma łazienki.

Jeden z szeregowych zachichotał.

- W taką pogodę mieszkanie w namiotach?

Oficer szturchnął stopą worek Farebrothera. Obracał go, póki nie zobaczył wypisanych na nim liter.

- Pilot, co? - stwierdził i przekrzywił głowę, próbując odczytać nazwisko.

- Owszem, latam.

- Kapitan J. A. Farebrother. Kapitan, co? Druga tura. Czy walczył pan na Pacyfiku?

- Byłem instruktorem - powiedział przepaszając Jamie.

Oficer pociągnął nosem, po czym wytarł go ozdobną chusteczką, najwyraźniej pożyczoną od którejś ze wspomnianych dam.

- Przeziębilem się - wyjaśnił, chowając chustkę do kieszeni. - Nazywam się Madigan, Vincent Madigan. Jestem kapitanem, oficerem

prasowym grupy. Przypuszczam, że ma pan przydział do 220. Grupy Myśliwskiej pułkownika Badgera?

- Owszem.

- Skoro jesteś pan pilotem, to wszystko w porządku. Ten sukinsyn Badger nie ma czasu dla nikogo innego.

Jeden z szeregowców mruknął potakująco.

- Doprawdy? - Jamie rozejrzał się po otaczających go postaciach. Wokół unosił się odór ciał, mokrych płaszczy i ostry zapach słodkiego amerykańskiego tytoniu. Ludzie Madigana najwyraźniej wracali z przepustki i rano mieli pójść wprost na służbę. Czekali, aż kapitan przestanie gadać i da im się przespać - choć odrobinę.

- Błoto, gówno, namioty - powtórzył Madigan. - A miejscowi Angole nienawidzą nas gorzej niż szkopów.

- Chwileczkę! Mam matkę Angielkę. Tak jak ja to widzę, razem prowadzimy tę wojnę. Nie ma sensu, żeby partnerzy się kłócili.

Madigan kiwnął głową. Zaciągnął się dymem.

- No więc zrobili ci wykład - stwierdził.

Siedzący obok niego sierżant oparł głowę na płótnie budy. W ustach miał papierosa; kiedy się zaciągnął, ogieniek oświetlił twarz z wielkimi, bujnymi wąsami, furażerkę nasuniętą na przymknięte oczy i kołnierz płaszcza kryjący uszy. Zaciśnął go ciasniej, by stłumić głos Madigana, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

- Sam pan zobaczysz - rzekł. - Na razie dla pana to święta wojna. Większość z nas też tak myślała z początku. Ale potem zjawia się taki pułkownik Badger i dobiera się człowiekowi do dupy, dochodzą jeszcze Angole, wysysający z człowieka ostatniego dolca, a potem plujący mu w gębę, no i rozkazy z informacjami, jakie to nowe sposoby wykończenia żołnierzy wymyśliły szarże. Nagle szkopy przestają się wydawać szczególnie źli.

Ciężarówka podskoczyła na jednej z licznych dziur po bombie. Przez rozchyłoną klapę pasażerowie zobaczyli brytyjskiego żołnierza poganiającego

przejeżdżające samochody. Za jego plecami ustawiony był wielki czerwony napis: „Niebezpieczeństwo! Niewypał!”

- Uważaj, przyjacielu! - zawołał żołnierz. - Nie odwołali alarmu!

Kierowca burknął podziękowanie.

- Nawet jeśli jest tak źle, to co możemy zrobić?

Madigan wyrzucił wypalonego do połowy papierosa; ciemność rozbłysła nagle czerwonymi iskierkami. Pochylił się w stronę Jamiego. W jego oddechu czuć było whisky.

- Są sposoby, Farebrother, chłopcze - wyznał beztrąsko. - Szwedzi mają lotniska zapakowane stojącymi skrzydło w skrzydło latającymi fortcami i B-24. Z pewnością znajdą miejsce dla fabrycznie nowego mustanga. - Rozparł się na ławce, obserwując efekt swych słów. - Tam, nad morzem, niektórzy piloci czują nagle nieodpartą potrzebę zawarcia własnego, prywatnego, pokoju. Lecą na północ, do wysokich blondynek, świeżego masła i centralnego ogrzewania. Będziesz walczył z tą pokusą, przyjacielu.

Jamie nerwowo sięgnął do kieszeni i wyjął papierosa. Zapalał go długo. Nie miał ochoty na rozmowę z pijanym oficerem.

A jednak Madigan znów zabrał głos.

- Ładną masz pan zapalniczkę, kapitanie. Mogę obejrzeć?

Kiedy zobaczył wygrawerowane słowa: „Dla Jamiego od Taty”, zaciśnął dłoń w pięść.

- Wszystkie kobiety są takie same - stwierdził. Mówił teraz ciszej, z uczuciem, którego dotąd brakowało w jego głosie. - Tym razem się zakochałem. Kochaliście się kiedyś, Farebrother? - Nie było to właściwie pytanie i Madigan bynajmniej nie oczekiwał odpowiedzi. - Zaproponowałem jej małżeństwo. Dziś wieczorem wpadłem do niej bez zapowiedzi. Złapałem ją w łóżku z jakimś cholernym porucznikiem piechoty. - Podrzucił zapalniczkę. - Prawdopodobnie puszczała się z nim od samego początku. Kochałem tę małą kurewkę.

Jamie zamruczał współczująco. Madigan rzucił mu zapalniczkę.

- Poradzisz sobie - zawyrokował. - Jak na trzecią nad ranem, refleks ci dopisuje. I każdy, kto rusza na wojnę wyposażony w szczerozłotą zapalniczkę, musi mieć dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Od taty, co?

Jamie uśmiechnął się. Ciekawe - pomyślał - co powiedziałyby kapitan Madigan, gdyby wiedział, że jego ojciec należy do szarż, które w jego mniemaniu uparły się zabić ich wszystkich.

Podpułkownik Druce „Duke” Scroll sprawował funkcję oficera administracyjnego grupy. Był nerwowym trzydziestodwuletnim chłopcem co w jego mocy, by nikt nie zapomniał, że ukończył West Point na długo przedtem, nim większość kadry oficerskiej grupy zakończyła naukę w liceach. Wyglądał niczym z ilustracji „Podręcznika oficera”. Falujące włosy miał zawsze porządnie przystrzyżone, a szkła okularów bez oprawek wypolerowane na wysoki połysk.

- O której pan przyjechał, kapitanie Farebrother? - spytał, rzucając szybkie spojrzenie za okno. Na błotnistym trawniku stały dwa samoloty, pomalowane na zielono i lśniące od nieustającego deszczu. Kilku ludzi kryło się przed nim pod murem wieży kontrolnej, tylko częściowo pomalowanej, a raczej jedynie poplamionej farbą.

Dalej rozciągało się puste lotnisko zarośnięte trawą pociemniałą od długich miesięcy ponurej, pozbawionej słońca, wietrznej zimy.

- Nicco po ósmej rano, panie pułkowniku.

- Transport w porządku? Mam nadzieję, że dostał pan śniadanie?

Pułkownik Scroll siedział pochylony nad biurkiem. Dłonie położył płasko na blacie, przed sobą miał otwartą teczkę. W jego pytaniach nie było śladu sympatii. Wyglądało na to, że sprawdza raczej sprawność kolumny transportowej i kuchni, niż wyraża troskę o pilota. Podniósł wzrok nie prostując pleców.

- Tak jest, dziękuję, panie pułkowniku.

Scroll uderzył dłonią w stojący na biurku dzwonek, niczym zniecierpliwiony gość w recepcji hotelu.

W drzwiach pojawił się natychmiast sierżant kancelista.

- Powiedzcie sierżantowi Boyerowi, że jeśli jeszcze raz zobaczą jego samego i resztę tych cholernych gwiazd Hollywood opieprzających się tak bezczelnie, lunch zje jako szeregowiec. I przekażcie mu jeszcze, że potrzeba mi ludzi do służby wartowniczej w Boże Narodzenie.

- Tak jest! - odparł sierżant z nutką powątpiewania w głosie. Zerknął przez okno sprawdzając, co pułkownik jest w stanie przez nie zobaczyć. - Zdaje się, że nieźle leje? - zauważył.

- Wczoraj też nieźle lało. I przedwczoraj również. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że nic nie zmieni się także jutro. Pułkownik Badger chce mieć dziś wieczór wieżę pomalowaną, więc wieża zostanie pomalowana do wieczora. Szkopy nie przerywają wojny, kiedy spadnie deszczyk, sierżancie. Nawet Angole tego nie robią.

- Powtórzę to sierżantowi Boyerowi, panie pułkowniku.

- Ruszajcie się z życiem, sierżancie. Mamy sporo roboty.

Kancelista znikł. Pułkownik zerknął na nowego pilota, potem na ulewny deszcz za oknem, wreszcie na leżące na biurku papiery.

- Kiedy mój sierżant wróci - poinformował - da panu plan bazy, przekaże dane o zakwaterowaniu i tak dalej. Proszę nie podnosić krzyku, jeśli trafi pan do baraku po drugiej stronie wioski. Pierwotnie było to zapasowe lotnisko RAF, nikt nie planował go na tysiąc sześciuset Amerykanów, którzy muszą kąpać się codziennie w ciepłej wodzie. Angole piorą wyłącznie na sucho, a jeśli chodzi o kąpiel, to uważają, że osłabia.

- Westchnął. - Mam tu ponad trzystu oficerów. Kapitanowie i majorzy śpią w namiotach, golą się w blaszankach stojąc na klepisku i jadą na rowerach trzy mile, żeby dostać śniadanie. Więc... - Przerwał, nie kończąc wypowiedzi.

- Rozumiem, panie pułkowniku.

Zakończywszy wielokrotnie powtarzaną litanie, pułkownik Scroll spojrział na Jamiego, jakby po raz pierwszy zobaczył go na oczy.

- Dowódca, pułkownik Badger, spotka się z panem o jedenastej, kapitanie Farebrother. Ma pan więc akurat tyle czasu, żeby się ogolić, wziąć prysznic i przebrać w czysty mundur galowy. - Kiwnął głową, kończąc w ten sposób rozmowę.

Jamie miał wrażenie, że nie jest to najlepszy moment, by wspomnieć, że zdążył się już wykapać w cennej ciepłej wodzie, ogolić i przebrać w najlepszy i najczystszy mundur.

Zasalutował więc precyzyjnie i wykonał energiczne w tył zwrot, będące, jak mu powiedziano, znakiem firmowym West Point. Efekt nie dorósł niestety do jego oczekiwań.

Jamie stracił równowagę wykonując operację opisaną w „Regulaminie służby polowej” następującymi słowami: „Czubek prawej stopy należy cofnąć o pół stopy i ustawić nieco na lewo od lewej pięty. Nie ruszać lewej pięty”.

Niestety, poruszył lewą piętą.

Wszystko co dobre - i wszystko co złe - działo się w bazie w Steeple Thaxted głównie za sprawą oficera administracyjnego. To Duke Scroll, jak wszyscy oficerowie administracyjni Sił Powietrznych - uprzyjemniał życie lub zatruwał je nie tylko pilotom, lecz także mechanikom, pakowaczom spadochronów, kancelistom, kucharzom i szefom ekip naziemnych, wchodzących w skład trzech dywizjonów grupy, oraz Grupie Obsługi Powietrznej, która ją zaopatrywała, utrzymywała, nadzorowała i w ogóle otaczała troskliwą opieką.

Scroll stał za pułkownikiem Danielem A. Badgerem, komendantem bazy i dowódcą Grupy Myśliwskiej. Dziwna to była para: wyprężony, wypucowany, nienagannie ubrany Duke oraz niespokojny, rumiany, przysadzisty pułkownik Dan, którego jasne włosy nigdy nie podporządkowywały się grzebieniowi i którego wielki, kartoflowaty nos oraz wojowniczo wysunięta szczeka nie poddawały się bez walki uściskom

gumowych masek tlenowych, używanych przez Siły Powietrzne Armii Stanów Zjednoczonych.

Pułkownik Dan potarł włochate ramiona, widoczne spod krótkich rękawów koszuli khaki. Był to gest szybki, nerwowy; podobnie rzeźnik przesuwa nożem po osetce, nim przystąpi do ćwiartowania tuszy. Mimo uroków angielskiego klimatu pułkownik nie nosił nigdy koszul z długimi rękawami, a kurtkę mundurową wkładał wyłącznie wtedy, kiedy okazywała się absolutnie niezbędna.

Koźnierzyk miał rozpięty, w każdej chwili gotów na przyjęcie białego lotniczego szalika. „Dziesięć minut nad oceanem - twierdził - i ten cholerny regulaminowy krawacik skurczy się tak, że łatwo człowieka udusi”.

Pułkownik Dan był zawsze gotów do lotu.

- Kapitan Farebrother - oznajmił oficer administracyjny takim tonem, jakby anonsował przybycie gościa na królewski bal.

- Aha - stwierdził pułkownik Dan. Nie przerwał studiowania treści kartki papieru, którą trzymał przed nim Duke, jakby miał nadzieję na cud pojawienia się na niej większej liczby nazwisk. - Jesteście sam, co?

- Tak jest, panie pułkowniku! - odparł Jamie, z trudem opanowując chęć odwrócenia się i sprawdzenia, czy rzeczywiście jest sam.

Pułkownik Dan przesunął dłonią po czole, zarówno celem otarcia go, jak i odgarnięcia nieporządnie rozrzuconych krótkich włosów.

- Wie pan, ile kosztowało mnie wyposażenie tej grupy w te tam P-51? - spytał i nie czekając na odpowiedź mówił dalej: - Przez całe tygodnie żaden z oficerów tej bazy nie miał w ustach whisky! A dlaczego? Bo przydziały alkoholu zużyłem na przekupienie cholernych urzędasów z pułku, Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego i Kwatery Głównej Sił Powietrznych. W Londynie, na czarnym rynku, butelka szkockiej kosztuje cztery funty. Zakładam, że ma pan pojęcie o tej ich walucie i potrafi obliczyć, ile kosztowały mnie maszyny.

- Tak jest, panie pułkowniku! - Jamie miał rozeznanie w brytyjskiej walucie. Pożegnał się właśnie z dwoma funtami, bo tyle kosztowało go czyszczenie i prasowanie munduru na okoliczność spotkania z pułkownikiem.

- Wysiadywałem w pułku tyle czasu, aż pan generał nabrał podejrzeń, że próbuję poderwać jego sekretarkę z Korpusu Kobięcego Armii. - Parsknął, dając do zrozumienia, jakie wydaje mu się to niestosowne. - Szefa sztabu zapraszałem na obiady, a warsztatom kazałem zrobić model samolotu na biurko jego zastępcy. Kiedy w końcu dowiedziałem się, że decyzje podejmuje jakiś nędzny major, wydałem miesięczny żołd na wizyty w nocnych klubach i znalezienie mu dziewczyny. - Uśmiechnął się. Trudno było powiedzieć, czy mówi całkiem serio, czy też odgrywa tę scenkę wobec każdego świeżo przybyłego oficera.

- No więc dostałem wreszcie te maszyny, i co się dzieje?! Tracę sześciu pilotów, jednego po drugim. Proszę tylko popatrzeć na tę listę. Temu nie chce się wyróżnąć ząbek mądrości, ten skręcił sobie kostkę przy grze w softball, a ten dostał wietrznej ospy. Niesłychana sprawa! Lekarz wojskowy twierdzi... - Postukał palcem w leżące przed nim papiery, jakby pokazywał, że może to udowodnić. - ...Twierdzi, że oficer ten ma ospę i nie może latać.

Podniósł wzrok na Jamiego.

- No więc mam tutaj trzy dywizjony gotowych do lotu mustangów, ale nie mam pilotów. I kogo mi przysyłają? Z całą pewnością nie jedenastu poruczników, którzy należeliby mi się z rezerw według etatu. Nie, zamiast nich dostaję jakiegoś cholernego instruktora. - Podniósł dłoń. - Proszę mi wierzyć, kapitanie, że nie chciałem pana obrazić, ale niech to diabli! - Z wściekłością wałnął dłonią w biurko. - Jak myślisz, Duke, co mam według nich zrobić? - Obrócił się w stronę swego oficera administracyjnego. - Może posadzić kapitana Farebrothera w baraku dispersalu na końcu lotniska i kazać mu wyćwiczyć jedenastu pilotów? Może na taki właśnie wpadli pomysł? Jak sądzisz, Duke?

Zmarszczył brwi. Patrzył Jamiemu wprost w oczy, starając się zmusić go do opuszczenia wzroku. Nie udało mu się jednak i w końcu przerwał ten pojedynek. Spojrzał w papiery.

- Tysiąc pięćset godzin w powietrzu i nieokreślona liczba godzin wylatanych przed podjęciem służby - przeczytał głośno. - Zapewne jest pan zdania, że to coś, prawda, kapitanie?

- Nie, panie pułkowniku.

- Nie latamy steermanami nad pustynią, rysując w powietrzu zawile wzorki, wracając do domu nad torami kolejowymi, „kiedy się zgubimy, i przedłużając sobie weekendy, kiedy tylko na niebie pojawi się chmurka.

- Wskazał palcem za okno. - Widzi pan to nieszczęsne gówno? Podstawa na dwóch tysiącach stóp, dziesięć tysięcy stóp grubości. Będziesz pan przebijał się przez to samolotem... samolotem, który nie przyśnił się panu w najgorszych nawet koszmarach. Te pieprzone P-51, mustangi, nie wybaczą błędów. Jak już się coś zrobi, nie da się tego poprawić. To tylko cholernie wielki silnik z przyczepionymi do niego skrzydłami. Pierwsze kilka lotów przerazi pana śmiertelnie.

Z trzaskiem zamknął akta.

- Na razie, jak pan widzisz, jesteśmy uziemieni. Masz pan mnóstwo samolotów do wyboru. Większość pilotów jest na przepustce, pewnie albo leżą pijani w trupa w ścieku przy Piccadilly, albo próbują odkupić portki od jakiejś kurwy w Cambridge. Mam rację, pułkowniku Scroll?

- Najprawdopodobniej tak, panie pułkowniku - stwierdził po macierzyńsku wyrozumiały oficer administracyjny, przesuwając jedną górę papierów, by zrobić miejsce na drugą. Twarz miał nieruchomą, jakby grał rolę lokaja bogatego playboya, którego nie darzy nawet szacunkiem.

- Niech pan sobie załatwi hełm i kombinezon, kapitanie - rozkazał pułkownik Dan. - Niech pan wykorzystą dobrą radę i zapisze sobie parę godzin na P-51, nim grupa dostanie kolejne zadanie. - Znów podrapał się

po ramieniu. - Jeden z moich dowódców nadal czeka na kapitańską gwiazdkę, a ma zaliczone pięć zestrzeleń. Jak pan sądzi, co sobie pomyśli, kiedy zobaczy pana ćwiczącego zwroty w szyku i mundurek z tymi cholernymi szynami kolejowymi na kołnierzu? Samo pana pojawienie się oznacza, że na awans będzie musiał poczekać. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

- Tak jest, panie pułkowniku.

Pułkownik wyrównał czubkami palców ułożone na biurku papiery. Potem podniósł wzrok i oczy rozszerzyło mu nieskrywane zdumienie.

- Kapitanie Farebrother! - powiedział tonem sugerującym, że wszystko to, co zaszło przed chwilą, dotyczyło zupełnie innego człowieka. - Czy wolno mi zapytać, co pan, na litość boską, ma na sobie? Ta kurtka jest różowa! - Głos załamał mu się z gniewu.

- Tam, gdzie służyłem poprzednio, instruktorzy zwyczajowo nosili kurtki z farbowanej gabardyny, podobne do regulaminowych spodni.

- Przysięgam ci, Farebrother... - Pułkownik był niemal nieprzytomny z wściekłości. - ...Że jeśli jeszcze raz zobaczę cię w tym pedalskim stroju... - Zakrył usta dłonią, jakby w ten sposób próbował opanować gniew.

- Od dziś nosi pan wyłącznie mundur regulaminowego wzoru - wtrącił oficer administracyjny. - Nawet szeregowcy i podoficerowie odwiedzali już krawców, by sprawić sobie wszelkiego rodzaju zwariowane „bluzy Ike'a”. Pułkownik nie zamierza tolerować tego zwyczaju.

- Jeden z moich najlepszych sierżantów kazał sobie uszyć mundur na Saville Row - dodał pułkownik Dan tak, jakby odczuwał coś w rodzaju dumy.

- Zdusiliśmy te obyczaje w zarodku - zakończył Duke.

Zabrał z biurka kartonową teczkę. Skinął głową, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Powodzenia, kapitanie Farebrother - pożegnał Jamiego pułkownik Dan. - Niech pan sobie znajdzie jakieś miejsce do spania i proszę nie zapomnieć zameldować się po południu w baraku Dywizjonu 199. Jego

dowódcą jest major Tucker. Powinien wrócić jutro.

Jamie zasalutował i tym razem wykonał własną, zmodyfikowaną wersję zwrotu w tył.

Kiedy sierżant o nazwisku Tex Gill, co wypisane było na jego podbitej wołłokiem kurtce, pomagał kapitanowi Farebrotherowi zapiąć pasy w kokpicie jednego z mustangów stojących na stanowisku postojowym, nadal padał deszcz. Samolot pachniał nowością: skórą, farbą i wysoko-oktanowym paliwem. Na jego nosie tańczyła wymalowana jaskrawą farbą Myszka Mickey, pod kokpitem zaś widniało wypisane na żółto nazwisko pilota, którym był porucznik M. Morse.

- Hamulce wciśnięte, panie kapitanie?

- Wciśnięte - potwierdził Jamie, podłączając mikrofon i maskę gazową oraz sprawdzając stan paliwa i położenie przełączników.

- Może to pana widziałem nocą w tej ciężarówce z Londynu, panie kapitanie? - spytał sierżant. Mówił niskim, spokojnym głosem, z akcentem niewątpliwie teksańskim.

- Mnie, sierżancie.

- Niech pan uważa, panie kapitanie. Mustangi to trudne maszyny, nawet dla kogoś, kto dobrze wyspał się w nocy.

- A ten?

- Ja osobiście się nim nie zajmuję, ale wygląda bardzo przyzwoicie, bez żartów. - Gill uśmiechnął się. Był wysoki, muskularny i miał czarne, przycięte na końcach wąsiki, opadające tylko na tyle, by nadać jego twarzy lekko żałobny wyraz. - Regulator mieszanki wyłączony, regulator skoku śmigła w położeniu przednim - odpowiedział.

- Wszystko w porządku, sierżancie - uspokoił go Jamie. - Przelatałem na mustangach ładne parę godzin.

- Nie trzeba słuchać wszystkiego, co ludzie gadają - stwierdził Gill.

- Ta jednostka nie jest ani lepsza, ani gorsza od innych, w których służyłem.

Jamie skinął głową. Z szarego stratusa deszcz padał nieprzerwanym strumieniem; krople niczym tysiące pereł rozpryskiwały się po plastyku owiewki. Jamie chętnie zrezygnowałby z lotu przy takim zachmurzeniu, jednak za późno było zmieniać zdanie. Uśmiechnął się do Gilla, którego najwyraźniej nieco to uspokoiło; pozostał jednak na skrzydle do końca procedury przedstartowej.

Jamie przesunął wreszcie do przodu dźwignię gazu, a następnie włączył iskrowniki i akumulator. Instrumenty ożywiły się w jednej chwili. Gill chusteczką przetarł osłonę kabiny, po czym podniósł ją i opuścił, zatrzasnąjąc grzbietem dłoni. Był to gest pożegnania. Zeskoczył ze skrzydła.

Jamie rozejrzał się dookoła; chciał mieć pewność, że sierżant zdążył się oddalić. Następnie włączył wtrysk bezpośredni i starter.

Silnik strzelił kilkakrotnie; poczwórne śmigło zakręciło się sztywno, powoli, i stanęło. Na południu przez warstwę chmur przedarło się słońce. Deszcz osłabł, ale nadal dostawał się do kokpitu. Jamie domknął osłonę kabiny.

Podniesiony kołnierz kurtki mundurowej sierżanta Gilla niemal całym osłaniał mu szyję, ale wełniana czapeczka i robocze mundurowe spodnie pociemniały od deszczu.

Sierżant uniósł w górę zaciśniętą pięść i obrócił nią nad głową. Jamie spróbował jeszcze raz. Olbrzymi, dwunastocylindrowy merlin ryknął, zakrzuszył się, omal nie zgasł, lecz ostatecznie zdecydował popracować jeszcze chwilę. Nie na wszystkich cylindrach od razu, jednak w końcu podgrzał się wystarczająco, by zabrzmieć charakterystycznym, chrapliwym, lecz zdrowym dźwiękiem.

Przed dodaniem gazu Jamie sprawdził iskrowniki. Zwiększył obroty. Sierżant Gill pokazał mu uniesiony kciuk, obniżył je więc do tysiąca pięciuset i ponownie skontrolował instrumenty. Wyglądało nieźle. Wszystkie merliny, bez wyjątku, nie znosiły jednak wilgoci, więc czekał, aż silnik zagrzeje się i zacznie pracować idealnie równo.

Deszcz przestał padać, przez chmury przedarły się pojedyncze promienie słońca. Na balkonie wieży kontrolnej pojawiła się jakaś postać. Malujący wieżę żołnierze przerwali pracę, wpatrując się w stojącego na pasie mustanga. Pokrywa silnika zasłaniała mu widok, więc Jamie kołował po obwodnicy lotniska zygzakiem, nie chcąc, by koła wpadły w błotniste kałuże, których pełno było po jej obu stronach. Zatrzymał się na początku pasa. Stojący na balkonie wieży człowiek pomachał mu ręką; Jamie dodał silnikowi mocy nie puszczać hamulców, a potem zwolnił je i samolot potoczył się po pasie, błyskawicznie nabierając prędkości.

Mustang lekko wystartował. Jamie schował szybko podwozie. Chmury wisiały niżej, niż się spodziewał; jeszcze nim położył maszynę w lekkim skrucie, jej skrzydło zaczęło rwać ich szare pasma.

By dokonać tego, czego owego grudniowego dnia dokonał kapitan Farebrother, trzeba być człowiekiem albo rozjuszoną, albo bardzo młodym, albo po prostu głupim. W wypadku Jamiego wchodziły w grę być może wszystkie te trzy czynniki. Najpierw sprawdził, jaka jest podstawa chmur, a potem zatoczył krąg, by skontrolować instrumenty i zapoznać się z okolicą. Pilotował delikatnie jak zwykle, jak w Dallas, za każdym razem, gdy tylko Charlie Stiggowi udało się przekonać go, że dwaj ciężko pracujący instruktorzy muszą od czasu do czasu popróbować prawdziwego latania.

Uznał, że dzięki szczęściu lub umiejętności właściwej oceny porucznik Morse wybrał sobie dobrą maszynę. „Myszka Mickey II” reagowała na każdy ruch drążkiem, cechowała ją także ta lekkość, którą mają mustangi, kiedy ich zbiorniki są w więcej niż połowie puste.

Ściągnął drążek i powoli zwiększył wysokość. Po skrzydłach przesunęło się parę pasm czegoś w rodzaju brudnej bawełny i nagle w kokpicie zrobiło się ciemno. Deszczowa chmura zawirowała wokół końcówek skrzydeł, merlin jednak nawet nie kaszlnął, nie zwolnił obrotów. Nie miał zamiaru skarżyć się na wilgoć. Jamie, zadowolony, wyleciał

z chmury tuż nad skrzyżowaniem pasów. Wyrównał i położył maszynę na skrzydło z prędkością wystarczającą akurat na immelmana. Wzniósł się, zakręcił ostro, wrócił i znurkował, nabierając prędkości do wykonania pętli. Będąc u góry, drąc podstawę chmur brzuchem samolotu, płytkim przewrotem wyszedł do lotu poziomego.

Teraz już go zauważono. Z czarnych hangarów wybiegli mechanicy, żołnierze stali w grupkach przed budynkami, przed namiotami mesy też zgromadził się tłum; lecąc nisko nad lotniskiem Jamie widział błyski menażek. Na ulicach wioski gromadzili się mieszkańcy, a niektóre samochody zjechały na pobocze, bo i kierowcy chcieli się pogapić. Zastanawiał się przez chwilę, czy pułkownik Dan i oficer administracyjny są wśród ludzi moknących na deszczu przed barakiem operacji.

Ufał już maszynie na tyle, by zejść niżej. Jeszcze raz przeleciał nad lotniskiem - tym razem tak nisko, że musiał poderwać samolot przed wieżą kontroli lotów, a i tak zaledwie udał mu się ten manewr. Pracujący przy malowaniu żołnierze rzucili się na mokrą ziemię. Przy następnym przelocie Jamie zobaczył rozlane po czarnym asfalcie pajęczne plamy białej farby.

Wleciał między hangary, wyleciał spośród nich i rozpoczął zabawę polegającą na kręceniu nad lotniskiem perfekcyjnie wykonanych beczek. Na bis wykręcił pół beczki i przeleciał nad pasem na plecach; silnik aż wył o paliwo. Wylądował po przewrocie, delikatnie jak piórko.

Jeśli po wylądowaniu spodziewał się oklasków, spotkało go rozczarowanie. Oprócz sympatycznego sierżanta Gilla, który pojawił się, by pomóc mu rozpiąć pasy, w zasięgu wzroku nie było nikogo.

- Wszystko w porządku, panie kapitanie? - zapytał Gill.

Twarz miał kamienną.

- Warto byłoby wymienić świece, sierżancie. - Jamie zauważył, że Gill włożył wprawdzie brezentowy płaszcz, twarz lśni mu jednak od deszczu, a spodnie są doszczętnie przemoczone.

- Owszem, już czas. Ale wydawało mi się, że zniosą krótki lot treningowy.

- Nie mylił się pan, sierżancie Gill.

- Może pan zostawić spadochron tutaj. Poproszę kogoś z chłopców, żeby go zabrał.

Razem wrócili do dispersalu, wyposażonego w prymitywną kuchenkę. W ekspresie bulgotała kawa. Gill bez pytania napełnił pilotowi kubek.

- To dobra maszyna. I zadbana - stwierdził Jamie.

- Nie ja się nią zajmuję. Jestem szefem mechaników „Kibitzera”, stojącego o tam, po drugiej stronie. Ta należy do szefa nazwiskiem Kruger.

- Ale Kruger pozwala polatać na niej porucznikowi Morse'owi, przynajmniej od czasu do czasu, co?

- Tak to mniej więcej wygląda. - Gill nawet się nie uśmiechnął.

- Cóż, mam nadzieję, że ani on, ani porucznik Morse nie będą mieli do mnie pretensji za pożyczenie ich ptaka?

- Porucznik Morse, nazywają go Myszka Mickey, nie będzie miał do pana żadnych pretensji. Lata brutalnie. Twierdzi, że samoloty są jak kobiety - trzeba je bić w miarę regularnie. - Gill nadal się nie uśmiechał.

Jamie poczęstował go papierosem, ale sierżant pokręcił głową.

- Kruger też się nie obrazi - mówił dalej. - Wie, że niedobrze jest dla maszyny, jeśli przy takiej pogodzie nie używa się jej przez dłuższy czas. - Zdjął czapkę i przyjrzał się jej uważnie. - Jeśli chodzi o pułkownika Dana... no, to coś zupełnie innego. Ostatni pilot, który przeleciał nad lotniskiem... i to kilkaset metrów nad dachami, a nie, jak pan, poniżej nich... no, pułkownik upiekł go na wolnym ogniu. Postawił do raportu przed generałem, dał naganę i odesłał do Stanów.

- Dzięki, że mi pan o tym powiedział, sierżancie.

- Jeśli pułkownik Dan się wścieka, to natychmiast, no i pan natychmiast się o tym dowie. - Sierżant otarł dłonią wilgotną twarz. - Jeśli nie dowie się pan o tym, zanim skończy pan rozpakowywać walizki, to nie dowie się pan w ogóle.

Jamie skinął głową. Spróbował kawy. Sierżant przyjrzał mu się bardzo uważnie i zdecydował, że ten pilot wart jest, by podzielić się z nim kilkoma przemyśleniami.

- Moim zdaniem nie będzie sprawy, panie kapitanie. Wie pan, akurat teraz strasznie brak nam pilotów i nie sądzę, by pułkownik Dan zamierzał ich odsyłać. A już zwłaszcza nie zechce pożegnać się z pilotem, który dobrze czuje maszynę wymagającą zmiany świec.

- Mam szczerą nadzieję, że się nie mylicie, sierżancie Gill - stwierdził Jamie.

I rzeczywiście, sierżant Gill się nie mylił.

3. Sierżant sztabowy Harold E. Boyer

Popis pilotażu kapitana Farebrothera przeszedł do legendy. Niektórzy twierdzili wprawdzie, że obecni tego dnia na służbie w Steeple Thaxted przesadzają, pragnąc odegrać się na kolegach cieszących się wówczas urokami przepustki, ale tego rodzaju próby pomniejszenia talentów pilota mogli podejmować wyłącznie ignoranci. Krytyków kapitana dodatkowo pogłębił fakt, że sierżant sztabowy Harry Boyer uznał jego lot za najwspanialszy, jaki zdarzyło mu się widzieć w życiu.

- Jezu! - mówił. - Przed nim nikt nie rzucił mnie tak na ziemię. Nawet na Wyspach, przed wojną, kiedy niektórzy piloci popisywali się przed swoimi dziewczynami.

Zdanie sierżanta miało szczególną wagę, jako że w powszechnej opinii był on najbardziej doświadczonym żołnierzem lotnictwa w bazie. Harry przypinał do siedzeń dwupłatów młodzieńskich, chorych z nerwów poruczników, którzy dziś byli generałami i urzędowali w Pentagonie. I niezależnie od tego, jaki typ samolotu wymieniono, Harry Boyer malował go, zszywał i prawdopodobnie raz i drugi nawet nim leciał.

Sierżant nie tylko opowiadał o „pszczelim locie Farebrothera”, pod którą to nazwą zapamiętano wyczyn Jamiego, ale i prezentował go za pomocą obu rąk i bogatych efektów dźwiękowych, kończył zaś przedstawienie naśladując miękki teksański akcent Gilla pytającego: „Wszystko w porządku, panie kapitanie?” i ostry nowoangielski akcent Jamiego, odpowiadającego: „Warto byłoby wymienić świece, sierżancie”.

Popis ten stał się tak popularny, że kiedy sierżant powtarzał go w roku 1969 na przyjęciu Stowarzyszenia 220. Grupy Myśliwskiej, stojących obok niego kilkunastu mężczyzn zlekceważyło popisy egzotycznej taneczki.

Reputacja sierżanta sztabowego Boyera jako mima, choć wielka, ustępowała jego kolosalnej popularności zdobytej w roli organizatora gry w kości. Przyjeżdżali do niego na partyjkę żołnierze z grupy bombowej z Narrowbridge; kilkakrotnie zdarzyło się nawet, że obecni byli oficerowie z 91. Grupy Bombowej stacjonującej aż w Bassingburn.

To właśnie kości doprowadziły do starcia między sierżantem a oficerem administracyjnym, lecz choć obaj prowadzili długą, gorzką, pełną bizantyjskich wręcz intryg wojnę, gra w kości nie była nigdy naprawdę zagrożona. Ilekroć jednak rozchodziła się wieść o całonocnej partyjce o stawkę czterocyfrową, sierżant najczęściej otrzymywał jakieś ekstra zadanie. I tak tego pamiętnego dnia na przykład malował wieżę kontrolną.

Po zakończeniu mrozących krew w żyłach wyczynów Farebrothera Boyer zapatrzył się w budynek operacji oczekując, że lada chwila wypadną z niego pułkownicy Dan i Duke, zionący ogniem. Nie wypadli. W ogóle nie działo się nic szczególnego, tylko Tex Gill podjechał pod wieżę i zamiast oprzeć rower o świeżo pomalowaną ścianę, położył go na asfalcie.

- Jak ci się to podobało, Tex? - spytał Boyer. - Kręcąc te ośmiopunktowe beczki, jednym skrzydłem włókił po trawie, a drugim tkwił w chmurach. Widziałeś?!

- Zerwał przewody radiowe z dachu wieży - stwierdził Gill.

Zdecydowany nie dać nabrać się na jeden z licznych blefów Teksańczyka, Boyer udał, że nie dosłyszał.

- Co mówiłeś?

- Podczas tego niskiego przelotu na wieżę zerwał przewody radiowe.

Tex Gill doskonale grał w pokera i często ogrywał niezwykłego z reguły Boyera, więc nadal podejrzewając dowcip Boyer nawet nie spoj-rzał na antenę.

Gill pokazał mu, co trzyma w zaciśniętej dłoni: ceramiczny bezpiecz-nik z kawałkiem drutu.

- Właśnie zdjąłem go z ogona „Kibitzera”.
- Pułkownik Dan wie?
- Nawet chłopak, który kręcił te cuda, nie wie. Pomyślałem sobie, że możemy we dwóch ustawić nową antenę, a twoi ludzie dokończą tymczasem malowania.
- To całkiem wbrew przepisom, Tex. Potrzebne są papiery i tak dalej.
- Ten kapitan niedawno przyjechał. W nocy siedziałem z nim w jednej ciężarówce jadącej z Londynu. Nie chcemy chyba, żeby podpadł pułkownikowi, nim zdąży się rozpakować?

Sierżant sztabowy Boyer podrapał się w brodę. Z Gilla był cholerny kawał cwaniaka. Może wyobraził sobie, że jest szansa, by nowy pilot wziął „Kibitzera”? Zostałby wówczas jego szefem mechaników.

- No, nie jestem pewien, Tex...
- Jeśli ktoś zamelduje o zwalonej antenie, oficer administracyjny pojawi się tu, Harry... i zobaczy, że wieża pomalowana jest tylko od tej strony, na którą wychodzą jego okna. Zobaczy też, że jakiś cholerny idiota wylał na asfalt dwie czterogalonowe puszkę farby.

Boyer spojrział na swe poplamione buty i na bezpiecznik w ręku Gil-la.

- A masz tam u siebie jakąś białą farbę?
- To by się dało załatwić, Harry.

Gill rzucił w przyjaciela izolatorem. Boyer złapał go zrećcznie i puścił oko na znak, że zgadza się na propozycję.

Do wieczora wieża została pomalowana, a antena znalazła się na swoim miejscu. Kapitan Farebrother nigdy się o niej nie dowiedział... Podobnie jak pułkownik Dan.

4. Porucznik Z. M. Morse

Porucznik Morse powrócił z przepustki do Londynu z ciężką głową i lekkim portfelem. Strasznie chciało mu się spać, musiał jednak znieść jakoś obecność dwóch młodych pilotów siedzących na jego łóżku, pijących kawę, wyjadających mu przydział słodczy i opowiadających jeden przez drugiego o wspaniałym nowym pilocie, przydzielonym do ich dywizjonu.

- A co mnie, kurwa, obchodzi, co można zrobić z P-51? - spytał ich Morse. - Wystarczał mi stary P-47 i gdybym był na miejscu pułkownika Dana, nie upierałbym się tak cholernie przy przezbrojeniu nas na te nowe cudeńka. Jezu! Silnik dławi się bez ostrzeżenia, a teraz jeszcze powiedzieli nam, że karabiny mogą się zaciąć przy strzelaniu w ciasnym skręcie.

Porucznik leżał niedbale na łóżku, koszulę miał pogniecioną, krawat rozluźniony. Ubił mocno poduszkę, podłożył ją sobie pod głowę, a tymczasem duży czarny kundel, śpiący w wiklinowym fotelu, otworzył oczy i ziewnął.

Morse, który tak przyzwyczyił się do przezwiska Myszka Mickey albo MM, że wymalował je na swym samolocie, był niewysokim, niechlujnym dwudziestoczworoletkiem z Arizony. Ciemna cera sprawiała, że nawet w angielskim klimacie wydawał się opalony, a długie lśniące włosy, obfite baczki i cienki, troskliwie przycinany wąsik nadawały mu wygląd Latynosa. Z radością odgrywał zresztą jego rolę i od czasu do czasu wykonywał nawet coś w rodzaju rumbi, oczywiście pod warunkiem, że ktoś mu postawił i że w pobliżu znajdowała się akurat odpowiednia partnerka.

- Mówią, że jest wspaniały - stwierdził Rube Wein, jego skrzydłowy. - Mówią, że czegoś tak dobrego jeszcze nie widzieli.

- Wziął twój samolot - dodał Earl Koenige, pełniący zazwyczaj rolę numeru trzeciego. - Cholernie żałuję, że go nie widziałem.

- Ile wy macie lat, szczeniaki? - zainteresował się MM. - No już, tylko szczerze. Zdążyliście zrobić maturę?

- Dziewięćdziesiąt jeden, niedługo dziewięćdziesiąt dwa - odparł Wein, który ukończył matematykę na Uniwersytecie Princeton. Między nimi trzema było zaledwie kilka miesięcy różnicy, ale MM czuł niezmierną dumę z faktu, że wygląda dojrzałej od przyjaciół. Z tego właśnie powodu zapuścił wąsy, na razie niezbyt gęste.

- Kiedy patrzę na was, panowie, siedzących tutaj z batonikami w gębach, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że powinniście jeździć dziecięcymi samochodzikami, a nie pilotować myśliwce, narażając się na to, że jakiś wściekły i całkiem dorosły szkop odstrzeli wam ogon.

- A kto dał nowemu kluczyki do twojego wozu, dziadku? - zainteresował się Rube Wein. Ten poważny naukowiec wiedział, jak drażnić Myszkę i gotów był denerwować go w sposób, w jaki Ed nie ośmieliłby się tego zrobić.

- Słusznie! - Morse wyraźnie się zaniepokoił. - Dlaczego nie wziął „Cinderelli” albo „Bepopa”? Albo jeszcze lepiej „Kibitzera”, z którym zawsze są jakieś kłopoty? Dlaczego musiał urywać nity akurat w mojej maszynie? Temu sukinsynowi Krugerowi płacą za opiekowanie się nią. Nie powinien pozwolić nowemu sięść za sterami!

- Dlaczego nie wziął samolotu Tuckera? - dziwił się Wein, który nie lubił dowódcy dywizjonu. - Dlaczego nie wziął tego wymalowanego „Joustera”? I dlaczego go nie rozwalił?

- Rozkaz pułkownika Dana - wyjaśnił Earl Koenige, jasnowłosy syn farmera, studiujący niegdyś rolnictwo w Forcie Valley w Georgii. - Pułkownik Dan rozkazał nowemu, żeby wziął maszynę i zrobił sobie lot treningowy. Oczywiście to tylko takie gadanie, ale ten Farebrother spytał

podobno o zgodę odbycia lotu na plecach.

Spojrzały na niego dwie pary zdumionych, niedowierzających oczu, więc zdecydował się na dodatkowe wyjaśnienia:

- No, może to nieprawda, ale tak w każdym razie mówią. Oficer administracyjny jest wściekły. Chciał postawić chłopaka przed sądem wojennym.

- Powinny być jakieś przepisy dotyczące pożyczania sobie samolotów - stwierdził MM. - A loty na plecach dobre są akurat dla popieprzonych.

Earl Koenige odrzucił z czoła jasne włosy.

- Pułkownik Dan stwierdził, że pilot ten za krótko przebywał w bazie, by poznać miejscowe przepisy i warunki. Powiedział też, że szczególnie zła tego dnia pogoda spowodowała, że niski lot w bezpośredniej bliskości bazy był środkiem koniecznym, zwłaszcza w wypadku nowego pilota podchodzącego do lądowania przy minimalnej widoczności. - Roześmiał się. - Innymi słowy, jeśli pułkownikowi Danowi uda się położyć łapę na jakimś pilocie, już go nie odda.

Skończywszy opowieść, Koenige spojrzał na dowódcę. Zawsze szukał u niego aprobaty dla wszystkiego, co mówił. MM udzielił mu swego błogosławieństwa niedbałym skinieniem dłoni, po czym wsadził sobie w usta kolejną porcję gumy do żucia. Zwyczaj jednoczesnego żucia gumy i palenia czynił z niego przedmiot łatwych żartów i jeśli ktoś pragnął wywołać przy barze wybuch śmiechu, musiał tylko zrobić to samo, dodając gest przesuwania grzebieniem po włosach.

- Jasne! Oczywiście! - krzyknął Myszka, klaszcząc w dłonie, jakby zaganiał kury do kurnika. - Doskonale powiedziane. Cięcie, koniec sceny. Dajcie mi spokój, dobra?

Nie czuję się najlepiej.

Rube Wein pochylił się nad rozciągniętym na łóżku dowódcą.

- Czas na obiad - oznajmił. - Mam może przynieść ci trochę tłustych parówek i tych obciekających tłuszczem frytek... takich, jakie potrafią robić wyłącznie Angole?

- Nie pieprz! - wrzasnął Myszka. Od wrzasku głowa rozbolała go jeszcze bardziej.

- Plotka głosi, że ten nowy dostanie „Kibitzera”, co oznacza, że będzie latał jako twój numer czwarty - poinformował Wein.

MM rzucił za nim butem, ale ten wraz z pozostałymi gośćmi zdążył już zniknąć za drzwiami.

Winston, czarny kundel, podniósł łeb, sprawdzając, czy but nie został rzucony mu do aportu, doszedł jednak do wniosku, że nie, więc tylko warknął od niechcienia i zamknął ślepią.

Nie minęło wiele czasu, gdy ktoś grzecznie zapukał do drzwi. Wysocki kapitan nie czekał na zaproszenie. Wetknął głowę do pokoju.

- Porucznik Morse?

- Wchodź pan, zamiast stać w przeciągu! - Morse zgasił papierosa w pokrywce od słoiczka brylantyny.

- Nazywam się Farebrother, panie poruczniku. Dostałem przydział do pańskiej eskadry.

- Proszę skopać Winstona z fotela i usiąść.

Pierwszy rzut oka na nowego ujawnił oczom MM zgarbioną postać nieco nieśmiałego gościa w drogiej, nieregulaminowej skórzanej kurtce, ze złotym rolexem na przegubie dłoni i wetkniętym w kieszonkę koszuli nieszczelnym wiecznym piórem, pozostawiającym plamkę atramentu na materiale na wysokości serca. Kapitańskie paski były na tyle stare, by nie lśnić jasnym blaskiem.

Spodobało się to Myszcze, niezły patent.

- Jak rozumiem, dostanę „Kibitzera”.

MM rozpoznał lekki akcent z Wschodniego Wybrzeża.

- To pan jest tym sukinsynem, który obrywał mi nity?

- Ma pan wspaniałą maszynę. Chodzi jak szwajcarski zegarek - stwierdził dyplomatycznie Jamie. MM zamruczał jak kot nad miseczką śmietanki. - I nie szalałem aż tak, żeby oberwać jakiś nit.

- Skąd pan pochodzi, kapitanie? Z Nowego Jorku? Bostonu? Filadelfii? Ci bogaci gówniarze ze wschodu wszyscy są tacy sami. Całą resztę ludzkości traktują tak, jakby wczoraj urwała się z farmy w Indianie.

- Mieszkam w Kalifornii, poruczniku. Ale chodziłem do szkoły na wschodzie.

- Napije się pan, kapitanie? Mam whisky.

Farebrother wyciągnął szczupłą dłoń dając do zrozumienia, że nie będzie pił. MM opadł na poduszki i znów przyjrzał mu się uważnie. Biedny bogaty chłopczyk. Pewnie wykombinował sobie, że w jedno-miejscowych myśliwcach uda mu się wygrać wojnę bez ocierania się o prostaków i innych włóczęgów.

- Czy mamy przewalczyć całą wojnę zwracając się do siebie tak oficjalnie? - spytał nowy.

MM obrócił się i wyciągnął dłoń.

- Mów mi Myszka Mickey, jak wszyscy.

- Mnie przyjaciele nazywają Jamie.

- Spocznij, Jamie. I podaj mi paczkę papierosów z kartonu w kuferku. - Morse otworzył pudełko zapalek sprawdzając, czy nie jest przypadkiem puste. - Masz pokój?

- Śpię na dole. Z porucznikiem Hartem.

- No więc masz całe to miejsce dla siebie. Hart dostał jakiegoś wrzodu na żołądku. Nie wróci. Posłuchaj dobrej rady, zostaw jego nazwisko na drzwiach i zatrzymaj pokój dla siebie, jak ja. Nie ma sensu brać lokatora, jeśli można tego uniknąć.

- Dlaczego właściwie mieszkamy w tych domkach?

- RAF wybudował je dla oficerów z rodzinami. Te szafy na dole, w których robi się kawę i coś tam smaży, udawały rodzinne kuchnie.

Jamie rozejrzał się po zadymionym pomieszczeniu.

Porucznik Morse rzeczywiście nie zostawił miejsca dla kogoś, kto miałby ochotę się do niego wprowadzić. Drugie łóżko stało oparte o ścianę, a obok leżał na podłodze silnik motocyklowy. Jego części rozrzucone były po całym pokoju, niektóre owinięte brudnymi szmatami, inne zanurzone w wypełniającym płytkie miseczki oleju. W rogu stały

butelki coca-coli, spiętrzone wysoko na skrzynce od butelek na mleko, ściany zaś zdobiły fotografie dziewczyn z Yanks i kolorowy plakat filmowy reklamujący „Dawn Patrol”. Nad łóżkiem Myszka powiesił pas z automatycznym coltem w olstrze, wyżej zaś znalazł miejsce na pięknego szarego stetsona.

- Kim jest ten stary cywil zamiatający korytarz? - spytał Jamie.

- Mamy brytyjską służbę cywilną, nazywają ich tu ordynansami. Robią ci pranie i przynoszą rano herbatę. Krzyw się, krzyw, ale sam zobaczysz, że jest lepsza od brytyjskiej kawy. Jeśli chcesz kawy, lepiej sam ją sobie zaparz.

- Słyszałem, że ty tu robisz za asa?

MM uważnie zapalił papierosa, po czym zgasił zapalkę machając nią w powietrzu.

- Żeby być najlepszym w okolicy, nie trzeba udawać barona von Richthofena. Większość z tych dzieciaków powinna nadal siedzieć w podstawowej szkole lotniczej ucząc się łagodnych skrętów na dwupłacie.

- Dotyczy to także pilotów z twojej eskadry?

MM zaciągnął się głęboko. Oczy miał przymknięte, jakby pogrążył się w myślach.

- Skrzydłowym jest Rube Wein, taki szczyłek o smutnych oczach i odstających uszach. Mieszka na dole. Nie lepszy i nie gorszy od reszty. Cholernie mądry sukinsyn, w wolnym czasie najlepiej bawi się siedząc u siebie i studiując Szekspira, ale oczy ma jak indiański zwiadowca, a czas reakcji najkrótszy chyba, jaki widziałem u człowieka. Niech cię nie zmyli ta jego książkowa wiedza; mały jest twardy. Kiedy mam go przy sobie, czuję się dobrze. - MM popracował przy papierosie. Strząsnął popiół na pokrywkę słoika. - Ty będziesz chyba skrzydłowym Earla Koenige. To lepszy pilot niż Rube, ma naturalny talent, ale jest nieśmiały i nie podlatuje na tyle blisko, żeby zaliczyć zwycięstwo. Lubi samoloty; w tym problem. Boi się, że coś wygnie albo uszkodzi silnik wyciskając z niego pełną moc. Lata, jakby z własnej kieszeni płacił mechanikom tych cholernych mustangów.

Winston sapnął i ciężko zeskoczył ze skrzypiącego wiklinowego fotela. Jamie, który dotąd stał, usiadł na poduszce psa, opierając wyciągnięte nogi na stołeczku.

Dało to porucznikowi szansę podziwiania jego zrobionych na zamówienie wysokich butów.

- Jak sądzisz, kiedy znowu polecimy?

- Po tym, jak spieprzyliśmy Gelsenkirchen, myślałem, że nie polecimy już nigdy. Byłem prawie pewien, że wszystkich nas przeniosą do piechoty.

- Co się tam stało?

MM smutno potrząsnął głową.

- Trzeba by zacząć od pułkownika Dana, prowadzącego nas na spotkanie nad Emmerich, przy granicy holenderskiej. Mieliśmy za zadanie bliską osłonę bombowców przez całą drogę do celu, a potem z powrotem, do granicy holenderskiej. No więc lecieliśmy sobie w ślicznym ciasnym szyku, tuż za pułkownikiem. Wyglądało to jak na paradzie, tyle że w dole mieliśmy stratusa i nikt nic nie widział.

- Nawet bombowców?

- Jakich bombowców? Nie spotkaliśmy żadnych bombowców.

- To co się stało?

- Powiem ci, co się stało. Nic się nie stało! Tylko to. Bombowce nie znalazły celu. Te magiczne skrzynki, które miały umożliwić im patrzenie przez chmury, wysiadły co do jednej. Skierowały maszyny o całe mile na północ. Cięcie na pułkownika Dana, za którym latamy w kółko nad Gelsenkirchen - w każdym razie on twierdzi, że to Gelsenkirchen, my widzimy tylko chmury. Wreszcie... wróciliśmy do Anglii, lecąc w ładnym, ciasnym szyku. Parę razy przelecieliśmy nisko nad polami, żeby pokazać wszystkim, jakimi to jesteśmy asami, i mieliśmy jeszcze mnóstwo czasu na drinka przed kolacją. Cudownie spieprzona akcja!

- Bombowce nie zbombardowały celów?

- Och, oczywiście, że zbombardowały. Zbombardowały „cele przypadkowe”, co jest cwany określeniem, wymyślonym przez Siły Lotnicze, oznaczającym, że zamyka się oczy, uwalnia bomby, nabiera wysokości i wieje, gdzie pieprz rośnie.

- Słyszałem, że grupy bombowe przeżywają ciężkie chwile - zauważył Jamie. - I widziałem liczne ciężarówki z ludźmi kierowanymi do nich na zastępstwo.

- Przenikanie na nalot na Bremę, tydzień później - powiedział Myszka. - Wygląda mi na to, że ludzie od wyznaczania celów, ci z High Wycombe, mają jakieś prywatne porachunki z mieszkańcami Bremy.

Farebrother uprzejmie skinął głową.

- Miasto jest łatwo dostępne i leży nad morzem - przyznał. Sięgnął do kieszeni koszuli po paczkę cameli. Paznokciami wyciągnął z niej papierosa. MM patrzył, jak go zapala. Ręce nawet mu nie drgnęły. Bogate dzieciaki wszystkie są takie same - może przez te szkoły na Wschodnim Wybrzeżu, do których posyłają ich rodzice? Kamienna twarz, nie śmieją się, nie krzyczą, nie płaczą, nigdy nawet nie pierdną. Myszka ich za to podziwiał.

- Co tam się stało?

Porucznik nagle zdał sobie sprawę, że jest zmęczony, ma kaca... Powinien powiedzieć Farebrotherowi, żeby się wynosił, ale z jakiegoś powodu nie zrobił tego, za to wspomniał Bremę. I bombowiec rozdarty w powietrzu.

- Ostatni zespół uderzeniowy spotkaliśmy całe mile dalej, niż wynikało z przekazanej nam tabeli czasowej... - rzekł i urwał. Nigdy jeszcze nie opowiadał o tym nikomu, nawet Ruby'emu, który był jego najbliższym przyjacielem. Czemu więc miałby zwierzać się temu kapitanowi? Może dlatego, że łatwiej opowiadać takie rzeczy obcemu. - Dzięki Bogu, nie my eskortowaliśmy te B-24. Nazywają je „latającymi tratwami”; to podobno łodzie, które przeciekały tak fatalnie, że doprawiono im koła i przechrzczono na bombowce.

Jamie uśmiechnął się, choć słyszał już przedtem ten dowcip. Nie miał wątpliwości - Myszka próbował zyskać na czasie.

- Wymagają cholerne pracy za sterami. Kiedy wreszcie wyszły nad chmury, tańczyły po całym niebie. Piloci nie byli w stanie utrzymać szyku.

- Wszystko przez to skrzydło Davisa - wtrącił Jamie. - Nie projektowano go do lotów na tej wysokości i pod tym obciążeniem.

- Jasne, coś w tym rodzaju. Zaczęło się kiepsko. Mijaliśmy te trawty, a przedtem miały takie straty, że ich piloci byli w większości rezerwistami, po raz pierwszy w locie bojowym. - Strzepnął popiół do pokrywki leżącej na jego piersi. - Mówiłeś, że Brema jest łatwym celem, bo leży na wybrzeżu, ale nie wiesz, że Niemcy mają łańcuch stacji radarowych rozlokowanych wzdłuż tego wybrzeża. Wszystko, co nadlatuje znad morza, natychmiast pojawia się im na ekranach. Czekwały więc na nas myśliwce, setki myśliwców. Dostaliśmy straszne lanie. - MM zdał sobie nagle sprawę, że pocą mu się dłonie. Czuł też, że twarz ma zaczerwienioną. - Wczoraj wieczorem za wiele wypłem - usprawiedliwił się.

- Zaangażowaliście siły przeciwnika?

- Hej, Jamie, gdzieś ty się nauczyłeś tak gadać? Ćwiczysz się na generała, dziennikarza albo kogoś w tym rodzaju? Jasne, zaangażowaliśmy, według regulaminu. - Przez chwilę milczał, paląc papierosa i zaciągając się głęboko. - Pułkownik Dan prowadzi Czerwonych - Czerwonych zawsze wzywa się w razie kłopotów, więc pułkownik Dan lubi nimi dowodzić - ja zaś drugi klucz. Minęliśmy B-24 i znaleźliśmy nasze fortece. Trzymamy się blisko nich, dokładnie tak, jak to opisują w regulaminach. Tylko że kiedy pilnujemy, by nie dostać się za blisko ich napalonych strzelców, messerschmitty 110 pojawiają się na horyzoncie i nim ktokolwiek się orientuje, strzelają raketami!

- Nikt ich nie ścigał?

- Słuchaj, nim ktokolwiek domyślił się, że mają zamiar palnąć raketami dalekiego zasięgu, było już za późno, szkopy zawrócili i polecili

na piwo. Potem rzuciły się na nas messerschmitty 109 i przebiły formację, a weź pod uwagę, że ciągle byliśmy nad wodą, dość daleko od celu. Znurkowały pod grupę i podrywały nosy tylko na chwilę, żeby walić w nasze gołe brzuchy. Pułkownik Dan poleciał za nimi, kilku z nas udało się nawet parę razy wystrzelić, nim uciekły lotem nurkowym. Właśnie kiedy użeraliśmy się z tymi maluszkami, nadleciała grupa zastępcza. Na thunderboltach, a ci faceci są pewni, że kwadratowe skrzydła mają wyłącznie messerschmitty, więc nikt się nie dziwił, kiedy wyskoczyły ze słońca i załatwiły dwóch naszych chłopców w pierwszym ataku. Straciliśmy dwóch dobrych pilotów, a sami nie dokonaliśmy żadnego zestrzelenia!

Byliśmy już gotowi wracać i właśnie formowaliśmy się, kiedy zobaczyłem jakiegoś szalonego szkopa podkradającego się do naszych bombowców. Zrobiłem przewrót przez skrzydło i pogoniłem za nim, ale był szybki, cholernie szybki. Palnąłem w niego parę serii, a on leciał prosto, zwyczajnie leciał prosto, nawet nie próbował uników. Przez chwilę myślałem nawet, że pilot jest martwy albo nieprzytomny, ale potem zorientowałem się, co ten wariat ma zamiar zrobić. Wybrał sobie jedną z lecących niżej, z boku, fortec i leciał wprost na nią!

Jamie nie zamierzał mu przerywać.

Myszka splótl dłonie.

- Byłem tuż za nim. Wszystko widziałem. Rozwalił bok tego bombowca. Widziałem ludzi, którzy go pilotowali. Widziałem fotele, sprzęt, przewody, jaskrawe aluminiowe wnętrza. Byłem tak blisko, że mogłem dotknąć tych ludzi. Widziałem ich twarze, kiedy maszyna się rozpadała. Cholernie zabawny był to widok. - MM zgasił papierosa, mocno dźbiąc nim w pokrywkę słoika. Na twarzy miał sztuczny uśmiech. - Nalej sobie drinka, jeśli go potrzebujesz - zaproponował. - Człowieku, rozluźnij się!

- Dziękuję, jestem rozluźniony. - Fotel Jamiego zatrzeszczał pod ciężarem zmieniającego pozycję ciała. - Nie wiesz przypadkiem, jak

będzie wyglądał rozkład lotów gdzieś tak koło Bożego Narodzenia?

- Niech cię diabli, Jamie! Spędziłeś w jednostce może pięć minut, a już czekasz na przepustkę?

- Mój bliski przyjaciel stacjonuje koło Norwich. Umówiliśmy się na spotkanie około Bożego Narodzenia.

- Chyba nie masz zamiaru odwiedzać ludzi z bombowców?

- A czemu nie?

- Niczemu. Z pewnością dobrze się zabawisz. Bombowcy nas lubią. Przez radio nazywają nas małymi przyjaciółmi, wiesz? Kupują nam piwo, śpiewają piosenki, grają na pianinie. Szefostwo nawet pochwała całe to gównno.

- A co w nim złego?

- Nic. Cudowna sprawa. Ja, Rube i Earl jeździliśmy do Narrowbridge. B-17, łatwo ją rozpoznać, czerwony kwadrat na ogonie, z wpisaną literą „A”. Spotkałem faceta, który znał mojego brata. Jego rodzina miała restaurację w Phoenix, a ja jestem z Arizony. Fajnie było tak pogadać o znajomych. A jego nawigator... Opowiedziałem mu o sobie, oglądaliśmy zdjęcia dziewczyn, matek i dzieciaków, całe to rodzinne gównno... Wiesz, nie?

- Wiem - przytaknął Jamie. Koniec opowieści odczytał z oczu Myszki. - On był w tej maszynie...

- Ja go widziałem! Samolot otworzył się jak puszką sardynek! Siedział za sterami, tylko że została z niego połowa. - Myszka zaciągał się niedopałkiem papierosa; próbował nie patrzeć na swe drżące dłonie. - Ściemnienie. Żadnych więcej bankietów w Narrowbridge, rozumiesz?

- Każdego by to zdenerwowało, MM.

- Jasne. Nie musisz mi tego mówić. Pieprzyć tych bombardierów! Nie kazałem im iść na bombowce. Nie moja wina, że pułkownik Dan kazał nam kryć ich z bliska. Nic nie poradzę na to, że Goering każe swoim pilotom atakować wielkie maszyny, a unikać nas...

- Ale ten czas leci! Chyba już pójde. Pewnie chcesz się przespać. - Wiklinowy fotel zatrzeszczał głośno, kiedy Jamie wstał. Winston wyrzwał za nim zza łóżka.

- Do diabła z tobą, pieprzony kapitanie Farebrother! Nie musisz zadzierać swego arystokratycznego nosa, kiedy na mnie patrzysz! Też tam polecisz, kapitanie, i twoja luksusowa szkółka nie przyda ci się na nic, kiedy szkopy zaczną faszerować ci dupę ołowiem!

Jamie w milczeniu skinął głową i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Cholera! - pomyślał Myszka. - Facet doskonale wie, jak okazać komuś lekceważenie w prawdziwie arystokratyczny sposób.

- I trzymaj pan te swoje delikatne rączki z dala od mojej maszyny! - krzyknął w kierunku zamkniętych drzwi.

5. Kapitan Charles B. Stigg

Klub Oficerski
Kwatera 280. Dywizjonu Bombowego
Cowdrey Green
Norfolk, England

Drogi Jamie,

wzbogaciłeś się o pięć dolców! W życiu nie byłem szczęśliwszy. Ludzie tu są bardzo przyjacielscy, a dowódca grupy („Mów mi Porky, jak wszyscy”) gra na trąbce w orkiestrze tanecznej. Rzuci także swoim B-24 na pas w sposób, który przypomina mi kadeta Jankinsa, ale chyba po prostu taki ma styl.

Ta grupa dostała lanie. Słyszysz różne straszliwe historie, zwłaszcza kiedy płynie piwo, ale chłopcy są niezli, tyle że czuję się przy nich tak staro! Mamy tu dzieciaki, co golą się najwyżej raz w tygodniu, ale całkiem fajne. Nikt nikogo nie podgryza, nie ma też plotek, które tak cieszyły ekipę w... Sam wiesz gdzie. Dostałem znakomitą załogę; zamiast na gości z uzupełnień trafiłem na gotowe - na maszynę z załogą, której pilot dostał francy (lekarz twierdzi, że w Norwich; zrobił nam wykład z kolorowymi przezroczami, po których paru naszych musiało wyjść na świeże powietrze).

Maszyna też jest w porządku. Prawie nowa. Załoga ją lubi, co o czymś świadczy. Nazywamy ją „Top Banana”. Znajdziesz nas nad Szkopolandią!

Wyglądało na to, że zaczynamy dzisiaj, ale kiedy zmierzaliśmy już obwodnicą na pas, lot został odwołany. Nie pojmuję, dlaczego podjęcie decyzji zabrało im tyle czasu!

Ledwie dojrzałem czerwoną flarę z miejsca, w którym staliśmy - pół kilometra dalej. Co za rozczarowanie! Mamy dwie uszkodzone maszyny - stuknęły się skrzydłami na pasie. Poruky wywiesił ogłoszenie następującej treści: „Kopanie w dupę opieszłych maszyn to przywilej zarezerwowany dla oficerów od stopnia majora w górę”. Oczywiście wszyscy go za to kochają.

Jutro zabieram załogę na ćwiczenie uników... do basenu miejskiego z nie podgrzewaną wodą! W grudniu! Doprawdy wojna to piekło. No więc dzisiejszy dzień spędziłem na niezwykle przyjemnym zadaniu doskonalenia gry w brydża (za cenę czterech i pół funta), tudzież pobudzeniu krążenia przed jutrzejszym basenem za pomocą pewnej ilości whisky. Napisałem także kilka pijackich (jak ten) listów do domu.

Naprawdę żałuję, Jamie, że nie ma cię z nami. Niczego by mi już nie brakowało. Co z Bożym Narodzeniem? Nie wygląda na to, żebym był wówczas oficerem służbowym albo dostał jakąś robotę. Co z tobą?

Twój przyjaciel
Charlie

6. Kapitan James A. Farebrother

Jamie przeczytał list Charliego po raz piąty, a następnie złożył go wraz ze znajdującym się w środku pięciodolarowym banknotem i wsunął do portfela niczym amulet chroniący nie tyle od złego, co od złości.

Jak właściwie miał odpowiedzieć? Jak opisać miasteczko namiotów w porze monsunu, i zakatarzonych włóczęgów o załamanych oczach, ubranych w strzępy wojskowych mundurów? Co mógł powiedzieć o przepracowanym błaznie grającym rolę dowódcy, o nieprzyjaznym oficerze administracyjnym i Myszce Mickey, dowódcy eskadry, drobnymi kroczkami zbliżającym się ku nieuchronnemu załamaniu nerwowemu? Być może wszystko zmieni się na lepsze, kiedy wyjdzie słońce, kiedy ubłocone samoloty wystartują do lotów bojowych, ale w to doprawdy trudno było uwierzyć.

Latanie wyeksploatowanym „Kibitzerem” dostarczyło Jamiemu kilku chwil radości, ale nie było ich wiele. Pogoda nie zamierzała się poprawić. Wielkie czarne wrota hangaru, zamknięte na cztery spusty, stukwały ponuro na wietrze. Piloci godzinami wysiadali w klubie, działali sobie wzajemnie na nerwy i kłócili się jak dzieci niepotrzebnie przetrzymywane w szkole.

Monotonię szarych dni przerwało zaledwie kilka wydarzeń. Myszka zorganizował kilka lotów w pobliżu lotniska; chciał się upewnić, że nowy pilot umie startować w parach, lecieć w szyku i wylądować nie rozbijając samolotu. Oprócz tego w ciągu tygodnia odbył się zaledwie jeden lot bojowy: grupa wystartowała w szyku i przeleciała nad Yorkshire,

napotkała jednak nieprzewidziane burze, przez które nie była w stanie się przebić. Mustangi wróciły do bazy, nadlatując ze wszystkich stron świata. Obyło się bez ofiar; dwaj piloci lądowali jednak na innych lotniskach.

Podczas powrotu „Kibitzer” miał problemy z silnikiem. Jamie jakoś doprowadził maszynę na miejsce; Myszka, Rube i Earl towarzyszyli mu, trzymając się bardzo blisko. Tex Gill sprawdził merlina wieczorem - i nie miał z nim najmniejszych kłopotów.

- To stara kurwa - powiedział o maszynie. - Złote serce, ale polegać na niej nie można.

Pułkownik Dan nie był zachwycony krajoznawczą wycieczką grupy. Zebrał pilotów w pokoju odpraw i przez blisko godzinę po prostu się nad nimi pastwił. Oficer administracyjny królował na prezydium - założył ręce, podniósł głowę i wpatrywał się w jakiś punkt na suficie; poza ta miała świadczyć zarówno o bohaterstwie, jak i o zamyśleniu.

Myszka usiadł za Jamiem, z tyłu sali. Earl i Rube siedzieli po jego obu stronach.

- Ćwiczenia - stwierdził z odrazą MM. - Czuję w powietrzu ich zapach.

- A to przecież tylko Yorkshire - wtrącił Rube. - Z dodatkowymi zbiornikami będziemy szukali drogi do domu znad Austrii. Wyobraź sobie ten chaos!

- Musimy załatwić Farebrotherowi nową maszynę. - Myszka oparł lotniczy but na siedzeniu krzesła Jamiego i pchnął je mocno, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. - Jeden taki grat w eskadrze i wszystkich nas wykreślą ze scenariusza.

Tego wieczora pokazywano w bazie film z Betty Grable. Sala była pełna. W barze klubu oficerskiego nie pito wiele. Barwne relacje o praniu mózgow, które pułkownik Dan sprawił pilotom, szybko dotarły do co starszych podoficerów. W Rocker Club sierzanci wyklócali się o zalety swoich ludzi. Przed Aero Club odbyła się bójka i ktoś ukradł jeepa.

Oficer administracyjny westchnął tylko - rozpoznawał oznaki obniżonego morale. Pułkownik Dan w pełni się z nim zgodził.

- Przyjechałem do Europy, żeby walczyć ze szkopem - zaśpiewał tego wieczora w klubie jeden z pilotów, „Boogie” Bozzelli. Improwizowała na pianinie melodię do tekstu swej piosenki. - A od kiedy tu jestem, nic, tylko chowam się przed deszczem. Albo da mi pan parasol, pułkowniku, albo może wrócę tu latem?

Pułkownika Dana wcale to nie rozbawiło. Zabrał drinka i uciekł od pianina.

Frustracji nie rozładował zsynchronizowany dźwięk merlinów, który rozległ się nad ranem i brzmiał nieprzerwanie, aż oficer służbowy kazał włączyć światła pasa. Hałas obudził wszystkich bez wyjątku. Jamie rozchylił żaluzje w oknie; Myszka i Rube już stali na zewnątrz. Na wschodzie widać było pierwsze różowe promienie słońca. Nocne powietrze wpadło do pokoju z siłą huraganu. Jamie zamknął okno i wrócił do łóżka.

Następnego ranka na pasie stał już lancaster RAF - wielki, pomalowany na matową czerń, czterosilnikowy bombowiec. Hałaśliwi żołnierze tłoczyli się wokół niego, robiąc zdjęcia. Załogę - siedmiu sierżantów - potraktowano jak przybyszy z Marsa. Ponieważ jedyną mesą personelu latającego był w bazie klub oficerski, żołnierze RAF tam dostali śniadanie, i to dokładnie w chwili, gdy Jamie pojawił się w klubie. Myszka pomachał do niego, więc usiadł przy jego stoliku, wybranym dlatego, że dobrze widać było stamtąd brytyjskich lotników.

Być może sierżanci z załogi lancastera czuli się nieswojo, rzuceni w ocean oficerów, w każdym razie sprawiali wrażenie onieśmielonych i nie mieli ochoty na pogawędkę. Nocą odwiedzili Berlin - w przygodzie tej ich maszyna straciła część ogona i kawałek skrzydła. Pilotem był bledziuteńki dwudziestolatek, wyglądający, jak i reszta załogi, na zagłodzonego licealistę. Ludzie z nocnych bombowców w ogóle sprawiali wrażenie wątpliwych i zamkniętych w sobie w porównaniu z hałaśliwymi, opalonymi ekstrawertykami, których komisje wojskowe Stanów Zjednoczonych z upodobaniem wybierały na lotników.

Myszka Mickey przez cały czas bawił się a to solniczką, a to pieprzniczką, a także stukał widelcem w obrus.

- Tylko popatrzcie na tych gości - powiedział w którymś momencie.
- Brytyjczycy za długo już walczą. Są zmęczeni. Dawno upadli na duchu.

- Może ty też byłbyś zmęczony i przygnębiony, gdybyś spędził noc nad Berlinem, bez eskorty myśliwców, z odstrzeloną połową ogona swego samolotu - zauważył Jamie.

MM uśmiechnął się do niego łobuzersko.

- Wkrótce zobaczymy, jak to jest - stwierdził radośnie. - Z tymi nowymi zbiornikami dodatkowymi dolecimy nawet do Kairu, jeśli tylko szarże znajdą jakiś powód, żeby tam się udać. - Czubkiem języka wydłubał kawałek szynki, który utkwiał mu między zębami. - Papierowe zbiorniki paliwa! Nie uważacie, panowie, że kampania oszczędności metalu posunęła się zbyt daleko?

- Ciekawe, czy zaczepy puszcza przy zwolnieniu? - zastanawiał się Jamie.

- Niegłupia uwaga, przyjacielu. - Myszka obrócił się na krześle, by móc wygodniej obserwować gości. - Ktoś z góry poprosił Angoli, żeby zostali. Wygląda, że w Rocker Club jest dziś jakieś święto.

- No i co?

- Marzą wyłącznie o tym, żeby zatankować i wrócić do siebie. Obejrzyj sobie tylko tych gówniarzy. Czy my też będziemy tak wyglądać, kiedy wrócimy do domu?

- Czyżbyś dziś rano nie słuchał radia? W nocy RAF stracił nad Niemcami trzydzieści ciężkich bombowców. Jasne, że chcą wrócić. Sprawdzić, czy ich przyjaciele uszli cało.

Morse poderwał się na równe nogi.

- Jadę motocyklem do Cambridge - oświadczył. - Zabierzesz się? - Jego czarny kundel, Winston, wylażł spod stołu i otrząsnął się.

- Muszę napisać parę listów.

- To może mógłbyś pożyczyć mi pięć funtów? - spytał Morse, dopijając kawę na stojąco. Jamie podał mu banknot; wziął go kiwając głową.

- Więc tej nocy byli nad Berlinem - powiedział z zazdrością. - Berlin... i zaraz jesteś w gazecie. Nikogo nie interesuje obrona przeciwlotnicza Hanoweru ani myśliwce z Kassel. Ale po Berlinie od razu trafiasz na czołówki.

- Tak bardzo chcesz trafić na czołówkę?

- A pewnie, że chcę. Jeden chłopak, z którym chodziłem do podstawówki, był na okręcie podwodnym, który zatopił japoński statek. W mieście urządzili paradę na jego cześć. Paradę! A gość po prostu zażerał sobie dzienne racje pod wodą, i nawet nie zrobił matury!

Klub oficerski był miejscem ponurym; większość zasłon na oknach zamocowano na stałe. Jamie znalazł sobie miejsce przy stoliku i mimo hałasu, który robili żołnierze ustawiający w korytarzu choinkę, zabrał się do pisania listu do matki.

- Czy wolno mi zaproponować panu drinka? - Usłyszał głos jednego z brytyjskich kelnerów, łysogo jak kolano, skurczonego człowieczka, zgarbionego niczym paralityk, zarumienionego tym rodzajem rumieńca, który sprawia, że nawet ktoś cierpiący na najcięższą niestrawność wygląda jak najweselszy z klaunów.

- Nie teraz, dziękuję - odparł Jamie.

- Dziś nie będzie lotów - kusił kelner. - W miejsce deszczu mamy zamieć.

Jamie zerknął za okno. Mokry śnieg spływał po szybach, wystarczająco gęsty, by zasłonić widok na łysiejące trawniki i kort tenisowy. Z głośników dobiegała bigbandowa wersja „Jingle Bells”, płynąca z uszkodzonej, trzeszczącej płyty.

- Za wcześniej na drinka, włochaty. Kapitan wolałby wypić kubek kawy. - Do stolika podszedł Vince Madigan. Jamie rozpoznał go; jechali z Londynu tą samą ciężarówką. - Kawy nie z tego gówna w proszku, tylko prawdziwej, z kawałkiem ciasta z owocami, które wy, sukinsyny, całe zatrzymujecie dla siebie.

Łysy kelner uśmiechnął się.

- Dla pana wszystko, kapitanie Madigan. Dwie prawdziwe kawy i dwa kawałki specjalnego ciasta owocowego. Już podaję.

Madigan nie od razu usiadł przy stoliku. Najpierw rzucił czapkę na parapet i podszedł ogrzać się do kominka. Kiedy się odwrócił, ręce założone miał na plecach. Tej pozy nauczyli go Brytyjczycy.

- Mój Boże! - westchnął. - To chyba najgorsze miejsce pod słońcem.

- A Aleuty? Albo południowy Pacyfik?

- Nie odmawiajcie człowiekowi prawa do wyżalenia się, Farebrother, albo pomyślę sobie, że z was jakiś pieprzony optymista. - Vince pochylił się, zdejmując z mokrych spodni zapinki podtrzymujące mankiety podczas jazdy na rowerze. - Przypuszczam, że śpicie w ogrzewanym pokoju tutaj, w klubie?

- W domu po drugiej stronie drogi.

- A ja, przyjacielu, spałem w jednym z tych namiotów, które wczoraj w nocy przewrócił wiatr. Moje ubrania i takie tam różne walają się teraz po polach. Są miejsca, w których błoto sięga kostek.

- U mnie w pokoju jest wolne łóżko.

- Czyje?

- Porucznika Harta.

- Tego, którego zestrzelili nad Holandią?

- Porucznik Morse poinformował mnie, że Hart dostał wrzodu żołądka.

Madigan przyglądał mu się przez chwilę.

- Dobra, niech będzie wrzód - powiedział w końcu.

- Nie rozumiem?

- Porucznik Morse nie jest, jak mogłoby się wydawać, pilotem myśliwca. Jest gwiazdorem, grającym rolę pilota myśliwca w miliarddolarowym filmie produkcji Eisenhowera.

- Czyżby chodziło o to, że nie lubi mówić o ofiarach?

Nim Madigan zdołał odpowiedzieć, głośnik zaskrzeczał wezwaniem dla oficera służbowego.

- To pokój numer trzy w domu numer jedenaście - wyjaśnił Jamie. - Wrzuc pan tam swoje rzeczy i zczekaj, by przekonać się, czy pana wykopią. Ja bym tak zrobił.

Madigan klepnął go po ramieniu.

- Farebrother, jesteście nie tylko najlepszym pilotem od czasu Dedala, ale w dodatku jeszcze wspaniałym człowiekiem. - Powtórzył swą opinię kelnerowi, który pojawił się z kawą i ciastem.

- Nie wątpię, że ma pan rację, kapitanie Madigan - przyznał kelner. - I dziękuję za modele samolotów.

- Chodzi o modele do rozpoznawania maszyn - wyjaśnił Vince, kiedy starszek odszedł. - Co mi po nich w biurze? A on organizuje w przyszłym tygodniu zabawę dla dzieci z wioski.

- Prawdziwy z pana Robin Hood - stwierdził Jamie. Zrezygnował z pisania listu do matki i zabrał się do kawy.

Madigan nie usiadł. Gorączkowo szukał czegoś po kieszeniach, jakby zamierzał wręczyć swemu dobroczyńcy jakiś prezent.

- Słuchaj, przyjacielu - powiedział, rezygnując w końcu z poszukiwań. - Zostawiłem gdzieś notes, ale o ile pamiętam, nie masz żadnych planów na Boże Narodzenie, prawda?

- Myślałem, że może gdzieś polecimy.

- Tego dnia nawet wróble będą chodzić na nóżkach, Farebrother. Wyrzuj za okno. Nie trzeba być magistrem, żeby stwierdzić, że piloci Ósmej Armii Lotniczej Stanów Zjednoczonych popiją sobie na święta.

- A co z oficerami prasowymi? Jak oni będą się bawić z tej okazji?

- Londyn to zwykła dziura. - Madigan usiadł na kanapie. Przez chwilę milczał, dając Jamiemu czas na ocenę tego twierdzenia. - No i na Boże Narodzenie będzie pełen ludzi, nic, tylko wydających pieniądze. Niewiele tam zdziała kapitan z pensją bez dodatku lotniczego. - Na pół świadomym gestem dotknął czubka swej wielkiej głowy. Włosów mu brakowało, zmierzwił więc ich resztki, żeby wydawało się, iż jest ich więcej. - Mam dojście do pięknego domu w Cambridge. Rozumiesz,

Farebrother, robię co mogę, żeby wyrwać się z tego piekła - powiedział z uśmiechem. Miał ujmujący uśmiech, ukazujący duże, nieskazitelnie białe zęby, a jego szczęka wydawała się niemal kwadratowa. - Trzymaj się mnie, przyjacielu. Umówię cię z najpiękniejszymi dziewczynami w Anglii.

- A narzeczona? - spytał Jamie nie dlatego, by go to szczególnie interesowało; po prostu chciał sprowokować faceta.

- Chodzi o tamtą noc... no, w ciężarówce? - Madigan pochylił się nisko i uśmiechnął, tym razem do zabłoconych butów. - Do diabła, przecież to nie było tak całkiem serio. No i słyszałeś chyba, jak mówiłem, że Londyn jest za daleko, by się opłacało. - Wypił łyk kawy i otarł usta papierową serwetką gestem przedziwnie delikatnym, nie pasującym do jego stukilogramowego ciała zawodowego boksera. - Zakochuję się w tych babkach; już taki jestem sentymentalny, zawsze miałem z tym kłopoty.

- Cieszę się, żeś mnie oświecił - stwierdził Jamie. - Sam nigdy bym się nie domyślił.

Madigan uśmiechnął się, popijając kawę.

- Dwie śliczne dziewczyny, takich ślicznych jeszcze nie widziałeś... - Przerwał, a potem dodał: - ...I pieprz się, Farebrother, możesz sobie wybrać, którą zechcesz.

Podniósł wzrok, jakby oczekiwał, że Jamie ugnie się pod ciężarem tej jakże wspaiałomyślniej oferty.

- Jeszcze jedno, przyjacielu - dodał. - Nigdy nie pożałujesz, że załatwiłeś mi przyzwoite miejsce do spania.

Kapitan Vincent Madigan aż do wieczora prznosił się do 3/11. Przemoczone rzeczy pochowane miał na całym terenie bazy. Elektryczny gramofon wraz z niewielką kolekcją płyt z ariami operowymi przyniósł z biura. Sprzęt muzyczny położył na podłodze, by zrobić miejsce dla szafki, którą kupił za papierosy. Jej wierzch zarezerwował na fotografie - z wyjątkiem zdjęcia matki były na nich wyłącznie młode kobiety

- oprawione w drewno, skórę, nawet w srebro, każda z dedykacją stanowiącą dowód niepohamowanego uczucia.

Jamie ujrzał Vince'a Madigana w nieco innym niż dotąd świetle. Był to potężny, sprawiający sympatyczne wrażenie mężczyzna o rzadziejających włosach. Nos miał wielki i niemal równie szeroki co usta. Choć rzadko używał okularów, musiał je zakładać do czytania i opisywania płyt. Czy tak wygląda człowiek, w którym kochają się piękne dziewczyny? Bez najmniejszych jednak wątpliwości kochały się. Madigan nie traktował zdjęć jako dowodów swych podbojów. Nigdy też się nie chwalił; wręcz przeciwnie, miał zwyczaj opowiadać wszem i wobec, jak źle płęć piękna traktuje jego szczerze i bezinteresowne wyznania miłości. Sądząc wyłącznie z tego, co mówił, można byłoby przypuszczać, że w miłości jest nieszczęśliwy.

- Po prostu nie potrafię obchodzić się z kobietami - wyznał Jamie-mu wieczorem, zmieniając płytę i całkowicie ignorując walenie w ścianę, którym pozdrawiali go głusi na piękno muzyki mieszkańcy sąsiedniego pokoju. - Przecież mówię im, żeby nie traktowały tego poważnie... - Wzruszył ramionami, zadumany nad perwersyjną naturą ludzką. - Ale one wszystko traktują poważnie. Dlaczego nie mielibyśmy zostać przyjaciółmi? - mówię im. - Ale one zaraz chcą ślubu. Więc mówię: dobra, pobierzmy się, a one... fiut!... zmieniają zdanie i chcą, żebyśmy zostali przyjaciółmi. - Zabrał się do czyszczenia płyty szmatką. - Czasami myślę - kontynuował monolog - że nigdy nie zrozumieję kobiet. Przychodzi mi nieraz do głowy, że te cholerne pedały wcale nie są takie głupie.

- Doprawdy? - spytał grzecznie Jamie, który wcale nie słuchał nowego lokatora. Po raz kolejny czytał ten sam fragment instrukcji fabrycznej, dotyczącej charakterystyki lotnej P-51. Na kolanach miał grubo stos regulaminów, dodatków technicznych, rozkazów i instrukcji lokalnych. Przeczytanie tego wszystkiego - oraz zapamiętanie! - wyglądało na ciężką pracę. - Nie jestem pewien, czy zdążę się z tym zapoznać do Bożego Narodzenia, Vince - wyznał.

- Cholernie obowiązkowy ż ciebie facet, przyjacielu. Kto z tej grupy, z wyjątkiem może pułkownika Dana, przebrnął przez wszystkie te śmiecie?

- Jestem nowym chłopcem na podwórku. Oni wszyscy spodziewają się wręcz, że coś spieprzę. - Jamie przerzucił kilka kartek. - I pomyśleć, że zrezygnowałem ze szkoły prawniczej, by nigdy nie być skazanym na takie lektury!

- Nie można oszukać losu, Farebrother.

- Jak to? - Jamiego zaskoczył ton, którym wypowiedziane były te słowa.

- Nie można oszukać losu - powtórzył Madigan. Uśmiechał się, ale w jego oczach było coś, co świadczyło o tym, że to żart z tych, które wcale nie mają być żartem. - Czy nie to właśnie mówi Mozart w „Don Giovannim”? Każdy z nas próbuje być kimś innym, na przykład twój kumpel Morse. Tak naprawdę połowa żołnierzy, którzy zgłosili się na ochotnika, zrobiła to, żeby uciec od samych siebie.

- Co masz przeciwko Myszcze?

- Och, nic, tylko jest taki cholernie męczący. - Madigan położył płytę na talerzu adapteru, ale nie włączył jej. - Gdy tylko pojawi się u nas nowy oficer, daję mu do wypełnienia formularz: imiona rodziców, adresy, informacje o krewnych pracujących w gazetach lub w radio. Są tam także rubryki: „zawód”, „hobby”, „wykształcenie”. Wiesz przecież, sam coś takiego wypełniałeś. Robię to, bo chcę mieć dane dla prasy. Morse podał, że ukończył studia inżynierskie na Politechnice Stanowej w Arizonie. A wystarczy tylko pogadać z facetem, by wiedzieć, że nie zrobił matury...

- Wie bardzo wiele o silnikach.

- Jasne. Jego starzy mają stację benzynową.

- Dobra, ale...

- Nic mnie nie obchodzi, czy chodził do szkoły i jakiej. Nie jestem snobem, Farebrother. Dziewczyna pomogła mi ukończyć studia... a

właściwie kobieta, zamężna, i w ogóle. Dziesięć lat starsza ode mnie. Uciekliśmy do Nowego Jorku, mieszkaliśmy w tanim, zniszczonym bloku na Dziesiątej Ulicy, płacąc rachunki z jej alimentów. Skończyłem anglistykę na Uniwersytecie Miejskim. - Vince Madigan przesunął dłonią po twarzy. - W końcu zwróciłem jej forszę, ale mam wrażenie, że liczyła na ślub i na to, że potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Podejrzewasz, że MM nie ma matury. No to co?

- Dlaczego nie chce się do tego przyznać? A jeśli kłamie, dlaczego dostaje ataków wściekłości, kiedy ludzie z wywiadu kwestionują jego zestrzelenia?

- Chwileczkę, chwileczkę, Vince. O zestrzeleniach decyduje komisja na podstawie filmów.

Madigan wznosił dłonie w pojednawczym geście i natychmiast zmienił ton.

- Każdemu nowemu pilotowi robię zdjęcie w samolocie, tak? Wysyłam odbitkę do gazety w jego rodzinnym miasteczku i dokumentację do wszelkich ludzi i instytucji, którzy mogą być nim zainteresowani, choćby nie wiem, jak mała była na to szansa. W zeszłym tygodniu zrobiłem to i z tobą - mój sierżant już wysłał kupę śmiecia na wszystkie strony świata. Za parę tygodni ktoś z twoich przyjaciół, sąsiadów, a może nawet z rodziny, przyśle ci wycinki. Pokażesz je temu i owemu, i nim zdążysz schować je do koperty, MM już będzie w moim biurze ze skargą, że ty masz reklamę, a on nie. Nie rozumiesz, jak mnie to wkurza?!

- Nie traktuj tego tak poważnie, Vince.

Madigan skończył czyścić płytę. Sprawdził, czy na igle nie ma kurzu.

- Morse to postać jak z Mozarta - stwierdził pochylając się i sprawdzając powierzchnię płyty. - Ucieka przed samym sobą, szuka czegoś, czego nie potrafi nawet nazwać.

- Posłuchajmy sobie jeszcze „Urowadzenia z Seraju”, dobrze?

Po raz pierwszy Madigan usłyszał nutkę rozdrażnienia w głosie współlokatora. Głupio zrobił wdając się w rozważania na temat Morse'a; ci piloci zawsze trzymają razem przeciw reszcie personelu. Uśmiechnął

się i jeszcze raz odczytał tekst na okładce.

- Posłuchaj, jak partia Konstancji zmierza do szczytu w słowie *Traurigkeit* i jak Mozart zmienia tonację na majorową, by podkreślić zmianę nastroju. Dla mnie to jedna z najwspanialszych arii w tej operze. Cudowna!

- Skąd wiesz tyle o operze, Vince?

Madigan splótł ręce. Siedział wpatrzony w sufit, jakby rozważając sens pytania.

- Zaraz po studiach poszedłem do gazety. Pierwszym moim zadaniem dziennikarskim było przeprowadzenie wywiadu z dziewczyną, która wygrała stypendium do Juilliarda. To była wspaniała dziewczyna, Jamie.

Włączył płytę. Siedział wygodnie, słuchając z zamkniętymi oczami.

Jamie wrócił do swych lektur, a Vince Madigan przez prawie godzinę słuchał płyt, układał zebrane z wysiłkiem rzeczy i prawie się nie odzywał. Wyglądało na to, że jest ciężko obrażony, ale w końcu wróciła mu pogoda ducha, przynajmniej na tyle, że powiedział:

- Właśnie coś sobie pomyślałem, przyjacielu. Jak by ci się podobała ta? - Miał na nosie okulary. W wyciągniętej zapraszającym gestem dłoni trzymał fotografię. - Wysoka brunetka, duży cyc, upija się oranżadą.

- Nic mi nie jesteś winien, Vince.

- Bardzo uczuciowa, Jamie. Bardzo namiętna. - Przyjrzał się fotografii, odświeżając wspomnienia. - Jest sama; ani męża, ani stałego chłopaka. Nie ma się czego bać.

Farebrother przewrócił kartkę instrukcji. Natychmiast trafił na pożyteczną informację. Rozdział „Procedura opuszczania maszyny” zaczynał się od ostrzeżenia, że przeciętny czas zatonięcia mustanga wynosi około dwóch sekund.

- A co z tym twoim przyjacielem od listów, kapitanem tratwy?

- Tak, Charliemu by się spodobała.

- Zaprosiłem też ludzi z kwatermistrzostwa. Nie przeszkadza ci to? Rozumiesz, będziemy potrzebowali wody, słodyczy, papierosów...

- Nie ja organizuję tę zabawę, Vince.
- Ale będziemy się tam bawić. Nic nie musisz robić; wystarczy, że-
byś się pokazał. - Włożył płytę do właściwej okładki. - Zaprosiłem też
pułkownika Dana. Przez uprzejmość. Nie wyobrażam sobie, żeby przy-
szedł.

- Ilu osób się spodziewasz?

- Nie wiem. Powiniennem zrobić listę.

- To może zgłoszę się na oficera służbowego?

- Daj spokój. To będzie najlepsza zabawa w historii. - Madigan
wsunął płytę do stojaka, na którym trzymał wszystkie swe płyty. -
Victoria Cooper! - wykrzyknął nagle, pstrykając palcami. - To intelektu-
alistka, Jamie. Bardzo brytyjska, klasy wyższe. Ciemne włosy, śliczna
twarz. Dokładnie w twoim typie. Wysoka, ma cudowną figurę. Victoria!
Oszalejesz na jej punkcie.

- Czy czeka mnie kolejna z twych sentymentalnych niedyskrecji?

- Prawie z tą dziewczyną nie rozmawiałem. Jest przyjaciółką Very.
Mówiłem ci o Verze, nie?

- Daj spokój, Vince - powiedział Jamie nerwowo.

- Możesz załapać się jako pierwszy, przyjacielu. Victoria Cooper...
Jestem pewien, że Vera zdoła załatwić nam randkę na dwie pary.

- Daj sobie spokój, dobra? Zniosę operę i w ogóle, ale trzymaj się z
daleka od mojego prywatnego życia.

- Przecież powiedziałaś, że nie masz dziewczyny... A o co ci wła-
ściwie chodzi z tym „zniosę operę”? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że
nie lubisz Mozarta?

- Obejdę się i bez Mozarta, Vince. Zawsze byłem wielbicielem Dor-
seya.

- To muzyka taneczna! - Madiganowi opadła szczęka.

Nie udawał, był szczerze wstrząśnięty. - Chryste, a już myślałem, że
znalazłem wreszcie prawdziwego kumpla w tej dziurze, kogoś, z kim
można pogadać.

- Żartowałem, Vince.

Madigan jakimś cudem oprzytomniał.

- Jezu! - westchnął. - Przez sekundę myślałem, że mówisz serio. - Uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby. - Zaczekaj tylko, aż zobaczysz tę Victorię Cooper... Ona też na ciebie poleci. Mieszka z rodzicami, to dlatego nie jestem zainteresowany. - Zdjął okulary i schował je do skórzanego futerału. - Ojciec praktycznie wyrzucił mnie z domu przez te wszystkie dziewczyny. Mamie jakoś nie przeszkadzały. Śmieszne, ale kobiety nie mają nic przeciwko temu, żeby ich synowie zabawiali się. Jakby miały z tego frajdę.

7. Victoria Cooper

Victoria była prywatną sekretarką właściciela gazety. Lokalnej gazety, właściwie tygodnika; choć z powodu racjonowania papieru jego objętość wynosiła zaledwie osiem stron, to praca sprawiała jej przyjemność. Miała dostęp do informacji z dalekopisów, poznawała interesujących ludzi przyjeżdżających z dalekich frontów. Właśnie nanosiła poprawki na ścienną mapę, kiedy weszła Vera.

- Wojska amerykańskie wspierane przez okręty australijskie zdobyły przyczółek na wybrzeżu Nowej Anglii - oznajmiła Victoria. Znalazła odpowiedni odcinek wybrzeża Pacyfiku i wbiła tam szpilkę.

- Przyniosłam herbatę, panno Cooper.
- Bardzo to uprzejmie z twojej strony, Vero.

Vera była niewysoką, energiczną dziewczyną o krótkich, kręconych, ufarbowanych na blond włosach. Dzięki piegom i zadartemu noskowi wyglądała na młodego łobuziaka, co, zdaje się, bardzo odpowiadało mężczyznom, przynajmniej jeśli pracowników redakcji uznać za typowych przedstawicieli swej płci.

- I tak musiałam przyjść na górę. - Pomachała garścią zdjęć, po czym położyła je na leżącej na biurku tackę. Zabrała się do przekładania papierów. Szukała pretekstu do pozostania w pokoju. - Mój przyjaciel wynajął wspinał mieszkanie na Boże Narodzenie. To na Jesus Lane. Powinna je pani zobaczyć: centralne ogrzewanie, dywany, wszędzie te małe lampki. Takie coś widzi się tylko na filmach... no, tych romantycznych.

- A więc masz szczęście, Vero.

- To Amerykanin, kapitan. Proszę wypić herbatę, panno Cooper. Nazywa się Vincent Madigan. Ja mówię mu Vince. Jest wysoki, silny, bardzo przystojny. Wygląda jak ten gwiazdor Pat O'Brien. I podobnie mówi.

- Opowiadasz o nim, jakbyś się zakochała.

- Nic podobnego - zaprzeczyła natychmiast Vera. - Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Żał mi tych Amerykanów, są tak daleko od domów, od rodzin. - Wzięła kilka zdjęć. Udawała, że się im przygląda. - Obiecałam mu, że przyprowadzę przyjaciółki na ich bożonarodzeniową zabawę. Pani mówiła, że rodzice wyjeżdżają, więc...

- Obawiam się, że nie będę mogła. - Poznała już tego amerykańskiego żołnierza, kiedy przyszedł po Verę do redakcji. Zastanawiała się właśnie, czy Vera o tym zapomniała, czy też może sprawia jej przyjemność opisywanie go za każdym razem od nowa.

- Przecież to Boże Narodzenie, panno Cooper - kusił Vera. - Mam zamiar wpaść do nich po drodze do domu. To tuż za rogiem, więc myślałam, że może pani by ze mną poszła. Wołałabym nie odwiedzać ich sama. Mają doskonałą kawę i wspaniałą czekoladę... nazywają ją batonikiem...

- Tak, słyszałam już kiedyś słowo „batonik”. - Zabrzmiało to dość nieuprzejmie i Vera zareagowała natychmiast. Szybko zabrała listę, którą miała odnieść kasjerowi, i obróciła się w stronę drzwi. A ponieważ Victoria nie chciała urazić tej w gruncie rzeczy uroczej dziewczyny, która mogłaby przecież pomyśleć sobie, że to przez jej akcent albo dlatego, że nie skończyła studiów, powiedziała:

- Dobrze, odwiedźmy go. Przyda mi się odrobina rozrywki. Ale muszę dość wcześnie wrócić do domu.

Vera pisała radośnie - był to dźwięk zapożyczony niewątpliwie od jakiejś amerykańskiej gwiazdeczki.

- Och, taka jestem szczęśliwa, panno Cooper! Będzie miło... On przyjechał z przyjacielem... do pomocy przy dekoracjach i w ogóle - dodała za szybko.

- Czy zorganizowałaś mi może coś, co oni nazywają „randką w ciemno”?

Vera uśmiechnęła się tylko niepewnie.

- Zawsze są tacy mili... To prawdziwi dżentelmeni, panno Cooper - powiedziała.

- Mam nadzieję, że nie będziesz nazywała mnie przez cały wieczór panną Cooper?

- No więc do zobaczenia o szóstej, Victorio.

Victoria bez trudu zorientowała się, co zaimponowało Verze w wynajętym przez Amerykanów mieszkaniu. Umeblowane dobrymi, choć zaniedbanymi, antykami sprawiało wrażenie równie eleganckiego co wygodnego. Na podłodze leżały wydeptane perskie dywany, na ścianach wisiały dziewiętnastowieczne holenderskie akwarele. Półki na książki były puste, tylko gdzieś tam stała porcelana. Victoria domyśliła się, że mieszkanie należy do jakiegoś wykładowcy, może nawet profesora, który poszedł na wojnę. Tego, że obecnymi lokatorami są Amerykanie, również nie sposób było przeoczyć. Po kątach walał się sprzęt sportowy: kije do golfa, rakietki tenisowe, rękawica baseballowa, na stole w przedpokoju stały zaś kolorowe kartony z artykułami spożywczymi, puszkowanym jedzeniem i papierosami.

Już po drodze Victoria zaczęła żałować decyzji odwiedzenia mieszkania przy Jesus Lane. Podświadomie oczekiwała spotkania z drapieżnymi dzikusami; jej matka wierzyła, że tacy są niemal wszyscy amerykańscy żołnierze. Nie zaskoczyłoby jej bynajmniej, gdyby w mieszkaniu zastała kilku owłosionych drabów, siedzących w bieliźnie przy stole, kopających tanie cygara i grających w pokera na pieniądze.

Toteż bardzo się zdziwiła po przekroczeniu progu.

Zarówno kapitan Madigan, jak i jego młodszy przyjaciel, ubrani w dobrze skrojone mundury, słuchali w dużym pokoju Mozarta. Obaj półleżeli na kanapie, w pozycji, którą najwyraźniej tylko Amerykanie zdolni

są przyjmować w chwili odpoczynku - z wyprostowanymi nogami, a głowami tak nisko, że mieli pewne kłopoty z podniesieniem się na widok gości.

Vincent Madigan pamiętał, że już się kiedyś spotkali. Czas i miejsce przypomniał sobie z taką łatwością, że nie mogło być wątpliwości, iż zaproszenie wyszło od niego.

- Cieszę się, że mogła pani wpaść - powiedział trzymając się wersji, że Victoria znalazła się tu wyłącznie przez przypadek. Zatrzymał płytę. - Pozwoli pani przedstawić sobie Jamesa Farebrothera? - Przywitali się skinieniem głów. - A teraz przygotuję paniom coś do picia. Martini, Vero? A dla pani, panno Cooper? - Pochylił się, odczytując etykiетки na butelkach. - Szkocka, gin, porto, coś, co nazywa się oloroso i wygląda, jakby stało tu od jakiegoś czasu, czy też może martini, jak Vera? - Głos miał nieoczekiwanie niski, brzmiący niemal sztucznie, akcent zaś tak mocny i egzotyczny, że Victoria miała chwilami kłopoty ze zrozumieniem go.

- Martini. Dziękuję bardzo.

James Farebrother poczęstował dziewczęta papierosami, a potem sam poprosił o pozwolenie zapalenia. Wszystko odbywało się tak niesłychanie poprawnie, że Victoria omal nie zaczęła chichotać. Spojrzała na Farebrothera w tym samym momencie, w którym on spojrzał na nią. Wykorzystała tę okazję, żeby się do niego uśmiechnąć. Odpowiedział uśmiechem.

Był nieco wyższy od przyjaciela, ale nie tak szeroki w ramionach. Włosy przycięte miał bardzo krótko; taką fryzurę widywała wyłącznie na hollywoodzkich filmach. Przypuszczała, że oboje są w tym samym wieku; mógł mieć ze dwadzieścia pięć lat. Amerykanie byli muskularni, wygimnastykowani, lecz Madigan sprawiał wrażenie boksera lub futbolisty, jego przyjaciel zaś miał smukłą, sprężystą sylwetkę sprintera.

- Musi pan być wielbicielem Mozarta - zagadnęła.

- Nie. To Vince kocha się w operze. Ja tylko zabijam czas.

Mundur niewątpliwie skrojony miał na zamówienie Zauważyła też, że w odróżnieniu od krawata Vince'a Madigana krawat Farebrothera jest z jedwabiu. Prezent od dziewczyny lub mamy czy też objaw próżności?

- Zjemy w małej włoskiej restauracyjce przy tej ulicy - oznajmił Madigan, podając drinki. - Robią wspaniałe cielece scaloppine... równie dobre jak wszystko, co jadłem u nas, w Minneapolis.

Była to rekomendacja tak przedziwna, że Victoria z najwyższym trudem opanowała śmiech. Madigan wziął jej rozbawienie za niechęć. Machinalnie przesunął ręką po wielkiej czaszce, przyglądając włosy i cofnął się tak gwałtownie, że omal nie rozlał swojego drinka. Padł na kanapę.

- Dobrze, dobrze, wiem, co wy, Brytyjczycy, sądzicie o Mussolinim i w ogóle. Masz rację, Victorio.

- Nie o to chodzi. - Victoria zerknęła na Verę, grzebiącą w stosach sprzętu sportowego. Vera przynajmniej nie miała kłopotów. Jej krótkie, kręcone włosy zawsze wyglądały porządnie. Victoria jednak aż zatrzęsała się na myśl, że ma iść do eleganckiej restauracji w zniszczonej garsonce, w której chodziła do biura, i z potarganymi włosami.

- Popatrz na to! - Vera pomachała ręką w baseballowej rękawicy. - Wy, chłopcy, przyjechaliście tu wygrać wojnę czy na olimpiadę?

- Nie... proszę - powiedziała Victoria. - Nie zmieniajcie przeze mnie planów. Jestem pewna, że będziecie się świetnie bawić, ale ja naprawdę muszę już lecieć do domu.

- Nie idź jeszcze, Victorio - poprosił Farebrother. - Mamy mnóstwo jedzenia tu, w mieszkaniu. Dlaczego nie mielibyśmy zjeść jajek na szynce? - Akcent miał miękniejszy, nie tak wyraźny jak Madigan.

- Och, kochanie! - krzyknęła Vera. - To nieprawda, że nie znosisz włoskich restauracji!

- Oczywiście, to nieprawda. - Victoria patrzyła na przyjaciółkę machającą jedną z nowiutkich rakiet tenisowych wyjętą z pokrowca. Nie sposób było nie zauważyć rozczarowania w jej oczach; uwielbiała

restauracje, zawsze to powtarzała. - Idźcie z Vince'em, nie chcę wam psuć wieczoru.

- To nie potrwa długo - obiecała Vera miękko.

W towarzystwie mężczyzn zmieniała się nie do poznania, ale nie tak jak inne kobiety; wydawała się bardziej ożywiona, niemal rozdokazywana. Victoria przyjrzała się jej z nowym zainteresowaniem. Była od niej młodsza; Vera miała co najmniej trzydzieści lat, nie sposób jednak zaprzeczyć, że większości mężczyzn wydawała się bardziej atrakcyjna. Jej krytycy w redakcji, a tych bynajmniej nie brakowało, twierdzili, że Vera przypochlebia się mężczyznom, że jest wobec nich czuła i uległa, ale nie była to prawda. Prowokowała ich, spierała się z nimi, zawsze gotowa rzucić wyzwanie priorytetom i wartościom męskiego świata. Dzięki wojnie miała aż nadto okazji ku temu.

Stała teraz patrząc w lustro. Przyglądała kręcone blond włosy, wyduła usta, poprawiła wargi.

- To nie potrwa długo - powtórzyła, nadal wpatrzona w swe odbicie. Słowa jej stanowiły w tym samym stopniu prośbę co informację; chciała mieć Vince'a dla siebie przy restauracyjnym stoliku. Wymieniła spojrzenia z przyjaciółką, orientując się natychmiast, że perspektywa godziny z Jamiem Farebrotherem nie wydaje się jej przykra, zwłaszcza że drugą możliwością był dla Victorii powrót do zimnej rezydencji rodziców na Royston Road.

- Przygotuję coś tu - obiecała Victoria zarówno Verze, jak i kapitanowi Farebrotherowi.

- Wspaniale - orzekł Jamie. - Pozwól, że zrobię ci drinka i pokażę kuchnię.

Kapitan Madigan wraz z Verą wyszli niemal nieprzyzwoicie szybko, a Victoria zabrała się do rozpakowywania produktów kupionych przez Amerykanów w sklepie garnizonowym. Angielce, która spędziła cztery długie lata w pogrążonym w wojnie kraju, widok szynki i masła, owoców i soków, a także herbatników, papierosów i śmietanki oraz... dwunastu świeżych jaj, które Madigan kupił na sąsiadującej z lotniskiem farmie Hobdaya, zaparł dech w piersiach.

- Od dawna nie widziałam takiej ilości tak wspaniałego jedzenia - westchnęła.

- Mówisz jak moja siostra otwierająca bożonarodzeniowe prezenty.
- Jamie puścił muzykę, cichą muzykę.

- Na kartki dostajemy jedno jajko tygodniowo, a taka puszka masła musiałaby nam wystarczyć na jakieś cztery miesiące. - Farebrother uśmiechnął się do niej, a ona dodała: - Obawiam się, że my wszyscy mamy obsesję na punkcie jedzenia. Kiedy wojna wreszcie się skończy, odzyskamy pewnie poczucie właściwych proporcji.

- A tymczasem zrobimy sobie ucztę... - Podniósł kilka puszek. - ...Z jajek na szynce, słodkiej kukurydzy i spaghetti po bolońsku. Jeśli, oczywiście, twa niechęć do włoskich produktów jest do pokonania. Jeśli nie, uroczycie połamiemy płytę z „Rigolettem”.

- Ja nie nienawidzę Włochów...

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Mówiąc między nami, Victorio, włoskie restauracje w Minneapolis są okropne.

Uśmiechnęła się.

- Kiedy naprawdę...

- Rozumiem. Nie jesteś odpowiednio ubrana, a poza tym uważasz, że włosy masz w nieładzie.

Podniosła dłoń, żeby je przyglądać.

- Przepraszam. Żartowałem. Wyglądają wspaniale.

- Jak się domyśliłeś, że nie chcę iść do restauracji?

- Vicky, słyszałem już wszystkie możliwe usprawiedliwienia od dziewczyn, które nie przyszły na randkę.

- Trudno mi w to uwierzyć. - Nikt jeszcze nie nazwał jej Vicky, ale w ustach przystojnego kapitana zdrobnienie to bynajmniej nie raziło. - Może znajdziesz otwieracz i pokroisz szynkę?

Podgrzewając patelnię i krojąc chleb przyglądała się otwierającemu puszki Amerykaninowi. Skaleczył się w palec; po mężczyźnie takim jak on nie spodziewała się tego rodzaju niezręczności.

- Jesteś pilotem? - spytała.
 - Tak. P-51, myśliwce mustang. - Sięgnął do szuflady po nóż, dotykając przy tym jej nagiego ramienia. Zadrżała.
 - Eskortujecie bombowce?
 - Wydajesz się doskonale poinformowana. - Podważył szynkę nożem próbując wyjąć ją z puszkii.
 - Pracuję w redakcji gazety.
 - Nie wiedziałem, że brytyjskie gazety pofatygowały się chociaż raz wspomnieć o amerykańskich pilotach. - Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. - Przepraszam. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało.
 - Nasze gazety zajmują się głównie RAF. To chyba naturalne, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak wielu czytelników ma krewnych, którzy... - Przerwała.
 - Jasne. - Mocno potrząsnął puszką i szynka ześlizgnęła się wreszcie na talerz.
 - Ile lotów odbyłeś?
 - Zero. Dopiero przyjechałem. Chyba trochę za wcześnie zacząłem żałować, że nikt nie kocha instruktorów.
 - Pogoda była fatalna. Ile jajek mogę usmażyć?
 - Vince kupuje je na ciężarówce. Użyj wszystkich, jeśli chcesz.
 - Więc po dwa na głowę. - Wbiła jajka na rozgrzany tłuszcz.
 - Potrzebne nam czyste niebo do bombardowań dziennych. RAF ma magiczną skrzynkę, dzięki której załogi widzą w ciemności, ale my latamy tylko w dzień.
- Rozłożył pokrojoną szynkę na talerzach.
- W dzień... przy ładnej pogodzie... Czy nie ułatwia to Niemcom zestrzeliwania waszych maszyn? - spytała niby mimochodem, udając, że pochłania ją polewanie tłuszczem smażących się jajek.
 - Po to jesteśmy my, myśliwcy.
 - A co z obroną przeciwlotniczą?
 - Mam wrażenie, że dowództwo nadal pracuje nad tym. - Jamie

uśmiechnął się. W sąsiednim pokoju nagle skończyła się muzyka. Wyciągnął ręce do dziewczyny. - Victorio, jesteś jedyną... - Objął ją, przytulił. Szybko pocałowała go w nos i uchyliła się. - Ja nastawię Mozarta, a ty zanieś talerze na stół - zaproponował i wyszedł.

Zjedli w niewielkiej kuchence. Jamie nalał dwie szklanki zimnego amerykańskiego piwa i z rozbawieniem namawiał dziewczynę, żeby grubo posmarowała krakersy masłem. Sam nie zjadł prawie nic. Victoria opowiedziała mu o swej pracy i złotoustym kuzynie, który niedawno został osobistym sekretarzem posła do parlamentu, Jamie zaś wspomniał o swej siostrzyczce, która wyszła za mąż za właściciela baru. On dowiedział się o ciastkach z kminkiem, za które matka Victorii wygrywała co roku konkurs Instytutu Kobiecego, ona z kolei usłyszała historię o Amelii Earhart, która w styczniu 1935 roku wylądowała na lotnisku w Oakland, kończąc samotny lot z Honolulu i o tym, jak wpłynęło to na podjętą przez Jamiego decyzję o zostaniu pilotem. Dowiedziała się też, że w wieku czternastu lat pozwolono mu przejąć drążek wielkiego trzymotorowego forda, którego właścicielem był (w części) bliski przyjaciel ojca Jamiego.

Tyle jest do powiedzenia, kiedy się zakochujesz, i tyle jest do wysłuchania. Pragnęli opowiedzieć sobie nawzajem o wszystkim, co kiedykolwiek mówili, myśleli albo robili. Ich słowa zderzały się w powietrzu. Victorię zdumiewała magia płynąca od tych niezrozumiałych ludzi, którzy najniższych stopniem oficerów ubierali w mundury wspanialsze od generalskich, jedli kukurydzę zostawiając na talerzu szynkę i jajka, wynaleźli nylonowe pończochy i pozwalali dzieciom pilotować pasażerskie samoloty.

- Vince twierdzi, że wszyscy ludzie mają podwójną naturę. Próbuje udowodnić, że wszystko, co skomponował Mozart, oparte jest na tej zasadzie.

Victoria zastanawiała się, co właściwie Jamie miał zamiar powiedzieć wcześniej. „Victorio, jesteś dziewczyną z moich marzeń”? „Victorio,

jesteś jedyną dziewczyną, która mogłaby zostać moją żoną”? „Victorio, jesteś jedyną dziewczyną w Anglii, która nie umie zrobić czterech jajek sadzonych, żeby nie rozlać żółtek dwóch z nich”? Miała wielką ochotę zjeść i te, które zostały na jego talerzu. Żałowała, że jajka z rozlanymi żółtkami przeznaczyła dla siebie.

- Muzyka Mozarta to nie dodatek do libretta. Uwypukla charakter postaci.

- Obaj jesteście wielbicielami opery?

- Jeśli ktokolwiek zdoła mnie do niej przekonać, to tylko Vince.

Victoria uśmiechnęła się.

- Jest człowiekiem z pasją. Vera wspominała o tym. Czy wszyscy w Minneapolis mówią z takim akcentem? Czasami trudno mi go zrozumieć.

- Prowadził raczej ruchliwy tryb życia: Nowy Jork, Memphis, Nowy Orlean. Twierdzi, że kobiety lubią mówiących powoli mężczyzn o niskich głosach.

Dziewczyna zerknęła na zegarek. Czas biegł zbyt szybko.

- Muszę lecieć - oznajmiła. - Rodzice wyjechali, a tyle mam jeszcze pracy przed świętami.

- Vince i Vera z pewnością pójną potańczyć.

Wstała; wiedziała, że musi wyjść, nim... A przypuśćmy, że Vera wróci i zastanie ją w tym mieszkaniu...

- Nie odchodź, proszę.

- Muszę albo wszystko popsuję.

- Co popsujesz?

- To. Coś.

Odprowadził ją do drzwi. Broniła się przed jego uściskiem, póki nie pokazał jej wiszącego u żyrandola wielkiego pęku jemioly. Dopiero wtedy pocałowała Jamiego, tuląc się do niego, jakby był kamizelką ratunkową... jedyną na rozkołysanym sztormem morzu. Do rozpaczcy doprowadziło ją, że nie spytał, kiedy się znów spotkają, i już miała zamiar upokorzyć się zadając mu to pytanie, kiedy powiedział:

- Muszę znów się z tobą zobaczyć, Vicky. Wkrótce.
- Na zabawie.
- To za długie czekanie, ale na to nic chyba nie da się poradzić.

Zwariowane uczucia nie trwają wiecznie. Im większe szaleństwo, tym oszałamia na krócej; w każdym razie tak powiedziała sobie Victoria następnego ranka. Już zdążyła nieco oprzytomnieć - czyżby świadczyło to o ograniczonych możliwościach przystojnego Amerykanina, który tak nagle pojawił się w jej życiu?

- Dobrze ci mówić - stwierdziła gorzko Vera, kiedy Victoria zażartowała niewinnie z jej późnego powrotu do domu. - Jesteś młoda. - Wygładziła sukienkę na biodrach, które niezdrowa wojenna dieta już zdołała poszerzyć. - Ja mam dwadzieścia dziewięć lat.

Victoria milczała. Vera wyduła wargi.

- Będę z tobą szczerą - powiedziała. - Mam trzydzieści dwa lata. - Bawiła się złotym łańcuszkiem, który zawsze nosiła na szyi. Nawijała go na palec. - A mężuś jest znacznie starszy ode mnie. - Swego nieobecnego towarzysza życia nazywała mężusiem, jakby słowo „mąż” wydawało się jej zbyt formalne. - Kto wie, kiedy znów go zobaczę? - Ignorowała możliwość, że może nie zobaczyć go już nigdy. - Wieki miną, nim oni wrócą z Birmy. Wiesz, gdzie jest Birma? Ja wiem, bo znalazłam ją sobie na mapie. Na samym końcu świata. To co mam robić? Nim Reg wróci, może stuknie mi już czterdziestka i będę za stara na zabawę?

Victoria zastanawiała się, jak długo jeszcze Vera będzie udawać, że Vince Madigan jest dla niej wyłącznie przyjacielem. Podzielała jej uczucia. Czy może poradzić nieszczęśliwej dziewczynie, żeby zamknęła się w klasztorze do powrotu męża, który mógł przecież wcale nie wrócić? A jednak nie powinna również zachęcać jej do zdrady.

- Nic ci nie mogę poradzić - powiedziała w końcu.
- To nieznośne być tak samotną - wyznała Vera niemal przepraszącym głosem. - W ogóle to przede wszystkim dlatego poślubiłam Rega.

Byłam samotna. - Roześmiała się chrapliwie. - Niezły powód, co? - Skręcała złoty łańcuszek, aż werznął się jej w skórę na szyi. - Skąd mogłam wiedzieć, że w dwa lata po tym, jak mnie złapał, znów zostanę sama jak palec? Od piętnastego roku życia byłam na służbie. U hrabiny Inversnade. Zaczęłam jako pomoc kuchenna, a skończyłam jako pokojówka. Szkoda, że nie widziałas jej butów, Victorio. Miała dziesiątki par... i torebki z Paryża. Tam byłam szczęśliwa.

- To dlaczego odeszłaś?

- Rząd rozkazał, by cała służba domowa poszła do pracy w przemyśle wojennym. Nie wiem tylko, jak mogę przyczynić się do wygrania wojny pomagając kasjerowi przy wypłatach i parząc herbatę dla wszystkich tych leniwych reporterów.

- Nie bądź taka zgorzkniała, przecież to Boże Narodzenie!

Vera skinęła głową i uśmiechnęła się, ale nie wyglądała na szczęśliwą.

- Pójdiesz dziś ze mną, prawda? - spytała.

- Najpierw muszę wrócić do domu, żeby się przebrać. - Victoria starała się mówić spokojnym tonem. Nie miała zamiaru zdradzać, jak bardzo tęskni do powtórnego spotkania z Jamiem. Bystre oczy przyjaciółki przejrzały ją jednak na wylot.

- Co włożysz? - spytała radośnie. - Długą suknię?

- Żółtą jedwabną, mamy. Dałam ją do przerobienia siostrze tej dziewczyny z kadr. Teraz jest krótsza, ma szerokie rękawy, zrobione z tego, co zostało odcięte u dołu, i pas w talii.

- Vince'owi musiałam już znudzić się w tej zielonej sukience, ale co robić? Nie mam nic innego. Powiedział, że coś mi kupi, ale nie dostaje kartek na materiał.

- Wspaniale w niej wyglądasz. - I była to prawda, w zielonej sukience Vera rzeczywiście wyglądała znakomicie.

- Próbuje załatwić mi spadochron. Cały spadochron! Twierdzi, że są

z jedwabiu, ale nawet gdyby były z nylonu i tak bym się cieszyła. - Vera zebrała z biurka korespondencję udając, że nagle przypomniała sobie, po co przysłała. - Słuchaj - rzekła cicho, jakby odpowiedź na pytanie miała dla niej szczególne znaczenie. - Czy ty nienawidzisz przyjęć?

- Jestem pewna, że będę się świetnie bawić. - Była to odpowiedź co najmniej wymijająca, bo Victoria rzeczywiście nie znosiła przyjęć.

- Nie znam tam nikogo. Vince zaprosił mnóstwo ludzi z bazy, każdy z nich przyjdzie pewnie z dziewczyną. Ktoś mnie zobaczy... i języki pójdą w ruch.

- Nie warto martwić się na zapas.

A więc Vera nie zdawała sobie sprawy, że jej związek już jest przedmiotem nie kończących się dyskusji w hali maszynistek. „Ma te nowe majtki, ostatni krzyk mody” - udało się Victorii podsłuchać słowa jednej z dziewczyn. „Same spadają dla jankesów”. Reszta śmiała się głośno z dowcipu.

Vera stała w drzwiach, obserwując ją ze zdziwieniem.

- Ty nigdy nie płaczesz, prawda? - spytała. - Jeszcze nie widziałam cię płaczącej.

- To nie w moim typie. Raczej klnę.

- Aha. Wy, dziewczyny z uniwersytetów, wszystkie klniecie. - Uśmiechnęła się. - Nie będę na ciebie czekać, pójdę wcześniej. Znam Vince'a na tyle, by wiedzieć, że jeśli mnie nie będzie, a on zobaczy jakąś ładną dziewczynę, zaraz się nią zajmie.

Victoria nie umiała temu przekonująco zaprzeczyć.

Hałas słychać było aż nad rzeką. Na ulicy stały taksówki oraz oficer RAF, tulący futro i torebkę nieobecnej dziewczyny.

Victoria nie musiała nawet pukać do drzwi. Ledwie uniosła dłoń do mosiężnej kołatki, otworzył dozorca, odsunął zasłonę, wylewając trochę whisky z trzymanej w dłoni szklaneczki.

- Szybko, panienko, zaciemnienie - ponaglił ją. Mówił powoli, wyraźnie, ale uśmiech i maślany wzrok zdradzał wyraźnie, że jest pijany.

Dom był pełen ludzi. Część lampek została już zniszczona, inne, osłonięte kloszami z kolorowego papieru, świeciły zaledwie na tyle, by w ich świetle dostrzec, że w salonie odbywają się tańce. Pary stały w półmroku tak stłoczone, że mogły wyłącznie kołysać się rytmicznie. W morzu amerykańskich mundurów migały gdzieś tam mundury RAF, było także kilku polskich pilotów. Żołnierze, którzy przyszli bez dziewcząt, siedzieli na schodach popijając wprost z butelek, pogrążeni w dyskusji na temat zbliżającej się inwazji i tego, co dzieje się „w domu”. Na widok Victorii rozległy się przyciszone gwizdy i pełne podziwu pomruki, a kiedy wspinała się po schodach między siedzącymi, kilka rąk dotknęło jej nóg - pod pozorem pomocy, rzecz jasna.

Jamiego i Vince'a Madigana znalazła na półpiętrze. Próbowali doprowadzić do przytomności jakąś dziewczynę, która wypila za dużo mieszanki, zawierającej między innymi wiśnie i miętę. Choć nazwana wdzięcznie „ponczem owocowym”, pachniała jak alkohol medyczny osłodzony miodem.

Victoria postanowiła, że nie weźmie jej do ust.

- Potrzebuje świeżego powietrza - stwierdziła Vera, wyłaniając się z sąsiedniego pokoju. - Zabierzcie ją na dół i wyprowadźcie na ulicę. - Najwyraźniej ona tu dowodziła; choć przy każdej okazji powtarzała wszystkim, że nienawidzi tłumów i przyjąć, wręcz rozkwitała w ich atmosferze.

- To przyjaciółka Boogiego - wyjaśnił Jamie. - Tego pilota, który gra na fortepianie tam, na dole.

Victoria ujęła go pod ramię, ale wydawał się zbyt zajęty, by zwrócić uwagę na jej gest; Vera tymczasem uśmiechnęła się, wyrażając uznanie dla bladozółtej sukienki koleżanki. Obie bez zainteresowania obejrzały sobie następnie, jak dwaj żołnierze w skórzanych lotniczych kurtkach z większym entuzjazmem niż delikatnością znoszą ofiarę ponczu po

schodach. Pijący na stopniach pożegnali ją pogwizdując „Marsz pogrzebowy”.

- Ty zaprosiłeś tych wszystkich ludzi? - spytała Victoria Jamiego.

Potrząsnął głową przecząco.

- W większości to przyjaciele Vince'a - wyjaśnił. - Nie licząc ludzi, którzy trafili do nas wprost z ulicy. Czego się napijesz?

- Tylko nie ponczu owocowego! - Czyżby oczekiwała zbyt wiele, spodziewając się, że Jamie zauważy jej włosy związane w przerzucony przez ramię koński ogon, sukienkę ze stojącym kołnierzem oraz cienką czarną muszkę?

- Whisky, dobrze? - Podał jej whisky, nim zdołała go o nią poprosić, po czym schował butelkę w boczną kieszeń munduru. Błyszczącymi oczami bez chwili przerwy wodził po otoczeniu, oceniając przybyłych. Nie był pijany, ale domyśliła się, że zaczął pić wcześniej. - I co, smakuje? - Uniósł swą wypełnioną do połowy szklaneczkę.

Victoria nigdy przedtem nie piła nie rozcieńczonej whisky, nie chciała jednak dostarczyć mu pretekstu do odejścia. Nawet kiedy tak razem stali, inni mężczyźni, przechodzący obok w poszukiwaniu jedzenia, picia lub toalety, bezustannie gładzili ją i poklepywali.

- Doskonała - stwierdziła, podnosząc szklanekę do ust, lecz nawet nie próbując alkoholu. Bardzo dziwnie pachniał.

Jamie zauważył, że marszczy przy tym nos.

- To bourbon - wyjaśnił. - Zrobiony z kukurydzy.

Obserwował ją, więc spróbowała „bourbona”, choć jego zapach wydał się jej zdumiewająco podobny do zapachu mokrej tektury.

- Wspaniały - orzekła.

- Właśnie widzę, jak ci smakuje - zakpił.

Uśmiechnęła się do niego. Jeszcze jej nie pocałował, ale nie towarzyszyła mu przynajmniej żadna inna dziewczyna. W tym momencie Jamie przygarnął ją, usuwając w ten sposób z drogi oficera marynarki, który

łokciami torował sobie drogę do łazienki. Drzwi były zamknięte, więc marynarz załomotał w nie z okrzykiem:

- Pośpiesz się, na litość Boską! To poważna sprawa!

Ktoś roześmiał się, a ktoś inny powiedział ze schodów:

- Jest tam z dziewczyną. Jeśli rzeczywiście tak ci śpieszno, Mac, na twoim miejscu pognałbym na górę.

Marynarz zaklął i pobiegł po schodach.

Victoria spojrzała na Jamiego. Próbowwała dobrze się bawić.

- Większość z nich jest z twojego dywizjonu, prawda? - zapytała.

- Tam stoi pułkownik Dan. Jest dowódcą grupy; najważniejszym człowiekiem w okolicy.

Obejrzała się i dostrzegła niewysokiego, pogodnego mężczyznę o wielkim nosie i potarganych jasnych włosach, dyskutującego zawzięcie z wysoką, ciemnowłosą dziewczyną w upiętej na głowie chuście w deseń kwiatowy, ubraną w aksamitną suknię koktajlową.

- Przyszedł z żoną?

- Z chórzystką z „Windmill Theatre”. Dawali w bazie przedstawienie; w zeszłym miesiącu, zanim tu przyjechałem.

- Czy to amerykański generał powiedział, że wojna jest piekłem?

- A tam stoi major Tucker - objaśniał, nie odpowiadając na pytanie.

Major tkwił przy schodach, popijając z własnej srebrnej piersiówki i krzywiąc się przy tym z dezaprobatą. Victoria poczuła, że łączy ich jakaś więź, ale nie powiedziała tego.

Jamie znów przytułił ją, ale tylko po to, by zrobić miejsce dla sierżanta w średnim wieku, który niósł na górę, do pokoju przerobionego na bar, całą skrzynkę ginu.

- Dziękuję za zaproszenie, kapitanie - powiedział, mocno zdyszany.

- Miło znów pana widzieć, sierżancie Boyer - odparł Jamie.

Przybycie Harry'ego Boyera z ginem powitały radosne okrzyki. Tymczasem na dole Boogie i zgromadzeni przez niego na ten wieczór muzycy zagrali „Bless 'Em All”, tancerze zaś jak jeden mąż zaczęli podskakiwać w rytm muzyki.

- Nie podoba ci się tu, Vicky. Czytam to z twoich oczu.

- Nie! - odkrzyknęła. - Świetnie się bawię. - Podskoki tancerzy wprawiły podłogę w wibrację. - Jest tu jakieś miejsce, gdzie można by usiąść? - Żółte pantofle Victorii nigdy nie były szczególnie wygodne, więc wysunęła z nich pięty, by dać odpocząć stopom przynajmniej przez chwilę.

- Spróbujmy na górze. - Jamie rzucił się w tłum. Podążyła za nim, ale ze szklaneczką w ręku i w rozpiętych butach nie miała szans za nim nadążyć. Jeden pantofel spadł jej z nogi i tylko z największym trudem zdołała nakłonić sąsiadów, by odsunęli się na tyle, żeby można go było poszukać, a kiedy go wreszcie znalazła, na żółtym jedwabiu widniała czarna plama, pasek zaś był urwany. W ten sposób przepadła jej ostatnia para przedwojennego obuwia. Tłumaczyła sobie, że powinna się rozesmiać, a przynajmniej zachować dystans wobec tego faktu, ale miała raczej ochotę krzyczeć.

- Jeśli ci się tu nie podoba, powiedz - warknął Jamie, kiedy dogoniła go u szczytu schodów.

Ciekawe, pomyślała, co by się stało, gdybym powiedziała mu, jaka jestem nieszczęśliwa. Zdecydowała jednak, że nie będzie podejmować takiego ryzyka.

- Dlaczego nie tańczymy? - spytała. Teraz przynajmniej ją obejmie.

Jeśli pragnęła poznać granicę talentów uzdolnionego kapitana Jamesa Farebrothera, zaproszenie go do tańca dostarczyło jej upragnionej wiedzy. Nawet w tym upiornym tłoku, mimo niezmordowanego Boogiego grającego swą własną, powolną wersję „Moonlight Becomes You”, Jamie deptał jej po nogach, co było szczególnie dokuczliwe z tego przede wszystkim względu, że wolała raczej tańczyć boso, niż ryzykować ostateczne zniszczenie pantofli.

- Taniec nie jest moją najmocniejszą stroną - przyznał w końcu. - Może damy sobie spokój?

Znaleźli miejsce na kanapie, ale siedzieli na niej zaledwie kilka chwil, a to z powodu porucznika, który wezwał Jamiego na pomoc Vince'owi.

Jamie przeprosił ją uprzejmie, Victoria miała jednak wrażenie, że w głębi duszy jest zadowolony, iż może od niej odpocząć. Żałowała teraz, że dała wyraz złemu humorowi. Tak bardzo pragnęła przecież, by wieczór okazał się doskonały.

- Obiecaj, że się stąd nie ruszysz. - Jamie mocno ścisnął jej dłoń. Skinęła głową i w nagrodę otrzymała pocałunek w czoło, jakby była grzecznym dzieckiem!

Nowo przybyły porucznik opadł ciężko na wolne miejsce.

- Od dawna go znasz? - zagadnął.

Przyjrzała mu się. Był przystojnym chłopcem, najwyraźniej marzącym o wążach. Z ciemną, jakby mocno opaloną cerą, kruczoczarnymi, wijącymi się włosami i długimi baczkami wyglądał na mieszkańca któregoś z państw Ameryki Południowej. Najwyraźniej ten właśnie efekt chciał osiągnąć. I to bardzo.

- Tak, znam go od dawna - odparła.

Porucznik uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. Nie zdjął pogniecionej czapki, przesunął ją tylko na tył głowy, by lepiej się dziewczynie przyjrzeć. Żuł gumę i palił jednocześnie. Kiedy na niego patrzyła, wyjął papierosa z ust i pstryknął nim w stronę kominka, nie troszcząc się bynajmniej o to, gdzie upadnie.

- Jamie dopiero co przyjechał do Europy - oznajmił. - Nazywam się Morse. Ludzie mówią mi Myszka Mickey.

Victoria uśmiechnęła się, ale zachowała milczenie.

- A więc kłamie pani. Ściemnienie.

- A pan nie jest dżentelmenem.

Klepnął się w udo, wybuchając głośnym śmiechem.

- Jakże słuszne spostrzeżenie, szanowna pani!

Siedzieli ściśnięci i chociaż Victoria bardzo starała się zachować dystans, okazało się to niemożliwe.

- Gummy?

- Nie, dziękuję.

- Gdzie Jamie poderwał taką klasa babkę? Pani nie należy do tych,

co kręcą się wokół klubu Czerwonego Krzyża na Trumpington Street.

- Doprawdy?
- Doprawdy? Tak, doprawdy!
- Dziwię się, że mnie pan tam nie zauważył.

MM uśmiechnął się. Otworzył paczkę cameli i wyciągnął ją zachęcającym gestem w stronę Victorii. Victoria nigdy nie miała w ustach papierosa, ale teraz, pod wpływem impulsu, wzięła jednego. Podał jej ogień.

- Jest pani dziewczyną Jamiego?
- Tak - odparła. Wydało się jej to najprostszym sposobem uniknięcia awansów MM. - Co się stało kapitanowi Madiganowi?

- Kapitanowi Madiganowi nie stało się nic i nic mu się nigdy nie stanie. Vince jest cwany; to wąż. Ślizga się po ziemi, kusi damy. A nam, kretynom, odstrzeliwują tyłki.

- Chodzi mi o to, co mu się stało teraz. Po co potrzebuje Jamiego? - Zaciągnęła się papierosem i dostała ataku kaszlu.

- Madiganowi potrzebna ochrona - odparł niejasno Myszka.

Victoria poderwała się na równe nogi i spojrzała w stronę drzwi.

- Światła! Akcja! Kamera! - MM ułożył palce w kwadrat, jakby partrył na rozgrywającą się przed nim scenę przez obiektyw. - Dokąd się pani udaje?

- Udaję się do miejsca, które wy, Amerykanie, z właściwą wam delikatnością nazywacie łazienką.

- Dopilnuję, żeby po powrocie miała pani gdzie usiąść.
- Proszę nie robić sobie kłopotu.

MM zachichotał.

Victoria przedarła się jakoś obok muzyków i dobrnęła do schodów. Od czasu, gdy szła po nich po raz pierwszy, popłynęła tu rzeka alkoholu. Teraz stopnie zajmowały przeważnie pary splecione w uściskach i nie zwracające na nic uwagi. Na półpiętrze natomiast leżało dwóch śpiących, chrapiących głośno żołnierzy. Kieszenie jednego z nich przetrząsała dziewczyna, która na widok Victorii wyprostowała się i oznajmiła z rozlewnym akcentem południowego Londynu:

- Szukam tylko drobnych na taksówkę, kochanie.

Victoria minęła ją bez słowa. W pierwszym pokoju mężczyzna w średnim wieku, którego Jamie nazwał sierżantem Boyerem, stał oparty o ścianę. Ubrany był w koszulę z krótkimi rękawami i nie miał krawata. Obserwował pułkownika Dana, gotowego rzucić kośćmi o ścianę. Podłoga zasłana była banknotami funtowymi, a gdy tylko oczy przyzwyczaiły się do mroku, Victoria dostrzegła, że jest tu więcej osób i że wszystkie trzymają w rękach pliki banknotów.

- Naciągnijcie mi, kochane - krzyknął do zaciśniętej pięści pułkownik Dan i rzucił kości. - Asy! - wrzasnął, kiedy przestały się toczyć.

Rozpętało się istne pandemonium, pułkownik zaś pochylił się, by podnieść kości, stracił równowagę i omal nie zbił Victorii z nóg.

- Oops! Bardzo panią przepraszam - powiedział uprzejmie.

Znalazła Jamiego piętro wyżej. Dłonie miał zaciśnięte na nagich ramionach dziewczyny o prowokacyjnej urodzie, ubranej w lśniąca szarą sukienkę, nieco zbyt obcisłą w biodrach i z nieco za dużym dekoltem.

- Proszę, zrozum - tłumaczył jej spokojnie. - Nie ma sensu robić sceny. Takie rzeczy się zdarzają. Przecież trwa wojna.

Dziewczyna płakała. Makijaż miała rozmazany, na policzkach widniały czarne ślady tuszu do rzęs.

- Na litość Boską, oszczędź mi tej gadki - powiedziała. - Wy, cholerni jankesi, nie musicie opowiadać mi o wojnie. Bomby zburzyły dom mamusi całe lata przed Pearl Harbor!

Victoria dostrzegła, że Vince ma na sobie krótką kurtkę „Ike'a”, z rzędem medali i srebrnymi skrzydełkami. On też próbował dojść do porozumienia z zapłakaną dziewczyną.

- Pozwól odprowadzić się na Market Hill - mówił właśnie. - Znajdziemy taksówkę i odwieziemy cię do domu.

Dziewczyna go zignorowała.

- Myślisz, że jestem pijana, co? - spytała Jamiego.

Z dołu dobiegły energiczne konfederackie okrzyki i pierwsze tony

„Dixie” granej na fortepianie. Jamie nagle zorientował się, kto go obserwuje.

- Och, Victorio! - powiedział.

- Och, Victorio! - powtórzyła śliczna dziewczyna. - Coś ty zrobiła naszemu biednemu księciu Albertowi? - Roześmiała się krótko, gorzko.

Jamie puścił ją. Uśmiechnął się przepaszająco.

- To jedna z przyjaciółek Vince'a - wyjaśnił cichym głosem. - Zagroziła, że rozerwie Verę na strzępy.

Na dole chór radosnych głosów zawodził: „Żyć i umrzeć w krainie Dixie”. Vince Madigan przysunął się do dziewczyny w szarej sukience i przemawiał do niej cichym, równym głosem, niczym do zdenerwowanego konia. Teraz, w padającym wprost na nią świetle, widać było, że ma nie więcej niż osiemnaście lat, a prawdopodobnie nawet mniej. Rozpacz znikła z jej oczu; była już tylko smutnym dzieckiem. Uniosła dużą, czerwoną dłoń, tłumiąc beknienie.

- A może to ty zaprosiłeś o jedną dziewczynę za wiele? - spytała chłodno Victoria.

- Ona nie jest w moim guście - odparł spokojnie Jamie.

Nad jego ramieniem dostrzegła, że Madigan bierze dziewczynę w objęcia i zaczyna ją namiętnie pieścić. Odwróciła się, unikając pocałunku Jamiego.

- Nie tu. Nie teraz.

- Chyba muszę się napić. Jak na jeden dzień mam dosyć!

- Dosyć?! - Rozgniewała się nagle.

- Przecież nie mówię, że ciebie.

- Odwieszysz mnie do domu?

- Zaczekajmy jeszcze parę minut, dobrze? Może przyjedzie mój przyjaciel Charlie Stigg. Mówiłem ci przecież, że go zaprosiłem.

- A więc wrócę sama - oznajmiła, a kiedy Jamie ujął ją pod ramię, wyrwała mu się. - Lepiej pomóż kapitanowi Madiganowi. Jego przyjaciółka źle się poczuła.

Dziewczyna kurczowo trzymała się balustrady. Wychylona, gotowa była zwymiotować na wykładzinę pokrywającą schody.

Victorii udało się jakoś zejść na dół. Płaszcz znalazła na podłodze, pod stosem okryć w kolorze khaki. Dostrzegła Verę, przyglądającą się wraz z Myszką żołnierzom, którzy wleźli na fortepian. Jeden z nich, Earl Koenige, powiewał flagą Konfederacji.

„Ostrożnie, ostrożnie, kraino Dixie”...

Próbowała pochwycić spojrzenie Verry, zasygnalizować jej, że ma zamiar wrócić do domu, ale Vera świata nie widziała poza swoim porucznikiem. Dosłownie się w niego wtuliła. Na tym właśnie polegał jej problem; uważała, że mężczyźni to po prostu mężczyźni, towar wymienny - jak nylonowe pończochy, kanarki albo książki z biblioteki.

Lubiła każdego, z kim dobrze się bawiła. Nie szukała męża, w końcu już go miała.

Victoria nie miała kłopotu ze znalezieniem taksówki - podjeżdżały pod dom na Jesus Lane co parę minut, przywożąc coraz to nowych gości. Dojechała do siebie, kiedy zaczął padać deszcz.

Mieszkała w starym wiktoriańskim dworku, zdobnym w neogotyckie wieżyczki i witraże. Jego ciemny kształt, wyłaniający się zza przyginanych wiatrem drzew, bynajmniej nie podniósł jej na duchu. Pobiegła żwirową ścieżką; padało coraz mocniej.

Czekał na nią jedynie chłód i pustka, a jednak z westchnieniem ulgi zamknęła dębowe drzwi. Czasami wręcz zazdrościła Verze jej aktorskich łkań i koronkowej chusteczki przyciśniętej do twarzy - delikatnie, by nie zniszczyć makijażu. Wydawały się ją odświeżać, a tego rodzaju ulgi potrzebowała dziś bardziej niż kiedykolwiek. Mimo to nie płakała.

Przeszła przez hol, wspięła się na schody godne sceny operowej. Miała zamiar skryć się tam, gdzie chowała się zawsze, gdy była nie-szczęśliwa - pod samym dachem.

Minęła drzwi sypialni rodziców i składziku, w którym był niegdyś jej

dziecinny pokój. Na kolejnym piętrze znajdował się pokój służbowy pokojówki, pusty teraz, kiedy nie było służby na stałe. Kolejny, należący do brata, był zamknięty, podobnie jak pokój kredensowy, z którego drzwi zwisały odpadające obrazki kwiatków.

Z okna korytarza najwyższego piętra spojrzała na mroczny ogród i przykryty na zimę kort tenisowy. Nie potrafiła przywyknąć do pustki, podświadomie oczekiwała wciąż, że lada chwila usłyszy głos matki albo fałszywe dźwięki wiolonczeli ojca.

Wchodząc do swej sypialni i zamykając drzwi westchnęła z ulgą. Tu przynajmniej może wreszcie być sobą. Z szafki przyglądały się jej siedzące rzędem wśród szczotek do włosów śliczne laleczki, ale łysiejący pluszowy niedźwiadek spadł i leżał na podłodze. Podniosła go, nim zaczęła przygotowywać kąpiel i nim rozebrała się z tą samą metodycznością, z jaką robiła wszystko inne. Porządnie powiesiła sukienkę na wieszaku, a w nadwerężone pantofle wsunęła prawidła i ustawiła na półce.

Matka pogardliwie nazywała jej pokój muzeum, ponieważ Victoria nie wyrzucała niczego. Miała zamiar zatrzymać wszystkie swe skarby: wiszącą na ścianie kolekcję motyli, domek dla lalek, pudełko z ptasimi jajkami. Przesunęła palcem po grzbietach książek dla dzieci, od Enid Blyton po Richmal Cromton, i po wielkich albumach. Chciała zatrzymać dzieciństwo na zawsze, niezależnie od tego, kto będzie się z niej śmiał.

Włączyła elektryczny piecyk, rozebrała się i przed wejściem do wanny zmyła makijaż. Siedząc w cieplej, pachnącej wodzie, mając na języku smak bourbona, na twarzy zbyt grubą warstwę kremu, próbowała przypomnieć sobie wszystko, co powiedział Jamie, szukając w jego słowach oznak miłości lub braku akceptacji. Z radia płynęła słodka muzyka, lecz nagle skończyła się wpół taktu i głos spikera z nieomylnym akcentem Radia Sił Amerykańskich złożył wszystkim słuchaczom życzenia szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia i zwycięskiego Nowego Roku.

- Idź do diabła! - powiedziała Victoria. Głos ucichł, rozległa się muzyka Duke'a Ellingtona.

Wycierała się, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Kolędnicy? Goście szukający kolejnej zabawy? Dzwonek odezwał się po raz drugi. Narzuciła na ramiona płaszcz kąpielowy i zbiegła na dół. Natychmiast zauważyła, że przez szczelinę na listy ktoś wrzucił do środka kopertę. Podniosła ją za róg. Zobaczyła adres poczty wojskowej, widać też było, że ktoś tę kopertę otwierał i wyjmował list. Obróciła w palcach kawałek białego papieru i przeczytała: „Przepraszam, kochanie. Jamie”.

Otuliła się ciaśniej płaszczem. Otworzyła drzwi. Ogród był ciemny, lał deszcz; słyszała szum kropel rozbijających się o gałęzie drzew.

- Jamie?! - krzyknęła. Miała wrażenie, że ktoś kryje się wśród ostrokrzewów. - Czy to ty, Jamie?

- To był bardzo kiepski wieczór. Przeze mnie.

- Lepiej wejdz.

- Nie mogłem złapać taksówki. Chciałem pożyczyć motocykl od Myszki, ale pojechał gdzieś z Verą.

- Z pewnością przemokłeś na wylot. Wchodź szybko! Zaciemnienie!

- Zawsze zapominam o zaciemnieniu - przyznał Jamie.

Z daszka skórzanej czapki woda ściekała mu na policzki.

Victoria poczuła wodę spływającą z jego płaszcza wprost na jej nagie stopy. - Czekałem na Market Hill, ale kiedy zaczęło padać, wszystkim nagle zachciało się taksówki.

- Szedłeś na piechotę? Ty głuptasie! - Roześmiała się radośnie, obejmując go, choć był taki zimny, taki mokry.

- Mam wrażenie, że cię kocham, Vicky.

- Skąd ten ton wątpliwości? - zażartowała. - Czyżbyś nie nauczył się niczego od Vince'a?

Jamie roześmiał się serdecznie.

- Kocham cię - powiedział pewnie.

- Ja też cię kocham, Jamie. Już nigdy nie będziemy się kłócić.

- Już nigdy. Obiecuję.

Były to dziecinne obietnice, ale tylko dziecinne obietnice są językiem prawdziwej miłości. Kochała go rozpaczliwie, z gwałtownością, która była dla niej całkiem nowa, ale wzięła go do łóżka z tego samego prozaicznego powodu, dla którego wiele innych kobiet brało do łóżka wielu innych mężczyzn - nie potrafiłaby żyć ze świadomością, że życie okrada ją z miłości.

Potem Jamie rozmyślał przez kilka minut, które wydawały się wiekiem. Wiedziała, że patrzy w sufit; leżał nieruchomo i tak cicho, że słyszała uderzenia jego pulsu.

- Nie śpisz? - spytała w końcu.

Przytulił ją mocno.

- Nie, nie śpię - przyznał.

- To Boże Narodzenie.

Pochylił się i pocałował ją lekko, niedbale.

- Jesteś żonaty? - spytała, udając, że nie zależy jej wcale na odpowiedzi na to szczególne pytanie.

Roześmiał się.

- Kiepski moment sobie wybrałaś, Victorio - orzekł, lecz kiedy zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest napięta, wyciągnął dłoń. Palce ozdabiał mu wyłącznie uniwersytecki pierścień.

- Nie jestem żonaty, nie jestem zaręczony, nie mam nawet stałej dziewczyny - powiedział poważnie.

- Żartujesz sobie ze mnie.

- Oczywiście, żartuję.

- Ta dziewczyna...

- Chyba się zatrzała. Wszystko przez ten poncz owocowy, ucierpiało przez niego wielu gości. Vince zmieszał, co tylko udało mu się znaleźć.

- Kim ona właściwie jest?

- Vince spotkał ją w zeszłym tygodniu. Pracuje w pralni. Kazał mi przysiąc, że nic ci o niej nie powiem, bo wiedział, że uznasz za konieczne uświadomić Verę. - Obrócił się, by spojrzeć jej w oczy. - Przecież teraz już musisz zdawać sobie sprawę, jaki Vince jest. To przed takimi jak on matki ostrzegają córki.

- On nie lata, prawda?
- Nie. Pełni funkcję oficera prasowego. Stawia drinki reporterom, oprowadza ich po bazie i wysyła im informacje.
- Verze powiedział, że odbył dwadzieścia lotów nad Niemcami.
- Błuzę ze skrzydełkami i całą resztą trzyma w walizce. Opowiada dziewczynom, że muszą być dla niego miłe, bo przecież może nie wrócić. - Jamie roześmiał się serdecznie.

Victoria też się roześmiała, ale znacznie mniej przekonująco. Tuliła się do niego i myślała, jak to będzie znosić świadomość, że jej mężczyzna może nie wrócić. Dlaczego nie zajmuje się kontaktami z prasą albo czymś takim, tylko ryzykuje życiem?

- A widziałś Earla Koenige? Jasnowłosego chłopca z południowym akcentem i wielkimi, zdumionymi oczami?

- Tego, z którym będziesz latał? Nie wygląda na więcej niż szesnaście lat.

- Całkiem niezły z niego pilot - stwierdził Jamie, a nie był to komplement z rodzaju tych, które rozdawał bez miary. - Zaraz po twoim wyjściu spadł z fortepianu. Próbował jednocześnie stepować i wymachiwać flagą Konfederacji.

- Nic sobie nie zrobił? Chyba był pijany.

- Mam wrażenie, że dziś spróbował whisky po raz pierwszy w życiu. Jego rodzice są abstynentami, to bardzo religijni farmerzy. Z fortepianu spadł na cztery łapy i wyraził nadzieję, że nie uszkodził instrumentu.

- A twój przyjaciel Charlie? Przyjechał?

- Przesłał wiadomość. Ich nawigator musiał zostać w bazie, więc została cała załoga. Słuchaj, masz aspirynę?

- Na stoliku, koło lampy.

Jamie rozdarł opakowanie i połknął dwie tabletki bez popijania.

- Najpierw myślałem, że rozbił sobie łeb - mówił dalej. - Earl zawsze spada z roweru albo wylewa na siebie gorącą kawę. Codziennie pisze do rodziny; moim zdaniem gdyby nie spadł, po prostu nie miałby tematu na kolejny list.

- No, to teraz ma co opisywać w kilku listach! Słuchaj, czy tam rzeczywiście był twój dowódca? Grał w kości z sierżantem, mówił mu Harry i popijał z butelki, którą podawali mu inni. Ludzie przekazywali sobie całe pliki pięciofuntówek!

Jamie zmarszczył brwi.

- Niełatwo zrozumieć pułkownika Dana. Vince omal się dziś na niego nie naciął.

- Vince?

- Miał na sobie tę swoją cholerną kurtkę, kiedy na zabawie pojawił się pułkownik. Myślałem, że jeden drugiego wyzwie na pojedynek! „Co to za mundur, kapitanie Madigan?” - spytał stary. - „Ustrojony jak choinka” - odparł Vince, salutując zgodnie z wszelkimi zasadami sztuki.

Pułkownik tylko uśmiechnął się i wziął od niego drinka.

„Jeśli zjawi się tu dziś dowódca żandarmerii, obaj spędzimy noc w pudle” - powiedział. - „Właśnie tak to sobie wyobrażałem, panie pułkowniku” - odciął się natychmiast Vince. Ten facet ma gadane, wypłacze się z każdej sytuacji. Opowiedział mi, jak to uciekł z mężatką, kiedy był jeszcze w liceum.

- Biedna Vera.

- Żadne „biedna Vera”. Vince znikł, a ona została przytulona do Myszki!

- Wszystko przez tę wojnę, prawda?

- Nie bądź aż taka kobieca. Ludzie łapią odrobinę szczęścia, póki mają na nie jakąś szansę. Chcę tylko powiedzieć, że nie powinnaś martwić się o Verę i Vince'a. Niech sami zajmą się swoim życiem. Kto wie, kiedy Myszka pójdzie na własne, a kiedy pójdę ja?

- Pójdzie na własne?

- Podejmie rządowe ubezpieczenie na życie.

- Nie wolno ci mówić takich rzeczy! Nie zniosę myśli, że coś może ci się stać! - Victoria ukryła głowę pod poduszką.

- Wyłaż, wariatko. - Jamie ściągnął z niej kołdrę.

Podziwiał jej nagie ciało. - Jesteś pewna, że twoi rodzice nie wrócą?

Głowę nadal trzymała pod poduszką, więc mogła zaprzeczyć wyłącznie pomrukiem.

- Jesteś zupełnie pewna?

Wystawiła głowę, śmiejąc się z jego zdenerwowania.

- Są u moich dziadków w Szkocji. Możesz się odprężyć.

- Nie chciałaś z nimi pojechać?

- Mam dużo pracy. Ojciec powiedział, że nie powinnam prosić o urlop. Stwierdził, że wojna ma pierwszeństwo.

- I miał rację - uznał Jamie, pieszcząc ją. - Ojcowie zawsze mają rację.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważnie. Przedtem nie sprawiał wrażenia aż tak opalonego, lecz teraz, w porównaniu z jej ciałem i białym prześcieradłem, wyglądał jak spiżowy posąg.

- A twój ojciec... Czy też zawsze ma rację?

- Nie wiem nic o moim ojcu.

- Przykro mi.

- Nie, nie umarł. Rodzice rozwiedli się, kiedy byłem małym dzieckiem. Zostałem z matką, a ona wyszła za mężczyznę nazwiskiem Farebrother. Mam wrażenie, że młodemu mężowi znudziło się wyjaśnianie w każdym hotelu, dlaczego jego dziecko nosi inne nazwisko.

- A jak się nazywa twój ojciec?

- Bohnen. Alexander Bohnen. Jego przodkowie przyjechali z Norwegii. Budowali łodzie.

- On też buduje łodzie?

- Mam wrażenie, że na tym nie można zarobić. - Jamie nadal leżał na wznak, wpatrzony w sufit. - Daj mi papierosa, dobrze, kochanie? - poprosił.

- Kiedy mówisz do mnie „kochanie”, mam wrażenie, że słyszę Vince'a. - Dała mu paczkę papierosów, którą położył na nocnym stoliku wraz ze złotą zapalniczką.

- Ojciec jest doradcą finansowym w Waszyngtonie. W mieście Waszyngton. A raczej był. Ostatnio został pułkownikiem, jak to mówią pełnym pułkownikiem, w Siłach Powietrznych Armii Stanów

Zjednoczonych. W jednej chwili zmienił się z cywila w żołnierza, no i jest oficerem sztabowym, ale oczywiście różnica między oficerem sztabowym a doradcą finansowym jest wyłącznie nominalna.

- Oczywiście? Nie wiem, czym zajmuje się konsultant finansowy.

- Ja też nie wiem - przyznał Jamie. - Sądzę, że to ktoś, kto mówi ludziom potrzebującym miliona dolarów, gdzie mogą go dostać tanio.

Victoria roześmiała się. Po raz kolejny jej oczom objawił się szalony amerykański świat.

- Brzmi to tak, jakby dokonywał cudów.

- Wyjęłaś te słowa z jego ust.

- Nie lubisz ojca?

- Jest twardy, praktyczny. Odniósł sukces. Pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, pije z właściwymi ludźmi, jada z właściwymi ludźmi. Mama musiała tylko podejmować gości... w mieście, gdzie podejmowanie gości jest praktycznie sportem wyczynowym, a ojciec jego sędzią głównym. Po rozwodzie nie ożenił się. Nie potrzebował żony, tylko zawodowej gospodyni.

- A matka jest szczęśliwa?

- Zawsze była osobą łagodną, przyjazną. Z ojczyma żaden geniusz, ale zarabia wystarczająco dobrze, żeby oboje mogli żyć sobie spokojnie i opalać się. Santa Barbara to wspaniałe miejsce, żeby żyć spokojnie. - Jamie zapalił papierosa. - Ojciec powinien właściwie zostać politykiem - stwierdził. - Wszystko potrafi. Prawdopodobnie doszedł do wniosku, że Wuj Sam przegra wojnę, jeśli on nie włoży munduru i nie powie armii, co powinna robić i jak.

- Nie pieszysz do niego?

- Przysyła mi miesięczny biuletyn, odbity na powielaczu, ale podpisany dla mnie jego własnym charakterem pisma. Ten sam towarzyski biuletyn wysyła swym co ważniejszym partnerom w interesach. Z niego dowiedziałem się, że stacjonuje tu, w Anglii.

- Nigdy mu nie odpisujesz?

Jamie zaciągnął się papierosem.

- Nie. Nigdy mu nie odpisuję. Masz ochotę dobrać się do mnie, prawda?

- Jamie, przecież to Boże Narodzenie, a on jest twoim ojcem. Mógłbyś chociaż zadzwonić.

- Pewnie nie zauważył nawet, że to Boże Narodzenie. - Zaciągnął się zaledwie kilka razy, ale uznał, że nie ma ochoty na papierosa i zdusił go na pudernicze, niedopałek zaś wrzucił do wazonu z kwiatami. Victoria była przerażona, zdecydowała jednak, że dziś nie będzie się do niego „dobierać”. Sięgnęła więc tylko do kontaktu i wyłączyła światło. Kiedy opadła na poduszki, Jamie przytulił ją mocno.

- Dobrze - powiedział. - Zadzwonię do niego jutro z samego rana. Skuliła się w jego ramionach, udając, że śpi.

8. Pułkownik Alexander J. Bohnen

Nawet najmłodszy praktykant kelnerski w Savoyu bez trudu rozpoznawał Amerykanów. Bawili się jedzeniem na talerzu, widelce trzymali w prawych rękach i siedzieli dość daleko od stołów, obracając krzesła w bok, a czasami nawet odsuwając je tak, żeby móc założyć nogę na nogę. Tylko Brytyjczycy trzymali nogi pod stołem i całą uwagę poświęcali spożywanym daniom.

Pułkownik Bohnen znał większość ludzi jedzących tego dnia w sali dla gości hotelowych, ale nawet ci, których nie znał, nie byli mu obcy, całe życie spędził bowiem wśród podobnych im biznesmenów, urzędników państwowych i dyplomatów, choć nie nosili oni wówczas mundurów armii lub marynarki. Siedzący z nim przy stoliku siwowłosa mężczyzna należał do grona jego najbliższych przyjaciół.

- Nawet gdybym dożył setki - mówił właśnie Bohnen - nie przeżyję takiego zdumienia jak wtedy, kiedy usłyszałem w słuchawce głos syna.

- Cieszę się, że zadzwonił, Alex.

- P-51! Jest kapitanem, ma przydział do 220. Grupy Myśliwskiej. Będzie eskortował bombowce nad Niemcami. - Pułkownik Bohnen odłożył widelec. Zapomniał o jedzeniu.

- Nie wątpię, że wszystko mu załatwiłeś. - W głosie siwego mężczyzny brzmiał ledwo nieuchwytny ton kpiny.

- To mój jedyny syn! - Bohnen znalazł się w defensywie. - Oczywiście, że kazałem jednemu z asystentów zadzwonić i powiedzieć dowódcy,

że Kwatery Główna bardzo interesuje się świeżo przydzielonym kapitanem. - Poglądził się po twarzy. - Otrzymałem odpowiedź świadcząca co najmniej o niesubordynacji. Żeby nie skłamać: wyrobiłem sobie nie najlepsze zdanie o dowódcy Jamiego.

Przerwał, nie wyjaśniając, co ma na myśli.

- Nie trzymaj mnie w napięciu, Alex.

- Jako dowódca pułkownik ten zyskał opinię „wybitny”, co w języku armii oznacza, że coś tu śmierdzi. W raportach powtarzają się określenia „nieortodoksyjny”, „zbyt pewny siebie”, „nieostrożny”; wszystko pięknie, gdyby chodziło o młodego porucznika z lepszego towarzystwa, a nie dowódcę grupy myśliwskiej.

- Nie o dowódcę grupy myśliwskiej, w której służy twój syn, prawda? Ukończył Akademię?

- Sztynniaka z West Point bym strawił, ale ten facet to pilot z prawdziwego zdarzenia.

- To opinia Jamiego?

Bohnen zaniepokoił się nagle.

- Na litość Boską, Jamie nie może się dowiedzieć, że sprawdzałem jego dowódcę. Wiesz, jaki jest prawy.

- Nie poznałbym tego chłopca. Tyle czasu minęło. Z Molly nie widziałem się prawie trzy lata.

Na dźwięk imienia swej byłej żony Bohnen zmarszczył brwi. Stracił popiół z cygara.

- Jamie był łagodnym dzieckiem. Nie niszczył zabawek, troszczył się o przyjaciół, ufał rodzicom; być może nawet zbyt im ufał. Molly nastawiła go przeciwko mnie. Wiem, że strasznie to brzmi; mimo wszystko jednak postanowiłem się tym nie przejmować.

- Jej ojciec był twardy w interesach. Pewnie ma to po nim.

- Jej ojciec odziedziczył koncern w przyzwoitym stanie, więc gdzie niby miał się popisować twardością w interesach? Dostał w spadku fortunę i stracił ją. Słyszałem, że zmarł niemal bez grosza przy duszy. Jego

dziadek musi przewracać się w grobie. Obejrzyj sobie jakikolwiek album o historii Ameryki, a znajdziesz w nim maszyny rolnicze i traktory Washbrooka. Kiedy Tom Washbrook pozwolił mi ożenić się z córką, podskakiwałem z radości. Bardzo kochałem Molly i byłem pewien, że zdołam wytłumaczyć jej ojcu, co trzeba zrobić, by ocalić fabryki, ale on mnie nie słuchał. Według niego byłem za młody na udzielanie rad. Czasami myślę, że specjalnie postępował odwrotnie, niż mu doradzałem. A Mollie nigdy mnie nie poparła. Zawsze trzymała ze starym. Powtarzała mi, że ojciec ma prawo do własnych błędów.

- Kochała ojca, wiesz o tym doskonale. Więcej, była w nim zakochana.

- Patrzyła, jak niszczy wielką korporację i nie powiedziała słowa. Co to za miłość?!

- Wcale się z nią nie kontaktujesz?

- Mollie jest stuprocentowo monogamiczna; zawsze była i zawsze będzie. Odwróciła się ode mnie i teraz nie chce nawet o mnie myśleć. Powiedziała mi, że mamy się rozstać na zawsze; zgodziłem się z tym, choć straciłem przez to syna. Wiedziałem, że pewnego dnia chłopak do mnie wróci. Dziękuję dobremu Bogu, że wybrał to Boże Narodzenie, by stała się wola Jego.

Siwy mężczyzna zerknął na zegarek.

- Bardzo żałuję, że nie mogę zostać i zobaczyć się z chłopcem.

- Powiedział, że spotkał wyjątkową dziewczynę i że daje mi szansę poznania jej.

- Brytyjskie koleje zeszły na psy. Z daleka jedzie?

- Wysłałem po nich samochód - powiedział Bohnen.

Jego przyjaciel uśmiechnął się.

- A więc wojna nie ma wpływu na twój styl działania. Doskonale, Alex. Jak sądzisz, może powinienem sprawić sobie garniturek khaki?

- Kierowanie siłami powietrznymi niczym nie różni się od kierowania wielką korporacją - stwierdził z namaszczeniem Bohnen. - W rzeczywistości łatwiej kierować siłami powietrznymi w czasie wojny. Jak

powiedziałem szefowi, zagrożenie paru wiceprezesom rozstrzelaniem dokonałoby cudów u Boeinga czy Lockheada, kiedy mieli te swoje kłopoty.

- Święte słowa, Alex!

- A co z tą cholerną linią lotniczą, w której utopiłeś tyle forsy? Parę egzekucji w jej radzie nadzorczej błyskawicznie naprawiłoby szkody.

- Wojsko służy ci nadzwyczajnie.

- To fascynująca praca. I ważna. Na tej wysepce jest teraz więcej żołnierzy amerykańskich niż brytyjskich! Mamy nad RAF przewagę czterech tysięcy samolotów!

- Świetnie! I co dalej, Bohnen? Pałac Buckingham?

- To grzech ograniczać się z własnej woli. - Pułkownik roześmiał się.

- Muszę lecieć. - Siwy mężczyzna rozejrzał się, a potem spojrzął na przyjaciela. - Kto za to wszystko płaci?

- Brett Vance. Znasz Bretta - tuż przed wojną zrobił fortunę na ziarnie kakaowym. To ten wielki goryl w okularach, siedzi w kącie i wyskubuje kwiatki z kompozycji. Nie musisz dziękować mu gorąco. Właśnie przekonał armię, żeby kupowała jego batoniki do wszystkich sklepów garnizonowych w europejskim teatrze wojennym.

- Brawo, Vance! - powiedział kpiąco siwy.

- Wyobrażasz sobie, ile batoników zjedzą żołnierze? Niezliczone dywizje twardych młodych ludzi, maszerujących, kopiących i tak dalej, od rana do nocy, dzień po dniu, przy każdej pogodzie?

- Czy ma to oznaczać, że kupujesz akcje producentów słodczy?

Bohnen sprawiał wrażenie oburzonego tą sugestią.

- Przecież mnie znasz! Nigdy nie zrobiłbym niczego podobnego! Niech inni grają na giełdzie, jeśli chcą, ale póki służę w armii, nie wezmę udziału w tego rodzaju przedsięwzięciach. - Dostrzegł uśmiech na twarzy przyjaciela i zastanowił się przelotnie, czy przypadkiem z niego nie żartował.

- Stajesz się wzorem cnót, Alex. Sądzę, że bardziej podobał mi się ten pomysłowy i bezwzględny biznesmen, którego znalazłem kiedyś w kraju.

- Pierwsza wojna przeszła mi koło nosa. Mam dług wobec Wujka Sama i dam z siebie wszystko.

Przyjaciel nie znalazł odpowiedzi na deklarację wygłoszoną z tak głębokim zaangażowaniem. Goście zaczęli wychodzić, z drugiego końca sali dobiegł wybuch głośniego śmiechu.

- Przekaż Jamiemu pozdrowienia ode mnie, dobrze? - powiedział siwy człowiek. - No i z przyjemnością wysłucham twojej opinii o dziewczynie.

- Jamie jest za młody na ożenek.

- A jego dowódca? Czy jemu pozwolisz na ślub?

- Bardzo śmieszne. Mam wrażenie, że uważasz, iż za bardzo się do wszystkiego wtrącam?

- Pozwól chłopcu żyć własnym życiem, Alex.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Może przekazałbyś wiadomości kilku ludziom w Waszyngtonie?

- I nie naciskaj chłopca. Jamie nie miał szczęścia wyrobić sobie tej bezwzględności co my w 1929 roku.

- Nikt nie będzie go faworyzował. Jest żołnierzem, a my toczymy wojnę.

- To poważna sprawa, tato. Kochamy się. - Jamiemu trudno było rozmawiać z ojcem po tylu latach niewidzenia.

- A kiedy wreszcie będę miał szansę poznać tę młodą damę? - Alexander Bohnen zerknął na zegarek.

- Piętnaście po trzeciej. Uznała, że powinniśmy porozmawiać trochę w cztery oczy. Jest teraz na dole, je lunch z ciotką.

- Bardzo to z jej strony uprzejme. - Bohnen zastanawiał się, czy dziewczyna uznała, że szczerza rozmowa syna z ojcem będzie dobrą okazją do uzyskania aprobaty dla małżeńskich planów.

- Polubisz ją, tato. To ona namówiła mnie, żebym do ciebie zadzwonił.

Jakże podobny do Molly jest ten chłopiec; ma jej usta i otwarte szeroko oczy o szczerym spojrzeniu, nawet zachowuje się jak ona, niepewnie, nerwowo, jakby oczekiwał, że ojciec lada chwila zmyje mu głowę. Czego się obawia? Ojcowskiej gadki o ryzyku pośpiesznego małżeństwa? Wykładu wyższego stopniem oficera o społecznych i zdrowotnych konsekwencjach przypadkowych związków? Nie doczeka się ani jednego, ani drugiego.

- Jasne, że ją polubię. - Bohnen dołał synowi Chateaux Margaux. - Jedz żeberka jagnięce, bo wystygną.

Jamie pozwolił wybrać dla siebie danie i wino, wiedząc, jaką sprawi tym ojcu przyjemność. I rzeczywiście, przejrzał on kartę dostarczanych do pokoju dań z drobiazgową dokładnością. Nie zapomniał nawet przepytać kelnera na okoliczność temperatury utrzymywanej w piwniczce oraz okolicy, w której wyrosło jagnię.

- Doskonałe jedzenie.

- Lepiej, że zjemy je w pokoju. Chętnie dotrzymałbym ci towarzystwa, ale miałem służbowy lunch.

- I klaret bardzo dobry.

Bohnen zauważył ten anglicyzm syna. Przez chwilę zastanawiał się, czy jego przewodnikiem po krainie win był Tom Washbrook, którego stół przeszedł do legendy, czy też szwagier, przepijający zyski płynące z baru z grillem w Perth Amboy.

- Piwnice Savoyu sięgają prehistorii. To najwspanialszy hotel pod słońcem. Dobrze znają mnie tu sprzed wojny.

- 1934. - Jamie obrócił butelkę i sprawdził etykietkę. - Więc nadal ciężko pracujesz?

- Jesteśmy w środku największego w historii programu ekspansji, a teraz jeszcze pojawił się Doolittle, by przejąć obowiązki generała Eakera.

- Co się za tym kryje?

- Wróc pamięcią do października i przeczytaj sobie o nalocie na Schweinfurt. Ja to zrobiłem, przygotowując poufny raport. Długi lot, czyste niebo, a nasi obrywali całą drogę tam i z powrotem. Nie mieli eskorty myśliwców, a tymczasem Niemcy mogli spokojnie lądować, tankować i zarzynać ich jak świnie. Podczas dolotu straciliśmy dwadzieścia osiem maszyn, a nim reszta znalazła się nad celem, trzydzieści cztery następne zawróciły z powodu uszkodzeń i awarii. Powrót był jeszcze gorszy.

- Tato...

Bohnen spojrzał na syna. Nie chciał go straszyć, ale wiedział też, że jego chłopak nie boi się byle czego.

- Gdyby prawda o tym nalocie kiedykolwiek ujrzała światło dzienne, Kongres rozerwałby dowództwo na strzępy. Ameryka straciłaby wszelkie szanse na niezależne siły lotnicze. Więc do dziś nie opublikowaliśmy całej prawdy. Nikomu nie powiedzieliśmy o maszynach, które podczas powrotu do domu spadły do oceanu i o tych, które lądowały z martwymi i rannymi członkami załóg. Nikomu nie mówimy, że na trzech lotników rannych w walce czterech trafia do szpitala z odmrożeniami. Nikt nie wie, ile bombowców jest złomowanych, ponieważ naprawa byłaby ekonomicznym nonsensem. Nie mówimy o ludziach, którzy wolą stanąć przed sądem polowym, niż wrócić do walki, i o tych, którzy mają dość - faszeryowanych środkami uspokajającymi i wysyłanych do kraju. Nie zezwalamy reporterom na odwiedziny w bazach, w których występują problemy z dyscypliną i morale, nie przyznajemy się nawet do decyzji, że nigdy więcej nie wyślemy nad trudne cele bombowców bez osłony.

- Kiepsko to brzmi.

- Nie ujawniliśmy jeszcze prawdy o Schweinfurcie i, według mnie, nigdy nie zostanie ujawniona.

- Na mustangach możemy eskortować ich przez całą drogę - powiedział Jamie niepewnie. Zapomniał, jak serio ojciec traktuje swe obowiązki.

Chciałby zobaczyć go kiedyś wesołego, rozluźnionego, ale nigdy go takim nie widział.

- Cały zeszły miesiąc błagałem o zbiorniki dalekiego zasięgu. Używamy brytyjskich, z obrobionego pod ciśnieniem papieru, i stale nam ich brakuje. W piątek otrzymałem wreszcie raport. Waszyngton poinformował mnie, że wykonanie odrzucanych zbiorników z papieru jest technicznie niemożliwe. Z tym właśnie musimy walczyć, Jamie - z biurokratycznym sposobem myślenia.

- Mustang to najwspanialsza maszyna, jaką kiedykolwiek pilotowałem.

- I wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę już w zeszłym roku, z wyjątkiem „ekspertów” z działu materiałowego, którzy najwyraźniej obrazili się, że trzeba było brytyjskiego silnika, by ten samolot zaczął rzeczywiście dobrze latać. Siły Powietrzne traciły miesiące na bezsensownych sporach, za które załogi bombowców płaciły krwią.

- Pod Doolittle'em ma być lepiej?

- Nowe maszyny, nowe idee, nowy dowódca. Mam szczerą nadzieję, że twardo postawimy się Brytyjczykom. To teraz najważniejsze.

- Brytyjczykom?

- Churchill chce, żebyśmy latali w nocy, bo w dzień bierzemy straszne baty.

- Przecież nocne naloty oznaczają bombardowanie terenu, nie celów militarnych. Po prostu rzuca się bomby na centra wielkich miast, a tam nie ma zakładów przemysłowych, więc jakim cudem polityka ta może przyspieszyć zakończenie wojny?

- Nocne naloty wymagałyby brytyjskiego sprzętu i brytyjskich rad. Najpierw zaczęliby dawać nam rady, potem lekcje, a skończyłoby się na rozkazach.

- Ale to Eisenhowera mianowano najwyższym dowódcą amerykańskich sił inwazyjnych!

- Jasne, wszystkie pozory wskazują, że przyjaciele dogadali się bez

większych trudności. Wygląda to tak, jakby Brytyjczycy zrezygnowali z oporu i zaczęli słuchać naszych rozkazów. Ale poczekajmy na ogłoszenie nazwiska zastępcy dowódcy. Z pewnością będzie nim Anglik. To tylko kolejny krok w brytyjskim planie podporządkowania nas Dowództwu Lotnictwa Bombowego RAF. Churchill używa określenia „bombardowanie ciągle”. Wysuwa się sugestia, by naloty skoordynować pod jednym dowództwem. Rozumiesz? Armia ma jednego dowódcę, więc alianckie lotnictwo bombowe też powinno mieć jednego. A kto jest najlepszym, najbardziej doświadczonym kandydatem na to stanowisko? Arthur Harris. Jeśli zaczniemy popiskiwać, Brytyjczycy zaraz wypomną nam, jaką Ike ma robotę. Jeśli tak dalej pójdzie, Anglicy dostaną wszystkie stanowiska, z którymi łączy się jakaś władza, a w dodatku będą nam stale przypominać, że służą pod Eisenhowerem.

Jamie dłużej w sałatce, oddzielając od reszty warzyw małe kawałeczki cebuli, której nie zjadłby za nic w świecie. W dzieciństwie robił to samo, za co często obrywał burę. Teraz dokładnie wytarł usta chusteczką i wypił kolejny łyk wina.

- Anglicy są dobrzy w te klocki, prawda?

- Najlepsi. Montgomery może podnieść słuchawkę i porozmawiać z Churchillem, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Bert Harris, szef Dowództwa Lotnictwa Bombowego RAF, zaprasza Churchilla na kolację i pokazuje mu album ze zdjęciami Niemiec niszczonej przez jego ludzi. Wyobrażasz sobie sytuację, w której Eaker, Doolittle albo nawet generał Arnold gawędzą sobie z prezydentem? Tak, jak to teraz wygląda, Montgomery ma przez Churchilla większy wpływ na Roosevelta niż nasz własny szef sztabu! - Bohnen umoczył usta w kieliszku Chateau Margaux. Milczał przez chwilę rozkoszując się smakiem trunku. - 1928 to był wspaniały rocznik, ale Margaux '34 prawie mu dorównuje. Pewnego dnia pójdę na emeryturę i poświęcę resztę życia na porównywaniu '28 i '29.

- Moim zdaniem powinniśmy bombardować cele strategiczne - powiedział cicho Jamie. Żałował, że wdał się w dyskusję na takim poziomie, choć najwyraźniej cieszyła ona ojca.

On zaś energicznie potrząsnął głową.

- Zabieramy się do Luftwaffe. Nie mamy wyboru. Niedługo zacznie się inwazja na kontynent i musimy mieć niekwestionowaną przewagę lotniczą nad tymi plażami. Noworoczny rozkaz generała Arnolda nie pozostawi co do tego żadnych wątpliwości: niszczyć niemieckie samoloty w powietrzu, na lądzie i na taśmach montażowych. To trudne, cholernie trudne zadanie.

- Nie martw się o mnie, tato.

- Nie martwię się.

Chłopak wyglądał tak krucho, że ojciec miał ochotę objąć go i przytulić mocno, tak jak w dzieciństwie Jamiego. Już szykował się do wyciągnięcia rąk nad stołem, ale powstrzymał się w ostatniej chwili, bo ojcowie nie tulą dorosłych synów, a zwłaszcza pilotów samolotów myśliwskich. Pod pewnymi względami matki mają znacznie więcej szczęścia.

* * *

Victoria przybyła punktualnie. Bohnena zaskoczył widok wysokiej, ciemnowłosej, pewnej siebie dziewczyny, najwyraźniej pochodzącej z dobrej rodziny i z pewnością dysponującej wszystkimi tymi staroświeckimi cnotami, które dawno, dawno temu widział w matce Jamiego.

- Dostał pan apartament z widokiem na rzekę. Najwyraźniej dysponuje pan wielkimi wpływami, panie pułkowniku.

- Bardzo chciałbym, by tak było, panno Cooper.

- A więc ogromnym urokiem osobistym, pułkowniku Bohnen.

- Nie jestem nawet prawdziwym żołnierzem, raczej przebranym cywilem. Jestem imitacją. Nawet nie taką jak wasza powlekana złotem biżuteria; ja jestem imitacją bez odrobiny złota!

Roześmiała się miękko. Bohnen był zdania, że kobiety, bardziej nawet niż mężczyźni, wszystko, co chce się o nich wiedzieć, zdradzą śmiechem. Nie tylko tym, z czego się śmieją i w którym momencie, lecz samym jego dźwiękiem. Victoria Cooper robiła to przepięknie - subtelnie, lecz szczerze; jej śmiech płynął z serca raczej niż z żołądka.

- Wygląda pan za młodo na ojca Jamiego.
- Któż protestowałby przeciw takiemu komplementowi?

Dziewczyna podeszła do stolika, przy którym Jamie kończył posiłek. Pocałowali się dyskretnie.

- Może napije się pani herbaty lub kawy, panno Cooper?
- Proszę mówić mi po imieniu. Dziękuję, spróbuję raczej wina.

Jamie przyglądał się im uważnie. Sprawiali wrażenie, jakby znali się wystarczająco długo, by toczyć pojedynek, do którego on nigdy nie ośmieliłby się stanąć ze swym ojcem.

Bohnen przyniósł trzeci kieliszek.

- Jamie wspomniał, że jego matka jest Angielką - powiedziała Victoria.

- Mollie bardzo lubiła o tym opowiadać. Prawda wygląda tak, że pojawiła się na świecie nieco wcześniej, niż przewidywali doktorzy. Podczas pobytu rodziców w Anglii. Tom budował fabrykę traktorów w pobliżu Bradford. Mollie urodziła się w wielkim domu w Wharfedale, w Yorkshire. Legenda głosi, że odbyło się to w obecności wiejskiej akuszerki, że Tom gotował wodę w rondlach, a za całe oświetlenie służyła lampa naftowa.

- Cóż za romantyczna historia. - Victoria zerknęła na Jamiego, który odpowiedział jej uśmiechem.

- Znasz tę część kraju, Victorio.
- Widziałam z okien pociągu, po drodze do Szkocji.
- To zbrodnia - stwierdził Bohnen. - Polowałem tam z psami, nie wiem już nawet jak często. Wspaniałe krajobrazy. A lubisz konie?

- Nieszczęśliwie - przyznała.

- Wiedziałem, że musisz mieć jakąś poważną wadę. - Bohnen uśmiechnął się. - Na szczęście jest to wada, z którą mój syn pogodzi się bez trudu. Pamiętam, jak po raz pierwszy posadziłem go na konia. Był malutki, ale wrzeszczał tak głośno, że stajnie omal się nie zawaliły. Słuchający opiekujący się psami na lisy przybiegł sprawdzić, czy nie pobiliśmy dziecka na śmierć. - Obrócił się ku synowi. - Pamiętasz, jak to było na farmie wuja Johna w Virginii?

- Wolę samoloty - przyznał nieco zawstydzony Jamie.

- Wie, jak unikać pytań, na które nie chce odpowiedzieć. Nauczył się tego od matki.

Jamie nalał sobie wina.

- Mój syn chodzi własnymi ścieżkami, Victorio. Być może odkryłaś już, jak potrafi być uparty. - Miał to być żart, ale kryło się w nim łatwo wyczuwalne upomnienie.

Victoria oparła dłoń na ramieniu Jamiego, który siedział wpatrzony w stół. Poczuvszy dotyk, podniósł głowę i uśmiechnął się.

- Nie chciał iść do Harvardu. Wybrał Stanford.

- Pozwolili mi zacząć rok wcześniej.

- Dużo ci z tego przyszło. - Bohnen uśmiechnął się chcąc pokazać, że pogodził się już z sytuacją. - Zdał maturę o rok wcześniej i o rok wcześniej poszedł na studia - wyjaśnił Victorii. - Potem wyrzucił karierę za okno i zaciągnął się do lotnictwa. Gdyby nie to, już byś praktykował, Jamie. Umieściłbym cię w którejś z najlepszych firm adwokackich Waszyngtonu lub Nowego Jorku.

- Chciałem latać.

- Niewykluczone, że byłbyś pułkownikiem w Korpusie Sądowym Lotnictwa. - Jamie nie odzywał się. - No, ale pewnie nie może się to równać z pilotowaniem P-51.

- Nie, panie pułkowniku, nie może.

- Po prostu muszę go podziwiać, Victorio. Chociaż nie ma zwyczaju słuchać moich rad. - Bohnen roześmiał się, jakby przyznawał się do słabości.

- A pan... czy słuchał pan rad ojca? - spytała Victoria. Wielokrotnie musiała znosić podobną krytykę ze strony matki, zawsze maskowaną troskliwością. I często, podobnie jak Jamie teraz, przekazywaną za pośrednictwem osoby trzeciej.

Bohnen zorientował się szybko w intencjach Victorii.

- Mam nadzieję, że my, Amerykanie, nie jesteśmy dla ciebie zbyt bezpośredni?

- Wróżka przepowiedziała mi kiedyś, że spotkam dwóch przystojnych, czarnowłosych mężczyzn o silnej woli.

- Ależ z pewnością nie wierzysz we wróżby! Taka rozsądna nowoczesna dziewczyna!

- Wierzę w to, w co chcę wierzyć - powiedziała z uśmiechem Victoria. - Z pewnością doskonale mnie pan rozumie.

- Dokładnie w ten sposób moi analitycy podchodzą do zdjęć lotniczych. Rozumiem cię, oczywiście, doskonale cię rozumiem.

Jamie obracał kieliszek w dłoniach. Widać było, że szykuje się do wyjścia.

- Skończ wino - poprosił go ojciec. - Nie wychodź, póki nie dokończysz Margaux.

Victoria usłyszała w jego głosie niepokój i nagle zrobiło się jej żal Bohnena. Wyraźnie widziała, jak rozpaczliwie pragnie on, by syn posiedział z nim jeszcze przez chwilę.

Jamie dopił jednak wino i wstał.

- Idziemy do kina - powiedział. - Jutro muszę wracać do bazy.

Ojciec nie zapytał, jaki film mają zamiar obejrzeć - na wypadek, gdyby było to tylko uprzejme kłamstwo. Syn chciał mieć dziewczynę dla siebie. Czemu nie?

- Bawcie się dobrze, Jamie.

- Miło było cię spotkać, tato.

- Uważaj na siebie. I ty, Victorio, też.

Victoria pocałowała go w policzek. Rozumie - pomyślał Bohnen. Dzieci przestają być dziećmi, ale rodzice nigdy nie przestają być rodzicami, kochającymi rodzicami. Na tym polega tragedia ich wzajemnych stosunków.

Podniósł ciężką teczkę i otworzył ją.

- Mam mnóstwo lektur na następne dwie godziny - wyjaśnił. - Nawet dobrze, że musicie lecieć. Macie do dyspozycji samochód. Kierowca zabierze was, dokąd chcecie. Jest przyzwyczajony do jazdy w nocy.

- Nie przepracowuj się, tato - powiedział Jamie, jego ojciec uśmiechnął się jednak, że zawartość teczki absorbuje go bez reszty.

- Tylko nie wpadnij w jakieś kłopoty tam, w Steeple Thaxed - dodał jeszcze, nie podnosząc wzroku znad papierów - albo mój generał żywcem obdrze mnie ze skóry.

Kiedy wychodzili, siedział z opuszczoną głową. Jamie cicho zamknął drzwi. Nie chciał go rozpraszać.

9. Kapitan James A. Farebrother

Madigan jako współlokator miał jedną poważną wadę: wszędzie rozrzucał swe rzeczy. Jamie rzadko widział własne łóżko; zawałone było stale pismami, płytami z ariami operowymi, sprzętem sportowym, kosmetykami: wodą kolońską, płynami na porost włosów, nie dokończonymi listami miłosnymi oraz przewiązanymi wstążeczką paczuszkami pończoch i słodyczy, które stanowiły nieodzowny atrybut życia miłosnego Vince'a Madigana.

W pierwszy poranek po zakończeniu bożonarodzeniowej przerwy 1943 roku obudził ich Myszką Mickey. Szukał papierosów.

- Co się tu dzieje? - spytał, rozglądając się po rozrzuconych przez Vince'a rzeczach. - Wygląda, jakbyście dostali ze stopiątki.

Do pokoju wszedł Winston i natychmiast zabrał się do obwąchiwania szafki Vince'a.

- Nie patrz na mnie - powiedział Jamie. - Wczoraj byłem w Londynie. Wróciłem o piątej nad ranem.

- Ja pojechałem do Cambridge. Motor mi wysiadł, spóźniłem się na ciężarówkę i musiałem wracać taksówką. Zapłaciłem siedem funtów.

- Jezu! - westchnął Vince, wylaząc z łóżka. - Siedem funtów! Za karton lucky strike'ów taksówkarz zabierze cię do Londynu i jeszcze znajdzie ci babkę!

- Takich kretyńskich uwag można się spodziewać tylko po oficerze prasowym - skrzywił się MM. - Nie miałem kartonu papierosów, durniu!

Madigan ziewnął i odsunął Winstona od swego tajnego zapasu słodyczy.

- Co się z tobą działo, Jamie? - spytał. - Widziałem, jak zbierasz z podłogi Earla Koenige, a potem oboje z Vicky zniknęliście z horyzontu.

- Hej! - wtrącił Myszka. - Ta Vicky! Ale babka! - Rękami narysował w powietrzu kształt klepsydry.

- Przez ciebie wpadłem w bagno - poskarżył się Madigan. Znalazł jedną skarpetkę, ale nadal szukał drugiej. - Zaraz po twoim wyjściu pojawiła się mała czarnulka. Vera dostała ataku furii. Gdyby nie MM, wysłałaby mnie chyba do szpitala. Prawda, MM?

- Vera jest w porządku - stwierdził cicho Myszka.

- Vera jest więcej niż w porządku - zaznaczył z naciskiem Vince. - To prawdziwy skarb. Przecież mówiłem ci, że to pewniak.

Myszka nie chciał słuchać, jakim to pewniakiem jest Vera.

- Pułkownik Dan cię szukał, Jamie - rzekł zmieniając temat.

- Osobiście?

Skinął głową.

- Co to znaczy sława - skomentował Madigan.

- Moim zdaniem uznał, że mogłeś lekko przesadzić i teraz chce się upewnić. - MM odkrył, że skarpetkę Vince'a podgryza cichutko Winston, zabrał mu ją i rzucił na łóżko. Jej właściciel nic nie zauważył.

- Przepustkę mam do dzisiejszego apelu - oświadczył Jamie.

- Chciał się upewnić, czy wiesz, że wisisz na tablicy.

Jamie skinął głową. Nie zaskoczyło go, że ma lecieć. Pilotów brakowało do tego stopnia, że pułkownik Dan i reszta wyższych oficerów grupy latała w każdej misji.

- Lot bojowy? - upewnił się.

- Nie ćwiczyliśmy do popisów - odparł MM. - Kto idzie na śniadanie?

Jamie zjadł śniadanie z Myszka; Vince'a wciąż szukającego skarpetki

zostawili w pokoju. Po śniadaniu grali w karty. Jamie wspomniał Vere, ale Myszka nie zachęcał go do zadawania pytań. Nie chciał, by ktokolwiek uznał, że musi zadowalać się resztkami ze stołu Vince'a Madigana. Za wiele krążyło żartów o jego dziewczynach, wystających w kolejkach pod bramą, czerwonoookich, z wielkimi brzuchami, żądających dopuszczenia przed oblicze kapelana.

Piloci spędzili rano w oczekiwaniu. Bombowce atakowały bazę marynarki w Kilonii. Cel był mocno broniony. 220. Grupie Myśliwskiej przydzielono jednak zadanie osłony bombowców podczas powrotu, na razie więc nie była potrzebna.

Zachowywali się ze sztuczną swobodą. Jak aktorzy amatorzy w kieszonkowej sztuce, trzymali w rękach książki i pisma nie czytając ich, palili nie zaciągając się, mówili nie słuchając innych. Pułkownik Dan, w ulubionej koszuli khaki z krótkimi rękawami, stał w rogu pomieszczenia, drapiąc się nerwowo po ramieniu oznaczonym już długimi czerwonymi śladami paznokci. Był z nim major Kevin Phelan, oficer operacyjny grupy. Rozmawiali na temat, który poruszali już wielokrotnie.

- W zeszłym roku Notre Dame miała najlepszy zespół w historii... Przepraszam, jeśli cię uraziłem, Kevin.

Major Phelan dotknął nosa, który złamano mu, gdy grał w Fighting Irish.

- Drugi w historii - sprostował z uśmiechem.

- Nie mówię o talencie zawodników, mówię o taktyce, o Clarku Shaughnessy i o tym, co zrobił dla dzieciaków z Uniwersytetu Chicagowskiego. - Pułkownik zerknął na zegarek i kontynuował: - Jesteś zbyt młody, by pamiętać, jak walczyli w Rose Bowl, po wygraniu wszystkich meczów w serii.

Major Phelan, który nie był bynajmniej za młody, by to pamiętać, powiedział:

- To był czterdziesty rok, ten sam, w którym Chicago Bears zli Redskins siedemdziesiąt trzy do zera. Ja tam byłem, pułkowniku. Widziałem ten mecz!

- Potem wszyscy trenerzy w kraju przeszli na formację „T”. A wdziałeś, jak szkoła rolnicza grała rok wcześniej, kiedy zdobyła mistrzostwo kraju? - Pułkownik znów zerknął na zegarek. Obaj doskonale wiedzieli, że rozmawiają tylko po to, by skrócić czas oczekiwania.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu - stwierdził Phelan.

- Powinniśmy eskortować ich nad celem - zdenerwował się pułkownik. - Czyżby ci ważniacy z pułku uznali, że nie nadajemy się do lotu z nimi przez całą drogę?

Phelan nie odpowiedział. Tymczasem pułkownik Dan wyjrzał przez okno i zobaczył, że Boogie Bozzelli podaje piłkę do swego najlepszego przyjaciela. Costello odrzucił mu ją płynnym ruchem.

- Czy ci faceci oszaleli? Grają w piłkę na deszczu?

Oficer operacyjny zachował się dyplomatycznie i nie zwrócił mu uwagi, że deszcz właśnie przestał padać.

- Pochodzą z Florydy, pułkowniku - powiedział tylko.

Pułkownik Dan uśmiechnął się. Obaj już dawno doszli do porozumienia, uznając, że wszyscy południowcy są odrobinę szaleni.

- Będziemy nad morzem przez prawie całą drogę - skrzywił się. - Cholerna kaszka z mlekiem.

- Tego wcale nie możemy być pewni, panie pułkowniku. Północna część wybrzeża to właściwie baza na bazie. Pamięta pan Bremę? Szkopy zaatakowały nas jak pszczoły piknik, gdy tylko się tam znaleźliśmy. - Phelan rozejrzał się po sali. - Kilka zestrzeleń podniosłoby ich morale - zakończył.

MM pólleżał w krześle. Nogi oparł na stole i udawał, że śpi. Earl Konige przeglądał broszurkę z sylwetkami samolotów. Rube Wein, pochylony nad stolikiem, studiował książkę „Wielkie partie szachowe wielkich mistrzów”, powolnymi ruchami przestawiając figurki na kieszonkowej szachownicy. Od czasu przyjazdu Jamie zamienił z nim zaledwie kilka słów. Rube praktycznie z nikim nie rozmawiał. W szkole sukcesy sportowe odnosił w dyscyplinach, w których zawodnik jest ze sobą sam na sam: w pływaniu, w skoku wzwyż. Był muskularny, czarne włosy

sczesywał do tyłu, tak że wyglądały jak lśniący hełm. Niektórzy uważali, że spędza samotnie długie godziny, bo przygotowuje się do doktoratu, który ma zamiar obronić, gdy tylko skończy się wojna. Inni twierdzili, że ma nierówne usposobienie i nie umie współżyć z ludźmi. Rację mogli mieć jedni i drudzy, w każdym razie Rube nie zachęcał do rozmów wykraczających poza tematy konieczne. Tylko Myszka potrafił jakoś się z nim porozumieć - żartowali nawet i śmiali się - ale teraz Myszka udawał, że śpi. Wein podniósł wzrok. Napotkał spojrzenie Jamiego, ale przyjrzał się kapitanowi obojętnie, jakby go nie poznawał, i wrócił do szachów.

Odprawa zakończyła się w południe, po czym piloci rozjechali się ciężarówkami do baraków poszczególnych dywizjonów, znajdujących się po błotnistej stronie lotniska. Stanowiska wyczekiwania znajdowały się obok strzelnicy, w cholernie zimnym miejscu, gdzie kałuże i rozmiękle błoto nie wysychały aż do lata.

Przyszła kolej na pobranie zaopatrzenia. Przy jednej ścianie magazynu znajdowały się półki, każdy lotnik miał też własny regał i starą metalową szafkę. Na regałach trzymali spadochrony, dingi, hełmy, gogle, maski tlenowe, kamizelki ratunkowe i kombinezony. Na Jamiego czekał sierżant magazynier z parą długich kalesonów, podartych i brudnawych; mimo wszystko był jednak zdania, że tam, wysoko, mogą się bardzo przydać. Jamie skorzystał z jego rady.

Sierżant kwaterował w małym pokoiku w drugim końcu baraczku. Wyglądał na ofiarę ciężkiego zaziębienia, oczy miał czerwone i załzawione, a nos zatkany do tego stopnia, że utrudniało mu to mówienie.

- Uważajcie, gdzie kichacie - warknął na niego major Tucker. - Nie chcę, żebyście siali te swoje zarazki po dywizjonie.

Z drugiego końca sali dobiegł śmiech Rube'a Weina, major jednak wcale nie żartował.

- Kto się roześmiał? - rzucił gniewnie i jakby nie oczekując odpowiedzi mówił dalej. - Przez te infekcje tracimy tysiące osobogodzin dziennie!

- O, do diabła! - zaklął MM z udaną złością. - A nie mówiłem, że te cholerne zarazki to prawie naziści.

Tucker odwrócił się, popatrzył na niego, pociągnął nosem i spojrzał na Jamiego. Major był trzydziestoletnim absolwentem West Point. Starszy od większości pilotów, z falującymi jasnobrązowymi włosami i cienkim wąsikiem sprawiał wrażenie dandysa. Za plecami nazywano go „kelnerem od win”. Wyniosły sposób bycia, chłodna pedanteria i emanująca z niego atmosfera wyższości czyniły z Tuckera człowieka wyjątkowo mało popularnego. Plotka głosiła, że będzie latał z grupą tylko dopóty, dopóki nie dostanie stanowiska w sztabie.

- Proszę wyjąć z kieszeni wszystkie przedmioty osobiste, kapitanie Farebrother. Zna pan regulamin.

Jamie schował do szafki portfel, fotografie matki i siostry, kilka listów oraz drobne pieniądze. Zamknął pocięte drzwi.

Dowódca obserwował go uważnie.

- Jest może klucz do tej szafki? - spytał Jamie.

Tucker nerwowo przyglądał wąsiki.

- Należała do pilota z eskadry B. Spadł do Kanału z kluczykiem w kieszeni. Wyważyliśmy drzwiczki łyżką do opon, żeby móc wysłać do domu jego rzeczy. Lepiej zostawcie szafkę otwartą. Sierżant jest tu przez cały czas. Odszedł.

Jamie wyjął z powrotem buteleczkę aspiryny, kilka banknotów dolarowych i kieszonkowe wydanie „The Last Time I Saw Paris” Elliota Paula. Ukrył te skarby w kieszeni.

MM obserwował go uważnie.

- Problem w tym - powiedział - że ciepłe rzeczy za bardzo rzucają się w oczy, żeby w nich uciec.

- Mam na sobie wszystko - odparł Jamie. Czuł się głupio, ledwie mógł chodzić.

- Nie ma sprawy, póki nic cię nie uwiera. Dodatkowe gatki mogą nawet poprawić ci humor, tym bardziej że w niektórych maszynach nie

działa ogrzewanie. Mustangi projektowano dla RAF, a ci cholerni Angole po prostu nie czują chłodu.

Sierżant wręczył Jamiemu zestaw przetrwania, składający się z zagranicznych banknotów, kolorowych map drukowanych na kawałkach jedwabiu, starawej kostki prasowanych daktyli, które podobno były bardzo pożywne i miały wspomagać kaloriami wiejącego pilota. Większość obecnych miała rewolwery w kaburach podramiennych, Jamie zostawił jednak swego colta w szafce, wraz z zapasowym magazynkiem, również częścią zestawu. Zacisnął pasy maewestki.

- Nie bierzecie broni? - zdziwił się sierżant.

- Jest ciężka, a ja i tak bardzo kiepsko strzelam.

Sierżant pomógł mu dopiąć sprzączki spadochronu.

- Przypilnuję jej panu, panie kapitanie - obiecał. - Pełno tu ludzi, którzy sprzedaliby matkę za takiego automatycznego colta.

Jamie pochylił się. W ten sposób sprzączki zostały dopięte wygodnie do pozycji siedzącej, jaką miał zająć w kokpicie.

Earl Koenige, gotów już od jakiegoś czasu, obserwował swego nowego skrzydłowego wszystkowiedzącym okiem debutantki na pokazie mody.

- Słyszałem, że zna się pan na prawie i w ogóle, kapitanie? - spytał podchodząc.

Jamie spojrział na niego, zastanawiając się, kto mu o tym powiedział. Earl Koenige był jasnowłosym chłopcem o szczerzej twarzy, miał wielkie stopy i cechował go ten rodzaj niezręczności, który często widzi się u dzieci dorastających na farmach. Lata nauki, których armia wymagała od kandydatów na pilotów, spędził w szkole rolniczej.

- Potrzebuję rady - wyznał Earl. Siedzieli obok siebie podczas śniadania, ale wtedy nie powiedział ani słowa.

- W jakiej sprawie? - spytał Jamie tonem nie zdradzającym szczególnego entuzjazmu.

- Półtora roku temu pożyczyłem szwagrowi dwa tysiące dolarów. Chciał kupić kawałek ziemi, ma kurzę fermę w Athens, w Georgii, niedaleko miejsca, gdzie dorastałem. Sądził, że dostanie kontrakt na dostawę dla armii, która utrzymuje tam bazę. Obiecał, że będę jego współnikiem.

- Jakiego rodzaju współnikiem? - Jamie rozpiął jedną ze sprzączek. Mógł się teraz wyprostować. - Dziękuję, sierzancie.

- Nie odpowiada na listy. Nie chcę martwić rodziny, ale siostra też nie pisze. Myśli pan, że potrzebuję prawnika?

- Masz coś na piśmie, Earl?

- Wystawiłem mu czek. Chyba jest na nim podpis szwagra.

Szefowie mechaników zapalali już silniki samolotów. Barak zatrzęsł się, kiedy uderzyło w niego powietrze poruszone śmigłem któregoś z mustangów. Zadygotały ściany.

- Załogi do maszyn! - krzyknął od drzwi major Tucker.

Myszka klepnął Earla po ramieniu.

- Idziemy, panowie - powiedział.

Na pilotów czekały już dżipy mające zawieźć ich do stojących niedaleko maszyn. W samochodach nie było wiele miejsca, sadowieniu się w nich towarzyszyły dość grube żarty.

- To wszystkie moje oszczędności - dodał jeszcze Earl. - Myślałem, że po wojnie będę miał od czego zacząć.

- Może zawiniła poczta - pocieszył go Jamie. Podeszedł do przodu, do miejsca obok kierowcy.

- To moje miejsce - powstrzymał go Earl.

Jamie wysiadł, cofnął się i wcisnął obok Rube'a i Myszkki. Earl obrócił się i kontynuował rozmowę.

- Minęło już półtora roku.

- Zmieniałeś adresy. Centrum werbunkowe, kursy: wstępny, podstawowy i zaawansowany dla jednomotorowców, przydział do grupy, wyjazd do Europy. Pewnie gonią cię całe worki poczty.

Earl skinął głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

Kierowca włączył silnik. Sierżant z magazynu skinął Jamiemu głową.

- Powodzenia, panie kapitanie - powiedział, świadom, że jest to pierwszy lot bojowy kapitana Farebrothera.

Jamie pomachał mu dłonią i dzcip ruszył z rykiem silnika. Opony szumiały na mokrym asfalcie obwodnicy.

W powietrzu unosił się zapach świeżo ściętej trawy i wysokooktanowego paliwa. Od tej mieszanki kręciło się w głowie.

- Mickey twierdzi, że mogę dostać nakaz - mówił dalej chłopak. - Mówi, że powinienem napisać do jego banku.

- Wydaje mi się to wyjściem ostatecznym - odparł Jamie. Rozglądał się wokół okiem turysty. Po raz pierwszy mógł posmakować wojny i nie miał zamiaru utracić nic z tej chwili, a już zwłaszcza nie chciało mu się dyskutować o udziałach w kurzej fermie.

- Może to niewiele forsy dla kogoś takiego jak pan - stwierdził Earl, najwyraźniej urażony. - Ale ja straciłem wszystkie oszczędności oraz to, co zostawiła mi ciotka.

- Dwa tysiące to kupa forsy - próbował ułagodzić rozmówcę Jamie, ale chłopak udał, że pogrążony jest w studiowaniu mapy i nie zareagował.

Dzipy dotarły na miejsce. Zatrzymały się pomiędzy maszyną Earla i „Kibitzerem”, którym miał lecieć Jamie. Piloci zaczęli wyskakiwać z samochodów na śliską trawę, omal nie przewracając się pod ciężarem spadochronów. Jamie usłyszał plusk - udało mu się wdepnąć w błotnistą kałużę. Mimo że ubrany był ciepło, chłodny, przesycony wilgocią wiatr przeszył go niczym ostrze sztyletu.

Na skrzydle „Kibitera” stał sierżant Gill; to on już wcześniej uruchomił silnik. Głowę chował głęboko w kołnierzu wojskowej kurtki. Na widok pilota otworzył kokpit. Maszyna nie była bynajmniej stara, ale fatalna brytyjska pogoda spowodowała, że spod matowej szarej farby wyglądał gdzieś metal. Przez skrzydła, od uchwytych karabinów

maszynowych, biegły ciemne plamy, a powierzchnia blachy ujawniała świeżo załataną i pomalowaną przestrzeliny.

- Cześć, kapitanie. - Sierżant wyciągnął dłoń, pomagając pilotowi dostać się do kokpitu. Podtrzymał Jamiego, podczas gdy ten zapinał sprzączki na udach i zajmował miejsce. Położył zwinięty spadochron na metalowym siedzeniu, po czym wcisnął do środka dingi, na której miał siedzieć. Trzeba było wiedzieć, w jakiej pozycji umieścić zbiornik ze sprężonym powietrzem, by nie przeszkadzał podczas lotu.

Cztery mustangi eskadry A, dowodzonej przez Myszkę, stały w szeregu tuż obok obwodnicy lotniska. Ściana z worków z piaskiem chroniła maszyny przed atakiem z niskiej wysokości, który nigdy dotąd nie nastąpił; w wielu miejscach była zresztą dziurawa. Przy zamkniętym końcu dispersalu załoga naziemna urządziła sobie schronienie z wielkich pak i arkuszy blachy falistej. Pomiedzy tymi budami wiły się odbite w błocie ślady, omijające co głębsze kałuże. Wiszące w powietrzu przewody dostarczały elektryczności do pozbawionych okien baraków, w których teraz płonęło żółte światło, przedostające się w ten chmurny dzień na zewnątrz przez szczeliny w niedbale dopasowanych deskach, arkuszach blachy i płótnie.

Najbliżej maszyny Jamiego stał „Happy Daze” Earla Koenige, z wymalowaną na nosie niedbale odzianą panienką i butelką whisky. „Myszka Mickey II” Myszki ozdobiona była wizerunkiem filmowego gryzonia uzbrojonego w sześciostrzałowce, w wielkim kowbojskim kapeluszu. Na „Kibitzerze” widniała przepięknie wymalowana naga dziewczyna, skryta częściowo za rozłożonymi kartami. Maszyna Rube'a Weina była w porównaniu z pozostałymi niezwykle wręcz skromna, jako że miała tylko starannie wykaligrafowaną nazwę „Daniel”. Irlandzki szef jej mechaników zwał ją „Danny”. Jamie podejrzewał jednak, że Rube wybrał sobie to imię na dowód własnych poszukiwań duchowych, jako że po hebrajsku Daniel oznacza: „Pan jest moim sędzią”.

Sierżant Gill tymczasem doszukał się klamer pasów barkowych i pomógł Jamieu je zapiąć. Należał do tego rodzaju mechaników, którzy nie wierzą, by pilot był w stanie cokolwiek zrobić dobrze.

- Włączyć maskę tlenową, mikrofon i słuchawki - mruknął, po czym przyglądał się, sprawdzając, czy polecenie zostało wykonane prawidłowo. - Regulator mieszanki wyłączony, regulator kontroli skoku na maksimum. Pół cała gazu. Czy dziś startujecie w parach?

Jamie poczuł przyływ paniki.

- Nie wiem - wyznał.

- Na obwodnicy proszę trzymać się za porucznikiem Koenige - poradził sierżant. - Potem niech pan robi wszystko to, co zrobi porucznik Morse i jego skrzydłowy. Będzie mnóstwo czasu na sformowanie szyku.

- Dziękuję, sierżancie. - Jeden popełniony w tym momencie błąd mógł opóźnić całą grupę.

- Najlepszy pilot w bazie potrzebuje najlepszego szefa mechaników. Wystarczy mi odrobina czasu i być może będziemy mieli także najlepszą maszynę. - Gill pochylił się i klepnął namalowaną dziewczynę w goły tyłek.

- Silnik pracuje niezłe.

- Oficer techniczny twierdzi, że w niektórych maszynach występują problemy ze sprężarkami. Nie znalazłem niczego, ale jeśli zaczniesz przerywać, niech pan lepiej zawróci.

- A jeśli będę daleko od domu?

- Niech pan zmniejszy ciśnienie w kolektorze i leci ostrożnie, rozglądając się za dużym polem. - Klepnął Jamiego po ramieniu. - Z tą maszyną nie będzie pan miał żadnych kłopotów, kapitanie. Tylko niech pan uważa z pełnym zbiornikiem głównym. Ciężki ogon nie sprzyja akrobacjom w pańskim stylu.

Jamie sprawdził wskazania przyrządów, a potem zerknął na grzbiet dłoni, na notatki, które zrobił niezmywalnym ołówkiem podczas odprawy.

Gdyby dostał się do niewoli, miał je zlizać ze skóry. Spojrzał też na zegarek. Stoi? Nie, kiedy podniósł go do ucha, usłyszał tykanie.

- Pułkownik Dan jest już na pasie - poinformował go Gill. Stojąc na skrzydle, na palcach, dobrze widział prawie całe lotnisko.

Jamie włączył iskrownik oraz akumulator, a następnie nacisnął jednocześnie starter i włącznik pompy paliwowej. Jęknął rozrusznik, pierwszy cylinder załapał z hukiem wystrzału. Śmigło zrobiło pół obrotu i zamarło. Już, już wydawało się, że silnik nie zapali, ale... Tak - paliwo! Podpompował je energicznie. Rozległ się drugi huk, trzeci, i nagle metalową konstrukcją samolotu przeszył ryk tysiąca furii, a śmigło obróciło się szybciej, zawirowało i zmieniło w szary dysk.

Lekko poruszył dźwignią gazu, wsłuchując się w zmianę tonu wielkiego merlina. Piętami wyczuwał wibrację maszyny. Zerknął na sierżanta Gilla, który skinął głową, wyrażając aprobatę dla dźwięku silnika. Machnął ręką; sierżant zeskoczył na trawę. Zwolnił hamulce. Odczekał, aż śmigło wgryzie się w zimne powietrze i pociągnie maszynę. Po jego lewej ręce „Happy Daze” Earla Koenige wytaczał się na obwodnicę, więc lekko docisnął hamulce, ustawiając się za nim.

Eskadra A miała dziś lecieć w pozycji „Blue”. Cztery maszyny posuwały się w linii za eskadrą Tuckera, w odległości mniej więcej stu pięćdziesięciu metrów. Stojący na krańcu pasa startowy wymachiwał chorągiewką, puszczając samoloty tak szybko, jak tylko było to możliwe. „Pilgrim” pułkownika Dana był już w powietrzu; za nim kolejne samoloty wspinały się do nieba po tej samej niewidzialnej rampie. Earl skręcił z drogi kołowania na pas. Jamie zatrzymał się obok niego. Czuł, jak koła zjeżdżają z gładkiego asfaltu, stukają po krawężniach betonowych płyt.

Zerknął na Earla. Teraz, kiedy znalazł się sam, z dala od przyjaciół, chłopak siedział za sterami ze znieruchomiałą, napiętą twarzą. Odważym się spojrzeć na Jamiego, ale w żaden sposób nie dał po sobie poznać,

że go zauważa. Domknął osłonę. Jamie uczynił podobnie, szczęśliwy, że nie musi czekać na start na zimnym, wilgotnym wietrze. Niebo wydawało się już pełne samolotów.

Na południu pułkownik Dan, który wystartował pierwszy, wykonywał właśnie skręt. Maszyny powoli formowały szyk. Cały pierwszy dywizjon był już w powietrzu. Oficer startowy wymachiwał chorągiewką, samoloty pędziły po pasie dwójkami niczym dzieci trzymające się za rączki.

Nadeszła ich kolej. Z widokiem do przodu całkowicie zasłoniętym przez wzniesiony nos mustanga, z widokiem na boki całkowicie zasłoniętym skrzydłami popędzili przed siebie w odpowiedzi na gorączkowy sygnał chorągiewki. Silnik ryknął pełną mocą, kadłubem wstrząsnęła nasilająca się wibracja. Nagle drzenie ustało, koła pomknęły gładziej i „Kibitzer” z lekkim podskokiem znalazł się w swym żywiole - w powietrzu. Kilka baraków i miasteczko namiotów przesunęły się pod jego brzuchem.

Jamie zawrócił w ślad za maszyną Earla; był to bardzo lekki skręt, po którym zgrabnie dołączyli do prowadzącego dywizjonu. Wystarczyły trzy nawroty, by wszystkie trzy dywizjony ustawiły się w luźnym szyku, kierując się na wschód i w górę, ku grubej warstwie chmur, pozornie tak bliskich, że niemal można było dotknąć ich ręką.

O wątpliwościach, jakie pułkownik Dan żywił wobec umiejętności pilotów swej grupy, najlepiej świadczyło to, że postanowił przez chmury przejść w szyku. Bardziej doświadczone zespoły pokonywały je dwójkami i jakoś nikt się nie gubił.

Każdy samolot nawiązuje kontakt z otaczającym go żywiołem na swój własny sposób. Leciutkie treningowe dwupłaty, niewiele większe niż latawce z silnikiem, kiwają się niepewnie na wietrze, przez który

wielkie pasażerskie maszyny przelatują gładko i dostojnie niczym luksusowe transatlantyki. Samoloty myśliwskie to jednak twory odmienne od wszystkiego, co lata. Projektowane w jednym celu, są tak nienaturalne jak zapaśnicy sumo lub kastraci. Samolot myśliwski to w zasadzie pocisk sterowany przez człowieka. Pilot siedzi w nim na silniku jak czarownica na miotle.

Jamie troskliwie prowadził pełnego temperamentu „Kibitzera” przez gęstą szarą zupę, nie spuszczać wzroku z maszyny Earla, trzymając się blisko niej. Solował w wieku lat szesnastu, kiepska pogoda go nie przerażała, jednak nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak paskudnymi warunkami - z frontami jak ściana i zachmurzeniem sięgającym chyba Pana Boga w niebiosach.

Nadal się wznosili. Earl odsunął się od niego, rozluźniając szyk - w końcu lecieli przecież w chmurach wraz z pięćdziesięcioma innymi maszynami. Przerażony, że się zgubią, Jamie przyspieszył i zbliżył się do „Daze”. Dostrzegł, że jego pilot odwrócił głowę i pomachał mu dłonią. Być może chciał dać skrzydłowemu do zrozumienia, żeby się nieco odsunął, ale nie widząc innych maszyn Jamie trzymał się go jak przyklejony. Jakim cudem chłopakowi udało się unieść rękę? On sam musi przecież jedną trzymać drążek, drugą bezustannie manewrować manetką gazu, inaczej nie utrzymałby się na pozycji! Rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł nikogo. Zupełnie jakby na całym świecie byli tylko oni dwaj.

Przez chmury przebili się wreszcie na wysokości dwudziestu pięciu tysięcy stóp. Oceniający wypiętrzenie meteorolodzy pomylili się o trzy tysiące stóp, ale ulga była tak wielka, że nikt się na nich nie skarżył. Jamie rozglądał się dookoła; musiał mrużyć oczy. Takiego słońca nie widział od czasu wyjazdu ze Stanów. A jednak nawet tu, w anonimowej przestrzeni nad chmurami, wydawało się ono obce. Nad amerykańskimi lotniskami treningowymi słońce nigdy nie świeciło nad taką kotłującą

się, poszarpaną wiatrem masą, nigdy też, nawet w środku zimy, nie stało w południe tak nisko nad horyzontem.

Teraz, w pełnym świetle, nietrudno już było utrzymać się w szyku za „Happy Daze”. Earl był pilotem tak doskonałym, że niemal niósł go ze sobą. Po lewej ręce Earla „Myszka Mickey II” prowadził eskadrę, wyprzedzając „Daniela” - był jakby palcem wskazującym, jeśli pozostałe jej maszyny uznać za palce. Żaden z pilotów nie dorównywał Earlowi Koenige lekkością i wdziękiem, ale szyk trzymali niezły, zwłaszcza w porównaniu z tym, co wyprawiali inni.

Major Tucker prowadził dywizjon niżej. Pułkownik Dan leciał na czele swojego na ich pułapie, a szesnastu pilotów trzeciego dywizjonu znajdowało się jakąś milę dalej i wyżej, od strony słońca.

Jamie włączył radio. Na żadnym kanale nie słyszał nic oprócz trzasku wyładowań. Potem raz za razem trzej piloci zameldowali „Slingshot” (czyli dowódcy) konieczność powrotu do bazy z powodu awarii. Trzy maszyny zapasowe zajęły ich miejsca w szyku, a trzy inne, już niepotrzebne, zawróciły również.

I na tym na razie skończyły się atrakcje. Pilotów czekał teraz długi lot. Jamie obserwował zegarek, a kiedy opróżnił nieco główny zbiornik paliwa, przełączył się na zbiorniki dodatkowe. Pozycję piloci mogli określać jedynie na podstawie upływu czasu, gdyż od ziemi oddzielała ich wciąż nieprzenikniona warstwa chmur.

Pierwszą oznaką, że znaleźli się nad Wyspami Fryzyjskimi, był wysoki, zgrzytliwy pisk w słuchawkach - elektroniczny dźwięk niemieckich radarów. W dwie minuty później pojawiły się czarne obłoczki - to sterowane radarem działa przeciwlotnicze otworzyły ogień. Ohydne kalfiory dymu rozkwiły niemal tysiąc stóp pod lecącymi, pułkownik Dan zmienił jednak kurs sygnalizując radarzystom wykonanie gwałtownego uniku. Podstęp najwyraźniej się udał, ponieważ kolejne salwy wybuchają na tej samej wysokości.

Wkrótce zostawili za sobą silnie bronione wyspy i ogień artylerii przeciwlotniczej ustał. Grupa doleciała na miejsce spotkania w pobliżu niemieckiego wybrzeża cztery minuty przed czasem, nie dostrzegła jednak śladu powracających bombowców. Zadowolony z okazji do penetracji przestrzeni powietrznej wroga, pułkownik poprowadził swe maszyny dalej.

Układ frontów powietrznych nad Bałtykiem spowodował przerwanie zasłony chmur. Od czasu do czasu dostrzegali więc płaskie szarzielone pola Szlezwika-Holsztynu. Widzieli nawet daleki brzeg i wkrótce radio ożyło wezwaniami pilotów, którzy dostrzegli na horyzoncie cienkie białe smugi, nakrapiane czarnymi kropkami wybuchających pocisków.

Bombowce spóźniły się nad cel i zawracały dopiero teraz.

- „Slingshot”, tu „Sparkplug Blue Two” - rozległ się jak zwykle spokojny, równy głos Rube'a Weina. - Duży przyjaciel, godzina dziewiąta, bardzo nisko.

Podczas gdy wszyscy szalenie zajęci byli wypatrywaniem maszyn daleko na horyzoncie, Rube dostrzegł fortecę wracającą do domu tuż nad ziemią.

- „Sparkplug Leader”, tu „Slingshot”. Wyznacz eskadrę do osłony kaleki.

- Zrozumiałem, Wiko* - rzekł major Tucker. - „Sparkplug Blue Leader”, tu „Sparkplug Leader”. Weź swoją eskadrę i odprowadź przyjaciela do domu.

* Wiko w transmisji radiowej oznacza gotowość wykonania rozkazu (przyj. tłum.).

W radiu rozległ się podwójny trzask - to Myszka dwukrotnie przełączył przycisk nadawania, sygnalizując odbiór rozkazu i natychmiast wykonał przewrót. Pozostali trzej piloci znurkowali za nim i zadowoleni z szansy polatania sobie runęli w dół, aż wskazówki wysokościomierzy zatańczyły szaleńczo. Z nurkowania wyszli tuż nad ziemią.

Pod nimi przemknęła wioska, wysoka wieża kościoła. Naprzeciw koraliki jaskrawego światła - lekki ogień przeciwlotniczy. Widzieli już dużego przyjaciela; B-17 leciał przed nimi - czarna sylwetka na tle różowego na zachodzie nieba. Kiedy zbliżali się do wybrzeża, dostali się pod nieco cięższy ogień, czterdziestomilimetrowe działa dodały czerwone nitki do srebrzystych nitek dwudziestek, pociski świetlne łagodnym łukiem poszły jednak w niebo, po czym przemknęły bezpiecznie wysoko.

Nagle pejzaż zmienił się. Stareńki autobus, paru rowerzystów, nowoczesny hotel, wstążka piaszczystego wybrzeża i już byli nad morzem.

Z tej wysokości wszystko wyglądało inaczej. Morze, lśniące jak wilgotna stal w promieniach zachodzącego słońca, rozciągało się szarą płaszczyzną aż do miejsca, w którym łuk cumulonimbusów oznaczał czoło frontu atmosferycznego. Ciężko okaleczony bombowiec szerokim łukiem ominął przybrzeżne wyspy, broniące północnych wybrzeży Niemiec i Holandii. Ten dłuższy kurs miał jednak niebezpiecznie zbliżyć maszynę do złej pogody.

Cztery mustangi zaczęły zygzakować wokół bombowca. Ustawivszy mieszankę na najuboższą, piloci nerwowo obracali głowy, szukając zaczajonych nad sobą Niemców.

O kadłuby samolotów uderzył deszcz. Temperatura spadła, a ciepło w kokpitach spowodowało zaparowanie szyb. Jamie przetarł je ręką w rękawicy, zauważył przy tym, że Earl robi to samo. W wilgotnym powietrzu silnik zmienił ton, ale bogatsza mieszanka spowodowała, że natychmiast wyrównał.

- „Sparkplug Blue Leader”, tu „Sparkplug Blue Two”. W wodzie coś jest. Mogę się przyjrzeć?

- Jasne - odparł Myszka. - „Sparkplug Blue”, wyrzucieć maluchy.

Wszystkie cztery mustangi odrzuciły dodatkowe zbiorniki paliwa. „Daniel” skręcił ostro i oddalił się, lecąc nisko nad wzburzonym

morzem. Pozostałe maszyny nadal zygzakowały - tylko w ten sposób udawało się im nie wyprzedzić ochranianego powolnego bombowca. Trzymali się od niego z daleka, dając załodze czas na przyjrzenie się im i zrozumienie, że ma do czynienia z przyjaciółmi. Próby skontaktowania się z nią na częstotliwości awaryjnej spełzyły na niczym.

Minęła ich skotłowana, biała fala, po czym mrok rozjaśniły pociski świetlne mknące w stronę morza. Rube Wein do czegoś strzelał i coś strzelało do niego. Był to wielki wodnopłat heinkel, pomalowany na szary kolor zimowego morza. „Daniel” zawrócił do kolejnego ataku. Heinkel próbował wystartować, ale nie mógł jakoś oderwać się od falującego morza. Został trafiony w kadłub; w powietrze trysnęły srebrne iskry... I już nie odpowiedział ogniem.

„Daniel” zawrócił i jeszcze raz zaatakował powolny wodnopłat. Morze wokół heinkla zagotowało się od przeszywających je kul. Zbiorniki w pływakach zapaliły się nagle i samolot wybuchł kulą ognia. Rube wyleciał z chmury dymu, skręcił ze skrzydłami niemal w pionie, okrążył wrak i dołączył do eskorty okaleczonego bombowca.

Nikt przez radio nie gratulował mu zwycięstwa. Zajął swą zwykłą pozycję skrzydłowego Myszki, dołączył do rytmu powolnych zygzaków. Kiedy załoga bombowca przywykła do obecności eskorty, myśliwce zbliżyły się nieco.

Bombowiec „Clarissa Mine” został ciężko uszkodzony przez ogień artylerii przeciwlotniczej. Pociski wyrwały najeżone ostrą blachą dziury w kadłubie; każda z nich świeciła srebrną blizną, którą rozgrzany do czerwoności metal wypala w farbie ochronnej. Rany te widoczne były wszędzie - od wzniesionego nosa po wielki ogon. Nikt nie obsługiwał kiwających się leniwie tylnych karabinów maszynowych, wieżyczki były puste i martwe. Tylko w kabinie dały się dostrzec ślady życia - drugi pilot powoli uniośł dłoń w geście powitania.

Teraz, kiedy miał już eskortę i kiedy zmniejszyło się ryzyko ataku niemieckich myśliwców, pilot fortecy podjął próbę zyskania wysokości. Jego maszyna była jednak zbyt okaleczona; drżała i pojękiwała przy każdej kolejnej setce stóp. Nieco powyżej dwóch tysięcy nic się już nie dało zrobić i bombowiec wyrównał kurs.

Lewy silnik zewnętrzny od dłuższego czasu gubił olej; na jego skrzydełkach, poruszających się w pędzie powietrza, pojawiały się i znikwały czarne plamy. Spod pokrywy wydobywał się dym. Pilot próbował użyć chociaż odrobinę ciągu ustawiając skok śmigła, póki jeszcze jako tako się kręciło, niewielki był jednak z tego pożytek, silnik bowiem musiał dostarczyć mu mocy, a tego nie był w stanie dokonać. Na oczach eskorty obluzowana pokrywa załopotała na wietrze i oderwała się, wysadzona szczątkami silnika, przesywającymi powietrze niczym pociski. Za silnikiem poszło śmigło wyrwane z łożyska i wirujące niczym batuta prowadzącej orkiestrę dziewczyny.

Obaj piloci bombowca nie mieli już czasu na pozdrawianie eskorty. Walczyli rozpaczliwie o ocalenie samolotu, załogi, samych siebie. Mieli jeszcze do pokonania spory kawałek morza, a zaczynało się już ściemniać.

Jakimś cudem forteca wciąż utrzymywała wysokość, nadal parła przed siebie z drugim silnikiem groźnie dymiącym, z opuszczonym skrzydłem, ze sterem skrzyconym okrutnie przez pilotów wiszących na wolantach i rozpaczliwie próbujących utrzymać kurs. Zataczając się i pojękując, wielki boeing pokonywał milę za milą.

Najpierw dostrzegli ścianę - wielki, solidny, jednolicie szary cumulus, pokrywający Anglię jak dach domu. Słońce padało tylko na jego górną warstwę; skłębione chmury wymalowane były wszystkimi barwami zachodzącego słońca, zbyt ostrymi jak na Turnera, pozbawionymi wulgarności Rubensa. Być może Tintoretto lub Veronese widzieli je tak - pomyślał Jamie, lecz niemal w tej samej chwili znalazł się tak blisko,

by uznać, że to po prostu gigantyczna porcja lodów owocowych ozdobionych miodem, syropem wiśniowym i cząstkami pomarańczy.

Kiedy nalecieli na ląd, Jamie uwierzył wreszcie, że uratowanie bombowca jest możliwe. Wybrzeże usiane wręcz było lotniskami awaryjnymi, dysponującymi pasami o szerokości wystarczającej dla bombowców; lotniskami, na których samoloty z zablokowanymi sterami kierunkowymi siadać mogły praktycznie od każdej strony.

„Clarissie Mine” nie było jednak dane dotrzeć do żadnego z nich. Nikt na jej pokładzie nie miał czasu, energii ani zapału do szukania odpowiedniego do lądowania miejsca. Pilot zaczął obniżać wysokość, nim jeszcze maszyna dotarła do wybrzeża. Myszka wyrwał nieco do przodu, by znaleźć lądowisko, „Clarissa” jednak opuściła nos jeszcze nad wodą. Nie mogła za to opuścić podwozia - niemiecka artyleria pozbawiła ją hydrauliki.

Systematycznie obniżala wysokość. Niecierpliwie przeciągała brzuchem po czubkach wyższych drzew. W gęstniejącym mroku trawa wydawała się szara, drzewa zaś i krzaki tkwiły w plamach cienia znacznie dla siebie za dużych. Bombowiec znów opadł o kilka stóp, a wokół niego cztery mustangi uwijały się jak druhny na weselnym przyjęciu.

Spadał wciąż. Cień wzniosł się ku niemu, jakby chciał objąć jego ranne cielsko.

Wreszcie nastąpił upadek. „Clarissa” ryła sobie drogę przez krzaki i żywopłoty, przez dróżki, płoty, przez mniejsze drzewka. Pocięte śmigłami rośliny unosiły się wokół jak chmara szarańczy, silnik odpadł i wyrwał długą bliznę w ziemi. Skrzydło uderzyło w ceglanań stodołę i zostało równiutko wyrwane z kadłuba, stodoła zaś legła w gruzach.

„Clarissa” znieruchomiała w końcu z nosem w żywopłocie i ogonem blokującym gruntową drogę do jakiejś farmy. Przez pola biegli ku niej ludzie, drogą nadjeżdżało kilku rowerzystów. W chmurze opadającego

pyłu nie było jednak widać żadnego ruchu; kadłub zdawał się martwy, tylko gdzieś w oddali z oberwanego silnika ciągle unosił się dym.

- Cholera! - zaklął Myszka. - Po kiego diabła to zrobiłeś, Rube?

Temperamenty wrzały od momentu wylądowania; piloci porozumiewali się zaledwie chrząknięciami i krótkimi rozkazami, niezbędnymi ze względu na obecność mechanika i oficera wywiadu. Kiedy jednak MM się wściekł, nikt nie mógł przeoczyć tego faktu.

- Co zrobiłem? - Rube nerwowym gestem odgarnął z czoła pasmo czarnych włosów, twarz jednak miał spokojną, a w oczach wyraz lekkiego rozbawienia i pogardy.

- To był samolot ratunkowy - powiedział Earl Koenige.

- To też gówno. - Wein oparł się o ścianę, przybierając wystudioną pozę znudzenia. Zażyta przed lotem benzedryna sprawiła jednak, że był napięty, niespokojny; bawił się zamkami kurtki i bezustannie spletał dłonie gestem, który można by uznać za modlitewny.

- Wyławiał z morza pilotów - dodał Earl.

- I to cię martwi?

- Taaak. - W leniwym głosie mówiącego rozlewnym południowym akcentem chłopaka brzmiało wyraźne ostrzeżenie. - Tak, martwi.

- A może wyobraziłeś sobie, że tam siedzi twój krewny? Masz krewnych w Luftwaffe, Earl?

- Weź na wstrzymanie, Rube - wtrącił MM.

- Wuj Sam płaci mi trzysta dolców miesięcznie za strzelanie do Niemców. To co mam robić, nie strzelać?

- Wodnopłaty mają oznaczenia Czerwonego Krzyża - przypomniał mu Myszka. - Być może wyławiał z wody naszych ludzi.

Rube wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił bez pośpiechu.

- Być może utopiłeś naszych chłopców - zawtórował dowódca Earl. Rube obrócił się w jego kierunku.

- Nie wciskaj mi tego kitu, ty cholerny świętoszkowaty mały szkopie. Gdybyście, chłopcy, pierwsi dostrzegli tego gościa, zwalilibyście go dokładnie tak samo jak ja. Nie udawajcie świętych tylko dlatego, że wróciliście dziś nie wystrzeliwszy ani razu.

- Ja jestem dowódcą eskadry, Rube - powiedział cicho Myszka. - Wywiałeś załatwić tego Huna, bo wiedziałeś, że gdybyś o nim zameldował, dałbym mu pożyć.

- A gównu! Własną matkę zestrzeliłbyś z nieba tylko po to, żeby wymalować sobie na maszynie kolejny znak zwycięstwa. - Rube podszedł bliżej dowódcy; próbował zmusić go do opuszczenia wzroku. - Te cholerne nazistowskie sukinsyny zabijają moich ludzi tysiącami! Wy, panowie, nie wiecie nawet, co się tam naprawdę dzieje. Dla was to tylko wymyślny klub lotników ze spluwami w garści, ale ja przyjechałem tu rozwalać Niemców, więc nie wciskajcie mi tego cholernego kitu, że mam iść do narożnika, jak tylko gość padnie na deski. RAF strzela do samolotów z czerwonym krzyżem od 1940 roku!

- Ja jestem dowódcą eskadry - powtórzył MM, którego gniew bynajmniej nie zelżał. Niezdyscyplinowanie martwiło go podobnie jak brak szacunku dla form towarzyskich. - Zwalasz Hunów, kiedy ci na to pozwolę, lecz nie wcześniej.

- Albo doniesiesz na mnie majorowi Tuckerowi? - zakpił Rube.

- Spieprzać stąd! Chcę porozmawiać z Jamiem.

Earl Koenige podniósł z ziemi rękawice.

- Dobra, ja też idę - oznajmił.

Myszka położył mu dłoń na ramieniu i cofnął ją dopiero wtedy, kiedy Rube Wein znalazł się daleko.

- Słuchaj, Earl - spytał. - Jesteś może antysemitą?

Chłopak przyglądał mu się przez chwilę, nie znajdując słów odpowiedzi.

- Chodzi ci o to, czy nienawidzę Żydów i tak dalej?

- No właśnie.

Mały nerwowo przebiegał nogami, jak zwykle, kiedy ktoś zadał mu bezpośrednie pytanie. Nie mógł nie odpowiedzieć lub powiedzieć nieprawdę - obiecał ojcu, że nigdy nie skłamie, a bardzo serio traktował wszystkie złożone mu obietnice.

- Słuchaj, MM - powiedział przepraszająco. - Wiesz, nie jestem pewien.

- Co za gówno mi wciskasz?! - zirytował się Myszka.

- No bo przed Rubem ja... no... nie spotkałem żadnego Żyda... z wyjątkiem nauczyciela chemii w szkole, ale jego nawet lubiłem. Bardzo.

- Doskonale. Byłem po prostu ciekaw. Lepiej, żebyśmy zachowali to między sobą, przynajmniej na jakiś czas. Rube nie złoży bowiem raportu z walki i nie będzie się ubiegał o zaliczenie tego zwycięstwa.

- Ten heinkel nawet nie leciał - dodał Earl. - Nie można przecież zestrzelić samolotu, który nie leci!

MM zamknął za nim drzwi i westchnął głośno, teatralnie.

- Facet go kiedyś wykończy - powiedział dość obojętnym tonem, jakby był w stanie pogodzić się z tą myślą.

- Earla? - zdziwił się Jamie.

- Nie. Zauważyłeś, że Rube zażywa benzedrynę? Już bardziej się nie zdenerwuje. To Earl dostanie napadu szału, kiedy do tego jego tępego łba trafi wreszcie, że Rube uważa go za nazistę.

- Chyba masz rację. To o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

- Znudziło mi się już rozdzielanie tych dwóch - wyznał MM. - Rube zrobił się ostatnio jakiś ponury. Gdzieś na niebie czeka na niego wielka góra; jest pewien, że kiedyś w nią walnie. Zaczęło się od dowcipów, ale teraz już myśli o tym serio. Twierdzi, że Niemcy ładują żydowskich jeńców wojennych do obozów koncentracyjnych... Kiedy leci, zawsze

ma ze sobą tego gnata... Mówi, że zabierze ze sobą kilku z nich. Próbowaliśmy z nim gadać, ale mnie nie słucha.

- I według ciebie to mu chodzi po głowie, kiedy jeździ po Earlu, utrzymując, że jest on nazistą?

MM skinął głową.

- Problem w tym - powiedział - że skrzydłowego równie dobrego jak Rube trudno byłoby sobie wymarzyć, a ja nie mam czasu na przyuczanie nowego.

- Chciałeś pogadać o Rube'em?

Myszka potrząsnął głową. Przeszedł przez pokój i przez dłuższą chwilę wyglądał przez okno. W końcu powiedział:

- Będę mieszkał z Verą. Ma mały domek w mieście.

- To doskonale - odparł Jamie, żeby go zachęcić do dalszych wyznań, bo znów zapadła cisza.

- Vera nie jest moją pierwszą dziewczyną; ani nawet jedną z pierwszych.

- Jasne!

MM skrzywił wargi, przesuwając papierosa z jednego kącika ust w drugi.

- Myślę, że Vera pojedzie ze mną do domu, kiedy skończy się wojna - oznajmił dumnie.

- Poprosiłeś ją o rękę?

- Zupełnie nie przypomina dziewczyn, które znałem w szkole. To prawdziwa kobieta. I taka piękna, prawda, Jamie?

- Wspaniała - powiedział Jamie, pragnąc zyskać na czasie, by przemyśleć sobie problem małżeństwa Very z Myszką.

- Wtedy wieczorem, na party, wszyscy patrzyli tylko na mnie. To wspaniałe uczucie trzymać w objęciach taką laleczkę.

- Czy to nie ty przypadkiem mówiłeś, że małżeństwo wyszło z mody? Nie jedziesz na weekend do Londynu z tymi dwiema dziewczynami, które Vince poznał na tańcach?

- Vera mogłaby wybrać każdego faceta z bazy - stwierdził Myszka trochę z dumą, a trochę z lękiem. Nagle podniósł wzrok. - Nie. Powiedziałem Vince'owi, że zmieniałem zdanie na temat tej jego podwójnej randki.

- Skąd się w ogóle wzięł pomysł waszego wyjazdu do Ameryki? Ona go podsunęła?

- Nie możemy wprowadzić się do domu rodziców. Z nimi mieszka już mój żonaty brat i jego dwoje dzieciaków. A ta stacja benzynowa nie daje tyle forsy, żeby utrzymać nas wszystkich.

- Vera chce jechać do Ameryki?

- Nie. Lubi Anglię. Muszę złapać coś naprawdę dobrego, żeby móc ją ze sobą zabrać.

- Przed nami jeszcze ładny kawałek wojny. Nie tak szybko wrócimy do domu, MM.

Myszka machnął ręką na ten głos rozsądku.

- Myślisz, że pilot, który pobili rekord Rickenbackera, byłby sławny, naprawdę sławny? Na tyle sławny, żeby dostać robotę w jakiejś firmie lotniczej? - MM wyjął z ust papierosa i dmuchnął na niego, jakby sprawdzał, czy jeszcze się pali. - Piloci bombowców zajmą wszystkie miejsca w liniach pasażerskich; godziny wylatane na czteromotorowcach będą liczyli w setkach. Żadna nie zechce nas, myśliwców.

- O tym nie pomyślałem - przyznał Jamie. - Może masz rację. Ale przyjaciel mojego ojca ma udziały w linii lotniczej. Mogę do niego napiść... No wiesz, wybadać grunt.

- Byłoby wspaniale, Jamie!

- Praca w linii pasażerskiej to jeszcze jeden z pomysłów Very?

Twarz Myszkę znieruchomiła.

- Nie wolno ci myśleć o niej w ten sposób. Nie poluje na pieniądze, jeśli o to ci chodzi. Prosiła, żebym uważał. Cały czas się o mnie martwi.

- Urodzony pilot z ciebie, MM. Nie będziesz miał kłopotów z prasą.

Myszka zgasił papierosa.

- Jesteś jedynym facetem, z którym tu mogę pogadać. Jedynym, który uczciwie odpowiada mi na pytania. I jeszcze Vicky... Ty rozumiesz te rzeczy.

- Zawsze chętnie ci pomogę, Myszka.

- Możemy pojechać motorem do Cambridge, chcesz?

- Zabieram Vicky i jej rodzinę na kolację do „Strutego Jankesa”.

- Ale się stawiasz! - MM poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych. - Słuchaj, mógłbyś pożyczyć mi jeszcze z piątkę?

- Przyjedzie też mój kumpel z tratwy. - Jamie podał Myszcze pięć funtowych banknotów. Myszka uśmiechnął się i skinął głową. Nigdy nie dziękował. Nie słowami.

- Zapraszasz kumpla na spotkanie z dziewczyną? - Potrząsnął głową z niedowierzaniem. - Ryzykant z ciebie. Ja będę trzymał Verę z dala od tych wszystkich napaleńców.

Jamie Farebrother nigdy nie widział Charliego Stigga w lepszym humorze. Spojrzał przez stół na Victorię. Uśmiechnęła się, przyznając tym uśmiechem, że Charlie rzeczywiście jest kompanem tak wspaniałym, jak to wynikało z opowieści; ba, jeszcze wspanialszym! Odbył już nad Niemcami sześć misji, z których cztery okazały się wyjątkowo niebezpieczne, a opowiadał o nich tak, jakby były jednym wielkim fiaskiem, do którego przyczynił się swą radosną niekompetencją.

Jamie przypomniał sobie ojca mówiącego niegdyś, że prawdziwi mistrzowie opowiadania dowcipów zawsze są śmiertelnie poważni. Nie Charlie jednak; Charlie grał według własnych zasad. Śmiał się radośnie ze swych żartów, a przez cały czas relacjonowania „prawdziwej historii ósemki w akcji” manifestował dobre samopoczucie. Ogień artylerii przeciwlotniczej i ataki niemieckich myśliwców były w jego ustach wyłącznie dokuczliwymi drobiazgami w porównaniu z bombardierem, który nie

widział nic przez celownik, nawigatorem nie pamiętającym, która burta jest bakburtą, póki nie przywiązał sobie sznurka do przegubu odpowiedniej ręki, i cierpiącym na nadwagę tylnym strzelcem, którego z wieżyczki wyciągać musiał sam Charlie i szef jego mechaników.

Jamie śmiał się, aż łzy napłynęły mu do oczu. Nawet młody drugi pilot Charliego, podporucznik Madjicka, mimo niewątpliwie doskonałej znajomości wszystkich tych opowieści, potrafił cieszyć się, jakby słyszał je po raz pierwszy.

- Nazywajcie go Katem - nalegał Charlie. - Też jest cholernym prawnikiem.

Jamie wyjaśniał Charliemu ze sto razy, że ukończył zaledwie pierwszy rok prawa, ale równie dobrze mógł nie strzępić sobie języka. Wymienił spojrzenia z podporucznikiem Madjicka i po jego wzroku poznał, że z nim jest podobnie.

- Cześć, Kacie - powiedział.

Madjicka był nieśmiałym chłopcem o bystrych niebieskich oczach, których spojrzeniu nic nie umykało. Jego wkład w relacje Charliego był równie bezpośredni co nie denerwujący, czego zresztą należało się spodziewać po studencie prawa, humor zaś pozwalał mu na zachowanie dystansu wobec co bardziej nieprawdopodobnych fragmentów opowieści. Pił bardzo niewiele, nie palił. Nie miał żadnych nerwowych tików tak charakterystycznych dla pilotów - nie bawił się trzymanymi w rękę przedmiotami, nie wyłamywał sobie palców, nie wybuchał śmiechem ni z tego, ni z owego. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest cholernie twardy. Jamie zdecydował, że biorąc to wszystko pod uwagę Kata Madjickę chciałoby się mieć u boku, zwłaszcza w trudnych chwilach.

„Strutym Jankesem” Amerykanie nazwali restaurację i bar „Ladbrooke”, popularny lokal na Newmarket Road. Nie brakowało tam nigdy steków i homarów, wina i whisky. Mimo astronomicznych cen, dyktowanych z pominięciem wszystkich możliwych przepisów, mimo powitalnej opłaty dla „naszych wspaniałych amerykańskich sojuszników”,

dzięki której ich rachunki musiały być dwukrotnie wyższe od rachunków żołnierzy brytyjskich, wszystkie stoliki w sali jadalnej, w barze i we wszystkich prywatnych pokojach zawsze były zajęte. Rezerwacji trzeba było dokonywać ze sporym wyprzedzeniem.

Warto było się postarać, warto było zapłacić - pomyślał Jamie, rozglądając się wokół, podczas gdy ojciec Victorii opowiadał anegdotkę o bombie, która spadła na St. James Club. Charlie Stigg uroczco zajmował się matką dziewczyny i szczerze śmiał się z żartów jej ojca. Płomienie świec oświetlały pogodne twarze złotym blaskiem, a długie, proste włosy Victorii błyszczały jak polerowany metal. Skórę miała bladą i białe ramiona w oprawie czarnej jedwabnej sukni, lśniącej prowokacyjnie w mroku. Wyglądała tak pięknie, że Jamie pragnął sięgnąć do niej przez stół, dotknąć jej tylko po to, by upewnić się, że istnieje, i że jest... jego.

- Jeszcze kawy, doktorze Cooper?
- Starzeję się, mój chłopcze. To okropieństwo nie pozwala mi zasnąć.

Pierwsi wstali rodzice Victorii, a ona uznała, że powinna wyjść wraz z nimi.

- Pójdę po samochód - powiedział ojciec. - A potem zaczekamy z mamą na dole.

Charlie Stigg pojął, czego wymaga od niego dobre wychowanie. Zerwał się na równe nogi, spojrzął na zegarek i oznajmił, że musi lecieć natychmiast. Nim jednak wyszedł, porozumiewawczo trącił Jamiego łokciem w zębra. Kat Madjicka musiał pomóc swemu kapitanowi zejść po schodach.

- W przyszłym tygodniu Berlin! - krzyczał Charlie. - Cel Kancelaria Rzeszy! Strzeż się, Adolfie!

- Niech pan idzie powoli, krok za krokiem, baronie Stigg - powiedział Madjicka tonem zgorzonego starego sługi; ten żart ćwiczyli wielokrotnie. - I niech pan lepiej odda mi szklaneczkę, panie baronie...

Charlie zachichotał, a Jamie poczuł ukłucie zazdrości. Nie on wymienia teraz żarty z przyjacielem.

Kiedy wreszcie zostali sami, Jamie objął Victorię. Stali cisi i nieruchomi, a ze wszystkich stron dobiegały ich odgłosy nieskrępowanej zabawy.

- Nienawidzę dzielić się tobą, Jamie - powiedziała dziewczyna. - Czy to nie okropne?

- Kocham cię, Vicky.

- Świetnie, że zaprosiłeś moich rodziców - dodała, rozglądając się po sali. Być może restauracja była wyłącznie pretensjonalna, z lampami, z których zwisały plecione sznurki, z tanimi giętymi meblami, ale z pewnością zapamięta ją na zawsze. - Nigdy przedtem nie jadłam w prywatnej sali. Musiało cię to kosztować majątek. Świetnie się bawiłam. Dzięki!

- Twoi rodzice przyjęli mnie bardzo gościnnie i... karmili ze swych racji żywnościowych.

Gdzieś z dołu dobiegły słowa napominające kogoś, by uważał na zaciemnienie.

- Mam dla ciebie prezent - oznajmiła Victoria.

- Prezent?

- Bardzo stary medalion. Włożyłam do niego pukiel włosów. Czy to naprawdę banalne?

- Zostanie ze mną na zawsze.

Zakryła mu usta dłonią.

- Nie musisz mi niczego obiecywać. Bałam się, że posądzisz mnie o czułośćkowość. Dostałam go od prababci, kiedy miałam szesnaście lat.

Jamie wziął medalion i ucałował go, po czym włożył do kieszeni. Od wejścia dobiegło ich dyskretne chrząknięcie. To podporucznik Madjicka meldował w ten sposób swą obecność.

- Czy mógłbym z panem porozmawiać, panie kapitanie?

Jamie nadal trzymał Victorię w objęciach.

- Muszę lecieć - powiedziała. - Rodzice przestępują już chyba z nogi na nogę.

Madjicka, niezbyt szczęśliwy, że przyszło mu przyspieszyć rozstanie tych dwojga, odpowiedział skinieniem głowy na jej zdziwione spojrzenie.

- Macie transport? - spytał go Jamie.

- To sprawa osobista... - Młody porucznik zmarszczył czoło i jakby zadowolony, że zyskał na czasie, wyjaśnił: - Mamy transport. Nasz pułkownik jest dobrym wujkiem, dostaliśmy samochód z kierowcą.

Victoria uściśnęła Jamiego jeszcze raz, zabrała torebkę i ruszyła do wyjścia.

- A Charlie? - wypytywał dalej Jamie.

- Charlie padł na ławkę w holu. Chrapie. Portier podłożył mu poduszkę pod głowę.

- Chrapie? Już?

- Ścięło go z nóg, panie kapitanie. Popisywał się przy stoliku, ale kiedy tylko zesliśmy na dół, zasnął mi w ramionach.

- Nie wiedziałem, że tak z nim kiepsko. - Jamie zdołał jeszcze uściśnąć ramię przechodzącej Victorii, która pomachała im obu na dobranoc.

- Nie było nam lekko - powiedział Madjicka, rozglądając się dookoła. Sprawdzał, czy nikt nie podsłuchuje. - Dziś usłyszał pan tylko połowę prawdy. Strzelec zablokowany w wieżycy stracił obie nogi, sznurek związany na przegubie dłoni nawigatora w rzeczywistości był opaską uciskową powstrzymującą krwotok tętniczy... W czasie sześciu misji przeżyliśmy więcej niż inni podczas pełnej tury.

- Co pan mi próbuje powiedzieć, poruczniku?

- Charlie twierdzi, że ma pan ojca w sztabie.

- Cholernie żałuję, że się pan o tym dowiedział.

- On opowiada o panu praktycznie bez przerwy, panie kapitanie. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że uważa pana za kogoś wyjątkowego. - Dostrzegł zażenowanie Jamiego i przerwał. - Zachowam to dla siebie - obiecał po chwili. - Ale tymczasem mógłby pan oddać przyjacielowi przysługę i znaleźć jakiś sposób na wycofanie go z lotów bojowych. - Spojrzał na rozmówcę. - I to szybko, panie kapitanie - dokończył po krótkim milczeniu.

Jamie nie odezwał się. Patrzył w oczy młodego pilota i czekał na wyjaśnienia.

- Niektórzy ludzie po prostu nie potrafią znieść napięcia - stwierdził chłopak. - Bardzo lubię kapitana Stigga... To jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać. Ale kiedy zaczynają do nas strzelać, po prostu wysiada. Latamy w ciasnym szyku, a te B-24 nie są tak stabilne jak fortece; trzeba wiedzieć, jak utrzymać je na kursie, zwłaszcza kiedy leci się przez ogień zaporowy, a wokół kolebią się inne maszyny. Niektórzy ludzie potrafią przestawić mózg na jałowy bieg, a niektórzy... - Madjicka wyciągnął dłoń i lekko uderzył w nią zaciśniętą pięścią. - Charlie nie potrafi znieść napięcia. Słyszałem, jak ludzie mówią, że to z nadmiaru wyobraźni. Rozpina pasy i oznajmia, że musi zobaczyć, co u nawigatora, albo też pogadać z inżynierem. Nad celem pilotuję maszynę sam. Proszę nie zrozumieć mnie źle. Ja się nie skarżę, ale załoga owszem, panie kapitanie. Myślą, że jeśli coś mi się stanie, stracą szanse ratunku.

- Anglicy mają jednego pilota w załodze.

- Nic mi o tym nie wiadomo, panie kapitanie. Ale pan przecież rozumie, że nie o to chodzi. Nie zaciągnęliśmy się do RAF. Chłopcy zaślugują na cztery dłonie na sterach, tak jak to zaplanowały siły lotnicze.

- Ma pan rację, poruczniku.

- Pod pewnymi względami Charlie jest odważny jak lew. Za pierwszym razem wpadliśmy w turbulencję; przeprowadził nas przez nią bez żadnych trudności. Kiedy indziej zgubiliśmy się, a on zachował kamienny spokój, kiedy ja byłem bliski paniki. I wyjął młodego Lange'a z tej wieżyczki delikatnie jak dziecko z kołyski. Ja bym tak nie potrafił, panie kapitanie. Nawet sanitariusze nie byli w stanie znieść tego widoku. Dosłownie przepołowiło chłopaka. Zmarł tej samej nocy.

Porucznik znalazł nie istniejącą płamkę na palcu i zaczął gryźć palec, jakby chciał zadać sobie ból.

- Biedny Charlie - powiedział Jamie cichym głosem.
- Nie jestem pewien, czy znieś choćby jeszcze jeden lot. Moim zdaniem znalazł się na granicy wytrzymałości. Może odmówić wykonania rozkazu, a to oznacza nieuchronnie sąd wojenny.

- Czyżby? Znam pilota, który po dwudziestu trzech misjach zdecydował, że ma dość. Pracuje w dowództwie grupy jako inspektor techniczny. Spike Larsson, fajny facet. Nie ma się czego wstydić.

- Dobrze, być może tak załatwia się sprawy wśród pilotów myśliwskich, ale czy był pan kiedyś w bazie bombowców? Dziesięć osób załogi... Ludzi są setki. Taki u nas tłok, że nawet w kinie nie mieścimy się wszyscy naraz. Większość członków załóg to sierżanci i chłopcy, którzy zgłosili się na ochotnika. Strzelcy. Zobaczyli w kraju jakiś film i zdecydowali, że latanie to wspaniały sposób wygrania wojny. Teraz widzą, jak ich przyjaciele tracą palce, a czasami nawet całe dłonie w wyniku odmrożeń, patrzą, jak artyleria zestrzeliwuje sąsiednie maszyny i myślą: dobra, popełniliśmy błąd poważny, ale niekoniecznie jeszcze fatalny w skutkach. Po trudnym locie wielu z nich nie marzy o niczym innym jak tylko o odejściu. Pułkownik ma dla nich wszystkich jedną odpowiedź: lecisz albo idziesz za kratki.

- Przecież Charlie nie wycofuje się z powodu mylnej oceny samego siebie!

- Rzeczywiście chciałby pan wytłumaczyć to paru strzelcom, którzy siedzą, bo twierdzili, że podczas każdego lotu cierpieli silne bóle głowy? Dostali od pułkownika po aspirynie i bilecie w jedną stronę - do obozu karnego.

Jamie zacisnął powieki. To z pewnością tylko koszmarny sen, z którego obudzi się zaraz, mokry od potu. Ale kiedy otworzył oczy, Madjicka nadal stał przed nim i czekał na odpowiedź.

- Może uważa pan, że mówię to, bo...

- Nie. Nikt nie byłby aż tak głupi, by wymyślić sobie tę historię tylko po to, żeby zająć miejsce w lewym fotelu. Jak pan sądzi, kiedy polecicie znowu?

- Brak nam strzelca i nawigatora, a przyszłym tygodniu mamy dostać przepustkę. „Top Banana” jest w naprawie; czekamy na nową wieżyczkę. Nie polecimy przed końcem miesiąca, może nawet później.

- Nie wiem, czy uda mi się coś wskórać.

- Charlie twierdzi, że macie się spotkać podczas jego przepustki.

- W weekend pewnie będę wolny, więc chyba spotkamy się w Londynie.

- Niech pan z nim porozmawia, panie kapitanie. Może jakiś psycholog mógłby mu pomóc, ale nie nasz lekarz, to cholerny patriotyczny sukinsyn, jeśli wolno mi użyć tego określenia. - Madjicka wyjął z kieszeni parę skórzanych rękawic. Trzymając je w jednej ręce uderzył nimi w drugą, jakby znów chciał ukarać sam siebie. - Teraz lepiej wróć już do kapitana Stigga.

- Dzięki, że mi o tym powiedziałaś, Kacie. Wyobrażam sobie, jakie to było dla ciebie trudne.

- Charliemu jest znacznie trudniej - stwierdził chłopak.

10. Pułkownik Daniel A. Badger

- Tym gościom niepotrzebny jest dowódca, tylko niańka - oznajmił pułkownik Dan i walnął pięścią w biurko.

- Wiedział pan o tym, kiedy decydował się pan objąć dowództwo grupy - stwierdził spokojnie oficer administracyjny i zabrał się do układania papierów, które pułkownik rozrzucił.

Miał oczywiście rację. Pułkownik Dan objął dowództwo grupy w momencie gdy - z powodu złego dowodzenia, ciężkich strat i szeregu awarii samolotów P-47 Thunderbolt, którymi wówczas latała - morale było wyjątkowo niskie. Właśnie dlatego tak zależało mu na mustangach - piloci powinni zacząć od nowa.

W rzeczywistości decyzję o przebrojeniu podjęto na samej górze jeszcze przed wypisaniem rozkazów dla pułkownika. Przyszedł tu także po to, by nadzorować zmiany, ale skądś pojawiła się plotka, że przekupuje szarżę za pomocą whisky, by dostać nowe maszyny; sam więc zaczął dolewać oliwy do ognia. Chciał, by piloci uwierzyli, że mustangi są warte starań; szybko nauczył się je im „sprzedawać”. Nie rozwodził się jednak na temat zbiorników dodatkowych. Nie chciał, by jego ludzie zaczęli się zastanawiać, jakie to akcje penetrujące nad terenem nieprzyjaciela przypadną grupie wraz z nowymi samolotami.

Każdy człowiek potrafiący odczytać wskazania paliwomierza bez problemu mógł domyślić się, że dwieścieczwudziesiątka skończy eskortując bombowce aż do absolutnego krańca ich zasięgu - czyli nad cel.

- Sześciu facetów za kratkami! - zdumiał się pułkownik Dan.

- Ukradli taksówkę i na Oxford Street walnęli nią w piętrowy autobus - wyjaśnił oficer administracyjny stojący za swym dowódcą i sięgający nad jego ramieniem do porządkowanych papierów.

- Sierżant z ruchomej jednostki ratowniczej - odczytywał z listy skazanych pułkownik. - I szef mechaników! Potrzebujemy tych ludzi!

Duke odkasznął, co oznaczało na ogół, że ma w zanadru jeszcze gorsze wieści.

- Nie martwi mnie nic, co zdarzyło się w Londynie - powiedział. - W końcu było to w czasie Bożego Narodzenia, a z wieści, które niesie głuchy telefon, wynika, że i tak plasujemy się powyżej średniej. - Założył ręce na piersiach. - Martwią mnie raczej bójki w Long Thaxted. Stają się cholernie regularne.

- W dniu wypłat?

- Nie, panie pułkowniku, nie tylko. Z tym łatwo bym sobie poradził. Biją się w prawie każdy piątkowy i sobotni wieczór. W ten weekend żandarmeria wezwła posiłki. Major Tarrant twierdzi, że przed pubem „Crown” łało się czterdzieści do pięćdziesięciu osób. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że nasz major w każdym objawie dobrego humoru widzi zapowiedź końca świata, i tak brzmi to dość poważnie.

- Nie mam zamiaru znosić tego dłużej, Duke! Wystarczy, że jakaś angielska gazetka zwęszy temat i znajdziemy się na pierwszej stronie, a w dywizji upieką mnie na wolnym ogniu.

- Potrzebujemy więcej żandarmów.

- Major Tarrant to miły człowiek - stwierdził pułkownik Dan, choć słyszano przecież, że dowódcę kompanii żandarmerii nazywał tępowym osiłkiem, a do tego przemądrzałym - ale tylko człowiek. Chce dostać więcej ludzi, bo to podniesie jego autorytet.

- Potrzebujemy więcej żandarmów - powtórzył ze stoickim spokojem Duke.

- Nie płacz mi nad głową, dobra? Kiedy ten tępy sukinsyn Tarrant zażąda ludzi, w dywizji natychmiast zapytają po co? Wtedy powie im, że

musi tłumić wybuchające dzień w dzień rozruchy. - Pułkownik znów walnął pięścią w biurko. - I w jakim świetle mnie to postawi, Duke? Mogę ci od razu powiedzieć, że w gównianym.

- Chce pan zabronić ludziom jazd do Long Thaxted?

- Dlaczego „Crown”?

- To wielki, wygodny pub z kominkiem w elegantszej sali i z dywanami na podłodze. Można zaprosić tam dziewczynę. „Angel” i „Lord Nelson” są prymitywne: trociny na podłodze, spluwaczki w kącie, rozumie pan, prawda?

- A o co się biją?

- Chodzą tam także żołnierze brytyjscy, panie pułkowniku. Z RAF i z obozu ćwiczebnego piechoty w Thaxted Green. Wystarczy, że ktoś rozleje piwo, że zbyt energicznie przepycha się do baru, że wypowie niepochlebną uwagę o angielskiej pogodzie...

- Jeśli leją się z powodu angielskiej pogody, to może pójdę tam i dam komuś w pysk?

Oficerowi administracyjnemu nie przypadła do smaku frywolna uwaga pułkownika. Poprawił przekrzywione okulary bez oprawki - z jakiegoś powodu zawsze potrzebował do tego obu rąk.

- Właściwie chodzi o pieniądze, panie pułkowniku. O pieniądze i o seks.

- Właściwie, Duke - odparł pułkownik z jak mu się wydawało nieskończoną cierpliwością - we wszechświecie chodzi wyłącznie o pieniądze. I o seks.

Duke zignorował tę filozoficzną uwagę.

- Sprawdzalem listy płac, panie pułkowniku. Brytyjski szeregowiec zarabia niespełna jedną czwartą tego, co my płacimy naszym najniżej opłacanym żołnierzom. Jeśli pamiętać, że oni nie dostają papierosów, przydziałów alkoholu i słodczy, które armia amerykańska rozdaje praktycznie za darmo, różnica staje się spora.

- Nie musi mi pan o tym przypominać!

- Kiedy jakiś angielski piechociarz świeżo przybyły z frontu

włoskiego, zarabiający niespełna trzy dolary miesięcznie, wchodzi do wioskowego pubu pełnego jankesów płacących za szkocką pięćofuntowymi banknotami, palących darmowe cygara i obejmujących ładne miejscowe dziewczyny, dostaje szału. Niech pan sobie wyobrazi, jak pan by się czuł, obserwując przepłacanych cudzoziemców łączących po pańskim miasteczku z amerykańskimi dziewczętami pod rękę?

- Czy ten Angol z pubu zwracał się kiedyś do nas o zapłcenie za szkody?

- Nie, panie pułkowniku. Praktycznie nie mamy roszczeń cywilnych. W październiku była sprawa zniszczenia stodoły, kiedy to „Sad Sack” zjechał z pasa, płaciliśmy też farmerom za szkody wyrządzone przez zrzucone na pola zapasowe zbiorniki. Pilotom przypominamy teraz regularnie, że zbiorniki mają zrzucić do morza, a jeśli to niewykonalne, to na obrzeża pól.

Pułkownik Dan obrócił się wraz z krzesłem. Mógł teraz wyglądać przez okno.

- A ten cywilny samochód, który w zeszłym miesiącu rozbiłem w Cambridge?

- Udało mi się załatwić sprawę polubownie. Zapłaciłem za naprawę z góry, więc w aktach nie ma nawet wzmianki o wypadku.

- Zmiotłeś śmiecie pod dywan, co, Duke?

- Jutro odwiedzi nas pułkownik z bezpieczeństwa lotów. Gdyby mógł pan poświęcić mu kilka minut... Inspekcja zawsze przebiega wtedy szybciej...

Dobry stary Duke - pomyślał pułkownik Dan. Przypomniał mi o przysługach i zaraz zażądał rewanżu.

- Chcę, żeby wszyscy w tej bazie dowiedzieli się, że ukarzę przykładnie pierwszą bandę, która wywoła zamieszanie w wiosce. Tarrant ma dostać paru silnych lotników; nie chcę, żeby prosił o gliny. Upewnij się też, czy wszyscy wiedzą, że wsadzę do pierdła każdego, kto wda się w bójkę z Angolem.

- Doskonałe rozwiązanie, panie pułkowniku. Zapiszę też panu lunch z inspektorem.

- A co z tą cholerną pogodą? - zainteresował się pułkownik. Położył nogi na biurku, wśród kolorowych telefonów i teczek z dokumentami.

Duke zgarnął swoje papiery, nim zdążyły się wymieszać z innymi. Nie podjął nawet próby odpowiedzi na to oczywiście retoryczne pytanie. Jeśli chodzi o pogodę, pułkownik Dan słuchał tylko jednego człowieka, i nie był to bynajmniej żaden jasnowidz, tylko major Phelan, oficer operacyjny. Pułkownik Dan właśnie do niego dzwonił.

- Trzeźwy jesteś, ty cholerny irlandzki włóczęgo? - rzucił w słuchawkę i twarz natychmiast mu się zmieniła. Wysłuchał krótkiego nieskładnego wyjaśnienia, poczerwieniał i powiedział: - Jasne, w porządku, poruczniku. Powiedźcie, proszę, majorowi Phelanowi, że pułkownik Dan chce z nim rozmawiać.

Zasłonił słuchawkę i zrobił groźną minę do sierżanta Kinzelberga, kancelisty oficera administracyjnego, który przyszedł po jakieś podpisane papiery. Sierżant domyślił się oczywiście, co zaszło, ale minę pułkownika skwitował pustym spojrzeniem.

Pułkownik tymczasem, nadal piastując słuchawkę w dłoni, powiedział:

- O tej porze podejmują poważne decyzje.

Oficer administracyjny zerknął na zegarek. Szesnasta trzydzieści.

- Ma pan na myśli High Wycombe?

- Dowództwo Lotnictwa Bombowego Ósmej Armii Powietrznej albo raczej Kwaterę Główną Ósmej Armii Powietrznej, jak każą ich teraz nazywać. Widzisz ten imponujący nowiutki papier firmowy? No więc jest ich tam sześciu ważniaków, siedmiu, jeśli doliczyć meteorologa, stoją sobie w małej salce głęboko pod ziemią, przyglądają się tym swoim ślicznym mapom i decydują, czy dać nam jeszcze jeden łatwy lot nad Pas de Calais.

- Dzięki Pas de Calais możemy przynajmniej trochę sobie polatać. Piloci zdobywają doświadczenie, jak na razie bez strat.

- To tylko kwestia czasu, nim Luftwaffe podeśle tam znowu kilka

dywizjonów. Któregoś z najbliższych dni kaszka z mlekiem zmieni się w krwawą łaźnię. A jeśli nawet nie, to bombardowanie przez chmury jest jedynie wyrazem wiary w nawigację; bynajmniej nie podzielam jej. Cześć, Kevin - powiedział do telefonu. - Co nam wróży meteorologia?

- Pogoda jest raczej niepewna - stwierdził Phelan.

- Pozwól zatem, że ujmę to inaczej. Czy ci durnie z Kwatery Głównej sądzą, że pogoda się poprawi?

- Dostaliśmy dalekopisem informacje, że nad Atlantykiem sformował się kolejny front... bardzo blisko poprzedniego.

- Daj sobie spokój z żargonem, ty polski wieśniaku. - Kiedy pułkownikowi Danowi kończył się zapas dowcipów na temat irlandzkiego pochodzenia Phelana, zaczynał się upierać, że jego nazwisko brzmi naprawdę Phelansky. Samemu Phelanowi bardzo się to podobało. Na drzwiach miał nawet wizytówkę głoszącą wszem i wobec: „Major Phelansky”.

- Może postawią na czyste niebo nad Niemcami jutro rano.

- Teraz cię wreszcie zrozumiałem. Dziękuję, Kevin.

Nadal trzymając telefon na kolanach, a stopy na biurku, pułkownik zadzwonił z kolei do przyjaciela w Kwaterze Głównej Dywizji Lotniczej.

- Bardzo jesteście zajęci? - spytał.

- Nie wolno mi informować nikogo o tym, jak bardzo jesteśmy zajęci, a już z pewnością nie takich nędznych wsiowych amatorów jak ty.

- Czyżbym słyszał dalekopis wystukujący rozkazy bojowe, czy może tylko masz tak szybką maszynistkę?

- Jesteśmy zajęci, Dan.

- Dzięki, Mike. Przy pierwszej okazji stawiam ci piwo.

Pułkownik Dan odłożył słuchawkę. Telefon postawił z powrotem na biurku.

- Wygląda na to, że do dywizji właśnie docierają rozkazy - oznajmił.

- Jakaś duża sprawa?

- Czuję to w kościach. Weź pilotów, którzy przez dłuższy czas nie robili prawie nic, dodaj do nich nowego dowódcę oraz poprawę pogody, a wyjdzie z tego duża sprawa.

Pułkownik Dan złapał kubek, stwierdził, że jest pusty, i odstawił go na miejsce. Oczami wyobraźni widział, co dzieje się w dywizji. Obecni tam patrzą teraz pewnie na tajemnicze znaczki gęsto wydrukowane przez dalekopis. Przetłumaczenie tego chaosu na rozkazy - drogi do lotu, cele, pułapy bombowe, procedury radiowe, szczegółowe instrukcje dotyczące formacji, procedury dolotów i spotkań, procedury alarmowe - zajmie im czas aż do wieczora.

- Mam zamiar coś teraz zjeść, Duke. A potem wrócę do kwatery i zajmę się papierkową robotą. Nikt nawet nie zauważy, że sobie przysnę. Zawiadom mnie, jak coś się wyjaśni. Jeśli się nie wyjaśni, będę w operacjach gdzieś tak wpół do dwunastej.

- Poprzedniej nocy prawie pan nie spał, panie pułkowniku.

- I piję za dużo. I powinienem więcej się gimnastykować. I jestem za gruby. I jestem za stary na loty bojowe.

- Tego nie powiedziałem.

- Mam trzydzieści sześć lat, Duke. Podczas następnej dużej misji w każdej grupie uderzeniowej pierwszy bombowiec będzie pilotowany przez jednogwiazdkowego generała. Tak to już jest wśród bombowcowej braci. U nas, w myśliwcach, wszystko wygląda inaczej. Kiedy wykopią mnie z tej roboty, będę siedział za biurkiem. A za tym mi nie tęskno, Duke.

- Poinformuję pana, gdy tylko coś się wyjaśni.

Była prawie północ, kiedy przy łóżku pułkownika Dana zabrzączał telefon. Dzwonił oficer administracyjny.

- Miał pan rację, panie pułkowniku. Dalekopisem lecą całe mile rozkazów bojowych.

- Z radością stwierdzam, Duke, że przy tych rzadkich okazjach, kiedy mam rację, przyznajesz mi ją, jak przystało na dżentelmena. Wolałbym jednak nie słyszeć w twym głosie takiego zdumienia.

- Jestem w centrum łączności, panie pułkowniku. Czy pan tu przyjdzie?

Pułkownik Dan przetarł oczy i spojrzął na zegarek. Nie ma mowy, nie da się wtłoczyć do małego pokoiku bez okien, w którym pracuje obsługa dalekopisu; na samą myśl o nim dostawał klaustrofobii.

- Do zobaczenia w operacyjnym, Duke.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Pułkownik Dan ubrał się szybko i poszedł korytarzem do pokoju majora Phelana. Oficer operacyjny leżał w ubraniu na łóżku. Chrapał głośno. W szafce miał butelkę po Johnnie Walkerze. Obudziło go kopnięcie w szafkę, potem w łóżko.

- Wstawaj, Kevin! Zaczynamy!

Chrapanie urwało się jak ucięte nożem. Major Phelan obudził się. Powoli postawił stopy na ziemi i na pół śpiąc zawiązał sznurowadła. Wstał ziewając. Zacisnął węzeł krawata. Powolnymi ruchami wziął furażerkę, nasadził ją na głowę i docisnął, aż zatrzymała się niemal na krzaczystych brwiach.

Kevin Phelan był przystojnym mężczyzną, szerokim w ramionach - jak przystało na obrońcę drużyny Notre Dame. Jego karierę futbolisty zakończyło kopnięcie w twarz, które złamało mu nos i wybiło szczękę. Od tej pory uśmiechał się już zawsze w sposób niepokojąco kpiący.

Złapał wiszącą na kołku kurtkę.

- A więc meteorologowie zaryzykowali!

Pułkownik Dan otworzył okno i spojrzął w nocne niebo. Podobnie jak major, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dalekopisy dywizji powietrznej nie przekazują rozkazów, póki meteorologowie Ósmej Armii Lotniczej nie potwierdzą swych optymistycznych przewidywań. Phelan zdążył jeszcze sięgnąć po butelkę whisky. Trzymał ją w górze dłuszą chwilę, wysączając ostatnie krople.

- Jesteś chamem, Phelan.
- Obawiam się, że ma pan rację, panie pułkowniku.
- I gdybyś nie był najlepszym cholernym oficerem operacyjnym w całych siłach lotniczych, wykopałbym cię z bazy.
- Rozumiem, że jest pan w trudnej sytuacji, panie pułkowniku.
- Ja poprowadzę dżipa - zdecydował pułkownik Dan.

Na dworze było zimno i wilgotno, ale poprzez gnane wiatrem postrzępione chmury prześwitywało kilka gwiazd. Pojechali naokoło, koło hangaru numer cztery. W szczelinie między skrzydłami bramy widać było światło; w środku stał „Pilgrim”, maszyna pułkownika.

- Zrobili wszystko, co w ich mocy - ujął się za mechanikami Phelan.
- Tylko cudem mogli ją przygotować na czas.

- Nawet lepiej, że nie zdążyli. Mam zamiar skończyć z przesadami głoszącymi, że zmiana maszyny przynosi pecha.

- To weź moją. Potrzebne ci będzie radio nastawione na częstotliwość bombowców.

- A ty?

- Mam na oku nowe чудо. - Jako oficer operacyjny, Phelan mógł wybierać spośród nowo dostarczonych samolotów.

- Ty cholerny intrygancie!

- My, Polacy, musimy trzymać się razem, pułkowniku.

Pułkownik Dan uśmiechnął się i umyślnie zjechał na wyboistą krawędź dróżki, tak że jego przyjaciel omal nie przebił głową płóciennego dachu dżipa. Zawsze doskonale czuł się w jego towarzystwie; nic nie było w stanie zakłócić Phelanowi dobrego humoru.

Dotarli do celu. Sala operacyjna była miejscem gorączkowej aktywności. Najstarszy stopniem oficer wywiadu, oficer mechanik, oficer administracyjny, zastępca dowódcy, paru kancelistów i operator dalekopisu wpatrywali się w oficera dyżurnego, przypinającego długie wstęgi wydruków na tablicy ogłoszeń. Jeden z dzieciaków z mesy przyniósł tacę

kanapek i dwa termosy kawy. W pokoju aż niebiesko było od dymu tytoniowego, lecz kiedy pojawił się pułkownik, papierosy znikły, a obecni niezdarnie przyjęli pozycję zasadniczą.

Oficer dyżurny, nerwowy młody pilot, odwrócił się w kierunku drzwi, a kiedy zobaczył wchodzącego dowódcę, upuścił pudełko pinezek.

- To Brunszwik, panie pułkowniku - zameldował.

Pułkownik Dan skinął głową. Major Phelan już stał przy mapie. Pułkownik dał mu chwilę na przeczytanie co ważniejszych fragmentów rozkazu bojowego, tak obszernego, że wydruk sięgał podłogi.

- Co o tym sądzisz, Kevin? - spytał w końcu.

Major Phelan był swego rodzaju komediantem, należało więc przygotować się na przedstawienie. W jego głosie już pojawił się cień irlandzkiego akcentu, obecnego zawsze, gdy major był podniecony lub rozgniewany. Sięgnął do tacy z kanapkami.

- Które są które? - spytał oficera dyżurnego. - Lubię indyka, nie znoszę sera.

Kiedy dostał ulubioną kanapkę, nalał, sobie kawy do kubka z grubej białej porcelany, jakże charakterystycznego dla sali operacji w środku nocy.

- Brunszwik to niezły cel - orzekł. Ugryzł kanapkę, napił się kawy, jeszcze raz zerknął na mapę, a potem zajrzał do opisu celu. Jak większość informacji wywiadu o celach w Niemczech, i ten opis przetłumaczono z przedwojennego niemieckiego przewodnika.

- Halberstadt - czytał głośno. - Przemysł metalowy.

Piszą tu, że jest sławny z Halberstadter Würstchen; zdaje się, że oznacza to halbersztadzkie parówki. - Rozejrzał się po sali. - Panowie, zniszczymy serce przemysłu parówkowego Vaterlandu. Zdaje się, że stratedzy z kwatery głównej sił lotniczych doszli do wniosku, że jest to najlepszy sposób rzucenia nazistów na kolana.

Pułkownik Dan zaczął się niecierpliwić.

- To fabryka Junkersa, Kevin. Mam wrażenie, że słyszałem nawet o samolocie halberstadt.

- Tak jest, panie pułkowniku - potwierdził młodziutki oficer dyżurny, który większą część wolnego czasu poświęcał lekturze awanturniczych powieści lotniczych z I wojny światowej. - Niemiecki dwupłat, jednomiejscowy, choć było też kilka wersji dwumiejscowych...

- Tak właśnie myślałem. - Pułkownik przerwał wyjaśnienia, które najwyraźniej mogłyby zabrać resztę nocy. - A jak się panu podoba trasa, majorze?

- Wprost na miejsce, wprost do domu. Szkopy nie będą miały kłopotów z wyznaczeniem najlepszych punktów przechwycenia.

- Tym razem idziemy na całość - stwierdził pułkownik Dan. - Spotkanie z wyznaczonymi nam do ochrony bombowcami tuż przed celem. Mamy z nimi zostać, póki P-38 i jugi nie pojawią się jako osłona odwrotu.

- Może być ciężko - orzekł Kevin Phelan.

- Uderzyć w niemieckie lotnictwo na ziemi i w powietrzu. Tak brzmiał noworoczny rozkaz generała Arnolda, i to właśnie zrobimy. Nie ma sensu chodzić w kółko na paluszkach i latać zygzakiem, zwłaszcza że Niemców i tak to nie myli. Tym razem ich myśliwce będą musiały wystartować i walczyć.

Wypowiedziawszy te słowa pułkownik Dan usiadł w kącie, gdzie porządkowano materiał na poranną odprawę.

Major Phelan, z kolejną kanapką w dłoni, przysiadł się do niego.

- Pułkowniku - powiedział cicho. - Kto, do cholery, będzie w stanie utrzymać w kupie tę grupę, jeśli stracimy pana? Kto...

Pułkownik odsunął się od niego gwałtownie. Strzepnął okruszki chleba z rękawa munduru.

- Przepraszam. - Phelan także otrzepał się z okruszków.

- Poprowadzę tę misję! - Pułkownik Dan podniósł wzrok na oficera administracyjnego, który właśnie wciągał resztę obecnych w ożywioną dyskusję. Być może to właśnie Duke Scroll skłonił Kevina do rozpoczęcia

tej rozmowy - pomyślał.

- Pułkowniku, mówię poważnie.

- Niech cię diabli, Kevin! Czy myślisz, że jestem jakimś młodym zapaleńcem, który naczytał się „Terry'ego i piratów”, albo łowcą medali jak porucznik Morse? Od samego początku, gdy tylko objąłem dowództwo, próbowałem zdobyć dla tej grupy jakąś porządną misję. No więc dostaliśmy wreszcie coś takiego i jeśli nie polecę z chłopakami, stracę cały ich szacunek i będę mógł latać tylko na maszynie do pisania. Nie, Kevin. Lecę jutro. Na ten temat po prostu nie będziemy dyskutować.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich major Tucker.

Zapadła nagle cisza. Major zawahał się - było mu trochę głupio, że ściągnął na siebie uwagę tak wielu osób. Kręcił sygnetem West Point, którego nie zdejmował z palca.

Większość obecnych w sali operacji wyglądała tak, jakby już od dłuższego czasu grała w pokera na bardzo duże pieniądze, major Tucker był jednak nieskazitelnie schludny i gładko ogolony, a wypolerowane brązowe buty lśniły mu lustrzanym blaskiem. No, może właśnie to West Point czyni z człowieka eleganta - pomyślał pułkownik Dan.

- Tak, majorze?... - spytał.

Tucker przestąpił z nogi na nogę. Elegancki cienki wąsik drżał mu lekko, kiedy zaczął przeproszać, że przeszkadza, mimo iż nad drzwiami pali się czerwona lampka.

- Przepraszam, panie pułkowniku, ale właśnie szedłem do łóżka, kiedy...

Oczywiste było, że słyszał już o nadejściu rozkazów.

- Niech pan da sobie spokój z tymi cholernymi przeprosinami. Teraz już nawet dziewczyny z Klubu Czerwonego Krzyża dyskutują o naszych celach!

A ten facet śmieje się sztucznie. Nic dziwnego, że nazywają go „kelnerem od win” - pomyślał.

- Czy poprowadzę jutro grupę, panie pułkowniku?

Pułkownik Dan bardzo starał się oceniać podwładnych bez uprzedzeń,

tych zwłaszcza, których instynktownie nie lubił. Tucker nie miał szans, by zostać pilotem z prawdziwego zdarzenia, ale to samo dotyczyło trzech czwartych personelu latającego Sił Powietrznych. Był absolwentem West Point, żołnierzem dobrym na czas pokoju, potrzebującym odrobiny służby frontowej przed objęciem stanowiska w sztabie. Cóż, z punktu widzenia grupy im szybciej to nastąpi, tym lepiej. W gruncie rzeczy nie miał prawa zostać nawet dowódcą dywizjonu, choć wszyscy poprzedni zwierzchnicy wystawiali mu doskonałe opinie.

- Była umowa...

- Wiem, jaka była umowa, Tucker. Odsuńcie się, niech no odetchnę świeżym powietrzem.

Dowódcom dywizjonów regularnie dawano szansę poprowadzenia grupy; i - na tej samej zasadzie - dowódcom eskadr powierzano czasami dywizjony. Major miał obiecaną tę misję, ale, cholera, zanosilo się na coś dużego, a Spurrier Tucker był tylko... Cóż, Tucker to przecież tylko Tucker.

- Dowiedcie się w odpowiednim czasie, majorze.

Major w ostatniej chwili powstrzymał się od regulaminowego salutu. Zamiast zaszalutować, zapiął brązową skórzaną kurtkę, wsunął ręce w kieszenie i w ogóle robił wszystko, żeby wyglądać na prawdziwego pilota myśliwskiego, tyle że nie żuł gumy.

- Im wcześniej się dowiem, tym lepiej, panie pułkowniku - powiedział. - Jest mnóstwo instrukcji procedur, które muszą opanować bezbłędnie. Oczywiście jeśli mam jutro dowodzić.

- Przecież tak czy inaczej opanujecie je bezbłędnie, Tucker. Więc jeśli nawet zdecyduję się zostawić was na ziemi, i tak będziecie mieli niezłą praktykę.

- Nie zostawi mnie pan na ziemi, panie pułkowniku. - Tucker usiłował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu się udało.

- Zejdźcie ze mnie, majorze. Jutro czeka nas długi dzień. A przy okazji, jak wam idzie z tym nowym kapitanem? Tym Farebrotherem?

Tucker doskonale wiedział, jak odpowiadać na tego rodzaju pytania.

- Świetnie, panie pułkowniku. To bardzo zdolny pilot. Umie współżyć z personelem dywizjonu. Czy istnieje jakiś specjalny powód, dla którego pan się nim przejmuje?

- A kto, do diabła, mówi, że się przejmuje?!

Tucker uśmiechnął się nerwowo niczym ubogi krewny rozmawiający z bogatym krewniakiem, cierpiącym na zaawansowaną sklerozę.

- Pyta mnie pan o Farebrothera po raz czwarty od czasu, kiedy do nas przyjechał. Czy jest on osobą szczególną?

- Lubię wiedzieć mniej więcej, co tu się właściwie dzieje. Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie powinienem pytać o to, jak się sprawuje nowy pilot?

- Nie, oczywiście, że nie, panie pułkowniku. Nie ma żadnego powodu!

Prawda wyglądała zaś tak, że pułkownik Dan otrzymywał dyskretne telefony dotyczące kapitana Farebrothera - od oficerów Kwatery Głównej Ósmej Armii Lotniczej. Kwatery Głównej! „Pinetree”! Niewielu tych urzędasów z „Pinetree” wiedziało w ogóle, jak wygląda myśliwiec i że istnieje jednostka o nazwie „grupa”, składająca się z jakichś cholernych oferm latających i walczących na wojnie. Więc kim, do diabła, jest Farebrother, że ma tak wysoko postawionych przyjaciół? No, ale to nie zagadnienie, które można by przedyskutować z Tuckerem.

- Dobrze, dobrze, jak umowa to umowa, Spurrier. Poprowadzisz jutro grupę.

Tucker uśmiechnął się szeroko i zasalutował, wszystko naraz. Pułkownik Dan powtarzał sobie w myśli, że musi, że obiecał, ale miał wyrzuty sumienia. Sumienie mówiło mu, że jego teczka osobowa trafi kiedyś na biurko Tuckera i to Tucker będzie decydował, czy odnowić jego kontrakt, czy też wywalić go na bruk.

Gdyby zadaniem Kevina Phelana było w 1944 roku dyktowanie siłom powietrznym, kiedy pogoda będzie właściwa do przeprowadzenia głębokich nalotów na terytorium przeciwnika - a nie odwrotnie - wojna zostałaby zapewne wygrana wcześniej. Styczeniowa misja była tego dobrym przykładem.

Piloci wyznaczeni do działań bojowych - co w owym czasie oznaczało praktycznie wszystkich pilotów bazy - zebrali się następnego ranka na odprawie. Jako S-3, przygotował ją major Phelan, należało to do jego obowiązków.

Miał lecieć z nimi; chłopcy doceniali fakt, że nie jest jakimś cholernym tchórzem. Na wiszącej za jego plecami mapie mocno naciągnięte tasiemki wyznaczały najprostszą drogę między Steeple Thaxted a Brunszwikiem, leżącym w odległości pięciuset mil wprost na wschód.

Wyznaczono trzy cele - po jednym na każdy z zespołów uderzeniowych, lecących w siedemdziesięciomilowych odstępach. Licząc od prowadzącej maszyny pierwszego dywizjonu do ostatniego bombowca, armada miała zająć jakieś trzysta mil nieba. Ochrona wydawała się więc zadaniem trudnym. Pułkownik Dan poprosił oficera wywiadu grupy, by przedstawił to pilotom otwarcie, a oficer spełnił jego prośbę.

- Niemieckie lotnictwo z pewnością zareaguje gwałtownie na tak bezczelną inwazję w jego przestrzeń powietrzną - zapowiedział. - Szkopy rzucą przeciwko wam wszystko, co lata.

Podczas krótkiej chwili ciszy, spowodowanej zgubieniem listy kodów radiowych, z tylnych rzędów rozległ się głos Myszki, czytającego głośno z angielskiego magazynu lotniczego. Piskliwym głosem, małpując brytyjski akcent, Myszka czytał co najmniej przesadny opis wyczynów RAF nad terytorium nieprzyjaciela. W chwili napięcia reakcja pilotów nie mogła być inna niż wybuch histerycznego śmiechu.

Pułkownik Dan cieszył się, że odprawa przebiega szybko i w wesołej atmosferze. Na własne oczy widział, jak odbywa się to w grupach

bombowych, widział, jak napięcie rośnie w miarę kontynuowania opisów celów, punktów zwolnienia bomb, procedur radiowych i tak dalej. Pilotom myśliwców mówiło się w zasadzie wyłącznie: „lećcie za mną!” Tyle że tym razem lecieć mieli za majorem Tuckerem.

Pułkownik już zaczynał żałować swej decyzji.

Po odprawie pozostał z pilotami. Grał w szachy z Tuckerem. Bijąc go raz za razem, major Tucker wyrażał wątpliwości co do sensu nalotu w złą pogodę. Pułkownika mocno to niepokoiło; Tucker należał do oficerów niezwykle rzadko krytykujących wyższych rangą.

- Wyobraźcie sobie tylko bombowce kręcące się w chmurach i próbujące sformować szyk - powiedział porucznik Morse, przyglądający się grze. - Rozmycie!

Pułkownik Dan nie odpowiedział, próbował uratować królową. A jednak jego także martwiła myśl o setkach bombowców godzinami krążących nad wschodnią Anglią, maszyna za maszyną, eskadra za eskadrą, dywizjon za dywizjonem, formujących się w zespół uderzeniowy mający zaatakować nieprzyjaciela.

- Być może nad Niemcami pogoda jest lepsza - zauważył Tucker.

- Rusz gońca - poradził mu Myszka, wskazując figurkę ciemnym od nikotyny palcem. Major spojrział na niego wściekle i wykonał ruch wieżą.

- Nad Niemcami będzie gorzej - stwierdził Myszka. - Przy takim zachmurzeniu front zawsze przesuwa się na wschód.

- Kto tak twierdzi? - zainteresował się pułkownik.

- Jamie Farebrother. Przystudiował wszystkie te meteorologiczne śmiecie. Pułkownik weźmie wieżę - ostrzegł Tuckera.

- Może pan rzucić przed nas jeszcze jakieś perły swej mądrości, kapitanie Farebrother? - zawołał pułkownik, patrząc na stojącego przy ścianie Jamiego, po czym opuścił wzrok na szachownicę i postanowił zabrać Tuckerowi wieżę.

- Oczywiście, panie pułkowniku. To, co meteorologowie nazwali cienką powłoką chmur, ma w rzeczywistości dwadzieścia dwa tysiące stóp grubości!

Pułkownik cisnął wieżę Tuckera do pudełka. O wiele za mocno.

- Skąd pan to może wiedzieć, kapitanie? Tak właśnie powstają bzdurne plotki! Nie mam zamiaru na to pozwolić.

- Pilot z dywizjonu meteorologicznego pije kawę w sąsiedniej sali, panie pułkowniku. Właśnie wylądował.

- Próbujecie zrobić ze mnie idiotę, kapitanie?

- A dlaczegoż miałbym próbować, panie pułkowniku?

Pułkownik Dan zrozumiał sugestię, że już jest idiotą, a ostry nowoangielski akcent Jamiego wzmógł jego irytację. Miał właśnie ostro zareagować, kiedy przez otwarte drzwi do sali wpadł Kevin Phelan.

- Powłoka chmur robi cię coraz grubsza - oznajmił.

- Jasne - odparł pułkownik. - Ma dwadzieścia dwa tysiące stóp.

- Rzeczywiście - przyznał z podziwem major. - A wiesz, że niektóre z grup myśliwskich zawróciły?

- Zawróciły?

- P-38 stwierdziły, że chmury nad Holandią wypiętrzają się zbyt wysoko i zawróciły do domu.

Pułkownik Dan potrząsnął głową. Spojrzał na szachownicę akurat w porę, by dostrzec, że Tucker bije jego królową. Właśnie po to poświęcił uprzednio wieżę. Cholera! Nie powinien słuchać tego szczeniaka Morse'a. Co on wie o szachach? Może i dobry z niego pilot myśliwski, ale gada stanowczo za wiele.

- Już czas, panie pułkowniku - przypomniał major Phelan.

- Szkoda partii - zmartwił się Tucker. - Niewątpliwie był pan o krok od zwycięstwa.

Pułkownik spojrział na niego. Zamiast odpowiedzieć, wytarł nos.

Tucker jest zbyt napalony - pomyślał pułkownik Dan. Albo może za bardzo zależy mu na reputacji świetnego dowódcy.

Dotarli zaledwie do wybrzeża Holandii, kiedy kilku pilotów dostrze-
gło maszyny.

- „Slingshot”, tu „Sparkplug Green Two”. Smugi kondensacyjne,
godzina druga, wysoko. Jakies dwa tysiące stóp nad nami.

Posypały się kolejne meldunki.

- Tu „Slingshot”. Przestańcie gadać. Widzę je. „Topkick Yellow” i
„Topkick Green”, dodać gazu i przyjrzeć się im.

- „Slingshot”, tu „Topkick Yellow Leader”. Roger *.

- „Slingshot”, tu „Topkick Green Leader”. Roger, bracie.

* Roger - w komunikacji radiowej: „wiadomość przyjęta i zrozumiana” (przyp.
tłum.)

Na nic się zdało to, co pułkownik Dan przewidział od samego po-
czątku. Nieprzyjacielskie maszyny, jeśli rzeczywiście były to nieprzyja-
cielskie maszyny, zmieniły kurs i dwie eskadry „Topkick” nie miały
żadnej szansy przyjrzeć się im. Wkrótce osiem samolotów wróciło na
swe miejsce.

Mieli spotkać się z pierwszą grupą bombowców zaledwie pięćdziesiąt
mil od celu. Pułkownik Dan spojrział na zegarek; zostało już niewiele
czasu. Lecieli nad Holandią, dosłownie szorując brzuchami po szczytach
cumulusów; słońce docierało słabo, przefiltrowane przez kolejną war-
stwę chmur, rozpościerającą się na przestrzeni całych mil w górze. I
żadnych dziur. Ziemia pozostawała niewidoczna.

Już jakiś czas wcześniej słyszał sygnały odwołujące 2, i 3. Powietrz-
ny Zespół Uderzeniowy, ale ich one nie dotyczyły. 1. Zespół Uderze-
niowy zmierzał nad cel, a oni mieli lecieć wraz z nim. Prawdopodobnie
dowództwo zdecydowało, że za późno już na jego odwołanie. Z rozkazu
bojowego wynikało, że będzie z nimi pathfinder *, maszyna wyposażona

w radar, „widząca” przez chmury. Bombardierzy pozostałych maszyn zrzucą bomby tam, gdzie polecą one z maszyny prowadzącej.

* Dosłownie - zwiadowca. Samolot z elitarniej (i legendarnej) jednostki lotnictwa brytyjskiego, której celem było wyszukiwanie i oznaczanie celów dla bombowców. „Pathfinders” byli jedyną jednostką lotnictwa Wielkiej Brytanii, do której z zasady nie dopuszczano cudzoziemców, i jedyną, w której nie latali Polacy (przyp. tłum.).

Pułkownik Dan, prowadzący Dywizjon 195 - „Payoff - obrócił głowę, by spojrzeć na swojego skrzydłowego, majora Phelana. Jego nowy Mustang miał wymalowaną na dziobie nazwę: „Irlandzka Róża Phelanskiego”. Tak, był to jego prywatny żart. Dlatego oddał dowódcy „Dzięką Gęś”. Kolejny przykład jego skomplikowanej osobowości. Czy tajemniczy major był naprawdę mistrzem pilotażu Phelanskim, czy też raczej jedną z legendarnych „dzikich gęsi”, irlandzkim wygnańcem i najemnikiem, który, zagubiwszy się na obcej ziemi, wracał na niebo nad swą ojczyzną?

Zerknął na Tuckera, prowadzącego szyk w swym kolorowym „Justerze”. Przynajmniej trzyma kurs - pomyślał i natychmiast zrobiło mu się wstyd. Być może jest dla majora za ostry? Być może jest za ostry dla wszystkich. A może po prostu grupa jest kiepska? Po raz pierwszy od krwawej łaźni w październikowych nalotach zapuszczała się oto głęboko nad Niemcy. Teraz, po odwołaniu dwóch zespołów uderzeniowych, z większością eskorty już pokonaną przez pogodę, zapowiadało się kolejne nieszczęście.

Rozmyślenia pułkownika przerwało wezwanie „Bingo”. Dowódcy „Topkick Yellow”, a zaraz po nim „Topkick Green”, pozbywszy się wcześniej dodatkowych zbiorników paliwa, meldowali o konieczności powrotu do domu.

W ogóle zaczynało się robić za późno na cokolwiek, Tucker jednak znalazł w końcu bombowce i to zaledwie dwadzieścia pięć mil od wyznaczonego miejsca spotkania.

Dywizjon 195 - pod dowództwem pułkownika Dana - dostał polecenie wyjścia jakieś cztery tysiące stóp ponad nie, dwa pozostałe, jeden z

połową stanu maszyn, leciały po obu stronach bombowców. Dwie eskadry Dywizjonu 199 kryły ich jakieś dziesięć mil dalej, od strony słońca - czyli rozmazanej bladej plamki, słabo przeświecającej przez wysokie chmury. Myśliwce zygzakowały, przecinając tor lotu bombowców; tylko w ten sposób udawało im się posuwać przed siebie na tyle wolno, by nie wyprzedzać powolniejszych wielkich przyjaciół.

Pułkownik Dan obserwował samoloty wykonujące zwrot, bez problemu wprowadzając swe eskadry na nowy kurs.

Nisko w dole widział resztę grupy, powtarzającą manewr. Skupił uwagę na Tuckerze. Major pilotował maszynę sztywno, ciężko, ale druga eskadra, Zielona, była naprawdę dobra, leciała równo w ciasnym szyku. To z pewnością eskadra A - pomyślał. - Morse, Wein, Koenige, Farebrother. Nie, nie może teraz zmieniać o nich zdania tylko dlatego, że ich zidentyfikował.

Zastanawiał się, jak Farebrother zniesie pierwszy prawdziwy lot bojowy. Facet był twardy i charakteryzował się tym arystokratycznym indywidualizmem, z którym pułkownik Dan nigdy nie potrafił sobie poradzić. Skromny pokaz pilotażu, który urządził w dniu przyjazdu, odbył się, gdy grupa nie była akurat w stanie gotowości, ale reputacji młodego kapitana nie zaszkodził bynajmniej fakt, że obserwowało go względnie mało oczu. Już raczej odwrotnie - dał służbowym rzadką szansę chwaleńnięcia się obserwowaniem pokazu przed przyjaciółmi, którzy powrócili z przepustek. Wyczyny Farebrothera obrosły dzięki temu legendą, według której jego popisy przyprawiłyby o atak strachu samego barona von Richthofena. Pułkownik Dan zgañił się za to, że pozwolił instynktownej antypatii przysłonić obiektywny osąd sytuacji. Farebrother nieźle się spisał. Ale... ujeżdżanie narowistego mustanga to jedno, a walka z Niemcami co innego. Dobra, kapitanie, zobaczymy, jak wykorzysta pan swoje umiejętności akrobacji...

Kolejny zwrot. Pod spodem były tylko chmury i wielkie B-17, trzymające szyk niczym maleńkie galeony na gigantycznym wzburzonym oceanie.

W kokpicie zrobiło się zimno. Pułkownik sięgnął do dźwigni ogrzewania, ale okazało się, że ma je nastawione na pełną moc. Właśnie zdecydował, że marznięcie w ciepłym samolocie to oznaka zaawansowanego wieku, kiedy dostrzegł, że plastik owiewki pokryty jest szronem. Próbował zetrzeć go dłonią w rękawicy, wyskrobał jednak tylko małe plamki, przez które niewiele mógł dostrzec.

Odezwało się radio. Kilkanaście nieprzyjacielskich maszyn rwało do walki. Dwusilnikowe messerschmitty znajdowały się sporo poniżej bombowców i szły przez chmury w górę, celując w ogon formacji. Wywiad twierdził, że Niemcy mają trzy dywizjony na każde lotnisko, tak jak Amerykanie, istniała więc spora szansa, że te eskadry były przynętą, obliczoną na odciążenie eskorty, podczas gdy większe siły zaatakują z innego kierunku.

- „Payoff Leader”, tu „Slingshot”. Zabierz „Payoff Red” i „Payoff Blue” i zajmij się tymi stodziesiątkami!

Pułkownik Dan przełączył radio na nadawanie.

- „Slingshot”, tu „Payoff Leader”. Roger. Wiko. - Dwa pstryknięcia przyciskiem nadawania i: - „Payoff Red” i „Payoff Blue”, tu „Payoff Leader”. Dajcie gazu. Lecimy.

Dobrze, doskonale! Tucker, jesteś dżentelmenem przynajmniej na tyle, żeby dać swemu pułkownikowi szansę starcia z Hunami. Osiem Mustangów powinno z naddatkiem wystarczyć na tuzin niezdarnych dwusilnikowych messerschmittów. Pułkownik ściągnął drążek, obserwując spiętrzone na horyzoncie chmury, które nagle znikły mu z pola widzenia jak spadająca z łóżka pierzyna. Potem, na czele siedmiu maszyn lecących ciasno za nim, wykonał przewrót i wszedł w nurkowanie. Świat obrócił się do góry nogami, biała pierzyna stała się szarym sufitem, po którym pełzły messerschmitty, powiększające się z każdą sekundą.

Utrata wysokości spowodowała częściowe odmrożenie owiewki. Pułkownik z całej siły wałnął w ogrzewanie, mając nadzieję, że poprawi to jego skuteczność.

Pionowe nurkowanie wprost w formację wroga nie jest taktyką zalecaną przez wykładowców szkoły lotniczej, ale - przy talentach strzeleckich pilotów tej grupy - im cel większy, tym lepiej. Czasami udawało się ich skłonić do bliskiego podejścia do nieprzyjaciela wyłącznie przez wprowadzenie ich w środek jego formacji.

- „Payoff Red” i „Blue”, wybrać cele. Koniec.

Pułkownik ustawił w celowniku prowadzącego messerschmitta. Coś błysnęło - to tylni strzelcy otworzyli ogień.

Następne pół mili lotu przypominało puszczonego w przyśpieszonym tempie film. Messerschmitty zawahały się, po czym złamały szyk. Wielkie, ciemne, podskoczyły ku nieprzyjaciółom niczym pędzące lokomotywy. Pułkownik nacisnął spust. Na skrzydle prowadzącego pojawiły się błyski - to sięgnęły go kule, w ułamek sekundy później trafiając w podwieszony pod skrzydłem rakiety. Wielka pomarańczowoczerwona kula przesłoniła pułkownikowi Danowi świat. Siła eksplozji cisnęła jego mustangiem po niebie, szczątki messerschmitta trafiły w maszynę, odłupując kawałki aluminium poszycia. Stracił kontrolę nad sterami! Cholera! Co za śmierć! - pomyślał. Ściągnął drążek, wparł go w brzuch i modlił się. Samolot powoli wyszedł z lotu nurkowego. W kokpicie rozeszła się woń paliwa i przypalonej gumy. Zerknął w lustro - z messerschmitta pozostała tylko chmura dymu.

Biedny sukinsyn. Dwusilnikowe Bf 110 były tak strasznie niezdarne! Obciążone wagą podwieszonych pod skrzydłami rakiet nie miały szans w razie zdecydowanego ataku.

Kolejny messerschmitt przeleciał tak blisko, że pułkownik mógł dostrzec twarze załogi w złożonym z plastra małych okienek kokpicie. Trzeci leciał z przodu; pułkownikowi czasu starczyło wyłącznie na jedną krótką serię, bo szkop natychmiast wykonał unik, broniąc się w ten sposób przed atakiem od ogona. Do niego samego nikt w tej chwili nie strzelał. Zakręcił ostro. Phelan ciągle trzymał się tuż za nim; Kevin, sól ziemi.

Trzymał maszynę w skręcie, póki nie zobaczył czwartego messerschmitta. Ten leciał bez wahania utrzymując kurs do ataku. Za nim były już tylko bombowce - prowadzący atak pułk, trzy eskadry w szyku zwartym*, zajmujące dwa tysiące stóp nieba.

* Eskadra w szyku zwartym (box) - szyk bombowców stosowany na kursie bojowym, przed i w momencie zrzucenia bomb (przyp. tłum.).

Hun atakował pierwszą; pułkownik Dan wyrównał więc i ostrzelał go z dystansu, mając nadzieję, że zwróci na siebie jego uwagę. Spod skrzydła messerschmitta trysnął płomień. Przez moment wyglądało na to, że ślepy los sprawił pułkownikowi prezent, lecz nagle z kłębow dymu wyleciały powoli rakiety. Niemiec skręcił, one zaś popłynęły ku bombowcom.

W radio zapanował chaos; nikt nie mógł więc mieć żadnych wątpliwości - inne dywizjony również prowadziły walkę. Pułkownik znurował za messerschmittem, ale w pogoń za nim rzucił się również jakiś inny mustang. Ustąpił mu miejsca. Zrobił przewrót, cały czas kręcąc głową, przeczesując wzrokiem horyzont. Kevin był za nim nadal, ale reszta „Payoff Red” i „Blue” w pogoni za zwierzyną znikła w wierzchniej warstwie chmur, jakieś tysiąc stóp niżej.

- „Payoff Red”, „Payoff Blue”, tu „Payoff Leader”. Dołączcie do mnie nad chmurami.

Dostrzegł ciemne plamy dymu, gdy rakiety wybuchły w pobliżu bombowców. Głęboko przechylony w skręcie, widział także, co się dzieje w dole. Chmury były tu tak cienkie, że miejscami prześwitywała przez nie ziemia i widniały Góry Harzu, przykryte śniegiem Brocken, gdzie w Noc Walpurgii czarownice, jak dziś samoloty, siały zagładę z nieba.

Ustawił kurs na bombowce. Phelan wciąż był przy nim. Z chmur wyleciały dwa mustangi pnące się w górę niemal pionowo. Po nich pojawiły się jeszcze trzy... nie, cztery. Żadnych strat, bardzo dobrze.

Wyleciał ponad bombowce. Teraz chroniła je tylko połowa „Payoff. Tucker zabrał ze sobą „Sparkpluga” w pogoń za pozostałymi Niemcami. Nie wolno mu było zbytnio się oddalać, taki był rozkaz, może głupi, ale zawsze rozkaz - tkwić blisko, tak, by załogi bombowców widziały swą osłonę. Ci chłopcy nie chcieli oglądać gazetowych zdjęć myśliwców wymalowujących swastyki na kadłubach samolotów, chcieli ochrony. Gdzieś ty się podział, Tucker?!

Powoli, majestatycznie, B-17 przeformowały się. Każda eskadra osiemnastu samolotów * zajmowała miejsce za eskadrą prowadzącą; maszyny nie płynęły już po niebie szeroką rzeką, lecz wąskim strumyczkiem; bomby spadną na ziemię w odpowiednim skupieniu.

* Autor odbiega tu od przyjętej w opisywanej sytuacji liczby dwunastu bombowców, stanowiących eskadrę (przyp. tłum.).

Rozproszone promienie słońca świeciły na matowe brązowe kadłuby wielkich samolotów, na ich szerokie skrzydła; tu i tam nie pomalowany kadłub odbijał promienie przy powolnym skręceniu na kurs do ataku. Artyleria przeciwlotnicza strzelała gęściej; na niebie powstawały plamy podobne do dziobów po wietrznej ospie. Jaskrawe ściegi ognia przeszywały powietrze na mile w każdym kierunku, lecz każdy nowy wybuch wykwitał czerwoną plamą w pobliżu fortecy.

Kompleksu fabryk lotniczych strzegły liczne gniazda artylerii przeciwlotniczej. Pierwszy samolot pierwszej eskadry lecącej w szyku zwartym miał na pokładzie dowódcę Powietrznego Zespołu Uderzeniowego, jednogwiazdkowego generała. Celownicy skupiali się na nim. Plotki głosiły, że Niemcy odznaczali Krzyżem Rycerskim tych, którym udało się upolować generała.

Drzwi bombowe pierwszej maszyny otworzyły się powoli. Gdy osiągnęła punkt początkowy, niebo przed nią rozświetliło się zaporą ogniwą, przez którą nic na pozór nie miało szansy się przedrzeć. Salwa za salwą szły w ten sam obszar pulsujący na czerwono i szaro niczym jakiś złowrogi morski anemon, w kulę wzburzonego powietrza i okruchów

metal, w miejsce, przez które przelecieć miały po kolei wszystkie bombowce.

Żaden się nie zawahał. Żadnym nie dowodził już pilot; teraz były we władzy bombardierów, przyklejonych do celowników, próbujących rozpoznać przez chmury i dym niewyraźny cel.

Na kanale myśliwców słychać było słabe głosy. Tucker walczył z niemieckimi maszynami, atakującymi od wschodu. Pułkownik widział maleńkie kropeczki, ruchliwe jak muszki. Miał nadzieję, że Spurrier nie da się odciągnąć za daleko. Jeden pozostały mu dywizjon nie był w stanie ochronić wszystkich bombowców, a droga na wschód nie prowadziła bynajmniej do domu.

Zygzakował. Przy jednej ze zmian kursu skręcił ostro, by zobaczyć, co dzieje się w dole. Miasteczko otaczała szachownica pól; plamę ciemnej szarości, przeszytą srebrzystą nitką rzeki, rozmywało padające z góry, przefiltrowane przez zasłonę chmur, światło. Nagle pojawiły się na niej drobne jaskrawe rozbłyski. Znikły i w chwilę potem ziemia zdrząła. Niemal natychmiast gęsty dym zasnuł drgającą powierzchnię wraz z wybuchającymi bombami. Pułkownik zakończył skręt i przed oczu znikł mu widok głównego celu ataku.

Dwie fortece - „Hot Tamale” i „Prom Trotter” - zostały trafione przez artylerię przeciwlotniczą i wyraźnie zostawały w tyle za formacją. Pułkownik Dan próbował znaleźć kanał, na którym porozumiewały się załogi bombowców, lecz przez zgrzyt niemieckich zagłuszeń przebijał się tylko niezrozumiały hałas wielu głosów. „Prom Trotter” stracił drugi silnik i zaczął opadać. Przebijał się przez formację; znajdujące się pod nim maszyny wykonywały rozpaczliwe ślizgi i skręty, byle tylko zejść mu z drogi. Koniec! To już koniec! Żaden tak ciężko uszkodzony samolot nie utrzyma się długo w powietrzu. Oto pierwszy spadochron, drugi.

Trzy, cztery, pięć, sześć spadochronów płynęło powoli w przesyconym

dymem powietrzu. Siedem, osiem, dziewięć. Forteca, pozbawiona tylnego stabilizatora, skręciła bardzo powoli, przewaliła się przez skrzydło i wpadła w korkociąg, z którego nie mogła już wyjść. Pułkownik zadrzał. Dziewięć spadochronów, zawsze było tylko dziewięć spadochronów! Pilot nigdy nie zdążył wyskoczyć, musiał przecież utrzymać maszynę, z której skakali jego przyjaciele. „Prom Trotter” - pogromca licealistek... Ten pogromca nigdy już nie podbije serca żadnej licealistki; przyciśnięty do kadłuba siłą odśrodkową pilot myśli tylko o tym, o czym myśli człowiek w ostatnich kilku sekundach życia.

Wydostali się już z najgorszego ognia, cel był za nimi; pozostał po nim wyłącznie bijący w niebo słup dymu. Skręcajcie! Kiedy zaczniecie skręcać?! Nadal lecimy na wschód! Niemieckie myśliwce wrócą przecież, wrócą już wkrótce, a tym razem mustangi muszą eskortować także uszkodzone bombowce z rannymi członkami załogi. Pułkownik ustawił gaz, mieszankę i skok śmigła na najoszczędniejszą kombinację. Teraz wszyscy będą musieli dostosować się do tempa kalek, póki nie przyjdzie czas na ich zostawienie. No, wreszcie! Zaczynają skręcać.

Po zwolnieniu bomb lecące gęsiego nad celem grupy znurkowały łągodnie, tracąc około dwóch tysięcy stóp wysokości. Zwiększało to prędkość, skracało czas pozostawania pod ostrzałem artylerii przeciwlotniczej i - zdaniem wywiadu - utrudniało pracę celowniczym na ziemi.

Gdy maszyny doleciały nad punkt zborny, czołowa grupa zwolniła, by towarzyszące jej wyżej i niżej eskadry, ciągle w szyku zwartym, zajęły swe miejsca. Pułk, czyli około sześćdziesięciu maszyn, zajmował po przeformowaniu niemal milę nieba na różnych wysokościach. Leciał w szyku, w którym poszczególne maszyny najefektywniej użyć mogły broni pokładowej dla wzajemnej osłony przed atakami myśliwców. Zraz po pierwszym, jakieś sześć mil dalej, kolejny pułk osiągnął swój

punkt zborny i dokonał tego samego skomplikowanego manewru.

Pułkownik Dan spojrział na strzałkę paliwomierza. Nie najlepiej, podobnie jak u pozostałych pilotów myśliwskich, ale jak na razie nikt nie krzyczał przez radio „Bingo”.

Gdzie się, do cholery, podziała grupa mająca osłaniać odwrót? Nagle znalazł kanał komunikacyjny bombowców. Blackwood wzywał samolot obsługi radiokomunikacyjnej do wysłania sygnału do ataku.

- „Payoff Leader”, tu „Payoff Red Two”. Nieprzyjaciel, godzina trzecia. Na waszym pułapie.

Pułkownik potwierdził odbiór wciśnięciem przycisku nadawania. Często powtarzał swoim pilotom, że to zawodny sposób, ale sam stosował go czasami - kiedy był bardzo zmęczony. Do diabła, nie może być jeszcze zmęczony! Misja przecież wcale się nie skończyła. Tak, już widział Niemców. Lecieli kursem równoległym, jakieś dwadzieścia mil po prawej.

Przełączył kanały. Piloci fortec krzyczeli radośnie, opowiadając, jak to wspaniale załatwili cel, ktoś wrzeszczał coś o zderzeniu, do którego omal nie doszło w skrajności. Była chyba z nimi maszyna, którą do domu rozpaczliwie próbowali doprowadzić ranni piloci lub, co gorsza, mechanik czy nawigator. Na kanale myśliwców usłyszał swych ludzi. Głosy mieli ostre jak dźwięk noża na metalu; zdyszane, krótkie okrzyki i ostrzeżenia świadczyły, że prowadzą walkę. Mam szczerą nadzieję, Tucker, że wiesz, co robisz - pomyślał. Wezwał Kevina Phelana.

- „Payoff Red Two”. Te tam to według ciebie dwusilnikowce?

- Bez dyskusji. Przecież widać, że paliwa starczy im na zabawę w kotka i myszkę.

Cwaniaczek!

- Melduj, kiedy będzie wyglądało na to, że atakują, „Payoff Red Two”. Odrobina paliwa i moglibyśmy ich poszturchać.

Spojrział w dół. „Hot Tamale”, uszkodzony nad celem, jakoś się

trzymał. Maszyny z lecącej najniższej eskadry poruszającego się najniżej dywizjonu zrobiły mu miejsce.

Prawe skrzydło miał mocno podziurawione i urwaną część prawego stabilizatora, więc wykazywał skłonność do latania w kółko, piloci jednak uparli się prowadzić go na zachód. Rzeczywisty kurs był zatem wypadkową starcia dwóch silnych indywidualności.

Znów spojrzał na zegarek i wskaźnik paliwa. Gdzie się podział myśliwski zespół osłony odwrotu?! Jeszcze trochę i brak paliwa zmusi go do skierowania dywizjonu wprost do domu, zmusi do pozostawienia bombowców bez eskorty! Tucker, który z resztą maszyn bronił się przed atakiem od strony Magdeburga, musiał być w jeszcze gorszej sytuacji; w walce rezerwy paliwa topnieją o wiele szybciej.

Minęło kilka minut i wreszcie musiał wezwać dowódcę blackwoodów i przekazać mu złą wiadomość.

- Do zobaczenia - zakończył. - Żałuję, że nie możemy zostać. Powodzenia. Koniec.

Dowódca armady bombowców także obserwował lecące równoległe messerschmitty, ale nikt nie domyśliłby się tego z jego głosu.

- Dziękuję, mali przyjaciele - powiedział równym, pozbawionym emocji głosem. Zupełnie jak dziecko odgrywające scenkę z poranka filmowego udawał, że wcale go nie obchodzi, iż myśliwcy odlatują wziąć prysznic i zjeść stek, pozostawiając ich na łasce czyhających na taką okazję szkopów. Pułkownik Dan pożegnał „Hot Tamale” melancholijnym spojrzeniem. W tych okolicznościach z pewnością nie dotrze do domu. Najniższa pozycja w pierwszym dywizjonie nazywana była „Kącikiem Purpurowego Serca”. Tam najpierw rzucą się wygłodniałe messerschmitty, a uszkodzona maszyna była wyborym kąskiem dla jakiegoś niemieckiego gówniarza marzącego o tym, by wymalować sobie na ognie sylwetkę pokonanego przeciwnika.

Wszedł na kurs powrotny. Leciał, starając się zapomnieć o bombowcach, które zostawił na los szczęścia. Czasami perspektywa siedzenia za

biurkiem nie wydawała mu się ponura, a to była właśnie jedna z tych chwil.

Nad Holandią usłyszał Tuckera, próbującego wywołać bazę. Na północy ciągle jednak kotłowały się burzowe chmury i w słuchawkach słychać było tylko trzaski wyładowań. Oznaczało to, że z całą pewnością baza go nie słyszy, a także, że nikt nie usłyszy wołań o pomoc blackwoda. Nad Kanałem Kevin Phelan, obdarzony fenomenalnym wzrokiem, dostrzegł przetrzepaną formację majora.

Wreszcie się spotkali.

- Mamy straty, „Payoff Leader” - zameldował Tucker. - A „Sparkplug Green Leader” wraz ze swą eskadrą opuścił szyk wbrew wyraźnym rozkazom.

- Roger. Koniec, wyłączam się - powiedział gniewnie pułkownik Dan. „Sparkplug Green Leader” to porucznik Morse. Wraz z nim lecieli Wein, Farebrother i jeszcze ten... a, Koenige!

Kiedy dolecieli do Steeple Thaxted, lało jak z cebra. Pułkownik Dan zazdrośnie strzegł swego przywileju dowódcy - lądowania jako pierwszy. Kiedy ustawiali się do zejścia, czekał, czy Tucker do końca grać będzie rolę „Slingshot”, na to jednak okazał się on za cwany; wezwał pułkownika przez radio i zaprosił na czoło.

- Daleko pan zajdzie, majorze - powiedział pułkownik, wykonując ślizg, by znaleźć się dokładnie nad pasem.

Major nie odpowiedział.

Pułkownik skierował „Wild Goose” przez drogę kołowania do osłoniętych wiatrem stanowisk dla maszyn dowództwa. Dostrzegł dżipa szefa mechaników i stojącego obok niego drugiego dżipa - kontroli powietrznej.

Butch Walton, szef mechaników pułkownika Dana, wspiął się na skrzydło, by pomóc mu rozpiąć uprząż spadochronu i porozłączać pajączynę przewodów i rurek, składających się na system podtrzymywania życia, umożliwiającą loty w wyższych warstwach atmosfery.

- Ma pan gościa, panie pułkowniku - oznajmił. - Jednogwiazdkowego generała.

Deszcz walił w skrzydła mustanga, syczał na gorących rurach wydechowych niczym kłębowisko węży.

- Siedzi w dziapie kontroli powietrznej?

Generałów rzadko widywało się w samochodach bez burt. Na ogół woleli nie narażać się na opryskanie błotnistą wodą.

- Tak, to on, panie pułkowniku. Przyleciał C-47 z trzema gwiazdkami na nosie... Nie byle figura.

Pułkownik Dan odwrócił się sztywno w lotniczym fotelu. Generał siedział na ciasnym przednim siedzeniu dziapa, kolana podciągnięte miał pod brodę. Sprawiał wrażenie, że bardzo mu się to podoba.

Pułkownik wysunął się z kokpitu. Zdrętwiał, wszystko go bolało i czuł się odwodniony; potrzebował spotkania z generałem tak jak trzech rund z Joe Louisem. Musiał użyć obu rąk, by wygramolić się z samolotu.

- Wygląda na to, że ten gość cholernie ci zaimponował, Butch - powiedział.

Uderzył w sprzączkę zwalniającą spadochron, przeciągnął go tak, by móc dźwignąć go na plecy, i zsunął się na ziemię.

Zastępca szefa, który przysłuchiwał się z boku, powiedział:

- Ten generał ma przy boku faceta, który robi notatki... Gania po kawę i pączki... A jest majorem!

- Pieprzone ogrzewanie znów wysiadło, Butch - poinformował pułkownik mechanika. - Omal nie zamarłem w cholerę, a szyby były zamglone.

- Zajmę się tym natychmiast. - Butch zmarszczył czoło, jakby pułkownik skrytykował postępowanie jego ukochanego dziecka.

- Na litość Boską, zrób też coś z tymi rurkami do siusiania. Kiedy zamarzną, człowiek oblewa się od stóp do głów!

W mokrym asfalcie dziap generała odbijał się tak doskonale, jakby samochód i jego odbicie stanowiły jedność. Sam generał, mający na

sobie piękny biały płaszcz przeciwdeszczowy, opuścił wreszcie przednie siedzenie i pozwolił kierowcy oddalić się celem pełnienia dalszych obowiązków. Po betonie pasa pędził dziup oficera administracyjnego, rozpryskując wodę z rozjeżdżanych kałuż. Duke Scroll trzymał się kurczowo przedniej szyby. Bardzo chciał dopaść pułkownika przed generałem, ale to mu się niestety nie udało.

- Pułkownik Badger? Jestem Bohnen z High Wycombe.

Obciążony spadochronem pułkownik wyprostował się i zasalutował niezdarnie. Bohnen uśmiechnął się i niedbale dotknął daszka czapki, czyniąc zadość wojskowym wymogom.

- Macie straty, pułkowniku?

Badger ściągnął hełm i pozwolił mu zawisnąć na szyi.

- Wszyscy moi piloci walczyli, panie generale. Ten dywizjon zestrzelił parę niemieckich myśliwców nie ponosząc strat. - Spojrzał w niebo, na resztę grupy, podchodzącą właśnie do lądowania. - Dziś prowadził nas jeden z dowódców dywizjonów, panie generale. Spotkali poważniejsze siły nieprzyjaciela i zostali rozproszeni. Musimy poczekać jeszcze z godzinę, by zyskać jasność sytuacji. Ale potem i tak ktoś może zatelefonować z innego lotniska. Przy tej pogodzie...

- Wiem - powiedział ze zrozumieniem Bohnen. Jego biały płaszcz szarzał w miarę nasiąkania wodą.

Dziup oficera administracyjnego zahamował z przeraźliwym piskiem opon, aż pułkownik cofnął się gwałtownie. Generał ani drgnął. Może był głuchawy?

Duke wyskoczył z samochodu jeszcze w biegu. Był z nim jakiś oficer, ale pułkownik Dan nie rozpoznał jego twarzy; być może należała do majora od pączków? Scroll zamaszystym gestem kazał Butchowi Waltonowi przenieść do dziupa spadochron dowódcy, po czym perfekcyjnie zasalutował generałowi.

- Wynieśmy się z tego deszczu - zaproponował Bohnen. Zwrócił się

do pułkownika: - Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać? - spytał. Nie musiał dodawać „prywatnie”.

- Jest sala odpraw dywizjonu. - Pułkownik Dan nie zdejmował złotej maewestki; miała ona przypomnieć gościowi, że pułkownik właśnie wrócił po dniu ciężkiej harówki.

- Doskonale - zgodził się generał i wspiął na tylne siedzenie dżipa. Duke z przedniego siedzenia rozkazał kierowcy jechać do sali odpraw Dywizjonu 199. Pułkownik i major od pączków usiedli po obu stronach generała. Dżip Duke'a nie miał burt; drobny deszcz przemoczył skórzaną kurtkę i spodnie pułkownika Dana, błoto ochlapało rękaw majora od pączków; generał siedzący pomiędzy nimi pozostał jednak suchutki i czyściutki. Najwyraźniej nie był człowiekiem głupim. Duke skręcił się na siedzeniu, zapalając mu papierosa, od czasu do czasu uśmiechał się do niego szeroko; trening rodem z West Point wpoił mu wielki szacunek dla szarż. Ludzie z Akademii traktowali generałów jak dziewczyny od dopingu futbolowych herosów, ale pułkownik Dan nigdy nie był w Akademii. Przyszedł do lotnictwa z samolotów pocztowych i generałowie nic dla niego nie znaczyli. Ludzi dzielił na dwie kategorie: pilotów i pasażerów. Machnął ręką, kiedy Scroll i jego próbował poczęstować papierosem.

- Ta brytyjska pogoda to rzeczywiście... - zagaił Bohnen.

- Prosiłiśmy o materiały do budowy sali gimnastycznej - odparł Duke. - W tym błocie nawet w futbol nie da się pograć, więc zorganizowaliśmy drużyny siatkówki, które jednak nie mają gdzie grać. - Zwrócił się do pułkownika Dana, spojrzał mu wprost w oczy i mądrze kiwnął głową. Chciał się upewnić, czy jego dowódca rozumie, o co chodzi w tej rozmowie.

Dowódca rozumiał. Oto rozpoczynała się obrona przed mającym nastąpić lada chwila atakiem, czyli rozmową o bójkach w „Crown” w Long Thaxted.

- Żołnierze czują się przygnębieni - kontynuował Duke. - Widać to w raportach o zgłoszeniach do izby chorych. Pojawiają się tam ze skargami na drobne, być może nawet wymyślone, dolegliwości - bóle głowy, katar, kłopoty z żołądkiem.

- Mam nadzieję, że nie prosi mnie pan o dokonanie korekty brytyjskiego klimatu? - spytał generał.

Duke uśmiechnął uprzejmie na znak, że docenia żart.

- Potrzebujemy tylko możliwości zorganizowania im jakichś rozrywek, panie generale. Obecnie żołnierze albo siedzą w namiotach rozmawiając o domu, albo chodzą do klubu na piwo.

Świetnie rozegrane, Duke - pomyślał pułkownik. „Crown” i Long Thaxted nie zostały nawet wymienione.

- A myśleliście o hangarze? - zainteresował się generał. - Do gry w siatkówkę, boksu?

- Używaliśmy go aż do października, panie generale. Ale od kiedy pogorszyła się pogoda, zabrakło tam miejsca. Tyle jest ekwipunku, który musi pozostać osłonięty...

- Proszę to sobie zanotować, majorze Price - polecił generał.

Major od pączków jakimś cudem wyciągnął notes spod warstw otulającego go ubrania i wykorzystał przystanek, podczas którego dziup przyszczał kołującą właśnie maszynę, do zrobienia odpowiedniej notatki.

- Musimy zająć się tego rodzaju sprawami, nim pojawią się poważne problemy - orzekł Bohnen, jakby była to sprawa decyzji na najwyższym szczeblu, decyzji, do podjęcia której zdolni są tylko generałowie.

- Teraz zapalę, Duke - poinformował oficera administracyjnego pułkownik Dan.

Duke odwrócił się i poczęstował go papierosem. Wymienili uśmiechy - miła była świadomość, że przybycie generała nie ma nic wspólnego z ewentualnym śledztwem w sprawie bójek.

Dziup zatrzymał się przed barakiem Dywizjonu 199, pustym, jeśli nie liczyć dyżurnego kancelisty, którego pułkownik natychmiast posłał po

kawę; sam zaś wysforował się do przodu, by zapalić światła.

Sala odpraw była niewielka - używano jej wyłącznie przy tych nielicznych okazjach, kiedy dywizjony otrzymywały zadania. Znajdowały się tutaj miękkie skórzane krzesła, a także piecyk naftowy, utrzymujący znośną temperaturę, nie brakowało również notesów, map i telefonów. Światło świeciło jasno. Pułkownik nie miał zielonego pojęcia, o czym chce go poinformować generał, ale równie dobrze może mu to powiedzieć tu, z dala od odznaczającej się doskonałym słuchem, rozplatkowanej obsługi Kwatery Głównej Grupy. Duke rozkazał kanceliście rozsunąć zasłony na oknach. Teraz, kiedy nalot już się skończył, materiały do odprawy i zapisane tablice przestały być ściśle tajne, a pokój bardzo wyraźnie domagał się przewietrzenia.

Generał rozpiął piękny biały płaszcz i oddał go majorowi od pączków. Podejrzenia pułkownika Dana sprawdziły się - na kurtce munduru nie było lotniczych skrzydełek ani żadnych baretek. Niezależnie od swej specjalności, generał Bohnen nie był wychowankiem West Point, co potwierdził jeden rzut oka na jego sygnet.

- Przesłyszałem się, czy rzeczywiście rozkazał pan przynieść kawę?
- pytał właśnie gość.

Teraz, kiedy nie miał na sobie czapki i płaszcza, pułkownik mógł mu się lepiej przyjrzeć. Generał był wysokim mężczyzną lat około czterdziestu pięciu. Miał falujące, przyprószone siwizną włosy i siwe wąsy. Podczas gdy obaj stali grzejąc dłonie nad piecykiem, przyglądał się uważnie pułkownikowi, jakby zwracał się on do niego w poszukiwaniu bardzo dobrze płatnej posady. Duke skinął głową i wraz z majorem dyskretnie opuścił salę.

- Proszę mi opowiedzieć o pańskiej grupie - polecił generał.
- Mam dobrych pilotów, ale za wiele czasu spędzają w kraju ucząc się latać na P-39 i P-40 i walczyć z Japończykami na pięciu tysiącach stóp. Potem nagle znów zmieniają typ maszyn i muszą uczyć się, jak zwyciężać najgorszą pogodę na świecie oraz zupełnie innego przeciwnika, i to na pułapie sześciu mil.

- To dane z dzisiejszego zadania?

- Tak, dzisiejszego. - Pułkownik rozsunął zasłonę, zza której wyłoniła się mapa z tasiemkami wskazującymi Brunszwik. - Wszystkie sale zawsze są gotowe, nawet jeśli wiemy, że przeprowadzimy odprawę dla całej grupy. Przecież nigdy nie wiadomo, kiedy zmienią się plany i poszczególne dywizjony dostaną osobne zadania.

Bohnen skinął głową. Podeszedł do tablicy i potrząsnął plakietkami, z których każda nosiła nazwisko pilota.

- Kolorowe samoloty wskazują kodowy kolor misji - wyjaśnił pułkownik. - Samolot na róży kompasu wskazuje, którego pasa będziemy używać. Puste są na czasy startu, a te cyfry to kurs według kompasu z bazy. Nie używaliśmy tej sali, więc nie ma tu informacji o ostatecznych ustaleniach.

- Niewiele pozostawia pan przypadkowi, pułkowniku.

- Mam dobry, doświadczony personel, panie generale.

Bohnen czytał tymczasem nazwiska pilotów.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, co dzisiaj zaszło? - spytał przez ramię.

- 2, i 3. Zespół Uderzeniowy zostały odwołane. Słyszałem rozkaz przez radio.

- Tak, oprócz prowadzącego pułku trzeciego. Byli zbyt blisko celu, nie mogli zweryfikować sygnału. Jak to wyglądało, pułkowniku?

- Ciężko było, panie generale. Nad celem pogoda okazała się trochę lepsza niż tu i szkopy rzuciły przeciw nam wszystko, nawet myśliwce nocne.

- To ich bitwa o Anglię, pułkowniku. Właśnie to powiedziałem wczoraj szefowi sztabu. To ich bitwa o Anglię. Bombardujemy ich w Vaterlandzie. Rzucają przeciw nam, co tylko mają, nie licząc się ze stratami.

- Moi chłopcy są gotowi na wszystko, panie generale.

- W to nie wątpię, pułkowniku.

Generał znów zapatrzył się w tablicę.

- Zostaliśmy z bombowcami tak długo, jak tylko mogliśmy, panie generale - oznajmił pułkownik Dan.

Bohnen spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczami, w których malowało się zaskoczenie, może nawet zdumienie. Pułkownik Dan poczuł się niepewnie pod tym spojrzeniem.

- Osiem maszyn wróciło wcześniej. Proszę mi o tym opowiedzieć.

- To było nad Holandią, kiedy lecieliśmy w tamtą stronę, panie generale. Dostrzegliśmy nieprzyjaciela. Major Tucker wyznaczył dwie eskadry celem sprawdzenia... Ja podjąłbym identyczną decyzję, panie generale.

- Jest pan niezwykle lojalny, pułkowniku Badger.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Przyniesiono kawę. Duke znalazł nawet talerzyki i łyżeczki, cukier podano jednak w blaszanej puszcze, podejrzanie przypominającej dokładnie wymytą popielniczkę.

Bohnen zamieszał kawę.

- Pańscy ludzie nie zdołali się przecież do nich zbliżyć, więc nigdy nie będziemy wiedzieli, czy rzeczywiście były to maszyny przeciwnika. Być może mieliście do czynienia z brytyjskimi spitfire'ami, wracającymi z lotu bojowego. Być może były to nasze własne samoloty meteorologiczne.

- Nie znam jeszcze szczegółów, panie generale.

- Ale ja znam. Uczestniczyłem w odprawie po locie. Zakładam, że odrzucone zbiorniki były niemal pełne.

- Tak, niemal pełne, panie generale. Lecieliśmy na nich zaledwie przez parę minut.

- Czyż więc użycie paliwa ze zbiorników dodatkowych od samego momentu startu nie byłoby bardziej ekonomiczne?

- Zawsze najpierw lecimy na paliwie ze zbiorników w kadłubie, za pilotem. Kiedy pozostaje go około trzydziestu galonów, przełączamy się na zbiorniki zewnętrzne.

- Dlaczego?

- To standardowa procedura operacyjna, panie generale. Ciężar paliwa w zbiorniku głównym zmienia środek ciężkości samolotu. To trochę tak jak wieźć pasażera na motocyklu - dodatkowe obciążenie jest w złym miejscu. Nie możemy zaangażować się w walkę z pełnym zbiornikiem, nie możemy także opróżnić go awaryjnie.

Bohnen zacisnął wargi.

- Czy tam, nad holenderskim wybrzeżem, to rzeczywiście byli Niemcy? - spytał.

- Nie wiem, panie generale.

Generał wyjął z kieszeni skórzany futerał na cygara.

- Rey del Mundo - wyjaśnił, wyciągając dłoń zapraszającym gestem. - Coronas. Nie dostanie pan lepszych cygar niż te. Mówią, że nawet Churchill je pali.

Pułkownik Dan poczęstował się cygarem. Nic by go nie obchodziło, nawet gdyby palił je Groucho Marx. Trudno było o dobrą hawanę. Obaj odprawili rytuał wążania, przycinania, zapalania. Ciekawe, czy gość spodziewał się, że odgryzę koniec, pożuję i wypluję na podłogę? - pomyślał. Generał przyglądał mu się z ostrożnym zainteresowaniem.

- Pozwoli pan, że zapytam jeszcze raz - powiedział, zdzierając opaskę ze swego cygara. - Czy te samoloty nad Holandią rzeczywiście były niemieckie?

- Czy to doprawdy takie ważne, panie generale?

Przez dłuższą chwilę generał nie odpowiadał. Poświęcił się zapalaniu cygara ze skupieniem właściwym wyłącznie fanatycznym wielbicielom tytoniu. Pułkownik znał to doskonale - cygara były chyba jedyną namiętnością jego ojca. Dopiero spróbował smaku dymu Bohnen podniósł wzrok.

- Osiem maszyn mogłoby dziś sporo pomóc - rzekł. Stał na tle otwartego okna. Zapadł już zmrok. Generał wydmuchał dym, który otoczył go szaroniebieskim obłoczkiem. - Osiem maszyn utrzymanych z dala od walki oznaczałoby dodatkowe trzydzieści minut eskorty. Nie muszę

chyba panu mówić, jakie miałyby to znaczenie dla chłopców w bombowcach. - Przyglądał się palącemu cygaro pułkownikowi, jakby pragnął zyskać pewność, że nie zostało ono źle potraktowane.

- Bez wątpienia, panie generale.

- Założmy teraz, że Niemcy rozmieszczą jednostki myśliwskie na tym wybrzeżu. Założmy, że będą udawali atak na każdą grupę eskorty, którą tamtędy wysyłamy...

Pułkownik przyjrzał się generałowi ze świeżo zrodzonym szacunkiem.

- Nie sądzę, żeby to byli Niemcy - wyznał. - Lecz jeśli nawet, to nie sądzę też, by znajdowali się w taktycznej sytuacji umożliwiającej pozorację ataku takiego, jaki pan opisał.

Bohnen skinął głową, rozkoszując się aromatycznym dymem.

- Wystarczy jeden sprytny szkop, który zda sobie sprawę z naszego słabego punktu i najprawdopodobniej będzie to oznaczać kres głębokiej penetracji przestrzeni powietrznej przeciwnika. Ósma Armia Lotnicza może wtedy pakować walizki i wracać do domu. Nie zdoła w żaden sposób przyczynić się do wygrania wojny. - Pułkownik skinął głową, generał natomiast rozpoczął spacer po pokoju. - A to oznaczałoby - mówił dalej - że mamy zerowe szanse, by zyskać niezależność po wojnie.

- Jasne - przyznał pułkownik Dan i spróbował wyglądać na równie zmartwionego co Bohnen. W rzeczywistości jednak nic go nie obchodził kolor mundurów, w których przyjdzie im walczyć, ani łańcuch dowodzenia w Waszyngtonie. Chciał tylko, żeby pozwolono mu latać.

- A więc twierdzi pan, że piloci pańskiej grupy spędzili za wiele czasu na treningu w strefie wewnętrznej? - spytał Bohnen, stosując pomysłowe wojskowe określenie Stanów Zjednoczonych.

- Niezupelnie o to mi chodziło, panie generale.

Generał podniósł rękę, w której trzymał cygaro, jakby kierował ruchem na Times Square.

- Lubię ludzi, którzy umieją się zdobyć na szczerość. Powiedział pan, że pańscy chłopcy są przetrenowani. Mój szef w Kwaterze Głównej byłby skłonny zgodzić się z panem.

- Niektórzy z nich latali na czterech typach maszyn, nim dostali przydział do tej grupy, a teraz, mimo okropnej angielskiej pogody, już nauczyli się większości sztuczek wartych zastosowania w walce na wysokim pułapie. Powiedziałbym, że mamy do czynienia z wyjątkowo dobrymi pilotami. Są w pełni przygotowani do walki, i chcą walczyć.

Generał Bohnen nadal przechadzał się po sali. Głowę miał spuszczone, czoło zmarszczone. Pułkownik nie mówił nic. Nagle generał podszedł do okna i spojrzął na lotnisko.

Światło dnia już gasło; spłwiałe od deszczu zabudowania farmy stojącej po drugiej stronie lotniska wydawały się nienaturalnie jasne. Z kominów leciał dym.

- Zupełnie jak świąteczna pocztówka - orzekł.

- Jak to, panie generale?

- Brytyjski krajobraz. Wygląda zupełnie jak świąteczna pocztówka. Wzgórza w zmierzchu, domki kryte strzechą, krowy... Czy czytał pan w szkole Wordswortha, pułkowniku?

Pułkownik Dan niewiele wiedział o poezji, ale za to wiedział doskonale, kiedy traktuje się go z wyższością.

I bardzo tego nie lubił.

- Za tym wzgórzem - powiedział - jest więcej białych budynków. Kiedy moi chłopcy wracają na lotnisko, tam właśnie zaczynają lądowanie. Zmniejszają obroty, wychylają nieznacznie klapy i wypuszczają podwozie; w ten sposób wytracają prędkość, pod wiatr. Nad bazę nadlatują pod właściwym kątem do pasa, wypuszczają klapy do końca, mają jakieś sto czterdzieści przy zwrocie. W ten sposób przelatują nad ogrodzeniem regulaminową setką. Sprawdzają szybko, czy te białe domki i farma za nimi znajdują się na jednej linii, i dotykają pasa przy prędkości powietrznej osiemdziesiąt. - Pułkownik przerwał na moment i pociągnął

się za ucho, ale Bohnen nie wykorzystał tej przerwy. - Widzi pan, generale, te mustangi to prawdziwe dziwki. Nie wybaczą błędów. Silnik dławi się przy siedemdziesięciu pięciu. W ostatniej chwili moment skręcający może przewrócić maszynę na plecy. Z takiego wypadku nie uchodzi się z życiem. Więc mówię chłopcom, żeby lądowali na przednie koła. Trzymają ogony w górę - mają w ten sposób lepszą widoczność i mogą w każdej chwili dać gazu i podejść do lądowania jeszcze raz. - Podrapał się po ramieniu. - Wordsworth? Czy to był jakiś poeta albo ktoś w tym rodzaju?

Generał patrzył na niego przenikliwie swoimi niebieskimi oczami; przyglądał mu się tak, aż zmieszany pułkownik Badger zaczął bawić się sprzączkami kamizelki ratunkowej.

- Rozumiem pana - powiedział w końcu Bohnen cicho i bardzo wyraźnie. - Rozumiem pana doskonale. Udowadnia mi pan, że to wy, piloci zawodowcy, wiedzący wszystko o regulaminowych prędkościach lądowania i podejściach w zwrocie, powinniście rządzić światem. Miejsce nieszczęsnych nietotów, takich jak ja, jest w Kwaterze Głównej, w której powinienem się zamknąć, czytać Wordswortha i pozostawić wam ustawianie budynków w linii i lądowania na przednie koła oraz wygranie wojny.

Pułkownik Dan nie miał zamiaru temu zaprzeczać; w końcu obaj wiedzieli, że właśnie to miał na myśli.

- Sądzę, że nie przyjechał pan tu celem przeprowadzenia sprawdzianu ze znajomości poezji, panie generale - powiedział.

Bohnen uśmiechnął się pogodnie. Z takimi ludźmi nigdy nic nie wiadomo; generał zupełnie nie przypominał innych generałów!

- Ma pan rację twierdząc, że nie wiedziałbym, jak ustawić sobie domy i wylądować P-51 na pańskim pasie. Ale niech pan uświadomi sobie wreszcie, że za moim biurkiem w kwaterze nie okazałby się pan geniuszem.

- Nie wiem, na czym polega pańska praca.
- Więc panu powiem - stwierdził Bohnen z więcej niż odrobiną złośliwości. - Ja likwiduję problemy. Wysyłają mnie tam, gdzie są kłopoty: z samolotami, z grupami...
- ...z pułkownikami...

Rozmowę przerwał ryk merlina, od którego w sali zadrgały meble. Obaj zwrócili się w stronę okna. Na wysokości pięćdziesięciu stóp nad polem leciały trzy maszyny. Jak na komendę wspięły się wyżej i weszły w łagodny skręt. Trzy maszyny - zły znak. Pułkownik Dan stał z przyczynionymi wargami. Nasłuchiwał, czy nie odzywa się motor czwartej, i wreszcie się doczekał. Ten silnik krztusił się lekko i pilot nie próbował żadnych wymyślnych sztuczek. Skierował się wprost na pas i wylądował, podczas gdy reszta kręciła kółka nad lotniskiem.

Dan spojrzął na telefon, ale zdecydował, że nie zadzwoni, by dowiedzieć się, czy wszyscy wrócili.

- Chciałem powiedzieć: problemy z lotnikami - wyjaśnił Bohnen.
- My tu nie mamy żadnych tego rodzaju problemów, panie generale. Moi piloci są równie dobrzy jak wszyscy inni, a grupa w pełni gotowa do działań. Wykonamy każdy rozkaz.

- Świetnie! - Generał Bohnen uśmiechnął się. Milczał, zyskując na czasie. Pułkownik miał wrażenie, że powiedział dokładnie to, co tamten pragnął usłyszeć. - Nowa strategia polega na niszczeniu nieprzyjacielskich sił lotniczych, gdziekolwiek się na nie natkniecie, pułkowniku Badger - rzekł w końcu. - Niszczymy im fabryki na wszelkie sposoby, a nasze formacje odpowiadają na wyzwania w sposób niezwykle energiczny. Nadal jednak panuje przekonanie, że inicjatywa należy do wroga. Uważa się zatem, że powinniśmy go dopaść na jego własnym podwórku.

- Bombardując lotniska?
- Niszcząc lotniska atakami z niewielkiej wysokości. - Bohnen

urwał i zaciągnął się cygarem. - Zdjęcia wywiadu lotniczego dowiodły, że bombardowanie z dużej i średniej wysokości nie obrzydza Hunom życia w dostatecznym stopniu. Ludzie wskakują do schronów, a kiedy kończymy nalot, odbudowują hangary, zasypują ziemię leje po bombach i za dzień lub dwa dalej prowadzą biznes. Nisko lecąca maszyna myśliwska może jednak zaatakować lotnisko, gdy piloci odpoczywają, a mechanicy mają głowy wetknięte pod maski silników. Nim ktokolwiek zda sobie sprawę z sytuacji, pociski z karabinów maszynowych już walą po stojących samolotach, po barakach. Pociski zapalające niszczą paliwo w zbiornikach. Zabijamy pilotów, mechaników, kancelistów. Po pierwszym takim ataku wszyscy chodzą przerażeni do nieprzytomności i wieją do schronów, kiedy jakiś messerschmitt podchodzi do lądowania. Przecież nie muszę panu tego tłumaczyć, pułkowniku. Sam pan wie, jakich zniszczeń na pana lotnisku dokonałoby dwóch szkopów, gdyby pośrodku zwykłego dnia nagle wylecieli z za horyzontu.

- To cholernie niebezpieczne! W latach dwudziestych latałem z pocztą z St. Louis. Kierownik lotniska latał z Frankiem Luke'em, asem w niszczeniu balonów. Niemiecka artyleria przeciwlotnicza celowała w te właśnie balony. Lot w ogniu zaporowym był znacznie niebezpieczniejszy niż inne działania. Jak zaplanujemy te pańskie ataki?

- Niczego nie zaplanujemy. Pozwolimy pilotom, by sami szukali celów podczas powrotu z misji do domu.

- Już to robią, lecz żaden nie był tak głupi, by atakować lotnisko.

- Będą je atakować, kiedy usłyszą, że przynajmniej pan zwycięstwo za każdy samolot zniszczony na ziemi tak samo, jak za samolot zestrzelony.

- W czym tu tkwi haczyk?

- Nie ma żadnego haczyka. Samolot zestrzelony i samolot zniszczony na ziemi będą liczyły się jako identyczne zwycięstwa.

- To znaczy, że jakiś nowicjusz przybyły wprost z kraju rozwali pięć maszyn stojących sobie na lotnisku Calais-Marck, tuż, tuż po drugiej stronie Kanału, i po półgodzinie wróci jako as? To ma pan na myśli?

- To właśnie mam na myśli. - Generał patrzył na pułkownika. Znaczenie swych słów podkreślił energicznym skinieniem głowy.

Pułkownik podszedł do niego. Nie podniósł głosu i nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest rozjuszony.

- To dobre dzieciaki - oświadczył. - To piloci najlepsi z najlepszych. Lecą, walczą, wykonują rozkazy i nigdy się nie skarżą. Ni cholery nie pojmują Hitlera, nazizmu i całej tej polityki; robią, co robią, bo powiedziano im, że to dla Ameryki. Kiedy, włączysz do samolotu, należysz do Wuja Sama - tak mówią.

- Nikomu nie rozkazuję atakować...

- Oczywiście. Żadnemu z tych chłopców nie rozkazuje pan atakować niemieckich lotnisk. Postępuje pan znacznie gorzej - chce pan wykorzystać ducha, który ożywia ich w walce, by wysłać ich na śmierć.

- Poprawka: to pan go wykorzysta.

- Nic z tego nie będzie!

- Ależ oczywiście, że będzie, pułkowniku Badger. Pańscy chłopcy podskoczą z radości pod sufit, kiedy dowiedzą się o nowym sposobie zaliczania zwycięstw. Po czym natychmiast wykopią gówno z Luftwaffe. A dzięki temu ćwierci miliona innych amerykańskich chłopców mniej ołowiu będzie świstać koło uszu na jakiejś francuskiej czy belgijskiej plaży.

- Kiedy dostanę oficjalny rozkaz?

Bohnen machnął dłońią, w której trzymał cygaro; dym ułożył się w powietrzu w łagodny zygzak.

- Nie mam zamiaru załatwiać tego w ten sposób, panie pułkowniku. Będzie pan przydzielał zwycięstwa po obejrzeniu na filmie zniszczonych samolotów, a wkrótce inni dowódcy grup zaczną pana naśladować.

- A więc o to chodzi! Przyleciał pan tutaj, żeby mi się przyjrzeć i zdecydować, czy jestem facetem, którego nie żal będzie rzucić wilkom na pożarcie, gdyby pomysł nie wypalił!

Generał nie zaprzeczył.

- Ten pomysł wypali - powiedział w końcu.

- Ale dlaczego ta grupa, a nie któraś z bardziej doświadczonych - Czwarta, Pięćdziesiąta Szósta, Trzysta Trzydziesta Piąta? Dlaczego akurat ta?

Bohnen wpatrywał mu się w oczy. Nie odpowiadał.

- Rzucał pan monetę? Chciałbym wiedzieć, panie generale. Naprawdę chciałbym wiedzieć!

- Mam powód - odparł generał Bohnen. - Powód natury osobistej.

11. General brygady Alexander J. Bohnen

- Jesteś generałem! - ucieszyła się Victoria Cooper. - A my nie mieliśmy pojęcia, na co się zanosi!

- W tego rodzaju sprawach do końca nic nie wiadomo, Victorio. Nigdy nie chwalebę dnia przed zachodem słońca. Nauczyłem się tego robiąc interesy z bankami.

- Chodzi o to, że czekasz, aż kasjer przyjmie czek?

- Właśnie o to. - Podał jej płaszcz i czapkę.

- A co z kierowcą? - spytała.

- Poradzi sobie. Powiedziałem mu, że ma godzinkę dla siebie w Cambridge, a potem niech wraca do Steeple Thaxted. Zadzwońię do kolumny transportowej nieco później, jeśli pozwolicie mi skorzystać z telefonu.

- Odwiedziłeś aerodrom Jamiego... Czy tylko przy okazji?

Bohnen uśmiechnął się. To słowo, „aerodrom”, żywcem przeniesione z powieści Juliusza Verne'a!

- Wprowadzamy pewne udoskonalenia - wyjaśnił. - Mogłem wybrać każdą grupę myśliwską, która by mi odpowiadała, więc naturalnie wybrałem Steeple Thaxted. W ten sposób mogę wprosić się na kolację.

- Ojciec i matka szczerze się ucieszyli, Alex. - Victoria zmarszczyła brwi. - Czy nadal mogę ci mówić po imieniu?

Roześmiał się i pochylił, chcąc pocałować ją w policzek.

- Ależ oczywiście!

Odwróciła twarz i pocałunek trafił w usta.

- Gratulacje, generale - powiedziała. - A widziałeś może Jamiego?

- Dywizjony wracały rozproszone. Kiedy wyjeżdżałem, maszyny wciąż lądowały.

Zbladła, słysząc te słowa. Stała z dłonią przyciśniętą do ust.

- Jamie dziś leciał? Walczyli? Czy nic mu się nie stało? - Chwyciła go za rękaw munduru. - Czy nic mu się nie stało?!

- Skąd wiesz, że grupa walczyła?

- Przecież to Cambridgeshire. Wszyscy wiedzą, że jeśli samoloty wracają do bazy po jednym czy dwa, to brały udział w walce.

- Jamie jest bezpieczny. Dołączy do nas na kolację, jak umówiliśmy się - powiedział Bohnen modląc się w duchu, by tak się stało.

- Widziałeś go?

- Victorio, nie jestem pewien, czy Jamie chciałby, by wszyscy wiedzieli, że ma ojca w sztabie. Jestem za to cholernie pewien, że nie chciałby, abym mu zaglądał do szafki, kiedy jego koledzy stoją obok na baczność i salutują.

- Oczywiście, generale. Proszę o wybaczenie.

- Przecież nic się nie stało. - Zauważył, że nie jest już Alexem.

Ojciec Victorii był roztargnionym rumianym mężczyzną o siwych, nieco przydługich włosach i smutnych piwnych oczach, niezbyt pasujących do pogodnego uśmiechu. Ten ekscentryczny brytyjski naukowiec wyglądał dokładnie tak, jak Amerykanie wyobrażają sobie ekscentrycznych brytyjskich profesorów, charakteryzował się jednak także pewną dozą praktycznej mądrości. Łatwo było wyobrazić go sobie w bawełnianych szortach oraz kurtce myśliwskiej, przemierzającego sawannę i wymachującego laseczką na tubylców, którzy właśnie wznieśli kolejne powstanie. Jego gabinet sprawiał bardzo przyjemne wrażenie - ściany zastawione były regałami wypełnionymi książkami, nie brakowało w nim też nieco zapadniętych, jaskrawo obitych foteli. Lampka do czytania naprawiona została za pomocą różowego plastra.

- A więc jest pan ojcem Jamiego - powiedział profesor głosem wysokim, lecz dźwięcznym. - To sympatyczny chłopak, pułkowniku Bohnen. Z pewnością jest pan z niego bardzo dumny. - Dokładnie przeszukał kieszenie starego wełnianego swetra z wycięciem w serek, aż wreszcie znalazł jedwabną chusteczkę. Wylał nią okulary.

- Generale Bohnen, tato - poprawiła go Victoria, zamykając drzwi.

- Co? Co to mówiłem?... ach, generale, tak. - Przez chwilę widać było, że się wstydzi swej gafy. Potem, gdy bliżej przyjrzał się pojedynczej gwiazdce na naramiennikach munduru Bohnena i być może dostrzegł ślad po świeżo zdjętych dystynkcjach pułkownika, ucieszył się.

- Generał Bohnen! Mój drogi przyjacielu, co za wspaiała nowina! Trzeba to uczcić. Butelka szampana...

Bohnen zaprotestował gwałtownie; zdawał sobie sprawę, jakim skarbem jest w brytyjskim domu butelka francuskiego szampana, którego w żaden sposób nie można było już kupić.

- Nie, proszę, doktorze Cooper. Szklaneczka tego, co pan pije...

Nie miał szans. Doktor wybiegł do ogrodu, nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, i po chwili wrócił, piastując w objęciach wielką butelkę Kruga.

- Przerobiliśmy piwniczkę na schron przeciwlotniczy - wyjaśnił, wycierając ją ściereczką. - Wino przenieśliśmy do ogrodowej szopy.

- Ryzykowane posunięcie, prawda?

- Owszem. Gdyby trafiła w nią bomba, serce chyba by mi pękło. Ale przynajmniej białe wino nie wymaga schłodzenia. Na Boga, jak zimno jest teraz na dworze!

Wyjął korek. Z kredensu przyniósł kilka kieliszków.

- Jestem atrapą... - wyjaśnił Bohnen, kiedy spytali go o awans, i opowiedział, w jakich okolicznościach otrzymał go od sił lotniczych. Wolał jasno postawić sprawę. Zresztą, prawdę mówiąc, nie chciał, by brano go za odslugującego wojsko konformistę, który spędza życie na czyszczeniu broni i organizowaniu batalionowych zawodów bokserskich w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi Panamie lub Islandii.

Cooper słuchał go uważnie. Nalał szampana do dwóch kieliszków, podniósł jeden, sprawdzając klarowność wina, i wreszcie podał go gościowi.

- To polityka - zakończył generał, ujmując kieliszek i dziękując gospodarzowi skinieniem głowy.

- Jak to polityka?

- Połowę czasu pracy spędzam na zebraniach różnego rodzaju komitetów. Robię to wszystko, czego z braku czasu nie jest w stanie zrobić mój zwierzchnik. Prawdopodobnie tak samo jest w twojej pracy: wyżsi rangą muszą delegować podwładnych do różnych zajęć.

Cooper skinął głową.

- Jako pułkownik - mówił dalej Bohnen - i to dość świeżej daty, znajdowałem się na samym dole drabiny. Poglądy mojego generała nie trafiały do właściwych uszu z właściwą siłą.

- A teraz jest pan generałem...

- I kiedy walnę pięścią w stół, wszyscy muszą mnie słuchać.

Bernard Cooper roześmiał się.

- Przecież to cudowne! - orzekł. - Cudowne - powtórzył, jakby usłyszał zabawną anegdotę, którą gość wymyślił, by ukryć fakt, że jest prawdziwym bohaterem wojennym. - Przed wojną zajmował się pan finansami... Tak przynajmniej mówił Jamie.

- Nadal mam biuro w Waszyngtonie. Młodszy wspólnik pilnuje interesów. Jesteśmy konsultantami finansowymi; specjalizujemy się w produkcji samolotów.

- Wysoki stopień kapitalizacji?

- Tak. Fabryki wychodzą z mody z dnia na dzień, nie są więc wiele warte jako zabezpieczenie kredytu.

- Spotkał pan kiedyś takiego gościa Williego Larkina? Stworzył firmę mającą konstruować jakiś rewelacyjny silnik samochodowy i zbankrutował na dobre pięć milionów dolarów. To było w Waszyngtonie.

- Chodzi o lorda Lorcaina?

- Przeróżający łotr - stwierdził Cooper, uśmiechając się szeroko. - Jego dziadek przechrzcił się na Lorcaina, kiedy ktoś mu powiedział, że Larkin pochodzi w prostej linii od starego irlandzkiego nazwiska. Sądził, że Lorcain bardziej pasuje do tytułu, nawet takiego, który dostaje się za fortunę zrobioną na środkach przeczyszczających.

- Miał dwóch kanadyjskich partnerów. - Bohnen z trudem odkopywał fakty zagrzebane w pamięci. - Nasi konsultanci techniczni wyśmiali jego projekt i patenty.

- Jak mówiłem, to sprytny oszust, ale bardzo zabawny towarzysko. Należy do mojego klubu. Muszę kiedyś zaprosić was obu na kolację. Teraz chyba pracuje w ministerstwie. Jest dalekim kuzynem żony, ale ona nie lubi, żeby jej o tym przypominać.

Towarzyskie rozmówki z Brytyjczykami to jak przechadzka dla przyjemności po Mato Grosso! Czy Cooper czekał, co jego gość powie o kuzynie żony, nim zdradził mu tę tajemnicę? Jednego nie sposób zrozumieć - skąd u nich ta radość z zastawiania tego typu pułapek. Gdyby wyraził pogardę dla Lorcaina, czy Cooper przyznałby mu rację i czy zdradziłby, że mowa o dalekim kuzynie?

A jednak Bohnen odkrył, że ma wiele wspólnego z Cooperem. Obaj studiowali w Niemczech. On sam odbył wymagane przy studiach inżynierskich sześć miesięcy praktyki w głównej fabryce starego profesora Junkersa w Dessau, podczas gdy Cooper studiował psychologię w pobliskim Lipsku. Obaj płynnie mówili po niemiecku, obaj interesowali się historią Niemiec, obaj mieli tam przyjaciół. Rozmawiali na ten temat ostrożnie; niemądrze, a nawet niebezpiecznie było dobrze wypowiadać się o Niemczech, nawet przedwojennych, ale Cooper umiał opowiadać, i już wkrótce wymieniali zabawne wspomnienia z berlińskich barów, wypraw narciarskich i lotów zeppelinami.

- Czy Hitler jest szalony? - spytał w końcu Bohnen.

Było to cholernie głupie pytanie, które zapewne każdy zadawał jego rozmówcy, gdy tylko dowiedział się, że jest on psychologiem. Bernard

Cooper odpowiedział jednak w dobrej wierze:

- Nic o tym nie świadczy. Jest za to niebywale sprytny. Powiedziałbym, że tego i owego potrafiłby nauczyć samego Freuda.

Bohnen napił się szampana.

- Przykro mi, że tak bezwstydnie wprosiłem się na kolację, a w dodatku wypijam pańskiego wspaniałego szampana, doktorze.

- Nie ma o czym mówić, przyjacielu. Jamie jest niezwykle hojny. Spędziliśmy wspólnie wspaniałe wieczór na mieście. No i taki szampan z gorszych lat szybko traci na witalności. Kiedy go otwierałem, tylko pyknął. Uczę się na błędach, Bohnen. Miałem odłożone dwie skrzynki Richebourga 1923. Wierzyłem, że dobry burgund, jeśli się o niego dba, z biegiem czasu może stać się tylko jeszcze lepszy. Otworzyłem butelkę na Boże Narodzenie 1941 roku. Wieści z frontu były przygnębiające: Leningrad otoczony, Hongkong kapituluje, wasza Flota Pacyfiku rozbita w drobny mak... A to cholerne wino straciło cały smak i bukiet. Miałem ochotę płakać!

Bohnen roześmiał się. Przypuszczał, że to żart, choć z tymi Anglikami nic przecież nie wiadomo.

- Czego Hitler mógłby nauczyć Freuda? - spytał.

Cooper był znanym i cenionym psychologiem, generał oczekiwał więc po nim błyskotliwej analizy.

Doktor tymczasem wykonał gest, jakby łapał coś niewidzialnego w powietrzu i wtarł to sobie we włosy - taka maniera roztargnionego wykładowcy.

- Freud udowodnił, że ludzie nie są istotami racjonalnymi. Rządzą nimi uczucia, instynkt, to, jak widzą samych siebie - najczęściej całkiem fantastycznie. Hitler dał im natomiast szminki i kostiumy oraz Wagnerowską muzykę, przy której mogą odegrać swój Grand Guignol. Całkiem to obce Niemcom, które znamy, ale świadczy o świetnej znajomości psychologii.

- Coś w tym jest. Wiem, że w tym mundurze jestem oszustem, ale przecież lubię go nosić.

Doktor wypił łyk szampana.

- Był pan dzisiaj w Steeple Thaxted, prawda? To pańska pierwsza wizyta?

- W ogóle pierwsza wizyta w stacjonującej w Anglii grupie myśliwskiej - wyznał Bohnen.

- I jakie wrażenia?

- Musiałem podjąć bardzo poważną decyzję, doktorze Cooper...

- Bernardzie.

Bohnen skinął głową.

- Mogłem przydzielić niebezpieczne zadanie jednej z kilkunastu grup... - Urwał. Ze zdziwieniem stwierdził, że ma zamiar podzielić się swymi wątpliwościami z człowiekiem zupełnie mu obcym. Więcej świadczyło to o jego problemach niż o talencie Coopera jako słuchacza.

- I wybrałeś grupę swojego syna - dokończył psycholog.

- Nie widziałem innego wyjścia. Być może staroświeckie to przekonanie, ale przynajmniej moje własne. Najgorsze jest jednak to, że nie mam pewności, czy wydałem mądry rozkaz. Dyskutowałem z człowiekiem, który doskonale wyraził większość mych własnych wątpliwości.

- Czy ludzie, z którymi pracujesz, twój dowódca i tak dalej, wiedzą, że masz syna w lotnictwie bojowym?

- Lepiej, żeby nie wiedzieli.

Cooper ponownie napełnił kieliszki.

- Jesteś tego całkiem pewien?

- Całkiem. - Generał Bohnen wypił szampana tak szybko, że omal się nie zakrztusił.

- Czy gdybym w czasie pokoju przyszedł do ciebie po poradę finansową, ukryłbyś przede mną, że z jednym z konkurentów łączą cię związki rodzinne? - Doktor zrobił krok wstecz, podniósł butelkę, przyjrzał się jej, unosząc brwi, po czym nalał szampana i sobie.

Bohnen nie odpowiedział od razu. Nie było to uczciwe porównanie, i Cooper musiał przecież zdawać sobie z tego sprawę.

- Słuchaj, ja przecież nie faworyzuję strony, z którą coś mnie łączy.

Narażam syna, a nie używam dostępnych mi informacji, by go ochronić.

- Rozumiem, rozumiem. Cholerna sytuacja. Ale jestem pewien, że postąpiłeś właściwie.

- Tak, oczywiście.

Cooper wiedział jednak, że gość zadzwonił rano i praktycznie wprosił się na kolację częściowo dlatego, by trudniej mu było zrezygnować z wizyty w Steeple Thaxted.

- Kolacja za pół godziny - zawołała od drzwi Victoria. - Jamie dzwonił z informacją, że wylądował i że już do nas jedzie. - Spojrzała na butelkę szampana i kieliszki. - Wy łobuzy! - krzyknęła. - A co z mamą i ze mną?

12. Kapitan James A. Farebrother

Niemcy zaatakowali od strony słońca. Formacja Tuckera wzięła łanie, nim ktokolwiek zauważył, co się właściwie dzieje. Jamie zobaczył nitkę pocisków smugowych mijających czubek skrzydła jego maszyny. Jedyne, o czym był w stanie myśleć, to to, że Cooperowie zaprosili go na kolację, a teraz pewnie nie zdoła się na niej zjawić.

Dyscyplinę radiową diabli wzięli. Słyszał głos Tuckera wzywającego „Topkick Leadera” - dowódcę Dywizjonu 191 stanowiącego część formacji - i zagłuszające jego słowa krzyki: „Unik!”. Niemieccy piloci wpadli między nich jak rekiny ludojady w ławicę szprotek.

Były to focke-wulfy 190, pomalowane na jasnoszary kolor i pilotowane przez znakomitych lotników, przynajmniej sądząc po tym, jak zaatakowały i odskoczyły, nadal w czymś nieco przypominającym szyk. Dwanaście maszyn - wzmocniona eskadra, według ustaleń wywiadu. Za pierwszym atakiem spuściły dwa mustangi z lecącego w górze od strony słońca dywizjonu i uszkodziły „Whore Weary”, skrzydłowego Tuckera, smarkacza nazwiskiem Baxter.

„Whore Weary” leciał zostawiając za sobą cienką białą nitkę chłodziwa.

- Zostać przy mnie! - krzyczał Tucker, gwałcąc wszystkie regulaminy łączności. Nikt nie wiedział, do kogo krzyczy, do skrzydłowego czy do wszystkich pilotów. Nim ktokolwiek zdołał go o to zapytać, Baxter przewrócił maszynę na plecy, wypiął się z uprzęży i wyleciał z kokpitu głową w dół.

Tucker, wstrząśnięty utratą skrzydłowego, dodał gazu. Wszyscy pogonili za nim; wspinali się ostro, co miało ochronić ich przed kolejnym gwałtownym atakiem FW, przeprowadzonym z przewagą wysokości. Jamie obejrzał się. W promieniach słońca dostrzegł cienie nieprzyjacielskich maszyn. Właśnie zawracały, formując się w linię. W ten sposób chciały rozerwać amerykańską formację i związać pilotów w walce indywidualnej.

Tucker trzymał się. Poprowadził ich w górę w zwrocie - mógłby to być nawet pełny immelmann, gdyby Niemcy nie przerwali tej akrobacji. Jamie trzymał się blisko Earla Koenige, jak przystało na dobrego skrzydłowego, i Earl podprowadził go pod Niemca. Wystrzelił krótką serię, ale focke-wulf, którego pilot wychylił ster kierunkowy bez pochylenia maszyny, zwyczajnie odpłynął, najwyraźniej nie uszkodzony. Earl trzymał się swojej ofiary wystarczająco długo, by w kilku miejscach przedziurawić jej ogon. Nagle znaleźli się poza polem walki, skręcili więc ciasno, by na nie wrócić.

Z radia nadal dobiegał bełkot wielu głosów. Pod samolotami płynęły w powietrzu trzy spadochrony, żółty, prawdopodobnie niemiecki, i dwa białe, amerykańskie; pod jednym z nich wisiał pewnie Baxter. Earl znalazł jakiegoś zabłąkanego messerschmitta 110. Te dwusilnikowe maszyny były powolne, miał więc czas wykonać łagodny skręt celem ustawienia się w doskonałej pozycji do strzału, z trzech czwartych, od góry. Niemiec jednak wyczuł go jakimś szóstym zmysłem - a może po prostu dostał ostrzeżenie przez radio? - i skręcił ostro, zbyt szybko, by dało się utrzymać go w celowniku. Tym samym jednak wystawił się Jamiemu. Był czarny, prawdopodobnie przeznaczony do działań nocnych - a teraz musiał w biały dzień bronić ojczyzny. Kabinę strzelca wypakowaną miał sprzętem radarowym. Jamie mocno przytrzymał drążek, poczekał, dał mu przepisowe wyprzedzenie trzech krążków celownika i łagodnie ściągnął spust. Poczul pierwszy opór - to włączyła się kamera - i nagle odrzut

wstrząsnął kadłubem jego mustanga. Czując zarazem fascynację i obrzydzenie, patrzył, jak kule przebijają cienką blachę.

Earl dołączył gładko do niego - ich role się odwróciły i teraz on był skrzydłowym. Jamie wychylił drążek w prawo; nadal podążał za nieprzyjacielem, nadal strzelał. Pilot messerschmitta nie mógł przeżyć tego ognia! Skrzydła niemieckiej maszyny rozbłyły srebrem w miejscach, gdzie kule zdarły farbę, potem przerwał prawy silnik ze strzaskaną przezroczystą osłoną, pojawił się dym, messerschmitt podniósł nos, by zatrzymać uszkodzony silnik, i odrzucił go, otoczony koroną płomieni.

Świat wokół Jamiego nagle szerniał - to olej z odrzuconego silnika zachlapał jego maszynę, łącznie z owiewką. W radiu usłyszał krzyk: „Unik, szefie! Unik! Jezu!” To krzyczał Earl. „Kibitzer” zatrząsał się od trafień... Teraz Jamie jest „szefem” i ma na ogonie nieprzyjaciela!

Na ślepo szarpnął drążkiem, wykonując unik. Zniknął tym samym z celownika tropiącego go szkopa, wiedział jednak, że nadal jest on tuż za nim, że też wykonał skręt, że go nie odstępuje, że palec zaciska mu się na spuście. Pęd powietrza oczyszczał owiewkę z oleju i Jamie widział już fragmenty otoczenia.

Prawdopodobnie zmieniłby się w liczbę w statystykach Luftwaffe, gdyby nie to, że chmury miał tak blisko. Znurkował w nie, oberwał jeszcze kilka razy w końcówkę skrzydła, po czym świat wokół ściemniał. Jamie leciał nie widząc nic... I jego również nikt nie widział.

Przede wszystkim sprawdził sztuczny horyzont, a następnie przyciągnął drążek do siebie. Strzałka wysokościomierza uspokoiła się. Przez chwilę leciał prosto i poziomo. Ręce mu drżały, a serce biło tak szybko i mocno, że uderzenia pulsłu czuł w skroniach.

- Jezu, szefie, gdzie jesteś? Trafili cię? - dobiegł go znikąd głos Earla.

- Earl... to znaczy „Sparkplug Green Three”. Lecisz nad chmurą?

- Jasne, szefie. Ciągnij w górę, dzieciaki spakowały zabawki i poszły na swoje podwórko.

Jamie podciągnął „Kibitzera” nad chmurę. Trzy mustangi krążyły powoli, z pewnością siebie, jaką jest w stanie przynieść wyłącznie świadomość, że ma się dokąd uciec. Earl i „Daniel” Rube'a Weina leciały po obu stronach „Myszki Mickey”.

- Przepraszam cię, Earl - powiedział Jamie zdyszczonym głosem. - Powiniennem go dostrzec.

- Dobrze się pan spisał, szefie. To znaczy, nieźle jak na nowicjusza, panie kapitanie. Widzi pan coś? Cały samolot ma pan zalany olejem.

MM zareagował mniej żywiłowo - po prostu uzgodnił z Jamiem kurs powrotny. Cały dywizjon wiedział już, że Farebrother bardzo uważa na odprawach, robi notatki i wylicza kursy powrotne według kompasu od punktów orientacyjnych, które można dostrzec na ziemi.

Wyjrzał przez zachlapaną olejem owiewkę. Chmurą, która udzieliła mu schronienia, był porwany cumulus, pozostałość po froncie; w chłodnym powietrzu płynął nie kończący się rząd altostratusów. Na północy, nad Hanowerem, na horyzoncie nadal wisiały ciemne deszczowe chmury.

Z tej wysokości - a lecieli na tyle nisko, by nie zdradziły ich formujące się za maszynami smugi kondensacyjne - widział jasnoszarą podwójną linię autostrady, przecinającą zimowy pejzaż ciemnozielonego lasu i nagiej brązowej ziemi. Znał tę drogę jeszcze sprzed wojny. Pamiętał, jak ojciec wiozł go nią z szaloną szybkością, chcąc zdążyć na kolację do przyjaciół mieszkających w wielkiej rezydencji koło Gutersloh. Potracił wtedy psa i nie zatrzymał się, żeby sprawdzić, co się z nim stało. Syn do tej pory mu tego nie wybaczył.

- „Sparkplug Green Four”, jesteś pewien, że to droga do domu? - spytał MM.

- Jestem pewien, „Sparkplug Green Leader”. - Zawsze znajdzie się czas na procedury radiowe... kiedy nie mają już żadnego znaczenia.

Niedaleko granicy niemiecko-holenderskiej dostrzegli wracającą do domu formację Tuckera i dołączyli do niej. Jamie rozejrzał się, zajmując swe miejsce w szyku. Nie dostrzegł ani pułkownika Dana, ani majora Phelana, ani nikogo z eskadr, które walczyły z dwusilnikowymi messerschmittami jeszcze przed początkiem nalotu. Zastanawiał się, co z nimi, ale nie włączył radia i nie zapytał majora.

- Pośpieszcie się, „Sparkplug Green”- rozkazał Tucker. Teraz, już w szyku, Jamie dodał lekko gazu dostosowując się do jego prędkości.

„Kibitzer” był gratem przydzielonym kapitanowi Farebrotherowi jako nowemu graczowi na boisku, a w tej chwili wydawał się wyjątkowo narowisty. Od czasu walki z focke-wulfem Jamie wmawiał sobie, że wcale nie jest źle, ale teraz, kiedy dodał gazu celem osiągnięcia prędkości przelotu, maszyna zaczęła protestować.

Przede wszystkim zaniepokoił się poziomem chłodziwa. Sprawdził, czy wloty powietrza są otwarte. Były, ale nic to nie pomagało. Musiał pogodzić się z faktem, że silnik wchłonał sporo niemieckiego oleju i że świece oraz sprężarka zaczynają szwankować. Widział, że podnosi się wskazówka temperatury chłodziwa, słyszał, że silnik, który do tej pory tylko się krztusił, zaczyna przerywać. Wyglądało to wszystko niebezpiecznie, a w dodatku strzałka dotknęła czerwonego pola. Zwolnił i dzięki temu zatrzymała się, ale „Kibitzer” wypadł z szyku. Earl natychmiast do niego doszlusował i pomachał dłonią. Dziękuję, mały!

- Dowódca „Sparkplug Green”, tu „Slingshot”, słyszysz mnie? Powtarzam, tu „Slingshot”! - wołał przez radio Tucker.

MM nie odpowiedział na wezwanie. Wraz z Rube'em dołączył za to do Jamiego i Earla.

- „Sparkplug Green Four”. Zostawiasz za sobą dym spalonego oleju - odezwało się radio głosem Earla.

Jamie spróbował pompować paliwo ręcznie. Wyglądało na to, że podjęła dobrą decyzję, silnik jakby się uspokoił, ale niestety - efekt był tylko chwilowy.

- Tu „Slingshot”. „Sparkplug Green Leader” oraz „Sparkplug Two, Three, Four”, zostajecie z tyłu. Dołączyć. Dołączyć do formacji! Zataczacie się po całym niebie.

Tucker nie miał czasu pilnować swej trzódki. Prowadził ją wprost do domu, zamiast omijać co silniej bronione miasta. Przelatując nad Hilversum, najpierw usłyszeli w słuchawkach szum nieprzyjacielskich radarów, a potem walnęła w nich dobrze wycelowana salwa. Do kanonady dołączały kolejne działa; teraz, kiedy dystans został już sprawdzony, widzieli nie tylko czarne kłęбки dymu z dział 8.8, lecz i większe, brązowe chmurki z dział 10.5. Lecieli na dwudziestu sześciu tysiącach stóp. Wprawdzie wywiad twierdził stanowczo, że 8.8 nie są na tej wysokości groźne, ale „małe czarne ludziki” pojawiały się gęsto nie tylko pomiędzy mustangami, ale i nad nimi.

- Niech cię cholera, „Sparkplug Yellow Leader”! Zapomniałeś, że dziś ja dowodzę? Zostań na tej wysokości, dopóki nie wydam ci innego rozkazu! - wrzasnął Tucker na dowódcę eskadry, który próbował nieco oddalić się od niebezpieczeństwa.

Jeśli major miał w ogóle zamiar zwiększyć wysokość, uprzedzający jego życzenia manewr dowódcy Żółtych sprawił, że zmienił zdanie. Skręcił tylko o parę stopni na północ; kolejna salwa artylerii przeciwlotniczej wykazała jednak, że dane radaru przeanalizowane zostały prawidłowo. Było coś niesamowitego w tym, jak artylerzyści przewidywali ich manewry, jak uprzedzali zamiary; każda kolejna salwa padała bliżej. Mimo szczelnie przyciśniętej do twarzy maski tlenowej Jamie czuł odór kordytu, widział nawet pomarańczowe błyski wybuchów - znak, że ogień jest niebezpiecznie celny.

- Jamie, mały - rozległ się głos Myszki. - Dymisz spalonym olejem.

Pęd powietrza wyczyścił owiewkę na ile to tylko możliwe i na więcej nie było co liczyć. Jamie pomachał do oglądającego się na niego Earla.

Przelatywali teraz nad przedmieściami i ogień artylerii osłabł. Przez kilka minut lecieli spokojnie, po czym w słuchawkach znów usłyszeli piski; znaleźli się na wybrzeżu, na którym skoncentrowana była niemiecka obrona radarowa. Pulsujący pisk sprawił, że głos Tuckera stał się trudno słyszalny.

- „Sparkplug Green Leader”, tu „Slingshot”, ostrzegam cię po raz ostatni, to rozkaz. Masz natychmiast dołączyć do formacji.

- Tucker - powiedział Myszka, powoli i wyraźnie, w pełni świadom tego, że słuchają go inni piloci. - Zabieraj stąd tę swoją wielką tchórzliwą dupę i daj mi spokój. Nigdy jeszcze nie zostawiłem swojego człowieka i nie mam zamiaru zrobić tego dzisiaj.

Nie doczekał się reakcji. Major uznał, że lepiej dla niego będzie nie dosłyszeć odpowiedzi Myszkę; wkrótce zresztą jego największym zmartwieniem stał się huraganowy ogień obrony przeciwlotniczej Amsterdamu, okolicy gęsto pokreślonej czerwonymi krzyżykami na sztabowych mapach.

MM nie przeleciał nad Amsterdamem. Tucker i reszta formacji pchali się przed siebie, oni jednak skręcili, unikając niebezpieczeństwa. Jamie minął holenderski brzeg z mieszanymi uczuciami: między kontynentem a Anglią nie brakowało szarej i bardzo zimnej wody. Błagał los wyłącznie o to, by śmigło nie przestało się obracać, póki nie znajdą się w rozsądnej odległości od drugiego brzegu - przynajmniej takiej, by dolecieć do niego lotem ślizgowym. Zaczął czule przemawiać do „Kibitzera”.

* * *

Wylądowali jako ostatni. W sali odpraw pooperacyjnych znajdowali się już tylko doktor Goldman - lekarz wojskowy, oraz sanitariusz, sierżant Walker, czterdziestoletni „staruszek”. Siedzieli w kącie, rozgadani i rozbawieni; Jamie zastanawiał się, czy nie próbowali przypadkiem whisky z przydziału pilotów.

- Czy jest tu gdzieś Vince Madigan? - spytał Goldmana Myszka, kiedy już się napił.

- Vince musiał wrócić do biura - odparł doktor, niewysoki nowojorczyk w okularach, najwyraźniej niezdolny do zawiązania krawata tak, żeby węzeł nie chował się pod kołnierzyk.

- Czyżby mnie unikał? - Było to czysto retoryczne pytanie. MM kopnął automat, który zaciął się na coca-coli, a kiedy lodowato-zimna butelka wreszcie z niego wypadła, przyłożył ją do czoła. - Twierdził, że chce się ze mną zobaczyć reporter z nowojorskiego „Daily News”.

Goldman skrzywił się.

- Coś o tym słyszałem - przyznał.

Powietrze w sali przesiąknięte było tytoniowym dymem. Na podłodze walały się butelki po coca-coli i pogniecione papierowe kubki. Oficer wywiadu przesłuchiwał pilotów, wszystkich naraz. Znał zestrzelonych, regularnie grywał w brydża z Baxterem. Próbował sam siebie przekonać, że jego przyjaciel wraca powolutku do domu, jest gdzieś nad Kanałem, ale Jamie nie miał złudzeń - widział go wyskakującego z samolotu. Żał mu było wypytującego człowieka, który zbyt mocno związał się z pilotami, by spokojnie znieść napięcie odpraw po misji.

Kiedy we czterech weszli do szatni, Tucker już tam był, a wraz z nim kapelan. Przeszukiwali rzeczy osobiste z szafki Baxtera. Na widok pilotów, wlokących za sobą spadochrony i różne lotnicze akcesoria, obaj podnieśli głowy. Tucker zdążył się już przyczesać, zawiązać krawat i włożyć odprasowaną kurtkę mundurową. „Kelner” zawsze wyglądał, jakby przygotowywał się do defilady; w West Point musiało mu się cholewnie podobać. Spojrzał im w oczy spłoszonym wzrokiem, nerwowo przyglądając cieniutki wąsik paznokciem kciuka.

- Dzięki Bogu, że wróciliście bezpiecznie - powiedział. - Maszyna Farebrothera została uszkodzona w walce - wyjaśnił kapelanowi. - Cud, że zdołał ją powrócić do domu.

- Cuda to moja dziedzina - napomniął go żartobliwie kapelan, rumiany, mniej więcej czterdziestoletni kapitan, ubrany w jasnobrązowy płaszcz mundurowy z przypinaną wełnianą podpinką sprawiającą, że kapelan wydawał się bezkształtny i jakby wypchany. Domyślił się, który z tych oto czterech pilotów doznał dobrodziejstwa „cudu” i spojrzął na Jamiego smutnymi szarymi oczami.

- Proszę mi powiedzieć, kapitanie, czy pan się modlił?

- Modliłem się, ojczu.

- I Bóg pana wysłuchał.

- Wygląda na to, że Baxtera nie wysłuchał - stwierdził Myszka, podchodząc bliżej, by przyjrzeć się rzeczom osobistym kolegi.

- On też miał szczęście! - Major obrzucił MM wściekłym spojrzeniem. - Wskoczył zdrowy i cały, ratując się z cholernie... przepraszam, ojczu... z bardzo niebezpiecznej sytuacji.

Myszka przejrzał szybko zdjęcia Baxtera, po czym poczęstował się gumą.

- Każda misja, którą pan prowadzi, jest niebezpieczna - powiedział.

- Mieliśmy szczęście, że udało nam się wrócić do domu.

Już przedtem blada twarz Tuckera pobladła ze złości jeszcze bardziej.

- Co macie na myśli, poruczniku Morse?

Porucznik Morse rzucił spadochron na ławkę. Metalowe sprzączki zabrzęczały, uderzając o gołą podłogę.

- Miałem na myśli to, że zawsze prowadzi pan najniebezpieczniejsze misje, panie majorze. Powszechnie wiadomo, że jest pan najtwardszym lotnikiem w całym europejskim teatrze wojennym. Nie myślę się, prawda, chłopcy? - spytał Rube'a i Earla.

- Jasne! - krzyknął Earl, zawsze gotów go poprzeć, nawet gdyby miało to oznaczać skrzyżowanie szpad z dowódcą dywizjonu. - Rube powiedział mi to samo, kiedy dziś rano przeglądaliśmy moją kolekcję suszonych kwiatków. - Spojrzął na Myszkę i widząc uśmiech na jego wargach bardzo się uradował.

Kapelan zebrał rzeczy Baxtera w brązową papierową torbę.

- Naprawdę muszę już lecieć - oznajmił.

Major Tucker wrzucił lotnicze buty do szafki, zatrzasnął stalowe drzwiczki i przekręcił klucz w zamku. Nim wyszedł, miał jeszcze coś do powiedzenia.

- Pułkownik Dan wie, że odmówiliście wykonania rozkazu, Morse. Oficer administracyjny będzie chciał z wami pogadać. Wszyscy czterej macie nie opuszczać bazy bez mojego osobistego pozwolenia.

- Tucker - odparł Myszka. - Zestrzeliłem dziś dwóch Hunów. Mam ich na koncie o dwóch więcej niż którykolwiek pilot tej grupy. Vince Madigan załatwił z reporterem nowojorskiego „Daily News”, że ten napisze o mnie artykuł. Jak by ci się podobało, gdybym poinformował prasę, że dowódca dywizjonu z byle powodu żółknie ze strachu?

Ta groźba najwyraźniej rozbawiła Tuckera.

- Nie radziłbym ci próbować, Morse - ostrzegł. - Nie z dziennikarzem z „Daily News”.

Myszka nie posłuchał dobrej rady. Potarł twarz i kontynuował dowcip.

- Właśnie przyszło mi na myśl, że może tego właśnie panu potrzeba do pracy w sztabie. Mógłby pan dowodzić wojną z Japońcami. Albo robić za agenta. Tak się pan boisz, że łatwo byłoby wziąć pana za żółtka.

Earl roześmiał się nerwowo, jakby wyrażał śmiechem rozpaczliwą nadzieję, że dowódca przyłączy się do żartu.

Rube Wein potrząsnął głową.

- Jezu, Myszka - powiedział. - Wiesz, jak zażartować przy każdej okazji.

- Ty niesubordynowany sukinsynu! - warknął major. - W Akademii przerobiłbym cię na sieczkę!

- Oczywiście - przyznał grzecznie MM. - Ale ja przerobiłbym pana na sieczkę w szkole lotniczej, prawda, panie majorze?

Tucker wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Pierwszy odezwał się Earl.

- Ten gość cię dorwie - ostrzegł. - Cholernie groźny z niego sukiny-syn. Znajdzie jakiś sposób na ciebie.

- To samo mówiono mi o Hitlerze, i co? Nadal próbuję.

- Nie podobało mi się, jak się uśmiechał, kiedy mówił o tym dziennikarzu - wtrącił Rube. - Coś łobuzowi chodzi po głowie.

- Zapomnij o nim - poradził MM. - Ja już zapomniałem.

Kiedy składali sprzęt na półki, Jamiemu udało się wymienić z Myszka kilka słów.

- Dziękuję - powiedział. - Bardzo dziękuję. Doceniam to, co zrobiłeś.

- A co zrobiłem? - Myszka odwrócił się, jakby nie oczekiwał odpowiedzi na swe pytanie.

- Zostałeś ze mną. Może powinienem pójść i wyjaśnić majorowi Tuckerowi, co się naprawdę stało?

- Daj spokój. A co, myślałeś, że zostawię cię samego na wielkim, pustym i brzydkim niebie? Przecież jesteś jedynym frajerem, który jeszcze pożyczą mi forszę.

Jamie wykapał się, przebrał i zadzwonił do Cooperów z informacją, że zaraz do nich jedzie. Nie miał żadnych trudności z pożyczaniem dziopa; żaden inny pilot nie zamierzał opuszczać bazy. Na odprawie po misji kilku zgłosiło zestrzelenia i teraz siedzieli w barze czekając, aż laboratorium fotograficzne wywoła filmy ze sprzężonych z karabinami kamer, co definitywnie zakończy wszystkie spory.

Przeważał nastrój beznadziei. Najgorzej czuli się piloci Dywizjonu 195, którzy podczas pierwszego ataku stracili dwóch kolegów. Jednym z nich był Boogie Bozzelli, hałaśliwy dzieciak z Tallahassee na Florydzie, grający na fortepianie jak zawodowiec, a w niedzielę sprawujący funkcję organisty podczas nabożeństw w kaplicy bazy. Drugą ofiarą focke-wulfów

stał się kapitan drużyny softballowej. Obaj byli bardzo popularni wśród kolegów; w barze toczył się nawet spór o to, czy wyskoczyli bezpiecznie, jak twierdzili ich przyjaciele, czy też zginęli w maszynach, jak zameldowali oficerowi wywiadu naoczni świadkowie. Ich nieobecność była wyraźnie odczuwalna i po kilku drinkach zaczęło się gadanie, że major Tucker wprowadził ich w pułapkę.

Jamie zdążył do Cooperów na kolację. Ich dom, wielki, zbudowany z czerwonej cegły, stojący w pięknej części Cambridge niedaleko Backs, był raczej brzydki. Od frontu miał duży ogród z kilkoma drzewami i zwirową dróżką prowadzącą na podjazd, na którym Jamie zaparkował dżipa, rozłączając, jak nakazywał regulamin, instalację elektryczną, by zabezpieczyć wóz przed kradzieżą.

Victoria otworzyła drzwi, nim zdążył zadzwonić, i natychmiast entuzjastycznie rzuciła mu się w ramiona.

- Walczyłeś, Jamie - powiedziała zdławionym głosem. - Dzięki Bogu, że nie wiedziałam! Umarłabym ze strachu. Bardzo to było straszne?

Potrząsnął głową. Milczał przez dłuższą chwilę

- Bez przesady - powiedział i dodał: - Zestrzeliłem niemiecki samolot.

- Jamie! - Cofnęła się o krok. Patrzyła mu w twarz, jakby oczekiwała, że się jakoś zmienił. - Co zrobiłeś?

- Zestrzeliłem niemiecki samolot. Gdzieś między Hanowerem a Bielefeld... Było sporo chmur.

- Czy potwierdzą ci zwycięstwo?

- Pocałuj mnie - poprosił, przytulając ją. Nie spodziewał się takiego zachowania, nie rozumiał zimnej brytyjskiej zawziętości, determinacji wręcz, by wygrać tę wojnę.

Całowali się długo. W końcu, z głową opartą na jego ramieniu, Victoria powtórzyła:

- Czy potwierdzą ci zwycięstwo?
- Nikt mi go nie odbierze. Na filmie będzie widać, jak tamta maszyna rozpada się na kawałki.

- Wspaniale! - Uścisnęła go z zapalem nastolatki, jakby był przyjaciółką, która pomogła jej wygrać mecz siatkówki. - Tata otworzył butelkę szampana, by uczcić awans twego ojca na generała. Teraz mamy jeszcze jedną okazję do uczczenia.

- Jutro, Vicky. A może pojutrze. Na razie będzie to nasz sekret, dobrze?

- Dlaczego, kochanie? Przecież to wielkie wydarzenie... coś, o czym będziesz mógł opowiadać dzieciom, prawda?

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, taka natarczywość wydałaby mu się nieprzyjemna, Victoria jednak potrafiła nalegać z niewinną ciekawością małej dziewczynki.

- Zabiłem dziś człowieka, Vicky. Widziałem, jak się pali. To nie jest coś, co chciałbym świętować, i wątpię, czy kiedykolwiek będę opowiadał o tym z dumą moim dzieciom.

- Bardzo cię kocham, Jamie. Nigdy mnie nie zostawisz, prawda?

- Czy nasi ojcowie jakoś się dogadali?

Na moment złożyła głowę na jego ramieniu, a potem spojrzała mu wprost w oczy.

- Mówiłeś, że jesteś skrzydłowym. Mówiłeś, że twoim zadaniem jest ochrona dowódcy. Mówiłeś, że nie ma w tym nic niebezpiecznego. Jak to się stało, że zestrzelełeś Niemca?

- Przez przypadek - odparł żartobliwie.

- Nie jestem dzieckiem, Jamie.

- To kwestia geometrii... trójwymiarowej geometrii. Czasami dwa samoloty wykonują ciasny skręt poszukując przeciwnika. Jeśli skrzydłowy znajdzie się wewnątrz łuku, role się odwracają. Trudno to wyjaśnić... To chyba przypomina trochę taniec.

Dziewczyna odsunęła się na odległość wyciągniętego ramienia, nadal patrząc mu w oczy.

- Miejmy nadzieję, że nie za bardzo - powiedziała nieco złośliwie. Próbowała nauczyć go kilku kroków, ale musiała zrezygnować, była to beznadziejna sprawa.

- Nasi ojcowie jakoś się dogadali? - spytał po raz drugi.

- Jamie! - Mówiła teraz zupełnie innym głosem. - To doprawdy zdumiewające. Nigdy nie widziałam taty tak rozluźnionego jak w towarzystwie twojego ojca. Opowiadali sobie nawet ryzykowne dowcipy!

- Podśluchiwałaś!

Zarumieniła się.

- Tak - przyznała. - Podśluchiwałam pod drzwiami.

- Brzydka dziewczynka! Chodź, przywitamy się z twoją matką.

Kiedy ruszył w stronę kuchni, z której dobiegały odgłosy przesuwania garnków, przytrzymała go za ramię.

- Jamie, tak mi wstyd. - Poglądziła go po włosach. - Przypuśćmy, że jakiś młody Niemiec z Hanoweru otwierałby teraz butelkę szampana...

Pocałował ją we włosy.

- Właśnie o to mi chodziło, Vicky - powiedział.

Kapitan James A. Farebrother rozejrzał się po jadalni. Od czasu kiedy przed dwoma dniami odwiedził ten dom, zjadł z gospodarzami kolację i grał w brydża, nic się nie zmieniło. W mahoniowym kredensie stała ta sama kolekcja starych sreber, będących własnością rodziny od pokoleń. Na ścianie wisiał ten sam portret dziadka Victorii, dominując w tym pomieszczeniu. Noże o kościanych rękojeściach były równie tępe jak przedtem. Cooperowie też się nie zmienili; wijące się włosy matki nie posiwały bardziej, nadal była tą samą piękną kobietą w średnim wieku, z tym samym nerwowym uśmiechem przepraszającą za jakość wojennego jedzenia. Nic się nie zmieniło, a jednak zmieniło się wszystko. O n się zmienił. Przypięty do samolotu, unieruchomiony w ciasnym wnętrzu

P-51, odbył lot nad zachodnią Europą i wrócił z niego - tysiąc mil. Zabił człowieka, sam otarł się o śmierć, był przerażony bardziej, niż uważał to za możliwe w najkoszarniejszych snach. Oczywiście, że wszystko się zmieniło. Młody człowiek, który dwa dni temu grał tu w brydża, nigdy nie powróciłby z tego lotu. Być może zmienił się na lepsze, być może na gorsze, ale zmienił się niewątpliwie.

- To wojna młodych ludzi, Bernardzie - powiedział Bohnen.

- Jak wszystkie wojny - odparł Cooper. - Uczymy nasze dzieci, że życie jest próbą sił, a potem ze zdumieniem stwierdzamy, że nas posłuchały.

Zdaniem Jamiego Cooper był sympatycznym starszym panem, przypominającym aktorów, których hollywoodzkie agencje najchętniej obsadzają w rolach ekscentrycznych profesorów. Doszedł też do wniosku, że jego ojciec nie zestarzeje się z takim wdziękiem. Alexander Bohnen opierał się naporowi lat, tak jak opierał się wielu ofensywom i tak jak opierał się temu, co składa się na małżeństwo i ojcostwo.

Był szczupły, przystojny i energiczny, a przede wszystkim uprzejmy i czarujący. Uśmiechając się do Victorii, mówił właśnie:

- Twój ojciec jest zbyt wielkim erudytą jak dla mnie. Czy uczyłem cię, Jamie, że życie jest próbą sił?

- Pokazałeś mi to. - Był zbyt zmęczony, by szukać uprzejmej wymijającej odpowiedzi. Prościej było powiedzieć prawdę. - Zawsze zwyciężałeś. Negocjowałeś najlepsze umowy, miałeś największe zyski, najsprytniej inwestowałeś.

- Doprawdy? - Bohnen był szczerze zdumiony. Syn uraził jego uczucia. Z drugiej strony z przyjemnością uwierzyłby w to, co usłyszał, gdyby nie to, że w głosie Jamiego usłyszał wyrzut. Czuł, że musi się bronić. - Robiłem to dla ciebie - powiedział. - Wszystko, co robiłem, robiłem dla ciebie. I dla twojej matki.

- Jasne. - Jamie spróbował złagodzić jakoś własny cios.
- Dlaczego mówisz, że to wojna młodych ludzi? - spytał Cooper.

Jamie dostrzegł, że żona doktora marszczy czoło, okazując dezaprobatę wobec tematu konwersacji przy stole, ale Bohnen nie zauważył tego, a Cooper po prostu nie zwrócił uwagi.

- Pułkownik Jamiego, dowódca jego grupy w Steeple Thaxted, ma trzydzieści sześć lat. W świecie interesów uchodziłby za młodzika, lecz na dowodzenie grupą myśliwską jest już za stary.

- To wspaniały pilot! - oburzył się chłopak.

- Niewątpliwie. Latał z pocztą, kiedy zajmował się tym Lindbergh. Oczywiście, sprawdziłem akta i nie wątpię w jego umiejętności lotnicze. Biorąc jednak pod uwagę standardy armii jest on za stary, żeby dowodzić grupą myśliwską.

W stwierdzeniu ojca był niewątpliwie element zemsty. Jamie nie miał wątpliwości, że wady jego dowódcy były natury towarzyskiej raczej niż operacyjnej. Alexander Bohnen nie umiał po prostu dostrzec zalet żującego gumę, posługującego się niewybrednym słownictwem pilota, który wylatał więcej misji, niż jest to wymagane od dowódcy, ostatnio zaś zaproponował niesubordynowanemu sierżantowi sztabowemu załatwienie sporu na bokserskim ringu.

- Z pewnością nie jest w typie wychowanków West Point - powiedział.

- Ja sam nie jestem całkiem w typie West Point - zwrócił mu uwagę ojciec. - Co nie oznacza, że nie potrafię docenić wartości profesjonalnego treningu, jaki mają za sobą absolwenci Akademii.

- To trening dobry dla piechoty, wojsk łączności i dla kwatermistrzostwa, a może także dla kawalerzystów, którzy muszą kalkulować, ile siana potrzebują ich czołgi. Lotnictwo myśliwskie to coś zupełnie innego. Piloci muszą umieć improwizować, podejmować błyskawiczne decyzje. Kilka miesięcy pracowałem ucząc ludzi pilotowania samolotów.

West Point nie produkuje lotników z wyczuciem.

- Jest mnóstwo wyjątków, Jamie. - Generał Bohnen rozejrzył się po pokoju. - Na przykład dowódca twojego dywizjonu, młody absolwent West Point, nazwiskiem Tucker. To przykład zawodowego żołnierza, który zdobył sławę jako pilot myśliwski. Czy nie tak?

Jamie już wcześniej postanowił nigdy nie dyskutować z ojcem na te tematy. Dziwne, że ojciec nie rozumie, w jak niezręcznej sytuacji stawia syna... A może nie? Przecież swą karierę zbudował na informacjach przekazywanych szeptem w zadymionych salkach.

- Czy naprawdę zdobył sobie sławę jako pilot? - spytał.

Ojciec odłożył widelec na talerz.

- Major Tucker skończy wojnę z gwiazdką na ramieniu - orzekł, wskazując na swój naramiennik, jakby mogły istnieć wątpliwości co do tego, o co mu chodzi. - Kadet zdobywa sobie przyjaciół i teraz niektórzy szkolni koledzy majora z West Point wynoszą go pod niebiosa w Waszyngtonie... i w High Wycombe też. - Zauważył niezbyt entuzjastyczny wyraz twarzy syna i zwrócił się do Bernarda Coopera. - Czy widzisz w tym coś złego? - spytał.

Doktor zachował się dyplomatycznie.

- Taki już jest ten świat - powiedział przepaszającym tonem. - Ja sam wielokrotnie z wdzięcznością korzystałem z przysług oddawanych mi przez kolegów. Taka jest ludzka natura i nie można stawiać jej zbyt wielkich wymagań... Skoro bowiem żądamy od człowieka, żeby podczas wojny dał się zabić za przyjaciela, czy możemy go karać za przysługę, którą odda mu po wojnie?

- Chyba nie, doktorze Cooper - zgodził się Jamie.

W tego rodzaju sporach jego ojciec miał zawsze ostatnie słowo. Do dziś Jamie nie potrafił zapomnieć, jak przekonująco ojciec udowadniał, dlaczego nie może sprawdzić, co się stało z psem, którego potrafił. Od następnego zjazdu dzieliły ich całe mile... zatrzymywanie samochodów

na autostradzie jest zakazane... Może i miał rację, a przez niego przemawiała i przemawia wyłącznie niechęć?

- Pan nie jest już żonaty z matką Jamiego, prawda, generale Bohnen? - spytała pani Cooper. Jasne było, że przez całą kolację walczyła ze sobą, by zadać wreszcie to pytanie. Podniosła lnianą serwetkę do ust, jakby żałowała słów wypowiedzianych wbrew własnej woli i usilnie starała się nie patrzeć na męża, którego twarz znieruchomiła.

Generalowi nie przeszkadzało oczywiście tak bezpośrednio zadane pytanie. Wręcz przeciwnie, uśmiechnął się i wziął głęboki oddech, jakby rozmowa na ten temat sprawiała mu szczególną przyjemność.

- Pani oraz doktor zakochalibyście się w niej, a i ja ciągle jestem zakochany. To kobieta łagodna i uprzejma, zna się na muzyce i na sztuce. Ma wszystkie te bezcenne zalety, które Jamie po niej odziedziczył. Wzięliśmy rozwód na długo przed wojną, ale nadal z nią koresponduję.

Victoria zerknęła na Jamiego, który w odpowiedzi puścił do niej oko.

- Mam nadzieję, że ten temat nie... - zaczął doktor Cooper. Nie skończył tłumaczyć, jaką ma nadzieję i co „nie”, ale i tak otrzymał odpowiedź na nie wypowiedziane pytanie.

- Ależ skąd! Jest wspaniała i w pełni zasługuje na szczęście, które dał jej drugi mąż, Bill Farebrother. - Wyraźnie widoczne obrzydzenie, z jakim generał wymówił nazwisko swego następcy, wydało się jego synowi wręcz komiczne, najwyraźniej jednak udało się mu przekonać resztę towarzystwa o swej stuprocentowej szczerości. Rozglądał się teraz wokół stołu. Jego spojrzenie zatrzymało się na Jamiem, który skinieniem głowy udzielił błogosławieństwa słowom ojca. Czując spowodowany jego reakcją przyływ odwagi, Bohnen wdał się w rozwlekły opis atrakcyjnego stylu życia swej byłej żony i wielkiego domu z widokiem na Pacyfik, w którym mieszkała w Santa Barbara.

- Jakie to cudowne! - powiedziała pani Cooper.

- Co jest takie cudowne, mamó? - Victoria nie była pewna, czy matka podziwia ojca Jamiego, czy też jego matkę, która miała odwagę się z nim rozwieść.

- Że pozostaliście wszyscy przyjaciółmi - wyjaśniła pani Cooper, dotykając włosów córki. - Zawsze chciałam pojechać do Kalifornii - dodała bez żadnego związku z tematem.

Czy córka jest osobą tak samo skomplikowaną jak matka? - zastanawiał się Jamie. Doktor Cooper wydawał się człowiekiem bezpośrednim. Nie ukrywał, że jest nie tylko Anglikiem, ale także ojcem dziewczyny, z którą spotyka się młody mężczyzna. Jego żonę trudniej było jednak zrozumieć. Bardzo kobieca, wydawała się zdolna mówić, lecz nic nie powiedziec, zadawać pytania nie oczekując na nie odpowiedzi. Zachowywała się tak, jakby zdecydowała już, czy Jamie Farebrother jest odpowiednią partią dla jej córki, nie była jednak całkiem gotowa, by wyjawic tę decyzję światu.

13. Doktor Bernard Cooper

- Królik w cieście smakował wyśmienicie, kochanie - powiedział do żony Bernard Cooper po wyjściu gości.

- Dziękuję ci, mamo - dodała Victoria. - To był wspaniały wieczór. I tak się napracowałam.

- A co ze mną? - zmartwił się ojciec. - Czy ja się nie napracowałam?

- Otwieraniem szampana i opowiedzeniem anegdotki o pijanym obserwatorze ze służby terytorialnej? - Pocałowała ojca i mocno się do niego przytuliła. - Ależ oczywiście, napracowałam się! Bardzo dziękuję wam obojgu.

- Twój ojciec nie znosi królika - zauważyła matka.

- Nie jest to danie, za którym będę tęsknił, kiedy wreszcie skończy się ta okropna wojna, ale generał Bohnen powiedział przecież, że kurczak w cieście bardzo mu smakował. Kolację musimy więc uznać za kulinarny tryumf.

- Kiedy skończy się wojna, znów będziemy mieli kucharkę i pokojówkę. Nikt nie będzie cię już prosił, żebyś jadał królika i inne potrawy, nad których przygotowaniem tak ciężko pracuję!

- Nie obrażaj się, kochanie - poprosił mąż, który tak naprawdę wątpił, czy kiedykolwiek jeszcze stać ich będzie na służbę. Czyżby rzeczywiście żona nie zdawała sobie sprawy, że do końca życia skazana będzie na gotowanie i sprzątanie domu?

- I pomyśleć, że ten biedny człowiek przez tyle lat radzi sobie bez żony - rozczuliła się pani Cooper. - To nie w porządku wobec dzieci,

zawsze to powtarzam. Nic nie wiem o psychologii, ale nie wątpię, że dla dziecka najważniejsze jest harmonijne i szczęśliwe współzycie rodzinne. Jakie bliźny rozwód rodziców musiał pozostawić w duszy Jamiego!

- Mnie Jamie wydaje się najzupełniej normalny - wtrąciła Victoria.

- W swoich wykładach ojciec powtarza, że wszelkie problemy z dzieciństwa mogą prowadzić do późniejszego załamania nerwowego. Czy nie tak, kochanie?

Bernard Cooper miał wielką ochotę po prostu skinąć głową, ale żaden ekspert nie jest w stanie tolerować laika, do tego stopnia spływającego i zniekształcającego teorie naukowe.

- Występujące w dzieciństwie genetyczne i środowiskowe czynniki, powodujące konflikt neurotyczny, są często tłumione i zapomniane na zawsze; nie powodują zatem później żadnych problemów. To kombinacja dziecięcych lęków oraz stresu występującego w życiu dorosłym wywołuje fizyczne i emocjonalne symptomy na tyle silne, że konieczna bywa kuracja.

Gdy tylko zaczął wykład, twarz pani Cooper znieruchomiała. Z psychologią obcowała na co dzień i miała jej dość do końca życia, przestała więc słuchać i czekała cierpliwie, aż mąż skończy mówić. Zdawała sobie sprawę, że gdyby wyszła albo zmieniła temat, chodziłby obrażony przez kilka dni.

- Wojna zaś powoduje ekstremalne stresy - mówił dalej doktor, raczej do siebie niż do żony i córki - przez co nawet drobne przeżycia z dzieciństwa mogą wywołać kliniczne neurozy. Nie sposób nie dostrzec fizycznego zmęczenia Jamiego oraz sposobu, w jaki przez cały wieczór szukał aprobaty ojca, a to często jest oznaką niepewności, która może wywoływać problemy.

Żona czekała grzecznie, póki nie zyskała pewności, że skończył, po czym zaczęła zbierać ze stołu sztuce.

- Dlaczego nie usiądziesz wygodnie przy oknie, gdy my będziemy zmywać? - spytała. - Nastawię mleko i przed snem napijemy się gorącego kakao.

Doktor Cooper natychmiast dostosował się do jej sugestii, szczęśliwy, że nie musi wycierać naczyń. Wrócił myślami do gości. Perfekcjonizm, wręcz obsesyjny perfekcjonizm generała Bohnena wytworzył się w świecie wielkich interesów, w którym znalazł on aprobatę grupy - dla tego typu osobowości wręcz niezbędną. Teraz pojęcie obowiązku racjonalizowało wielkie wymagania stawiane przez generała innym oraz jego własne, bardzo, ale to bardzo ograniczone zasoby uczuciowe. Czy miał nieświadomą potrzebę poświęcenia na ołtarzu wojny tego, co kochał najbardziej - syna? I czy Jamie rozumiał to straszne uczucie? Synowie przecież instynktownie orientują się w stanach emocjonalnych ojców... Bohnen kocha Jamiego, każdy ojciec kocha przecież swe dziecko, a Jamie nie może odpowiedzieć mu miłością równie wielką - wynika to z tragicznych uwarunkowań ludzkiej biologii. Gdyby dzieci kochały rodziców z tą samą egoistyczną siłą, z jaką rodzice kochają dzieci, nigdy nie odchodziłyby z domu, i rodzaj ludzki by wygasł.

Wpatrywał się w płonący na kominku ogień. Bardzo chciał pomóc żonie w pogodzeniu się z myślą, że córka musi opuścić dom, ale nie leżało to w zasięgu jego możliwości. Związki między matkami i córkami wciąż pozostają - i pozostaną na zawsze - tajemnicą nawet dla psychologów. Mężczyźni współzawodniczą z synami, matki zaś pożerają córki. Tak, pożerają je, nie ma na to lepszego określenia.

Z miejsca, w którym siedział, Cooper słyszał Victorię rozmawiającą z matką. Zmywały, może sprzątały, w każdym razie wykonywały jakąś pracę, której monotonia odbijała się w brzmieniu ich głosów. Doktor jednak mieszkał w kobiecym domu wystarczająco długo, by rozpoznawać podteksty towarzyszące pozbawionym na pozór dramatyzmu rozmowom.

- Podziwiam Jamiego, kochanie, przecież wiesz o tym doskonale, ale ze zdziwieniem zauważyłam, że używa perfum.

- Nie perfum, mamó - sprostowała łagodnie Victoria. - Amerykanie nazywają to wodą po goleniu. Większość z nich jej używa.

- I ten talk na twarzy. - Pani Cooper zachowywała się tak, jakby nie dosłyszała słów córki. - Nie wyobrażam sobie, by angielscy chłopcy stosowali kosmetyki. Uważaliby to za objaw zniewieścienia.

- Mogę cię zapewnić, że Jamie nie jest zniewieściały, mamó.

- I ten wielki złoty zegarek - kontynuowała pośpiesznie pani Cooper, nie pragnąc bynajmniej, by córka rozwodziła się nad męskością młodego Farebrothera. - I złota bransoletka identyfikacyjna. Dziwię się, że nie dostrzegasz w nim cech maminsynka.

Victoria wyraźnie za mocno położyła na drewnianej suszarce nóż do obierania ziemniaków (czy cokolwiek to było). Kobiety rozmawiają ze sobą nie tylko słowami, lecz także za pomocą gwałtownych gestów. Podobne scenki doktor wielokrotnie obserwował wśród pracownic swego wydziału.

- Uwielbiam Jamiego - powiedziała w końcu pani Cooper. - Doskonale wiesz, że go uwielbiam, kochanie. Przecież nie robiłabym sobie kłopotu i nie gotowałamby specjalnie dla niego, gdyby tak nie było.

Nieco później, kiedy doktor i pani Cooper szykowali się do snu, Bernard wspomniął coś o głębokim uczuciu, jakim córka najwyraźniej darzy młodego kapitana.

- Victoria zachowuje się jak jego niewolnica - orzekła Margaret Cooper.

- Kochają się.

- Dla niego to zwykła przygoda! - Wypowiedziała to słowo tak, jakby uważała je za nieprzyzwoite. - Kiedy tylko skończy się wojna, wróci do Ameryki i całkiem zapomni o naszej dziewczynce.

- Dlaczego tak sądzisz, kochanie? - spytał łagodnie, spodziewając się rozsądnego wyjaśnienia.

Żona rzuciła mu w twarz odpowiedź, która zapewne gotowała się w niej przez cały wieczór.

- A może uważasz, że lepiej będzie, jeśli zabierze ją ze sobą? Nigdy już jej nie zobaczymy! Czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę?

Twoja córeczka sześć tysięcy mil stąd!

Doktor westchnął. Biedna Margaret, widzi wyłącznie taką alternatywę: córka może zostać albo porzuconą zabawką zdegenerowanego cudzoziemca, albo opuścić na zawsze rodziców. Może to dobrze, że Margaret ma męża, na którym wyładowywać może gniew...

14. Kapitan Vincent H. Madigan

W swym cywilnym życiu Vince Madigan miał wiele zawodów, bo magisterium z anglistyki na Uniwersytecie Nowojorskim nie jest przepustką do nagrody Pulitzera ani nawet do dobrze płatnej pracy dziennikarskiej. Po studiach sprzedawał więc kosiarki do trawy, rozwoził pranie, a nawet jeździł wózkiem golfowym w pewnym elitarnym klubie, zanim wreszcie dostał wymarzony etat w dobrej gazecie. Był szczęśliwy, a artykuł o otwarciu tunelu Queens-Midtown, pod tytułem „Gość honorowy przecina taśmę; burmistrz obcina gościa honorowego” pozwoliło mu nawet podpisać! Za prawdziwe nieszczęście musiał więc uznać fakt, że wkrótce potem dostał wymówienie z powodu przygody z córką kierownika administracyjnego pisma. Kierownik miał w kieszeni największe umowy na reklamę i kiedy przyszło co do czego, Vince nie był dla niego poważnym przeciwnikiem.

Stało się to w roku 1940. Madigan miał lat dwadzieścia dziewięć, biuro rekrutacyjne armii znajdowało się zaś drzwi w drzwi z barem, w którym regularnie jadał drugie śniadania.

Przydział do europejskiego teatru działań wojennych w roli oficera prasowego Dwieście Dwudziestej Grupy Myśliwskiej dostał niemal automatycznie. W Fort Benning zobaczył wywieszone na tablicy ogłoszenie: „Wojska powietrzne poszukują oficerów z doświadczeniem w pracy dziennikarskiej i w reklamie”. Natychmiast złożył podanie, nie zasięgając nawet informacji, na czym mają polegać obowiązki. Armia wysłała

go wraz z innymi kandydatami na szkolenie, z którego wynikało, że sama też nie ma o tym zielonego pojęcia.

Kiedy przyjechał do Steeple Thaxted, odkrył, że jego biuro już istnieje. Sierżant kancelista założył pilotom teczki personalne i zebrał ich zdjęcia wykonane w kabinach samolotów. Regularnie produkowano biuletyny dla prasy.

Biuro funkcjonowało gładko dzięki wysiłkom pewnego chudego i bardzo pewnego siebie szeregowca pierwszej klasy nazwiskiem Fryer. Absolwent dziennikarstwa na uniwersytecie stanu Maryland. Fred Fryer był tak młody, że wierzył niezachwianie, iż wie o dziennikarstwie więcej niż ktokolwiek w bazie, i tak głupi, że próbował to udowodnić.

Szeregowiec pierwszej klasy niewiele jednak może. Kapitan Madigan zdawał sobie na przykład sprawę z tego, jak ważna jest obecność na odprawach po misji. Jego sierżant fotografował powracające samoloty, zwłaszcza te uszkodzone, i pilotów przeżywających na nowo swe zwycięstwa, szeregowiec Fryer zaś siedział w biurze, dyżurując przy telefonie „na wypadek, gdyby Hitler nagle się poddał”.

Standardowa procedura operacyjna - SPO, jak nazywała ją armia - zezwalała pilotowi na szklaneczkę whisky po misji. Whisky dostarczał Wuj Sam, a przydzielał ją lekarz. Kiedy doktor Goldman obecny był na odprawach, zlecał ten obowiązek Vince'owi wiedząc, że ułatwi mu to naciągnięcie chłopców na opowieści z pola walki.

Tego mrocznego styczniowego wieczoru, po długim powrocie znowu z Brunszwiku, piloci potrzebowali szklaneczki bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Trzy maszyny zestrzelono, a eskadra porucznika Morse'a jeszcze nie powróciła. Napięcie, w jakim się znajdowali, łatwo było odczytać z wyrazu podkrążonych oczu i ze ściągniętych niepokojem, pobladłych twarzy. Na odprawie nikt nie pokrzykiwał, jak to zwykle bywało, ani nikt się nie śmiał. Piloci mówili wysokimi, nabrzmiałymi histerią głosami. Harry Costello widział rozlatującą się w powietrzu na kawałki

maszynę Boogiego Bozzellego, przyjaciela, z którym mieszkał w jednym pokoju. Obaj dorastali razem na Florydzie. W pewnym momencie Harry znikł. Znalaziono go w latrynie, szlochającego i bełkoczącego coś, wręcz nieprzytomnego z żalu. Lekarz dał mu zastrzyk uspokajający, po którym koledzy zanieśli chłopaka na kwaterę.

- Jak to właściwie dziś było, Spurrier? - spytał Madigan majora Tuckera.

- Ciężko, Vince. - Tucker jednym haustem wypił połowę swej whisky. - Większość bombowców odwołano, przez co reszta dostała tym gorsze lanie. Lądowaliśmy na oparach paliwa.

- Bobby Baxter już wrócił? Mam jego zdjęcia zrobione z drugiego samolotu. Pięknie wyszły!

- To lepiej wyślij je na poste restante, Berlin. Wyskoczył ze spadochronem jeszcze nad celem.

- Biedny Bobby - westchnął Vince. Baxter był skrzydłowym Tuckera, jeszcze nim został on dowódcą dywizjonu.

- Wszystko przez te merliny! Bobby gubił chłodziwo. Nigdy przedtem mu się to nie zdarzyło. Przestraszył się.

Major Tucker drgnął. Zauważył, że Vince mu się przygląda i szybko wypił resztę whisky z papierowego kubka.

- Farebrother miał poważniejszy kłopot, a nie skoczył; próbuje wrócić do domu. Ten jego „Kibitzer” to zresztą główniana maszyna.

- Co z nim?

- Zostawiłem go z resztą jego eskadry. Niedługo wróci. - Tucker zgniół pusty kubek i powtarzając: - Baxter się przestraszył - rzucił go do śmieci tak energicznie, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma zamiaru kontynuować tematu.

Madigan lubił majora Tuckera, ale jakoś nigdy nie mógł się powstrzymać przed wbiciem mu szpileczki.

- Słyszałem, że Myszka Mickey dostał dziś kolejnego nazistę. Niektórzy twierdzą nawet, że dwóch...

Tucker tylko chrząknął.

- Liczba zestrzeleń grupy zbliża się powoli do setki, wiesz, Spurrier?

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, odwrócił się więc i obserwował salę. Kiedyś o tym, co widzi, napisze serię artykułów do gazety lub magazynu, lecz czy uda mu się przekazać pełną napięcia atmosferę? Sala była wielka, a chmury i zapadająca za oknem ciemność sprawiły, że wydawała się także mroczna. Kilka nagich żarówek, wiszących nisko nad sośnowymi stołami, rzucało ciepłe żółte światło na walające się wokół papiery, ołówki i mapy. Chusty, rękawice i helmy leżały rzucone nieporządnie, piloci zaś spierali się, pokazywali coś sobie i wtrącali coraz to nowe uwagi do relacji z misji, z której właśnie wrócili.

W innym kącie pokoju ci, którzy czekali na przesłuchanie przez oficera wywiadu, stali w małych grupkach nie rozmawiając; dziękowali w myślach Bogu, że są z powrotem w bazie, cali i zdrowi. Nawet ci, którzy zeznania już złożyli, nie odchodzili. Wyglądało to tak, jakby obecność kolegów podnosiła ich na duchu.

- Setka - powtórzył Tucker. - Właśnie to mówicie dziennikarzom wy, spece od kontaktów z prasą.

- Jesteśmy już naprawdę bardzo blisko.

- Jesteś my? Powiedz mi, Vince, ilu Hunów zestrzelełeś przy użyciu maszyny do pisania.

Madigan uśmiechnął się.

- Boże, jak to dobrze, że ja cię rozumiem, Spurrier. Ktoś inny na moim miejscu mógłby się obrazić...

Major musnął cienki wąsik. Ciekawe, czy go farbuje - pomyślał Vince. - Jest taki czarny.

- Przepraszam, Vince. Ten mały sukinsyn Morse przez ostatnich kilka tygodni cholernie zalał mi za skórę.

- Przecież nie musisz mu na to pozwalać. Jesteś dowódcą dywizjonu. Przywołaj go do porządku.

- Łatwo powiedzieć - westchnął Tucker.

Po raz pierwszy kapitanowi Madiganowi zrobiło się go żal. Piloci okazali się bandą niezdyscyplinowanych indywidualistów i nie sposób było nagiąć ich do starsowieckich wymagań West Point metodami rodem z West Point. A Spurrier nie potrafił odprężyć się na tyle, by przyjąć naturalnie ich bezpośrednio, czasami wręcz lekceważące, zachowanie. Uśmiechnął się współczująco.

- To ty podsuwasz mu dobre pomysły - rzekł major.

- O co ci chodzi?

- Wiesz, o co. O tym gówniarzu piszą, jakby był wcieleniem barona von Richthofena.

- Nie wściekaj się. Po prostu zajmuję się prasą. Nikomu nie robię przy tym specjalnych przysług.

Tucker skrzywił się.

- W każdym razie Morse ma kupę zdjęć w gazetach.

- Aha, widziałeś jego wycinki? To wymień mi pilota, którego zdjęcia nie opublikowała jakaś gazeta po tamtej stronie oceanu. Do diabła, przecież wiem, że publikowano również twoje! Mam je w biurze.

- A pułkownik Dan nie popiera mnie tak, jak powinien. Zeszłej nocy poszedłem do operacyjnego porozmawiać o rozkazach bojowych. Pułkownik zmieszał mnie z błotem w obecności całego personelu. Stara się jak może, żeby zrobić ze mnie idiotę, a że jest dowódcą grupy, muszę stać jak drąg i robić dobrą minę do złej gry.

Madigan nie miał jednak zamiaru pozwolić na zmianę tematu. Wobec prasy nigdy nie faworyzował nikogo i niech sobie pan major nie myśli, że może zgłaszać podobne zastrzeżenia!

- Więc twoim zdaniem Morse jest małym pyszałkiem? - spytał. - Oczywiście, że jest, to prawda. Ale potrafi przy tym być uroczy. Pozuje do zdjęć przy tej swojej maszynie z wymalowaną na nosie Myszka Mickey i wyciąga ręce tak, jak lubią fotografowie, gdy mają do czynienia z

pilotami myśliwskimi, pokazującymi, ile zestrzelili maszyn nieprzyjaciela. Uśmiecha się wytrwale, choćby nie wiem jak długo ustawiali ostrość, i zawsze gotów jest dać im okazję do jeszcze jednego ujęcia. I opowiada o swej pracy nocnego stróża w żeńskim akademiku...

- Nikt nie wierzy w całe to gówno... - Tucker był nie na żarty rozjuszony.

Madigan złapał go za rękaw munduru. Postanowił, że choćby siłą, ale jednak wtajemniczy faceta w kilka podstawowych życiowych zasad.

- Nikt nie wierzy w to gówno, Spurrier, ale to gówno to dobry materiał! A dziennikarze żyją z dobrych materiałów, więc każdemu pilotowi chętnie dodadzą kilka linijek tekstu.

- Zatem uważasz, że ja też powinienem zacząć wymyślać różne bzdury?

- Gówno mnie obchodzi, co zrobisz, Spurrier. Ale skarżyłeś się, że MM ma powodzenie u dziennikarzy, więc postanowiłem wyjaśnić ci dlaczego. I pamiętaj jeszcze coś: MM zwala szwabów i dlatego dziennikarze się nim interesują. Jeśli rzeczywiście dodał dziś dwóch do kolekcji, to jest już rekordzistą grupy. Jeśli ktoś go pokona, z radością poinformuję o tym wszystkie gazety.

Ten zastrzyk zdrowego rozsądku nie miał na Tuckera najmniejszego wpływu.

- Czy to prawda, że załatwiłeś mu rozmowę z dziennikarzem z nowojorskiego „Daily News”?

- Tak, to prawda, ale właśnie dowiedziałem się, że ten wywiad został odwołany. Nowy Jork telegrafował do londyńskiego biura z informacją, że mają po pachy materiałów o lotnikach, i facet pojechał do Liverpoolu pisać o kobiecie, która urodziła pięcioraczki.

Tucker, który do tej pory stał spięty, obejmując się ramionami - co było niezawodną oznaką zdenerwowania - naraz rozluźnił się i roześmiał.

- Pięcioraczki! - krzyknął. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy

powiem temu małemu skurwielowi, kto go wyrzucił z pierwszej strony. Pięcioraczki! Boże, to wspaniałe!

Przesłuchania już się kończyły. Oficer wywiadu gestem wezwał Tucera.

- Jesteśmy do pana dyspozycji, panie majorze - powiedział, a kiedy Tucker podszedł bliżej, dodał: - No, panie majorze, i jak potraktowała dziś pana bogini szczęścia? - Wygładził dłonią leżące przed nim formularze. Te same słowa powtarzał wszystkim pilotom.

Tucker rzucił hełm na stół.

- A słyszał pan, o czym „Daily News” będzie pisać zamiast o poruczniku Morsie? - spytał.

Vince Madigan zdawał sobie sprawę, że historia ta rozejdzie się po całej bazie w ciągu kilku godzin. Wstydził się przyjemności, jaką mu to sprawiło.

Nie wolno stać w miejscu publicznym z butelką bourbona na widoku, jeśli chce się uniknąć towarzystwa Kevina Phelana, oficera operacyjnego. Phelan twarz miał brudną, na policzkach nadal widać było czerwone ślady, pozostawione przez maskę tlenową.

- To ma być drink? - spytał lekceważąco, wlewając sobie w gardło przyzwoitą porcję whisky i wyciągając kubek po następną.

Został już przesłuchany; jako jeden z najstarszych rangą oficerów grupy, niemal zawsze szedł na pierwszy ogień.

- I jak? - zainteresował się Madigan.

Phelan zabrał mu butelkę. Spojrzał na etykietę.

- Nieźle, nieźle - orzekł. - Najwyższy czas na coś takiego. To napój prawdziwego mężczyzny.

- Chodziło mi o lot.

- Pułkownik Dan zestrzelił messerschmitta. Mam nadzieję, że twój fotograf zrobił dobre zdjęcie, kiedy nasz wódz wyłączył z kokpitu. Czas najwyższy, żeby i jego zdjęcie znalazło się w gazetach.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał Madigan.
- Masz zrobić więcej, Vince. To rozkaz. - Phelan nalał sobie trzecią porcję.

- Niech pan uważa z tym soczkiem, majorze - ostrzegł Madigan. - Kiedy was nie było, w miasteczku pojawił się jednogwiazdkowy generał. Pułkownik Dan dotrzymuje mu teraz towarzystwa. Być może będzie pana potrzebował.

- Niech pan uważa z tym soczkiem? - powtórzył pogardliwie Phelan. - Co to za gadanie? Nie pasuje do chłopca z takim dobrym irlandzkim nazwiskiem jak Madigan!

- Między nami Irlandczykami powiem panu, że nie wiem, co tu robimy, walcząc w angielskiej wojnie - zażartował Vince.

Kevin Phelan wypił kolejną szklaneczkę.

- Mój ojciec powtarzał mi to samo - przyznał. - Mówił, że przez całe życie walczył z Angolami, tak jak i jego ojciec. Mówił, że nie spodziewał się dożyć dnia, kiedy zobaczy syna walczącego dla Angoli. Ale ja mu powiedziałem, że dobry Irlandczyk nie powinien być grymaśny, kiedy nadarza się okazja do bitki.

- Zostaw trochę tego dla innych - poprosił Vince.

Phelan uśmiechnął się krzywo i odszedł.

Obserwacja pilotów wiele mówiła Madiganowi o sile młodości. Wczesnym wieczorem dnia misji nad Brunszwikiem większość z nich wyglądała tak młodo i świeżo, że mogła wręcz uchodzić za nowo przybyłych zastępców tych nieszczęsnych istot, które obserwował kilka godzin wcześniej. Dotyczyło to jednak tylko najmłodszych; dwudziesto- pięcioletni mężczyźni nie regenerowali sił tak łatwo. Nawet Farebrother, niewiele - według akt personalnych - przekraczający wiekiem średnią, nie potrafił strząsnąć z siebie przeżyć.

Wieczory po lotach większość pilotów spędzała w barze klubu oficerskiego. Z powodu zaciemnienia zaślony były szczelnie zasunięte, a elektryczne wentylatory nie rozpraszały unoszącego się w ciepłym powietrzu

lekkiego zapachu nafty. Długi, wykładany mahoniem bar oraz błyszcząca w świetle małych kolorowych żarówek butelki przypominały scenę w świetle reflektorów. Resztę dużej sali oświetlały wyłącznie kinkiety. W mroku nie widać było tandetnych ozdóbek na ścianach, gdziekolwiek połyskiwały jedynie złocenia; za ciemno też było, by dostrzec wielkie plamy na ciężkich kotarach oraz kałuże rozlanego alkoholu i niedopałki papierosów na podłodze. Mimo wszystko ten ciepły, mroczny pokój „Stork Club” z rozlegającą się stale słodką muzyką każdego wieczoru służył za substytut nowojorskich nocnych klubów, o których wszyscy tu często mówili, choć widzieli je tylko nieliczni.

Kiedy pojawił się Madigan, Jamie już był w barze. Czekał w kolejce do telefonu - po ciężkich lotach piloci chętnie dzwonili do swych dziewczyn, nim radio podało informacje o stratach. Miał sińce pod oczami; bawił się wielkim złotym rolexem, którego wszyscy mu zazdrościli.

- Cześć, Vince - powiedział. - Masz drobne na telefon?

Dostał drobne i oddał Madiganowi trzy pensy. Taki już był ten Farebrother.

- Uśmiechnij się, Vince - dodał.

Vincent Madigan wcale nie był wesołym Irlandczykiem, za jakiego lubił uchodzić. Jego matka pochodziła ze szwedzkiej rodziny Carlsonów z Wisconsin. Jest faktem niezaprzeczalnym, że jeśli ktoś urodzi się ze szwedzkiego ojca i irlandzkiej matki, przez całe życie nazywany będzie Szwedem; Madigan, choć odziedziczył sporo po zasadniczej, pozbawionej poczucia humoru matce, wolał być uznawany za Irlandczyka.

Wdzięczność, z jaką przyjął ofertę Farebrothera i ciepłe łóżko z dala od miasteczka namiotów, zdążyła już wyparować. Widział to teraz tak: kapitan Farebrother potrzebował kogoś do pokoju, więc on zrobił mu uprzejmość jako ten ktoś. Muzyka operowa, która często nie dawała sąsiadom zasnąć po nocach, była w jego oczach kulturalnym darem,

którego piloci bardzo potrzebowali. Fakt, że Jamie i Myszka nigdy nie podziękowali mu odpowiednio za to, że przedstawił ich dziewczynom, smuciłby go, gdyby nie świadomość, że nikt nigdy nie traktował Vince'a Madigana z należnym mu szacunkiem i uprzejmością.

- Słyszałem, że zaliczyłeś dziś swego pierwszego szkopa? - spytał.
- Poczekajmy do wywołania filmów - odparł Jamie.

Vince skinął na barmana.

- Dwa piwa - powiedział i piwo pojawiło się natychmiast. Uznał za istotne utrzymywanie dobrych stosunków z pracownikami klubu; kilka paczek papierosów działało cuda. Tak więc na barze stanął jego własny cynowy kufel z inicjałami właściciela ręcznie wygrawerowanymi na skrzydlatej tarczy. Dostrzegł, że Jamie mu się przygląda, i błędnie założył, że zdumienie widoczne w jego oczach to zazdrość.

- MM zgłosił dwa zwycięstwa - oznajmił.

Jamie wziął swój kufel.

- Słyszałem. *Slainte*, Vince.

- Pieprz się, łobuzie - odpowiedział Madigan ze swym najbardziej brytyjskim akcentem.

Jamie uśmiechnął się.

- *Touché*.

Wypili obydwaj. Za ich plecami Myszka wydierał się w słuchawkę:

- Spotkamy się w „Blue Boar”... No to powiedz szefowi, że jutro wieczorem nie możesz przyjść do pracy. Powiedz, że będziesz podnosić morale pilota myśliwskiego. - Przerwał, słuchał przez chwilę. - Vera, proszę, skarbie! - krzyknął.

Jakiś architektoniczny geniusz umieścił jedyne w barze automaty tuż obok „sali konferencyjnej”, z pewnością najhałaśliwszego miejsca w całym budynku. MM odczekał mniej więcej minutę, a kiedy był już w stanie złapać oddech, ryknął:

- Liczę na ciebie, kochanie!

Madigan odstawił kufel na blat. Wytarł usta. Przez chwilę obserwował Myszkę walczącego z systemem brytyjskich telefonów, po czym wzruszył ramionami.

- Chyba nie zdaje sobie sprawy, że go słyszymy - powiedział, a kiedy Jamie nie zareagował, dodał: - Zawsze miałem dobry słuch i zawsze interesowałem się ludźmi, nawet kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Tak naprawdę jestem kimś w rodzaju psychologa. W moim zawodzie to zresztą konieczność.

Jamie uśmiechnął się, jakby usłyszał żart.

- Złapię cię w „Blue Boar”! - ryknął MM. - To znaczy, oczywiście, będę tam na ciebie czekał... Tak, tak, wiem, że dama nie lubi siedzieć samotnie w barze... Obiecuję, że to ja będę czekał!

- Vera to rzeczywiście świetna dupcia - orzekł Vince. - Mam nadzieję, że Myszka docenia, co dla niego zrobiłem.

- A ja myślałem, że on wyciągnął cię z kłopotów - rzekł Jamie. - Doszło do mnie, że pomógł ci, kiedy ta mała brunetka próbowała obciąć ci jaja nożem.

- Chodzi ci o tę zabawę w Boże Narodzenie? - Madigan uśmiechnął się nerwowo. Nie wiedział nigdy, kiedy ten Farebrother żartuje z niego. Uśmiechem pokrywał irytację. Jezu! - pomyślał. - Czy to jedyne podziękowanie, na jakie mogę liczyć? Może powinienem przypomnieć temu gościowi, kto poznał go z jego babką? - Przełknął urazę, ale w chwilach takich jak ta zawsze przypominał sobie matkę zwracającą mu uwagę, że nie jest dość twardy.

- Przecież obiecałem, że będę! - wrzasnął znów do słuchawki Myszka. Sięgnął po stojącą na automacie szklaneczkę. - Słuchaj, małutka, kocham cię. Więc przyjdź, dobrze? Przyjdź do „Blue Boar”. Zrobisz to dla mnie, kochanie?

Vera najwyraźniej się zgodziła, bo MM zaczął jej prawić czułości.

- Wygląda na to, że gość mocno się napalił - stwierdził Madigan. - I nic w tym dziwnego, niezły z tej dziewczyny numerek, prawda? Nauczyła mnie tego i owego; wcale nie żartuję.

- Doprawdy? - Jamie zerknął na zegarek.

- Ciekawe, czy MM wie, że ona jest mężatką. Kiedy wychodziła gdzieś ze mną, nigdy nie miała na palcu tej choliernej obrączki. Wiadomość o mężu sprzedała mi, kiedy byliśmy w łóżku.

Jamie zdawał się nie słuchać tych wynurzeń. Może po prostu był zbyt dobrze wychowany, by wysłuchiwać podobnych zwierzeń?

- Czy Myszka rzeczywiście wyglupiał się wobec Tuckera? Zauważyłem, że wróciliście znacznie później od niego. MM znów coś spieprzył?

- Czy to wersja majora?

Madigan wykonał niezdecydowany gest.

- Tak słyszałem - odparł.

- A czy twoje źródło poinformowało cię, że Tucker rozkazał Myszcce i reszcie eskadry zostawić mnie samego w uszkodzonym samolocie nad terytorium, którego mieszkańcy są wobec nas znacznie mniej przyjaźnieli niż twoi Angole wobec Irlandczyków?...

- A MM odmówił wykonania rozkazu?

- Została ze mną cała eskadra.

Vince ze zdumieniem potrząsnął głową. Nie potrafił zrozumieć takiego zachowania.

- Gdyby tylko umiał trzymać tę swą wielką gębę na kłódkę, z łatwością dostałby dywizjon.

- Nie wybieramy go na prezesa żadnego klubu. Niezależnie od rozmiaru gęby MM jest najlepszym pilotem tej grupy, a kiedy ma coś na żołądku, mówi o tym wprost. Nie opowiada bzdur o Tuckerze za jego plecami.

- Słuchaj, Jamie, przecież ja nie jestem takim znowu wielbicielem Spurrera.

- Popatrz, a ja byłem o tym przekonany!

Madigan zgarbił się.

- Zajmuję się kontaktami z prasą. Muszę jakoś żyć z Tuckerem.

- W tej sprawie wszyscy jesteśmy tego samego zdania. Nie chcemy z nim umierać, i to wszystko.

- A jak ci leci z Victorią? - zmienił temat Madigan. - Zrobiła ci dobrze?

- Jakoś leci - odparł wymijająco Jamie.

- Ale jak? - Vince uśmiechnął się lubieżnie.

- Ona lubi operę - oznajmił Jamie i zanim jego rozmówca znalazł odpowiedź, dopił piwo i ruszył w kierunku zwolnionego właśnie telefonu.

- Gdybyś potrzebował odmiany - krzyknął za nim Madigan - mogę załatwić ci na sobotę pewniaka, żywą, małą blondyneczkę, słodkie dziecko! Nie będziesz miał z nią kłopotów, gwarantuję.

Jamie nawet się nie obejrzał. W „sali konferencyjnej” śpiewano już jednak tak głośno, że może rzeczywiście nie usłyszał propozycji.

Madigan obserwował go podczas rozmowy, nie zdołał jednak usłyszeć z niej ani słowa. Jamie skończył i pomachał mu na dobranoc. Nie powiedział, dokąd idzie, ale tego łatwo się było domyślić; Vince wiedział, że pożyczyl dzipa doktora Goldmana. Kapitan Madigan lubił wiedzieć, co się dzieje w bazie; uważał, że należy to do jego obowiązków.

W „Stork Club” zabawa rozkręcała się w miarę upływu czasu. Około dziesiątej do baru przepchnął się niski grubas w cywilnym ubraniu. Mówił z silnym akcentem z Bronxu - a może Brooklynu? - i dopytywał się o Myszkę.

Vince podejrzewał dowcip, ale grubas był dość poważny i sprawiał przekonujące wrażenie. MM tymczasem popisywał się przed grupą przyjaciół w końcu baru. Stał tam stół przysunięty do ściany, na której wisiało stare śmigło samolotowe i utrzymane w żywych kolorach plakaty przedstawiające samoloty oraz gwiazdy filmowe. MM traktował to miejsce jako własne - biada komuś, kto zająłby je, kiedy on miał na nie ochotę. Stał oparty o bar, kiedy usłyszał, że ktoś go woła.

- Pan jest porucznik Morse? - spytał agresywny karzełek. Miał na sobie nowiutki płaszcz przeciwdeszczowy z paskiem. Z kieszeni sterczał ołówek i notes.

- Tak, to ja.

- Myszka Morse, gość, o którym czytałem w gazetach?

- Nikt inny - przytaknął MM uśmiechając się nerwowo.

Żart czy nie żart, z tej sytuacji nie było wyjścia. Rozmowy ucichły, nawet hałaśliwi goście z „sali konferencyjnej” pojawili się przy barze, ciekawi, co się właściwie dzieje. Cywilni barmani przestali podawać piwo. Obserwowali wydarzenia z ponurą powagą, typową dla brytyjskich pracowników obsługujących jankesów.

Grubas rzucił kapelusz w powietrze.

- A gdzie jest ta młoda dama, która urodziła pięcioraczki, panie poruczniku?! - wykrzyknął. - Chcę z nią przeprowadzić wywiad! Gratuluję rekordziście grupy!

Nim cywil, który w rzeczywistości był sierżantem służb technicznych i kwatermistrzostwa grupy, stacjonujących w pobliskim Thaxted Green, zdołał dokończyć ostatnie zdanie, w zatłoczonej sali rozległy się ogłuszające pijackie okrzyki. Dwaj piloci podnieśli grubasa na ramiona i obnieśli go po klubie; ktoś w nagrodę za wysiłek wręczył mu butelkę whisky. Nie trzeba chyba dodawać, że jednym z niosących był major Spurrier Tucker, a w pobliżu nie zabrakło też majora Tarranta, dowódcy żandarmerii. Niektórzy twierdzili, że na ustach tego ostatniego zagościło coś na kształt uśmiechu.

Madigan obserwował jednak Myszkę, zaczerwienionego po korzonki włosów, zaciskającego kurczowo palce na krawędzi bufetu, próbującego się uśmiechnąć. Nawet jemu było go prawie żal.

- Czy mogę prosić o ciszę? - Tylko głos Duke'a Scrolla, oficera administracyjnego, był w stanie błyskawicznie uciszyć rozbawione towarzystwo. - Dowódca grupy ma wam coś do powiedzenia.

Nikt już się nie śmiał. Wszyscy patrzyli na pułkownika Dana.

- Nasza dzisiejsza misja była ciężka - powiedział pułkownik i chrząknął. Miał zaledwie trzydzieści sześć lat, o trzy więcej od Madigana, ale wyglądał na pięćdziesiąt. - I nadal dostawać będziemy ciężkie misje, niektóre o wiele trudniejsze od dzisiejszej. - Urwał, niespiesznie rozejrzał się po sali. - Właśnie przed chwilą przyjrzałem się wywołanym filmom i chcę wam powiedzieć, że o ile Kwatera Główna nie zgłosi sprzeciwu, grupa ma od dziś zaliczone kolejne sześć zwycięstw, lecz również cztery maszyny poważnie uszkodzone.

- Kto?! - zawołał ktoś, przekrzykując radosną wrzawę.

- Kapitan Farebrother zestrzelił messerschmitta 110 tak czysto, że maszyna rozleciała się na kawałki już po pierwszej serii. Major Phelan także załatwił stodziesiątkę. Porucznik Dietrich ma zaliczonego fockewulfa. Gratuluję wam, Dietrich, pierwszego zwycięstwa. - Podniósł dłoń z palcem wskazującym dotykającym kciuka. - Wam też, Farebrother... Gdzie jest kapitan Farebrother?

- Chyba poszedł do łóżka! - odkrzyknął Vince. Miał wrażenie, że pułkownika nie uszczęśliwiłaby informacja, iż Jamie bez pozwolenia oddalił się z bazy.

- Z pewnością studiujecie instrukcje - powiedział pułkownik.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu. Kapitan Farebrother cieszył się opinią pilota, który podręczniki i regulaminy zna na pamięć.

- Powiedział pan „sześć”! - krzyknął Myszka.

- Niech pan się nie martwi, poruczniku. Nie mam najmniejszego zamiaru skrzywdzić pana. Zestrzelił pan dzisiaj dwie maszyny. - Pułkownik znów rozejrzał się po sali. - Co czyni porucznika Morse'a rekordzistą grupy! - oznajmił.

Rozległy się hałaśliwe gratulacje. Ci sami piloci, którzy z ochotą świętowali przed chwilą porażkę MM, teraz równie szczerze cieszyli się z jego tryumfu; tak samo jak nastolatki ze wspomnień Vince'a.

- Sześć! - krzyknął major Kevin Phelan. - Powiedział pan „sześć”, panie pułkowniku. Kto zaliczył numer szósty? - Uśmiechał się, zadając to pytanie. Madigan uznał, że zna już odpowiedź.

- Szuka pan kogoś, kto by panu postawił, majorze Phelan - stwierdził pułkownik.

Piloci roześmiali się. Zupełnie jak małe dzieci - najbardziej cieszyły ich znane żarty, w których każdy ma do odegrania dobrze opanowaną rolę. Szczęśliwy w roli pijaczka, Kevin Phelan wywalił język.

- Tak, to ja dostałem ostatniego sukinsyna - przyznał pośpiesznie pułkownik. - Stawiam aż do zamknięcia baru!

Rozległy się gratulacje, bojowe okrzyki, głośne gwizdy. Gruby „cywil” znikł. Żart, którego ofiarą padł Myszka, został już zapomniany przez obecnych... Z wyjątkiem Myszk.

Madigan rozejrzał się po sali. Dostrzegł rozlany na podłodze alkohol, unoszące się w powietrzu kłęby tytoniowego dymu. Odniesione dziś przez pilotów rany zaczęły się goić, a przynajmniej przestały boleć. Vince należał do najstarszych wiekiem Amerykanów w Steeple Thaxted. Był świadkiem odbywających się tu zmian samolotów oraz zmian dowódców. Być może za mało wiedział o samolotach, by wyrobić sobie na ich temat opinię, ale jeśli chodzi o dowódców, od pułkownika Dana zdecydowanie wolał jego poprzednika. Dla niego pułkownik Dan to pełen uprzedzeń facet, otwarcie przyznający, że nie interesuje go nic oprócz maszyn i pilotów.

Pułkownika Dana nie obchodziły też problemy obsługi. Nie wyrażał najmniejszego zainteresowania ciężkimi warunkami, w jakich żyła załoga naziemna. Nie warto go było nawet prosić, żeby wręczył nagrody na zabawie w podoficerskim aeroklubie albo też żeby wczesnym rankiem pozował do reklamowego zdjęcia w piekarni, pokazując w ten sposób piekarzom, że docenia ich wysiłki. Był zawsze zajęty podlizywaniem się tym cholernym pilotom, którzy i tak przecież dostawali większy żołd, dłuższe przepustki i mieli znacznie korzystniejsze godziny pracy niż ktokolwiek inny w bazie.

Oznaczało to, że oficer administracyjny jest przepracowany, a Duke Scroll był żołnierzem, który lubi robić wszystko przepisowo. Cóż, kapitan Vince Madigan mógłby mu wyjaśnić, że biura oficera prasowego nie da się prowadzić według regulaminu armii, a już z pewnością nie w Steple Thaxted.

15. Kapitan James A. Farebrother

Zimny front, który spowodował niepowodzenie misji brunszwickiej, przeszedł nad Wielką Brytanią, pozostawiając zwykły w tych okolicznościach zachodni wiatr i czyste niebo. Tego pogodnego ranka Jamie wstał wcześniej, wsiadł na rower i popedałował przez lotnisko na stanowiska techniczne. Szukał „Kibitzera”.

Znalazł go w hangarze numer dwa. Maszyna wyglądała żałośnie z kadłubem i połową prawego skrzydła oblaną niemieckim olejem, który miejscami zapiekł się w lśniącą masę. Skrzydło podparte było ciężkim drewnianym krzyżakiem, dzięki czemu dwóch mechaników mogło pod nim klęknąć i popracować nad tarczami hamulcowymi. Jeden z nich rzucił klucz do skrzynki tak energicznie, że hałas obudził Winstona; pies wstał, rozejrzał się nieprzytomnie, szczerknął mało przekonująco i z powrotem ułożył się do snu.

Jamie obszedł samolot. Dotknął ostrych krawędzi skrzydła w miejscu, w którym mechanicy ucięli jego końcówkę i zabrali ze sobą do warsztatu. Pokrywy silnika również zostały usunięte. We wnętrzościach merlina grzebali trzej mechanicy stojący na przysuniętej do nosa samolotu metalowej konstrukcji.

- Jak to wygląda? - zawołał do nich Jamie.

Spojrzeni w jego stronę. Rozpoznał wśród nich Texa Gilla i Myszkę. Trzecim, z paskami sierżanta na skórzanej kurtce, był szef mechaników.

- Miałeś szczęście, że doleciałeś tym gratem do domu - powiedział

Myszka. Miał na sobie oliwkowy pasiasty kombinezon i podszytą wołkiem kurtkę z wymalowaną na plecach Myszką Mickey. - Wygląda na to, że przeszły przez niego nie eksplodując trzy pociski artyleryjskie.

Szef bawił się daszkiem czapki munduru polowego, jakby wstydził się tego, co przyszło mu powiedzieć o „Kibitzerze”.

- Musimy porozmawiać z majorem w sprawie przeniesienia go do kategorii E, panie kapitanie. Warsztat blacharski nie łąta sterów i klap, a może major uzna, że nie warto mu dawać nowych. - Skrzywił się. - Ale wie pan przecież, jak mało mamy teraz samolotów. Moim zdaniem major rozkaże jak najszybciej przygotować go do lotów.

- Dacie radę?

- Jasne. Możemy wstawić nowy silnik, tych nam nie brakuje. Załatamy dziury... - Zerknął najpierw na Jamiego, a potem na Myszkę z nadzieją, że będą się dopominać o nową maszynę. - Może nawet wystarczy mi ludzi, żeby go wypolerować do gołej blachy i wywoskować. - Szef zawahał się i raczej nieprzekonująco dodał: - Będzie jak nowy, panie kapitanie.

- Lepiej puścić na niego końcowe napisy - stwierdził Myszka, kiedy schodzili z platformy, a wycierając ręce bawełnianą szmatą dodał cicho: - Szef czeka, żebyś zaproponował mu sześć butelek whisky, a wtedy spisz go w kategorię E.

Jamie wiedział doskonale, czego chce szef, ale wiedział także, co obiecywał „Kibitzerowi” za dostarczenie do domu.

- Przynosi mi szczęście - powiedział.

- Chodźmy na kawę do dispersalu - zaproponował Myszka.

- Niech pan robi co w pańskiej mocy, szefie - poprosił Jamie, wsiadł na rower i oderwał wzrok od maszyny.

- O jedenastej pokażą filmy. - MM zerknął na zegarek. Najwyraźniej wstał wcześniej i rano zanudzał ludzi z sekcji fotograficznej, żeby przed oficjalnym pokazem udostępnił mu filmy z jego kamery. Oficerską czapkę, zatłuszczoną i pogniecioną, zostawił na rowerze; teraz nasadził ją na tył głowy, nadając sobie tak niewojskowy wygląd, jak to tylko możliwe.

- Nieźle sobie wczoraj poradziłeś - dodał. Była to wielka pochwała w ustach kogoś, kto z zasady nie chwali nikogo i niczego. Jakby pragnął powstrzymać Jamiego od udzielenia odpowiedzi, odwrócił się i zagwizdał ostro. Winston przybiegł pędem.

MM wskoczył na rower i odjechał nie oglądając się. Wiedział, że Jamie pojedzie za nim, podobnie jak zawsze biegł za nim Winston. Jechał szybko, pedałowując z gniewną energią, charakterystyczną dla niemal wszystkich jego działań. Objechał od tyłu wielkie stalowe hangary pokryte bitumitem. Ich wrota złowrogo trzeszczały na wietrze.

Świat był cichy i nieruchomy. Samoloty na tle nieba wyglądały jak pomniki. Z pieców stojących w barakach z blachy falistej - kwater załogi - płynęła na lotnisko słaba żółtawa poświata. Jamie przyspieszył, chcąc dogonić Myszkę.

- Gdzie to cholerne słońce? Kiedy, do pioruna, zrobi się tu cieplej?!
- zaklął MM, kiedy skręcili na drogę kołowania i musieli stawić czoło nie napotykanemu przeszkód zachodniemu wiatrowi.

Jamie powinien zorientować się, że jest to pytanie retoryczne. A jednak odpowiedział:

- Nie zrobi się cieplej. Po przejściu zimnego frontu nie ma większych zmian temperatury.

- A nie myślałeś kiedy, żeby wziąć udział w jednym z radiowych quizów? Doktor IQ rozdaje za każdym razem osiemset pięćdziesiąt srebrnych dolarów; jeśli nawet udzielisz złej odpowiedzi, dostajesz karton milky way.

- Słodczyce szkodzą na zęby. A jak tam Vera?

- Czasami miewa humory. Sądzę, że podobnie jak wszystkie kobiety...

- Dlaczego nie mielibyśmy wybrać się gdzieś we czwórkę? Na przykład na film?

- Doskonały pomysł. Tę twoją Vicky chyba już jakoś przyjąłem do wiadomości.

Dalej jechali w milczeniu. Pomijając zimny, wilgotny wiatr, dzień był naprawdę piękny. Hrabstwo Cambridge zieleniło się pod bezchmurnym niebem, a z otaczających strzelnicę drzew dobiegał śpiew ptaków. Nie brakło także zajęcy, okrągłutkich w zimowym futrze i odważnych do tego stopnia, że przebiegały przez obwodnicę niemal pod kołami rowerów. Winston udawał, że ma wielką ochotę je gonić, ale regularne korzystanie z przydziałowych słodyczy sprawiło, że nie był w stanie grozić miejscowej faunie.

Myszka Mickey nie odznaczał się atletyczną budową, a poza tym brakowało mu wprawy w jeździe na rowerze. Kiedy przygasł jego pierwszy zapał, zwolnił i Jamie dogonił go bez trudności.

- Vince miał pretensje, że nie pojechałem z nim do Londynu. Powiedział, że przeze mnie znalazł się w głupiej sytuacji - wyznał MM.

- Pieprz go - poradził Jamie. - On zawsze jest w głupiej sytuacji ze swoimi dziewczynami. Taki ma sposób na życie.

Myszka przyjrzał się przyjacielowi z nowym zainteresowaniem. Czyżby ta tak bardzo nie pasująca do jego charakteru reakcja oznaczała, że Vince naraził się nawet tak zrównoważonemu człowiekowi?

- Mówił ci może, że nie skończyłem studiów?

- A niby czemu miałbym rozmawiać z Vince'em o twoich studiach?

- Zełgałem, kiedy wypełniałem ten jego kwestionariusz. Napisałem, że ukończyłem studia. Jeśli skontaktuje się z uczelnią...

- Nie przejmuj się, MM. Vince ma inne rzeczy na głowie. Gdyby nie my, nadal siedziałby w jednym z tych namiotów, gdzie wciąż mieszka kilku oficerów.

- Chyba raczej: gdyby nie ty. To ty go przygarnąłeś. A poza tym on ma krótką pamięć, jeśli chodzi o przysługi, które oddają mu ludzie - w odróżnieniu od przysług, które on oddaje ludziom. Już zdążył zapewne wytłumaczyć sobie, że to on zrobił ci grzeczność, wprowadzając się do ciebie.

- W gruncie rzeczy jest w porządku. Przypuszczam, że każdy ma wady.

- Słyszałeś, co się stało wczoraj w nocy? Zrobił ze mnie idiotę przy wszystkich obecnych w barze. Dziś rano nie poszedłem nawet na śniadanie, bo jakieś dupki musiały przygotować mi parę kawałów.

- Słyszałem. Daj spokój, MM, przecież znasz się na żartach!

- On specjalnie spieprzył sprawę tego wywiadu dla „Daily News”.

- Vince? Nie ma mowy! Dałby wiele, żeby mieć tu poważnego reportera rozmawiającego z tobą; sam czułby się dzięki temu ważniejszy. No i zwróciłby na siebie uwagę wydziału prasowego w pułku, a może nawet w Londynie? Nie, Vince nie spieprzyłby tej sprawy rozmyślnie!

Myszka odwrócił się z uśmiechem wyraźnie świadczącym o tym, że mu ulżyło.

- Chyba masz rację - przyznał.

- Jak chcesz pogadać z dziennikarzem, to zawsze możesz przecież poradzić się Very.

- Nie jest dziennikarką, tylko maszynistką czy kimś w tym rodzaju.

- Ale pracuje w redakcji zatrudniającej przecież dziennikarzy. Kiedy wpadłem tam po Victorię, spotkałem pewnego dziadka, który mówił, że chce pisać o wojnie w powietrzu.

- Brytyjski reporter chce pisać o lotnikach?

- To Australijczyk. Twardy staruch, pięćdziesiątka, może nawet sześćdziesiątka na karku, siwe włosy, podkreśnione wąsy, baczki, ale żaden z niego Święty Mikołaj. Victoria powiedziała, że on ma nazwisko. Przypuszczam, że doskonale pasowałbyś do jego zamiarów.

- Mógłbyś dowiedzieć się czegoś więcej?

- Jasne, nie ma sprawy.

Kiedy mijali strzelnicę, Jamie dostrzegł jadący po przeciwległej stronie lotniska samochód. Znajdowali się nieco wyżej niż stanowiska techniczne, więc bez trudu dostrzegł mężczyzn kręcących się wokół C-47.

Jego ojciec prawdopodobnie spędził noc w bazie, z nadzieją, że spotka się z synem na śniadaniu w klubie oficerskim. Zdawał sobie oczywiście sprawę, jak bardzo ojciec pragnie jego bliskości, ale na tę jego miłość nie mógł odpowiedzieć tak, jak tego od niego oczekiwano. A jednak widząc przygotowywaną do startu maszynę doznał niezwykle silnego poczucia winy. Równie szybko, jak się pojawił, C-47 znikł za nierównościami terenu; poczucie winy jednak pozostało.

Myszka zdjął dłonie z kierownicy, chcąc popisać się swym zmysłem równowagi, ale chwiał się, skręcał to w tę, to w tamtą stronę i wreszcie musiał zrezygnować z pokazu. W powietrzu niósł się dźwięk rozgrzewanych silników, po czym ucichł i znów zapanowała cisza.

Dotarli wreszcie do „Myszki Mickey II” i „Happy Daze”. Po „Kibitzerze” pozostało tylko puste miejsce oznaczone plamami oleju. Półkolisty stanowiska postojowe miały nawierzchnię asfaltową; dobudowano je do lotniska później niż betonowe stanowiska postojowe znajdujące się po stronie południowej. Mrozy sprawiły, że asfalt popękał.

W szczelinach widać było obruszone kamienie, a samoloty kołować musiały na obwodnicę pracowicie omijając dziury.

Koło „Happy Daze”, oparte o ścianę szopy, którą załoga naziemna zbudowała sobie z wielkich pak i arkuszy blachy falistej, stały dwa rowery, lecz nie te ciężkie, staroświeckie, które rozdawała armia. Były to lekkie kolarki z podwiniętymi kierownicami - BSA, które Rube i Earl kupili sobie w Cambridge. Obaj stali się w Anglii entuzjastami cyklisty.

MM otworzył drzwi szopy. W środku było jasno i ciepło; światła doświetlały girlandy żarówek, ciepła - zrobiony domowym sposobem elektryczny kominek. Ściany obklejone były fotografiami dziewcząt z Yank i Esquire, umieszczonymi tak blisko siebie, że wyglądały jak tapeta o wzorze z piersi, pośladków i wyszczerzonych w uśmiechach zębów. Rube i Earl siedzieli na połamanych krzesłach, rozmawiając z sierżantem z apteki.

- Myślałem, panowie, że ścigacie się po drodze kołowania?
- Wpadliśmy na filiżankę kawy - odparł Rube, choć nic nie wskazywało, by pocięty ekspres był ostatnio w użyciu.
- Sam bym się napił - powiedział MM. Wziął jedną z filiżanek, z których pili obecni, i podniósł do ust. - To nie kawa. Chłacie, panowie?
- Niedługo się zobaczymy, kapralu - powiedział Rube. Sanitariusz w średnim wieku zrozumiał, o co chodzi, skinął Myszce głową i wyszedł.

Myszka tymczasem szukał czegoś za uszkodzonym fotelem lotniczym, zajmowanym przez sierżanta. Znalazł w końcu butelkę pełną przezroczystego płynu. Potrząsnął nią.

- Jakiś sukisyn pędzi tu krzakówę! - stwierdził.

Rube i Earl milczeli. Jamie dotknął ekspresu. Miał ochotę na kawę, ale ekspres był zimny.

MM otworzył butelkę, wylał trochę płynu na palce i polizał je.

- Krzakowa! Od razu wiedziałem!
- Masz zamiar donieść o tym majorowi Tarrantowi?
- Pewnie z rodzynek. - MM smakował alkohol. - A ten stary sanitariusz jest z apteki. Wy dwaj też siedzicie w tym oszustwie?
- Nie udawaj, że taki z ciebie harcerzyk, Myszka. - Rube uśmiechnął się kpiąco.
- To tym się zajmowaliście pod pozorem wyścigu na rowerach?
- Tylko dla zabawy - łagodził Earl.
- Dla zabawy! Właśnie to doprowadza mnie do szału! Rozumiem, że szeregowcy czasami po prostu muszą się napić, ale wy, panowie, macie przecież swoje racje whisky.
- Rube siedział z założonymi rękami. Twarz miał skrzywioną.
- Daj spokój, MM - prosił cicho.
- Ja tu jestem cholernym dowódcą eskadry! Nie mów mi, kiedy mam dać spokój, przyjacielu! - MM znalazł rurkę, będącą częścią instalacji. - Zamknijcie się, głąby! Wicie, jaka jest kara za nielegalne pędzenie

alkoholu na terenie wojskowym? Śmierć, panowie! To przestępstwo zagrożone najwyższym wymiarem kary, zgodnie z paragrafem trzysta dziewięćdziesiątego piątego wojskowego kodeksu karnego!

Jakkolwiek i Rube, i Earl byli całkowicie pewni, że MM wymyślił to wszystko pod wpływem chwili, czuli się na tyle winni, by nagle zblednąć. Myszka wykorzystał swą przewagę.

- Zapytajcie Jamiego - zaproponował. - Wczoraj wieczorem akurat o tym rozmawialiśmy.

Jamie Farebrother cieszył się taką reputacją w dziedzinie prawa, i nauk w ogóle, że obaj porucznicy od razu uwierzyli we wmawiane im bzdury. Stali sztywno, niemal nie oddychając, jakby oblani nagle kubłem zimnej wody.

MM rozkoszował się przez chwilę tym widokiem, a potem dodał:

- Kiedy następnym razem zdecydujecie się złamać prawo, nie róbcie tego w towarzystwie zwykłych żołnierzy. Niektórzy z nich nie oprą się pokusie załatwienia oficera, jeśli tylko będą mieli okazję.

- A myślisz, że oficer nie zechce załatwić oficera? - spytał Rube, który najwyraźniej miał ochotę klócić się.

- Dobrze wiesz, co myślę.

Jamie przerwał zapadłą nagle ciszę.

- Earl, pamiętasz, obiecałem ci pomoc w napisaniu listów do szwagra. Może załatwimy to teraz, przed pokazem filmów?

Earl rozpromienił się na myśl o tak łatwej ucieczce przed gniewem dowódcy.

- No to jedziemy, kapitanie. Sprawdziłem już datę czeku. Mam też kopie listów.

Manewr ten nie zmylił bynajmniej Myszkę, ale, chociaż z największą niechęcią, zwolnił chłopaka, który odjechał z Jamiem, pozostawiając w szopie gotowych do walki kolegów. Kiedy mijali strzelnicę, zbrojmistrz na służbie ustawiał właśnie „Joustera” majora Tuckera, ozdobionego przedstawionym w jaskrawych barwach rycerzem w zbroi, na stanowisku

synchronizacji karabinów maszynowych. Przyglądało się temu mnóstwo wiejskich dzieciaków, które dostały się na teren bazy przez dziurę w ogrodzeniu. Dla nich próby karabinów były widowiskiem, które ustępowało wyłącznie awaryjnemu lądowaniu.

- Jak trafiłeś do lotnictwa, Earl? - spytał Jamie, bardziej po to, by nawiązać rozmowę niż z prawdziwej ciekawości.

Po drugiej stronie lotniska kołował C-47 jego ojca. Główny pas za-blokowany był przez batalion techniczny, wypełniający dziury płynnym betonem. C-47 będzie ich musiał ominąć.

- Tata kupił dwa curtissy jenny z nadwyżek wojennych, po sto do-lców sztuka. Jednego rozwalil ucząc się latać; części wykorzystaliśmy do naprawy drugiego.

- Wygląda na to, że twój ojciec to fajny facet.

- Rodzina pochodzi z Niemiec - wyjaśnił Earl. - Dziadkowie nadal tam mieszkają, i mnóstwo ciotek, wujów i kuzynów. Czasami dziwnie się czuję podczas lotu, zwłaszcza kiedy widzę bombowce zrzucające ładunek. Wyobrażam sobie... no, rozumiesz przecież.

- Jasne, rozumiem.

- Tata to rzeczywiście fajny facet. Tęsknię za nim. Mama też jest w porządku - dodał lojalnie. Umilkł na chwilę. - Nikomu nie mówię o krewnych w Niemczech - wyjaśnił. - Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że nie powinno się dopuszczać mnie do lotów.

- Nikt tak nie myśli - zapewnił go Jamie, choć miał w pamięci świe-że oskarżenia Rube'a Weina.

- W każdym razie na pewno nie Myszka. On trzyma ze swoimi ludźmi. I to jest wspaniałe!

- Nie musisz mi tego mówić. Wszyscy zostaliście ze mną tam, nad wodą, kiedy „Kibitzer” omal nie wyzionął ducha.

- MM boi się swojego ojca - rzekł Earl. - Dlatego nie chce, żeby ktokolwiek z nim mieszkał. Ma koszmary. Całą noc pali światło.

- Zauważyłem.

- Jego stary wracał do domu późną nocą, wyciągał chłopców z łóżka i prał ich.

- Pijany, tak?

- Cholernie ich lał. Jasne, że po pijanemu, chlał butelkę dziennie. Potem, kiedy umarła matka Myszki, to się nawrócił. Tak całkiem serio; wygłaszał kazania i w ogóle. Widziałeś te listy na półce w pokoju MM? Wszystkie napisane tym samym charakterem pisma, wszystkie od ojca. Żadnego z nich nawet nie otworzył.

- Ale i żadnego nie wyrzucił?

Zatrzymali się, obserwując C-47 kołującego powoli w ich kierunku.

- Chyba masz rację - odrzekł Earl. - Jakoś o tym nie pomyślałem.

Wielki transportowiec dotarł do końca pasa, obrócił się i znieruchomiał w oczekiwaniu pozwolenia na start.

- Boję się tylko ognia - wyznał Earl. - Miałem koszmary, a potem poprosiłem cywilnego lekarza, żeby dał mi trochę środków nasennych. Nie chciałem iść do naszego doktora, on wszystko zapisuje w aktach. No i te leki mi pomogły.

Silniki C-47 ryknęły nagle. Maszyna potoczyła się po pasie nabierając prędkości i podskakując na nierównościach. Jak inwalida powoli wchodzący po stromych schodach, wspięła się wreszcie w czyste niebieskie niebo. Piloci oparli się na kierownicach rowerów, obserwując start. Kiedy samolot oderwał się od pasa, Earl brzęknął dzwonkiem i ruszył przed siebie. Zatrzymał się jednak i obejrzał na Jamiego, który tkwił w miejscu, wpatrzony w niebo.

Twarz miał zielonkawą.

- Wszystko w porządku, kapitanie? Nieszczególnie wyglądasz.

Jamie skinął głową, dając tym gestem do zrozumienia, że owszem, wszystko w porządku, ale natychmiast podniósł chusteczkę do ust. Earl wyciągnął dłoń, jakby chciał go wesprzeć, ale on tylko położył rower, pochylił się i zwymiotował na trawę przy krawędzi drogi.

Earl Koenige siedział na rowerze, obserwując w milczeniu przyjaciela. Jamie zwymiotował po raz drugi akurat kiedy transportowiec zawrócił i przeleciał nad lotniskiem na wysokości co najmniej ośmiuset stóp, bucząc silnikami.

Wymiotował, póki nie opróżnił żołądka, po czym otarł usta, czując na języku kwaśny smak wczorajszej kolacji.

- Jadłem wczoraj kolację z przyjaciółmi... Królika. Nigdy nie podołał mi się pomysł jedzenia tych zwierzaków - wyjaśnił.

Earl wciąż milcząc wsiadł na rower ze wszystkich sił unikając wzroku Jamiego.

- Z pewnością powinienem zjeść śniadanie - dodał Jamie, jakby domagał się współudziału w procesie oszukiwania samego siebie.

Earl Koenige był jednak synem farmera. Co wiedział, to wiedział na pewno.

- To ta wczorajsza walka - powiedział po prostu. - Po walce wszystko się w człowieku napina. Trzymasz się, śmiejesz, żartujesz i pijesz; trzymasz się, trzymasz i trzymasz. I nagle, pozornie bez żadnej przyczyny, coś wreszcie puszcza. Mózg mówi ciału, że to już koniec, i człowiek rzyga albo płacze, albo musi na kogoś nawrzeszczeć. - Wzruszył ramionami. - Albo podpada pod paragraf osiem* i wraca do domu.

Jak na Earla była to bardzo długa przemowa; musiał ją sobie wcześniej dobrze przemyśleć.

* Paragraf osiem - Section Eight, amerykańizm - zwolnienie ze służby w wojsku z powodu choroby fizycznej lub umysłowej (przyp. tłum.).

- Rube ma zwyczaj wrzeszczeć, co?

- Chodzi ci o to, co powiedział wtedy? Jasne. Wścieka się, nazywa mnie nazistą i tak dalej. Wcale mnie to nie obchodzi. Przyzwyczyliłem się już w szkole. Rube ma po prostu fioła na punkcie jeńców wojennych. Każdy z nas ma jakiegoś fioła. Powiedziałem mu o tym, ale on nadal się martwi.

- Przyznał ci się?

- Jestem jedynym człowiekiem, z którym rozmawia. Bierzymy rowery, robimy kilka okrążeń po drodze kołowania i Rube wszystko z siebie wyrzuca. Dlatego zabrałem się do krzakówki... Jemu pomaga to zapomnieć o strachach, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Jasne, Earl. Wiem.

Ze znajdującej się za plecami młodych ludzi strzelnicy rozległa się seria z karabinu maszynowego. Ptaki wleciały w niebo, bijąc skrzydłami i skrzecząc w popłochu.

16. Podpułkownik Druce „Duke” Scroll

- Wyjmij ten swój zmiętoszony notatniczek - powiedział przez ramię pułkownik Dan, obserwując wznoszący się w niebo transportowiec. Zapisz w nim na czerwono, wielkimi literami: „Generał Alex - bo on lubi, żeby tak go nazywać, sam mi to powiedział - Bohnen”. Pisz się B-O-H-N-E-N.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł z westchnieniem oficer administracyjny. - Już wcześniej zapisałem dane generała.

- A jeśli przyjedzie tu jeszcze raz, w czasie gdy będę prowadził misję, wyjdź na cholerny główny pas startowy z kubłem białej farby i wymaluj na nim „Bohnen” dziesięciostopowymi literami. Rozumiesz, co mówię, Duke?

- Wyjaśnił mi to pan bardzo dokładnie, panie pułkowniku. - Duke tytułował dowódcę z pełnym szacunkiem dla jego stopnia i zwracał się do niego w trzeciej osobie zawsze wtedy, kiedy próbował zdystansować się jakoś od jego napadów gniewu. - A co właściwie pan pułkownik ma zamiar zrobić na wypadek takiej ewentualności?

- Co mam zamiar zrobić?! - wrzasnął z niedowierzaniem pułkownik Dan, odrzucając z czoła nieposłuszne skręcone kosmyki. - Mam zamiar wcale nie lądować, Duke. Mam zamiar zawrócić do Niemiec, tylko tyle!

- Jestem pewien, że i tam nie brak generałów pokroju generała Bohnena.

- Z całą pewnością mają ich pod dostatkiem!

Dwaj oficerowie wpatrywali się w powracający nad lotnisko przeciwnym kursem C-47.

- Co ten stary sukinsyn zamierza zrobić? - zastanawiał się pułkownik Dan.

- Prawdopodobnie zrzucić na nas ładunek wybuchowy - odpowiedział Duke.

- Bardzo śmieszne. - Dowódca grupy uważał, że dowcipkowanie jest przywilejem zwierzchników. - Nie tobie się dobrał do dupy. J a oberwałem za wszystkich. Ci facci z Kwatery Głównej żyją w innym świecie, Duke.

- Bez wątpienia, panie pułkowniku. - Duke Scroll zajął się jakimiś papierami, podczas gdy pułkownik Dan chodził w kółko po gabinecie jak lew złapany w klatkę. Mimo iż był niedouczony, niechłujny, agresywny i wrzaskliwy, Duke polubił go podczas tych kilku ostatnich miesięcy wspólnej pracy. Latał za dużo, lekcewał papiery - na biurku od kilku dni leżała teczka, wciąż nie otwarta - ale szczerze troszczył się o pilotów. Tak bardzo, że czasami kolidowało to z jego podstawowym obowiązkiem wysyłania ich do walki. To, co uznano by za słabość u żołnierza, świadczyło dobrze o pułkowniku jako o człowieku. Duke Scroll był jednak wychowankiem Akademii i wiedział, że gdyby doszło do spięcia, szarżę spojrzą na to w zupełnie innym świetle.

Pułkownik Dan wściekł się po rozmowie z generałem. Teraz, kiedy generał odleciał, miał ochotę oddać drugą salwę. Tym razem jednak celem mógł być wyłącznie oficer administracyjny, więc szturchnął tylko palcem powietrze i powiedział:

- Pytasz mnie o różnicę między P-47 a P-51, więc z przyjemnością informuję cię, że thunderbolt miał dwa razy więcej karabinów maszynowych i dwa razy mniej awarii. W mustangach stale zdarzają się przecieki chłodziwa. Ogrzewanie psuje się bez przerwy. Powiem ci też, że był cholernie twardy - mógł oberwać dwa razy poważniej od każdego

znanego mi samolotu i mimo wszystko dowieźć cię do domu na kolację. A jak wpadłeś w kłopoty w walce, nurkowałeś nim szybciej niż cokolwiek, co próbowałoby cię gonić. Wychodziłeś z nurkowania tuż nad ziemią i mogłeś śmiać się z ognia artylerii przeciwlotniczej.

- Nie wyobrażam sobie, by generał spojrzął na tę opinię przychylnym okiem. Został pan przysłany, by nadzorować przebrojenie grupy na P-51.

- Prosił o szczerą, uczciwą opinię.

- Niech pan da spokój, panie pułkowniku. Chyba nie wyobraża pan sobie, że o taką opinię mu chodziło!

- Nie mam zielonego pojęcia, co on chciał usłyszeć, Duke, ale szczerze powiedziałem, co myślę. Thunderbolt to był łatwy samolot z niezniszczalnym podwoziem. Moi piloci ciągle jeszcze uczą się, jak traktować te nerwowe mustangi. - Przystanął, sięgnął przez stół po paczkę tanich cygar i wytrząsnął jedno. - Ale prawdziwa różnica między P-47 i P-51 leży zupełnie gdzie indziej - oznajmił nie kryjąc sarkazmu. - Dopiero generał Bohnen uświadomił mi to, więc wyjmij wreszcie watę z uszu i słuchaj. P-47 kosztował Wuja Sama sto piętnaście tysięcy czterysta trzydzieści cztery dolary, a te P-51 pięćdziesiąt osiem tysięcy pięćset czterdzieści sześć dolarów. Jeśli dopłacisz nędzne niespełna dwa tysiące dolarów, za jednego thunderbolta możesz kupić dwa mustangi.

- Przecież liczą się jeszcze inne koszty: utrzymanie, magazynowanie części zamiennych i...

- Kwatera Główna dysponuje wystarczającą liczbą palców, żeby sobie to wszystko policzyć. Powiedziałem generałowi, że merliny wykańczają się w niespełna dwieście godzin, a on mi na to, że wojna w powietrzu jest coraz bardziej zacięta i nie możemy liczyć na to, że samoloty wytrzymają w polu aż tyle.

- Naprawdę tak powiedział?

W ustach pułkownika stwierdzenie to zabrzmiało niemal frywolnie.

Duke zdjął okulary, podniósł je do światła i bezskutecznie próbował *znaleźć* na nich jakiś nie istniejący pyłek.

- Powiedział jeszcze, że thundersy kosztują za dużo, chłają za dużo i od tego paliwa robią się za ciężkie. Odparłem mu na to: „Panie generale, właśnie opisał pan moją żonę, ale mimo to bardzo ją kocham”.

- A co go obchodzi waga? - Scroll wsadził okulary na nos i zapatrzył się w dowódcę. Poniżej dwustu godzin! Ilu pilotów przeżyje turę, jeśli żywotność ich samolotów ocenia się na dwieście godzin?

- Waga obchodzi Kwaternę Główną. Ten stary sukinsyn próbuje nas stąd wycofać, Duke. Mówi, i ma to czarno na białym w instrukcji producenta... - Pułkownik Dan znów roześmiał się kpiąco - ...że P-51 ma tylko siedemdziesiąt procent wagi T-bolta. Twierdzi, że mustangi nie potrzebują betonowych pasów i że tu można byłoby umieścić bombowce. Planisci z kwatery twierdzą, że poradzimy sobie na trawiastych pasach i do diabła z błotem. Twierdzą, że pogoda będzie lepsza. Taki rozkaz.

Oficer administracyjny zadrzał na myśl, że przyjdzie im przenosić grupę na nowe, jeszcze bardziej prymitywne lotnisko.

- I co pan na to?

- Zaproponowałem mu, żeby sobie obejrzał nieszczęsne kwatery, w których muszą umieszczać oficerów. Uświadomiłem mu, że będzie potrzebował szczepionki i sporej ilości DDT, nim doktor pozwoli mu zbliżyć się w bezpośrednie sąsiedztwo kwater obsługi.

- Czy naprawdę przeniosą grupę?

- Powiedziałem mu: „Niech pan nas przeniesie, panie generale, a będzie pan potrzebował nowego dowódcy”. - Pułkownik roześmiał się i zapalił cygaro, którym do tej pory wymachiwał w powietrzu. - Nie przeniesie nas, Duke. Wysłałem go do domu z trzonkiem gwiazdzistego sztandaru w dupie!

- Czy mógłby pan opisać dokładniej, jak przebiegła ta rozmowa, panie pułkowniku?

- Ha! Powiedziałem mu, że ci złodzieje Brytyjczycy nie położyli właściwych fundamentów pod obwodnicę. Opowiedziałem mu o betonie pękającym pod ciężarem stojącego na nim głupiego mustanga. Powiedziałem o kamieniach, o krzemieniu w pasie, zdzierającym opony na strzępy, choć pompujemy je sporo powyżej ciśnienia przewidzianego przez producenta. Powiedziałem, że jeśli przeniesie grubasy na to lotnisko, to tylko narobi sobie kłopotów. „Niech pan o tym zapomni, panie generale” - poradziłem mu. „Niech pan wraca tam, gdzie lata się biurkiem, a strzela papierami”.

Duke przyjrzał mu się podejrzliwie. Cóż, pułkownik Dan zawsze przesadzał, tym razem jednak musiał się rzeczywiście postawić, bo przecież nie posłali po dane, których generał potrzebowałby, gdyby naprawdę chciał urzeczywistnić swoje zamierzenia.

- Z mojego doświadczenia wynika - powiedział - że generałowie pokroju Bohnena, cywile w mundurach, lubią, by popluć i wypolerować, czują się wtedy ważniejsi. Powinien pan pozwolić mi wysłać po niego gwardię honorową. Dwunastu żołnierzy w białych mundurach, z karabinami...

Pułkownik Dan dmuchnął mu dymem w twarz.

- Masz na myśli pluton egzekucyjny, co?
- Przydałoby się paru przyjaciół w dowództwie.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Nie byłem w West Point jak ty, Tucker i cała reszta. Młodość zmarnowałem w towarzystwie pilotów. Teraz zarządzają zbankrutowanymi liniami lotniczymi albo pracują w fabrykach części samolotowych.

- Nerwowo pomasaował ramię. Złożone nieudolnie po złamaniu w ciężkim wypadku przeszło dziesięć lat temu, czasami nadal go pobolewało. - Te wypierdki z kwatery już dawno przestały być żołnierzami, a pilotami nie były nigdy. Duke, oni walczą z Niemcami za pomocą liczydeł!

- Bo taka jest ta wojna, panie pułkowniku.

Pułkownik Dan uśmiechnął się. Coś podobnego nie mieściło mu się w głowie. Zdjął z oparcia krzesła skórzaną kurtkę i włożył ją, wyglądając przez okno.

- Tylko popatrz na nich obu! - krzyknął. - Jadą pasem na rowerach, w tym upiornym wietrze! Ci gówniarze po prostu nie odczuwają zimna tak jak my wszyscy.

- Starzejemy się, panie pułkowniku. - Duke też wyrzwał przez okno. - To kapitan Farebrother i młody Koenige. - Zazwyczaj identyfikował pilotów, których dowódca nie potrafił rozpoznać.

- Żałuję, że brak mi twojego daru zapamiętywania nazwisk. - Pułkownik Dan obserwował pilotów jadących w kierunku technicznej części lotniska, prawdopodobnie do sali, w której o jedenastej trzydzieści miał się odbyć pokaz filmów z samolotowych kamer. - Co myślisz o młodym Farebrotherze? - spytał.

- Powiedział pan, że wczoraj zestrzelił Niemca.

- Ile razy dzwoniło do nas z kwatery w jego sprawie? Jakie on ma tam wejście? Czy to tylko troskliwy kumpel?

Pułkownik Dan nie próbował nawet zgadywać. Założył na głowę wygniecioną czapkę, zapiął kurtkę i obserwując swe odbicie w stojącej na biurku, oprawionej w szkło fotografii żony i dzieci poprawił węzeł krawata. Za wcześnie jeszcze było, by szykować się na pokaz filmów, więc z pewnością próbował po prostu nawiać zza biurka.

- Idę na pokaz, Duke. Muszę powiedzieć tym chłopcom, że rozwalanie maszyn na lotniskach nieprzyjaciela od dziś liczy się jak zestrzelenie. Ale wcale mi się to nie podoba, Duke. - Poprawił zamek kurtki. - W weekend nie mamy gotowości. Powiedz służbowym, żeby wydali tyle przepustek, ile to tylko możliwe. W tym miesiącu pogoda ma zmienić się na lepsze. Przed nami długie, gorące lato, Duke. Szykujemy się do inwazji.

- Nim pan odejdzie, panie pułkowniku... - Duke wstał i wziął z biurka teczkę, którą tam wcześniej położył. Wiedział, że pułkownik nie

zajrzy do niej sam za skarby świata. - Napisałem listy w pana imieniu. Potrzebny jest tylko podpis.

Pułkownik Dan wiedział oczywiście, co zawiera teczka. Trzy listy adresowane do rodziców pilotów, którzy po misji nad Brunszwikiem zakwalifikowani zostali jako „zaginieni w akcji”. Podpisał je najszybciej jak potrafił. Nie czytając.

17. Victoria Cooper

Tylko dwójka młodych i nieprzytomnie w sobie zakochanych ludzi potrafiła tak beztrudnie znieść podróż pociągiem do Walii. Oboje siedzieli w korytarzu na wielkiej walizce i nie skarżyli się na słabe niebieskie światło, zalecane przez regulaminy zaciemnienia. Tulili się do siebie nie dbając o brak ogrzewania, nie zauważając nawet żołnierzy zajmujących wszystkie przedziały oraz wznoszących się dookoła stosów karabinów i innego sprzętu wojskowego.

Jamie Farebrother i Victoria Cooper byli jedynymi osobami, które wysiadły z pociągu na tej stacji. Stacja - niewiele więcej niż barak postawiony przy torach celem odbioru mleka z okolicznych rozrzucanych na wzgórzach farm - obsługiwana była przez wiedźmę, która nie poświęciła prawie wcale uwagi biletom, za to na pytanie o najbliższą budkę telefoniczną zareagowała z wyraźnie widoczną podejrzliwością. Obejrzała sobie dokładnie płaszcz Jamiego oraz niesioną przez niego wielką skórzaną walizkę, należącą do ojca Victorii, zawierającą dwie zmiany ubrań, mocne buty do spacerów, trzy książki: G.K. Chestertona, „Pożegnanie z bronią” i „Morderstwo na Praed Street”, nowo kupioną przezroczystą koszulkę nocną, drogie przedwojenne mydło, jedwabne kapcie matki i dokładną mapę okolicy.

Victoria z kolei miała przerzuconą przez ramię torbę Jamiego, w którą, między koszulą i bielizną, wsadzili puszkę wędzonej szynki w miodzie, dziesięć paczek papierosów i butelkę bourbona.

- Nie jesteśmy Niemcami! - powiedziała zirytowana nagle dziewczyna.

- Kto to wie, w tych czasach... - odparła wiedźma i poprawiła kołnierzyk. Pozwoliła im jednak skorzystać z telefonu. Zadzwonili do „Evansa, wynajmu samochodów, pogrzebów i wesel”.

Samochodu doczekali się pod dachem szopy załadunkowej. Był to stareńki daimler. Confetti z dawno zapomnianego ślubu nadal zaścielało podłogę i kryło się w zakamarkach skórzanego siedzenia z guziczkami.

Kierowca, drobny człowieczek w eleganckiej czapce z daszkiem i w uroczystym czarnym płaszczu, mówił z akcentem, którego Jamie nie był w stanie zrozumieć. Otworzył im drzwi samochodu, skłonił się, kiedy wchodzili do środka, ale popsuł cały efekt kichnięciem, po którym sięgnął po chusteczkę, ukazując ukryty pod płaszczem brudny sweter z golfem.

W Lower Hill Farm nie zgotowano bynajmniej przybyłym gorącego powitania. Pani Williams, niska muskularna kobieta w czarnym wełnianym szalu, który przytrzymywała pod brodą bladą dłońią, zaprowadziła ich do pokoju. Schody były wąskie i niebezpieczne. Jamie, pragnąc uniknąć zniszczenia tapety na ścianie, zбочzył z kursu i omal z nich nie zleciał.

- Nie pozwalam na picie w domu - oznajmiła natychmiast gospodyni.

Nawet w słabym, chybotliwym świetle mosiężnego kaganka nietrudno było dostrzec, że pokój jest malutki. Wielkie, ozdobne mosiężne łóżko zajmowało większą jego część. Wydawało się śmiesznie wręcz wysokie. Zarzucone było prześcieradłami, materacami, kocami i pierzynami sięgającymi niemal wymyślnego żyrandola. Na haftowanej obficie narzucie leżały pogniecione lniane powłoczki, jakby gospodyni przyniosła bieliznę pościelową w pośpiechu i dopiero wtedy, kiedy usłyszała podjeżdżający samochód.

- Przyniosę wam dzbanek wody - obiecała. - Gorącej wody.

Jamie spojrzął na antyczną toaletkę, wielki ozdobny dzban i pasującą do niego miskę, obok której w porcelanowej mydelnicy leżał złożony ręczniczek do twarzy i maleńki kawałek mydła - racjonowanego mydła. Pod łóżkiem stał nocnik w ten sam wzór niebieskich kwiatów co zestaw na toalecie. Do złudzenia przypominało to fragment muzealnej ekspozycji. Jamie nie miał do tej pory pojęcia, jak prymitywnym krajem może być Anglia. Na myśl o tym, że być może przyjdzie mu użyć nocnika podczas nocy spędzanej z Victorią, wpadł w panikę. Zerknął na dziewczynę; cokolwiek dojrzał w jego twarzy, kazało jej to odwrócić się błyskawicznie, jakby rozpaczliwie próbowała opanować atak śmiechu.

- Dziękuję, pani Williams. - Usłyszał jej głos. - Oboje powinniśmy się umyć. Mielśmy długą podróż. - Victoria obracała na palcu obrączkę. Gospodyni zauważyła to, spojrzała na Jamiego i zmarszczyła brwi.

- Śniadanie o ósmej - powiedziała jeszcze. Jamie zdążył się już przyzwyczaić do jej śpiewnego akcentu. - W kuchni. Schodami w dół i na prawo.

Zaczekali, aż ucichną jej kroki na schodach, nim odważyli się rozpocząć rozmowę. -

- Już prawie północ - zauważyła dziewczyna, jakby tym faktem usprawiedliwiała zdjęcie płaszcza i żakietu.

Jamie nie odpowiedział. Zdjął czapkę, otworzył torbę i łyknął bourbona z butelki. Wyciągnął ją ku Victorii, ale odmówiła gestem.

Zza drzwi rozległ się nagle głos:

- Przyniosłam wodę.

- Dziękuję, pani Williams. Dobranoc. - Powiedziawszy to, szturchnęła Jamiego.

- Ach... tak... Dobranoc, pani Williams - powtórzył posłusznie.

Kompletne fiasko! - pomyślała Victoria. Opadły ją wątpliwości. Co ona tu robi - na walijskiej wsi, o północy, w towarzystwie mężczyzny, który jest jej przecież zupełnie obcy, z cudzą obrączką na palcu, skrepowana nieprzeparą potrzebą pójścia do toalety?

Otworzyła wielką walizkę i zaczęła układać koszule i gatki Jamiego w szufladach szafy wraz z własną odzieżą. Deszcz rozpadał się na dobre, walił w zamknięte okiennice, bulgotał w rynnach i z pluskiem spadał na ziemię. Gdzieś z dołu wielkiego wiejskiego domu dobiegał odgłos szczotki o sztywnym włosiu przesuwanej energicznie po kamiennej podłodze. Prawdopodobnie woda wdziera się do domu - pomyślała, ale zachowała tę myśl dla siebie.

Jamie tymczasem podszedł do pustego kominka. Bardzo uważnie przyjrzał się zakurzonemu kawałkowi karbowanego różowego papieru, dekorującego otwór paleniska. Dotknął ściany sprawdzając, czy z dołu nie leci przypadkiem przez przewód kominowy ciepłe powietrze. Ściana była zimna, a tapeta zatrzeszczała mu pod palcami, bo niechcący odebrał kawałek tynku.

- Zmarzełeś, Jamie, skarbie?

- Kochanie, w życiu nie byłem taki przemarznięty i przemoczony. - Zadrzał. - Już zapomniałem, jak czuje się człowiek, kiedy jest mu ciepło i wygodnie.

Milczała. W jego głosie usłyszała tęsknotę za domem, tęsknotę, wobec której słowa są bezradne.

- Jest sobotnia noc - powiedział nagle. - W Kalifornii to właściwie jeszcze wieczór. Promy do Cataliny pełne są licealistów i ich dziewcząt. Kiedy wychylasz się przez burtę, widzisz na pięćdziesiąt stóp w głąb wody, widzisz ryby i dno morza. Dziś gra na pewno jakaś słynna orkiestra. Być może jest pełnia, i chłopcy wychodzą na taras sali balowej Avalon, obejmując swe dziewczyny. Powietrze jest ciepłe, świeci milion gwiazd, a księżyc odbija się w wodach zatoki.

- Opiszujesz raj.

- Kalifornia bije na głowę tę część Anglii, kochanie.

- Przejechaliśmy granicę. Jesteśmy w Walii.

- Posłuchaj tylko tego deszczu!

Jamie usiadł na krześle. Nadal miał na sobie zapięty pod szyję płaszcz z grubą wełnianą podpinką. Rozejrzał się po pokoju.

- Pamiętam podobne miejsce - powiedział nagle. - Dwa pokoje bez ogrzewania i meble tak gigantyczne, że szafę trzeba było otwierać z przedpokoju. Moja biedna, stara niania dożyła tam swoich dni. Kochałem ją. Znaczyła dla mnie więcej niż matka. - Victoria milczała; nie mógł przecież do niej, raczej do siebie. - To do niej biegliśmy z siostrą, kiedy mieliśmy jakiś kłopot, kiedy skaleczyliśmy się w kolano, kiedy chcieliśmy opowiedzieć nowy żart albo po prostu marzyliśmy, żeby nas ktoś przytulił. Niania zawsze była na miejscu, zawsze gotowa pomóc. Kiedy wyjechałem do szkoły, bardzo za nią tęskniłem.

- Ona też musiała za tobą tęsknić.

- Mój wyjazd chyba złamał jej serce. Pamiętam, jak płakała. Nigdy przedtem nie widziałem jej płaczącej... Nigdy przedtem nie widziałem w ogóle płaczącego dorosłego. Nie wiedziałem nawet, że dorośli również płaczą. „Co się stało, nianiu?” spytałem, a ona powiedziała, że płacze, bo jest niezmiernie szczęśliwa, że widzi mnie w szkolnym mundurku.

Umilkł. Cisza przedłużała się. Victoria spytała wreszcie:

- I co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że to przecież nie powód do płaczu. Powiedziałem, że tam, gdzie jadę, mają basen z trampoliną i że kiedy tata zabrał mnie, bym sobie wszystko obejrzał, w pracowni fizycznej widziałem mikroskop.

- Przecież byłeś dzieckiem, Jamie...

- Przed Bożym Narodzeniem, nic nie mówiąc rodzicom, pojechałem autobusem z tego domku na plaży, który ojciec wynajął na Long Island Sound, do Hartford w Connecticut. Znalazłem ją w zrujnowanym domu, śmierdzącym wygotowywaną bielizną i kocimi sikami. Byłem schludnym dzieckiem i nie chciałem usiąść na kanapie, bo cała pokryta była kocią sierścią. Niania miała wielkie rude kocisko, które przytulała ze słowami: „To mój mały chłopiec teraz, kiedy już cię nie mam, Jamie”. Obiecałem, że znów ją odwiedzę, ale nie zrobiłem tego. Potem dowiedziałem się od ojca, że umarła i zostawiła mi pamiętnik z wierszami -

sama przepisywała je drobnym, czytelnym charakterem pisma - cytataми z dziecinnych książeczek, które razem czytaliśmy, i z przepisem na keks.

Za oknem wyl wiatr. Jamie wstał, wypil jeszcze troche whisky wprost z butelki. Victoria obserwowala go w milczeniu.

- Nigdy nie dostalem tej pamiatki - zakonczył. - Ojciec ja spalil. Bal sie zarazkow... Nienawidzi wprost zarazkow. - Oblizal wargi, smakujac pozostaly na nich alkohol. - Jezu, wiatr zaraz chyba zerwie dach z tego domu!

- Przepraszam, Jamie. Nie powinnam cię tu przywozić.

- Nie wiesz przypadkiem, skąd zacząć poszukiwania łazienki? - Wyjął z torby jedną z tych dziwnych kanciastych latarek wojskowych i sprawdzil, czy dziala.

- W takich starych domach nie ma łazienek. Prawdopodobnie raz na tydzien stawiaja cynowa misę w poblizu ognia, a wode grzeja na kuchni.

- Przeciez wiesz, o czym mowie - powiedzial niecierpliwie.

Victoria szybko narzucila na ramiona plaszcz, wziala latarke i zesla na dol poszukać pani Williams. Wszystkie swe nadzieje i marzenia laczyla z tym wyjazdem. Byla pewna, ze spędzi szczęśliwy, rozkoszny weekend; znalazla nawet silę na pogodzenie sie z cierpieniem, które sprowadzila na rodziców. Teraz jej pewność topnila powoli wraz ze wzrastajacym przekonaniem, ze Jamie Farebrother nie odczuwal zadnej rozkoszy. Dla niego prawdopodobnie tego rodzaju eskapady byly zwyczajowe, a te zapamięta wyłacznie z powodu prymitywnych warunków oraz niewygody zarowno podróży, jak i w mieszkaniu. Czy stanie sie przedmiotem żartów w klubie oficerskim?

Zastanawiala sie nad tym, wędrujac po ogrodzie w poszukiwaniu toalety. Przepisnela sie między poskręcanymi od wiatru krzaczkami i nagle tuż nad uchem uslyszala pohukiwanie sowy. Przestraszyla sie. Zaświecila latarke i przez padajace ukośnie pasma deszczu dostrzegla zrujnowany wychodek.

Nim wróciła do pokoju, była przemoczona do suchej nitki. Wygladala doprawdy fatalnie.

- Znalazlas?

Mężczyźni są takimi egoistami! - pomyślała. Nie usłyszała od niego ani słowa współczucia czy sympatii.

- Stoi w dżungli - oznajmiła. - Trzeba iść ścieżką od kuchni. Szukaj po lewej, jakieś dwadzieścia metrów od domu, może trochę dalej. Będziesz potrzebował latarki. - Zabrał jej latarkę i jakby mimochodem przelotnie pocałował w policzek. - Uważaj na węże - ostrzegła go. Jamie chrząknął, dając znać, że docenił żart, i zszedł na dół.

Kiedy wrócił, leżała już w łóżku. Słyszała, jak myje się w wielkiej miednicy, dostrzegła go nawet stojącego przy niej, rozebranego do pasa. Ciało nadal miał brązowe od kalifornijskiego słońca.

Pościel była lodowata. Jamie westchnął, wsuwając się do łóżka. Objęli się i przytulili niezbyt ochoczo. Chłód, zmęczenie i rozczarowanie nie sprzyjają fizycznej miłości.

Przy śniadaniu po raz pierwszy mieli okazję obejrzeć okolicę. Zaraz za domem wznosiły się wzgórza o stromych zboczach zasłanych wielkimi głazami. Na tle jaskrawej zieleni trawy nagie skały rysowały się wyjątkowo wyraźnie, lecz tylko niżej, szczyty bowiem przysłaniał welon mgły.

Pani Williams znikła, zastawiwszy do śniadania nagi stół, na którym leżał mały bochenek świeżo upieczonego chleba, dwa jajka koło niewielkiego garnuszka, odrobinę domowego masła i pół słoika dżemu z jagód.

- Co za ucztą! - powiedziała Victoria.

- Rzeczywiście, ucztą - przytaknął Jamie, wiedząc już co nieco o brytyjskich wojennych racjach żywnościowych.

Dziewczyna załała jajka wrzątkiem, postawiła rondel na kuchni i nastawiła wodę.

- Gospodyni nam ufa - oznajmiła. - Zostawiła na wierzchu chyba miesięczną rację herbaty.

- Prawdopodobnie rządzi miejscowym czarnym rynkiem. Stodołę wypełnioną ma pewnie szampanem i kawiozem.

- Cicho, głuptasie. - Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt nie dosłyszał tej uwagi. Śmiała się.

- Przepraszam. Wczoraj wieczorem byłem w kiepskim humorze. Bardzo mi przykro.

Posłała mu całusa, jakby nie całkiem rozumiała jego słowa.

- Jakie jajka lubisz, chłopcze?

Jamie zerknął na nią; na ogół nie nazywała go chłopcem.

- Jakie wyjdą. - Wyciągnął ramiona, by ją objąć, ale Victoria wysunęła się zgrabnie z jego uścisku.

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie.

- Druga taka okazja może się nie trafić - ostrzegł.

- Wykupię ubezpieczenie.

- Wykupię ubezpieczenie! - Jamie skrzywił się w udanym przerażeniu. - Za dużo czasu spędza pani w towarzystwie tych okropnych jankesów!

- Jednego jankesa - sprostowała, podchodząc od tyłu i głaszcząc jego krótko przycięte włosy. Odwrócił się i objął ją mocno.

- Kocham cię, Vicky - powiedział.

- Kocham cię - odparła szeptem. - Kocham cię, kocham cię, kocham.

Pocałował ją. Trwali w uścisku, kiedy nagle wiejską ciszę przerwał ryk samolotowych silników. Trzy dwusilnikowe mosquito przeleciały wzdłuż doliny, tak nisko nad domem i z takim hałasem, że zadrżały naczynia w kredensie.

- Boże, ale nisko - westchnęła Victoria.

- Jakies pięćdziesiąt mil na północ stąd jest poligon bombowy - wyjaśnił Jamie. - Może ćwiczą przed misją wymagającą szczególnej precyzji?

- Nawet tutaj nie sposób uciec od wojny.

- Wojna szybko się skończy.

- Powtarzamy to sobie każdego dnia od 1939 roku. Teraz jest rok 1944 i jakoś już trudno w to uwierzyć.

- Jak tam jajka? - spytał, żeby zmienić temat.

Spojrzała na zegarek.

- Już prawie gotowe.

Wyjęła je z wody i włożyła do kieliszków. Przez kilka minut jedli w ciszy.

- Vera po prostu nie może przestać mówić o twoim przyjacielu, Myszcze Mickey. Strasznie często się widują - powiedziała w końcu.

- Miłość od pierwszego wejrzenia - stwierdził żartobliwie Jamie. Przez chwilę przyglądał się jej, po czym zdecydował się na dalsze zwieryszania.

- MM zaczął nawet mówić o ślubie.

- Nie z Verą! - krzyknęła, zaskoczona.

Spojrzał uważnie, nie rozumiejąc, co ją tak poruszyło.

- Pewnie, że z Verą. O kim w końcu mówimy, jeśli nie o niej i o Myszcze?

- Ma męża.

- Tak twierdzi Vince.

- Jest żoną wspaniałego człowieka, Rega Hardcastle, lokaja księcia. Prawie wszyscy w Cambridge znają Rega. Walczy w Birmie, całą pierś ma w medalach!

- Nie złość się na mnie, kochanie. - Jamie podniósł dłoń w błagalnym geście. - Nie wiedziałem, że jest mężatką. I założę się o miesięczny żołd przeciw guzikowi ze starych gatek, że nie przyznała się Myszcze.

- Vera lubi się bawić. Wierzy przy tym, że wojna będzie trwała, aż ona skończy pięćdziesiątkę. - Victoria roześmiała się drwiąco, lecz śmiech nie zabrzmiał wesoło. - Musi się dobrze bawić.

- Z Myszką?

- Z Vince'em, z Myszką, z każdym, kto nie bierze dobrej zabawy serio.

- Ale on ją bierze serio. Nawet robi plany. Strasznie wpadł.

- To lepiej z nim pogadaj, Jamie. Vera nigdy nie rozwiedzie się z Regiem. Sama mi to mówiła, i to wiele razy.

- Jest katoliczką?

- Nic nie wiem o jej wyznaniu, ale należy do kobiet, które wychodzą za mąż raz i na zawsze. To, co może zrobić lub powiedzieć Reg... i to, kogo spotka ona... nie stanowi żadnej różnicy. Vera jest panią Hardcastle i panią Hardcastle pozostanie, póki jej śmierć nie rozłączy z Regiem. Niektóre kobiety takie już są.

Jamie wziął długi metalowy widelec i przypiekl sobie grzankę nad otwartym paleniskiem, zastanawiając się, jaki efekt wywrze na przyjacielu ta wiadomość.

- Przykro mi... - powiedziała Victoria. - Z powodu Very i Myszki. Może nie powinnam była ci mówić?...

Jamie potrzęsnał głową.

- On źle to przyjmie - westchnął. - A kto się nie najlepiej czuje, ten i nie najlepiej lata.

- Przecież MM nie sprawia wrażenia mężczyzny zdolnego brać Verę na serio.

- Większość tych dzieciaków niczego nie widziała i niczego nigdy nie zrobiła samodzielnie. Lubią powtarzać wszystkim, jak to rozrabiali i jakie wszczynali burdy, ale przecież są tylko chłopcami z małych miasteczek, w których dwóch pijanych kierowców to już jest fala przestępczości.

- MM też pochodzi z takiego miasteczka?

- Wychował się na stacji benzynowej w Arizonie, całe mile od najbliższego miasteczka. Robi wokół siebie mnóstwo hałasu... tylko po to, by pokryć nim nieśmiałość.

- Vera traktuje go jak małego chłopca.

- Jego matka umarła dawno temu. Nigdy zresztą nie miał prawdziwego domu. Myślę, że właśnie teraz szuka domu.

- Biedny Myszka... i biedna Vera... nie mają szansy, prawda?

- Kto wie?

- Polubiłam go, kiedy więcej się o nim dowiedziałam.

- Całe to jego gadanie o „rozmyciu w zbliżeniu” to tylko maskowanie nieśmiałości. Kiedy się zajrzy za tę maskę, widzi się prawdziwego człowieka.

- A jaki jest ten prawdziwy człowiek?

- Ma stalowe nerwy, nie boi się mówić, co myśli, i jest absolutnie lojalny w stosunku do przyjaciół.

- Wymieniłeś bardzo męskie cechy, Jamie.

- Nie wpędzi Very w ciężę tylko po to, żeby ją później zostawić, jeśli się martwisz.

- Nie powiedziałam, że się martwię.

Skończyli jeść. Przed spacerem Vera umyła naczynia.

Powietrze było zimne, a sądząc z tego, pod jakim kątem wyrastały z ziemi drzewa, huraganowy wiatr w dolinie nie wiał mocniej niż zwykle. Szarpał płaszczami, plątał długie włosy dziewczyny, świstał w drutach telefonicznych i wyl w gałęziach drzew.

W zielonym tweedowym kostiumie, perłach i butach na płaskim obcasie Victoria wyglądała jak typowa Angielka. Włosy opadły jej na oczy, kiedy jak dzieci biegli na szczyt wzgórza, widocznego zaraz za farmą. Jamie z trudem zdołał wygrać wyścig do zielonego głazu o dziwnym kształcie, będącego, jak głosiła legenda, jedyną pozostałością wielkiego średniowiecznego opactwa. Oparł się o ów zabytek i żartował sobie z Victorią, ale w jego uścisku nie było nic żartobliwego.

- Puść mnie, głuptasie. Widać nas na pięćdziesiąt mil w każdym kierunku - powiedziała, ale nie próbowała wyrwać się z jego objęć.

W dole widzieli stację kolejową, farmę i wąską wiejską dróżkę, prowadzącą do szosy na Shrewsbury.

Schodzili długim krokiem po stromym zboczu, kiedy na dróźnie dostrzegli posuwającą się powoli i ostrożnie ciężarówkę z długą przyczepą. Na przyczepie tej „Queen Mary” znajdował się kadłub i skrzydła mocno uszkodzonego samolotu ze zmiążdżonym nosem i strzaskaną owiewką. Jedno ze skrzydeł pękło; wylewały się z niego wnętrzości kolorowych kabli oraz rozerwanych przewodów hydraulicznych i paliwowych.

- Mosquito - powiedział Jamie, chwytając ją za rękę.

Podeszli bliżej. Przyglądali się, jak dwaj żołnierze RAF cal po calu pilotują samochód między dwoma granitowymi głazami. - Ale nie jeden z tych, które widzieliśmy wczoraj. To szkolna maszyna RAF; spędziła parę dni pod gołym niebem - tłumaczył szybko.

Jego wyjaśnienia niczego jednak nie zmieniły. Na oboje padł już cień rzucony przez rozbity samolot.

Pub w wiosce był zamknięty; w oknie wisiała kartka z informacją „piwa brak”. Nie mieli gdzie zjeść i w końcu głodni wracali na farmę.

- Bardzo oberwiesz, kiedy wrócisz do domu? - spytał nieoczekiwanie Jamie.

- Oberwę?

- Czy rodzice będą się na ciebie gniewać?

- Nie wiem - odpowiedziała sztywno Victoria. - Nigdy przedtem nie byłam w takiej sytuacji.

- No... oczywiście.

Roześmiała się z jego zażenowania.

- Nie jestem już dzieckiem, Jamie.

- Ja też nie, ale szkoda, że nikt nie potrafi wyjaśnić tego ojcu.

- Chcesz, żebym spróbowała?

- A jak byś zaczęła?

- Zdradziłabym mu kilka interesujących szczegółów na temat twego zachowania w łóżku.

- Dobra, słuchaj...

- Zarumieniłeś się, Jamie. Mam wrażenie, że naprawdę się zarumieniłeś!

Czyż mężczyźni nie są istotami zdumiewającymi? - pomyślała. Nawet najbardziej zakamieniały casanova czuje się skrępowany otwartym napomknięciem o jego życiu seksualnym. Zauważyła to już w pracy.

- Tata będzie udawał skrzywdzonego, mama się obrazi, ale w końcu przyzwyczają się jakoś do myśli, że mam własne życie - powiedziała z namysłem.

- Byłoby mi cholernie przykro, gdybym stał się przyczyną domowych niesnasek. Jesteście taką szczęśliwą rodziną.

- Nasza rodzina wydaje ci się szczęśliwa? To miłe. Nie jesteśmy jednak szczęśliwą rodziną. Kiedyś, dawno temu, z pewnością byliśmy nią, ale teraz rodzina to tylko trzy osoby mieszkające pod jednym dachem.

Jamie odczuł ból, który zabrzmiał w głosie Victorii.

- Jeśli wolałabyś o tym nie mówić...

- Miałam ojca, jakiego można sobie tylko wymarzyć. Opowiadał mi bajki, robił zabawki... Wielki dom dla lalek z garderobą dla pani domu i pełną ksiązek biblioteką dla pana... A mama zawsze była w pobliżu, kiedy chciałam się czymś pochwalić albo wypłakać w jej ramionach.

- I co się stało?

- Ano właśnie, co się stało? Teraz tata cały czas spędza w pracy, a mama siedzi przy radiu, słuchając „Mojego miasteczka”

- Co to za słuchowisko?

Spojrzała mu wprost w oczy, żalując, że zadał to pytanie.

- Niemiecka propaganda radiowa. Jej sygnałem jest piosenka „Moje miasteczko”.

Jamie przyjął tę rewelację milczeniem. Przez kilka minut szli nie rozmawiając.

- Brat był znacznie ode mnie młodszy...

- Nie wiedziałem, że masz brata.

- Chłopcom trudno pogodzić się ze starszymi siostrami. Starsza siostra przytłacza ich... Są pewni, że muszą coś udowodnić.

- A ty byłaś bardzo inteligentna.

- W szkole dostawałam dobre stopnie i nieźle radziłam sobie na uniwersytecie... Tak, to jeszcze pogorszyło sytuację.

- Gdzie jest teraz twój brat?

- Nick bardzo pragnął zaimponować nam wszystkim. Był niemal dzieckiem, kiedy zaciągnął się do marynarki handlowej. We wrześnie jego okręt został storpedowany gdzieś u wybrzeży Afryki. Nikt z załogi

nie ocalał. Oficer marynarki, który jest członkiem klubu mojego ojca, widział, jak okręt stanął w płomieniach. Ojciec nawet o tym nie wspominał, ale podsłuchałam jego rozmowę telefoniczną z tym człowiekiem. Potem w redakcyjnym archiwum znalazłam więcej informacji.

- A teraz twoja matka słucha niemieckiego radia...

- Odczytują tam listy jeńców wojennych, Jamie. Boże, jakież to potworne! Ci niemieccy spikerzy muszą być sadystami. Wiedzą, że matki i dziewczyny będą słuchały nazwisk, będą słuchać i mieć nadzieję. Czasami dotrzymywałam matce towarzystwa, ale nie mogłam znieść wyrazu jej twarzy.

- Bardzo mi przykro, kochanie. Nie miałem pojęcia...

- W ogóle o nim nie rozmawiamy. Zachowujemy się tak, jakby Nicka nigdy nie było. Pewnego dnia ojciec poszedł na górę. Wyniósł tam wszystkie jego ubrania, zabawki i sprzęt sportowy. Potem zamknął drzwi na klucz, żeby matka nie mogła tam chodzić i rozdrapywać ran.

- Okropna ta wojna - powiedział Jamie, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak straszliwie banalnie brzmią te słowa.

- Po tym wszystkim matka zwróciła się przeciwko mnie. Czasami widzę, jak na mnie patrzy, i wiem, że wołałaby, żeby to Nick przeżył...

- Nie, nie, nie! To tylko głupie myśli, kochanie. - Objął ją mocno.

- Faworyzowała Nicka, ale ja też go kochałam. Wszyscy go kochaliśmy, był wspaniałym chłopcem.

- Wiem.

- Zginął będąc jeszcze dzieckiem.

- Wiem, kochanie.

Szli objęci. Victoria próbowała powstrzymać łzy. Żeby rozproszyć jakoś jej smutek, zaczął opowiadać o Franku Sinatrze, byłym wokaliście orkiestry Tommy'ego Dorsey'a, który stawał się równie popularny w Wielkiej Brytanii co w Ameryce.

- Mam siostrę w New Jersey - mówił. - Napisała mi, że była na jego koncercie w Paramount Theater w Nowym Jorku. Twierdzi, że publiczność zachowywała się jak szalona - przede wszystkim nastolatki - i że

bardziej przypominało to rozruchy uliczne niż koncert.

- W gazetach piszą, że w zeszłym roku zarobił milion dolarów.
- Jesteś wystarczająco mądra, by nie wierzyć we wszystko, co piszą

w gazetach.

Victoria uśmiechnęła się.

- W każdym razie ja najbardziej lubię Binga Crosby - powiedziała.

Szli ramię przy ramieniu wiejską drogą, a potem skręcili w wyłożoną kamieniami ścieżkę, opatrzoną napisem „Lower Hill Farm (Williams)”. Jamie otworzył bramę i przepuścił dziewczynę przed sobą. Po miękkiej trawie szło im się przyjemniej. Victoria potknęła się, więc objął ją. Nic się jej nie stało, ale mimo to nie mogła oprzeć się pokusie udawania, że kuśtyka tylko po to, żeby wciąż ją obejmował.

- Dziwne dowiedzieć się o kimś tylu nowych rzeczy, kiedy miało się wrażenie, że wie się o nim wszystko.

Zrozumiała, że Jamie mówi o swym ojcu.

- Bardzo się z tego cieszę - powiedziała.
- Matka nigdy mnie nie okłamywała... Nie o to chodziło.

Ale widziałem go j e j oczami.

W odpowiedzi Victoria dotknęła jego dłoni.

- Kiedyś go nienawidziłem, naprawdę nienawidziłem.
- A teraz?
- Chyba po prostu mi go żal.
- Przecież twój ojciec jest wspaniały. Taki zabawny...

Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś, kto znałby tyle anegdotek. I wprost cię uwielbia. Wybaczylabym mu wszystko tylko dlatego, że cię kocha.

- Kiedy przerwałem studia prawnicze, był bardzo rozczarowany, ale nie byłbym dobrym prawnikiem.

- Przecież zdajesz sobie chyba sprawę, że jest znacznie bardziej dumny z syna lotnika, niż byłby kiedykolwiek dumny z syna adwokata.

- Naprawdę tak myślisz?
- Och, Jamie!

Jacy ci mężczyźni są tępi! Nie pojmą niczego, co nie zostanie wyraźnie powiedziane, a bezkrytycznie wierzą wszystkiemu, co usłyszą.

- Pamiętam, jak raz na Boże Narodzenie sąsiad dał mi wielki magiczny zestaw. Ćwiczyłem cały dzień, a potem pokazałem wszystkie sztuczki kolegom, których zaprosiłem na zabawę, ale na zakończenie ojciec wyjął zestaw i wyjaśnił, jak się te sztuczki robi. Byłem wściekły. Nigdy mu tego nie wybaczyłem.

Roześmiała się. Śmiał się wraz z nią, ale wspomnienie nadal go paliło.

- Zawsze musiał rządzić. Musiał kontrolować sytuację.

- Nie złość się na niego, dobrze?

Chociaż się nie zatrzymali, zdołał ucałować jej włosy.

- Złoszczę się, a potem mam cholerne wyrzuty sumienia, że się na niego rozzłościłem. I tak źle, i tak niedobrze.

- Dlaczego ci go żal?

- Jest samotny, a ludzie samotni nigdy nie są szczęśliwi. Cóż takiego on właściwie ma? Kumpli, klub, udziały i akcje, i gwiazdkę na ramieniu. Niczego nie chce i niczego nie ma.

- Chce ciebie - powiedziała, nie czując wcale, by musiała konkurować z ojcem Jamiego.

- Ale ja nie chcę jego. Nie mam zamiaru zmarnować sobie życia prosząc go o zgodę na wszystko, co mam zamiar zrobić.

Nie było wielkim wyzwaniem dla jej kobiecej intuicji odróżnienie, kiedy mężczyzna mówi szczerą prawdę, a kiedy mówi coś, co szczerą prawdą z pewnością nie jest. Jamie Farebrother czuł płynącą z głębi serca potrzebę sprawienia ojcu przyjemności. Przyjęła ten fakt do wiadomości, zastanawiając się tylko, czy będzie miało to jakiś wpływ na ich wzajemne stosunki, ale nie zaprzeczyła słowom Jamiego.

- Kocham cię - powiedziała tylko.

Koronkowa firanka w oknie domu poruszyła się. Oczywiście pani Williams obserwowała, jak jej goście obejmują się idąc łąką. Pani Williams z pewnością nie należała do kobiet pochwalających jawne

okazywanie uczuć, lecz czemuż się tym przejmować? Victoria jest przecież młoda i zakochana z wzajemnością.

- Bardzo byś się przeląkł, gdybym zaszła w ciążę?

Jamie stanął i obrócił ją tak, by móc patrzeć jej w oczy.

- Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo - zapowiedział. - Czy?...

Potrząsnęła głową. Za wcześnie jeszcze, by mieć pewność.

18. Porucznik Stefan „Kat” Madjicka

Klub Oficerski
280. Dywizjonu Bombowego
Coudrey Green
Norfolk, Anglia

Szanowny Panie Kapitanie!

Powinienem napisać do Pana wcześniej z podziękowaniem za do-
prawdy wspaniały wieczór i znakomitą kolację. Zachował się Pan bardzo
miło, pozwalając mi uczestniczyć w spotkaniu starych przyjaciół. Po-
znanie Vicky i jej rodziny było dla mnie prawdziwą przyjemnością.

Obawiam się, że nie najlepiej piszę tego rodzaju listy, ale ponieważ
powiedziałem Panu tamtego wieczora, co powiedziałem, uważam, że do
mnie należy poinformowanie Pana, że kapitan Stigg nie żyje. Pomyśla-
łem sobie także, że może przyjmie Pan tę informację lepiej, jeśli to ja ją
Panu przekażę.

Pomyliliśmy się, sądząc, że przed przepustką nie będziemy już mieli
żadnego lotu. Naszą maszynę nadal reperowano, ale grupa wyznaczona
została do jednego z tych łatwych nalotów na wyrzutnie rakietowe w Pas
de Calais i wszystkie zdekompletowane załogi przydzielono do nowych
maszyn, żeby osiągnąć pełny stan osobowy.

Byliśmy więc dość przypadkową załogą. Strzelcy przeniesieni z uzu-
pełnień, nawigator tuż po pobycie w szpitalu, radiowiec, który miał dwa
loty mniej niż jego załoga macierzysta i chciał ją dogonić, oraz mecha-
nik, który nie mógł się dogadać z poprzednim pilotem. Wraz z maszyną

dostaliśmy tylnego strzelca i bombardiera; ich załoga odbyła już całą turę i wróciła do domu. Samolot nazywał się „Little Yellow Bird”, więc zapytałem tego strzelca, czy jego załoga wiedziała, że piosenka ma tytuł „Goodbye Little Yellow Bird”, a on powiedział mi tak:

- Jasne. Reszta już się z nim pożegnała.

Chyba powinienem trzymać gębę na kłódkę.

W każdym razie nie mieliśmy większych obaw co do tego, jak się do-
trzymamy. Nawet dzieciaki z uzupełnień wiedziały, że taki lot to kaszka z
mlekiem i cieszyły się, że go sobie zaliczą.

Poszliśmy do maszyny wcześniej, żeby ją sobie obejrzyć, bo przecież
nigdy przedtem nią nie lecieliśmy. Usiedliśmy w kokpicie, ja odczyty-
wałem listę startową, a Charlie wszystko sprawdzał. Wtedy powiedzia-
łem mu:

- Charlie, dziś ty będziesz pilotem. Prawdziwym pilotem.

Spojrzał na mnie i uśmiechnął się po swojemu.

- Jak mam to rozumieć, Kacie? - spytał.

Wtedy omal się nie wycofałem. Pomyślałem, że może też się
uśmiechnę i obrócę wszystko w żart, ale zebrałem się do kupy.

- Jesteś kapitanem tego statku - powiedziałem. - Zapnij więc pasy i
zostań nim przez cały lot, Charlie. Nie musisz chodzić na tył, zaglądać
do strzelca i tak dalej.

Nic nie odpowiedział. Sprawdzał te wszystkie zegary, ale widziałem,
jak oblizuje wargi, więc wiedziałem, że coś do niego dotarło.

- Czy rozmawiałeś o mnie z Jamiem tego wieczora, kiedy wróciłeś
na górę? - spytał.

- Nie, panie kapitanie. - Czułem, że muszę skłamać na ten temat;
nie widziałem sposobu, żeby to inaczej rozegrać.

Nie wydawał się zły, był spokojny, jak zawsze przed misją. Kiedy
widziało go się przy procedurze przedstartowej, można byłoby pomy-
śleć, że Charlie Stigg nie zna uczucia strachu. Nie zaciskał dłoni, twarz
nawet mu nie drgnęła, żadnych oznak lęku.

- Powiedziałeś Jamiemu - stwierdził, jakby przekonany był o tym. - Naprawdę żałuję, żeś mu powiedział, Kacie, stary przyjacielu.

- Dziś mamy kaszkę z mlekiem, Charlie. Opanuj się. To wcale nie takie trudne. Jak wpadniemy w gówno, po prostu zamknij oczy. Ja zawsze tak robię.

Spróbował się uśmiechnąć.

- Nie utrzymasz szyku z zamkniętymi oczami. Wiem, bo próbowałem. - Twarz miał bardzo bladą.

- Dzisiaj ty pilotujesz. Sam. Kiedy przekroczymy linię brzegu, zdejmuję dłonie ze sterów. Jak trzeba będzie coś sprawdzić, sprawdzę.

- Załatwione, Kacie - on na to. Naprawdę wyglądał, jakby był w świetnej formie. Myślałem, że uporał się ze swoim problemem i że mu w tym pomogłem. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że martwił się tylko tym, co mogłem Panu powiedzieć na jego temat.

Nadal mieliśmy mnóstwo czasu, więc ponieważ załoga była nowa, pomyślałem, że może powinniśmy się lepiej poznać. Chciałem też wbić im do głowy, że informacji o nieprzyjacielskich myśliwcach mają udzielać regulaminowo i nie gadać niepotrzebnie przez interkom. Kiedy już to sobie ustaliliśmy, Charlie powiedział załodze, że to łatwy lot, że nad terytorium przeciwnika będziemy tylko przez kilka minut - podczas bombardowania celów na wybrzeżu. Poprosił bombardiera o potwierdzenie informacji, bombardier potwierdził i wszystkim zrobiło się dość wesoło.

Spojrzałem na zegarek. Powiedziałem ludziom, że mają dwanaście minut do „włączyć silniki”. Na ogół przed lotem lubią mieć parę chwil dla siebie. Zauważyłem, że odchodzą na bok, żeby być sami. Myślę, że niektórzy się modlą, a inni może nawet popijają z piersiówek! Niektórzy sikają, niektórzy poprawiają amulet na czapce albo po raz ostatni sprawdzają spadochrony. Wszyscy właściwie przyzwyczailiśmy się do myśli, że będziemy lecieć równo i prosto, podczas gdy Niemcy walą w nas różnym śmiercionośnym żelastwem, a proszę mi wierzyć, kapitanie, że

niełatwo przyzwyczać się do tej myśli.

Nie widziałem Charliego, ale wcale się tym nie przejąłem. Kiedy na tablicy pojawia się „włączyć silniki”, nadal mamy jeszcze z dziesięć minut do kołowania. Obok stanowiska jest kilka karłowatych drzewek, gdzie załoga może się spokojnie wysikać.

Najwyraźniej nikt nie usłyszał strzału.

Nawigator znalazł Charliego z rewolwerem w dłoni.

Leżał z głową w wykopie. Wsadził sobie lufę w usta, ale w aktach zapiszą „śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku”, i tak już zostanie. Jak Panu mówiłem, Porky jest dowódcą grupy, jakiego można sobie wymarzyć. Wskoczył pędem z dżipa i wygłosił nam kazanie o tym, jak ostrożnie trzeba się obchodzić z bronią krótką.

- Za wiele głupiej zabawy z tymi coltami! - powiedział. - Następny złapany na strzelaniu do zajęcy pójdzie pod sąd wojenny.

Boże, sam niemal uwierzyłem, że to był w y p a d e k .

Porky wziął zaraz spadochron Charliego i usiadł na lewym fotelu, żeby odbyć z nami lot. Nie miał podgrzewanego kombinezonu, nie miał kamizelki kuloodpornej, nic, tylko mundur galowy. Co za człowiek!

Jak na ironię, okazało się, że był to rzeczywiście łatwy lot. Kilka wystrzałów artyleryjskich całe mile po prawej i żadnych myśliwców. Dzwoniłem od razu, żeby mógł Pan zdążyć na pogrzeb Charliego, ale miał Pan wtedy przepustkę i nikt nie wiedział, gdzie Pan jest, nawet rodzina Victorii.

Mam szczerą nadzieję, że nie chlapanąłem im czegoś niepotrzebnie. W każdym razie Charlie miał prawdziwie wojskowy pogrzeb. Porky odczytał modlitwę:

Dusze prawych są w ręku Boga

I już nigdy nie będą cierpieć

W oczach głupców umarły

Ich odejście wywołuje żal

*I czują się nieszczęśliwi
Lecz dusze prawych spoczywają w pokoju.*

Trochę osobistych drobiazgów Charliego zatrzymałem z myślą o Panu. Wiem, że chciałby Pan je mieć. Wiele mówił o Panu i o tym, jak wspaniale się bawiliście, a zabrakło mu czasu, żeby nawiązać tu nowe przyjaźnie. Otrzyma Pan paczkę w najbliższych dniach. Nie chciałem, żeby otwierał ją Pan nic nie wiedząc, więc postanowiłem zawiadomić Pana jak najszybciej, bo może właśnie rozmawia Pan o Charlie'm ze swym ojcem.

Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Wydaje mi się, że gdybym poznał Charliego naprawdę blisko, bardzo bym go polubił. Myślę, że ta decyzja była dla niego trudna i szanuję go za jej podjęcie.

Z poważaniem
Stefan Madjicka (porucznik)

Kim, do cholery, jest porucznik Madjicka, żeby sądzić Charliego? „Gdybym poznał go naprawdę blisko”... Cały odczuwany przez Jamiego żal zmienił się nagle w antypatię do zarozumiałego drugiego pilota, który najpierw upokorzył jego przyjaciela, a teraz sprawiał wrażenie niemal dumnego ze sposobu, w jaki go zniszczył. Jamie przeczytał list jeszcze raz, przekonany, że gdyby to on siedział w lewym fotelu, wszystko wyglądałoby inaczej.

- Dobrze się czujesz? - zapytał go Rube Wein. - Wyglądasz okropnie.
- Złe nowiny - powiedział Jamie, składając list i chowając go do kieszeni.
- Strasznie zbladłeś. Usiądź wygodnie, a ja przyniosę ci whisky czy coś...
- Chłopak, z którym dorastałem, pilot bombowy...
- Nie żyje?

Jamie skinął głową. Siedział pochylony do przodu na małym składanym krzeselku przy półkach na listy w holu klubu oficerskiego. Kiwał się w przód i w tył, jakby ból ugodził go ciosem, od którego stracił oddech.

Pojawił się Rube z whisky. Smakowała gorzko.

- Szybko wróciłeś.

- Sam nalałem. Miałem wrażenie, że sytuacja wymaga specjalnych środków.

- Dzięki, Rube.

- Niech się martwią jego bliscy. Kupa dobrych chłopaków pójdzie na własne, nim skończy się ta wojna.

- Chodzi ci o tę wielką szklaną górę na niebie?

Rube uśmiechnął się niepewnie, zdziwiony, że Jamie zna to powiedzenie.

- Wielka szklana góra na niebie czeka na nas wszystkich, przyjacielu. I lepiej w to uwierz.

- Wierzę - powiedział Jamie. - Naprawdę wierzę.

19. Henry Scrimshaw

Henry Scrimshaw był wysoki, szeroki w ramionach. Miał bujne siwe wąsy, wspaniałe bokobrody oraz bystry wzrok i lśniąca łysinę na czubku głowy. Wielkie piegowate dłonie zaciskał na srebrnej główce laski. Ubierał się staroświecko: wypolerowane buty do kostek, zrobione specjalnie na jego wielkie stopy, i tweedowy płaszcz - raglan z pasującą do niego tweedową czapką. Mówił głosem ochryłym od mocnego tytoniu, który palił w fajce z glinianą główką. A jednak fajka wydawała się zabawką raczej niż nałogiem, bez przerwy bowiem przy niej dłubał: wypukiwał popiół, zapalał ją, ssał, wachał, ubijał tytoń, rozluźniał go i w ogóle zachowywał się tak, jakby miał do czynienia z instrumentem muzycznym, na którym odgrywa trudny koncert.

- Powinien pan przyjechać do Steeple Thaxted - powiedział mu porucznik Morse. - Ten bar to straszna dziura. - Spojrzał na zegarek, odsłaniając go szerokim gestem ręki.

- Okropna - przytaknął pogodnie Scrimshaw.

Ta część Cambridge, leżąca niedaleko rzeki, uchodziła niegdyś za dobrą dzielnicę. Wieść niesła, że w sali balowej hotelu, w którym właśnie siedzieli, pod kryształowymi żyrandolami, spakowanymi teraz i schowanymi w schronie przeciwlotniczym, tańczył niegdyś król Edward VII. Wojna spowodowała jednak napływ robotników fabrycznych, tłoczących się w domach z wieżyczkami przy sąsiednich uliczkach. Zarebali wystarczająco dobrze, by płacić spore sumy za łóżko we wspólnym

pokoju i zapewniać co wieczór hotelowy bar, w którym, nadal w brudnych kombinezonach roboczych, popijali wodniste wojenne piwo ściskając kolejne kufle w sękatych dłoniach, klócili się, śpiewali, a czasem urządzali bójki na pustym parkingu.

Przyzwoitsza część baru sprawiała wrażenie zaniedbanej. Linoleum na podłodze popękało, stoły poprzypalane były papierosami. Morse poruszył się niepewnie na niewygodnej, twardej ławie. Niektórzy z jego rodaków uznaliby bar za malowniczy zabytek „dobrej starej Anglii”, ale jego nie obchodziło w najmniejszym nawet stopniu to, że gospoda znajdowała się w tym miejscu jeszcze przed narodzeniem Szekspira. Morse'a nie obchodzi nic oprócz Morse'a - uznał Scrimshaw, jego ekspansywne zachowanie właściwe było dla wielu chłopców ze wsi, maskujących w ten sposób obawę przed wielkim miastem.

Był piątek, pora lunchu; w małej salce znajdowało się tylko ich dwóch. Panowała cisza, którą przerywały jedynie głosy pracujących w drugiej części baru kobiet, dopingujących teraz graczy w strzałki. Poprzez półki zastawione szklankami i kufkami można je było od czasu do czasu dostrzec. Miały czerwone twarze, a z kącików ich umalowanych ust zwisały papierosy.

Morse nie lubił chłodu. Nie rozpiął nawet ciężkiego wojskowego płaszcza. Od czasu do czasu dotykał zimnego kaloryfera, jakby wierzył, że jakimś cudem zacznie on w końcu grzać.

- Więc dlaczego nie przyjechał pan do bazy? - spytał z naciskiem. - Pułkownik oznajmił koniec gotowości bojowej. Wszyscy są na przepustkach w Londynie.

- Nie ucz ojca dzieci robić, syneczku. Byłem dziennikarzem na długo przed twoim urodzeniem. Do gazetki w moim mieście pisałem nekrologi, zawiadomienia o ślubach, opisywałem pożary i powódzie, nim skończyłem piętnaście lat. - Scrimshaw pociągnął whisky, popijając ją łykiem piwa. - I czegoś się przy okazji nauczyłem.

Morse poczęstował go papierosem, ale dziennikarz odmówił. Nie lubił słodkiego amerykańskiego tytoniu, dostawał od niego kaszlu. Wziął do ręki fajkę i przyjrzał się jej, jakby oceniał cenny antyk.

- Nauczyłem się między innymi - mówił dalej - nie spotykać się z ludźmi na ich gruncie, a w każdym razie nie po raz pierwszy. W ten sposób łatwiej mi ocenić, czy są dobrym materiałem. - Podniósł wzrok znad fajki, wlepiając oczy w pilota.

- Doprawdy? - zainteresował się Morse, zębami wyjmując papierosa z paczki. Zapalkę zapalił nonszalancko, z manierą twardego faceta, której nauczył się z gangsterskich filmów.

- Za wiele się wtedy dzieje w tle - wyjaśnił dziennikarz.

Z baru dobiegało stukanie strzałek i od czasu do czasu piskliwe okrzyki. Dziennikarz czekał na jakiś komentarz, ale gówniarz tylko siedział, palił i milczał. Opowiedział już swoją historię, a teraz czekał na reakcję. Scrimshaw tymczasem wahał się. Nie kochał Amerykanów. „Za dużo jedzą, za dużo zarabiają, za dużo mają seksu i za dużo ich u nas” - jak mawiali Brytyjczycy. Ale USA to wielki rynek. Jeszcze jedna dobra historia z amerykańskim bohaterem i może udałoby się wreszcie podpisać umowę z którąś z dużych agencji?

Huknęły drzwi. Pojawił się dostawca z browaru, dźwigający beczkę piwa. Na ulicy konie ciągnące jego wóz przestępowały nerwowo po zamrzniętej drodze, wydychając wielkie białe chmury. Morse zadrzał w przeciagu; wcisnął połę płaszcza pod nogi, jak stara kobieta połę szlafroka.

- Jezu, co za dziura - jęknął.

Scrimshaw nie podzielał jego nastroju. Wyjął wielką piersiówkę z tylnej kieszeni spodni i nalał sobie potężną porcję whisky.

- A masz jakieś zdjęcia?

- Oficer prasowy bazy to mój przyjaciel - stwierdził pilot. Wszystkich innych przedstawiał jako „moich bardzo dobrych przyjaciół”;

ciekawe, czym ten gość zasłużył sobie na jego niełaszkę. - Dostaniemy wszystkie zdjęcia, jakich będziemy potrzebować.

Scrimshaw popchnął piersiówkę w jego stronę; Myszka nalał sobie małą porcję, ujął szklankę w obie dłonie, podniósł do nosa i powąchał trunek. Dobry był, lepszy niż te szczyzny, które puby racjonowały swym klientom, i lepszy niż whisky sprzedawana w klubie oficerskim.

- Zdjęcia z dzieciństwa? Jak się bawisz małym samolocikiem albo coś w tym rodzaju?

- Może... - Porucznik wzruszył ramionami. - Napiszę do ciotki, zobaczymy, co ma.

- Mówiłeś, że żyje twój ojciec - przypomniał Scrimshaw, a kiedy Myszka spojrział na niego znad szklanki, sprawiając wrażenie zdziwionego, dodał: - Ja w ten sposób zarabiam na życie, stary przyjacielu. Jeśli masz zamiar łąać, lepiej poćwicz trochę pamięć.

Morse zaczerwienił się.

- Ojciec nic nie ma - wyjaśnił. - Niech pan powie swojej gazecie, że będę miał dla niej zdjęcia.

- Nie jestem zatrudniony w gazecie. Wolny strzelec ze mnie, piszę i sprzedaję materiały, gdzie się da.

- Nie mam zamiaru marnować czasu pracując nad czymś, co nigdy nie zostanie opublikowane.

Scrimshaw roześmiał się.

- Nie łam sobie tej małej ślicznej główki, chłopaczku. Mój czas jest cenniejszy niż twój. - Żeby podkreślić ten fakt, spojrział na zegarek i westchnął; udawania waźniaka nauczył się od wydawców. - I tak spędziłem już pół godziny na czczym gadaniu, zamiast zarobić trochę grosza.

Obserwował młodego oficera uważnie, spodziewając się, że może on okazać zniecierpliwienie, ale nie dostrzegł oznak rodzącego się gniewu. Na razie Morse nie przeklinał Niemców, nie był Żydem ani Polakiem z pochodzenia; miał motywację mniej intelektualną, ale głębszą nawet od nienawiści - po prostu chciał odnieść sukces. Podobny wyraz oczu

dziennikarz widywał u gwiazd filmowych i wielkich armatorów; takie twarze mieli też biskupi i rzucający bomby anarchiści.

Wiedział, że musi uważać.

Morse jakoś wyczuł jego niepewność.

- Przecież pan obiecał. Farebrother twierdzi, że pan obiecał...

- Obiecałem spotkać się z tobą. Obiecałem wysłuchać, co masz do powiedzenia.

- No więc usłyszał pan o mnie wszystko, dziadku. A skąd ja mam wiedzieć, że jest pan na tyle dobry, żeby to opisać?

Dziennikarz uśmiechnął się drwiąco.

- Jestem zawodowcem - wyjaśnił. - Przed wojną byłem w agencji prasowej. W Wiedniu, potem w Berlinie. Jestem dobry... cholernie dobry. Moje kawałki publikują wszędzie... Afryka Południowa, Nowa Zelandia, Australia... wszędzie.

- A co ze Stanami?

- Przyniosłem ze sobą trochę wycinków.

Pilot ożywił się, rozkładając poźółkłe wycinki, krusze, wygniecione dowody rzeczowe minionych sukcesów Scrimshawa.

- Wspaniale - rzekł z naiwnym podziwem, który sprawił przyjemność nawet temu cynicznemu starcowi. - Wydrukowali pańskie nazwisko! - Pokazał palcem podpis, przejechał po nim, jakby spodziewał się znaleźć błąd ortograficzny. - Pan jest sławny!

- Nie, nie jestem sławny - zaprzeczył Scrimshaw. - Nie poluję na nagrodę Pulitzera i nie marzę o napisaniu poważnej powieści. Ale Henry'ego Scrimshawa znają we wszystkich barach, w których bywają dziennikarze, od Hongkongu po Addis Abebę i od Guadalajary do Warszawy. A jeśli na tej liście nie ma żadnych miasteczek z twojej okolicy, chłopcze, to dziękuj swej szczęśliwej gwiazdzie, bo większość życia spędziłem obserwując, jak ludzie wzajemnie przerabiają się na kotlety. - Ugryzł kawałek kanapki z serem. Sera w niej prawie nie było, a szary chleb „National Wheatmeal” posmarowano cienko margaryną, wyrabianą

teraz z oleju palmowego. Pilot podniósł swój kawałek, przyjrzał mu się uważnie i odłożył go na talerz, nietknięty.

- Pójdź sobie do któregoś z tych barów, pogadaj z dziennikarzami, a każdy z nich ci powie, że Scrimshaw to zawodowiec. Powiedzą ci, że jeśli Scrimshaw uzna jakiś trop za obiecujący, jest duża szansa, że żaden redaktor nie ukatrupi materiału. Bo mój wielki nos, szanowny Myszko, stary przyjacielu, z miejsca wyczuje, co sprzedą gazetę. Może nie zawsze jest to coś wielkiego - robię się już nieco za stary, żeby biegać pod ostrzałem, i nigdy nie twierdziłem, że znam się na biznesie - ale piszę o interesujących ludziach, a tego właśnie szukają dziś gazety i magazyny. Więc nie martw się, że marnujesz czas.

- To ja jestem „interesującym człowiekiem”?

Dziennikarz przyjrzał mu się. Będzie się musiał cholernie napracować!

- A dlaczego chcesz trafić do gazet, synu? Powiedz szczerze, nie opublikuję tego.

- Po wojnie może otworzę mały bar albo restaurację. Ludzie będą przychodzić, żeby mnie oglądać. Może jakaś firma części lotniczych zrobi ze mnie wiceprezesa? Pojawiają się różne możliwości.

Scrimshaw skończył kanapki. Taka jest między nami różnica - pomyślał. Ten gówniarz pragnie wykorzystać okazję, ja wykorzystuję okazję.

- I co pan na to, panie Scrimshaw? Myślę o tym, co panu powiedziałem.

- Myślę, że cię zabiją, synu. To właśnie sędzę. Jeśli pytasz mnie o radę, radziłbym ci zapomnieć o atakowaniu niemieckich lotnisk tylko po to, żeby zaliczyć jeszcze parę zestrzeleń. Te sukinsyny z Luftwaffe prowadzą wojnę od 1937 roku. Widziałem ich w Hiszpanii. Daję słowo! Nie będą siedzieć na tyłkach i przyglądać się, jak sobie latasz i rozwalasz ich maszyny na kawałki.

Morse uśmiechnął się. Dokończył whisky.

- Może i jesteś wielkim dziennikarzem, dziadku - powiedział. - Ale to, co wiesz o walce, dałoby się zapisać na łebku szpilki i jeszcze zostałyby tam miejsce na „Ojczyzna”. Ty piszesz, ja latam, dobra?

- Będę potrzebował pomocy. Będę musiał spędzić z tobą trochę czasu... mnóstwo czasu. Pracuję powoli. I mam zamiar powiedzieć ci, jak masz traktować innych dziennikarzy, żeby przygotować rynek na trzyczęściowy artykuł, który napiszę. Rozumiesz?

- Jasne. To co, zawarliśmy umowę?

- Tylko nie zapominaj... Mam wyłączność. Co oznacza, że dajesz materiał innym tylko wtedy, jeśli ci na to pozwolę. A ja ci na to nie pozwolę.

Scrimshaw mówił jeszcze, kiedy do baru wszedł starszy mężczyzna, elegancko ubrany i bez zarzutu się zachowujący. Miał nienaturalnie bladą twarz, a kiedy się uśmiechnął, ukazał zęby sprawiające wrażenie bardzo długich i bardzo żółtych.

- To Peter Colfax - szepnął dziennikarz. - Jest lokajem księcia. Przejął tę pracę po Regu Hardcastle. - A kiedy Morse nie zareagował na to nazwisko, dodał: - Po mężu Very... Twojej Very.

- Mężu V e r y? - zdziwił się Morse. - Vera ma męża?!

- Nie udawaj, że nie wiedziałeś. Byłeś u niej. Chyba nie sądzisz, że urządziła to mieszkanie tylko dla siebie?

Myszka nie odpowiedział. Scrimshaw rąbnął go tą uwagą jak obuchem. Mieszkanie Very z pewnością urządzone było dla małżeństwa; zastanowiło go to już podczas pierwszej wizyty.

- Wszyscy tu znają Rega - tłumaczył dziennikarz. - Był lokajem księcia i sierżantem „Terriers”... On też zna tu wszystkich.

Myszka zeszytniał. Poraziła go myśl o Verze z innym mężczyzną.

Stary Peter Colfax podszedł do stołu, przy którym siedzieli. Czekał, aż Scrimshaw dokona formalnej prezentacji.

- I jak tam na dworze, Peter? - spytał dziennikarz.

- Dziczyszna pomogła nam wzbogacić trochę rącej mięsa. Kucharz

zna chyba tysiąc sposobów jej przyrządzenia, ale nikt nie zdoła sprawić, by smakowała jak befsztyk. - Lokaj spojrzął na Morse'a. - Pan jest pilotem, prawda? - spytał.

- Asem wśród pilotów myśliwskich - wyjaśnił Scrimshaw. - Jest najlepszy. Będę o nim pisał.

- Jestem dumny, że mogłem pana poznać - oznajmił Colfax ze szczerem, lecz chłodnym szacunkiem, który wydaje się tak charakterystyczny dla służby domowej. - To wojna młodych ludzi - dodał.

- Zawsze to powtarzamy, my, pierniki - roześmiał się dziennikarz.

Lokaj przyszył baretki starych orderów na piersi swojego płaszcza. Mimo zaawansowanego wieku wydawał się czuć niepewnie bez munduru.

- Wczoraj dostałem list od Rega - oznajmił.

Scrimshaw tymczasem obserwował Myszkę kątem oka, młody człowiek siedział jednak nieporuszony.

- Jest nadal w Birmie, prawda?

- Szkoda, że nie mam tego listu przy sobie. - Poklepał się po kieszeni. - Tak, Reg walczył pod Arakan. Nasi chłopcy zwarli się z Japońcami pierś w pierś i spychali ich krok po kroku. - Spojrzął ma Amerykankina. - A wam nie muszę chyba tłumaczyć, że Japończycy nie dają się spychać łatwo.

Morse milczał.

- Słyszałem, że Reg miał zostać awansowany? - przypomniał dziennikarz.

- Był rekomendowany do awansu, ale nic z tego nie wyszło. Sądzę, że jest rozczarowany, ale w listach o tym nie wspomina.

Colfax został zaproszony do stolika, lecz odmówił. Nie mógł zostać. Przyszedł do pubu wyłącznie po to, żeby uregulować miesięczny rachunek księcia. Powiedział, że nie wypadałoby dyszeć alkoholem w jego twarz podczas zawiązywania mu krawata. Roześmiał się na samą myśl o tym.

Do wyjścia na ulicę przygotował się z wystudiowaną starannością. Dokładnie zapiął piękny dwurzędowy płaszcz, sprawdził oba rękawy, szukając na nich śladu kurzu, popiołu lub włosków.

- Tak, ludzie jak Reg to sól ziemi - stwierdził. Trzymając w lewej dłoni rękawiczki ze świńskiej skóry, skinął głową Scrimshawowi, do Morse'a zaś wyciągnął rękę.

- Jestem dumny, że mogę uścisnąć pańską dłoń, poruczniku - oznajmił. - Kiedy ta cholerna wojna wreszcie się skończy, ludzie tacy jak pan i Reg będą kształtowali przyszłość świata. Życzę szczęścia, mój chłopcze.

- Nawzajem, proszę pana. - Morse poważnie potrząsnął wyciągniętą dłonią. Stał, póki Colfax nie znalazł się na ulicy. - Co za zwariowany staruch! - orzekł wówczas.

- Uwierzyłyś, że ma siedemdziesiąt pięć lat?

Morse uniósł brwi.

- Był garderobianym, osobistym służącym, ojca księcia. Obaj brali udział w bitwie pod Paardeberg i byli w oblężeniu. Mówię o Afryce Południowej, o roku 1900.

- A ile lat ma mąż Very?

Scrimshaw zachichotał.

- Reg jest dzieckiem w porównaniu ze starym Peterem Colfaxem, ale dostał najlepszą robotę, lokaja, bo zna się na winie. Księżę jest wielkim znawcą win, a Peter nie odróżniłby szlachetnego klaretu od zwietrzałego piwa. Jeden Bóg wie, jaki cyrk robi z pracy lokaja. Ale przecież jest wojna i...

- A tak, coś o tym słyszałem - przerwał Morse. Zgasił papierosa i dopił whisky, dając tym znak, że ma zamiar opuścić bar. - Obiecałem zadzwonić do Very - poinformował. Wstał i zaczął szukać drobnych.

- Zdenerwowało cię coś, mały? - Dziennikarz podał mu garść pensów.

- Nie syp mi piasku w oczy, przyjacielu. - Morse wziął kilka monet na telefon.

- O co ci chodzi?

- Zaażyczył pan spotkanie z tym starcem, żeby wcisnąć mi propagandę o mężu Very.

Już się odwracał, lecz dziennikarz zdołał złapać go za ramię.

- Zaczekaj, chłopcze. Nie masz do czynienia z jakimś przeciętnym starym Angolem, wiesz? - Przytrzymał go mocniej. - Peter pojawił się tu zupełnie przypadkiem!

Morse wyrwał mu się, ale nie odchodził.

- Chciał pan, żebym się poczuł taki malutki. To spotkanie było umówione!

- A ja ci mówię, że nie, do cholery! Teraz odwołaj, co powiedziałaś. - Scrimshaw rzucił notatnik na stół, wprost w kałużę piwa. - Albo zabieraj ze sobą historię swego życia i wsadź ją sobie w dupę!

Myszka wyjął gumę z kieszeni, wsadził ją do ust i przez chwilę żuł w milczeniu.

- Dobra, Hank. Odwołuję - powiedział w końcu.

Dziennikarz skinął głową, wziął notes i wytarł go brudną chusteczką.

- Może i ja zrobiłbym coś tak wymyślnego, gdyby ten Hardcastle był moim kumplem? - zastanawiał się pilot.

- Lepiej uświadom sobie, że Vera może ci mocno skomplikować życie.

- Jak na przykład?

- Może się okazać, że łatwo się jej nie pozbędziesz. Znam ją, przysysa się jak pijawka.

Morse nie dał się złapać.

- Nie mam zamiaru się jej pozbywać - wyjaśnił. - Vera jest wspaniała! - Rzucił monetę w powietrze, złapał ją i poszedł do telefonu.

Dziennikarz odprowadził go wzrokiem. Cwany mały sukinsyn. Czy za jego męskim na pozór zachowaniem rzeczywiście kryje się dobry mózg, czy też sceptycyzm Myszkę jest tylko wynikiem prymitywnego sprytu?

Tak czy siak, miał rację. „Przypadkowe” spotkanie w barze zostało starannie zaaranżowane. Peter Colfax chciał uświadomić temu młodemu pilotowi, jakim wspaniałym człowiekiem jest Reg Hardcastle. Planując rzecz, obaj byli pewni, że postępują niezwykle subtelnie. I on, i Peter chcieli tak naprawdę przydusić trochę tego cholernego sukinsyna. Boże! Cambridgeshire jest wręcz wypełnione samotnymi kobietami. W niektóre wieczory trzeba dosłownie przepychać się przez ich tłum, stojący przed Klubem Czerwonego Krzyża na Trumpington Street, a jeszcze więcej tłoczyło się przed klubem oficerskim na Market Square. W pubach nie brakowało łatwych kobiet, tak samo wszędzie tam, gdzie regularnie bywali jankesi. Więc dlaczego ten sukinsyn musiał wziąć sobie do łóżka akurat żonę Rega? Niech szlag trafi tę cholerną wojnę!

20. Vera Hardcastle

Zaczął się nowy tydzień. Vera Hardcastle wróciła do swego małego domku na Michael Street czterdzieści pięć minut później niż zwykle. Została w pracy dłużej, a teraz robiło się już ciemno i padał deszcz. Wiedziała, że MM na nią czeka - jego motocykl stał oparty o murek w malutkim ogródku. Przykryty był naoliwioną szmatą, chroniącą przed wilgocią siodelko i silnik; Myszka w zupełnie dla siebie nietypowy sposób bardzo troszczył się o silnik. Sam otworzył sobie drzwi - klucz wisiał wewnątrz skrzynki na listy. Nawet napalił w kominku. Zdążyli już spaść w coś w rodzaju małżeńskiej rutyny.

- Przepraszam, kochanie - powiedziała, całując go. - Musiałam przepuścić trzy autobusy, takie były zatłoczone. Myślałam już, że nigdy nie dotrę do domu.

- Zmarzłaś, skarbie. Ciągłe leje? - Tulił się do niej jak mały chłopiec obudzony z koszmaru.

Vera przesunęła dłonią po jego pięknych, wijących się włosach.

- Jesteś wspaniałym mężczyzną - szepnęła mu do ucha.

Gaz syczał w lampach, powietrze w rurach bulgotało głośno. Po jaskrawym blasku elektrycznych lamp w redakcji gazowe światło w domu wydawało się Verze romantyczne. Stali przytuleni przez chwilę, która wydawała się wiekiem, nim wreszcie ją puścił. Nadal nie mogła przyzwyczaić się, że mężczyzna czeka na nią w domu. Przypomniało jej to scenę z hollywoodzkiego filmu.

Ściągnęła chustkę z głowy. Bała się spojrzeć w lustro, bo wiedziała, że włosy ma w okropnym nieładzie. A makijaż, tak starannie nałożony

przed wyjściem z biura... Cóż to musi być za okropny widok!

- Zrobię ci kawy - oświadczyła. - Zostało nam też jeszcze trochę tej puszkowanej szynki. Zrobię ją w cieście. Musisz być bardzo głodny.

- Usiądź i odpocznij, kochanie. Ogrzej się przy ogniu. Zadzwoiłem do bazy... Nie ma mnie na liście. Nie muszę wracać aż do jutrzejszego apelu.

- Apelu? - powtórzyła, przestraszona, że rano narobi hałasu i usłyszy go sąsiadka. Jej mąż był kierowcą ciężarówki, więc śniadanie przygotowywała około piątej rano.

- Apel, tak... Dla oficerów oznacza to czas zaraz po śniadaniu, na wypadek alarmu albo jakiegoś cholernego wykładu o rozpoznawaniu maszyn czy coś w tym sensie.

Patrzył na nią, jakby oczekiwał pochwały, więc powiedziała po prostu:

- To świetnie, kochanie. - I znów go pocałowała, tym razem w czubek nosa. Stała przy ogniu, grzejąc dłonie.

Płonął jasno; w kominku było za wiele węgla! Amerykanie najwyraźniej do tej pory nie pojęli, że jest on racjonowany.

- Ta fotografia na półce - rzekł Myszka. - Czy to twój ojciec?

Vera spojrzała na zdjęcie mężczyzny w workowatym mundurze khaki. Zginął we Francji, kiedy była jeszcze dzieckiem; znała go wyłącznie z tego zdjęcia.

- Tata nie wrócił z wojny - wyjaśniła. - Mama umarła niedługo potem. - Szkło, w które oprawiono fotografię, pokryte było sadzą. Vera poczuła ukłucie winy, podobne do tego, jakie ją ogarniało, kiedy przypominała sobie, że nigdy nie odwiedziła grobu ojca. Otarła fotografię ręką. - Z węgla jest tyle dymu - burknęła. Sadza unosiła się po prostu w powietrzu i wystarczyła godzina, by nieodwołalnie zniszczyć ubranie. Ludzie twierdzili, że to wszystko przez fabryki pracujące dla wojska... Całą winę zrzucali na wojnę. - Na rok przygarnęła mnie ciotka, ale potem musiałam pójść do sierocińca. Czasami ciotka brała mnie na niedziele.

Zawsze powtarzała, że kiedyś wrócę do niej na stałe, ale nie wróciłam.

- Biedna Vera. Dorastałaś w jakimś wstrętnym sierocińcu! Brzmi to okropnie.

- Szczęśliwa Vera - poprawiła go. - Większości dzieci nikt nie odwiedzał. Nie miały nawet złudzeń.

Myszka pochylił się, zdjął czajniczek z podstawki i wcisnął pomiędzy gorące węgle, opierając go o osłonę kominka. Ciotka miała podobny czajnik. Vera doskonale pamiętała wieczory spędzone na pilnowaniu go; czekała, aż zacznie świstać, i wiedziała, że kiedy zagotuje się woda, wleją ją do butelek i będzie mogła pójść spać. Ileż nocy spędziła w sierocińcu przykryta szorstkim kocem - powłoczki dostawały tylko najstarsze dziewczynki - marząc o tym, jak to będzie, kiedy znów zabierze ją ciocia Edna. Jak ciężko gotowa była dla niej pracować, ileż miłości gotowa była jej dać!

- Miałam szesnaście lat, kiedy opuściłam sierociniec i poszłam pracować do księcia - powiedziała. - Miał dwadzieścia osób służby, nie licząc ogrodników i szoferów.

- O, Boże! - Myszka dotknął czajnika czubkiem buta upewniając się, że stoi stabilnie.

Vera milczała przez chwilę, niepewna, czy MM chce usłyszeć więcej.

- Szesnaście lat - powtórzył. - Słodkie szesnaście lat bez jednego pocałunku.

Wiedziała, że nie kpi z niej. Nigdy nie żartował sobie jej kosztem.

- Niewiele było szans na pocałunki w tamtym domu - powiedziała.

- Żadnych romantycznych gości?

- Wszyscy goście dawno już przeżyli wiek romantyczności. Jedyne, co pragnęły ścigać, to lisy.

- A twój mąż? Reg? - Po raz pierwszy zadał jej pytanie o męża, wymieniając go z imienia. Zdała sobie sprawę, że musiał myśleć o wspólnej przyszłości, i zdała też sobie sprawę, że on myśli o niej poważnie. Jakoś ją to przeraziło.

Roześmiała się jednak, próbując zlekceważyć problem.

- Wszystko przeze mnie - przyznała. - Reg wydawał się szczęśliwy i bez kobiet.

Pamiętała dzień, kiedy za nowym lokajem poszła do piwniczki. Bardzo ciemnej i pełnej kurzu. Przycisnęła się do niego, udając, że chce obejrzeć butelki na regałach. Nie cofnął się, więc natarła mocniej. Wtedy nagle złapał ją w objęcia i mocno pocałował w usta. Ale kurz z butelek musiał dostać mu się do nosa, bo kichnął. Zachichotała, a wtedy on roześmiał się głośno.

- Taki był... godny, wiesz? Nie wierzyłam własnym uszom, kiedy poprosił mnie o rękę.

- Dlaczego nie masz żadnych jego zdjęć? - spytał Myszka. Czajnik na palenisku zaczął poświstywać.

- Miałam jedno, ale musiałam oddać ramkę do naprawy. - Vera wstała. - Zdaje się, że miałeś ochotę na szynkę w cieście.

- Zaraz... Kiedy to po raz ostatni rozmawiałem z tym australijskim dziennikarzyną? Ile czasu potrzebuje, żeby napisać jeden kawałek?

- Harry Scrimshaw to śmieszny dziadyga. Z niczym się nie śpieszy. Opowiedział ci o wszystkich wojnach, w których brał udział?

- A co, nie brał? - zaniepokoił się Myszka.

- Nie, on nie łże. Podpytałam jednego z zastępców w redakcji. Twierdzi, że stary Harry miał dobre nazwisko, póki nie sięgnął po butelkę.

- Z tym wrogiem rozprawia się szybko, zauważyłem. Do diabła, słuchaj, straciłem trzech szkopów od czasu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Jesteś zbyt nieśmiały, kochanie. Powinieneś ostrzej z nim pogadać. Czy on zdaje sobie sprawę, że należysz teraz do rekordzistów?

- Zdaje.

- Tylko nie naraż mu się, kochanie. To mściwy łobuz, jeśli uzna, że ma się za co mścić.

- Dam mu jeszcze tydzień. Gadaliśmy godzinami; nie przeżyłbym

powtórki. I dużo czasu poświęcił na opracowanie tego wszystkiego, to mu muszę przyznać.

- Dużo czasu zajmuje mu wyludzanie darmowych drinków w waszym klubie oficerskim - powiedziała. Szaloną przyjemność sprawiała jej uprzytamnianie sobie, że kochanek jest oficerem.

MM uśmiechnął się.

- Jamie sobie z nim poradzi. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. W zeszłym tygodniu przy barze Scrimshaw powiedział coś o jankesach i Jamie rozłożył go na czynniki pierwsze.

- Chodzi ci o to, że go pobił?

- Jamie nikogo w życiu nie pobił. Po prostu zadał Scrimshawowi kilka pytań i facet wyszedł na dupka. To jest naprawdę ktoś ten Jamie Farebrother.

- Ostatnio coś za dużo o nim mówisz. Młdoci mnie biorą od słuchania, jaki to wspaniały człowiek!

- Jamie jest w porządku - powiedział powoli Myszka. - Tylko taki już twardy z niego facet. Jak wracamy z misji, to wychodzi z maszyny jak właściciel kolei ze swej salonki. Tex Gill, szef jego mechaników, jest w nim po prostu zakochany. Tex to inteligentny gość, poza tym uwielbia, jak Jamie się po kimś przejedzie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek się po kimkolwiek przejechał. Jest na to zbyt wielkim dżentelmenem.

- Może nie zawsze to planuje, ale całkiem dobrze wychodzi mu zaszczepianie w ludziach kompleksu niższości. - Kominiek rozpałił się wreszcie, Myszka zdjął więc kurtkę i rzucił ją na kanapę. - Muszę przyznać, że potraktowałem go trochę szorstko, kiedy się u nas pojawił.

- Nigdy mi o tym nie opowiadałeś.

- Nowy kapitan praktycznie uniemożliwił mi awans. Regulamin dywizjonu określa dokładnie, ilu ma być w nim żołnierzy i jakiej rangi. Pojawienie się kapitana Farebrothera było dla Tuckera doskonałym pretekstem, by powstrzymać mój awans na kapitana. Ale przecież to nie wina Jamiego. Stopnie nic go nie obchodzą... O ile się zresztą orientuję,

to nic go nie obchodzi.

- Z wyjątkiem Victorii.

Myszka przez chwilę przyglądał się Verze w milczeniu.

- Chyba masz rację - przyznał w końcu. Uśmiechnął się do jakiegoś wspomnienia. - Powinnaś być z nami wczoraj, kiedy oglądaliśmy filmy z kamer sprzężonych z karabinami maszynowymi. Dostał kolejnego Niemca. I załatwił go znakomicie, wiesz? Otworzył ogień w regulaminowej odległości, prawidłowo uwzględnił wyprzedzenie, trafił w kokpit, właśnie tak, jak podaje instrukcja. Tego szkopa załatwił jedną krótką serią. Jedną serią, wiesz? Zdjął palec ze spustu, oszczędzając amunicję na później. I dobrze. Mamy teraz wyciemnienie do następnego dnia rano. Siedzimy sobie w sali projekcyjnej z resztą chłopców, Jamie-mu przyznają zestrzelenie, wszystko widać na ekranie, więc odwracam się do niego i mówię: „Dobra robota, mały, załatwiłeś na amen tego sukinsyna”, a on patrzy na mnie, jakbym właśnie napluł w oko jego matce. - Myszka westchnął, rozluźniając krawat.

- Victoria też nie chce rozmawiać o zestrzeleniach. Mówi, że ten zestrzelony również jest czyimś synem, mężem, bratem. Jak myślisz, Jamie jej to powiedział? - zainteresowała się Vera.

- A skąd! Każdego cieszy zestrzelenie nieprzyjacielskiej maszyny. Niemców na pewno też cieszą nasze zestrzelone samoloty. Moim zdaniem Jamie nie chciał, żebyśmy my, prostaczkowie, byli świadkami jego radości.

- Przed chwilą powiedziałaś, że go lubisz - przypomniała. W jej głosie brzmiała nagana. - Słuchaj, chcesz coś zjeść czy nie? Ale musi to być coś z grilla. Wyczerpałam przydział tłuszczu, więc nie mogę nic usmażyć.

- Zrób tę szynkę ze spaghetti z puszki, dobra? Jasne, lubię Jamiego. To przywoity facet i powiedział Vince'owi, że powinienem dowodzić dywizjonem, bo jestem najlepszy.

„Nie jesteśmy komitetem kwalifikacyjnym jakiegoś cholernego

klubu” - mówił. Wiem, sam słyszałem. A potem Dixie Doppelman z Dywizjonu 191 powiedział, że Jamie mówił mu to samo. Z czego się śmiesz? Przecież to najświętsza prawda.

- Bo wy, chłopcy, tak śmiesznie się nazywacie: Dixie, Earl, Brandy, Red... W Anglii tak nazywamy psy!

- Tego rodzaju antyamerykańska uwaga z pewnością obniży nasze morale, dostarczając uciechy przeciwnikowi - powiedział MM, uśmiechając się.

- Mam ich więcej w zapasie - stwierdziła Vera. A widząc, że MM łapie poduszkę, żeby w nią rzucić, uciekła do kuchni.

- Włącz radio! - krzyknęła z bezpiecznej odległości. - Przyda się odrobina muzyki.

Myszka włączył radio i czekając, aż się rozgrzeje, nalał obojgu po drinku, po czym zaczął kręcić galką. Nie mógł znaleźć American Forces Network, ale BBC też nadawała muzykę taneczną. Poszedł do kuchni i patrzył, jak Vera przygotowuje kolację.

- Podprowadzasz całe to jedzenie, MM? - spytała go. - Nie chciała-bym, żebyś skończył w więzieniu.

- Możesz jeść z czystym sumieniem, kochanie. To „paczki gościnnie”. Poinformowano nas oficjalnie, że nie powinniśmy przyjmować zbyt wiele jedzenia od brytyjskich cywilów.

- Niewielkie macie szanse, żeby przyjąć zbyt wiele. Te dwa plasterki szynki, które zjesz dzisiaj na kolację, z pewnością ważą więcej niż cztery uncje. Dla nas, cywilów, to pełna racja.

- Ale to porcja na jeden posiłek!

- Ty wariacie! - powiedziała mierzwiąc mu włosy. - Cztery uncje szynki lub boczku to racja tygodniowa.

- Boże, nie wiedziałem, że jest aż tak źle.

Wyrecytowała mu listę przydziałów, czerpiąc jakąś perwersyjną przyjemność z własnej nędzy.

- Dwie uncje tłuszczu do gotowania i dwie uncje herbaty na tydzień. Trzy uncje sera, a ja bardzo lubię ser. Właściciel mojego sklepu twierdzi,

że przydział sera zostanie obniżony w najbliższym nowym okresie racjonowania.

Myszka objął ją i przytulił.

- Tym nie da się przeżyć, skarbie. Powinienem przywozić ci więcej jedzenia.

- Żebym utyla?

- Następnym razem wezmę dzipa wypakowanego towarami z kantyny.

Pocałowała go.

- Idź i siadaj do stołu. Bądź grzecznym chłopczykiem. Tu, w kuchni, jest zimno. - Kuchnia była właściwie niczym więcej niż spiżarką, wąskim pomieszczeniem z uszkodzonymi drzwiami i nie dopasowanym oknem wychodzącym na ciemny ogród i stojącą w nim toaletę.

- Wolę marznąć przy tobie, kochanie.

Wytrzeła szminkę z kącika jego ust chusteczką, którą przedtem dała mu do zwilżenia śliną. Widziała, że matki tak wycierają usta dzieciom. Była to właściwa chwila, by przypomnieć temu chłopcu, że jest od niego prawie dziesięć lat starsza. Być może powinna powiedzieć, żeby poszukał sobie jakiejś siedemnastolatki, która patrzyłaby na niego z uwielbieniem i podziwiałaby go tak, jak chciał być podziwiany, nic takiego jednak nie powiedziała. Czy powodowała nią próżność? Przecież MM z pewnością zdaje sobie sprawę z dzielącej ich różnicy wieku. Vera tłumaczyła sobie, że wygląda młodo, i wcale się nie myliła, Myszka zakochał się w niej jednak właśnie dlatego, że była starsza, że mu matkowała, że mógł się przy niej przyznać do wszystkich swych lęków i słabości, o których nikt inny nie miał prawa wiedzieć. Przyznał się nawet, że boi się ojca!

Poprawiła mu kołnierzyk koszuli.

- Zestrzelełeś kupę Niemców - powiedziała.

- Kochasz mnie? - spytał lekko, jakby prowadził rozmówkę towarzyską.

- Czasami tak - odparła. - Czy muszę ciągle ci to powtarzać? - Całą uwagę skupiła teraz na spaghetti z szynką.

- Chcę, żebyś powtarzała mi to co godzinę, regularnie. W rocznice nawet co pół godziny.

- Będziemy mieli jakieś rocznice?

- Powinniśmy zrobić to, jak należy, Vero. Musisz napisać do męża, powiadomić go o nas. Chcę zabrać cię ze sobą do Ameryki.

Przyglądała mu się w milczeniu. Kiedy Myszka dowiedział się, że jest mężatką, zrobił koszmarną awanturę. Nazwał ją dziwką, ciskał talerzami, wykręcił jej rękę. Ta gwałtowna reakcja przeraziła ją nie na żarty, lecz zaraz ujawniła głębię jego uczucia, co sprawiło Verze niekłamaną przyjemność. Uśmiechnęła się.

- Mówią, że w te ciemne noce nie sposób przejść przez trawnik Parker's Piece nie przewracając się o worki piasku - powiedziała lekko, wykładając jedzenie na talerz. - A jak już się potkniesz o jakiś, to zaraz mówi: „Po wojnie zabierzesz mnie do Ameryki, prawda, kochanie?” - Wzięła swój talerz i poszła do bawialni.

MM się nie poruszył.

- Słyszałem wszystkie te żarciki - powiedział, a kiedy wreszcie sięgnął po talerz, za wielką drewnianą suszarką nad zlewem znalazł zwiniętą fotografię. Wyprostował ją. Vince Madigan w lotniczym kombinezonie pozował na tle mustanga. Na kawałku czystego nieba wypisane było „Dzięki za wspomnienia”. Cholernie bezczelny facet z tego Vince'a!

Myszka wepchnął zdjęcie tam, skąd wypadło. Wziął talerz.

- Chodź, zjemy kolację przy kominku - zawołała Vera. Widziała, jak MM przygląda się fotografii; spodziewała się, że zaraz zacznie wrzeszczeć. Była jednak gotowa na wszystko - sama miała bogaty słownik przekleństw i wyzwisk, o czym Myszka przekonał się na własne uszy. Kłócili się dość często, ale niezbyt się tym przejmowała. Po dobrej kłótni miała lepszy humor, pod warunkiem, że Myszka nie tłukł naczyń.

MM pojawił się w pokoju.

- Jak zjem, naprawię ci odkurzacz - obiecał. - Byłem w warsztatach. Mieli akurat odpowiednie podkładki.

Tak właśnie spędzali wieczory. Siedzieli przy kominku w zagraco-
nym pokoju, słuchając pikantnych komedijek w radiu. Myszka napra-
wiał krzesło, czasami malował drzwi albo wieszał półkę; Vera robiła na
drutach swetry, zawsze nieco krzywe, bo nie była w stanie policzyć
oczek bez okularów, a okularów za nic by przy MM nie założyła. Po
mniej więcej tygodniu osłabło nawet ich życie seksualne; Vera twierdzi-
ła, że musi być bardzo, ale to bardzo ostrożna. Skończyło się na tym, że
kochali się tylko „od święta”, a jedynym świętem, które w ten sposób
czcili, było zestrzelenie przez Myszkę kolejnego niemieckiego samolotu.

21. Major Spurrier Tucker jr

Nad północną Europę zawiała wiosna. Płyta kontynentalna podgrzała się i uformował się nad nią wypiętrzony cumulus, chmura najczęściej malowana przez artystów, pragnących przedstawić idealny wiosenny dzień. Nad formacją mustangów rozpościerało się niebo tak czyste, że na obrazie sprawiałoby wrażenie wulgarnie jaskrawego.

Patrząc w dół, major Tucker widział poprzez chmury pola i lasy tak regularnie kwadratowe, że mogły być tylko niemieckie. Południowe słońce stało wysoko na niebie, odbijając się krążkami światła na lśniącym plastyku owiewki. Tucker poruszył się w fotelu; trzy godziny lotu spowodowały, że mimo poduszki zeszywniał, a poza tym był zmęczony i niespokojny. Obejrzał się. Jego skrzydłowy bez przerwy manewrował manetką gazu, by utrzymać pozycję.

Zwyczaj nakazywał, by nowy pilot przez kilka pierwszych lotów pełnił rolę skrzydłowego dowódcy dywizjonu, zajmując teoretycznie najbezpieczniejsze miejsce w szyku. Tucker nienawidził jednak konieczności uczenia nowych pilotów.

Zsunął gogle na czoło, pocierając policzki w miejscu, w którym powstały odciski od gumy. Uwięziony pod nią pot spłynął po twarzy. Major sprawdził odczyty instrumentów, upewniając się, że wszystko jest w porządku. Zadanie „osłona głębokiej penetracji terenu nieprzyjaciela” przy nalocie na Magdeburg grupa wykonała bez szczególnych fajerwerków. Dywizjony wracały teraz do bazy, szukając „celów przypadkowych”.

Tucker spojrział na dwa dywizjony, schodzące w dół i odlatujące na północ. Oddalały się, wkrótce będą tylko małymi czarnymi plamkami na tle chmur. Po raz kolejny przekreślił się w uprząży, sprawdzając, czy jego maszyny utrzymują szyk.

Tu, w powietrzu, Tucker nigdy nie czuł się wolny, choć inni piloci twierdzili, że tego właśnie wrażenia doznają. Człowiek nigdy nie będzie panem nieba, nawet w tak piękny wiosenny dzień. I nie chodzi o skomplikowany, chwiejny i nieprzewidywalny system frontów atmosferycznych, lecz raczej o maszynę, w której siedzi. Awaria jakiegoś pozornie nieważnego kawałka metalu wystarczyłaby do zatrzymania całego skomplikowanego mechanizmu, zdając samolot na łaskę i niełaskę siły grawitacji. Tucker jeszcze raz sprawdził instrumenty pokładowe. Latanie czymś cięższym od powietrza nadal graniczyło dla niego z cudem. To przekonanie stawiało go w rzędzie staroświeckich romantyków, oddziało od młodszych, bardziej entuzjastycznych pilotów, którzy przyjmowali istnienie samolotu jako coś naturalnego.

Jakież to absurdalne - unieść się w niebo! Tucker był żołnierzem. Przez West Point przeszły cztery pokolenia Tuckerów. Jego pradziadek, również Spurrier, wkroczył z Shermanem do Savannah. Ojciec omal nie otrzymał gwiazdki w 1918 roku, ale wojna skończyła się zbyt wcześnie i w końcu odszedł na emeryturę jako pułkownik. A teraz jego syn dostał szansę. Jak do tej pory rady ojca okazywały się słuszne. Siły powietrzne rozrastały się w bezprecedensowy sposób, dzięki czemu Tucker młodszy cieszył się stopniem, którego nie zyskałby w piechocie lub wojskach pancernych. Gdyby stały się niezależnym rodzajem broni, miałyby też własne dowództwo w Pentagonie, a wszyscy dowódcy rekrutowaliby się spośród lotników ze srebrnymi skrzydełkami i z praktyką w walce, dodającą autorytetu ich rozkazom i powagi opiniom. No więc musi siedzieć w tym blaszanym ptaku wysoko nad ziemią, co w dni takie jak ten nawet mu się podobało.

Najgorszą stroną tej roboty było tłumaczenie pilotom, jaka ciąży na nich odpowiedzialność. W niczym nie przypominali żołnierzy z Akademii, a dyscypliną nie dorastali do pięt choćby „dziewięćdziesięciodniowym cudownym dzieciom”, obejmującym teraz dowództwa plutonów i kompanii piechoty. Nawet dobrze wykształceni piloci, tacy jak Farebrother, nie potrafili przystosować się do wymagań armii. Tego ranka, przed startem, właśnie Farebrother zaprezentował uderzające niezdyscyplinowanie.

- Hej, majorze, Earl chciałby odpuścić sobie tę misję - oznajmił.
- Na litość boską, kapitanie, nie widzi pan, że mam po uszy roboty?
- To mogę wziąć któregoś z zapasu na jego miejsce?
- Zaraz, zaraz. Nadal dowodzę tym dywizjonem i nie mam zamiaru pozwalać podwładnym, żeby dostosowywali sobie rozkazy bojowe do wymagań życia towarzyskiego.

- Earl ma ważne powody osobiste, żeby nie brać udziału w misji. Nigdy wcześniej o to nie prosił.

- Nie, nie prosił. - Tucker uśmiechnął się wszystkowiedzącym uśmiechem. Postukał ołówkiem w biurko. - Mam wrażenie, że pana zdaniem wszyscy powinniśmy przynajmniej raz zaniedbać obowiązki.

- Tego nie powiedziałem.

- Czy porucznik Koenige ma może zamiar wtajemniczyć mnie w naturę tej swojej „sprawy osobistej”, kapitanie? A jeśli tak, to czemu kryje się na korytarzu, podczas gdy pan przedstawia mi jego prośbę? - Tucker znów się uśmiechnął. Szczęście mu dopisało, zobaczył chłopaka przez nie domknięte drzwi.

- Prosił, żebym z panem porozmawiał.

Tucker skinął głową.

- A pan jest jego skrzydłowym, więc musiał się pan zgodzić?
- Jestem jego przyjacielem, dlatego przystałem na to.
- Przypuszczam, że Koenige uznał, iż będzie miał większe szanse na wycięcie tego numeru, jeśli przyśle kapitana. Szkoda, że nie znalazł sobie majora albo nawet pułkownika.

- Krewni porucznika Koenige mieszkają w Magdeburgu. Wolałby nie brać udziału w misji, której celem jest zbombardowanie tego miasta.

- Niech tu przyjdzie. Przecież wiem, że stoi za drzwiami. Koenige?... Wejdz.

Otworzyły się drzwi. Earl wszedł do środka. Opuścił głowę i wpatrywał się w swe lotnicze buty.

- Co to za sprawa z tym uchylaniem się od udziału w misji?

- Jest tak, jak powiedział kapitan Farebrother, panie majorze. Nie chcę bombardować Magdeburga. Moi rodzice się tam urodzili... i dziadkowie też.

- Przecież niczego nie bombardujecie, Koenige. Latacie myśliwcem, nie B-17.

- Wiem, panie majorze.

- Pilotujecie samolot, Koenige. Próbujcie nie myśleć o celu, skoncentrujcie się na swojej robocie. Czy nie rozumiecie, do jakich komplikacji mogą doprowadzić życzenia tego rodzaju co wasze? Boże! Jeszcze chwila i wszyscy moi piloci sami będą decydowali, dokąd chcą lecieć, a dokąd nie polecą. A co ze zwykłymi żołnierzami? Jakież to dla nich wzór żelaznej woli wygrania tej wojny?!

- Pan nie rozumie, panie majorze.

- Owszem, rozumiem, i to lepiej, niż się wam wydaje, poruczniku. Nie wiem tylko, kto wbił wam w głowę ten głupi pomysł. - Przez moment przyglądał się znacząco Farebrotherowi. - Dobrze, zapomnijmy o tym. Tak jak powiedziałem, macie skoncentrować się na robocie. - Wyrównał leżące na biurku papiery. - Może wasza rodzina się przeniosła? Może już nie żyje. Cholera, przecież walimy w Magdeburg od kilku tygodni!

- Twardy z pana sukinsyn, Tucker - wtrącił Jamie.

Major uniósł głowę. Zaskoczył go i uraził wyraz pogardy w twarzy Farebrothera i przerażenie na twarzy Koenige'a. Ci goście potrafili być cholernie wrażliwi... kiedy im to odpowiadało.

- Cóż, bardzo mi przykro. Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało, poruczniku. Czy pan nie rozumie, że staram się panu pomóc? Staram się mu pomóc - powtórzył niemal błagalnie, zwracając się do Jamiego.

- Polecę - zdecydował Koenige.

- Doskonale. Kiedy usiądziecie za sterami, nonsensy zaraz wywie-
trzęją wam z głowy.

- Uważam, że porucznik Koenige powinien pójść do lekarza -
stwierdził Jamie.

- Dajcie spokój, kapitanie. Znacie rozkazy: po odprawie pilotom nie
wolno zgłaszać niezdolności do lotu z powodów zdrowotnych.

- Tucker, on przecież właśnie na odprawie dowiedział się... - Jamie
przerwał i prychnął z pogardą.

- Nie chcę, żeby lekarz uznał mnie za niezdolnego do lotów - zapro-
testował Earl.

- Teraz mówicie z sensem. Trzymajcie się z dala od medyków, chy-
ba że zależy wam na paragrafie osiem.

- Polecę.

Tucker spojrzął na Farebrothera, wyczytując w jego twarzy dezapro-
batę. Ale jak zachowałby się on sam, gdyby był na jego miejscu, gdyby
był dowódcą dywizjonu? Skończyli odprawę; nawet gdyby ktoś zastąpił
pilota, dywizjonowi zabrakłoby jednego pełnowartościowego samolotu.
A gdyby dowódca grupy zaczął zadawać pytania, to czy Farebrother
wziąłby po tyłku? Nie. Po tyłku wziąłby major Spurrier Tucker, a jeden
taki wpis w akta każdemu oficerowi zrujnować może szanse na awans.

Tucker opuścił nos maszyny. Strzałka wysokościomierza zawirowała,
skrzydła mustanga musnęły chmurę, po czym maszyna zanurzyła się w
nią.

- „Sparkplug Leader”, tu „Yellow Two”. Widzę lotnisko na godzi-
nie dziesiątej - zameldował Rube Wein.

- „Yellow Two”, Roger. Wyłączam się.

Tucker poprowadził dywizjon łagodnym skrętem w dół. Następnie

eskadry rozdzieliły się. Dostrzegł już niemieckie lotnisko - duże, z trzema pasami. Widział też kilka wielkich maszyn transportowych. Przesunął drążek, przechodząc w lot nurkowy. Ziemia podskoczyła ku niemu, budynki i drogi zawirowały, kiedy wykonał przewrót przez skrzydło i wyrównał w szerokim skręcie, po którym znalazł się tuż nad lotniskiem. Reszta maszyn podciągnęła do niego.

Podszedł do celu tak nisko, by móc strzelać do wszystkich pięciu transportowców. Były to trzysilnikowe junkersy Ju 52, pomalowane w szarozielone plamy. Dostrzegł w celowniku pierwszy z nich. Wystrzelił długą serię, kule wykrzesaly iskry na metalowych kadłubach. Nie przerywał, trafiając nieprzyjacielską maszynę na całej jej długości.

Przechylił się ostro i skręcił, dzięki czemu mógł teraz strzelić do dwusilnikowego heinkla, tankującego właśnie przy dispersalu. Trafili; wielkie jasne kwiaty wykwitły na skrzydłach maszyny i otaczających ją cysternach. Buchnął płomień, a w sekundę później rozległ się huk eksplodującej cysterny. Fala powietrza uniosła mustanga i mocno przechyliła go na skrzydło. Tucker walczył z drążkiem, próbując wyprostować maszynę. Leciał nisko, niemal trącając korony drzew. Poczul, że oblewa go zimny pot, przez moment miał wrażenie, że uderzy w ziemię.

Obejrzał się przez ramię. Żółta eskadra zesza w dół i nadlatywała ze wschodu. Kiedy jej maszyny otwierały ogień, jeden z junkersów już płonął.

- „Green Leader”, tu „Sparkplug Leader”. Wyjdźcie na dziesięć tysięcy i osłaniajcie nas.

- Roger. Wilco. - Pewnie go teraz klną, ale i tak zrobią, co im każe. Dostrzegł, że skrzydłowy został nieco z tyłu.

- Podciągnij, „Red Two”. „Sparkplug Red Two”, słyszysz? Podciągnij.

- Roger. Wilco.

Tucker skręcił nieco szerzej, dając nowemu pilotowi szansę zbliżenia się. Jakby mało było tego cholernego ostrzeliwania szkopskich lotnisk, musi jeszcze zmieniać pieluszki jakiemuś nowemu. Artyleria lotnicza

wreszcie się przebudziła. Wielkie łuki kolorowych świateł obramowały jego mustanga; to artylerzyści gwałtownie obracali karabiny maszynowe, celując w niebieską eskadrę, nadlatującą z południa.

Są tacy, którzy mówią, że prawdziwa odwaga polega na umiejętności opanowania strachu. Według tej definicji major Tucker nie był człowiekiem odważnym. Nie bał się zestrzelenia, bo po prostu nie potrafił go sobie wyobrazić. Wszystkie jego lęki miały charakter towarzyski. Zimno mu się robiło na myśl o tym, że przełożeni go upokorzą, że równi rangą będą nim pogardzać, a podwładni okażą niesubordynację. W stosunkach z kobietami przeszkadzał mu strach, że zostanie odtrącony. Stając twarzą w twarz z nieprzyjacielem major myślał jednak chłodno, jasno, jak przystało na dobrego żołnierza. Dziś te dwie różne strony jego osobowości miały wejść z sobą w konflikt.

Atakować jeszcze raz czy nabrać wysokości i lecieć do domu? - to było najważniejsze pytanie. Z jednej strony dywizjon nie poniósł strat, znajdował się w dogodnej pozycji do drugiego ataku, a piloci byli do niego psychologicznie przygotowani. Z drugiej strony Niemieccy artylerzyści wstrzelali się już, znali dystans, ustawili wyprzedzenie i dokładnie wiedzieli, gdzie celować.

Spojrzał w dół. Nie uszkodzonych celów nie brakowało. Jeśli zdecyduje się na powrót, MM będzie z niego podkpiwał, ale jeśli zaatakuje, jego eskadra, „Red”, będzie miała największe szanse na wyjście bez szwanku. „Blue”, atakująca jako ostatnia, dostanie najgęstszy i najcelniejszy ogień. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odesłać jej na górę, do osłony, ale dowódcą „Blue” był Myszka, a on będzie się skarżył, że specjalnie odmówiono mu szansy zaliczenia kolejnych maszyn. Już przedtem próbował.

- „Sparkplug Leader”! Jeszcze raz i lecimy do domu.

Tym razem Tucker podszedł nieco wyżej, niech skrzydłowy też trochę sobie postrzela. Pasem mknął myśliwiec, jakiś cholernie odważny niemiecki sukinyś miał ochotę się do nich dobrać. Tucker musnął ster

wysokości, pochylając mustanga tak, by dostać go na celownik i przyszyć do pasa. Widział, jak niemiecka maszyna przechodzi przez linię jego ognia, a potem uniósł nos i zaczął się wznosić.

Rozejrzał się po horyzoncie. Gdyby ich teraz zaatakowano, zostaliby wyrżnięci bez litości, liczył jednak na to, że eskadra osłony w porę dostrzeże nieprzyjaciela. Szybciej! Szybciej! Miał wrażenie, że rozproszonym samolotom podejście do ataku zabiera godziny. Obrona przeciwlotnicza była już w najwyższej formie. Za nim wyrosła w powietrzu kolorowa ściana, przez którą przelecieć musiały wszystkie maszyny. Nad lotniskiem unosił się bladoszary dym, częściowo od strzałów, a częściowo z palących się niemieckich transportowców, z których jeden zwałił się w płonący stos. Nagle rozbłysł czerwony płomień - to Niemcy trafili mustanga. Był za nisko, żeby się ratować, pilot więc próbował usiąść na pasie, ale zawadził skrzydłem o stojącą tam maszynę, samolot przekoziołkował i wybuchł. Tucker obrócił się jeszcze bardziej, pragnąc lepiej zobaczyć tę scenę i w tym momencie oberwała jeszcze jedna z jego maszyn. Pilot musiał upaść na drążek, ponieważ maszyna znurkowała i wbiła się w płonący transportowiec. Paliwo w jej zbiornikach wybuchło natychmiast.

Rząd atakujących myśliwców nie był już równy. Dwa z nich, lecące nieco z tyłu, skręciły, rezygnując z przeprowadzenia ataku; odleciały, odprowadzane ogniem z ziemi. Ostatnie cztery nadleciały jednak na lotnisko, a ponieważ uwaga artylerzystów była chwilowo odwrócona, całe i zdrowe wyłoniły się z kłębow czarnego dymu, zasnuwających okolicę.

- „Green Leader”, tu „Sparkplug Leader”. Dołącz do formacji.

Dywizjon zaczął się wspinać w chmury. Wyżej, wyżej, jak najdalej od tego wszystkiego! Dwa trzaski w słuchawkach świadczyły, że „Green Leader” potwierdził przyjęcie rozkazu.

- Tu „Sparkplug Leader”. Kogo brakuje? Meldować. „Blue Leader”?

Tego nienawdził najbardziej. Zaczął myśleć o czymś innym, jak

zawsze, kiedy znalazł się w sytuacji, której nie znośił. Pamiętał studia w Akademii: maszerowanie, maszerowanie, maszerowanie. Lodowaty wiatr w dolinie, szare mundury, szare bryły lodu płynące Hudsonem, szare gotyckie budynki, zsiniałe z zimna twarze. „Obowiązek, Honor, Ojczyzna”.

- „Blue Leader”, meldować! Kogo straciliśmy?

22. Kapitan Vincent H. Madigan

- Każdy najgłupszy oficer w bazie wie o kontaktach z prasą więcej ode mnie - poskarżył się Vince Madigan. - Dobrych rad wysłuchuję od kapitana dowodzącego plutonem strażackim, lekarz podpowiada mi, co powinienem zrobić i jak, piloci skarżą się bezustannie, a wczoraj nawet kapelan pouczył mnie, jak mam sobie radzić z czymś, co nazwał „moralnym paradoksem chrześcijan walczących na wojnie”. Już mi się chce rzygać!

Kapitan Madigan nie rozmawiał na ogół tym tonem z podpułkownikami z biura prasowego przy Grosvenor Square, ale ten podpułkownik wydał mu się inny. Był bystry, przyjacielski i sprawiał wrażenie odprężonego; przed wojną należał do zarządu dużej agencji na Zachodnim Wybrzeżu. To „cudowne dziecko” zupełnie nie przypominało nadętych typków z West Point, dzwoniących z rozkazem uporządkowania papierów albo, co gorsza, komplementujących go za coś, co napisał nieznośny szeregowiec pierwszej klasy Fryer. Lestera Shelleya zrobiono „malowanym pułkownikiem”, ponieważ był popularnym agentem i dziennikarzem; po wojnie miał wrócić do zawodu i kontynuować karierę od miejsca, w którym ją przerwał.

- Spokojnie, Vince - powiedział. - Jeszcze sporo będziesz miał tego gówna. Uśmiechaj się szeroko i ciepło im dziękuj. Taka praca, mały.

Podpułkownik Lester Shelley uśmiechnął się szerokim, ciepłym uśmiechem, dokładnie takim, jaki przed chwilą opisał. Zęby miał bardzo białe, równe, wręcz doskonale - taki produkt są w stanie dostarczyć

wyłącznie technicy dentystyki z Beverly Hills. Jego skóra wydawała się żółtawa, choć - celem utrzymania kalifornijskiej opalenizny - sprowadził sobie zza Atlantyku lampę kwarcową. Bardziej przypominał wyglądem gwiazdora filmowego niż „małomiasteczkowego prawnika”, którym, jak lubił opowiadać, był kiedyś.

- Daj sobie spokój z tym „sporo gówna” - powiedział Madigan i natychmiast roześmiał się. Podobnie jak głos, jego śmiech był głęboki, męski, dźwięczny.

Shelley obejrzał się, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

- Robimy w tym samym oszukańczym biznesie, Vince - wyznał. - Jesteś w typie oficerów prasowych, których lubię. A kiedy kogoś lubię, to się nim opiekuję. - Znów się uśmiechnął, ujawniając przy tym ślady po cięciach chirurgii plastycznej, które nadały mu młodzieńczy wygląd przez naciągnięcie mięśni twarzy. - Będiesz mi jednak potrzebny w moim narożniku. Mogę na to liczyć? - Patrzył na rozmówcę piwnymi oczami, a kiedy ten przytaknął skinieniem głowy, mocno klepnął go po ramieniu. - Doskonale, Vince. We dwóch stworzymy wspaniały zespół.

- Zespół do czego? - zainteresował się Madigan, wiedząc, że Shelley składa w Steeple Thaxted wyłącznie króciutką wizytę.

- Kpisz sobie ze mnie, Vince, prawda? Przecież nie urodziłeś się wczoraj. Dawno temu dostrzegłeś reklamowy potencjał w poruczniku Morsie, chyba że popełniam tragiczną pomyłkę. I to gówno z Myszką Mickey! Jedno muszę ci przyznać, złożyłeś całą historię z paczki spinaczy i książki telefonicznej, jak się mówi w Hollywood.

- Zrobiłem, co mogłem - powiedział skromnie Madigan i już miał zamiar szerzej rozwieść się nad tym, lecz Shelley pomachał w powietrzu wymanikiowanym palcem. Vince umilkł więc posłusznie i wypił trochę whisky.

- Jeśli dobrze się go poprowadzi, porucznik MM, czy jak tam zdecydujemy się go nazywać, trafi do gazet z dużym hukiem. A mój generał

się ze mną zgadza - najwyższy czas, żeby lotnictwo myśliwskie znalazło się na czołówkach. Ludzi zmęczyły relacje o tym, jak to chłopcom z ciężkich bombowców rączka ani drgnie, chociaż Luftwaffe hurtem wysłała ich do nieba. Mam przecucie, że publiczka oczekuje czegoś innego niż historie wojenne. Oczekuje czegoś dziarskiego, energicznego i optymistycznego. Rok 1944 będzie rokiem, w którym zdejmiemy kółka z Osi... i taką melodyjkę zagramy...

- W pełni się z panem zgadzam, panie pułkowniku.

- Słodki Boże, mów mi Lester! - Shelley spojrzął na zegarek, popatrzył na zegar ścienny i poinformował barmana, że śpieszy się on o dwie minuty. Nie czekając na odpowiedź kontynuował: - Za pół godziny przyjedzie tu autobus pełen dziennikarzy. Będą się zajmować różnymi śmieciami, więc musimy się upewnić, że nie zdołają przegapić naszego małego Morse'a. Jest wydarzeniem, a jak mają w garści wydarzenie, to już nie popuszczą. - Jeszcze raz zerknął na zegarek, powąchał martini, jakby podejrzewał, że mogło zwietrzeć, i spytał: - On dziś poleciał, tak?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi. Byli już w sali odpraw, gość obejrzał tasiemki, rozciągnięte nad Niemcami aż do Magdeburga, widział też tabliczkę z nazwiskiem „Morse”.

- Chyba mogę pochwalić się, że przewidziałem to i że zrobiłem dobry początek, Lesterze - powiedział wobec tego Madigan.

- Wspaniale! - Shelley puścił kłęb dymu z cygara.

- Australijski pisarz Henry Scrimshaw robi dla nas duży materiał o Mysze. Od paru tygodni składają go obaj do kupy. Scrimshaw siedzi tu praktycznie codziennie. Zawiadomiłem fotografów, żeby zwrócili szczególną uwagę na Morse'a oraz zrobili kupę zdjęć towarzyszących, pokazujących głównie najważniejszy, a często pomijany, wysiłek obsługi naziemnej : zbrojmistrzów, mechaników, pakowaczy spadochronów.

- No to wspaniale, Vince - powtórzył pułkownik, ale tym razem w jego głosie było mniej przekonania. - Możesz mi powiedzieć coś bliższego o tym... jak mu tam, Scrimshawie?

- Niewiele - wyznał Madigan. - Ale wiem, że sprzedał sporo dużych materiałów do amerykańskich pism.

- Australijczyk... - Shelley podrapał się po brodzie paznokciem kciuka, po czym zajął się cygarem. - Masz pod ręką kopię kontraktu?

- K o n t r a k t u ?

- Między Scrimshawem a tym Myszka... Co oni podpisali?

- Nie wiem, czy armia zezwala na podpisywanie umów. Musiałbym zasięgnąć wiążącej opinii.

- Chcesz wiążącej opinii, to ją dostaniesz, Vince - Madigan zobaczył utkwione w siebie chłodne spojrzenie. - Fakt służby w wojsku odbiera człowiekowi jego podstawowych praw obywatelskich. Z przyjemnością informuję cię, że jako żołnierz podpisywałem kontrakty na prawo i lewo. Całe mnóstwo hollywoodzkich gwiazd siedziałyby przez cały ten czas na tyłkach, gdybym nie zezwolił na ich zatrudnienie.

- Jestem prawie pewien, że MM nie podpisał żadnego kontraktu. - Vince wypił odrobinę whisky. Przez tego „przyjacielskiego” sukinsyna oblał się potem. Wytarł dłoń o spodnie. Shelley uśmiechnął się, jakby podejrzewał, że jego rozmówca tylko udaje spoconego. - Więc myślę, że z tej strony nic nam nie grozi, Lesterze - dokończył Vince.

Pułkownik westchnął, pogrzebał w teczce, wyprostował się i uśmiechnął tym rekomendowanym przez siebie szerokim, ciepłym i przyjacielskim uśmiechem.

- Gdybyś studiował prawo, zamiast tego co tam studiowałeś, to wiedziałbyś, że Scrimshaw zdobył znacznie więcej nie podpisując niczego, niż gdyby coś podpisał.

Madigan pocieszył się whisky.

- Jak to?

- Porucznik Morse spotkał się z nim i rozmawiał, świadom możliwości wykorzystania rozmowy w publikowanym materiale. Tak więc zawarli jakąś umowę. Legalnie rzecz biorąc, nasz porucznik dysponuje teraz tymi samymi prawami co poprzedni bohaterowie tekstów Scrimshaw. Mówiąc prościej - nie ma żadnych praw.

- Rozumiem.

- A ja nie mam zamiaru tolerować tej sytuacji. - Pułkownik podrapał się po brodzie. - Mam wrażenie, że będziemy musieli pozbyć się, niestety, tego Australijczyka.

- Może wystarczy z nim pogadać? Myślę, że pójdzie na współpracę.

- Na tego rodzaju ryzyko nie możemy sobie pozwolić, Vince. - Shelley znów wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Sprawą tak ważną musi zająć się ktoś, kogo znamy, komu możemy zaufać. Musimy dostać gotowy tekst na długo przed publikacją, żeby uniknąć ewentualnych błędów i w razie potrzeby dodać kilka ważnych, a opuszczonych przez piszącego informacji.

- Żaden znany dziennikarz nie przystanie na takie warunki.

- Nie wiem, z iloma znanymi dziennikarzami miałeś do czynienia, Vince - rzekł chłodno Shelley. - Ja jednak nie spodziewam się poważnych obiekcji. Scrimshaw i cała reszta tych orłów muszą żyć w zgodzie z armią albo odbieramy im akredytację i noga ich nie postanie więcej na terenie wojskowym. - Zaciągnął się dymem. - Nie będziemy mieli najmniejszych problemów.

- Chyba masz rację.

- To nie jest kwestia cenzury, Vince. - Pułkownik najwyraźniej zdawał sobie sprawę z manifestacyjnego braku entuzjazmu podwładnego. - To jest kwestia wygrania wojny. Nie powinniśmy spierać się o takie drobiazgi, przyjacielu. I dla gówniarza tak będzie lepiej. Załatwimy mu prawdziwy kontrakt. Nie ma powodu, żeby pan porucznik Morse nie dostał jakichś dwóch tysięcy dolarów za prawo wyłączności.

- Zgadzam się z panem w całej rozciągłości, panie pułkowniku.
- Lester - poprawił go burknięciem pułkownik, wachając cygaro. Imię najwyraźniej spływało mu z ust automatycznie.
- Ostatnio bazę odwiedziło sporo dziennikarzy - poinformował go Madigan.

Shelley zacisnęła wargi.

- W Londynie aż roi się od przedstawicieli prasy. Są dni, kiedy muszę przepychać się rano przez tłum w drodze do biura. Nie chodzi tylko o Amerykanów; mamy Brazylijczyków, Rosjan, Szwajcarów, Portugalczyków, Hiszpanów, Turków... Jakby bliżej się im przyjrzeć, pewnie znalazłby się nawet Hotentot i Eskimos. - Uśmiechnął się, dając Madiganowi do zrozumienia, że choć praca wymaga od niego, by traktował wszystkich miło i życzliwie, to nie ma zamiaru przyglądać się im zbyt dokładnie. - Dziennikarze czekają na tę cholerną inwazję, wiesz?

- A kiedy dojdzie do niej?

- Jeszcze nie zdecydowano - oznajmił pułkownik dając do zrozumienia, że kiedy decyzja zapadnie, on dowie się o niej w pierwszej kolejności. - Co mądrzejsi twierdzą jednak, że musi to nastąpić w maju. Angole zawiesili już dla cywili transport między Wielką Brytanią a Irlandią. Wyznaczyli na południowym wybrzeżu Anglii strefę, do której cywile również nie będą mieli wstępu. - Po raz kolejny zerknął na zegarek i zdecydował, że pora na zakończenie spotkania. - Pytasz, dlaczego to musi być maj? Otóż w zeszłym tygodniu spotkałem się z pewnym moim serdecznym przyjacielem. Jest w Kwaterze Głównej, w zespole planistów Eisenhowera. Powiedział mi, jakie warunki są konieczne do przeprowadzenia inwazji: słabe światło księżyca, chmury do co najmniej trzech tysięcy stóp, wiatr poniżej dwudziestu mil na godzinę na Kanale i jeszcze słabszy na plażach. Średnia z ostatnich stu lat mówi, że w czerwcu takie warunki panują przeciętnie przez zaledwie dwa i pół dnia, a potem pogoda robi się coraz gorsza i na Kanale zaczynają się burze.

- Niemcy nie mogą sami sobie tego obliczyć?
- Jasne, że mogą, ale sztab ma nadzieję, że nie obliczą. Wszystkich alianckich korespondentów poproszono, by wstrzymali się od spekulacji na temat daty inwazji, ale ja obstawiam maj, więc powiedz temu swojemu Morse'owi, że zostało mu już niewiele czasu.
- Z powodu inwazji?
- Nasze prasowe orły na razie miło spędzają czas, nie przepracowują się myśleniem, a tematów szukają głównie w butelkach whisky, ale kiedy zacznie się inwazja, wszyscy rozsądni reporterzy załapią się z armią i wyniosą na kontynent. Piechota trafi na czołówki, a nas czeka miły relaks, który obiecujemy sobie od dłuższego czasu. Jeśli ta historia z Morse'em wypali, to może będziesz mógł żyć i podróżować sobie po Stanach za procent od oszczędności. No i doczekasz się awansu.
- Brzmi to nieźle - orzekł Madigan. W rzeczywistości brzmiało jak typowe hollywoodzkie gówno, ale może ten kurdupel potrafi wykręcić taki numer... - Od czego zaczniemy?
- Znajdź jakiś sposób na utrzymanie Scrimshawa z dala od lotniska. Ja z kolei postaram się trzymać Morse'a na lotnisku.
- Ile to ma potrwać?
- Tyle, by MM zdecydował się podpisać antydatowaną umowę z bardziej odpowiednim dziennikarzem. Musimy zadbać o tego chłopca, Vince. W końcu nadstawia za nas karku.
- Niełatwo będzie utrzymać go w bazie - stwierdził Madigan. Nie wspomniał jednak o istnieniu Very Hardcastle. Cholernie by to skomplikowało sprawę.

Nim samoloty zaczęły lądować, zapadł mrok. Niebo nad Anglią zasnucone było szarymi chmurami, zmierzchało, więc fotografowie założyli na aparaty jaskrawe reflektorki i lampy błyskowe. Autobus, którym przyjechali z Londynu, stanął niedaleko strzelnicy, obok miejsca, gdzie

kołowały zazwyczaj samoloty Myszk i pilotów z jego eskadry. Było zimno, więc większość dziennikarzy nie wyszła na dwór. Kierowca trzymał włączony silnik, chcąc utrzymać w środku znośną temperaturę. Niebo na zachodzie było ciemnożółte, a chmury lśniły różowo.

Kapitan Madigan stał z przodu autobusu, opowiadając o dzisiejszej misji tyle, ile wolno mu było o niej opowiedzieć. Grupa miała za zadanie osłonę powracających znad dalekiego celu bombowców, a celem był Magdeburg. Ani słowem nie wspomniał, że na widok trasy dziś rano na odprawie rozległy się jęki, ogłosił za to wszem i wobec, że luty 1944 roku już przeszedł do legendy i że „Wielki Tydzień” opisywano jako jedną z największych bitew w historii ludzkości. Lotnictwo Myśliwskie Ósmej Armii Lotniczej tylko w lutym przeprowadziło dwa tysiące pięćset czterdzieści osiem wypadów nad terytorium nieprzyjaciela, mimo nieprzerwanie niesprzyjającej pogody. W lutym największe straty ponosiły załogi bombowców, piloci myśliwscy mieli zaś względnie łatwiejsze życie. Teraz jednak rozpoczęła się nowa faza wojny - hollywoodzki „malowany pułkownik” nie mylił się przynajmniej w tym względzie i w marcu grupy myśliwskie poszły na wymianę ciosów z Luftwaffe. Piloci docierali w głąb Niemiec, a myśliwcy zaczęli zdobywać dodatek lotniczy znacznie ciężiej niż dotąd.

Zakończył gadkę tuż przed pojawieniem się nad bazą pierwszego powracającego samolotu. Piloci wracali długim porwanym rzędem. Pułkownik Dan na „Pilgrimie”, dowodzący Dywizjonem 195, wylądował pierwszy. Jakieś piętnaście do dwudziestu minut później pojawił się Tucker, prowadzący Dywizjon 199 na jakichś czterech tysiącach stóp. Piloci dopiero nad lotniskiem sformowali szyk do lądowania, nikt więc nie mógł mieć najmniejszych nawet wątpliwości co do tego, że walczyli. Świadczyły o tym nie tylko plamy wokół wylotów luf karabinów maszynowych i czarne plamy na skrzydłach, lecz także niedbały sposób pilotażu, bez troskie podchodzenie w ślizgu nad pas i wreszcie twarde

ładowania, po których maszyny podskakiwały w powietrze, a mechanicy krzywili się na samą myśl o tym, co dzieje się z hydrauliką. Madigan też się skrzywił. Chłopcy byli wykończeni.

Rozejrzał się, sprawdzając, jak lądowanie przyjęli korespondenci. Wydawali się szczęśliwi. Zapomnieli już o zwykłych troskach: telefonach, toaletach, gorącej kawie. Wyszli z autobusu; stali z zadartymi głowami, gadając jeden przez drugiego i uśmiechając się do siebie. Wyglądali doprawdy komicznie: tłuściutcy, czerwoni na twarzach, ubrani w źle dopasowane wojskowe płaszcze z kieszeniami wypchanymi notatnikami, rękawicami, pigułkami na trawienie, batonikami i - oczywiście! - pierśiówkami. Wszyscy jak jeden mąż obwiesili się paskami od masek gazowych, lornetek, aparatów fotograficznych i plecaków. Niektórzy zatknęli za wojskowe czapki ołówki.

Wylądowała „Myszka Mickey II”, a zaraz za nią „Daniel” i „Kibitzer”. Pełzły drogą kołowania, a reporterzy coraz bardziej ekscytowali się myślą, że oto wkrótce przyjdzie im na własne oczy zobaczyć młodego asa, którego tak namiętnie im zachwalano. Trzy maszyny nie zachowywały regulaminowych odstępów; przez moment wydawało się nawet, że Jamie Farebrother najedzie na ogon poprzedzającego go samolotu. Madigan przeklął go w myśli - byłby to nie lada pech, kraksa w obecności przedstawicieli prasy. Niebezpieczeństwo minęło jednak, więc uśmiechnął się do Lestera, nie ukrywając ulgi, pułkownik jednak niczego nie zauważył - w przeciwieństwie do Scrimshawa, który pojawił się jakby znikąd, wlaź na przyjęcie bez zaproszenia, a teraz uśmiechał się do Madigana i z aprobatą kiwał głową. Ten cholerny australijski piernik ma oczy naokoło głowy! Vince'a wcale nie cieszyła perspektywa odklejenia go od Myszk. Twardy był z niego praktyk, Madigan spotykał takich już wcześniej i wiedział, że za nic mają autorytety i nie sposób ich odstrąszyć.

Zabrał ze sobą psa Myszk i gdy tylko maszyna stanęła na wyznaczonym miejscu, natychmiast wepchnął go do kokpitu. Prasa uwielbiała tego

rodzaju scenki. Aparaty fotograficzne trzaskały niczym karabiny maszynowe. MM z radością odegrał swą rolę, nie zawahał się nawet włożyć swego hełmu na łeb Winstona. Kiedy wszystkie zawarte w tej sytuacji możliwości zostały już wykorzystane, Vince wyciągnął bańkę farby i pędzel, by reporterzy mogli sobie sfotografować szefa mechaników, malującego kolejną swastykę na nosie mustanga, przy którym pozował uśmiechnięty pilot.

Tymczasem Jamie Farebrother zdołał dotrzeć na miejsce. Madigan poszedł się z nim przywitać, ale Jamie chyba go nie słyszał, nie zauważył też powitalnych gestów. Siedział z dłońmi opartymi o kadłub. Oczy miał podkrążone, twarz przeraźliwie bladą i tak ściągniętą, że policzki zdawały się głęboko zapadnięte.

- Jak ci poszło? - spytał Madigan, ale Jamie nie zareagował, wpatrzony nadal gdzieś przed siebie.

- Niech pan odejdzie, panie kapitanie - powiedział ktoś za jego plecami i niemal w tej samej chwili Tex Gill, szef mechaników Farebrothera, odepchnął go na bok. - Kapitan nie może wyjść. Nie widzi pan, że potrzebuje pomocy? - rzucił przez ramię, wskakując na skrzydło „Kibitzera” i zabierając się do rozpinania pasów Jamiego.

Dopiero teraz Madigan zdał sobie sprawę, ile misje kosztują człowieka. Jamie Farebrother spędził w ciasnym kokpicie blisko pięć godzin. Był niemal nieprzytomny i tak wyczerpany psychicznie, że trzeba było pomagać mu zejść jak schorowanemu starcowi.

- Zaliczyłeś coś, Jamie? - zawołał Vince, rozglądając się w poszukiwaniu Shelleya. Zobaczył go i z niepokojem spostrzegł jego zmarszczone brwi. No tak, w bazie nigdy jeszcze nie było naraz tylu tak ważnych dziennikarzy, a obecność pułkownika dodatkowo go denerwowała. - Zaliczyłeś coś, Jamie? - powtórzył pytanie.

Sierżant Gill pokręcił głową, ale Vince idiotycznie próbował nawiązać rozmowę. Znów zerknął na zamieszanie wokół „Myszki Mickey II” i zauważył wreszcie, że nawet MM wygląda nieszczególnie, ale w tym małym było mnóstwo z cyrkowca, więc nadal dawał z siebie wszystko w

obliczu publiczności. Nikt z dziennikarzy nie zdawał sobie najwyraźniej sprawy, jak ciężki dzień przeżyła grupa, nikt z nich nie miał chwili czasu, by zerknąć choćby na Farebrothera lub Rube'a Weina. Tym lepiej.

- Gdzie jest Earl? - spytał Vince. Nie miał wątpliwości, że „Kibitzer” strzelał; maszynę czuć było prochem, rozgrzanym olejem i rozlanym chłodziwem. Nie znosił tej kombinacji zapachów, nie znosił też brzęku i stuku kurczącego się metalu rozgrzanych silników. Niezależnie od tego, co zdecyduje się zrobić po wojnie, z pewnością będzie się trzymał z dala od lotnictwa!

Sierżant Gill zdołał rozpiąć uprząż spadochronu. Jamie zeskoczył na ziemię, podtrzymywany przez Madigana.

- Gdzie jest Earl? - powtórzył Vince.- Gdzie Earl? Gdzie Earl Koenige? - Pomyślał, że może pilot ogłuchł od kilkugodzinnego ryku silnika.

Jamie zdjął hełm i potrząsnął głową, jakby usiłując zebrać myśli.

- Earl poszedł na swoje - oznajmił w końcu, jakby winił za to Madigana.

- Zestrzelony? Earl? Udało mu się wyskoczyć? Cholera! Jak to się stało, Jamie?

Jamie Farebrother położył mu dłoń na piersi i odepchnął go z całej siły.

- Spalił się, Vince. Czego ode mnie chcesz?! Żebym ułożył relację dla prasy?

Madigan stracił równowagę i cofając się oparł się o krawędź skrzydła. Z okrzykiem bólu szarpnął dłonią; metal był przeraźliwie zimny po długim locie na dużej wysokości. Potarł rękę.

- Przykro mi, wiesz? Naprawdę bardzo mi przykro. Wiem, że byliście przyjaciółmi.

Cokolwiek powiedział, najwyraźniej pogarszał sytuację. Rozejrzał się dookoła, zaniepokojony, że pułkownik Shelley mógł zwrócić uwagę na tę wymianę zdań, ale nie musiał się martwić. Pułkownik rozmawiał z grupą przedstawicieli dużych agencji prasowych.

Jamie tymczasem odwrócił się i poszedł w kierunku czekającego nań dzipa. Rube zdążył już zająć swe miejsce; usiadł obok, nawet na niego nie spojrzawszy. Siedzieli patrząc wprost przed siebie, jakby niczego nie słyszeli, nic nie rozumieli. Samochód odjechał. Siedzenie obok kierowcy pozostało puste.

Vince dołączył do grona wielbicieli MM skupionych wokół niego.

- Chcecie zobaczyć, co pilot myśliwski musi zrobić po powrocie z długiego lotu? - zawołał Myszka. Odpowiedziały mu potwierdzające pomruki. - Gotowi do zdjęć? - Myszka rozpiął spodnie i wysusiał się na ziemię.

Madigan rozejrzał się, sprawdzając, jakie wywarło to wrażenie. Zobaczył uśmiechy, ktoś zagwizdał, ktoś okrzykiem dodał pilotowi odwagi; MM doskonale ocenił swą publiczność. Zerknął na pułkownika, który odpowiedział mu wesołym mrugnięciem. Następnie spojrzął na zegarek i powiedział autorytatywnym tonem:

- Musimy pozwolić porucznikowi Morse'owi udać się teraz na odprawę po misji. Ale, panowie, będziecie mieli szansę porozmawiania z nim nieco później.

- A czy my możemy uczestniczyć w odprawie? - zainteresował się jeden z reporterów.

Pozostali przystanęli, oczekując odpowiedzi.

- Obawiam się, że niestety nie - rzekł Madigan. - Z dzisiejszą misją wiązą się pewne szczegóły, które muszą pozostać tajne. W ciemności zabłysła zapalona zapałka. - Proszę nie palić! - krzyknął. - Teraz zabieram panów do pięknego angielskiego pubu. - Zamilkł, jakby coś sobie nagle przypomniał. - To ulubiony lokal pilotów - zełgał bezwstydnie. - Będziecie więc mieli szansę zapoznać się z tutejszą specyfiką. Przygotowaliśmy jedzenie i drinki.

Reporterzy ruszyli w stronę autobusu. Pułkownik Shelley podszedł do Vince'a.

- Co w tej cholernej misji jest sekretem? - szepnął.

- To, że grupa została zdziesiątkowana - wyjaśnił Madigan. - Gdyby

zabrać tę bandę na odprawę, to jak dwa a dwa jest cztery, tak któryś z pilotów wyłakałby się któremuś na ramieniu albo narzygał mu do kape-lusza.

- Skąd wiesz, że ponieśli straty?

- Podczas kiedy wszyscy z upodobaniem przyglądali się wygłupom tego błazna Myszkki, ja liczyłem przelatujące nad żywoplotem maszyny. Nie wszystkich się doliczyłem, Lester.

- To, że ktoś nie wylądował, nie oznacza przecież, że zginął.

- Oczywiście, panie pułkowniku. Obawiam się jednak, że obecni tutaj panowie nie w pełni pojmą tak subtelne rozróżnienie.

Shelley klepnął go po ramieniu, okazując w ten sposób, że zgadza się z tą opinią. Kiedy obaj znaleźli się w autobusie, dziennikarze już w nim siedzieli, gotowi do drogi. Wszyscy się stawili, co należało uznać za rodzaj cudu; sprawiła go zapewne wzmianka o jedzeniu i piciu. Vince zamknął drzwi i autobus ruszył. W gęstniejącej ciemności Cambridgeshire wyglądało pięknie i tajemniczo. Niemal z dnia na dzień udało się Madiganowi załatwić posiłek dla dziennikarzy w „King's Head Hotel” w Lower Collingwood, a to dlatego, że amerykańscy lotnicy wywołali kilka bójek w Steeple Thaxted i póki mieszkańcom wsi nie przejdzie gniew, lepiej trzymać prasę z dala od nich. W każdym razie Lower Collingwood było miejscowością o wiele bardziej malowniczą - wyglądało jak wyobrażenie kogoś świeżo przybyłego ze Stanów do starej, dobrej Anglii. Żeby upewnić się, że jedzenie i picie sprostą wygórowanym wyobrażeniom czwartej władzy, wysłał tam wcześniej jednego ze swych sierżantów z konserwami i skrzynką whisky.

Autobus mijał farmę Hobdaya, znajdującą się dokładnie na linii pasa, kiedy nad żywoplotem pojawił się lecący nisko mustang. Zawisł w chłodnym powietrzu, z wypuszczonymi klapami - ciemna drapieżna sylwetka w słabym świetle zmroku, po czym znikł za kępą jesionów, rosnących na granicy farmy. Silnik chrypiał astmatycznie. Przez moment w autobusie panowała cisza, a potem dziennikarze zaczęły krzyczeć jeden przez drugiego.

- Czy to jedna ze spóźnionych maszyn? - rozległ się z ciemności jakiś głos.

- Tak jest - odparł Vince, przechodząc na tył. Nie chciał stać obok kierowcy jak jakiś cholerny przewodnik. - Sądząc po dźwięku silnika, zaczyna jej brakować paliwa.

Przedzierał się wśród siedzących reporterów i ich zwalonego byle jak ekwipunku. Henry Scrimshaw, który jakimś cudem załapał się na zabawę, zajął miejsce z tyłu. Był sam, palił tę swoją śmierdzącą fajkę. Madigan podszedł do niego; dziennikarz odgarnął poły obszernego płaszcza i zrobił mu miejsce.

- Jezu, czyż Anglia nie jest piękna? - spytał Vince.

Przejeżdżali przez Thaxted Green. Małe, kryte strzechą domki z pruskiego muru, stojące wokół niewielkiego, obsianego trawą placu, wyglądały tak pięknie, że nawet zatwardziali cynicy wzdychali z podziwu. Z kilku kominów unosił się w niebo szary dym, przepływając wśród rysujących się na tle różowego nieba bezlistnych gałęzi klonów rosnących na łączce. Kierowca przejechał przez wysoki, wąski mostek nieco za szybko; resory skrzypiały głośno. Jakiś idiota, próbujący właśnie zrobić zdjęcie, uszkodził sobie nos i skarżył się teraz na nadmierną prędkość, inni, tęskniący już tylko za kolacją w płynie, domagali się jeszcze szybszej jazdy.

Madigan wyglądał przez okno udając, że nie słyszy sporu. W płynącym pod mostem, wezbrany od deszczy strumieniu o zarośniętych wierzbach brzegach radośnie pluskały się kaczkę. Wszyscy mający jakie takie pojęcie o angielskiej literaturze muszą być tym widokiem urzeczeni, pomyślał.

- Zastanawiał się pan kiedyś nad powrotem do Australii? - spytał Scrimshawa.

- Czy mam rozumieć, że to jest sugestia? - Dziennikarz odpowiedział pytaniem, wyjąwszy fajkę z ust.

- Ależ skąd, proszę pana! - Madigan roześmiał się głośno. - Jestem

szczęśliwy, że udało się panu do nas dołączyć. Wysłałbym panu zaproszenie, gdyby nie to, że całą tę wizytę organizowało nasze londyńskie biuro, i to w ostatniej chwili.

- Dzięki, ale na tego rodzaju żałosne imprezy nie potrzebuję zaproszeń. Mam samochód i dodatkowy przydział benzyny. Udaje mi się na ogół zobaczyć to, co chcę.

Vince uznał, że oto nadarza się wyśmienita okazja, by wszystko starem wyjaśnić.

- Zasady bezpieczeństwa zaostrzają się ostatnio - oznajmił. - To z powodu przygotowań do inwazji. Od dziś może pan mieć poważne kłopoty, jeśli spróbuje pan przedostać się przez bramę bez okazania wartownikowi przepustki.

- Jakiej przepustki?

- Nie ma pan przepustki z Kwatery Głównej Grupy?

Scrimshaw nie odpowiedział, siedział tylko i gapił się na swego rozmówcę.

- Ani listu z Ósmej Armii Lotniczej?

- Cholernie dobrze pan wiesz, że nie mam. - Staruch wyjął fajkę z ust i zaczął w niej grzebać, jakby próbował udowodnić, że rozmowa nie zajmuje całej jego uwagi.

- Parę razy widziałem pana na terenie bazy, panie Scrimshaw. W naszej rozmowie dotyczącej porucznika Morse'a nigdy nie poruszaliśmy kwestii natury formalnej. Byłem pewien, że załatwił pan wszystko z moimi ludźmi na Grosvenor Square. Jeśli nie zrobił pan tego, radzę się pośpieszyć. - Madigan zdjął okulary i zaczął je przecierać. - Cywile muszą mieć przepustkę, upoważniającą do wejścia do każdej określonej strefy, a przez cały czas pobytu na terenie bazy muszą znajdować się pod opieką oficera. Takie otrzymaliśmy rozkazy. - Skończył czyszczenie okularów, wsadził je na nos i spojrzał w twarz Australijczyka.

- Więc udaje pan, że nie widzi przechodzących za bramę dziennikarzy? -

Stary uśmiechnął się, ukazując żółte zęby. - Ponieważ towarzyszenie im oznaczałoby godziny nadprogramowej służby...

- Na bramie wisi wielkie ogłoszenie o treści: „Wszyscy goście muszą zgłosić się na wartowni”. „Wszyscy goście”, a więc i dziennikarze.

Scrimshaw pochylił się w fotelu; Vince poczuł bijący od niego zapach tytoniu i nigdy nie czyszczonego, wilgotnego płaszcza.

- Czy grozi mi pan wykopaniem z lotniska, panie kapitanie?

- Ależ nie, oczywiście, że nie! Moja praca polega na niesieniu przedstawicielom prasy wszelkiej możliwej pomocy, i za to armia mi płaci. Jeśli poprosi pan swego wydawcę, by złożył do mnie podanie na piśmie, załatwię je jak najszybciej.

- Powiedziałem panu, że nie mam wydawcy... Jestem wolnym strzelcem. Już to wszystko przećwiczyliśmy. - Dziennikarz pochylił się i wystukał fajkę o podeszwę buta. Mówił bardzo powoli.

Vince rozpoznał oznaki gniewu i postanowił ułagodzić faceta.

- Chyba źle pana zrozumiałem, ale przecież nie ma to większego znaczenia. W wypadku wolnych strzelców trwa to nieco dłużej... Armia musi wydać panu świadectwo zdrowia, ale to tylko jeszcze jeden powód, by złożyć podanie jak najszybciej i...

- Posłuchaj mnie uważnie, ty kurzy mózdzku - powiedział Scrimshaw, nie martwiąc się o australijski akcent, który na ogół próbował ukrywać. - Jak będziesz się ze mną bawił w kotka i myszkę, to napiszę coś takiego, że waszyngtońscy generałowie zażądają twojej krwi!

Madigan zachichotał grzecznie, udając, że cała rozmowa to tylko taki sobie żart.

- Co pan zrobi, panie Scrimshaw?

- Napiszę materiał, długi i wnikliwy, o jednym z największych asów amerykańskiego lotnictwa myśliwskiego rżnącym żonę angielskiego żołnierza walczącego bohatercko za oceanem. To będzie coś, panie kapitanie.

- To się zdarza. Pech dla wszystkich, ale to żadna rewelacja. Przecież pan wie o tym. - Vince zaczął się niepokoić, ale za wszelką cenę próbował to ukryć. W końcu znajdował się w autobusie pełnym dziennikarzy.

Scrimshaw obdarzył go ponurym uśmiechem.

- Jeśli pan nie zdaje sobie sprawy, że siedzi pan na beczce prochu, kapitanie, to jest pan głupszy, niż myślałem.

Madigan wstał, nie odpowiadając. Musiał przytrzymać się oparcia, bo autobus właśnie zjechał z drogi.

- W porządku, panowie - powiedział. - Dojeżdżamy do pubu „King's Head” w pięknej angielskiej miejscowości Lower Collingwood. - Chrząknął; wiedział, że w ten sposób najlepiej skupi na sobie uwagę słuchaczy. - Oto odrobina historii, panowie. Angielskie gospody - puby - noszące nazwy związane z papieżem zmieniły swe szyldy, kiedy król Henryk VIII pokłócił się z papieżem w XVI wieku. Większość barmanów wykazała się inteligencją wystarczającą, by za godło przyjąć portret króla... - Przerwał, oczekując nieuchronnych chichotów. - ...Dlatego dziś większość pubów o nazwie „King's Head” ma w godle głowę Henryka VIII. Ten, w którym się zatrzymamy, wybudowany został w XVI wieku. Historia mówi, że Oliver Cromwell spędził w nim noc...Rozejrzał się i uśmiechnął, widząc uniesione twarze z wyrazem dziecinnej wprost ciekawości. Niezależnie od tego, jakich twardele udawały te „gwiazdy dziennikarstwa”, w głębi serca wszyscy byli przecież tylko turystami. Nie pragnęli dokonywania wielkich odkryć, szukali tylko dobrych historii. Scrimshaw był wyjątkiem - mógł sprawić kłopot.

Madigan zdecydował, że na jakąś godzinkę zostawi go samemu sobie. Po kilku głębszych stary z pewnością złagodnieje; Vince był pewny, że serdeczna rozmówka koło płonącego kominka, z butelką w zasięgu ręki sprawi, że uda się go skłonić do wystąpienia o przepustkę. Przecież musi wiedzieć, że obrzucanie błotem funkcyjnych oficerów na zawsze zamknie mu drogę do wszelkich amerykańskich baz wojskowych, a i

brytyjskich pewnie też. Przeklął Verę. Dlaczego musiała wplątać się w afery z dwoma łowcami medali? Pieprzona baba, cholernie utrudnia mu życie.

Nim kapitan Madigan nabrał przekonania, że jego goście bawią się znakomicie, nim zdołał odpowiedzieć na niezliczone pytania, począwszy od picia brytyjskiej wody z kranu, a skończywszy na liczbie pensów w szylingu, Scrimshaw znikł z horyzontu. Nie szukał go, zdołał wmówić sobie, że tak będzie lepiej.

23. Doktor Bernard Cooper

Przypadkowy obserwator uznałby zapewne, że przygląda się członkowi klubu zmuszonemu do rozegrania partyjki ze starszawym „chłopcem” do noszenia kijów. Wyższy mężczyzna był spokojny i pewny siebie, co wynika na ogół ze świadomości zaplecza majątkowego, podczas gdy niższy, rumiany, z siwymi włosami rozwiewanymi przez wiatr, próbował dotrzymać mu kroku, usiłując skupić się jednocześnie i na golfie, i na pięknym otoczeniu, i na rozmowie.

- Zmiany to przywilej młodości - oznajmił Bernard Cooper głosem, w którym brzmiała duma z ostatniego uderzenia i radość z przebywania na świeżym powietrzu w piękny poranek. - Podróże, spotkania z nowymi ludźmi, degustacja egzotycznych specjałów, nauka języków obcych... Młodzi ludzie żyją różnorodnością - tłumaczył generałowi Bohnenowi.

Grali w klubie Coopera, w którym spowodowane wojną zmiany już od wejścia były w oczy. Trawa była zaniedbana, personel stary lub kaleki, a ci członkowie, którzy nie wyjechali na wojnę, wszyscy prawie nosili mundury. Ba, gorzej, ostatnio jakimś cudem wszędzie pojawili się dziwni ludzie - hałaśliwi, poklepujący po plecach każdego w zasięgu ręki, szastający pieniędzmi, stawiający w barze drinki obecnym; przedwojenny zarząd w żadnym razie nie tolerowałby takiego zachowania. Połowa z nich nie miała w dodatku własnego klubu.

- Gdybym był młodszy, umarłbym pewnie ze śmiechu na myśl o tym, że w Christ College załęgł się urzędnicy Ministerstwa Żywności, a król zezwolił kolumnie transportowej RAF na używanie parku w roli

parkingu dla ciężarówek, jestem jednak wystarczająco stary, by uznać to za niepokojące. W moim wieku człowiek chce jeść to, co lubi, i wtedy, kiedy miał zwyczaj jadać posiłki. Nie chcę Brittena, kiedy mam ochotę na Mozarta. Nawet podróż do Londynu jest dla mnie ciężkim przeżyciem - zwierzał się Cooper.

- Pragniesz zademonstrować mi, na czym polega typowe brytyjskie niedopowiedzenie? - Bohnen uśmiechnął się. - Wy, Anglicy, demonstrowacie elastyczność wprawiającą w szczerze zdumienie Amerykanów. Czasami próbuję wyobrazić sobie, że to wszystko dzieje się w Waszyngtonie.

Prowadzili rozmowę na polu golfowym, generał wybierał właśnie kij odpowiedni do uderzenia. Miał doskonałe kije, przywiózł je ze Stanów, co było znakomitym przykładem jego dalekowzroczności.

- Nie wiem, czy my, Amerykanie, potrafilibyśmy znieść obecności obcej, przepłacanej armii - wyjaśnił.

Bohnen miał na sobie kompletny mundur z wyjątkiem butów. Oficerowie amerykańscy dysponowali jednak garderobą tak urozmaiconą, że mimo to wydawał się ubrany specjalnie na tę okazję - w przeciwieństwie do Coopera. Nosił beżowe spodnie, lekką kurtkę polową zapinaną na zamek błyskawiczny i czapkę z wielkim daszkiem.

- Wasi ludzie także potrafią się zaadaptować do sytuacji, tak to przynajmniej wygląda; czują się u nas jak w domu - stwierdził psycholog. - Z powodów zawodowych odwiedzam Londyn dwa, trzy razy w tygodniu. Mayfair na moich oczach stało się „małą Ameryką”. Ale ty przecież zdajesz sobie z tego sprawę lepiej ode mnie.

Bohnen zastanawiał się, czy jego partner podkpiwa sobie z Amerykanów w Londynie. Nie odpowiedział mu jednak przed uderzeniem; miał zdumiewającą zdolność koncentracji umysłu na wykonywanym właśnie zadaniu. Obserwował piłkę lądującą po przeciwnej stronie małego stawu i nagle uświadomił sobie, że następne uderzenie będzie wymagać od

niego ogromnej ostrożności. No, ale przecież zawsze był ostrożny. Uśmiechnął się.

- Niestety, zakwaterowaliśmy nawet 787. Kompanię Żandarmerii w Młodzieżowym Klubie Konstytucyjnym.

Wykonał jednak najzupełniej przeciętne uderzenie.

- Widziałem ich wczoraj rano. - Cooper machnął kijem na próbę, po czym uderzył piłkę. Po raz pierwszy miał podstawę, by uwierzyć w możliwość wygrania partii z niepokonanym generałem Bohnenem. Jednym rzutem oka oceniwszy dystans, mówił dalej: - Masz na myśli wasze „śnieżynki”? Ćwiczyli musztrę w Green Parku. Pasterz zmuszony był przegonić stado owiec, żeby im zrobić miejsce. Owce w Green Parku! Do czego doszło!

- Mieliliśmy szczęście, i ty, i ja. Oglądaliśmy Europę wtedy, kiedy było jeszcze w niej coś do obejrzenia. Ciekawe, czy kiedy młodzi ludzie znów zaczną podróżować, znajdą coś poza ruinami. - Zdjął nakładkę z łyżki kija, który, zdaje się, nazywano nowomodnie „numerem trzy drewnianym”.

Cooper zdał sobie sprawę, że Bohnen będzie próbował długiego uderzenia nad wodą. Już się do niego przymierzał. Świetnie trzymał kij, warto byłoby nauczyć się tego, ale generał nie należał chyba do ludzi, którzy pomogliby komuś w pokonaniu samych siebie. Grał, żeby wygrać. Przyznawał się do tego bez ogródek. „Tacy są Amerykanie” powiedział, kiedy dyskutowali poprzednią partię. Doktor zasugerował mu wtedy, że może nieco bardziej wyrafinowana byłaby gra dla samej gry. To nie wyrafinowanie - dowiedział się wówczas - tylko dekadencja. „Objawem dekadencji jest gra dla przyjemności?” - spytał. „Objawem dekadencji jest rozważanie możliwości porażki - odparł Bohnen. - Właśnie to przytrafiło się Francuzom w 1940” - dodał.

- No, już - powiedział teraz zniecierpliwiony generał. Popychał przed sobą dziwny, ale bardzo praktyczny wózek, na którym ułokował torbę z kijami. - Mówiłeś o zmianach - przypomniał przyjacielowi.

Cooper zazdrościł mu zdolności zapamiętywania treści rozmowy. Zrodziło się w nim podejrzenie, że gdyby Amerykanin chciał, przypominałby sobie każdą przeprowadzoną w życiu konwersację.

- Nie jestem już młody - podjął temat. - Muszę ci powiedzieć, że wcale nie podoba mi się to, co się dzieje.

Bohnen uśmiechnął się. Doszli już do miejsca, z którego mógł dokładnie przestudiować położenie piłeczki. Użył łyżki, ale podkręcił piłkę; to uderzenie wypadło poniżej jego możliwości.

- Jesteś teraz czarnym koniem, Bernard - powiedział. Wymawiał to imię z francuska, z akcentem na drugiej sylabie. Dziwnie brzmiało w jego ustach. - Wczoraj wieczorem, w naszym klubie w Stanhope Gate, spotkałem pewnego młodego oficera. Pamiętał twoje wykłady z czasów, kiedy był w Cambridge, w 1938 roku. Wspomniał, że studiowałeś u Freuda i znałeś Adlera.

- Wysłuchałem kilku wykładów Freuda w Berlinie i Wiedniu. Należałem do kręgu Adlera, spotykaliśmy się w kawiarni, w której często bywał.

- Dowiedziałem się też, że prowadzisz bardzo ważne prace dla ludzi zajmujących się psychologiczną stroną wojny.

- Pomagam, jak mogę. Najlepsi specjaliści potrzebni są do prac klinicznych... Wojna przyniosła straszliwy problem zdrowia psychicznego. Ostatnio przeprowadzono interesujące studia nad załogami bombowców RAF...

- Ale nie przyjmujesz pacjentów?

- Nie. Tym się nie zajmuję. Piszę i wykładam. Nigdy nie chciałem być analitykiem, nie marzyłem, by stać się powiernikiem ludzi. Ostatnio znalazłem sobie całkiem interesujące zajęcie - doradzam różnym komitetom oraz wojsku w kwestiach propagandy.

- Ten gość mówił, że zajmujesz się tajną robotą.

- No, przesadził. Oczywiście, fakt, że w młodości mieszkałem przez jakiś czas w Niemczech i całkiem płynnie mówię po niemiecku, sprawia, że wywiad interesuje się mną. Spędziłem nawet trochę czasu wśród jeńców

wojennych, zbierając informacje o poglądach i ideach współczesnych Niemców.

Bohnen spojrział na niego zdziwiony.

- Chcesz, żebym przedstawił cię paru naszym ekspertom od psychologii wojny?

- O mój Boże, tylko nie to! - Cooper z zażenowaniem uświadomił sobie, że jego wynurzenia wzięto być może za próbę wyłudzenia dodatkowych honorariów.

Zamilkli. Kiedy doszli do piłki doktora, nie zdążył on nawet wyjąć kija, kiedy generał podniósł ją ze słowami:

- Wygrałeś dołek.

- Bardzo to uprzejmie z twojej strony, Bohnen, ale nie jestem pewien, czy moje wcześniejsze popisy usprawiedliwiają twe przekonanie.

- Nie mogę już dłużej czekać.

- Na co?

- Bernard... - powiedział generał i zawiesił głos. Interesujące w ich rozmowie było to, że świetnie odzwierciedlała wychowanie obydwu. Generał podkreślał przyjaźń, mówiąc doktorowi po imieniu; Cooper zachowywał styl inteligencji uniwersyteckiej, zwracając się do rozmówcy po nazwisku. - Od czasu, kiedy wysiadłeś z samochodu, wzdychasz, kręcisz głową i w ogóle przygotowujesz się do powiedzenia mi czegoś. - Bohnen rzucił piłkę, doktor złapał ją bez trudu. - Opowiadałeś mi o wszystkim od czasów szkolnych począwszy, a na racjach mięsa skończywszy, ale nadal nie wiem, o czym chciałbyś porozmawiać na prawdę.

- Nie jestem pewien...

- Nie bądź tak bardzo angielski. Chodzi o twoją córkę, prawda?

- Victoria zastanawia się, czy nie zamieszkać z ciotką, ale jeszcze nie podjęła decyzji.

- Pomysł twojej żony, nieprawdaż?

- Ależ skąd!

- Daj spokój. Jesteśmy inteligentnymi ludźmi. Nie aprobeuje mojego syna, w tym problem.

- Nie. Nie... Aprobeuje Jamiego, ale uważa, że powinni wstrzymać się na razie z zaręczynami.

- Teraz lepiej, znacznie lepiej - powiedział Bohnen tonem, jakby mówił do pijaka, który właśnie zwymiotował. - Możemy pomóc sobie nawzajem, a już na pewno nie powinniśmy się oszukiwać. Victoria chce odpocząć od Jamiego... To ich sprawa, nie nasza.

Cooper już miał powiedzieć, że Victoria wcale nie chce „odpocząć” od Jamiego, zwłaszcza jeśli, jak się domyślał - miało to oznaczać odrzucenie go w tym znaczeniu słowa, jakie miał na myśli Bohnen, ale nie zamierzał zdradzić, w czyjej głowie wylął się pomysł wyjazdu.

- Siostra żony mieszka w Szkocji. Ostatnio nie czuje się najlepiej. Victoria bardzo lubi ciotkę i chce się nią zaopiekować.

- Szkocja! - Bohnen zgrabnym uderzeniem umieścił piłkę w dołku. Cooper doznał wrażenia, że oddał mu go, bo chciał sam siebie za coś ukarać. - To powinno przerwać ten romans. Twoja żona pokonałaby nas obu. - Uśmiechnął się, jakby perspektywa rozdzielenia syna z dziewczyną nie obchodziła go w najmniejszym stopniu.

- Przecież nie... - próbował protestować Cooper, ale zawsze był kiepskim kłamcą.

- Co takiego zrobiła? Kazała siostrze napisać, że jest chora i taaka samotna? - Bohnen wziął kij pod brodę udając skrzypka, grającego adagio z przymkniętymi oczami. - Nie wygramy z nimi, Bernardzie. Jesteśmy tylko ludźmi, a one są kobietami!

- Wszyscy rodzice próbują zniszczyć swe dzieci. Tak to już jest.

- Mógłbyś to jakoś wyjaśnić?

- Dziecko trzeba karmić i chronić przez jakieś piętnaście lat, nim będzie gotowe do opuszczenia gniazda.

- Może to tylko skutek naszej skomplikowanej cywilizacji?

- Jak sądzisz, czy piętnastolatek z epoki kamienia łupanego zdolny był powalić lwa albo zabić bawołu?

- Punkt dla ciebie.
- Żadne inne zwierzę nie opiekuje się swym młodym przez tak długi czas. Piętnaście lat to więcej niż połowa średniej życia w epoce kamiennej. Nawet dziś, kiedy średnia jest znacznie wyższa, rodzice bardzo długo wpływają na swe dzieci.
- Mógłbym przedstawić ci parę przykładów, że nie zawsze tak jest - oświadczył pogodnie Bohnen.
- Masz na myśli bogatych rodziców, których dzieci stały się fanatycznymi wręcz komunistami?
- Chodzi mi również o te, które muszą popęlić wszystkie błędy rodziców.
- W tym ostatnim wypadku wpływ jest widoczny znacznie wyraźniej niż wtedy, kiedy dzieci podporządkowują się rodzicom.
- Każda akcja powoduje reakcję. - Generał przyjrzał się rozmówcy z pewną dozą cynicznego rozbawienia. Wyglądało mu to na typowe wyjaśnienie naukowe - fakty sobie, a teoria swoją drogą.
- Widzę, że cię nie przekonałem, ale nie o to przecież chodziło. Chciałem przede wszystkim zaznaczyć, że takie traktowanie dzieci odbija się i na rodzicach. Po piętnastu latach nieprzerwanej troski rodzice z trudem porzucają tę rolę. Doznają pokusy dalszego wpływania na losy dziecka, tak by nadal pozostało od nich zależne.
- I w ten sposób je okaleczają?
- Oczywiście. Matki dowodzą córkom, że nigdy nie znajdą męża, a kiedy córka znajduje kandydata, matka próbuje niemal rozerwać go na strzępy.
- Albo tłumaczy, że najlepiej jeszcze troszkę zaczekać? - Bohnen powoli zaczynał rozumieć, co doktor chce mu przekazać. - Może teraz zechciałbyś mi wyjaśnić, czy i ojcowie okaleczają synów?
- Owszem. Wmawiają im niekiedy, że są leniwi, głupi, że do niczego się nie nadają...
- ...albo że powinni studiować prawo zamiast pilotować myśliwce?

Psycholog wzruszył ramionami.

- Wszyscy to robimy - stwierdził. Pamiętał, jak tłumaczył synowi, że jest za młody i za słaby fizycznie, by zostać marynarzem. Syn sfałszował więc datę urodzenia, by wstąpić do marynarki handlowej.

Wrócili do golfa, odzywając się tylko wtedy, kiedy wymagała tego gra. Ranek był wyjątkowo piękny, a ziemia nadal twarda po zimowych mrozach; silne wiatry wygładziły ją w miejscach, z których zesła trawa. Z pagórka - bunkra przy Cambridge Road, który obsiano cennymi nasionami trawy, widzieli odbywające się nieco po lewej stronie polowanie. Psy biegły ciasnym rzędem, po czym nagle skręciły ku rzece. Myśliwi podciąli konie - wiedzieli, że w wodzie łatwo stracić trop. Wyglądali wspaniale, w większości ubrani w czerwone myśliwskie stroje, galopując na wytężających wszystkie siły wierzchowcach. Nawet włoscy jeńcy wojenni, pracujący na pobliskim polu buraków, pozdrawiali ich radośnymi okrzykami.

- Wiosna - westchnął Bohnen, jakby wydawał wyrok skazujący na pogodę. - Szkoda, że Adolf Hitler nie widzi tego polowania. Gdyby je zobaczył, zdałby sobie sprawę, że Brytyjczyków nie sposób pokonać.

- Pachnie wiosną - dodał Cooper.

W taki dzień przypominał sobie zawsze niezliczone studenckie wiersze o potędze natury. Nadszedł czas siewu, a to musiało mu uświadomić, że nim w Europie zaczną się żniwa, popłynie krew i czas zbiorów będzie czasem rozpaczy.

Oddziały piechoty przesuwały się na południe, koncentrowały wokół portów, z których dokonają inwazji na kontynent. Wzrostu aktywności lotnictwa nie sposób było przeoczyć - od samego rana równy szum silników lotniczych towarzyszył wszystkim jako tło wszelkich innych dźwięków.

- B-17... Fortece - orzekł Bohnen, gdy silniki nagle ryknęły głośniejszej, a nad głowami graczy pojawiła się formacja około dwudziestu samolotów lecących na wschód. Zerknął na zegarek. - To grupa bombowa

zmierzająca na wyznaczone miejsce zbiórki. Pułki udadzą się na wybrane punkty na wybrzeżu, zbiorą się w dywizje, po czym cały ten zespół uderzeniowy poleci na Niemcy.

Stali nieruchomo jeszcze długo po tym, kiedy ostatni z samolotów znikł na horyzoncie. Cieszyli się widokiem, jaki tworzyły tu torfowiska przechodzące w kredowe skałki.

Niemal każdy następny centymetr ziemi różnił się od poprzedniego.

- Bardzo lubię ten widok - powiedział Cooper.
- Warto o niego walczyć - rzekł Bohnen.

Linie horyzontu przerywały wysokie kominy Thaxted Hall. Z piętnastego dołka doskonale widać było późnorenesansowy dwór i holenderskie w stylu zabudowania gospodarcze, dobudowane niemal sto lat później. Długi podjazd, po którego obu stronach rosła setka dużych klonów, lśnił w słońcu, a staw z absurdalnie ozdobnym mostkiem odbijał błękit nieba. Doktor spostrzegł, że generał chłonie wzrokiem ten widok.

- To Thaxted Hall - wyjaśnił. - Księżę wciąż tam mieszka.
- Imponująca posiadłość.

- Na przełomie wieków była znacznie większa. Należały do niej grunty, na których znajduje się teraz aerodrom Steeple Thaxted, to pole golfowe i wszystko, aż po London Road. Podatek spadkowy zmusił rodzinę do sprzedaży ziemi.

- A jak to musi wyglądać w środku! - zachwycił się Bohnen.

- Wspaniale. Ojciec księcia wolał raczej sprzedawać ziemię niż meble i dzieła sztuki. Ma holbeiny, których pozazdrościłoby mu każde muzeum. Interesują cię antyki?

- Mam małą kolekcję... chiński jadeit, holenderskie intarsjowane biureczko, z którym nie rozstałbym się za skarby świata. - Generał niechętnie przyznał się do swego hobby, jakby chodziło o wstydlivy nałóg. Mimo wyraźnie widocznej zamożności nigdy nie mówił o swym majątku, i za to między innymi Cooper go lubił. - Bywasz tam zapraszany, Bernardzie?

- Książę był ze mną w Peterhouse; jesteśmy przyjaciółmi. Po amatorsku interesuje się psychologią. Bardzo dużo czyta, a potem zaprasza mnie na kolacje, które zmieniają się w korepetycje. Nie przeszkadza mi, że śpiewam za cenę posiłku. Byłem u niego przed kilkoma dniami. Przygotowuje się na przyjęcie jednego ze swych służących, który dostał przepustkę. Zaprasza wszystkich pracowników; będą kobziarze i tańce w sali balowej.

Bohnen przeszedł kilka kroków, by lepiej ocenić szanse następnego uderzenia.

- Jego lokaj wraca z Birmy, obwieszony medalami - dodał doktor.

- Szczęściarz z niego. - Generał najwyraźniej nie interesował się niczym oprócz uderzenia. Kilka razy zamachnął się na próbę. Trzymał kij swym specjalnym uchwytem, zwykle niezawodnym.

- Niestety, gdy bohater wróci do domu, zaczną się zapewne problemy.

- Dlaczego? - Bohnen ciągle przymierzał się do uderzenia, ale nie koncentrował się już wyłącznie na piłce. Choć wzrok skierowany miał w dół, Cooper wiedział, że słucha jego słów.

- Biedaczysko znajdzie najprawdopodobniej żonę w łóżku z innym mężczyzną. Prawdę mówiąc, z amerykańskim oficerem.

Generał przestał wymachiwać kijem. Podniósł wzrok.

- A czy musi się o tym dowiedzieć? Czasami lepiej nie znać prawdy. Po obu stronach Atlantyku jest mnóstwo ludzi, którzy będą musieli pogodzić się z podobną sytuacją.

- Obawiam się, że w tym przypadku sprawy zaszły za daleko. Pewien dziennikarz dowiedział się o wszystkim i najwyraźniej ma zamiar zrobić tę historię.

Cooper nie wspomniał Scrimshawa z nazwiska, nie przyznał się też, że od czasu do czasu grywa z nim w bilard. Nie miał też zamiaru informować nikogo, z jaką furią Australijczyk opowiadał o „cholernych jankesach”, najpierw namawiających go do pisania, a potem wycofujących

się z uzgodnień i praktycznie wyrzucających go z lotniska.

Generał stał wpatrując się w przyjaciela. Na jego twarzy pojawił się nerwowy tik. Nie rozumiał, z jakiego powodu miałby interesować się podobnymi plotkami.

- Czy to ma coś wspólnego z Jamiem? - spytał. - To o tym chciałeś ze mną rozmawiać! Nie o swojej córce, ale...

- Ów młody oficer jest bliskim przyjacielem Jamiego. Nazywa się Morse, porucznik Morse.

- Ten as? Ten, który ma szansę zyskać najwięcej zwycięstw w europejskim teatrze wojennym?

- Mąż, o którym wspomniałem, jest starszym sierżantem. Wraca z Birmy. Ci z Birmy nazywają się „zapomnianą armią”.

- Nie podoba mi się to wszystko - stwierdził Bohnen tonem adwokata, który czuje się zmuszony do przyznania racji prokuratorowi. Poklepał się kijem po nodze.

- Nasi specjaliści od psychologii wojennej nadają propagandę na teren Niemiec. Wiedzą, że najbardziej demoralizują żołnierzy wzmianki o żonach, dziewczynach, siostrach i córkach puszczałających się z cudzoziemcami ściągniętymi na roboty przymusowe.

Bohnen spojrział na Coopera. Poglądził się po brodzie.

- A więc musimy zapobiec publikacji.

- Trudna sprawa. To dwa materiały... dobre materiały: Anglik wracający do domu i młody bohaterski pilot. Przyzwoity dziennikarz, idący tropem któregośkolwiek z nich, musi w końcu trafić na motyw niewierności. Jamie wspominał, że po Steeple Thaxted stale włóczy się kilkunastu dziennikarzy, a po locie bojowym wręcz trzeba się przepychać przez ich tłum. Pytają tego Morse'a o zestrzelonych Niemców, nim chłopak zdoła wysiąść z maszyny.

- A w Stanach gazety podbijają balonik, czekając na pierwszego szczęściarza, który pobije rekord naszego pilota z I wojny światowej.

- Tak, o tym też Jamie wspomina!.

- Specjaliści od reklamy robią wszystko, byle tylko nie wygasło zainteresowanie, bo siły powietrzne potrzebują takiej sławy. Chcemy, żeby każdy przeciętny obywatel otwierał poranną gazetę przede wszystkim po to, by sprawdzić, czy rekord został pobity.

- Więc powiem ci jako ekspert, że typowy amerykański tatuś i ty-powa amerykańska mamusia bez przyjemności dowiedzą się, że ich niewinni, naiwni synowie uwodzeni są przez zamorskie mężatki.

Bohnen uśmiechnął się smutno.

- Przypuszczam, że nasze gazety tak to właśnie przedstawią - przyznał.

- Nie ukrywam, że mamusie i tatusiowie wcale mnie nie obchodzą. Jeśli jednak ta historia dostanie taką reklamę, na jaką w oczach redaktorów i wydawców zasługuje dramatyczna opowieść o ludzkiej tragedii, do czasu inwazji będą ją znać wszyscy brytyjscy i amerykańscy żołnierze. Żołnierze lubią dyskutować o podobnych sprawach. Każdy z nich będzie miał na ten temat własne zdanie, granice zaś przebiegną, przynajmniej do pewnego stopnia, wzdłuż linii narodowościowej, nie światopoglądowej. W każdym pubie wybuchać będą bójkі między naszymi żołnierzami; niemiecka propaganda dostanie od nas prezent... i to w chwili, kiedy najbardziej go potrzebuje. Pamiętaj, że to oni wymyślili propagandę; nie będą mieli kłopotów z wyciśnięciem wszystkiego z takiej wymarzonej okazji.

- A więc taka jest twoja opinia, którą podzielisz się ze swoimi przełożonymi... Czy może już się podzieliliś?

Doktor skinął głową.

- Front jest najsłabszy w miejscu, w którym stykają się dwie walczące wspólnie armie. Amerykanie i Brytyjczycy będą walczyli ramię w ramię na plażach, pod ostrzałem wszystkiego, co Niemcy zdołają zmobilizować... Muszą więc darzyć się nieograniczonym wzajemnym szacunkiem i zaufaniem.

- A co ja mam zrobić, Bernardzie? Dlaczego rozmawiamy o tym? Czy nie można załatwić sprawy drogą oficjalną?

- Ten dziennikarz rozmawiał już z księciem, księżę zaś zasięgnął z kolei opinii przyjaciół z Izby Lordów. Z naszej strony panuje przekonanie, że sprawę można załatwić za pomocą „układu stron”, bez zażaleń na piśmie, bez obrad komisji, z których coś zawsze przecieka do prasy. Zostałem w to wciągnięty. Zdajesz sobie sprawę, prawda? Takich zadań nikt nie podejmuje się na ochotnika.

Bohnen ze zrozumieniem skinął głową, ale kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał gniew.

- A więc przeniosę porucznika Morse'a do Honolulu, rozkazem z natychmiastową wykonalnością. Może opuścić Anglię już jutro wieczorem.

- Zmuszony jestem doradzić ci ostrożność, generale. Porucznik może zaprotestować. Jeśli prasa uzna, że robi pan z niego ofiarę, powstanie jeszcze większy huk.

Generał wrzucił kij do wózka bardzo gniewnym gestem. Spokojnie, wręcz nienaturalnie spokojnie, spytał:

- Więc co sugerujesz?

- Pamiętaj, że ten Morse jest bohaterem wojennym. Nie wolno ci dać prasie okazji do stwierdzenia, że szarże przeszkadzają mu w kolejnych zwycięstwach.

- Niech to diabli! Czy ten cholerny podrywacz nie mógłby nie być asem? - Bohnen podniósł piłeczkę. - Muszę prosić cię o wybaczenie, Bernardzie. I tak wygrywałeś, a ja powinienem wrócić już do Londynu. Muszę przemyśleć całą tę sprawę, być może skonsultować się z naszymi ludźmi z wydziału prasowego. Zastanę cię w domu, jeśli zadzwonię wieczorem?

- Oczywiście. Pomogę ci w miarę moich możliwości. - Cooper dotknął ręką daszka czapki w geście przypominającym salut.

- Dzięki za dowcip z wybuchowym cygarem, przyjacielu - pożegnał go Bohnen.

Doktor uśmiechnął się. Amerykanin oczywiście żartował. Pewnie chodziło mu o historię z Hardcastle'em i Morse'em.

- A przy okazji, Bernardzie, czyżby Victoria potulnie zgodziła się na wygnanie do Szkocji? Zupełnie to do niej niepodobne. Wywarła na mnie wrażenie dziewczyny pełnej temperamentu.
- Żeby nie skłamać, Bohnen: mnie też to bardzo zdziwiło.

24. Podpułkownik Druce „Duke” Scroll

- Zwrócił pan uwagę na datę, panie pułkowniku? - spytał Kinzelberg, sierżant w kancelarii podpułkownika Scrolla.

- A jak mógłbym nie zwrócić? - zainteresował się Scroll.

Dokładnie dwa lata temu narodziła się Grupa 220, „aktywowana” rozkazem, który uczynił jej jedynym personelem kapitana Scrolla i szeregowego Kinzelberga. Przydzielono im nędzne biuro w hangarach lotniska w Hamilton Field, Kalifornia, po czym natychmiast zasypano lawiną papierów, przygotowujących ich do przyjęcia „kadry” z innych grup. Obaj wiedzieli, czego się spodziewać: nieudaczników, lotników z przypadku, hipochondryków, pijaków i kalek. I, na Boga, ich właśnie dostali - kanceliści wszystkich szczebli radośnie zwalili im na głowę żołnierzy, których chcieli się pozbyć. Sierżant Kinzelberg nazwał przybyszów Kleenexami, ponieważ nikt nie chciał użyć tych ludzi więcej niż raz. Na teczkach personalnych stawiał literę „K” i - chwytając się wszystkich możliwych sposobów - natychmiast przekazywał Kleenexów dalej.

- Obaj jesteście, sierżancie, najstarszymi żołnierzami grupy. Co o tym wszystkim myślicie?

- Lubię Anglię, panie pułkowniku. A kiedy wychodzi słońce, podoba mi się nawet pogoda.

Tego dnia słońce świeciło jasno. Mróz odszedł w przeszłość, trawa zaczynała się zielenić, a na drzewach pojawiły się pąki.

- Chodzi mi o Kleenexów - wyjaśnił Scroll. - Jak myślicie, nadal przenoszą ich z miejsca na miejsce?

- Mam wrażenie, że tak - odparł poważnie sierżant. - Myślę też, że niewielu z nich zostało w oddziałach bojowych, więc kiedy wojna się skończy, oni pierwsi wyskoczą z mundurów.

- Są chwile, kiedy mnie przygnębiacie, sierżancie.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie pułkowniku.

- A i tak jestem już bardziej przygnębiony, niż przystoi jakiemukolwiek żołnierzowi w mundurze swej armii. Czy domyślilibyście się, że ten telefon sprzed paru minut był od generała Bohnena? I czy domyślilibyście się, że generał przyjeżdża do nas jutro? Pułkownik Dan ma być obecny, ponieważ generał pragnie omówić z nim ważne sprawy. Chodzi mi o to, czy bylibyście w stanie domyślić się, że wszystkie te nieszczęścia może spowodować jeden telefon?!

Sierżant nie odpowiedział. Przed wojną pracował w Trenton, stan Nowy Jork, u bukmachera. Plotka głosiła, że blizny na twarzy i krzywy mały palec są pamiątką po wizycie w komisariacie, podczas której odmówił przesłuchującemu go kapitanowi udzielenia informacji obciążających pracodawcę. Mówiąc krótko, Kinzelberg wiedział, kiedy trzymać głowę na kłódkę.

- Nie słyszałem dzwonka telefonu, panie pułkowniku.

- Wiecie, kim jest generał Bohnen, prawda, sierżancie? To ten facet, którego od czasu do czasu przysyła nam Kwatera Główna tylko po to, by pułkownik Badger nie stał się przypadkiem łatwiejszy w pożyciu.

Sierżant pozwolił sobie na leciutki uśmiech.

- Czy mam zadzwonić do sierżanta z klubu oficerskiego, by upewnić się, że kwatery dla VIP-ów są przygotowane?

- Módlmy się, by generał przed zachodem słońca miał do załatwienia jeszcze kilka bardzo ważnych spraw, sierżancie. Lecz, owszem, proszę im powiedzieć, żeby przygotowali kwaterę numer trzy, tę z pokojem gościnnym, i znaleźli jakieś książki, pisma, owoce, kwiaty i butelkę lub dwie z tych, co to nam przysyłają.

Sierżant podszedł do drzwi swego pokoju, z którego mógł telefonować nie przeszkadzając pułkownikowi.

- Aha, sierzancie - przypomniał sobie Scroll. - Będziemy potrzebowali jeszcze jednego pokoju w kwaterach dla kawalerów, dla pułkownika Shelleya. To ten energiczny oficer prasowy z Londynu. Generał zażądał także gabinetu. Niech pan postawi kilka wiklinowych foteli w biurze majora Phelana. Jest stamtąd dobry widok na lotnisko; może to im uświadomi, że w wolnych chwilach próbujemy także prowadzić wojnę. - Pułkownik zmarszczył brwi. - I jeszcze jedno... Proszę dyskretnie rozejrzeć się po tym biurze. Nie chcę, żeby szukając notesu generał otworzył szufladę i znalazł... - Przerwał. Zdecydował, że głośne wyrażenie przypuszczeń co do tego, co można znaleźć w szufladzie biurka oficera, zagrożą dyscyplinie.

- Doskonale rozumiem, panie pułkowniku - powiedział Kinzelberg. - Czy chce pan, żebym znalazł pułkownika Dana i poinformował go o przyjeździe generała?

- Medalami Honoru nagradzano już żołnierzy, którzy zgłosili się na ochotnika do mniej niebezpiecznych misji.

- A więc załatwię tylko sprawę tych dwóch kwater. - Sierżant wołał upewnić się, co ma robić. Wydanie mu rozkazu oznaczało czasami ciężką pracę przypominającą negocjacje pożyczki z prawnikiem. - I mam nie informować pułkownika Dana?

- Pułkownik Dan jest w drodze. Wykonywał krótki lot ćwiczebny na „Pilgrimie”; widziałem już dawno, że ląduje.

Pułkownik Dan pojawił się w biurze oficera administracyjnego, otwierając drzwi kopniakiem. Odskoczyły i uderzyły w regał z takim impetem, że ze ściany posypał się tynk. Sam ten fakt Scrolla nie zaskoczył, ponieważ pułkownik na ogół zachowywał się w ten sposób, choć teraz rzeczywiście sprawiał wrażenie nieco bardziej gniewnego niż zwykle.

- Mam panu coś do zakomunikowania, pułkowniku - oznajmił Scroll, gotów złapać byka za rogi i natychmiast przekazać informacje o przyjeździe Bohnena, ale dowódca nie dał mu na to najmniejszej nawet szansy.

- Ja też mam ci coś do zakomunikowania, Duke. Nastaw uszu i przygotuj się, bo jestem wściekły jak cholera.

- Tak jest, panie pułkowniku, nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Poleciałem sprawdzić maszynę, niech to diabli, ale ten cholerny silnik nadal sprawia kłopoty, a po wylądowaniu chciałem się odświeżyć. Potrafisz uwierzyć, Duke! - Pułkownik stał oparty o biurko, trzęsąc się ze złości. - Jeden z oficerów zabronił mi wejść do łazienki! Jeden z moich oficerów! I to tu, w tym cholernym klubie!

- Który, panie pułkowniku?

- Najwyraźniej dopiero co wyszedł z łóżka. Stał w korytarzu, zaróżniony, potargany, z ręcznikiem na ramionach i mydelniczką w ręku. „Nie może pan tam wejść, panie pułkowniku” powiedział mi ten sukinsyn!

- Który oficer, panie pułkowniku?

- Stał przed łazienką i zabronił mi wejścia!

- Rozumiem, panie pułkowniku. K t ó r y to był oficer?

- Rozumiesz, co?! - wrzasnął pułkownik Dan. - Więc masz mi natychmiast wyjaśnić, o co tu chodzi!

- Nie twierdzę, że rozumiem, co kierowało tym oficerem, po prostu tłumaczę, że zrozumiałem pański opis.

- Nie masz powodu, żeby na mnie krzyczeć, Duke.

Duke Scroll miał nieodparte wrażenie, że na nikogo nie krzyczy, choć zapewne musiał podnieść nieco głos, tylko dlatego, by w ogóle zostać usłyszanym.

- Czy podał powód? - spytał. Domyślał się już, o co poszło.

Pułkownik Dan wyjął cygaro i zapalki, ale ręce tak mu drżały, że kilka z nich złamał. Duke pochylił się i podał mu ognia. Pułkownik podziękował, zaciągnął się i znieruchomiał na chwilę, wydychając dym. Chyba trochę go to uspokoiło.

Scroll tymczasem trzymał ołówek zawieszony nad notatnikiem; bawił się nim z nadzieją, że skłoni to zwierzchnika do podania nazwiska oficera.

Kiedy już je pozna, być może zapisze coś jeszcze; jakiś czas temu odkrył, że spisanie zeznania człowieka rozgniewanego jest niezłym sposobem obniżenia napięcia. Pułkownik zlekceważył jednak jego gesty.

- Ten oficer powiedział mi: „Pod prysznicem są dziewczęta, pułkowniku” i uśmiechnął się obleśnie. Słyszałem te angielskie baby, jak chichoczą i śmieją się... Przysięgłbym, że jest ich kilkanaście. - Z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Powiedział mi, że nie mogę wejść!

- Kto, panie pułkowniku?

- Ile razy mam ci powtarzać! Ten cholerny oficer prasowy... ten duppek kapitan łąjący z aparatem fotograficznym na szyi, ten, którego w Boże Narodzenie widziałem w mundurze z odznaczeniami i skrzydełkami pilota!

- Kapitan Madigan. - Scroll zapisał nazwisko w notatniku.

- „Jakie dziewczęta?” spytałem sukinsyna, a on mi na to: „Te, które przyszły na sobotnie tańce”. No, muszę ci powiedzieć, Duke, że nerwy mi puściły. „Sobotnie? Sobotnie?!”, wrzasnąłem na niego. „Przecież dziś mamy wtorek, ty pieprzony alfonsie! Masz zabrać te baby z mojego lotniska, wrócić na kwatery i nie ruszać się z niej. Jesteś pan aresztowany!”

Duke zapisał i to, powstrzymując się od komentarza.

- Nie chcę widzieć więcej tego faceta! Mówię poważnie.

Scroll spojrzął na pułkownika. Czekał, by uspokoił się choćby odrobinę.

- Może powinienem udać się do jego kwatery i porozmawiać z nim? Za pańskim pozwoleniem - zasugerował.

- Kiedy mówię, że ma się wynosić z bazy, to mam na myśli, że ma się wynosić z bazy!

- Pułkowniku Badger, czy wolno mi zaproponować, żebyśmy rozmawiali ciszej? Mój sierżant kancelista to wcielenie dyskrecji, ale słychać nas prawdopodobnie aż w hangarze. - Scroll wskazał gestem ceglana ścianę, oddzielającą kancelarię od wielkiej stalowej konstrukcji, w której remontowano samoloty.

Pułkownik Dan westchnął ciężko i usiadł, zaciągając się dymem.

- Tylko nie mów mi, że i ty masz kobietę na kwaterze, Duke - westchnął.

- Nie, panie pułkowniku, nie mam, ale podejrzewam, że co najmniej kilkunastu oficerów regularnie zatrzymuje na kwaterach dziewczyny, które przychodzą na sobotnie zabawy. Chodzi głównie o młodszych oficerów, zwłaszcza pilotów, ale, o ile się nie mylę, przyjaciółka majora Phelana na przykład zazwyczaj opuszcza bazę dopiero w poniedziałek późnym rankiem, jeden z lekarzy też ma stałą przyjaciółkę... Oczywiście, obaj ci oficerowie dysponują własnymi pokojami.

- Kevina Phelana? Tego cholernego irlandzkiego wariata? - Pułkownik uśmiechnął się, Scroll zaś pomyślał, że dobrze zrobił, decydując się wymienić to właśnie nazwisko. Cokolwiek robił major, znajdowało zwykle uznanie w oczach pułkownika. - A ja zupełnie nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się tu dzieje!

- Kapitan Madigan wie jednak, co się dzieje; obaj możemy być tego pewni. Oficerowie prasowi zawsze wszystko wiedzą... Można chyba zaryzykować twierdzenie, że na tym polega ich praca.

Pułkownik zmarszczył czoło; myślał i sprawiał przy tym wrażenie dziecka pracowicie rozwiązującego słupki.

- A dużo się dzieje, Duke? To znaczy, wiem oczywiście, że od czasu do czasu jakaś dziewczyna zostaje na noc, ale...

- Lotniska nie sposób upilnować, panie pułkowniku. Jak się odgoni kogoś od głównej bramy, to przechodzi z tyłu przez ogrodzenie, przeskakuje rów przy cysternach albo trafia na miejsce zza farmy Hobdaya. Nasz poprzedni dowódca dostał raz skargę od policji, bo ojciec jakiejś dziewczyny doniósł, że nie wróciła na noc do domu. Pułk przysłał kompanię zandarmerii. Przewrócili bazę do góry nogami i w niedzielne popołudnie znaleźli sto osiemdziesiąt dziewięć kobiet cywilów.

Pułkownik Dan spojrział na swego oficera administracyjnego. Usta złożył niczym do gwizdnięcia, ale gwizdnąć nie zdołał.

- Próbujesz mi zaproponować, żeby zapomniał o całej sprawie?

- W Narrowbridge i - jak podejrzewam - w większości baz wywie-
szają ogłoszenia, że wszyscy cywile muszą opuścić teren najpóźniej w
poniedziałek rano. My jednak nie możemy pozwolić sobie na sformu-
łowanie polecenia na piśmie; nie teraz, kiedy aż roi się tu od reporterów.
Może pozwoli mi pan poinformować zainteresowanych ustnie?

- Wiesz, Duke, czasami mam wrażenie, że ty jesteś facetem, który
zbankrutował latając dookoła świata, a ja jestem dęciakiem z West Point.

Duke uśmiechnął się z wdzięcznością; wiedział, że w ustach dowód-
cy to największy komplement.

- Aha, panie pułkowniku - dodał. - Dzwonił generał Bohnen. Jutro
nas odwiedzi. Chciałby z panem porozmawiać.

25. Generał brygadier Alexander J. Bohnen

Z miejsca, w którym się znajdował, generał Alexander Bohnen mógł widzieć wieżę kontrolną, najbliższy dispersal oraz ratunkowy samolot amfibię RAF, który właśnie przywiózł wyłowionego z kanału pilota. W powietrzu wyczuwało się napięcie: szefowie załóg, mechanicy, ratownicy, kontrolerzy lotów; wszyscy stali ze wzrokiem utkwionym we wschodnim horyzoncie czekając na powracające mustangi. Kilku mężczyzn grało w piłkę, kilku siedziało pochylonych nad kartami, lekarz dyżurny czekał obok karetki, rzucając piłkę, którą Winston pracowicie aportował, ale wszystko to sprawiało żalosne wrażenie kiepskiego teatru. Kiedy grupa leciała z misją, nikt na ziemi nie potrafił naprawdę się odprężyć.

Bohnen dał sobie spokój z podziwianiem lotniska w Steeple Thaxted.

- Z okien mojego londyńskiego gabinetu mam widok na załogę balonu zaporowego na Grosvenor Square - powiedział.

Podpułkownik Lester Shelley zwrócił uwagę nie tylko na to, że generał ma gabinet w Londynie, prawdopodobnie na dodatek do gabinetów w innych miastach, lecz także na fakt, że londyński gabinet wychodzi na Grosvenor Square i ma co najmniej dwa okna. Była to nieomylna oznaka władzy i prestiżu. On sam z dwoma sierżantami kancelistami dzielił gabinet, który okno miał jedno i to wychodzące na podwórko studnie między budynkami.

- Jasne - przytaknął posłusznie. - Ten balon obsadziły dziewczyny i nazwały go Romeo.

- Nie sądzę, by był to przypadek, pułkownika. Dzięki temu Brytyjczycy przed dwadzieścia cztery godziny na dobę przypominają każdemu z nas, Amerykanów, że u nich nawet kobiety prowadzą wojnę. To dlatego zakwaterowali waafki * na Grosvenor Square, pomiędzy naszymi biurami.

* WAAF (Women Auxilliary Air Force) - Lotnicza Służba Pomocnicza Kobiet (przyp. tłum.).

- Zapewne ma pan rację, panie generale.

- Nie wolno nie doceniać Anglików. Jeśli chodzi o grę znaczonymi kartami, to oni ją wymyślili!

Ktoś grzecznie zapukał i w drzwiach pojawił się sierżant Kinzelberg pytając, czy nie mieliby ochoty na kawę lub coś innego. Generała Boh-nena nie zmyliła jednak nawet tak wymyślna troskliwość.

- Zawiadomcie pułkownika Scrolla, że chcemy spotkać się z dowódcą bazy w ciągu godziny - polecił. Nie wyraził najmniejszego nawet zainteresowania tym, co Shelley mógłby mieć do powiedzenia w sprawie kawy.

Kinzelberg zasalutował i wycofał się.

Pułkownikowi i generałowi, choć różnica wieku między nimi była niewielka i choć obaj nosili mundury armii amerykańskiej, amerykańskie marzenie spełniło się na dwa zupełnie różne sposoby. Generał Bohnen był konserwatystą ze wschodniego wybrzeża, wysokim i muskularnym, a jego mundur pochodził z pracowni krawieckiej w Waszyngtonie, która szyla mundury dla pokoleń zawodowych żołnierzy.

Mundur pułkownika Shelleya był natomiast znacznie bardziej nowoczesny. Naszyto na nim jedwabne metki krawca z Beverly Hills, zaspokajającego kaprysy najdroższych gwiazd Hollywood. Sposób bycia Shelleya przypominał dyrektora wielkiej wytwórni filmowej. Mówiąc gestykulował żywo i wymachiwał cygarem. Uśmiechał się chętnie, szeroko, chwycił nawet generała za ramię gestem, który w jego świecie uchodził za przyjazny.

W odróżnieniu od większości wyższych stopniem oficerów, Bohnen nie miał mu tego za złe. Obaj byli w końcu cywilami w mundurach, obaj

wybrani zostali do wykonywania dla armii pracy, w której zdążyli już udowodnić swą wartość. Spotkał w życiu wielu podobnych Lesterowi Shelleyowi mężczyzn: twardych, hałaśliwych, pewnych siebie, wyrachowanych. Wiedział, że jak komiwojażerowie czy kupcy, ludzie ci polegają na swej energii, pomagającej im przewyciężyć niechęć społeczeństwa. On sam nie uważał jednak przesadnej pewności siebie za cnotę, ponieważ większość życia spędził wśród ludzi bogatszych i potężniejszych od siebie, demonstrujących ostentacyjnie bogactwo i potęgę.

- Po pierwsze... - powiedział i zawiesił głos podkreślając w ten sposób wagę swych słów - ...musimy wziąć pod uwagę interesy tego młodego pilota... porucznika Morse'a.

- No właśnie - przytaknęła Shelley, strząsając popiół z cygara. - Dla prasy to barwna postać.

Stwierdzenie pułkownika padło za szybko. Generał doznał niepokojącego wrażenia, że rozmówca z góry wie, co zostanie za chwilę powiedziane, zdaje sobie sprawę, iż historia Morse'a i tej zamężnej kobiety podniesiona została przez Brytyjczyków; i że wie, iż Morse'a należy uczynić postacią bezbarwną... dla prasy.

- A jednak - mówił dalej - nie sądzę, by leżało w jego interesie, jak również w interesie wojsk lotniczych, uczynienie go postacią znaną.

Shelley skinął głową. Świadom, że wyrwał się zupełnie niepotrzebnie, rozparł się teraz w wiklinowym fotelu i palił w milczeniu, zachwycając się określeniem „wojska lotnicze” oraz notując je sobie w pamięci do wykorzystania w przyszłości. Tak mówi się w Pentagonie! Przymknął oczy niczym pisarz na konferencji w sprawie scenariusza, kiedy daje wszystkim do zrozumienia, że myśli.

- Jak rozumiem - kontynuował generał - porucznikowi Morse'owi brakuje zaledwie kilku zwycięstw, by pobić rekord Rickenbackera z I wojny światowej i zasiąść na tronie asów amerykańskiego lotnictwa. - Umilkł, ale pułkownik nie otworzył oczu, brnął więc dalej: - Biorąc pod uwagę natężenie walk, porucznik Morse może zdobyć tych kilka zwycięstw w ciągu paru następnych misji. Być może wystarczy nawet jedna...

- A więc zamierza pan odsunąć go od lotów ze skutkiem natychmiastowym - stwierdził Shelley tonem, z którego nie wynikało, czy podoba mu się ten pomysł, czy nie.

- Pańskim zadaniem będzie poparcie i wyjaśnienie każdej decyzji, którą dowództwo podejmie w sprawie porucznika Morse'a. I nie mam na myśli wyłącznie przygotowania oświadczenia.

Shelley wpatrywał się w generała przymrużonymi oczami, jakby raziło go jaskrawe światło.

- Tak prywatnie, generale... Czy oznacza to, że mam wymyślić dla pana jakiś powód uziemienia tego chłopaka? Coś, co kupią gazety i radio?

Bohnen zeszytniał.

- W naszej historii nigdy jeszcze nie zdarzyło się, by dowódca wojskowy musiał tłumaczyć prasie powody, dla których w czasie wojny wydał taki, a nie inny rozkaz.

- Doprawdy?

- Doprawdy. - Bohnen pochylił się, strącając poduszkę z fotela. Nie zauważył, że znalazła się na ziemi.

- Problem w tym, że większość chartów prasowych nie uzna tej decyzji za stricte wojskową. Zaczną wachać panu pod ogonem, po czym stwierdzą, że dzieciak stał się ofiarą, za którą muszą się ująć.

- A pan?...

Pułkownik podniósł dłonie w błagalnym geście.

- Odgrywam tylko adwokata diabła, panie generale. - Uśmiechnął się. - Może pan na mnie liczyć. Poprę pana na całej linii - obiecał, ale oczy nadal miał zamknięte, a przylepiony do twarzy pewny siebie uśmiech sprawiał wrażenie nieco napiętego. - Tylko niech pan w pełni zrozumie, przeciwko komu pan występuje. Prasy nie zachwyci fakt, że Kwaterna Główna uziemiła jej bohatera. Trzeba będzie zastosować metodę kija i marchewki.

Generał ze zdumieniem stwierdził, że poduszka leży mu pod nogami. Podniósł ją i rzucił na puste krzesło.

- Marchewki? Jakiej marchewki? Dla kogo?

- Istniał tylko jeden sposób wyciągnięcia chłopaka z układu, jaki zawarł z tym australijskim wolnym strzelcem. Musiał podpisać umowę z wielką agencją... na tyle wielką, żeby Australijczyk bał się z nią zadrzeć.

- Mówi pan: „musiał”?

- Wziął dwa tysiące przy podpisaniu umowy. Goście dostaną szału, a więc naszym zadaniem będzie ich ułagodzenie, zrekompensowanie im tego przyzwoitą wyłączością.

- Niech szaleją. Postawili na złego konia.

Pułkownik mocno przygryzł dolną wargę. Zęby błysnęły mu w niemym wyrazie wrogości, jakże typowym dla człowieka, który nie może wyładować swych uczuć w słowach.

- A może uznają, że postawili na faworyta, a pan pojawił się znikąd i ustawił gonitwę?

Generał dotknął twarzy czubkami palców.

- Jakie mogą być objawy ich szaleństwa?

- Agencja tej wielkości może umieścić artykuł wszędzie, w każdym magazynie lub gazecie od Jukonu po Rio. Jeśli wda się pan z nimi w walkę, zniszczą nas. Mam na myśli pana i mnie, generale.

- A więc musi pan znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. - Bohnen bardzo się starał, by nie powiedzieć dokładnie, o co mu chodzi, co Shelley oczywiście zauważył. Tak czy owak, ręce generała miały pozostać czyste.

- Spotkał pan kiedyś kogoś z twardzieli prowadzących takie agencje? Wysmażenie zadowolającej ich historii nie będzie łatwe. Wiem, przeciw komu występujemy, panie generale. Właśnie taki sukinsyn dał mi do wiwatu przy podpisywaniu umowy.

Alexander Bohnen nigdy nie lubił Kalifornii. Nie lubił też ludzi zamieszkujących ten stan, w którym żyło się łatwo i niespiesznie, i który nowojorczyki nazywali „okupowaną częścią Meksyku”. Dobitnie wyraził swój sprzeciw, kiedy Jamie postanowił tam studiować i okazało się

naturalnie, że miał rację. Co więcej, Molly poślubiła inżyniera nafciarza z Santa Barbara, co bynajmniej nie złagodziło uprzedzeń Bohnena, podobnie zresztą jak spotkanie z pułkownikiem Lesterem Shelleyem. Pode-rwał się z fotela ruchem świadczącym w równym stopniu o zmęczeniu co o determinacji; przypominał wychodzącego z basenu mistrza olimpij-skiego w pływaniu.

- Nie jesteśmy tu po to, żeby „wysmażyć” historie - stwierdził spo-kojnym, lecz wystudiowanym stanowczym tonem. Górował nad pułkow-nikiem rozpartym niedbale w fotelu - Nie będzie też pan musiał niczego „ustawiać”. Fakty! - Złapał mały palec lewej ręki. - Porucznikowi Mor-se'owi zaliczono maszyny zniszczone na ziemi na równi ze zwycięstwa-mi odniesionymi w powietrzu. Fakty! - Złapał się za serdeczny palec. - Jeśli liczyć zestrzelenia w walce, porucznikowi Morse'owi daleko jesz-cze do rekordu Rickenbackera. Fakty! - Przygiął środkowy palec. - Po-rucznik Morse nadal ma filmy przedstawione do weryfikacji. Póki ze-strzelenia nie zostaną oficjalnie potwierdzone, nie liczą się, niezależnie od tego, ile swastyk wymaluje na nosie swojego samolotu, i niezależnie od tego, co gazety zdążyły już napisać.

- Spokojnie, generale! - Fotel zakrzypiał; to pułkownik poruszył się niespokojnie. Miał wrażenie, że przegrywa, a przecież trzymał w dłoni wszystkie asy. Aż do tej pory oficerowie bez wahania ufali jego hollywoodzkiej fachowości. Ten nie ufał. Trzeba się było bronić. - Z tego, co słyszałem, to pan rozkazał grupom zaliczanie maszyn zniszczo-nych na ziemi. To był pański pomysł! Nie może pan teraz wykręcić ta-kiego numeru!

- Numeru?- powtórzył Bohnen, jakby po raz pierwszy usłyszał ja-kieś szczególnie nieprzyzwoite słowo. - Przecież wyjaśniam panu coś, co nawet w Hollywood byłoby oczywiste. Jeśli mamy zamiar porównywać liczbę samolotów zestrzelonych przez Rickenbackera z liczbą samolotów zestrzelonych przez Morse'a, niech będą to samoloty naprawdę zestrze-lone. Nie można podciągać wyniku doliczając Morse'owi maszyny

zniszczone bez walki! Jakie wyniki zalicza Ósma Armia Lotnicza, nie ma z tym nic wspólnego - oprócz przytoczonego przeze mnie porównania.

- Dziennikarze uznają to za mydlenie oczu.

- To niech pan przemówi do nich prostym językiem, pułkowniku. Podobno to pana specjalność, i za to armia dała panu ten mundur. Niech pan wyjdzie z ukrycia i spróbuje swych sił.

- Moja robota nie polega wyłącznie na kontaktach z prasą i radiem. Muszę też myśleć o pilotach. Uznają to za policzek.

- A co z pilotami innych armii? Co powiedzą piloci Dziewiątej i Piętnastej, jeśli pozwolimy, by ten chłopak odziedziczył koronę Rickenbackera? A co z wojną na Pacyfiku i pilotami marynarki walczącymi z Japończykami? Na wypadek, gdyby pan o tym nie wiedział, informuję, że tylko ósemka zalicza maszyny przeciwnika zniszczone na ziemi.

Pułkownik Shelley przygryzł wargi demonstrując głębokie zatroskanie rozwojem sytuacji. Następnie skinął głową i spojrzał generałowi prosto w oczy. Znał prawdziwe powody, dla których należało wykluczyć Morse'a z grona pretendentów do korony asa asów, wiedział też, że Bohnen zmuszony był przygotować swe argumenty w pośpiechu. Podziwiał sposób jego rozumowania - było w tym poczucie koniecznej sprawiedliwości, które wzbudzało zaufanie. Lubił rozumowanie typu „nie podoba się nam to, ale nie mamy wyboru”. Korzystał z niego w przeszłości, kiedy pracował jako prawnik studia filmowego. Tracąca na popularności gwiazda nie chciała wyrzec się wielkiego, smakowitego kontraktu zawartego, kiedy jeszcze była na szczycie. Sprowadzono zatem poetę z Nowej Anglii i płacono mu tysiąc miesięcznie, poeta zaś przedstawił najgorszy scenariusz w historii wytwórni. Gwiazda czekała dwa lata na zmaterializowanie się obiecanego arcydzieła, nim poczuła pismo nosem i zgodziła się na zmianę warunków umowy. Dwa lata po tysiąc miesięcznie to drobiazg wobec wyplątania się z dwumilionowego kontraktu. Tak, tak, generał Bohnen doskonale radziłby sobie w Hollywood!

- Może pan na mnie liczyć - powiedział wstając i gasząc cygaro.

- Niech pan zawiadomi biuro, że przez kilka dni będzie mi pan towarzyszył, pułkownik. Musimy uzgadniać decyzje w miarę rozwoju sytuacji.

- Tak jest! - Shelley nałożył czapkę i niedbale stanął na baczność.

Bohnen spojrzał mu w oczy. Nie ufał temu pułkownikowi; nie należał on do ludzi, z którymi chciałby robić interesy. W wojsku jednak, podobnie jak w życiu cywilnym, gra się kartami, które przypadną w udziale. Podejrzewał, że Shelley nie tylko wynegocjował każdy punkt zawartego z Morse'em kontraktu, ale w dodatku wziął procent od wypłaconego pilotowi honorarium. Gdyby miał choćby cień dowodu, postawiłby go przed sądem wojennym, wiedział jednak wystarczająco wiele o prawnikach show biznesu, by pożegnać się z nadzieją odkrycia czegośkolwiek.

- Nie mam wątpliwości, że wspólnie znajdziemy wyjście z sytuacji, pułkownik.

- Dowódca grupy, pułkownik Badger, jest doskonałym lotnikiem i myśliczem. Dowodzi lotami bojowymi, zalicza zwycięstwa. Nikt nie ma prawa mu rozkazać, z kim chce latać, a z kim nie.

- Rozumiem, pułkownik. Odsunięcie Morse'a od lotów powinno odbyć się na mocy decyzji jego dowódcy, której to decyzji Kwatera Główna nie ma prawa zmienić.

- Tak jest, panie generale. Prasa nie odważy się zaatakować takiego pilota jak pułkownik Badger.

- Doskonale! Wiedziałem, że człowiek z pańskim doświadczeniem znajdzie wyjście z sytuacji. Zadbam, żeby przyznano panu należne mu zasługi. - Generał sięgnął po słuchawkę telefonu. - A teraz, kując żelazo póki gorące, wyjaśnimy pułkownikowi Badgerowi wszystko, co wymaga wyjaśnienia.

- Jest pan pewien, że zatańczy, jak mu zagramy?

- Pułkownik Badger marzy wyłącznie o tym, by móc dowodzić tą grupą w akcji. Jasne, że zatańczy... albo do końca wojny będzie pilotawał biurko.

- A pan znajdzie na jego miejsce kogoś ustępliwszego?

Bohnen poklepał teczkę.

- Ostrożność nakazała mi przywieźć z Londynu odpowiednie rozkazy.

Shelley z podziwem pokręcił głową. W trakcie rozmowy ani razu nie padło imię Very Hardcastle ani jej męża wracającego z pola walki.

- Amerykańska rodzina zasługuje na to, by jej bohaterem był cnotliwy młody żołnierz - oświadczył Bohnen. - Tych ludzi będzie podziwiać młode pokolenie, będą dla niego wzorem.

- Muszę przyznać - powiedział z zadumą Lester Shelley - i mówię to absolutnie szczerze, że kreowanie bohaterów wojennych bardzo przypomina kreowanie gwiazd filmowych.

26. Kapitan James A. Farebrother

- Unik! Unik! Jeeezu! Unik!

Dywizjon broniący ich od strony słońca brał lanie. Jamie słyszał w radio okrzyki radości i okrzyki przerażenia, sam jednak trzymał się blisko bombowców. Tamci znajdowali się gdzieś za zasłoną cumulusów. Rozejrzał się nerwowo, lustrując niebo. Jego skrzydłowym był dziewiętnastoletni, całkiem zielony chłopak, świeżo z uzupełnień. Lekkomysłowością byłoby założyć, że potrafi w porę dostrzec atakującego nieprzyjaciela. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak podczas ich pierwszych wspólnych lotów musiał czuć się Earl Koenige.

Niemców było wokół zatrzęsienie, a jakieś pięć mil dalej z chmur wyłaniali się następni. Jamie spojrział w dół. Fortece parły do przodu porządnie i równo, jakby ich piloci nie dopuszczali do siebie myśli o nieuniknionym ataku. Wiedział jednak, że oczy załóg utkwione są w zbliżających się niczym rój os wrogich maszynach.

Kiedy Niemcy znaleźli się bliżej, rozpoznał focke-wulfy 190 - „niszczycieli szyku” - wyposażone w dwudziestojednocentymetrowe moździerze do rozbijania szyku zwartego bombowców. Jak długo jeszcze?... Kevin Phelan nie przegapił ich z pewnością! Ach, już! „Phelanski's Irish Rose” prowadziła dziś grupę; właśnie składała się w ciasnym skręcie celem wyjścia na kurs przechwycenia, a jednak nastąpiło to zbyt późno, by zapobiec odpaleniu pierwszych pocisków z dalekosiężnych moździerzy. Taką cenę płaciło się za bliską eskortę, ulubioną przez załogi bombowców.

Teraz, kiedy znaleźli się na kursie kolizyjnym, niemieckie maszyny rosły w oczach. Leciały obok siebie; w odległości mniej więcej tysiąca metrów pod ich skrzydłami pojawiły się płomienie towarzyszące wystrzeleniu rakiet.

W momencie wybuchu pocisków wśród bombowców pojawiły się chmury czarnego dymu. Niemcy byli już tak blisko, że mogli ostrzelać szyk ogniem działek. Forteca najbliższa Jamiego dostała jako jedna z pierwszych. „Scrapbook”, stara B-17, z której płatami odchodziła szara farba, z wymalowaną na nosie zgrabną blondynką, zatrzęsła się i zachwiała w powietrzu. Płyty aluminium odprysnęły od jej kadłuba niczym skóra zdarta z wielkiego węża, zabłyśły w słońcu i znikły porwane pędem powietrza.

A jednak bombowiec wykonał unik dopiero, gdy pociski z działek dosięgły kabiny pilotów. Przezroczyste dotąd szkło stanowiska przedniego strzelca zmatowiało i rozprysło się. Po nim przyszła kolej na plastikowe szyby kokpitu i przeszklony nos, który natychmiast znikł w chmurze odłamków. Wśród nich, niczym Święte Mikołaje w przewróconym szklanym przycisku do papieru, widoczni byli ludzie wymachujący rękami i nogami, jakby dzięki temu mogli utrzymać się w powietrzu. Odłamki znikły, lecz ludzie zostali. Szybowali przez chwilę z rozłożonymi rękami, wirując dziko w otaczających maszynę prądach powietrza, a potem runęli w dół wśród odłamków wraku.

Pozbawiona pilota forteca pochyliła się powoli, po czym przewróciła się na grzbiet i pękła na pół. Jej kat, niebieski focke-wulf, przemknął obok, unikając zderzenia z częściami kadłuba zniszczonego samolotu.

Inny focke-wulf pojawił się w celowniku mustanga. Jamie wystrzelił, dostrzegł pociski uderzające niedaleko kabiny, ale Niemiec już był w uniku, więc tylko skręcił ostrzej i znikł. Tymczasem kolejna maszyna zaatakowała jego. Zareagował instynktownie, już przyciskał spust, lecz w ostatniej chwili dostrzegł białe gwiazdy i zdołał powstrzymać się od

otwarcia ognia. Amerykański myśliwiec rósł mu w oczach, omal nie doszło do zderzenia, minęli się o kilka stóp, „Kibitzer” zadrzał i zachwiał się w turbulencji.

Jamie skręcił, polując na kolejnego Niemca. Sprawdził, czy jest za nim skrzydłowy, Luke Robinson. Jest, dobry chłopak.

Szare niebo przeszywały serie. Łup, łup, łup. Mustang zadrzał od pocisków uderzających w lotki. Nurkowanie! Gdzie mały? Jest, nie zgubił się. Eksplozja z lewej, przypadkowy strzał zapalił paliwo, wybuchła amunicja, biały płomień w mgnieniu oka pochłonął aluminiowy szkielet. Celów nie brakowało, niebo gęste było od Niemców, ale kiedy tylko złapało się któregoś w celownik, inny zaraz zaczynał walić w człowieka, białe sznurki pocisków przemykały niebezpiecznie blisko skrzydeł. Unik! Skręcił tak ostro, że poczuł gwałtowną wibrację - ostrzeżenie przed zdławieniem silnika na wysokiej prędkości. Tylko ostrożnie!

Kolejny Niemiec w celowniku. Ktokolwiek wierzy wywiadowi twierzącemu, że Luftwaffe goni resztkami sił, ma teraz okazję zweryfikowania danych! Messerschmitt bynajmniej nie znikł, BF 109G z wielkim trzydziestomilimetrowym działem przeznaczonym do niszczenia ciężkich kadłubów bombowców. Jedno trafienie i mniejsze maszyny rozpadały się na kawałki. Ręka na drążku, nie wychodzić ze skrętu. Szybciej, szybciej! Sylwetka Niemca rosła powoli, skręcił; Jamie lekko zwolnił drążek i podążył za nim, pochylając się do przodu, powodowany szalonym złudzeniem, że w ten sposób zwiększy prędkość choć troszkę. Słońce wpadło do kokpitu i wszystko znikło w jego oślepiającym blasku. Zamknij oczy, trzymaj się w skręcie, dystans i wyprzedzenie nadal się zmniejszają. Zdjął rękę z manetki gazu na moment wystarczający do rozpięcia pasów. Ryzykował rozbicie twarzy na przyrządach, ale bynajmniej mógł swobodnie rozejrzeć się po niebie.

Spojrzał dookoła. Trzydzieści sekund wcześniej zrobił dokładnie to samo, ale trzydzieści sekund wystarczyło aż nadto, by niemal niezauważalna

plamka na niebie stała się atakującym myśliwcem, gotowym posłać „Ki-bitzera” w płomieniach w dół. Niemiec przed nim nadal go jednak nie widział. Opuścić nos, by niebieska maszyna znalazła się w pomarańczowym kręgu, lekko przesunąć drążek ustawiając wyprzedzenie. Nieprzyjacielski pilot okazał się człowiekiem beztróskim, skupionym widocznie na celowniku swego messerschmitta. Tropił lecącą nieco pod nim, wysuwającą się z szyku fortecę, której strzelcy nie dawali znaku życia. Drążek jeszcze trochę w bok. Nie wolno ci popełnić tego samego błędu! Błyskawiczny rzut oka - nikt nie atakuje. Skrzydła messerschmitta dotykają już pomarańczowego kręgu, doskonale. Jamie posłał długą serię, poczuł odrzut karabinów maszynowych. Zobaczył świetlistą smugę muskającą skrzydła, wybuchającą na nich pomarańczowym płomieniem. Niemiec wykonał przewrót przez skrzydło i znurkował - tak zwykle Hunowie próbowali oderwać się od przeciwnika. Jamie był na to przygotowany, sam też znurkował, nie przestając strzelać. Nadal miał nieprzyjaciela w celowniku, nadal trafiał. Śmigło zwolniło, przestało się obracać. Z otwartej owiewki wypadł ciemny kształt, odbił się od skrzydła, uderzył w stabilizator, i wreszcie spadł, rozkrzyżowany. W jasnym lotniczym kombinezonie ochlapanym krwią niemiecki pilot przeleciał Jamiemu tuż nad głową.

Jamie odwrócił się, szukając wzrokiem Luke'a Robinsona. Szyja mu zeszywniała, mięśnie karku miał obolałe od ciągłego kręcenia głową. Gdyby tylko mały trzymał się tak blisko, żeby zobaczyć go w lusterku! Spadochrony! Białe amerykańskie spadochrony, ponad mustangiem. Jeśli miał spadochrony nad głową, to leciał poniżej bombowców, znacznie niżej, niż chciałby lecieć. Drążek na siebie i w górę; wysokość to zbawienie pilota myśliwskiego, aż do chwili gdy w rozpacz musi szukać ocalenia na pułapie zero. Dobra, nabieramy wysokości. Luke utrzymał się na pozycji. Już widać bombowce w szyku zwartym, są tuż nad nim. Próbuje jeszcze zacieśnić szyk - teraz, kiedy tyle spośród nich

zestrzelono lub uszkodzono tak, że musiały zostać z tyłu. Kolejne spadochrony. Jedna forteca ciągnie za sobą warkocz dymu, dwie zostają z tyłu, biedne ofiermy. Kątem oka dostrzegł kolejną eksplozję. Błysk jaskrawożółtego światła wypełniający niebo. Światło zgasło, pozostawiając po sobie szary dym, jakby ogromnego pająka o wydłużających się nogach. Na ziemię posypały się szczątki maszyny, zestrzelonej z całą pewnością z pełnym ładunkiem bomb.

- Unik! Jamie! Unik! - Głos Myszki. A ten skąd tu się wziął?! Jamie rzucił maszynę w dziki ślizg, zrobił przewrót i zwałił się przez plecy. Niekontrolowany upadek wkrótce przeszedł w lot nurkowy; ciężar rollsroyce'a ściągał nos mustanga ku ziemi. Luke tkwił na pozycji, Niemiec zaatakował z góry, od lewej. Doskonale, musiał chybić. Luke puścił serię, ale z tej pozycji nie mógł trafić.

Wpadli w chmurę, ciemno, świat wygląda tu jak zrobiony z szarej galarety, która wciska się do kokpitu. Niemal natychmiast wokół pojaśniało, to nie cumulus, lecz stratus, nawet nieomylny Farebrother może w końcu pomylić się raz i drugi, prawda? Poniżej chmur, nad niemiecką ziemią nie było słońca. Widział tylko szare pola, szare lasy; szare nie były tylko jaskrawe białe wstęgi, biegnące od tyłu i oświetlające mu drogę. O, cholera! Szkop nadal siedzi mu na ogonie i strzela! Sukinsyn! Zwrot, nurkowanie, nadal w ciebie wałą, daj gazu. Gdzie, do diabła, podział się Robinson? Od czego w końcu człowiek ma skrzydłowego? Jamie mocniej chwycił drążek, starając się powstrzymać wibrację. Wstęgi, wygięte łagodnie jak przewody telefoniczne chwiejące się w blasku słońca, przeszły blisko jego lewego skrzydła. „Unik!” - krzyczał ktoś, Luke czy MM? Nie, to głos Rube'a Weina! Jak jesteś taki mądry, chodź tu, złap za drążek, zobacz, co da się zrobić.

Manetka gazu oparła się o przegrodę ogniową; miał moc awaryjną. Nurkował ostro, ostrzej, jeszcze ostrzej. Biała igła prędkościomierza wirowała na tarczy - 350, 400, 450 - dogoniła powolniejszą czerwoną

linię oznaczającą niebezpieczeństwo i Jamie zdał sobie sprawę, że maszyna może rozlecieć się lada chwila. Przyciągnął do siebie drążek, trzymał go dwiema rękami, a i tak nie potrafił unieruchomić. Zaparł się nogami i pociągnął tak mocno, że - tak mu się przynajmniej wydawało - mógłby złamać jego kolumnę. W zołądku czuł tępy ból, nogi miał ciężkie jak z ołowiu. Potworna siła odchyłała mu do tyłu nie podpartą głowę, miał wrażenie, że kręgosłup zaraz trzaśnie. Siła odśrodkowa odciągała krew z mózgu, przed oczami najpierw zrobiło mu się szaro, potem czarno. Czuł drgania kadłuba - wibrację, potem wstrząsy, wreszcie nieregularne szarpnięcia rzucające nim w fotelu; skrzydła bezskutecznie próbowały odciągnąć silnik od wybranego przezeń kursu na zderzenie z ziemią. Spojrzał w bok - wachlowały, jakby miały się lada chwila oderwać.

Wstęgi znikły, Niemiec bez wątpienia trzymał się kurczowo drążka i czekał, aż od mustanga odpadną skrzydła.

Jamie stracił przytomność, rozpaczliwie próbując wyjść z lotu nurkowego.

- „Sparkplug Blue Three”, tu „Sparkplug Four”. Powtarzam: gdzie jesteś? - Piskliwy ze zdenerwowania głos należał do Luke'a Robinsona; strach pokonał wreszcie szacunek dla procedur radiowych. - Kapitanie, na litość boską, gdzie się pan, do cholery, podział?! Tu Luke!

Jamie był nieprzytomny zaledwie przez kilka sekund, a kiedy krew napłynęła mu na powrót do mózgu i odzyskał wzrok, dostrzegł przemykające pod maszyną drzewa i dachy domów. Jakieś jeziorko, fabryczny komin, podwórko wśród farmerskich zabudowań; kilkanaście osób podniosło głowy i gapi się na niego. Wyprzedził pociąg, dym lokomotywy ciągnął się nad polem welonem lśniącego czarnego jedwabiu. Potrząsnął głową; musiał zmobilizować całą siłę woli, by zwolnić i opanować zarówno roztrzęsione nerwy, jak i maszynę. Jednak bierna obserwacja przemykającego w dole światła wydawała się tak komfortowa, tak

rozsądna! Sprawdził wskazania instrumentów, łagodnie spróbował klap i steru kierunkowego.

Wyrównał wreszcie lot. Mógł rozejrzeć się dookoła. Ani śladu innych maszyn. Zerknął na skrzydła i znów na instrumenty. Sytuacja wróciła do normy, ale według kompasu leciał na południe, a paliwa miał bardzo niewiele. Dotarł już pewnie nad polską granicę. Zerknął w dół szukając jakiegoś punktu orientacyjnego, ale z tej wysokości krajobraz rolniczego Śląska wydawał się płaski, jednostajny. Zawrócił na północny zachód, łagodnie wyszedł nad chmury, włączył radio. Dopiero po wypróbowaniu niemal wszystkich kanałów usłyszał wzywającego go cierpliwie Mysz-kę.

- Tu Jamie, MM. Odbiór - powiedział.
- Dzięki Bogu! Myślałem, że cię dopadli.
- Straciłem przytomność. I chyba mam coś z uszami. Niezbyt do-
brze cię słyszę.
- Gdzie się, u diabła, podziewasz?!
- Jestem na południowym wschodzie. Wychodzę nad chmury, będę
was szukał. Luke tam jest?
- Jest. Krążymy, póki nie dołączysz. Koniec.

Jamie wyszedł nad chmury i niemal natychmiast dostrzegł Mysz-kę, Rube'a i Luke'a Robinsona, swego skrzydłowego, krążących leniwie jakieś dwie mile dalej na zachód.

Słońce świeciło jaśniej, jego promienie odbijały się od szczytów chmur oślepiającą bielą. Na północy dostrzegł odchylające się na bok długie białe smugi kondensacyjne bombowców; samoloty omijały wła-
śnie Frankfurt nad Odrą.

Długą drogę przebyli piloci, by dotrzeć nad tę posępną wschodnią
krajnę, i niewielu z nich zobaczy dom...

Nim „Kibitzer” dotarł do Myszki i innych, z chmur wyłoniły się jeszcze dwa myśliwce. Jamie przyjrzał się im podejrzliwie. Przed zaledwie tygodniem para Bf 109s dołączyła do formacji podobnych do nich mustangów, zestrzeliła ostatni z nich, po czym poleciała do domu wolna i radosna jak ptaszki. Ale to były T-bolty, dwa tłuste T-bolty, które wołały wrócić do domu w towarzystwie. Zajęły pozycję za Luke'em Robinsonem, który leciał „Superlative”, jednym z nowszych mustangów, świeżo z fabryki, lśniącym metalem kadłuba. Siły lotnicze podjęły bowiem decyzję o niemalowaniu maszyn, co oszczędzało kilka godzin pracy w fabryce i zwiększało liczbę produkowanych samolotów. Dla bombowców lecących w ciasnym szyku miało to sens, wielu pilotów myśliwskich nie lubiło jednak uwagi, jaką zwracały na siebie gołe kadłuby, błyskające w skrętach odbitymi promieniami słońca.

Jamie podniósł dłoń, pozdrawiając Luke'a. Chłopak, wdzięczny, że nic mu nie grozi za zgubienie maszyny dowódcy w nurkowaniu, pomachał radośnie.

Myszka wziął kurs na bombowce. Jeden z T-boltów podleciał bliżej; jego pilot przeciągnął palcem po gardle, dając znać, że zaczyna mu brakować paliwa. MM potwierdził gestem, że rozumie, a potem spróbował nawiązać z nimi łączność radiową, lecz bez skutku. Jug wrócił na pozycję, jakieś trzysta jardów za prowadzącym.

Bombowce leciały nad Odrą. Już niemal widoczny był cel - wielka fabryka focke-wulfów w Sorau. Dowódca w prowadzącej forticy nakażał zmniejszenie prędkości i dostosowanie jej do tempa kalek. Mimo to zewnętrzne maszyny, których piloci bezustannie manewrowali manetkami gazu, by utrzymać się w szyku, miały ciężkie życie. Nic dziwnego, że wśród nich najwięcej było awarii, nic dziwnego, że one najczęściej padały łupem Niemców.

Kiedy sześć myśliwców dołączyło do formacji, ich piloci dostrzegli kilkanaście messerschmittów w grupowym ataku na dywizjon lecący u

szczytu górnej formacji. Piloci mustangów niemal fizycznie wyczuli ulgę, z jaką załogi wielkiego zespołu uderzeniowego bombowców powitały pojawienie się amerykańskiej eskorty. Szyk zacieśnił się, strzelcy z otwartej gondoli kadłuba machali do nich wesoło.

Niemcy także dostrzegli nieprzyjaciół; porzucili uszkodzone fortece z ich nieregularnie pracującymi śmigłami, bezwładnie kiwającymi się karabinami na stanowiskach martwych strzelców, ze skrzydłami i kadłubami lśniącymi od paliwa wypływającego z rozbitych baków i wyciekającego płynu hydraulicznego, z ich potrzaskanym plastykiem kabin i porozdzieranym poszyciem kadłuba. Porzucili je, ale nie odlecieli daleko. Krążyli niczym rekiny w odległości jakichś dziesięciu mil na prawo. Nie szukali walki jeden na jednego. Niemieccy piloci otrzymali wyraźne rozkazy - chodziło im wyłącznie o amerykańskie bombowce.

MM wykonał gwałtowny zwrot. Piloci T-birdów mimo kończącego się paliwa natychmiast skręcili za nim. Wszyscy razem skierowali się na messerschmitty, ale nie pełną prędkością, nie było ich już stać na to ani też na walkę. Niemcy leniwie nabrali wysokości, jakby wiedzieli, że pozoracja ataku jest jedynie pustym gestem.

Jamie obejrzał się. Widział bombowce prące pracowicie do celu, na horyzoncie nie było natomiast ani śladu grup myśliwskich, które miały przejąć obowiązki eskorty. Załóg bombowców nie sposób było nie podziwiać za spokojną determinację, przy której inne objawy odwagi wydawały się jedynie błędem w ocenie sytuacji. Tam lecieli prawdziwi bohaterowie, ludzie dzień po dniu atakujący nieprzyjaciela, wystawiający się na cel wszystkich morderczych narzędzi, jakie był w stanie wymyślić sprytny i wytrwały wróg. Miarą odwagi jest lot przed siebie - mimo tragedii, awarii, choroby, słabości.

- Jeszcze raz! - rozkazał MM, zawracając do ostatniego przelotu wzdłuż rozciągniętej na całe mile formacji bombowców. Skupili się za nim, lecąc z najbardziej ekonomiczną prędkością. Jamie ustawił

wcześniej śmigło na tysiąc siedemset obrotów i najuboższą mieszankę, teraz zwiększył obroty na tyle, na ile tylko było to możliwe. Biedny „Kibitzer” przyjął to jak prawdziwy mężczyzna. Nie zaprotestował.

Zostawili bombowce i polecili na zachód. Żaden z nich nie obejrzał się za siebie. Jakieś trzy tysiące stóp w górze dostrzegli samotnego junkersa Ju 88, „obserwatora”, lecącego nad Amerykanami, którego pilot przez cały czas kontaktował się z kontrolą naziemną. Messerschmitty wróca więc wkrótce dokończyć smakowity kąsek.

Dzięki trzymanej na kolanie mapie Jamie rozpoznał połączenie Odry z Kanałem Hohenzollernów. Lecieli potem niedaleko przedmieść Berlina, bronionych przez skoncentrowaną artylerię przeciwlotniczą w pobliżu lotnisk myśliwców. Niezdrowo byłoby błąkać się tu dłużej. Bombowce nadleciały nad Niemcy znad Bałtyku, lecz sześć myśliwców musiało teraz wracać do domu krótszą drogą, jeśli miały przelecieć Kanał z obracającymi się śmigłami. Na południe od Bremy wpadli w chaotyczny ogień artylerii przeciwlotniczej. Najpierw strzelały tylko osiemdziesiątki, i to raczej niecelnie, ale potem dołączyły do nich stopiątki, których wybuchy zaczęły się niebezpiecznie zbliżać. Słyszeli też szum radaru w słuchawkach; MM podciągnął wyżej, zmieniając zarazem kurs.

W pobliżu „wewnętrznego morza” Holandii, IJsselmeer, chmury nie były już tak wypiętrzone; wkrótce rozciągnęły się pod nimi niczym bloki szarego betonu sięgające po horyzont i dotykające czerwonej tarczy zachodzącego słońca. Sześć maszyn ściśniętych pomiędzy pasmami różowych cirrusów w górze i szarą masą w dole sprawiało wrażenie zawieszonych w przestrzeni.

- „Sparkplug Blue Three”, tu „Blue One”. Zerknij na ogon mojej maszyny, dobrze? Drążek robi się coraz sztywniejszy.

Jamie zbliżył się, podchodząc do maszyny Myszki nieco z góry, by mieć lepszy widok.

- Moim zdaniem wygląda nieźle - zameldował.

- A ty, Rube, co myślisz?

Rube Wein zbliżył się swoim „Danielem”, ale on także nie dostrzegł niczego niepokojącego.

- Masz kupę dziur z tyłu kadłuba, przyjacielu - powiedział tylko. - Może tamtędy biegną łącza albo coś. - Jego wiedzy akademickiej nikt nawet nie próbował podważyć, ale o samolotach Rube wiedział w najlepszym razie niewiele.

- Jesteśmy już nad wodą, Jamie? - Myszka, jak zwykle, nie przejmował się procedurami radiowymi. - Jasne, wiem o tych dziurach, Rube. Maszyna wyje niczym upiór, wiatr gra na niej jak na flecie.

MM zadbał, by pytanie o Kanał zabrzmiało jak najbardziej beztrąsko.

Jamie sprawdził mapę. Zerknął na zegarek.

- Jeszcze jakieś cztery minuty. Odbiór.

- Słuchaj, mam kłopoty. W górę, sukinsynu. - To ostatnie skierowane było do mustanga, którego trudniej było pilotować w niespokojnym powietrzu na styku lądu i morza. Problemy sprawiał przepływ powietrza wzdłuż wybitych w kadłubie postrzępionych dziur. - Nie skaczę - obiecał Myszka w odpowiedzi na panującą w radiu ciszę. - Mam dwa nowe zwycięstwa na kamerze. Nie pożegnam się z nimi za skarby świata!

- Na litość boską, człowieku! - Być może był to żart, ale Jamiemu się nie spodobał.

Wszystkie cztery mustangi zostały trafione; to nie był łatwy lot. Pilotów nie czerpali jednak przyjemności ze zwycięstw ani nawet z tego, że udało im się ocalić życie. Nie potrafili zapomnieć widoku niebronionych przez eskortę bombowców, i fakt, że sami mieli szczęście, przyprowadził ich tylko o zły humor. Maszyna Rube'a Weina zachwiała się lekko i wypuła kłęb czarnego dymu; wysiadła sprężarka. Pilot zwiększył nieco obroty, by nie zostać w tyle.

- W porządku, Rube? - zainteresował się MM. - To nie była szklana góra?

- W porządku - warknął Rube, którego złościło, że dowódca ujawnił jego troskliwie ukrywane lęki i wykił je.

- No to wracamy do domu.

Mustangi ścieśniły szyk. Piloci, samotni w jednomiejscowych maszynach, nie mogli pomagać sobie nawzajem przy przelocie nad zimnymi, ciemnymi wodami Kanału, lecz instynkt nakazał im zbliżenie się do siebie. Myszka czerpał z tego nawet pociechę.

Zaledwie minęli holenderski brzeg, Rube przerwał panującą w eterze ciszę.

- „Blue Leader”, tu „Blue Two”. Nie doleczę do Anglii. - Mówił głosem spokojnym, rzeczowym, jak zwykle.

- O co ci, do diabła, chodzi, Rube? - zażądał gniewnie odpowiedzi MM. On sam leciał uszkodzoną maszyną, wszyscy o tym wiedzieli, więc czemu Rube raptem sieje popłoch?

- Skończyło mi się paliwo. Wszystko przez tę cholerną sprężarkę.

- Niech cię diabli, Rube! Przecież praktycznie jesteśmy już w domu!

- Daj sobie spokój, MM. Robiłem, co mogłem, ale wszystkie wskaźniki mam na zerze.

- Przełączyłeś kilka razy lewy na prawy i z powrotem?

- Opanuj się, człowieku, nie przyjechałem prosto z podstawowego kursu pilotażu. Mówię ci, że to sprężarka. Wskoczę nad Holandią. Może ruch oporu mnie jakoś wyciągnie albo coś w tym sensie...

- Rube, posłuchaj... - Ale Myszka nie miał szansy wygłosić swej dobrej rady. Skrzydło „Daniela” uniosło się ostro, maszyna wykonała przewrót i odłączyła od formacji brzuchem do góry, jak śnięta ryba.

Jamie obrócił się, chcąc sprawdzić, jak daleko Wein musi się cofnąć, by skakać nad lądem. Nad wybrzeżem dostrzegł białe pasy - to Niemcy wysłali swe maszyny radarowym tropem szóstki Amerykanów. Wysoko w atmosferze występowało zjawisko kondensacji, stąd ślady. Pojawiały

się jeden za drugim, wyraźnie widoczne na tle coraz ciemniejszego nieba na wschodzie. Dla niemieckich myśliwców Rube Wein był łatwym łupem.

- Powiedzcie pułkownikowi, że bardzo mi przykro - rozległ się jego głos, słaby teraz wśród trzasków zakłóceń. - Nie umiem pływać. Rozumiecie? Wy tłumacz mu to, Myszka, dobrze?

- Nie polecimy z tobą. Mamy za mało paliwa.

Rube próbował coś odpowiedzieć, ale jego słowa nie przedarły się przez szum niemieckich zakłóceń. Wytężali słuch przez cały lot nad Kanałem, ale już go nie usłyszeli.

- Zostaliśmy we dwóch - powiedział Myszka, kiedy znaleźli się nad wybrzeżem angielskim.

- I Luke - pośpiesznie uzupełnił Jamie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co musi czuć ten chłopak, nowy, zielony.

- Tak, oczywiście. Przepraszam, mały... Ale Rube powinien zawrócić, gdy tylko zdał sobie sprawę, że może zabraknąć mu paliwa. - Myszka, jak zwykle, lekcewał procedury radiowe.

- Nic mu nie będzie, „Blue Leader”. Moim zdaniem zdążył wyskoczyć na długo przedtem, nim tamte maszyny mogły go dopaść.

W słuchawkach rozległ się podwójny trzask - to Morse potwierdził przyjęcie transmisji. Wkrótce thunderbolty pomachały im skrzydłami i skręciły, kierując się w stronę swej bazy.

Niebo nad Steeple Thaxted było czyste, a przynajmniej względnie czyste; wisiał na nim pękaty stratocumulus, dramatycznie różowy w promieniach zachodzącego słońca. Trawa błyszczała kroplami świeżo spadłego deszczu, mokry pas lśnił czerwonym poblaskiem. MM podszedł do lądowania nierówno, walcząc z opornym drążkiem. Był nieco za wysoko, ale znał lotnisko na tyle dobrze, by błyskawicznie pozbyć się jakichś pięćdziesięciu stóp i nad żywoplotem przelecieć na regulaminowej wysokości. Dzieci bawiące się na pastwisku koło farmy Hobdaya zadarły

głowy, żeby mu się przyjrzeć. Zaskoczył je nagły natężony ryk silnika; widziały, jak mustang szarpnął omal się nie dławiąc, po czym, krztusząc się i skrzecząc niczym rozdeptany kot, cał po calu zaczęła nabierać wysokości.

- Zablokowało się podwozie - zameldował Myszka przez radio, nim z ciężarówki kontroli lotów zdążono wystrzelić czerwone rakiety. - Lepiej lądujcie przede mną, panowie. Chyba muszę siadać na brzuchu. - Do końca dowodząc, rozkazał jeszcze: - Luke najpierw, Jamie zaraz po nim.

Ted Gill skoczył na skrzydło „Kibitzera”, gdy tylko maszyna znieruchomiała na stanowisku.

- Zaczynaliśmy się o pana niepokoić, panie kapitanie - powiedział, patrząc na zegarek, a potem na dziury po pociskach.

- Dostałem jednego - poinformował go Jamie. W odróżnieniu od wielu innych szefów, Ted nigdy nie pytał o zestrzelenia. - Widziałem, jak pilot wyskakuje. Straciliśmy Weina. - Wyplątał się z pasów, ale został w kabinie. Przyglądał się wychodzącej ze skrzydła „Myszce Mickey II”. Gill też ją obserwował, żaden z nich nie miał jednak zamiaru przyznać się do odczuwanego niepokoju. - Rube'emu skończyło się paliwo. Zawrócił, żeby wyskoczyć nad Holandią - dodał Jamie, podniósł klapy hełmu i potarł palcem najpierw jedno, a potem w drugie ucho. Nadal był jednak nieco głuchawy.

- Wszyscy lubili porucznika. - Mechanik ciągle wpatrywał się w maszynę Myszkę.

- Zabrakło mu paliwa - powtórzył Jamie. - Sprężarka nawaliła. Byliśmy już nad wodą, kiedy zawrócił.

Tex Gill spojrzał na swojego pilota i skinął głową. Dostrzegł, jak głęboko pobruźdowaną ma twarz, przekrwione i podkrążone oczy. Maskę tlenową pozostawiła czerwone ślady w miejscach, w których przylegała do twarzy - od grzbietu nosa po żuchwy.

- Głupi dupek! Powinien był zawrócić, kiedy tylko zorientował się, że ma kłopoty.

Każdemu oprócz Texa głos Jamiego wydałby się zapewne gniewny, ale pilot nie zdoła ukryć niczego przed szefem mechaników. Tex rozpoznał więc w jego słowach rozpacz i gorycz; tak ludzie mówią o bliskich, którzy odeszli.

- Przypuszczam, że nie chciał zostawić porucznika Morse'a bez skrzydłowego... zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że pan musiał się opiekować nowym pilotem. - Tex zeskoczył ze skrzydła, a Jamie zaraz za nim, wspierając się na jego ramieniu.

- Zestrzeliłem messerschmitta, Tex. Pilot wyskoczył. - Jamie skrzywił się z bólu i oparł na opuszczonej lotce.

- Jest pan ranny, panie kapitanie?

- Kurczę! - Jamie poczuł się straszliwie głupio, niemniej jednak musiał czekać, aż krew napłynie mu do nóg. - Widziałem tego niemieckiego pilota. Przeleciał tak blisko, że mógłbym go dotknąć. - Tex milczał. - Moim zdaniem nie żył. Uderzył w stabilizator. Cały był zakrwawiony.

- Czekasz pan na przepustkę, panie kapitanie? Z pewnością pan na nią zasłużył.

- Siedział na kupie sprzętu. Chyba trudno pilotować myśliwiec z działkami i całym tym śmieciem pod skrzydłami.

- Porucznik Morse podchodzi do lądowania. - Gill rozpiął pasy spadochronu na ramionach Jamiego. - Powiedziałbym, że robi to ślicznie, regulaminowo.

- Nie mogę zostawić Myszkę, Tex. No i trzeba by pomyśleć o poruczniku Robinsonie.

- Musi pan odpocząć, kapitanie. - Gill zdecydował, że nie ma co bawić się w delikatność z człowiekiem, który najoczywiej w świecie znajduje się w stanie szoku. - Czasami... - Przerwał, poruszył się niezręcznie. Nie wiedział, co właściwie powinien powiedzieć. - Czasami my, mechanicy, widzimy to, czego nie dostrzega lekarz dyżurny. Pan i porucznik Morse... obaj potrzebujecie odpoczynku.

- Jesteś dobrym kumplem, wiesz? - Jamie podał mu spadochron. - No, ląduje!

Główny pas nadal był reperowany, więc Myszka musiał skorzystać z drugiego, krótszego. Podszedł ze schowanym podwoziem, posadził maszynę na betonie łagodnie, z wielkim zapasem miejsca. W ostatniej chwili podniósł nieco jej nos, tak że wloty powietrza pierwsze zetknęły się z ziemią. Mustang podskoczył lekko i zaczął się ślizgać ze zgrzytem dartych blach poszycia. Stojący na krawężniku ludzie zobaczyli, jak samolot niknie w chmurze białego dymu, w rzeczywistości jednak „dymem” były krople wody rozpylone przez brzuch myśliwca. Okrzyki przerażenia wprędce zmieniły się w westchnienia ulgi - „Myszka Mickey II” stanęła na pasie, a w jej stronę ruszyła karetka i ekipa ratunkowa.

Jamie podszedł do dżipa, który miał ich zawieźć na odprawę po locie. Luke Robinson już w nim siedział.

- Nie zechciałbyś usiąść z tyłu? - spytał go. Kierowca obejrzał się, ale przezornie milczał.

- Nie, dziękuję.

- Siadaj z tyłu. - Jamie usiadł na tylnym siedzeniu i rzucił spadochron na podłogę.

- Kiedy tu...

- Siadaj z tyłu, idioto!

Ton głosu dowódcy sprawił, że Luke wyskoczył z wozu, jakby nagle poczuł, że siedzi w ogniu.

- Jezu, panie kapitanie, przepraszam - powiedział, zajmując miejsce z tyłu.

Jamie zdjął kask i otarł twarz dłonią.

- Jedziemy na pas po porucznika Morse'a - rozkazał.

- Kontrola powietrzna musi dać pozwolenie na przejazd po pasie. Ten samochód nie ma upoważnienia - wyrecytował kierowca.

- Jazda! - Głos Jamiego był cichy, brzmiał jednak znacznie groźniej

niż przy reprimendzie udzielonej skrzydłowemu. - Niech cię wszyscy diabli, to rozkaz! Nie po to latamy przez całą Europę, żebyś kazał pilotowi iść piechotą z maszyny!

Kierowca odwrócił się, gotów do kłótni, kiedy jednak zobaczył twarz kapitana Farebrothera, postąpił tak, jak mu kazano.

27. Pułkownik Daniel A. Badger

Dowódca grupy rozejrzał się po swym gabinecie. Zobaczył spękane linoleum, zarzucone papierami biurko, nędzne meble. Ojciec ostrzegł go, że życie żołnierza to bieda i pogarda otoczenia. „Wiara bez cudów” - tak charakteryzował karierę wojskową, „pokuta bez wybaczenia”, „żał za grzechy bez duchowego pocieszenia”. Ojciec nigdy nie dyskutował z nikim o swych pacyfistycznych przekonaniach, które podczas I wojny światowej ściągnęły na rodzinę gromy sąsiadów. Czy kiedykolwiek podejrzewał, że pogarda okazywana mu przez pewnych sąsiadów odegra znaczną rolę w podjęciu przez Danny'ego decyzji włożenia munduru? Kiedy „namaszczono” go wreszcie na podporucznika lotnictwa, ojciec nie należał już do kongregacji.

Pułkownik Dan wyjął chusteczkę i oczyścił nos z odgłosem trąb tryumfalnych. Cóż, nawet ojciec nie przestrzegł go przed tym, że pewnego dnia dwaj wymuskani cywile mogą zacząć uczyć go pracy, którą wykonywał na długo przedtem, nim oni nauczyli się salutować. Rzecz w tym, że gdyby coś poszło nie tak, te dwa sukinsyny powrócą, wmawiając, że to on spieprzył sprawę. Złapał krzesło, zawinął nim w powietrzu i z trzaskiem odstawił je na miejsce.

Próbują załatwić wszystko na chama - pomyślał w kilka chwil później, obserwując, jak ustawiają krzesła, jak opuszczają żaluzję, upewniając się, że biedny porucznik Morse nie będzie w stanie zobaczyć twarzy przełożonych - na wypadek, gdyby twarze te wyrażały jakiegokolwiek uczucia. Jakby gęby tych dwóch tępaków byty w ogóle w stanie wyrażać jakieś uczucia! Przecież kierują się wyłącznie irracjonalną niechęcią

wobec jednego z najlepszych pilotów grupy, który popełnił straszliwą zbrodnię zaciągnięcia na siano zamężnej kobiety! Cóż, „kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem”...

Dan Badger zdecydował postawić się twardo w jednym: porozmawia z Morse'em pod nieobecność tych dwóch. Mogą zaczekać w pokoju kancelisty, mogą nawet przykładać ucho do dziurki od klucza, jeśli chcą się upewnić, że wykonuje ich idiotyczne rozkazy!

Najpierw myślał, że ten tłusty mały podpułkownik jest z Korpusu Sądowego Sił Zbrojnych; zachowywał się władczo, wymachiwał ramionami, a tak przecież postępują prawnicy na sali sądowej; tyle że jego wiedza o zachowaniach tych ostatnich pochodziła wyłącznie z hollywoodzkich filmów. Okazało się, że kurdupel jest nikim więcej niż dziennikarzyną w mundurze, czyli oficerem prasowym.

Generał Bohnen najwyraźniej wyczuł, że pułkownik Dan nie zapalał miłością ku pułkownikowi Shelleyowi, postarał się więc, by przygotowania do rozmowy z porucznikiem Morse'em przebiegły tak sprawnie, jak to tylko możliwe.

- Może Dan zdecyduje, jak telefony powinny stać na jego biurku. Nie chcemy przecież, by ten gabinet zaczął przypominać salę rozpraw.

- Ja tylko próbowałem pomóc - usprawiedliwił się Lester Shelley. Odstawił na miejsce aparaty: czarny łączący z centralą, zielony z zabezpieczeniem linii przeciw podsłuchowi i czerwony, łączący z salą operacyjną. Przez kilka minut próbował rozplatać kable.

- Daj sobie spokój, Lester - poradził pułkownik Dan. Mały dupek nalegał, żeby mówić mu po imieniu. - Zawsze się płaczą. - Machnięciem ręki odmówił założenia kurtki mundurowej, którą Shelley zdjął z oparcia krzesła i podawał mu uprzejmie jak lokaj. Pułkownik Dan zawsze pracuje za biurkiem w nieregulaminowej koszuli khaki z krótkimi rękawami; przecież wszyscy miejscowi o tym wiedzą!

Porucznik Morse wkroczył do pokoju pewnie i swobodnie, najwyraźniej w głowie mu nawet nie powstało, że pułkownik zechce go uziemić.

Cierpliwie wysłuchał bełkotu o rekomendacji do Distinguished Flying Cross. Nie obchodziło go to; DFC rozdawano ostatnio na prawo i lewo, a on miał oko na coś poważniejszego. Marzył, że pewnego nieodległego dnia pułkownik Dan wezwie go i oznajmi, że został udekorowany Congressional Medal of Honor... I właśnie wtedy usłyszał, że zostaje uziemiony.

- O, cholera?! Ale za co? - spytał. - Chodzi o to, że rozbiłem maszynę? Zaraz, panie pułkowniku, przecież była dziurawa jak sito, ekipa ratunkowa może potwierdzić. Niech pan zadzwoni do Ruchomej Jednostki Ratowniczo-Remontowej, jeden z ich sierżantów powiedział, że nie ma pojęcia, jak w ogóle udało mi się wrócić!

Pułkownik postanowił nie zaprzeczać, że lądowanie awaryjne ma coś wspólnego z podjętą przez niego decyzją. W rzeczywistości sprawiło mu ulgę, że porucznik sam znalazł jakiś powód.

- Oficer administracyjny znajdzie panu robotę, poruczniku, więc na razie ma pan pozostać w bazie. Niedługo sam pan się zorientuje, że oficerowie pracujący w Kwaterze Głównej nie mają tyle wolnego czasu co piloci.

Morse'owi nie podobała się ta przemowa. Wyglądało na to, że może ugrzęznąć za biurkiem na dłużej. Kilka dni bez latania to niezły pomysł, stała praca za biurkiem niczym jednak nie różniła się dla niego od piekła.

- Ile to może potrwać, panie pułkowniku?

- Przejrzałem pańskie akta. Wylatał pan sporo godzin, poruczniku. Już całkiem niedługo będzie pan mógł wrócić do domu.

- Już całkiem niedługo mogę zostać asem w Europie, panie pułkowniku, i pan o tym doskonale wie!

- Nie mam zamiaru z wami dyskutować, poruczniku. Zostaliście uziemieni, i tyle. Zarówno lekarz, jak i ja uważamy, że potrzebujecie odpoczynku. Doktorek twierdzi, że kiedy wyciągnięto was z wraku, dostaliście ataku hysterii.

- Niech pan mi da spokój z tym gównem o potrzebie odpoczynku! Noc w noc śpię jak dziecko i nie przyszedłem tutaj, żeby zgłosić się na zwolnienie. Nie proszę ani o phenobarb, ani o podwójną porcję whisky po locie! Czuję się doskonale i jestem zdrowszy od najzdrowszego pilota w tej grupie. I nikt nie wyciągał mnie z maszyny; wylądowałem najostrożniej, jak to tylko było możliwe i sam z niej wyszedłem, jak i kiedy mi się podobało!

- Spokojnie, synu. Próbujesz mi wytłumaczyć, że to nie była histeria, kiedy przeklinałeś doktora i świadomie odmówiłeś rozkazu udania się do karetki celem przeprowadzenia badań? Za to można by cię nawet oskarżyć.

- A więc doktor Goldman nagadał na mnie?

- Dajcie spokój, Morse, przecież go znacie. Byłem przy tym. Widziałem, jak stoicie w maszynie i wrzeszczycie „gówno!” na całe lotnisko. Słyszałem was z miejsca, w którym obserwowałem lądowanie.

- Jasne, jasne, rozumiem. - W głosie Myszki zabrzmiała gorzka kpina. - Orzeł wygrywa, reszka przegrywa. Cokolwiek byś zrobił, człowieku, zostajesz uziemiony. Kto kazał panu mnie tak urządzić? Major Tucker, co?

- Tucker nie ma z tym nic wspólnego.

Porucznik Morse wpadł w gniew, więc w naturalnej reakcji na emanującą od niego wrogość pułkownik zerwał się zza biurka, lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że powinien siedzieć; Duke Scroll z pewnością by nie wstał! Pochylił się jednak i potrząsnął palcem przed nosem Morse'a.

- Zapamiętaj to sobie! - wrzasnął. - Dobrze zapamiętaj, że ja tu wydaję rozkazy i kiedy mówię „żadnych lotów”, oznacza to rzeczywiście „żadnych lotów”. - Usiadł, nerwowo pocierając nagie ramiona. - A teraz wynoś się stąd i powiedz majorowi Tuckerowi, że twoje nazwisko ma nie pojawiać się na tablicy, póki nie odwołam polecenia. Jutro rano, o ósmej trzydzieści, zameldujesz się u pułkownika Scrolla w mundurze galowym. On poinformuje cię o twoich nowych obowiązkach. Od tej

chwili zostajecie zwolnieni z obowiązków w trybie natychmiastowym, poruczniku. Rozumiecie?

Mięśnie szczęk Morse'a napięły się wyraźnie, na czoło zaś wystąpiła żyła tak nagle, że pułkownik odniósł wrażenie, iż chłopak starzeje się na jego oczach. Zasalutował sztywno, przesadnie, stanął na baczność, wykonał w tył zwrot i ruszył ku drzwiom.

- Jesteście wolni! - krzyknął za nim pułkownik.

MM jednak już otwierał drzwi. Zatrzasnął je za sobą z taką siłą, że barak zadrżał.

Generał Bohnen, podpułkownik Shelley i podpułkownik Scroll pojawili się w pokoju.

- Huk drzwi sprawi zapewne, że wszyscy w bazie będą się zastanawiać, co tu się właściwie stało. - Bohnen uśmiechnął się, by pokazać, że tak naprawdę wcale go to nie martwi.

- Pułkownik Badger zawsze w ten sposób zamyka drzwi, panie generale - odparł Scroll, również z uśmiechem. - Nie sądzę, by miało to spowodować komentarze.

Jeśli chciał w ten sposób ułagodzić swego dowódcę, to nie odniósł sukcesu.

- Mam zamiar wystawić temu młodemu oficerowi opinię, która zaдоśćuczyni niesprawiedliwości, jaką mu dziś wyrządziliśmy - oświadczył pułkownik Dan. - Chociaż w pewnym stopniu.

Duke Scroll jako jedyny z obecnych zdawał sobie sprawę, jak bardzo pułkownik wczuwa się w położenie Myszki. Tak naprawdę ci dwaj ludzie nie mieli ze sobą wiele wspólnego, Dan Badger pamiętał jednak, że w młodości nie udawało mu się nic z wyjątkiem latania, i wiedział, że tak samo jest z porucznikiem. W jego stosunku do Myszki tkwiła spora doza zazdrości skierowanej jednak przede wszystkim pod adresem asa z gatunku tych, którzy po I wojnie uczyli go pilotażu.

- Radzę panu zachować ostrożność - powiedział generał Bohnen dźwięcznym, a jednocześnie życzliwym głosem, który tak dobrze zdawał

egzamin w wypadku zdezorientowanych biznesmenów. - Niech pan wpisze „wyjątkowy” we właściwej rubryce formularza, całościową ocenę proszę jednak zostawić obecnemu tu Duke'owi. - Dotknął ramienia pułkownika, jakby zamierzał mu pogratulować. - Cóż, sądzę, że powinniśmy już przestać zawracać panu głowę. Pogoda dopisuje, wszystko wskazuje na to, że pańska grupa będzie jutro lecieć. Jestem więc pewien, że ma pan mnóstwo roboty.

Duke Scroll przytrzymał drzwi otwarte przed wychodzącymi. Nalegał, by odwiedzili klub oficerski, gdzie przygotowano dla nich filiżankę kawy i kanapki. Kroki trzech mężczyzn ucichły w głębi korytarza, pułkownik Dan zaś obrócił się, by móc obserwować mecz softballu, rozgrywany na boisku za hangarem numer jeden, i gwiazdzisty sztandar, powiewający nad placem apelowym. Te objawy zwykłego amerykańskiego stylu życia pocieszyły go; znów poczuł się na miejscu. Już miał zadzwonić do kancelisty z prośbą o kawę, kiedy w korytarzu rozległy się pośpieszne kroki i drzwi otwarły się raptownie. W progu stanął podpułkownik Lester Shelley, oficer prasowy. Wszedł do środka z cygarem w ręce wzniesionej w geście będącym na wpół salutem, na wpół prośbą o przebaczenie.

- Wróciłem po okulary - oznajmił.

- Ale ja...

- Tak naprawdę to chciałem zamienić z panem kilka słów, pułkowniku. - Shelley wysunął z kieszeni skórzany futerał na okulary na tyle, by można było stwierdzić, że rzeczywiście ma go przy sobie. - Być może będziemy musieli współpracować przy ostatecznym rozwiązaniu tego problemu. - Uśmiechnął się i wydmuchnął dym. - Co najmniej połowa kłopotów na tym świecie nigdy by się nie pojawiła, gdyby kobiety paliły cygara. Tak mówił mój ojciec, a ja mu wierzę. Człowiek jest w stanie usiąść przy stole i przedyskutować sprawę z każdym, kto docenia smak dobrego cygara. To uspokaja, pan rozumie, prawda?

- Jasne, Lester - odparł pułkownik Dan nie mając zielonego pojęcia,

jakiej odpowiedzi spodziewa się jego rozmówca.

- Wiedziałem, że mogę porozmawiać z panem jak mężczyzna z mężczyzną, pułkowniku. - Lester Shelley błyskawicznie obejrzał się przez ramię; chciał mieć pewność, że nikt nie słucha. - Pragnę wyświadczyć ci teraz przysługę, Dan, bo mam wrażenie, że kiedyś mogę potrzebować od ciebie wzajemności.

- Co też mogę dla ciebie zrobić?

Shelley rozejrzał się raz jeszcze, a potem wycelował w niego palec.

- To tylko do twej prywatnej wiadomości, Dan, do twej najprywatniejszej wiadomości... - Podniósł dłoń, podkreślając tym gestem wagę tego, co' miał właśnie oświadczyć. - Generał Bohnen ma tu, w twojej bazie, syna.

- S y n a ?!

- J e d y n e g o s y n a . Bardzo kocha tego chłopaka.

- Nie mam na liście nikogo o nazwisku Bohnen... Czy to zawodowy oficer, czy z poboru?

- Oczy i uszy mam otwarte, Dan; inaczej nigdy bym na to nie wpadł. - Shelley postukał się palcem po nosie. - To tak między nami, mądralami, dobrze?

- W tej bazie? Bohnen?

- Farebrother, kapitan, zdaje się. Całkiem bystry młody człowiek, z tego, co słyszałem. Wyświadczyć sobie przysługę, Dan, i dbaj o tego chłopaka. Nigdy nie wiadomo, co może przyjść człowiekowi z tego, że generał patrzy nań przychylnym okiem. A tak, oczywiście, kapitan... Nazywa się James Farebrother.

- No cóż... bardzo ci dziękuję, Lester.

Podpułkownik Lester Shelley wetknął sobie teczkę wysoko pod pachę, jakby była to piłka, z którą ma zamiar przebić się przez obronę przeciwnika i zaliczyć przyłożenie. Prawą ręką machnął w niemal przepisowym salucie i w pośpiechu opuścił pokój.

A więc to tak... Farebrother. Pułkownik Dan pojął wreszcie, dlaczego jego grupa ma honor tak często gościć generała, zrozumiał, skąd te wszystkie, jakże uprzejme, telefony, podczas których pytano o zdrowie Farebrothera. Odwrócił się do okna i spojrzął na lotnisko - jego lotnisko. Przez kilka chwil obserwował mecz w softball. Nie był to trening drużyny, po prostu paru mechaników zabawiało się rzucając piłkę. Wydali mu się bladzi, przygnębieni, najwyraźniej byli także w bardzo kiepskiej formie. Przez ostatnie kilka tygodni zespoły mechaników pracowały dzień i noc. Ci ludzie potrzebowali odpoczynku i dobrze zorganizowanych ćwiczeń fizycznych, ale wymagania operacyjne nie pozostawiały im wiele wolnego czasu, a zanosilo się na to, że w najbliższym czasie będzie jeszcze gorzej. Więcej będzie zmian silników, dziur po kulach do załatania, karabinów do wyczyszczenia i tych cholernych listów do najbliższej rodziny, informujących, że brat, syn, mąż zaginał w akcji. Tak to brzmiało oficjalnie: zaginał w akcji. Udręczeni ludzie mieli dzięki temu szansę oswojenia się z sytuacją przed przygotowaniem się na fakt ostateczny: straszliwą pewnością śmierci.

A więc Farebrother jest synem generała Bohnena! Jak się bliżej zastanowić, istotnie, są do siebie dość podobni. Czy Bohnen jest rzeczywiście taki nieprzejednany, że uziemiłby syna ze względu na „dobro służby”? Tak, zdecydował pułkownik Dan, generałowi nie robiłoby to żadnej różnicy. Był on tak samo pewny słuszności ściśle przestrzeganych zasad co ojciec pułkownika Dana. Ale nie w ten sposób przecież załatwia się sprawy! Przypomniał sobie rozmowę z porucznikiem i poczuł się raptem skurwiony. Kim byli ci dwaj, że tak po prostu sobie tutaj przyjechali i skłonili go do wyrządzenia wielkiej krzywdy jego człowiekowi, w dodatku pilotowi!

Dopiero teraz pułkownik Dan zauważył, że drzwi łączące jego biuro z pokojem kancelistów są lekko uchylone.

Widział nawet sierżanta Kinzelberga przeglądającego papiery w

szufladzie biurka. Czy słyszał jego rozmowę z podpułkownikiem Shelleyem? Miał ochotę wręcz zapytać go o to, ale uświadomił sobie, że z pewnością nie usłyszy jasnej odpowiedzi. Kinzelberg i jego szef, Duke, wyszli spod jednej sztancy: „Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie mówię”. Od dłuższego czasu zamierzał kupić Duke'owi posążek małpki i ustawić mu na biurku, w charakterze niespodzianki. Nawet gdyby figurka była zrobiona ze szczerego złota, pułkownik nie odplaciłby oficerowi administracyjnemu za niezliczone sytuacje, w których krył błędy swego dowódcy, łagodził kłótnie i w ogóle trzymał grupę w ryzach, podczas gdy on, Dan Badger, doskonale bawił się latając samolotem i udając, że jest o piętnaście lat młodszy niż w rzeczywistości.

Zamknął drzwi, pomasaował napięte ramiona i przeciągnął się. Siedzenie na tyłku w oczekiwaniu na wezwanie generała Bohnena było znacznie bardziej męczące niż lot bojowy, nawet taki jak ten dzisiejszy. Westchnął. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy nie jest przypadkiem za stary na dowodzenie grupą myśliwską, zwłaszcza jeśli zadaniem dowódcy jest hołubienie takich dęciaków jak ci dwaj. Znów spojrzął za okno, próbując ocenić, czy pogoda się utrzyma, a potem, nadal niepewny, zadzwonił do Kevina Phelana, ale Phelana nie było w operacyjnym i nikt nie wiedział, gdzie jest ani kiedy może wrócić. Potrzebował dobrego pretekstu, żeby porozmawiać z Kevinem. Może jeszcze raz dokładnie omówiliby ten mecz z serii play-off, w którym „Niedźwiedzie” pokonali „Czerwonoskórych” siedemdziesiąt trzy do zera. Bardzo lubił opowiadać o tym majorowi, a jeśli tamten uznał to w końcu za nudne, to służył wystarczająco długo, by wiedzieć, że przywilejem dowódcy jest zanudzać podwładnych na śmierć... Poza tym, jeśli nie liczyć wykrzykników we wszystkich właściwych miejscach, Kevin nigdy mu jeszcze nie przerwał opowieści.

Nie mogąc zlokalizować Phelana, pułkownik Dan uczynił coś, czego zwykle nie miał zwyczaju robić. Zaciśnął dłoń na jednym z kluczyków

połączonych cienkim złotym łańcuszkiem, które trzymał w kieszeni spodni, i otworzył szafkę-barek. Nalał sobie potrójną porcję bourbona, po czym sumiennie ją zamknął w szafce. Wypił dopiero wtedy, kiedy generalski C-47 oderwał się od pasa i wzbił w niebo. Nie rozkoszował się trunkiem, nie trzymał go w ustach, by nasycić się smakiem; czuł potrzebę ożywienia krwioobiegu alkoholem, więc przechylił szklaneczkę i osuszył ją trzema długimi łykami.

Siedział za biurkiem, czując w żołądku rozkoszne ciepło, a w sercu radość, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Tylko starszym oficerom wolno było lekceważyć kancelistę.

- Wejść!

Drzwi otworzyły się i stanął w nich major Tucker.

Pułkownik Dan skłonny był uwierzyć, że whisky jest odpowiedzialna za to, co widzi; stał bowiem przed nim inny major Tucker - ożywiony, gotowy do walki. Zasalutował nienagannie, w sposób jakże charakterystyczny dla wychowanków West Point, ale całą swą postawą zdradzał najwyższy według jego standardów stopień niesubordynacji.

- Panie pułkowniku, w kolejce do przesłuchań spotkałem porucznika Morse'a i dowiedziałem się, że został uziemiony.

W milczeniu czekał na reakcję dowódcy.

- Słusznie, majorze. - Pułkownik mówił wolniej i uważniej niż zazwyczaj, na wypadek, gdyby zdarzyło mu się potknąć na którymś słowie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien pić tak wcześnie.

- A więc muszę prosić pana o wyjaśnienie, panie pułkowniku.

- We właściwym czasie, majorze.

- Obawiam się, że nie mogę zaakceptować tej odpowiedzi, panie pułkowniku.

- Zaakceptuje pan każdą moją cholerną odpowiedź! - Pułkownik powiedział to o wiele za szybko.

- Być może powinienem przypomnieć panu, że porucznik Morse jest najlepszym pilotem tej grupy... I odnosi w niej największe sukcesy.

- Być może powinienem z kolei przypomnieć panu, majorze Tucker, że ja jestem dowódcą tej grupy.

- Nie ma pan powodu przemawiać do mnie tym tonem, pułkownik Badger. Oczywiście jest pan dowódcą grupy, ale najwyraźniej przeoczył pan fakt, że ja dowodzę dywizjonem i z tego tytułu jestem bezpośrednim przełożonym porucznika Morse'a. Dopuszczam możliwość, że jakiś „adwokat” wytłumaczył panu, że miał pan prawo zrobić to, co pan zrobił, ale chcę panu powiedzieć, panie pułkowniku, że taką nieuprzejmość uważam za uwłaczającą mi osobiście i niewybaczalną. Porucznik Morse ma więcej zestrzeleń od pana i jest pilotem, któremu ja nie dorównam nigdy. Być może naruszył zasady dyscypliny, ale prowadzimy wojnę i najlepszych pilotów potrzebujemy za sterami maszyn. Przydzielenie porucznikowi Morse'owi obowiązków administracyjnych uważam za żenujące nieporozumienie. Jestem gotów przyjąć osobistą odpowiedzialność za jego dalsze postępowanie, jeśli zaś chodzi o lądowanie awaryjne, przygotuję raport, który oczyści go ze wszystkich możliwych zarzutów.

Pułkownik odchylił się w fotelu, aż zaskrzypiała sprężyna oparcia. Uśmiechał się, z niedowierzaniem potrząsając głową.

- Przecież pan nienawidzi porucznika Morse'a. W zeszłym tygodniu tu, w tym pokoju, skarżył się pan na jego niesubordynację.

- Niesubordynacja nie jest wykroczeniem, za które można by ukarać zakazaniem temu pilotowi udziału w lotach bojowych. Jasne, nie znoszę tego małego sukinsyna, ale pomaga nam wygrać wojnę i nikogo innego nie chciałbym widzieć za sobą, kiedy na horyzoncie pojawiają się szkopy.

Pułkownik Dan potarł twarz obu dłońmi, bezskutecznie próbując pozbyć się efektów działania alkoholu.

- Czy na tym polega filozofia West Point, Tucker? Na przekonaniu, że wprawdzie w chórze śpiewa kurwa, ale przedstawienie musi toczyć się dalej? Tego uczą was w Akademii?

Major przez chwilę przyglądał się dowódcy. Uznał, że nie jest bynajmniej celem kpin. Przemyślał pytanie i skinął głową.

- Myślę, że tak właśnie można by to ująć, panie pułkowniku. Akademia wbija kadetowi do głowy wiarę w to, że dobry dowódca jak najlepiej wykorzysta broń i ludzi, którymi dysponuje. - Zapalił się do tego stopnia, że dotknął nawet wąsika, usiłując przypomnieć sobie, czego jeszcze nauczył się w Point. - W moim przekonaniu porucznik Morse jest dobrym żołnierzem i powinien walczyć na pierwszej linii.

Pułkownik Badger przyglądał mu się z szacunkiem.

Zawstydziła go ta interwencja; żałował teraz, że nie okazał się twardszy wobec Bohnena.

- Niech pan mi powie, Tucker, czy marzy pan o pracy w sztabie? Czy pańskim zdaniem lepiej będzie pan dowodził biurem w pułku niż dywizjonem w powietrzu?

Major Tucker zacisnął wargi. Gdy wreszcie odpowiedział, w jego głosie wyraźnie słychać było zdenerwowanie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że reflekssem znacznie ustępuje pułkownikowi; przerażała go sama myśl, że może powiedzieć coś, co zaszkodzi jego karierze. Wreszcie zdecydował, że należy do ludzi, którym najłatwiej jest mówić prawdę.

- Tak jest, panie pułkowniku. Nie mam właściwego temperamentu do tego rodzaju pracy. Tak naprawdę dowódcą dywizjonu powinien być porucznik Morse.

Pułkownik Dan skinął głową. Bawił się leżącymi na biurku papierami.

- Doskonale, majorze Tucker - powiedział. - A teraz niech pan stąd znika. Przemyślę sobie to, co od pana usłyszałem. Przyjąłem pana zastrzeżenia... oficjalnie. Czy chce pan przedłożyć je na piśmie?

- Nie sądzę, by było to postępowanie właściwe dla lojalnego podwładnego, panie pułkowniku.

- Jesteście wolni.

Patrzył, jak major wykonuje bezbłędnie w tył zwrot. West Point nauczyło go nawet właściwego sposobu otwierania drzwi!

- Jeszcze jedno...

Tucker odwrócił się

- Macie rację, majorze - powiedział z rezygnacją pułkownik Dan. -
Może ta wasza Akademia czegoś jednak uczy człowieka.

- Dziękuję panu, panie pułkowniku.

28. Major Spurrier Tucker jr

Major Spurrier Tucker nienawidził swojego imienia. Było dowodem tyranii rodziny, tak jak i zmuszenie go do pójścia do West Point, kiedy w sekrecie marzył o tym, by zostać aktorem. Jego ojciec i dziadek, z tęskniąc do kompletu, albo doskonale radzili sobie w Akademii, albo zrobili później karierę wojskową. Ojciec majora nie ustawał w wysiłkach, by załatwić mu pracę w sztabie, rozsyłając listy polecające do starych przyjaciół, kongresmenów i w ogóle każdego, kto tylko przyszedł mu na myśl. Tego ranka przyszedł od niego list. Niezwykły list, bo major dowiedział się z niego, że jeśli po wojnie zdecyduje się opuścić armię i znaleźć sobie jakąś inną pracę - „jakąś inną” podkreślone było zielonym atramentem, którego stary zawsze używał do zaznaczenia najważniejszych fragmentów korespondencji - nikt nie będzie mu w tym przeszkadzał. Czyżby między wierszami dochodzących do domu listów od syna odczytał, jak bardzo jest on nieszczęśliwy? Czyżby matka od początku wiedziała, że jej dziecko przygniatąją rodzinne tradycje służby wojskowej? Czy tyrani czują pogardę do siebie, jeśli nie spełnia się ich oczekiwań?

Księżyc świecił wystarczająco jasno, by Tucker bez trudu znalazł przejście pomiędzy ciężarówkami i cywilnymi autobusami, zaparkowanymi po tej stronie placu apelowego. Goście na „tańce wypłaty” nadal przybywali do klubu oficerskiego, „Aero Klubu” i „Rocker Klubu”, gdzie starszych podoficerów czekało zazwyczaj najlepsze jedzenie, najlepsza muzyka i najładniejsze dziewczęta. Dziewczyny wysiadały z ciężarówek przy wtórze powitań i pełnych aprobaty gwizdów; były wśród

nich pielęgniarki z okolicznych szpitali, dziewczyny z pobliskich farm oraz panie różnych kształtów, zwolnione na ten dzień z obowiązkowych przechadzek po Drummer Street w Cambridge.

Ścieżką wyłożoną białymi kamieniami major udał się do klubu. W dłoni trzymał swą rację whisky - butelkę Johnnie Walkera. Napoczął ją, decydując, czy pójść na tańce. Niczego nie świętował, już raczej próbował zapomnieć o kłótni z dowódcą grupy. Uznał, że to cholernie głupi sposób zrujnowania sobie kariery.

Na ten wieczór nie miał towarzystwa. Nie był dość wygadany, a poza tym nie umiał udawać pogody ducha, która wydawała się konieczna, by przyciągnąć kobiety. Był człowiekiem konwencjonalnym i neurotycznym, któremu trudno się odprężyć. Tego zaś wieczora był szczególnie spięty. Nerwowy, niespokojny, nie sypiał ostatnio zbyt dobrze; powinien właściwie poprosić lekarza o środki nasenne, ale o takich prośbach zawsze dowiadywał się pułkownik Dan, a Tucker nie chciał, żeby odsunięto go od lotów. Jeśli tylko będzie się jakoś trzymać, wkrótce dostanie zajęcie w sztabie. Tymczasem jednak wibrował, napięty jak mocno naciągnięty drut. Być może powinien się po prostu upić - połowa oficerów w klubie już latała z mocnym przechyłem na skrzydło.

Przy barze siedział Morse. Na głowie miał oczywiście swojego perłowoszarego stetsona. Czekał na barmana, w rękę trzymał cynową tacę z kilkoma szklankami, wodą sodową i kubelkiem lodu.

- Czego się napijesz, Tucker, stary przyjacielu? - spytał. - Barmana zdaje się wykreślono ze scenariusza.

Doszły go pogłoski, że Tucker sprzeciwiał się jego uziemieniu. MM potrafił to docenić.

- A niech to diabli wezmą! Mam butelkę na dobry początek. - Major postawił whisky na tacy.

- Grzeczny chłopiec! - Zdumiewające. Spurrier jeszcze nigdy nie zaproponował mu udziału w swej racji alkoholu. - Proszę, tam usiądziemy. - Myszka wziął z baru dodatkową szklankę, po czym wskazał stół pod

starym śmigłem i plakatami, swe stałe miejsce. Siedział tam już nowy skrzydłowy Jamiego, Luke Robinson, oraz paru innych pilotów z dywizjonu Tuckera.

- Major stawia - poinformował Myszka. Stuknął butelką o stół i nasypał lodu do szklanek.

- Dziękujemy, panie majorze - powiedział Luke Robinson, jedyny, który uznał postępowanie Tuckera za normalne. Reszta pilotów zareagowała znacznie cieplej.

- To wyjątkowo miłe z pańskiej strony - stwierdził MM. Siedząca obok niego Vera pocałowała majora, a dopiero potem sięgnęła po szklaniczkę.

- Gdzie ukrywałeś tego mężczyznę? - spytała. - Jest taki przystojny! Tucker zarumienił się.

Od stolika był dobry widok na estradę. Dwunastoosobowy zespół był najlepszy, jakim armia dysponowała w tej stronie Londynu. Wszyscy jego członkowie służyli w głównych magazynach Ósmej Armii Lotniczej, gdzie naprawiano ciężko uszkodzone maszyny; pracowało tam mnóstwo ludzi. Niektórzy z muzyków grali jak zawodowcy, bez przerwy. Chórek też był dobry, angielski, z Londynu; Amerykanie nie mogli się jednak przyzwyczaić do piosenek śpiewanych z brytyjskim akcentem.

Po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz

Powiedz, kochanie, czego jeszcze chceeeesz.

- Ten tam to twój przyjaciel Jamie?

- Oczywiście, panie majorze. Tańczy koło stolika pułkownika Dana.

Vera zabrała Myszce stetsona i ostrożnie włożyła go na głowę Tuckerovi, który uśmiechnął się szeroko.

- Z tą wysoką, piękną dziewczyną? Czy to Victoria, o której tyle słyszałem?

- Pracuje z Verą - wyjaśnił MM, gładząc swą przyjaciółkę po ramieniu,

jakby chciał się upewnić, że wciąż jest przy nim.

Major Tucker dostrzegł ten czuły gest i poczuł wzruszenie. Uśmiechnął się do siedzących przy stoliku mężczyzn i towarzyszących im dziewcząt. Wcale nie są tacy najgorsi, pomyślał. Nagle zobaczył ich w zupełnie innym świetle - być może powinien częściej przychodzić na sobotnie tańce?

Vera obejmowała MM, ale wpatrywała się w koleżankę i Jamiego, któremu Victoria miała dziś zamiar oznajmić, że jest w ciąży. Odmówiła już za nią modlitwę, a teraz czekała na znak, czy została ona wysłuchana.

Vera była w znakomitej formie. Nie tylko ostro komentowała amerykańskie obyczaje, ale i skorygowała opowieść Myszkii o bożonarodzeniowej zabawie w Cambridge, przedstawiając własną wersję wydarzeń. Niezbyt karykaturalnie - choć kiedy chciała, potrafiła być złośliwa - naśladowała pułkownika Dana rzucającego kośćmi, biednego Earla wymachującego flagą konfederacką podczas upadku z pianina i Vince'a Madigana, kryjącego się za Myszką, kiedy dziewczyna rzuciła się na niego z nożem do chleba. Umiała naśladować ludzi, robiła to z talentem, i choć jej amerykański akcent nie był może doskonały, świetnie uchwyciła radosny błysk w pijanych oczkach pułkownika Dana, kiedy wygrał sześćset dolarów za jeden rzut, sposób, w jaki okoliczności starły radosny uśmiech z twarzy Vince'a, i zdumione, zawstydzone spojrzenie Jamiego orientującego się powoli, że jest odpowiedzialny za całe to szaleństwo, które z każdą upływającą chwilą wymyka mu się spod kontroli i którego kulminacją była wizyta policjanta od stóp do głów oblanego ponczem owocowym.

Tucker zdał sobie nagle sprawę, ku czemu zmierza opowiadająca. Zagrzechotał kostkami lodu w szklance. Spojrzenia zgromadzonych przy stole podążyły za wzrokiem Very; wszyscy wpatrywali się w niego oskarżycielsko.

- To przez Jamiego - powiedział niepewnie. - Kazał mi natychmiast

pozbyć się tego ponczu. Mówił, że ludzie po nim chorują.

Vera wybuchnęła śmiechem.

- Ten gliniarz! Plasterki ogórka przylepiły mu się do hełmu!

Wszyscy się roześmiali, Tucker zaś uświadomił sobie, że ci ludzie czekali na wygłoszoną przez niego nerwowo kwestię, że była to puenta opowieści i również się roześmiał. MM walnął go z uznaniem po ramieniu. Obecni najwyraźniej nabierali przekonania, że ich major może okazać się doskonałym gawędziarzem.

Pojawiła się przed nim kolejna wielka szklanka whisky. Chciał zaprotestować, powiedzieć, że przecież ma drinka, ale ze zdziwieniem zauważył, że właściwie to już go nie ma.

- Stawiam następną butelkę - oznajmił, machając ręką na barmana, który skinieniem głowy dał mu znać, że usłyszał i mimo tłoku przed barem znalazł czas, by zdjąć whisky z półki.

- Miło zobaczyć, jak się pan przestaje jeżyć, majorze - powiedział Jamie, tańczący teraz obok stolika, z Victorią w ramionach.

Tucker wstał. W zatłoczonym kącie trudno było się poruszać, ale jaś wy dostał się zza stołu, stanął nieco chwiejnie i przedstawił się.

- Czy mogę zatańczyć z panią, kapitanie Farebrother?

Jamie uśmiechnął się. Nigdy jeszcze nie widział dowódcy swego dywizjonu po alkoholu.

- Jestem pewien, że Victoria z radością przyjmie pańskie zaproszenie - powiedział, zerkając na dziewczynę. - Ja chyba już nigdy się tego nie nauczę.

- Gdzie się pan nauczył tak tańczyć, majorze?

- Rzadko trafiam na równie wspaniałą partnerkę, Victorio. I proszę, mów mi po imieniu.

Pytanie Victorii nie było wyłącznie komplementem. Tucker tańczył dobrze, a uznanie sprawiło, że dziś szło mu jeszcze lepiej niż zwykle.

- Gdzie się nauczyłem? Wszystko zaczęło się, kiedy uciekałem z lekcji historii, żeby brać lekcje stepowania. To było w liceum w moim

rodzinnym mieście Augusta, w Maine. Chciałem zostać aktorem.

Spojrzała na niego, próbując ocenić, czy major w ten sposób ma zwyczaj podrywać dziewczyny, czy żartuje, czy też może po prostu odpowiedział na pytanie.

- Ale przecież ukończył pan West Point... Naprawdę chciał pan kiedyś występować na scenie?

- Ach, dostrzegłaś pierścień? Tak, jestem zawodowym wojskowym. Rodzina pomogła mi zrozumieć, że showbiznes to żaden biznes.

Victorii zrobiło się go żal.

- Nigdy nie jest za późno, Spurrier.

- Może masz rację, Victorio... - powiedział wesoło.

Wydawał się jej raczej przystojny z błyszczącymi oczami i cienkim wąsikiem. Kiedy się uśmiechał, łatwo było go sobie wyobrazić jako aktora. Przytulił ją mocniej, nie dbając o to, że pary odwracają się i patrzą na nich.

- Po tym, co powiedziałem wczoraj pułkownikowi Danowi, być może po wojnie będę szukał sobie nowej pracy - wyjaśnił.

- Nie wierzę, byś mógł być dla niego nieuprzejmy. Nie potrafię sobie tego nawet wyobrazić.

- I to jest właśnie najśmieszniejsze. Ja też nie potrafię sobie tego wyobrazić. A jednak byłem nieuprzejmy.

Major Tucker zatańczył z wszystkimi dziewczętami siedzącymi przy stole Myszki, potem z wszystkimi ładnymi dziewczynami w klubie, nie zapominając za każdym razem poprosić o pozwolenie ich partnerów, grzecznie, formalnie, tak samo, jak prosił Jamiego. Ku swemu zaskoczeniu - zdumieniu nawet! - ani razu nie spotkał się z najmniejszym nawet dowodem niechęci. Wręcz przeciwnie, wszyscy uśmiechali się życzliwie, a drinki stawiali mu nawet oficerowie, których ledwie znał.

Wcześniej, bo już o wpół do jedenastej, orkiestra zaczęła grać „wiązankę tańców południowoamerykańskich”, z której była szeroko znana. Tuckera południowoamerykańskie rytmy nie przerażały, lubił je szalenie,

więc kiedy partnerka uwolniła rękę z jego uścisku, śmiejąc się z rozczarowania majora, zatańczył sam, wprawnie i z wdziękiem. Orkiestra wydawała się czerpać natchnienie z jego tańca, obecni zaś ustawili się wokół, by móc go obserwować. Większość Brytyjczyków potraktowała jego występ tak, jak traktowała wszystkie inne oryginalne zachowania Amerykanów; dla kolegów jednak było to przedstawienie jedyne w swoim rodzaju. Tuckera nikt jeszcze takim nie widział. Nawet doktor Goldman, doskonale zdający sobie sprawę z tego, co ostry stres, połączony ze stałym zagrożeniem życia i wyczerpaniem fizycznym, robi z ludźmi, którymi przyszło mu się opiekować, patrzył na niego z ustami półotwartymi ze zdumienia.

Bolera, kachucze, fandanga i szkocki fling nie sprawiały tej nocy żadnej trudności majorowi Spurrierowi Tuckerowi. Cokolwiek zagrała orkiestra, tańczył stylowo, wspaniale. Z rękami w kieszeniach, z leniwym uśmiechem na wargach i stetsonem Myszki nasuniętym nisko na czoło, bez wysiłku stepował „Sleepytime Girl” tak doskonale, że widzowie zgotowali mu owację, której pozazdrościć mógłby sam Fred Astaire. Tego wieczora Spurrier Tucker narodził się na nowo, a kiedy orkiestra umilkła, zebrani okazali niebывały wprost aplauz. Pozdrawiali majora, gwizdali z uznaniem, krzyczeli. Żandarmi zeszli z posterunków, by sprawdzić, co się dzieje, a w dość odległej wiosce Long Thaxted przetrwano turniej brydżowy. Cały ten zgiełk szybko nie ucichł - oklaski brzmiały jeszcze, gdy dwaj zadyszani sierżanci z „Rocker Club” wpadli na salę sprawdzić, co dzieje się z oficerami. Żołnierze pokazywali sobie palcami zarumienionego, uśmiechniętego majora; w jednej chwili stał się on najpopularniejszą postacią w bazie. Czegoś podobnego nie wyobrażał sobie nawet w najśmielszych marzeniach, radość wręcz go rozsadzała.

Pewny siebie jak nigdy, podszedł do stolika, przy którym siedział pułkownik Dan.

- Czy mogę się przysiąść, panie pułkowniku? - spytał.
- Niech pan siada, majorze. Gdzie się pan nauczył tak wywijać?

- W West Point - powiedział Tucker.

Pułkownik uśmiechnął się i przysunął mu butelkę whisky. Tucker nałóż sobie solidną porcję.

- Majorze, jutro rano obudzi się pan z bardzo ciężką głową.

- Ból głowy po alkoholu będzie dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem.

- Ma pan zamiar sobie po mnie pojeździć? - spytał pułkownik z żartobliwą surowością. Niepokoiła go ta nowo ujawniona osobowość Tuckera, lecz zarazem fascynowała.

- Może i tak, pułkowniku. I może będę po panu jeździł do czasu, aż porucznik Morse znów zacznie latać...

Pułkownik Dan rozejrzał się, by sprawdzić, czy ktoś nie przysłuchuje się rozmowie. Przy stoliku siedziały dwie dziewczyny, chórzystki w jednym z londyńskich przedstawień - przywiózł je ze sobą Kevin Phelan. Słuchały teraz z nabożeństwem relacji Phelana z jego spotkania z Clarkiem Gable w męskiej toalecie hotelu Waldorf Astoria. Dziennikarze okupowali bar, popijając ostro i opowiadając, jak to bomby sypały się im na głowę podczas nalotów na Londyn. Upewniwszy się, że nikt nie jest w stanie podsłuchać, pułkownik przysunął się nieco bliżej Tuckera. Orkiestra grała hałaśliwą aranżację „Chwała Panu, dawaj amunicję”.

Pułkownik pomyślał, że wkrótce solista zdecyduje, czy atmosferę wieczoru lepiej podkreślą przyćmione światła i delikatne, romantyczne aranżacje „My Devotion” i „Dearly Beloved” - stłumione trąbki, ciche dźwięki skrzypiec - czy też wieczór nabierze tempa, goście zapomną o damskim towarzystwie i nastrój zdominowany zostanie przez perkusję z trąbką do kompletu, a wszyscy wyrzaskiwać będą słowa „On, Brave Old Army Team” i tak dalej. Nie miał zamiaru brać udziału w pijackiej radości pilotów; postanowił, że w tym drugim przypadku wróci do biura i podgoni trochę papierkową robotę.

Popatrzył znów na Tuckera. Skórzaną kurtkę zapiął pod szyję.

- Znajdź jakiś sposób na to, żeby jego nazwisko nie pojawiało się w

tych cholernych raportach, to mu pozwolę latać - rzekł.

Tucker rozparł się w krześle. Skinął beztrąsko głową, rozejrzał się i przez ramię pomachał do Myszki tańczącego z Verą.

- I jeszcze przyprowadził ze sobą tę cholerną babę! - warknął pułkownik głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Kevin Phelan zakończył opowieść oczywistą puentą „ale mój jest większy” w sam czas, by usłyszeć gniewną uwagę swego pułkownika. Uśmiechnął się leniwie.

- A myślałeś, że kogo przyprowadzi? Jedną z tych dam spod Czerwonego Krzyża?

- Dlaczego nie może się z nią widywać poza bazą?!

- Ponieważ zakazałeś mu opuszczać jej teren.

- Rzeczywiście! Zapomniałem.

Phelan wstał i poprosił jedną z dziewczyn do tańca. Druga, osiemnastolatka o zbyt mocno umalowanych oczach, z długą cygarniczką z kości słoniowej w palcach, przechyliła się przez stół i uśmiechnęła do pułkownika.

Tucker przysłuchiwał się z zainteresowaniem.

- MM i ta dobra kobieta... Czy ma to coś wspólnego z zakazem lotów? - spytał w końcu.

- Skąd wytrzasnąłeś to gówniane „ta dobra kobieta”, Tucker? Może słuchasz BBC albo coś w tym rodzaju?

Major uśmiechnął się pogodnie; wiedział już, że jego domysły są słuszne. Wyciągnął rękę do dziewczyny.

- Czy pozwoli mi pan zatańczyć z tą uroczą młodą damą, pułkowniku? - spytał.

- Morse może latać - oświadczył pułkownik Dan. - Nie chcę jednak więcej słyszeć o zwycięstwach! Rozumie pan, Tucker? Nie wolno zaliczać mu żadnych więcej zwycięstw. Kwatera Główna poinformowała mnie, że on nie jest materiałem na bohatera.

Tucker wstał. Z marynarki munduru galowego strzepnął jakiś najzupełniej niewidzialny pyłek. Skłonił się przed dziewczyną.

- Zatańczy pani? - spytał.

- Jestem zaszczycona - odpowiedziała wysokim, napiętym głosem. Rozpaczliwie próbowała udawać, że pochodzi z dobrego domu, bo to intrzygowało Amerykanów.

Za młoda dla starego faceta z dzieciakami, zakpił z siebie pułkownik. Za młoda pewnie nawet dla trzydziestoletniego majora Tuckera, ale przynajmniej mówią tym samym językiem, a jemu przez cały wieczór nie udało się przecież nawet z nią porozmawiać. Odesłał oboje na parkiet uśmiechem i gestem dłoni.

- Niech lata - dodał impulsywnie. - Ale poślę do was, wyrobników, sierżanta Kinzelberga, byście się od niego nauczyli, jak wypełniać formularze... żeby móc udowodnić, że nie złamałem rozkazu.

- Założmy, że zestrzeli jeszcze kilku Niemców... Założmy, że pobije rekord Rickenbackera?

- Nie trzeźwiej tak nagle, Tucker. Właśnie zaczynałem cię lubić pijanego.

- Doskonale, panie pułkowniku. - Major objął dziewczynę i lekkim krokiem powędrował z nią na zatłoczony parkiet.

29. Podpułkownik Druce „Duke” Scroll

Podpułkownik Scroll minął żołnierzy siedzących ze swymi dziewczynami pod drzewami, na niskim murku, znaczącym granicę trawnika klubu oficerskiego. Niektóre z nich miały na ramionach męskie kurtki, bo nocne powietrze było chłodne.

Otworzył zamykane z powodu konieczności zaciemnienia drzwi i znalazł się w zatłoczonym holu. W oknach wisiały zasłony; mimo wyętej pracy wentylatorów powietrze w środku było duszne i ciężkie od zapachów alkoholu, tytoniu i ludzkich ciał. Scroll wciągnął je w płuca bez przyjemności. Przeszedł przez salę konferencyjną. Dostrzegł siedzącego samotnie pułkownika Dana.

Pułkownik również go zauważył i natychmiast ruszył w jego kierunku.

- Czego się napijesz, Duke?

- Na razie niczego, dziękuję. Tak tylko się rozglądam.

Orkiestra grała „Smoke Gets in Your Eyes”.

- Nie widziałeś wyczynów Tuckera - zauważył pułkownik.

- Ale słyszałem już o nich.

- Zaczynam myśleć, że facet jest w porządku. Znasz tę piosenkę?

Grali ją tego wieczora, kiedy przydzielono mnie do wojsk lotniczych.

- Wiem, że to bardzo stara piosenka - rzekł Scroll.

- Wtedy właśnie oświadczyłem się Babs - kontynuował pułkownik.

- Jeśli miał pan zamiar wpaść jeszcze do biura, panie pułkowniku, to chcę pana uprzedzić, że nie ma po co. Wszystkie papiery mogą spokojnie poczekać do poniedziałku.

- Więc pójdę do siebie i napiszę do Babs bardzo długi list. Tęsknię za nią i za dzieciakami.

Scroll skierował wzrok na parkiet, a pułkownik dodał:

- Mam zamiar zezwolić Morse'owi na loty, i do diabła z Kwaterą Główną!

Duke nie odpowiedział.

Wokalista stanął pośrodku estrady. Tancerze poruszali się powoli, migotliwe promienie odbitego światła wirowały nad ich głowami, wydobywając twarze nieruchome w tej jedynej chwili.

*Przecież nie wiemy, czy właśnie nie śnimy
Jak woda w strumieniu przychodzimy, odchodzimy.*

Strumień światła legł na roześmianej twarzy Tuckera. Jamie szeptał coś do Victorii, MM obrócił się, pozdrawiając tańczącą obok parę.

- Wszystko wskazuje na to, że w poniedziałek może być bardzo ciężko, panie pułkowniku - zauważył Scroll.

*Kochaj mnie dziś, jutra przecież nie znamy
Jutro może nie nadejść, choć na nie czekamy.*

Scroll cierpliwie pozwolił dowódcy przyglądać się tańczącym; wiedział, jak bardzo cieszyło go, kiedy jego „chłopcy” dobrze się bawili. Po chwili jednak rzekł:

- Major Tarrant chciałby zamienić z panem kilka słów. Czeka na zewnątrz.

Pułkownik Dan drgnął jak człowiek gwałtownie przebudzony ze snu. Duke wyszedł za nim na trawnik, skąd widać było, że zaciemnienie nie jest skuteczne. Światło przedzierało się między żaluzjami a ścianą, zasłony na górze zaciągnięto niedbale, tak że przepuszczały żółte pasma.

Major Tarrant zasalutował słuźbiście. Jako dowódca oddziału żandarmerii, miał na sobie krótką przeciwdeszczową kurtkę z grubej wełny,

z opaską żandarmerii na ramieniu, pas pistoletu oraz biały pokrowiec na hełmie.

Najwyraźniej był na służbie.

- Wszystko w porządku? - spytał pułkownik.

- Major Tarrant informuje, że widział kobiety udające się do kwater kawalerskich - powiedział Duke.

- Zatrzymanie ich nie powinno sprawiać wielkich trudności. - Pułkownik Dan nie przepadał za Tarrantem.

- Kobiety przedostają się przez wejście służbowe i przez kuchnię, panie pułkowniku - oznajmił major. - Niektóre z nich wchodzi nawet przez małe okienko w toalecie. Powiedziałbym, że jest ich w tej chwili około pięćdziesięciu. - Mówiąc to, patrzył w stronę budynków, w których znajdowały się kwatery kawalerskie.

Pułkownik również przyglądał się staroświeckim angielskim domkom z czerwoną dachówką, ze schludnymi, porządnie ogrodzonymi ogródkami. Zacisnął usta.

- Mówił pan, że pora z tym skończyć - przypomniał Tarrant. Ta właśnie irytująca maniera przypominania ludziom, co zrobili lub powiedzieli, sprawiła, że nie lubił go nie tylko dowódca, ale praktycznie wszyscy.

- No właśnie. - Pułkownik spojrzał mu w oczy. - A pan nie skończył. Nie potrafi pan?

Duke Scroll wystąpił w obronie majora.

- Major Tarrant ma za mało środków, panie pułkowniku. W tym tygodniu modyfikujemy celowniki zgodnie z nowymi instrukcjami. Ludzie pracują w kabinach maszyn. Hangary muszą być otwarte, wszędzie widać mnóstwo sprzętu. Jest tu dziś tylu cywilów, że poprosiłem majora, by szczególnie dokładnie patrolował nasze warsztaty.

- Znam pilotów, którzy zabierają cywilów nie tylko do dispersali, ale nawet do hangarów. - Tarrant podparł się pod boki, kciuki wsunął za biały pas.

Pułkownik Dan nie wymagał, by rozmawiający z nim oficerowie stali

na baczność, postawę majora uznał jednak za wyzywającą i urągającą wojskowej dyscyplinie. Nie wspomniał o tym, ale w jego głosie brzmiał gniew.

- Być może piloci pokazują czasem dziewczynom swe maszyny. Nie widzę w tym nic groźnego.

- Oczywiście, panie pułkowniku. - Tarrant opuścił ręce wzdłuż ciała. - Co mam zrobić w związku z tymi kobietami na kwaterach? - Bawił się klapą białej kabury.

- Nie chcę, żeby pańscy ludzie wyciągali z łóżka oficerów i zaglądali do szaf, jeśli o to panu chodzi.

Duke Scroll znał swego dowódcę dobrze i wiedział, że całkiem już zapomniał o gniewie, którym przyjął informację o kobietach spędzających w bazie noc.

- Major Tarrant i ja jeszcze raz obejrzymy domy, a potem sprawdzimy, co porabiają patrole przy warsztatach - powiedział.

Pułkownik położył mu dłoń na ramieniu.

- Ja też sądzę, że wkrótce otrzymamy rozkazy, Duke. I słyszałem, że kolejna misja będzie również trudna. Teraz, kiedy szkopy przenieśli fabryki samolotów na wschód, czekają nas długie i ciężkie loty.

Tarrant pozostał w pobliżu, ale taktownie nie wtrącał się do rozmowy. Pułkownik podniósł nieco głos, by i majora do niej włączyć.

- Być może dzisiejsza noc to dla niektórych pilotów ostatnia okazja, żeby przespać się z dziewczyną. Miejcie to na względzie, dobrze?

Duke skinął głową.

- Rozpuszczę informację, że wszyscy cywile muszą opuścić bazę do niedzieli w południe. Nie później.

Pułkownik zwrócił się do Tarranta.

- Niech pan nie przesadza, majorze - doradził. - Niech pan pamięta, że to jedyny dom, jaki mają moi chłopcy.

Odszedł. Scroll i Tarrant ruszyli na obchód.

- Będziemy musieli zrobić coś z tym zaciemnieniem, majorze -

stwierdził Duke. - Niemcy wysyłają nocne patrole nad Anglię, a lotniska są ich głównym celem. Wolałbym, żeby nasze nie wyglądało jak Boardwalk w Atlantic City, kiedy oni tylko marzą o tym, żeby sobie do czegoś postrzelać.

- Wie pan, w zeszłym miesiącu próbowałem rozmawiać o tym z pułkownikiem, ale tak mnie objechał... Przypuszczam, że nie przepada za mną. Cokolwiek zrobię, zawsze się irytuje. Co za facet!

- Pułkownik musi zajmować się wieloma sprawami, o których nawet nie słyszałeś, Harry - stwierdził Duke. Była to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy nie przejmował się regulaminami. - Sam prowadzi najtrudniejsze misje i choć jest o piętnaście lat starszy od niektórych ze swoich pilotów, walczy i zwycięża. Potem wyłazi z maszyny i - kiedy inni piją, śpią albo przewracają się na sianie z dziewczynami - musi przebijać się przez stosy papierów, pisać raporty i znosić kretyńskie wtrącanie się szarż.

- Nigdy tak tego nie widziałem.

- Powiem panu coś, majorze Tarrant. Zeszłej nocy pisałem list do żony i napisałem, że mam zaszczyt służyć pod rozkazami jednego z najwspanialszych ludzi, jakich zdarzyło mi się poznać w życiu.

Tarrant nie odpowiedział. Opinia Duke'a wydawała mu się nieco zawyżona w odniesieniu do człowieka, który przypominał tęgich kmiotków, regularnych klientów żandarmerii. Ale z drugiej strony Scroll ukończył przecież West Point i jak przystało absolwentowi tej uczelni, był dokładny, wręcz pedantyczny oraz szalenie wymagający. Major szczylił się swą elastycznością w ocenie ludzi, w końcu była to najważniejsza cecha dobrego policjanta. W przyszłości miał zamiar przyjrzeć się pułkownikowi Danowi zupełnie innym okiem.

- Jest drażliwy i nieobliczalny - dodał Duke z szokującą szczerością. - Bez przerwy zmienia zdanie na każdy temat; sam przed chwilą byłeś tego świadkiem, ale jest też odważny, Harry. Pułkownik Dan nigdy nie dostanie gwiazdki. Generałowie nie patrzą w oczy takim jak on,

nie wdają się z nimi w kłótnie na temat jakiegoś niepiśmiennego szeregowca albo nędznego poruczniczyny, który umie wyłącznie zestrzeliwać szkopów. Po wojnie wyleci z wojska tak samo jak ci gówniarze walczący tu za Amerykę.

- Rzeczywiście, pułkownik jest chyba fajnym facetem - orzekł w końcu major, który miał dobrą żonę, dobrą pracę we Flint, w stanie Michigan, i szczerze tęsknił do końca wojny, co pozwoliłoby mu na opuszczenie armii.

Zawrócili na rogu. Przy kuchennych drzwiach stał długi szereg śmietników. Nagle błysnęło światło, rozległy się głośnie dźwięki muzyki - przez drzwi wyszli mężczyzna i kobieta. Major Tarrant ukrył się w cieniu szopy na rowery, Duke Scroll poszedł w jego ślady. Obserwowali parę przechodzącą przez podwórko i niknącą za ciężarówką. Była tam dziura w ogrodzeniu, młodzi przeszli przez nią i znaleźli się na wąskim trawniczku od tyłu kwater kawalerskich.

- Jeszcze dwójka - szepnął Tarrant.

- Ta chyba kapitan Farebrother - stwierdził Scroll.

- I ta wysoka Angielka, z którą bez przerwy się prowadzi. Wpisła się do książki gości. Jak myślisz, może powinienem z nimi porozmawiać... zapytać, dokąd idą? Jeśli zrobi się awanturę jednej parze, to może sprawa się rozniesie i zniechęci kilka następnych?

- Nie teraz, nie tu i nie tej dwójce - odparł Scroll, który usłyszał już od pułkownika alarmującą wieść, jakoby mieli w swych szeregach syna generała.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Doprawdy? - Duke był całkiem pewien, że Tarrant nie rozumie.

- Za późno, dziewczyna już jest w ciąży. Jasne, natychmiast to zauważyłem.

- Dziewczyna Farebrothera?

- No, nie ma jeszcze brzucha, ale kobieta w ciąży wygląda inaczej niż zwykle; to chyba sprawa psychologii. Widziałem, jak idzie. Byłem policjantem przez osiem lat. Policjant musi widzieć to, czego nie widzą inni.

30. Kapitan Vincent H. Madigan

Zgodnie z przewidywaniami pułkownika Dana poniedziałek był ciężki. W pamięci żołnierzy pozostał na zawsze „pechowym poniedziałkiem”. Swymi wyczulonymi zmysłami reporterzy jakoś zawsze wywąchiwali trudne misje i tego ranka Vince Madigan miał pełne ręce roboty. Nie potrafił wyobrazić sobie gorszej pory na tajemnicze wieści od Very, niemniej jednak bardzo go one zaciekały.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie chce go wypytać o kłopoty, jakie MM ma z pułkownikiem Danem - informacja na ten temat dotarła do niego wyłącznie w postaci plotek. Jego kancelista, szeregowy Fryer, który rozmawiał z Verą za każdym razem, gdy dzwoniła, był pewien, że jest to tylko kolejna dziewczyna bez pamięci zakochana w szefie, a Vince nie widział powodów, żeby go rozczarowywać.

Tymczasem próbował wykonać pracę, do której miał szczególnie zdolności - przeprowadzić dziennikarzy przez bazę tak, by nie zakłócili przygotowań do lotu.

Wspiął się na stos siedemdziesięciopięciogalonowych dodatkowych zbiorników paliwa, by wszyscy mogli go zobaczyć.

- Obsługę naziemną wyrwano dziś z łóżek za piętnaście szósta, panowie - oznajmił. - Przydzieleni do maszyn mechanicy i zbrojmistrze przyjechali na rowerach, by rozpocząć przygotowania do lotu. Podczas przerwy śniadaniowej przy samolotach pracowali ich zastępcy. Specjaliści od komunikacji oblecieli maszyny wczoraj wieczorem, sprawdzając radia, gdy nad lotniskiem nie było ruchu.

Niektórzy z dziennikarzy notowali. Inni fotografowali jeden z samolotów; mechanik obracał jego śmigło, by oczyścić cylindry. Tex Gill usiadł w kabinie „Kibitzera”, silnik zakrztusił się, prychnął i zapalił z ogłuszającym rykiem, z rur wydechowych wystrzeliły języki płomienia.

Sierżant zdawał sobie sprawę, że znajduje się w tej chwili w centrum zainteresowania i dobrze odegrał swą rolę: złapał drążek, jakby chciał przytrzymać ogon mustanga na ziemi, zmarszczył brwi, z uwagą studiował instrumenty. Następnie wyłączył silnik, lecz po krótkiej chwili kolejny P-51 - „Myszka Mickey III”, lśniąca dziewiczym metalem kadłuba - przebudził się do życia. Na prośbę kapitana Madigana zbrojmistrz sprawdził karabiny „Kibitzera”, podawanie amunicji i jej ilość. Raz to już zrobiono, ale scena ta doskonale nadawała się do fotografowania.

- Maszyny nadal nie są zatankowane, trzeba też jeszcze napęłnić butle tlenowe, ale to obejrzymy sobie w innym dispersalu, podczas powrotu autobusem przez obwodnicę.

Skończywszy przygotowania, w normalnej sytuacji mechanicy schwaliby się do swych zaimprovizowanych pomieszczeń, dziś jednak, oszołomieni uwagą prasy, woleli bawić się w pozowanie do zdjęć. Sprawdzali wszystko jeszcze raz. Tex Gill po raz trzeci obszedł „Kibitzera”, szarpiąc kłapy i lotki, a następnie wlaź pod samolot, by obejrzeć podwozie i sprawdzić stan opon. Nawet kiedy wszyscy wreszcie usiedli, żeby pogadać lub pograć w karty, zachowywali się jak kiepscy aktorzy na scenie.

- Czy jest wśród was ktoś ze stanu Waszyngton, Miami, miasta Nowy Jork lub z którejs Dakoty? - spytał Vince, wiedząc, że niektórzy reporterzy z przyjemnością wysłuchaliby relacji podbarwionych kolorytem lokalnym, żaden z mechaników nie odpowiedział jednak na jego wezwanie. Nadal tylko prężyli torsy, pozowali, rozmawiali ze sobą sztucznie, udając, że nie widzą ani Madigana, ani towarzyszących mu dziennikarzy.

Vince zwrócił się do tych ostatnich z dalszymi wyjaśnieniami:

- Jako pierwsi dowiedzieli się o dzisiejszej misji oficerowie wywiadu. Ich przedstawiciel na służbie oraz ludzie z operacyjnego nie spali całą noc, nie miejcie co do tego wątpliwości! Przygotowywali mapę ścienną oraz salę odpraw.

W tym momencie podjechał dżip z szeregowcem Fryerem za kierownicą. Fryer pośpiesznie podszedł do Vince'a, odciągnął go na bok i wyszeptał mu do ucha:

- Znów dzwoniła ta dama. Powiedziałem jej, że jest pan zajęty, ale ona twierdzi, że musi pilnie z panem porozmawiać. - W jego cichym głosie brzmiała porozumiewawcza nutka.

Vince'a zdenerwowało natręctwo Very.

- Ta pani nie zna prawdziwego znaczenia słowa „pilnie” - stwierdził. - Pewnie myśli, że siedzę i zastanawiam się, czym wypełnić czas.

Te szczere słowa kapitana ośmieliły Fryera.

- No pewnie. Zapytałem: „To kwestia życia i śmierci, prawda, proszę pani?”

Vince odwrócił się tyłem do grupy dziennikarzy.

- I co ci odpowiedziała?

- Powiedziała: „Tak, właśnie, to kwestia życia i śmierci”. No to ja mówię: „Chyba pani żartuje”, a ona wściekła się i powtórzyła, że musi z panem rozmawiać. - Szeregowiec potarł nos. - Sprawiała wrażenie rozhisteryzowanej, panie kapitanie. Chyba dobrze by było, gdyby znalazł pan chwilę czasu i trochę ją uspokoił. Ona może spróbować przyjechać do bazy albo coś... - Pod „coś” rozumiał zapewne zgłoszenie kapelanowi konieczności natychmiastowego zawarcia małżeństwa i uznania przez kapitana ojcostwa, czego wymagały przepisy amerykańskie, by armia mogła płacić alimenty niezamężnym matkom.

- Mylisz się! - zaprotestował ostro Vince. - Nie mam pojęcia, czego ona chce.

- Przekazać poufną wiadomość. Poufną wiadomość dla kogoś... dla kóregoś oficera. Tak mówiła.

- Dlaczego więc nie zaczęłaś od tego? - A więc chodzi o Myszkę! Tak, lepiej zaraz załatwić tę sprawę, bo jeszcze wlezie mu na łeb ten sukinsyn pułkownik Shelley.

- Przepraszam, kapitanie. Myślałem, że to tylko takie gadanie.

- Jak sądzisz, dasz radę zastąpić mnie w roli przewodnika tej wycieczki? Trzeba zabrać ich autobusem do operacyjnego i opowiedzieć, jak to biedacy z S-2 i S-3 nie spali caluteńką noc, nadwerężając swe siły podczas przypinania czerwonych tasiemek na mapie i wypisywania pilotom kart kursowych.

- Błąd jednego stopnia na karcie kursowej przy głębokiej penetracji terenu nieprzyjaciela oznacza błąd nawigacyjny rzędu setek mil nad celem i naraża całą wyprawę bombową - wyrecytował Fryer.

Słyszając swe własne słowa w jego ustach, Madigan uśmiechnął się kwaśno.

- Nie siedźcie w operacyjnym, niech sobie tylko popatrzą na zamknięte drzwi. Zabiorę dzipa. Lunch jest już przygotowany, prawda? Wysłałeś do „The King's Head” to co zwykle, z pozdrowieniami ode mnie? Doskonale. Nikomu nie wolno opuścić lokalu ani telefonować, dopóki operacyjny na to nie pozwoli.

Rozejrzał się. Zafascynowani dziennikarze przyglądali się samolotom i lotnisku. Dopiero co przyjechali ze Stanów i po raz pierwszy zwiedzali lotnisko wojskowe.

- Zadzwoń do biura i każ komuś przywieźć dla nich moje opracowanie „Baza jest jak duże miasto”. Znajdziesz tam te wszystkie bzdury, które koniecznie trzeba im powiedzieć. Niech chłopcy z ciemni puszczą kilka filmów z kamer karabinowych. Potem pokaż im Link Trainera *, pralnię, salę pocztową, aptekę, szpital, piekarnię i w ogóle wszystko, co

* Naziemne urządzenie treningowe do symulacji lotu (przyp. tłum.).

ci przyjdzie do głowy. Upewnij się, że areszt jest pusty, zanim ich tam zaprowadzisz. Raz trafiłem na pijanego mechanika, który wygłosił gościom wykład o brutalności policji i konieczności oficjalnego otwarcia przy bazach burdeli. Nie chcę, żeby coś takiego przydarzyło się i dzisiaj.

- Nie przydarzy się, panie kapitanie. - Szeregowiec Fryer uśmiechnął się z wyższością i zamaszycie zasalutował. Dyplom z dziennikarstwa niepotrzebny był mu przy prostych pracach, które otrzymywał w wojsku aż nazbyt często.

- Jeśli nie wrócę przed wpół do pierwszej, przejmę ich od ciebie w „King's Head” - dodał Vince, ale młody szeregowiec już zabrał się do roboty.

- Panowie, ci z was, którym zależy na materiale zdjęciowym, powinni się teraz przygotować na przybycie pilotów. Zauważyliście zapewne, że niektóre z maszyn są nie pomalowane. Brak warstwy farby na kadłubie zwiększa prędkość myśliwca o pięć do dziesięciu mil na godzinę. Nie muszę chyba uświadamiać nikomu... - Zerknął na dowódcę przysłuchującego mu się zza kierownicy dżipa - ... że w walce powietrznej może to decydować o życiu lub śmierci. - Uśmiechnął się nerwowo i mówił dalej: - P-51, nazywane mustangami, będą startować w parach. Wymaga to wielkiej zręczności, zwłaszcza od skrzydłowego, czyli drugiego samolotu w parze, ponieważ musi się on trzymać blisko pierwszej maszyny. By choć odrobinę ułatwić mu sytuację, prowadzący nie startuje na pełnej prędkości. Zauważycie, że w momencie oderwania kół od pasa maszyny będą się lekko chwiały. Mustangi są niezwykle trudne do pilotowania, zwłaszcza przy pełnych zbiornikach, z opuszczonym podwoziem i klapami; mają wówczas zaledwie tyle prędkości, by wznieść się w powietrze. Start to moment bardzo ryzykowny nawet dla doskonale wytrenowanych, doświadczonych pilotów. Niewątpliwie zauważyliście już, panowie, że główny pas jest w remoncie, musimy się więc zadowolić nieco krótszym, zapasowym; dziś w dodatku sytuację utrudnia niska mgła...

Dziennikarze rozejrzeli się. Rzeczywiście, drzewa rosnące przy drodze prowadzącej do magazynów paliwa znikły niemal za szarą kurtyną mgły.

Chłopak robi to wspaniale, pomyślał Vince. Nielatwo opisać zwykły start w tak dramatycznych słowach. Jemu samemu aż za często zdarzało się, że w tym momencie dziennikarze przestępowali już z nogi na nogę i dopominali się o kawę; ci jednak słuchali w skupieniu wszystkiego, co mówił Fryer.

Nacisnął starter, ryk silnika zagłuszył na chwilę doskonale modulowany, kulturalny głos szeregowca. Po przeciwnej stronie lotniska kołowała już pierwsza maszyna - „Pilgrim” pułkownika Dana, który dziś znów dowodził.

Kiedy Vince zawracał, dostrzegł wychodzącego z ciężarówki Tuckera, ubranego w kombinezon z wszystkimi koniecznymi dodatkami. Pilot ci śmiali się i żartowali z nim. Vince nigdy dotąd nie widział w ich wzajemnych stosunkach takiej bezpośredniości. Ciekawe, co też tego Tuckera napadło... Rozmyślał na tą zmianę, kiedy dostrzegł Myszkę i Farebrothera wysiadających z dzipa. Ci dwaj postarzelisi przez tych kilka ostatnich dni. Nie czas teraz zajmować MM historiami z Verą! Pomachał im, a oni zareagowali kocią muzyką. Któryś gwizdnął przeraźliwie, Madigan nie odpowiedział jednak nieprzyzwoitym gestem, bo mogliby to zauważyć dziennikarze. Chłopcy są w dobrym nastroju - zauważył z przyjemnością. Z pewnością lepiej, że zachowują się swobodnie w obecności dziennikarzy.

Przed spotkaniem z Verą wpadł na kwaterę, wykapał się szybko i przebrał w najlepszy mundur. Pożyczył szczotkę Farebrothera, by oczyścić sobie buty. Przyjrzał się łóżku współlokatora, przyzwoicie pościelonemu, oraz mundurom, wyczyszczonym, wyprasowanym, wiszącym na wieszakach we wspólnej szafie. Facet jest cholernym pedantem, pomyślał. Wolałby dzielić kwaterę z kimś o swobodniejszym usposobieniu.

Pożyczył sobie jeszcze krawat Jamiego - jego obydwaj były poplamione.

Usłyszał grzmot silników; para za parą startowały i wznosiły się w gęste chmury odbijające dźwięk na ziemię.

Madigan nie miał pozwolenia na używanie dżipa poza bazą - w gruncie rzeczy nie miał nawet pozwolenia na opuszczenie bazy - więc zaniepokoił się mocno, kiedy przy bramie zatrzymał go żandarm.

- Cholera! - burknął pod nosem i już szykował sobie bajeczkę, że jest pilnie potrzebny w redakcji lokalnej gazety - co w rzeczywistości nie było wcale dalekie od prawdy. Nie miał co liczyć na łaskę Tarranta, który nikomu nie wyświadczał przysług.

- Mamy telefon od jednego z pańskich ludzi, kapitanie Madigan - powiedział żandarm, dotykając białego pokrowca na hełmie. - Może pan tu zostawić dżipa.

Sierżant dowodzący posterunkiem wystawił aparat przez okno.

- Tu kapitan Madigan, o co chodzi? - Vince uśmiechnął się konspiracyjnie do sierżanta, ale ten nie odpowiedział uśmiechem.

- Startująca maszyna skraksowała na pasie, panie kapitanie. Pęknięta opona. - Dzwonił jeden z jego sierżantów. - Dziennikarze chcą ją sobie obejrzyć. Czy mogą?

- Nie chcę, żeby pisali, że jakiś cholerny złodziejski Angol wziął forszę za kiepski beton, przez co giną teraz nasi chłopcy. Nawet jeśli to prawda, nie wolno tak pisać. Gdzie są teraz dziennikarze?

- Fryer zatrzymał ich w autobusie na czas swej rozmowy. Mam go na drugiej linii, panie kapitanie.

- Bystry z ciebie chłopak, Fryer - mruknął kpiąco Vince, po czym spytał: - Czy pilot jest ranny? Nadal słyszę startujące samoloty.

- Nie mogę połączyć się z operacyjnym ani z wieżą. Przypuszczam, że używają po prostu jednej strony pasa.

Madigan przemyślał sytuację, gładząc w roztargnieniu twarz. Wciąż

dobiegał go głośny huk silników; dwójki krążyły nad lotniskiem przed wejściem w chmury.

- Powiedz Fryerowi, żeby darował sobie operacyjny. Niech im pokaże filmy i niech na salę przyniosą mnóstwo kawy i pączków. Potem mogą obejrzeć pozostałą część bazy. Niech zawiadomi dziennikarzy, że zostaną przewiezieni na miejsce wypadku, jak tylko dostaniemy pozwolenie, co oznacza, że gdy dowiemy się, czy są ofiary i nie ma niebezpieczeństwa, rozlanego paliwa i tak dalej.

- Przekażę mu to, panie kapitanie. Długo pana nie będzie?

- Niedługo, sierżancie. Zamierzam wrócić przed lunchem w „The King's Head”. Napchamy ich żarciem, a zanim skończą, wrak zostanie uprzątnięty. Będą musieli się z tym pośpieszyć, żeby przygotować pas do lądowania. Cholera! Przecież nie możemy im powiedzieć, że przyczyną wypadku było uszkodzenie maszyny w walce!

Drzwi u Very otworzył jakiś mężczyzna.

- Niech pan wejdzie - powiedział. - Vera próbowała pana złapać.

Zaprosił go do maleńkiej bawialni, nalegał, by gość zdjął płaszcz i usiadł w najlepszym fotelu.

- Właśnie zaparzyłem sobie herbatę - oznajmił uprzejmie. - Vera z pewnością chciałaby, żeby poczuł się pan jak w domu.

Vince uśmiechnął się i rozejrzał po małym pokoiku. Stół zastawiony był do śniadania, obrus szpeciła jednak świeża plama po herbacie, dzbanek zaś odsunięty został na bok, by zrobić miejsce na puszkę mleka z wybitymi w wieczku otworami. Kominiek pełen był węgla i popiołu, ogień ledwie się tlił.

- Trochę się śpieszę - odparł. - Dziś lecimy.

Mężczyzna nalał mu herbaty.

- Słyszałem silniki. Latające fortece, prawda? To pańscy ludzie?

Był szczupły, w średnim wieku, mówił cichym, przyjaznym głosem i uśmiechał się nienaturalnie. Miał na sobie spodnie mundurowe i koszulę w kolorze khaki. Czarne, ręcznie szyte buty demonstrował niczym dzieło sztuki. Na jego przywiedłej twarzy pełno było zmarszczek - tropikalne słońce szybko niszczy skórę - a stwardniałe dłonie o czarnych paznokciach dowodziły, że ciężko pracował fizycznie. Nawet Vera miała początkowo kłopoty z rozpoznaniem w tym muskularnym, patrzącym twardym wzrokiem, mówiącym ochryplym głosem mężczyźnie swego męża, który przed czterema laty odplłynął na wojnę.

- Cholernie tu zimno, prawda? - spytał mężczyzna. - Nie mogę się ogrzać.

Vince przyjął od niego kubek gorącej herbaty.

- Pan jest mężem Very, prawda? - spytał.

Mężczyzna zadrżał.

- Zimno tu, w Anglii - powtórzył.

Wcale nie było zimno, ale Vince uśmiechnął się i skinął głową.

- Z pewnością cieszy się pan z powrotu do domu - zagadnął, popijając mocną czarną herbatę.

- Dom! Tam myśli się tylko o domu. - Słowa te wypowiedziane zostały niczym wyćwiczona kwestia aktorska, cichym jednak i spokojnym głosem. - Ludzi ogarnia szaleństwo... Dżungla, malaria, cholerny, śmierteczny, nieprzerwany wilgotny upał. No i mężczyzna potrzebuje przecież kobiety, Vince. Wiesz o tym doskonale.

- Zna pan moje imię?
- Och, oczywiście, że znam.

Nisko nad domem przeleciał samolot. Prawdopodobnie wracał do bazy z powodu awarii. Vince słyszał, że silnik przerywa.

Mężczyzna wyszedł do kuchni, wrócił z jakąś paczuszką i dosypał sobie czegoś do herbaty.

- Sól - wyjaśnił. - Potrzeba trochę czasu, by przyzwyczać się do myśli, że tu człowiek nie poci się wszystkimi porami ciała, dzień i noc... Wiesz, jak to jest, Vince; mężczyźni mają swe nieprzezwyciężone pokusy... Przypuszczam, że kobiety także.

Rozmowa wydawała się zwracać ku tematowi, który nie bardzo odpowiadał Vince'owi.

- Powinienem już iść - oświadczył, ale nie wstał z fotela.

Chciał sprawdzić, jak zareaguje ten człowiek.

- Wypij herbatę, Vince.

- Kilku moich kumpli... - zaczął, myśląc, że warto przynajmniej udawać, że w pobliżu czeka kilku kumpli, ale ciemne oczy przeszyły go spojrzeniem, od którego zabrakło mu słów.

- Kumple - powtórzył mężczyzna, smakując słowo tak, jak smakuje się próbowane po raz pierwszy wino. - Kumple! Straciłem paru fajnych kumpli tam, w dżungli, Vince.

To byli m ęż c zy ź n i . Nie bohaterowie, przynajmniej nie wszyscy byli bohaterami, niektórzy bali się, Vince, przez cały czas bali się do utraty zmysłów, ale to byli mężczyźni! Mężczyźni, którzy oddali życie za przyjaciół, Vince. Nieprawdopodobnie to brzmi tu, w Cambridgeshire, prawda?

- Ależ nie!...

Mężczyzna mówił dalej, jakby nie słyszał zaprzeczenia.

- Tak, głupio to brzmi tu, w Cambridgeshire, gdzie ludzie strajkują w związku z długością przerwy na herbatę, gdzie robotnicy dostają podwójną stawkę za pracę w niedzielę, a ludzie, którzy chcą się napić piwa, ogolić w ciepłej wodzie, włożyć koszulę albo zwyczajnie mieć kobietę, po prostu biorą, co chcą. Pieniądze z pewnością się przydadzą, co, Vince? Jankesowi z grubym portfelem, dobrymi cygarami i tanim whisky nie

oprze się żadna kobieta, co? Kobiety to słabe stworzenia. Z pewnością już to odkryłeś.

Madigan wstał.

- Wiem, o co panu chodzi, panie Hardcastle. Między mną i Vera nic jednak nie zaszło.

Mężczyzna nie zwrócił najmniejszej nawet uwagi na zapewnienia. Mówił dalej tym samym monotonnym głosem:

- A jakie wam dają mundury! Żadnych tanich śmieci, żadnych szorstkich, włochatych, drapiących śmieci, które nasi ludzie uważają za odpowiednie dla żołnierza. Wy dostajecie dobrą wełnę, koszule z kołnierzykiem, krawaty i wspaniałe brązowe buty.

- To piloci zarabiają dużo. - Vince postanowił zaprezentować się jako sojusznik Hardcastle'a. - To oni są bogaci; dostają forszę za służbę poza granicami kraju i dodatek lotniczy.

- Oczywiście. - Hardcastle wyjął zdjęcie, pogniecione i wygięte od przechowywania za suszarką. Wyglądził je swą wielką dłonią. Szukał go prawie całą noc. Madigan ubrany był na nim w kurtkę lotniczą, rękę zaś trzymał na śmigle P-51.

Vince przeklął swoje szczęście, przeklął też Verę za to, że zatrzymała fotografię, choć dawno się rozstali.

- Wiem, że zabrzmi to głupio - powiedział. - Ale to był tylko żart.

Mężczyzna głośno przeczytał dedykację.

- „Dzięki za wspomnienia, twój kochany Vince”. - Podniósł wzrok. - Czy to naprawdę żart, Vincent? Jeśli tak, to niezbyt dobry. Niedobry żart zrobiłeś żonie innego mężczyzny, Vincent.

Oddał dedykację i cisnął w ogień.

Madigan postanowił poruszać się bardzo powoli. Będzie się uśmiechał, będzie potakiwał, ale zacznie też powolutku przesuwac się w kierunku drzwi. Przez chwilę miał nawet wrażenie, że jego plan może się powieść.

- Siadaj, Vince.

Spojrzał na Rega Hardcastle'a. Trzymał on w dłoni wielkiego wojskowego webleya. Musiał sporo ważyć, ale starszy sierżant Reg Hardcastle nie miał najmniejszego kłopotu z utrzymaniem go absolutnie nieruchomo. Rewolwer sprawiał wrażenie antyku, ale dla swego właściciela był starym przyjacielem. Co najmniej kilkanaście razy ocalił mu życie w dżungli, gdzie liczyła się przede wszystkim szybkostrzelność i celność z niewielkiej odległości. Na drewnianej rękojeści nie było jednak nacięć. Reg nie znosił widać ostentacji.

Vince usiadł. Pocił się z gorąca, generowanego przez paniczny strach. Nagle w pozornie wygasłym kominku błysnął ogień, spopielił kawałek fotografii i znowu przygasł.

- To nie ja - wychrypiał. W gardle zrobiło mu się nagle straszliwie sucho.

- Marnujesz czas, Vince. Vera wszystko mi opowiedziała. Wszystko o tobie, Vince.

- Proszę pozwolić mi z nią porozmawiać... To pomyłka, przysięgam, że to pomyłka!

- Nie możesz porozmawiać z Verą. - Na ustach Hardcastle'a pojawił się grymas imitujący uśmiech. - Załatwiłem już z nią rodzinne sprawy.

- Nie...

- Jest w spizarce, Vince. Zrobiłem to kuchennym nożem. Nie chciałem żadnych hałasów. Nie chciałem, żeby pojawili się wścibscy policjanci, przynajmniej póki nie będę miał okazji załatwienia rodzinnych spraw i z tobą.

- Przecież cię złapią. - Madigan rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk. Przypomniawszy sobie słowa ojca powtarzającego, że kobiety doprowadzą go do ruiny. Ojciec odkrył kiedyś, że szalona namiętność połączyła syna z żoną pewnego jego najlepszego klienta, a zarazem bardzo bliskiego przyjaciela; była dwadzieścia lat starsza od kochanka. Wybuchł skandal i kobieta wraz z mężem musiała przeprowadzić się do

innego miasta. Ojciec nigdy Vince'owi tego nie wybaczył, nawet teraz opuszczał dom, ilekroć syn przyjeżdżał w odwiedziny do matki. - Policja z pewnością cię złapie - powtórzył.

- Oczywiście. Kiedy już załatwię się z tobą, pójdę i sam im wszystko powiem. Kochałem Verę, rozumiesz? Nie mam po co żyć bez niej.

- Ale dlaczego? Dlaczego chcesz mnie zabić? - Jezu, co Mozart wydobyłby z takiej sceny, z takiej pomyłki! Dziś w klubie trzeba będzie opowiedzieć o wszystkim Jamiemu Farebrotherowi; Jamie z pewnością będzie mnie podziwiał za zimną krew, za to, że w takiej sytuacji byłem w stanie myśleć o Mozarcie.

Reg Hardcastle odciągnął kurek. Rozległ się trzask i z głowy Madigana wywietrzały myśli o Mozarcie.

- Bo gazety o tym napiszą, bo przeczytają o tym inni jankesi prowadzający się z zamężnymi kobietami. Gdybyś przeczytał o jankeskim kochanku zamordowanym przez męża, może zastanowiłbyś się, czy warto ganiać za moją biedną Vera.

- To przecież nie ja...

- Zgadzam się z tobą, Vince. Zawsze jest to wina kobiety. Wiesz, o tych sprawach często rozmawia się w dżungli. Wszyscy byliśmy pod tym względem jednomyślni: zawsze jest to wina kobiety.

- Mogę ci powiedzieć, kto...

- Nie upokarzaj się, synu. Umrzyj jak mężczyzna. Umrzyj tak, jak twoi przyjaciele umierają nad Niemcami. Musiałeś przecież widzieć, jak to się dzieje. Musiałeś przecież pogodzić się z myślą, że pewnego dnia przyjdzie kolej na ciebie.

- Nie jestem pilotem! - Głos Vince'a przeszedł w obrzydliwy, cienki pisk. - Nie jestem pilotem! Nie możesz wbić sobie tego w ten swój głupi łeb?

- Nie ma sensu zaprzeczać, synu. - W głosie Hardcastle'a zabrzmiała nagle sympatia. - Dam ci jakąś minutę na zebranie się w sobie i zmówienie

modlitwy, jeśli masz ochotę się pomodlić.

- Proszę... proszę, dam ci, co tylko zechcesz, obiecuję... wszystko...
Tylko proszę...

Patrzyli na siebie przez chwilę, która Regowi Hardcastle'owi wydawała się bardzo długa, więc wreszcie ściągnął spust i odstrzelił Vince'owi Madiganowi czubek głowy.

31. Victoria Cooper

Victoria Cooper nie wstała z łóżka wczesnym rankiem owego pechowego poniedziałku. Od świtu słyszała dźwięk silników; wiedziała, że takie mnóstwo samolotów tak wcześnie rano może oznaczać tylko kolejny wielki amerykański nalot dzienny. Ciężkie bombowce zataczały kręgi na niebie godzina za godziną, nie dały jej zasnąć, nie dały się jej nawet zdrzemnąć, ale pozostawała w łóżku. Mogła pogodzić się jakoś z dokuczliwym hałasem, nie chciała jednak zobaczyć żadnego z samolotów, bo wtedy zaczęłaby się bać o Jamiego.

W poniedziałki nie chodziła do redakcji - był to jeden z przywilejów pracy w tygodniku. Matka przyniosła jej śniadanie; postawiła tacę na nocnym stoliku przy łóżku i oznajmiła:

- Dałam ci tyle mleka, ile tylko mogłam przed przyjściem mleczarza.
- Dziękuję, mamó. To bardzo uprzejmie z twojej strony.

Nic nie pomagało, matka nadal nie miała ochoty zapomnieć o ostrych słowach, jakie wymieniły, kiedy w niedzielę wczesnym rankiem Victoria wróciła wreszcie do domu. Rodzice czekali na jej powrót. Ojciec palił, kaszlał i wyglądał, jakby chciał ją za wszystko przeprosić; matka najpierw tylko wyłamywała palce, a potem zwdniczo cichym i spokojnym głosem powiedziała wreszcie wszystkie te okrutne, raniące słowa, które od lat pragnęła wypowiedzieć. Wiedziała oczywiście o ciąży, zauważyła ją podobnie jak Vera; kobiety z łatwością dostrzegają tego rodzaju rzeczy. Czy Myszka Morse też wpadł na to sam, czy to Vera mu powiedziała? Victoria żałowała, że Jamie się nie domyślił, bo wtedy nie musiałaby

leżeć w łóżku, rozmyślając, jak najlepiej wyznaczyć mu prawdę. Chciała poinformować go o ciąży już na tańcach w klubie oficerskim, ale nie znalazła wtedy właściwych słów.

Położyła dłoń na brzuchu. Będzie szczęśliwy, czy rozgniewa się? Czy pomyśli, że zaszła w ciążę, by zaciągnąć go do ołtarza? Na pewno nie, przecież na swój własny, nieśmiały sposób sam poruszył temat małżeństwa. Mówił o amerykańskich żołnierzach, którzy poślubili brytyjskie dziewczęta. Z jego słów trudno się było jednak domyślić, jak oceniał ich decyzję; w każdym razie uważał, że żony to dodatkowy ciężar, który muszą dźwigać mężczyźni ryzykujący życiem.

Zaniosła kawę na biureczko i następną godzinę spędziła na pisaniu listu do Jamiego. Zawiadomiła go o ciąży i o tym, że jest z tego powodu bardzo szczęśliwa. Napisała, że matka próbuje zmusić ją do wyjazdu do ciotki i urodzenia dziecka z dala od wojny. Jamie domyślił się, że „z dala od wojny” oznacza: z dala od przyjaciół, rodziny i sąsiadów, i tych wszystkich wpływowych ludzi, którzy odwiedzają ojca. Napisała, że będzie miała okazję wszystko sobie przemyśleć, ale to zdanie przekreśliła, brzmiało absurdalnie, w końcu równie dobrze może przecież myśleć tu, w Cambridge. A jednak zmiany fizyczne, które przechodziła, oddziaływały też na jej psychikę. Nie potrafiła myśleć o niczym oprócz dziecka, czuła się głupia, utraciła zdolność koncentracji. Napisała Jamiemu, że cierpi na depresję bez żadnego rozsądnego powodu, ale skreśliła to słowo, gdyż ojciec nauczył ją, że nie należy używać terminów klinicznych na opisanie chwilowego gorszego humoru. Wzięła nową kartkę papieru i spróbowała jeszcze raz. Odjeżdża, żeby Jamie miał szansę wszystko sobie przemyśleć - to chyba jest najbliższe prawdy. Potem jakoś łatwiej jej już było pisać. Napisała, jak bardzo go kocha i że będzie go kochała, nawet jeśli postanowi nigdy więcej się z nią nie zobaczyć. Nie chce, żeby miał wrażenie, że zastawiono na niego pułapkę, i niczego się nie spodziewa. Przeżyła z nim najszcześniejsze chwile życia i nigdy ich nie zapomni.

Nie zapieczętowała listu; czytała go raz za razem, przepisała od nowa, zdołała nawet dodać jakiś żart. Kiedy treść wreszcie ją zadowoliła, wsunęła list do koperty, po czym zniszczyła wcześniejsze jego wersje. Nie miała wątpliwości, że matka przeczyta wszystko, co znajdzie w jej pokoju; żeby tego uniknąć, brudnopisy splukała w toalecie, a kopertę wsadziła do kieszeni.

Kiedy zeszła na dół pomóc matce w przygotowaniu lunchu, nadal myślała o Jamiem i o tym, jak przyjmie jej nowinę. W salonie ojciec przyjmował gości; przechodząc koło drzwi usłyszała jego słowa:

- Nie sposób powiedzieć, kto zaczął. Może to żołnierz załatwił ich oboje?

Ojciec chrząknął potakująco.

Matka była w kuchni. Myła marchewki, żeby nie marnować witamin obierając je; taka była ostatnia porada kulinarna w BBC, podana po rannych wiadomościach.

- Kto jest z ojcem? - spytała. „Załatwił” brzmiało jak słowo wprost z komiksu. Nie potrafiła dopasować takiego sformułowania do żadnego z jego przyjaciół lub kolegów.

Matka odwróciła się od zlewu i obejrzała ją sobie dokładnie.

- Z przyjemnością stwierdzam, że nie pomalowałaś się i nie upudrowałaś - powiedziała kłótniwie. Dyskretny makijaż Victorii był jednym z tematów, które przewinęły się przez kłótnię. Była w tym subtelna aluzja, że, podobnie jak utrata cnoty, pozbawia on dziewczynę honoru.

Matka nadal szukała powodu do kłótni, złość aż się w niej gotowała. Cięża córki uświadomiła jej pewne podstawowe fakty, których nie miała ochoty sobie uświadamiać. Przypomniła jej, że sama się starzeje, że straciła ukochane dziecko, że córce pozostało już tylko małżeństwo. Zniosłaby to wszystko, gdyby tylko Victoria jej nie odepchnęła. Gdyby się jej zwierzyła, byłaby w stanie wytrzymać nawet to jej głupie, wzywające spojrzenie.

- Może to ten człowiek od Komitetu Oszczędności Wojennych?

Pani Cooper wróciła do pracy. Woda popłynęła do czajnika wystarczająco głośno, by uniemożliwić rozmowę. Dopiero kiedy go napelniła, powiedziała:

- Ojciec z całą pewnością nie wtajemnicza mnie w swoje sprawy!

Mówiąc te słowa, uśmiechnęła się z wysiłkiem. Żal jej było córki. Powtarzała to mężowi nie raz, lecz chyba z tysiąc razy. Doktor Cooper nie zaprzeczał, wiedział jednak, że z najciemniejszego zakątka umysłu żony nie płynęła podsycająca gniew litość, o nie! Była to zazdrość.

W tym właśnie momencie pojawił się w drzwiach.

- Victorio, kochanie, czy możesz nam poświęcić chwilkę? - spytał. - Jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać.

- Kto taki? - spytała Victoria.

Żona także spojrzała na niego pytająco, ale on dodał tylko:

- Nie zajmie ci to wiele czasu.

Gość miał około trzydziestu lat. Błada twarz i drobna budowa sprawiały jednak, że w poważnym stroju - czarnej marynarce i prążkowanych spodniach - wyglądał dziwnie nieodpowiednio. Sprawiał wrażenie chudego chłopca przygotowującego się do odegrania roli dyrektora banku w szkolnym przedstawieniu.

- Panno Cooper - powiedział. - Chciałbym zacząć... - Głos miał ochrypły, raczej wysoki.

Ojciec uciszył go ostrym spojrzeniem. Takim go jeszcze nie widziała. Natychmiast zrozumiała, dlaczego studenci nie tylko podziwiają go, lecz także się boją.

- Usiądź, kochanie - zaproponował łagodnie. - Chcę, żebyś poznała detektywa sierżanta Jenkinsa.

- Policjanta? - zdziwiła się patrząc, jak Jenkins wyciąga z kieszeni cukierek na kaszel.

- Wydział Dochodzeń Kryminalnych Scotland Yardu - wyjaśnił Jenkins i włożył cukierek do ust. - Czy mogę mówić dalej?

- Ależ oczywiście, proszę pana - odpowiedź zawierała co najmniej tyle ironii, ile jej było w pytaniu.

- Sierżant przynosi nam szokujące informacje, Victorio. - Ojciec wpatrywał się w jej twarz. Spojrzała ponad jego ramieniem i dostrzegła, że detektyw także nie spuszcza z niej wzroku.

- Jamie?!

- Nie, nie, nie! Nie Jamie.

Westchnęła z ulgą. Potrafi znieść chyba wszystko, jeśli nic złego nie stało się Jamiemu.

- Chodzi o twoją przyjaciółkę, Verę - tłumaczył ojciec. - Zdarzył się pewien wypadek...

- Żaden wypadek! - Sierżant najwyraźniej nie dysponował czasem, marnowanym teraz na łagodne przygotowanie Victorii. - Morderstwo! Pan i pani Hardcastle. Mieszkali pod numerem czterdziestym piątym na Michael Street. Oboje nie żyją.

- Nie - powiedziała Victoria. Była pewna, że nastąpiła pomyłka. Przecież Reg Hardcastle jest na końcu świata! - Vera ma mnie dzisiaj odwiedzić...

- Trzy ciosy kuchennym nożem - dodał detektyw.

- ...i przynieść bawełnę do szydełkowania - skończyła, co postanowiła powiedzieć, podczas gdy jej umysł bronił się przed przyjęciem tragicznej nowiny. Biedna Vera. I biedna Victoria. Vera... taka miła trzpiotka. Żartowały sobie i pocieszały się nawzajem. Vera była jedyną osobą, z którą mogła rozmawiać o ciąży. Jej niezachwiany optymizm bardzo pomógł Victorii w przyzwyczajeniu się do myśli, że będzie miała dziecko. Vera była najweselszą, najpogodniejszą osobą na świecie. Vera nie mogła umrzeć.

- Przecież widziałam się z nią w sobotę...

- Jej mąż został zastrzelony. Zastrzelony przez amerykańskiego oficera.

Nagle poczuła się słabo; musiała złapać poręcze fotela, żeby się z niego nie zsunąć. Kto mógł być tym oficerem, jeśli nie Myszka?

- Tak. - Detektyw nadal ssał cukierek. - Pan i pani Hardcastle nie żyją. Zginęli dziś rano. Lekarz policyjny jest zdania, że znaleźliśmy ich w ciągu godziny od śmierci.

- Doprawdy, pojawili się panowie na miejscu wyjątkowo szybko - rzekł ojciec Victorii.

Jenkins przyglądał się doktorowi Cooperowi przez dłuższą chwilę.

- Człowiek, który przedstawił się nazwiskiem Hardcastle, zadzwonił na komisariat - przyznał w końcu.

- Sąsiedzi już ich zidentyfikowali - wyjaśnił córce doktor. - Policja chce, żebyś przyjrzała się zdjęciu tego amerykańskiego oficera. Nigdy go nie spotkaliśmy, wyjaśniłem już to sierżantowi.

Policjant odwrócił się, by wyjąć zdjęcie z teczki. Przez ten czas Victorii z napięciem obserwowała ojca. Przecież spotkał się z Myszką dwukrotnie! Biorąc wyraz zdumienia w jej szeroko otwartych oczach za strach, ojciec uśmiechem próbował dodać jej odwagi.

Przyjrzała się zdjęciu - pogniecionej i podartej fotografii Vince'a Magidana w pilotce na głowie i kamizelce ratunkowej, przedstawiającej go na tle mustanga, jedną ręką obejmującego śmigło samolotu.

Detektyw grzechotał cukierkami w pudełku, niecierpliwie czekając na odpowiedź.

- Maszyna należy do amerykańskiego dywizjonu w Steeple Thaxted - wyjaśnił. - Można to poznać po literach na kadłubie.

- I nie wiecie, kto to? - szepnęła.

- Oczywiście, że wiemy. Mam dokumenty tego człowieka. Ktoś jednak musi mi go zidentyfikować. - Spojrzał na doktora Coopera i z wszystkowiedzącym uśmiechem dodał: - I nie chcę tu żadnych Amerykanów. Zaraz próbowaliby wszystko zatuszować. Dbają wyłącznie o swoich; wszyscy o tym wiemy.

Cooper pochylił się w fotelu.

- Jeśli wiesz, kto to jest, musisz powiedzieć policji. Mam wrażenie, że będą chcieli, żebyś zidentyfikowała ciało.

Jenkins zmarszczył brwi. Nikt nigdy by mu nikogo nie zidentyfikował, gdyby wiedział, że będzie musiał pojechać do kostnicy.

Victoria zadrżała. Zdała sobie sprawę, że ojciec stara się ją chronić, i bardzo go za to kochała. Gdyby przyznała, że zna Vince'a Madigana, następne pytanie brzmiałoby nieuchronnie: „A co łączyło tego Amerykanina z panią Hardcastle?” A potem padłyby następne.

- Nie poznaję go - powiedziała cicho.

A więc biedny Vince nie żyje. Obejmowała go, tańczyła z nim w sobotę na zabawie. Przyniósł butelkę bourbona do pokoju Jamiego. Klócił się z Myszką, jak najlepiej łapać młode kraby. Wygrał cztery funty, zakładając się o stare wyniki baseballu. Co robił na Michael Street w poniedziałkowy ranek?

- Jak rozumiem, zna pani wielu amerykańskich żołnierzy. - Detektyw przerwał tok jej myśli. - Proszę jeszcze raz przyjrzeć się temu zdjęciu, panienko. Czy jest pani pewna, że nie zna tego człowieka... Że go nigdy nie widziała?

Czuła bijący mu z ust silny zapach cukierka na kaszel. Widziała, jak twarz ojca kamienieje wobec takiej nieuprzejmości.

- Jeśli moja córka mówi, że go nie zna, to znaczy, że nie będzie w stanie panu pomóc. Poza tym, jak wspominałem, nie czuje się najlepiej. Nie mogę pozwolić na maltretowanie jej.

Jego słowa zostały zignorowane.

- Muszę pani przypomnieć, panienko, że istnieje takie przestępstwo jak utrudnianie pracy policjantowi na służbie.

- Posuwa się pan za daleko! - ostrzegł gniewnie Cooper.

- Doprawdy? - Jenkins przełknął wreszcie cukierek. - Cóż, niektórzy powiedzieliby, że nie posunąłem się wystarczająco daleko. Pańska córka często dotrzymuje towarzystwa pewnemu amerykańskiemu żołnierzowi. Mniejsza z tym, skąd o tym wiem. - Machnął ręką, kiedy doktor

zaczął protestować. - Ten Amerykanin nie żyje. - Postukał palcem w zdjęcie. - Może być ofiarą, ale mnie wygląda na to, że mąż wrócił do domu i odkrył, kto spędził tam noc. Zabił żonę, kochanek z kolei zabił męża, a potem popełnił samobójstwo. Bo jak inaczej wytłumaczyć obecność Amerykanina w poniedziałek rano w tym domu? - Zabrzęczał drobnymi w kieszeni. - Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa. Mam mnóstwo pracy. Więc pytam panią jeszcze raz, panienko. - Znowu postukał w zdjęcie. - Czy widziała pani kiedyś tego człowieka?

- Nie, nie widziałam - odparła Victoria.

- Doskonale. - Jenkins sięgnął po kapelusz z podwiniętym rondem. - A więc proszę, by nie opuszczała pani Cambridge bez uzyskania mojego pozwolenia. W miarę rozwoju śledztwa będę być może chciał zadać pani kilka dodatkowych pytań.

- Moja córka wyjeżdża dziś po południu - oznajmił Cooper. - Będzie mieszkała ze swą ciotką w Szkocji.

Policjant przyjrzał się im obojgu. Pociągnął nosem. Nie chcieli współpracować... Ale czegoż można oczekiwać od rodziny, w której córka jawnie prowadzi się z jankesami? No i są zamożni, traktują go jak gorszego, nie to co ludzie pracy. Lekceważenie go uraziło. Już on dopilnuje, żeby jego córka nie zadawała się z cudzoziemskimi żołnierzami!

- Nie mogę pani zakazać wyjazdu, panienko, lecz jeśli będzie to konieczne, zdobędę adres od ojca i skontaktuję się z panią przez miejscowych policjantów. Niezależnie od tego, gdzie się pani ukryje - zakończył groźnie.

Poszedł po płaszcz. Victoria zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy. Biedna Vera, tak ślicznie wyglądała na zabawie.

- Nie zapytałaś go, co się stało. - Ojciec odprowadził Jenkinsa do drzwi i wrócił do salonu. - Spodziewał się, że okażesz ciekawość, kochanie, i twoja rezerwa musiała mu się wydać podejrzana.

Skinęła głową. Wiedziała, co się stało. Urzeczywistnił się najgorszy koszmar Very. Wytarła sphywającą po policzku łzę. Tylko skąd Vince...

Dlaczego Vince, nie MM? A potem sama znalazła odpowiedź na to pytanie. Vera powiedziała mężowi o Madiganie. Nienawidziła go i wykorzystała swą ostatnią szansę, by chronić Myszkę. Jakie to dla niej typowe!

- Policja znalazła nasz adres w domu Hardcastle'ów - powiedział ojciec. - Wysłałaś jej zaproszenia na zabawę i napisałaś na kopercie adres zwrotny.

Skinęła głową. Jakie miało znaczenie, gdzie znaleźli adres? Słowa ojca jednak przypomniały jej o czymś. Wyjęła z kieszeni list do Jamiego.

- Wyślesz go, tato? Nie mam już znaczków.

- Natychmiast. I tak przed lunchem zamierzam wyprowadzić psa na spacer.

- Dziękuję, tatusiu. - Siedziała sztywno; doktor zorientował się, że córka ma mu jeszcze coś do powiedzenia. Czekał cierpliwie.

- Chcesz, żebym wyjechała? - spytała cicho.

Podszedł do niej, ale jej nie dotknął. Nie potrafił obejmować jej teraz, kiedy stała się dojrzałą kobietą.

- Oczywiście, że nie, kochanie.

- Więc to mama...?

- Oboje uważamy, że tak będzie lepiej dla ciebie. A teraz, biorąc pod uwagę to straszne morderstwo, może być bardzo ciężko, gdybyś została.

- A w dodatku jestem w ciąży - powiedziała, zirytowana, bo on o tym nie wspomniał.

- No, tak. - Doktor znalazł kilka znaczków w portfelu. Nakleił dwa na kopertę listu do Jamiego. W milczeniu uderzał listem w półeczkę nad kominkiem. Czekał, żeby Victoria zgodziła się na wyjazd.

- Kochamy się - powiedziała dziewczyna. - Tylko to się przecież liczy, prawda?

Spojrzał jej w oczy, po czym odwrócił wzrok.

- Nie wiem, skarbie.
- Odwieszysz mnie na stację samochodem?

Na te słowa doktor rozpromienił się. Nareszcie wykazała odrobinę rozsądku!

- Ależ oczywiście. Zadzwoń i zarezerwuję ci miejsce. I skontaktuję się z wydawcą, powiem mu, że nie czujesz się tak dobrze, by wrócić do pracy. Wszystko się ułoży, kochanie.

Victoria wstała z fotela. Czasami czuła, że dziecko jej ciąży; złudzenie oczywiście, ale bardzo przekonujące.

- Nie zapomnij o liście - rzekła wychodząc z salonu. - Pójdę na górę i spakuję się.

- Nie zapomnę - obiecał ojciec, ale oczywiście zapomniał.

Po lunchu pani Cooper ujrzała kopertę na półeczce nad kominkiem. Wahala się tylko chwilę, nim otworzyła ją i wyjęła list. Przeczytała go dwukrotnie, powoli i uważnie, a potem wrzuciła do kominka.

32. Kapitan Milton B. Goldman

Tego pechowego poniedziałku służba medyczna bazy miała kłopoty. Zgodnie z wymogami w skład grupy powinno wchodzić czterech lekarzy: lekarz naczelny i po jednym kapitanie na dywizjon, dysponowała ona jednak tylko dwoma kapitanami, major zaś był w Edynburgu, gdzie odbywała się konferencja na temat sulfamidów. W poniedziałek więc dwaj pozostali lekarze rzucali monetą, żeby ustalić, który z nich zostanie w izbie chorych, by rozdzielać aspirynę na kaca, niezidentyfikowany kredowy płyn na krwawą biegunkę oraz ostre reprimendy pacjentom zajmującym mu czas.

Milton Goldman był dobrym lekarzem, jednym z najlepszych lekarzy w Ósmej Armii Lotniczej, ale rzucił reszkę, w związku z czym siedział teraz w karetkce, obserwując startujące samoloty gotów do akcji.

Kierowcą karetki był tego dnia łysiejący kapral w średnim wieku, nazwiskiem Walker. Miał wielkie obwisłe wąsy i wielkie obwisłe brwi, sprawiające, że wyglądał na ospałego. Nie był jednak ospały ani powolny. Wiele czasu spędził z doktorem na oczekiwaniu, i różnica stopni w niczym im obu już nie przeszkadzała. Ze spokojną rezygnacją, cechującą ludzi uwięzionych w tkwiącej między piętrami windzie, zasypanej kopalni lub w małżeństwie, grzecznie rozmawiali na obojętne tematy. Między innymi omawiali nieprzewidywalny charakter kobiet. Przy okazji wypłynęło oczywiście nazwisko Vince'a Madigana.

- Weźmy na przykład kapitana Madigana. On naprawdę rozumie kobiety - powiedział Goldman, niewysoki nowojorczyk w okularach. Miał bystre czarne oczy i był neurotykiem; cały czas bawił się kluczami,

pobrząkiwał monetami w kieszeni albo, jak w tej chwili, uderzał pięścią w półeczkę pod oknem.

- Wierzę panu.

- Zawsze jest zakochany, naprawdę zakochany! I to działa na jego korzyść.

- Zakochany co tydzień w nowej dziewczynie? - zdumiał się Walker, który miał rodzinę i któremu wysiłek zakochiwania się co tydzień wydawał się czymś nie do zniesienia.

- W szkole medycznej mieliśmy profesora twierdzącego, że miłość to tylko reakcja chemiczna.

- A czy afrodyzjaki rzeczywiście działają? - zainteresował się kapral Walker.

- Ty mi to powiedz - odparł Goldman. Znał elegancki drugstore na Madison Avenue, w którym Walker pracował jako główny farmaceuta. - Ale jeśli nawet działają, to kapitanowie Madiganowie naszego świata z pewnością ich nie potrzebują.

Walker pociągnął nosem.

- Kapitanów Madiganów nie powstrzyma od użycia czegoś fakt, że jest im to zupełnie zbędne.

Doktor uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że jesteś filozofem... No, leć. Kołuje chyba maszyna majora Tuckera, prawda? - Poprawił palcem okulary.

Dwa mustangi zatrzymały się przy północno-wschodnim krańcu pasa. Stały na hamulcach, drżały lekko jak dzieci stojące na palcach, gotowe do wyścigu. Śmigła ciężły powietrze.

- To Tucker - potwierdził Walker.

Po zwolnieniu hamulców maszyny najpierw osiadały ciężko na betonie, a potem ruszały przed siebie, zrazu powoli, a potem coraz szybciej. Silniki wyły na wysokich obrotach niczym torturowane zwierzęta. Kapral zerknął na zegarek.

- Wygląda na to, że dziś rano zdążymy się jeszcze napić kawy, panie kapitanie.

- Wy, chłopcy, nie macie z tym problemów, ale ja z równym prawdopodobieństwem mogę spodziewać się w klubie oficerskim amerykańskiego piwa z lodu, co świeżej kawy. Ilekroć leci grupa, obsługa znika, jakby jej nigdy nie było.

- W „Aero Clubie” jest ekspres.

Goldman skrzywił się.

- Niech no pan popatrzy, jak ci chłopcy chowają podwozie, nim nalecą na żywo płot. - Walker cicho gwizdnął z podziwu.

Ani słowa, ani gwizdnięcie nie zaskoczyły doktora; kierowca powtarzał jedno i drugie za każdym razem, kiedy był świadkiem startu.

Na drodze kołowania samoloty stały ciasno, w parach. Silniki ryczały niemal bez przerwy; piloci popychali manetki gazu, startowali, okrążali lotnisko, zbierając się w eskadry i wznosili w chmury.

- Jestem filozofem - stwierdził kapral, nieoczekiwanie wracając do poprzedniego tematu. Mówił dość głośno, więc można go było słyszeć. - W koszarach tylko filozof przetrwa przy zdrowych zmysłach.

Goldman ze zrozumieniem skinął głową.

- A słyszałeś może coś o celu dzisiejszego nalotu?

- Płotka głosi, że polecili na Berlin - odparł Walker. W jego głosie pobrzmiwało jednak niedowierzanie. - Ale będzie ciężko. Zawsze, kiedy jest ciężko, leci pułkownik.

- Pułkownik w ogóle nie powinien latać.

Walker obejrzał się szybko, zaintrygowany tonem doktora.

- Chodzi panu o to, że jest chory?

Goldman uśmiechnął się.

- Jasne. Powoli umiera na starość, jak każdy z nas. Pułkownik jest w doskonałej kondycji jak na swój wiek, ale w powietrzu drobne zakłócenia wzroku, zaburzenia krążenia albo odrobinę zwolniona reakcja mogą człowieka zabić. Pilot myśliwski ma z górki po ukończeniu dwudziestego szóstego roku życia, niezależnie od tego, co piszą w książkach. Ja ci to mówię.

Kolejna para maszyn znajdowała się w połowie pasa, kiedy strzeliła opona. Mustang zatoczył się, okręcił, poszedł bokiem w poślizgu, przy czym obręcz koła ścięła gumę na strzępy. Podwozie, nie przygotowane na naprężenia boczne, złożyło się. Skrzydło opadło na pas, rozległ się dźwięk przypominający odgłos mechanicznej piły - to śmigło cięło beton, póki się nie odkształciło. Samolot zdążył jeszcze zgubić fragmenty skrzydła oraz kawałki silnika, nim wreszcie się zatrzymał.

- Chryste, mamy klienta! - jęknął Walker.

- Włączaj syrenę, jedziemy! - Doktor Goldman płynnym ruchem zamknął drzwiczki dzipa i dotknął lekarskiej torby, sprawdzając, czy jest na miejscu.

Wieża kontrolna, pod którą stała karetka, wóz straży pożarnej i transporter do usuwania uszkodzonych maszyn, była małym białym budynkiem z balkonem i maleńkim szklanym pomieszczeniem na górze. Tego ranka sierżant sztabowy Harold Boyer sprawdzał sprzęt radiowy. Wyszedł na dach, by obserwować start z góry, doskonale więc widział, jak wszystko się odbyło.

Nie miał wykształcenia inżynierskiego w zakresie konstrukcji kadłubów samolotowych, ale wiele spędzonych w lotnictwie wojskowym lat nauczyło go, jak poważne są wypadki, w których złożenie podwozia doprowadza do uderzenia skrzydłem o ziemię z siłą łamiącą dźwigar mniej więcej w połowie. W połączeniu ze skutkiem uderzania śmigła o podłoże powoduje to najczęściej wyrwanie silnika z ramy.

- Chryste! - krzyknął i spojrzał w dół, na karetkę i wóz strażacki. - Gazu, doktorku! - dodał, choć nikt na dole nie mógł go usłyszeć. Rozpaczliwie jednak chciał coś zrobić, cokolwiek. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo kiedy tylko otworzył usta, karetka właśnie ruszała. Służbowa załoga z plutonu strażackiego nie była wszakże gotowa. W momencie wypadku groteskowe człekokształtne kombinezony azbestowe leżały na masce wozu strażackiego. Karetka ujechała już kawałek, a strażak jeszcze nie zdążył włożyć kombinezonu.

- Właź do wozu, ofermo! - wrzeszczał Boyer. - Dupę w troki! To kategoria E; jeśli się zapali, pójdziesz za kratki!

Jego ostatnie słowa zginęły w ryku silnika nie pomalowanego mustanga lecącego tuż nad pasem. Biorąc pod uwagę okoliczności, było to bardzo niebezpieczne, nikt jednak nie miał pretensji do pilota „Myszki Mickey III”. Porucznik Morse chciał sprawdzić, co stało się z jego skrzydłowym.

Wykształcenie i doświadczenie sierżanta Boyera umożliwiło mu różnicowanie zwykłej „naziemnej pętli”, z której pilot wychodził na ogół z obrażeniami dającymi się wyleczyć porcją przydziałowej whisky oraz środkiem nasennym, a kategorią E, kiedy to maszyna ulegała zniszczeniu, pilot natomiast pozostawał w kokpicie przygnieciony blokiem silnika i cierpiał mimo zaaplikowanej przez doktora Goldmana morfiny.

- Dajcie te cholerne, kurewskie nożyce... ciężkie nożyce! - wrzasnął McDonald, siwowłosy porucznik Ruchomej Jednostki Ratowniczo-Remontowej. Stał na skrzydle; właśnie otworzył owiewkę podważając ją metalowym drągiem, na który musiał kilkakrotnie nacisnąć z całej siły. Choć przed chwilą tak zdyszany, że ledwie trzymał się na nogach, teraz znalazł siłę, by wrzeszczeć. Wymienił zaniepokojone spojrzenie z Goldmanem. Obaj wiedzieli, że porucznik krzyczy, ponieważ - jak wszyscy inni - boi się pożaru.

Pożar zaś był więcej niż prawdopodobny. Tlen z pewnością ulatniał się z rozbitych butli, uszkodzone przewody elektryczne najprawdopodobniej iskrzyły. No i wszędzie wokół rozlane było paliwo. Słyszeli, jak bulgocze cicho, wyciekając ze zbiorników; widzieli, jak lśni rozlane po kadłubie. Czuli jego opary w powietrzu, gdy ciekło po betonie pasa i zbierało się w kałuże na trawie. Co najgorsze zaś, wiedzieli, że dostaje się pod maskę, bo syczało kapiąc na gorący silnik; trzeszczało przy tym jak smażące się na patelni steki.

- Wszyscy nie biorący udziału w akcji mają natychmiast się stąd

wynosić! - wrzasnął porucznik McDonald. Zrzucił na trawę owiewkę i wziął od swego sierżanta ciężkie nożyce do cięcia blachy. - Mamy dość roboty i bez gromady ciekawskich! Gdzie jest ten kretyn Tarrant? - spytał ciszej doktora. - Po raz pierwszy naprawdę potrzebujemy glin, żeby usunąć stąd tych głupków.

- Pewnie pucuje guziki - odparł doktor, któremu także potrzebna była jakaś ofiara, na której mógłby się wyżyć.

Oficer administracyjny pojawił się jeszcze przed oficerem technicznym grupy. Pułkownik Scroll zamarł, wpatrując się w wymalowaną na nosie rozbitej maszyny nazwę: „Kibitzer”. A więc telefoniczna informacja z wieży była prawdziwa! Sprawdził jeszcze, czy na pasie mimo wszystko można startować, po czym natychmiast niezgrabnie wdrapał się na złamane skrzydło. Stamtąd dostrzegł, że wyrwany silnik pogiął i porozdzierał swym ciężarem blachę. Trzymając się rozgrzanego metalu, stał obok doktora Goldmana i patrzył na nożyce rozcinające grube zamki i przewody elektrycznie ogrzewanego kombinezonu pilota.

Jamie był najwyraźniej nieprzytomny. Doktor sprawdzał mu puls; twarz miał nieruchomą, pozbawioną emocji - doktorzy z pewnością jeszcze w szkole medycznej uczą się układać rysy w maskę. Zaczerwienione oczy lekarza łzawiły od unoszących się wokół wraku oparów glikolu i płynu hydraulicznego.

Kapral Walker scyzorykiem rozciął kurtkę lotniczą, bluzę i rękaw koszuli pilota, obnażając żyłę, w którą natychmiast wbił igłę kroplówki. Goldman trzymał w górze pojemnik z plazmą; kiedy sierżant skończył, wręczył mu go.

- Jest uwięziony? - spytał sanitariusza Scroll.
- Silnik się oberwał, a waży ponad pół tony. Przygniótł chłopaka.
- Co z nim? - Scroll musiał pochylić się i po raz drugi wywrzeszczyć pytanie lekarzowi do ucha, ze względu na ryk silników startujących tuż obok samolotów. Czuł zapach morfiny rozlanej na dłoniach doktora.

Goldman zerknął na Jamiego, upewniając się, że nie może słyszeć rozmowy.

- Już nigdy nie polecisz, panie pułkowniku - orzekł.

Scroll przyjrzał się uważnie chłopakowi. Pamiętał, jak na sobotniej zabawie żartowali sobie z Goldmanem i śmiali się wesoło. Tymczasem twarz doktora nadal nie zdradzała żadnych uczuć; wyglądał smutno, ale zawsze sprawiał takie wrażenie, podobnie jak major Tarrant zawsze sprawiał wrażenie gniewnego, a Kevin Phelan zalanego.

- Może potrzebni są specjaliści... - Przerwał i otarł podrażnione oczy. Opary i jemu zaczynały dokuczać.

Goldman potrząsnął głową.

- Nie, panie pułkowniku. On jest w szoku. Ciśnienie krwi maleje, temperatura ciała spada, puls jest słaby. Prawdopodobnie krwotok wewnętrzny, a ja nie mogę się do niego dostać. Krew zbiera się w jamie brzusznej, pasy werżnęły się w ciało i nie sposób go z nich uwolnić. Potrzebujemy nożyc do blachy. McDonald sądzi, że będzie musiał użyć do rozerwania kadłuba metalowych drągów.

Porucznikowi tymczasem udało się wyrwać niewielki kawałek metalu z tyłu kabiny. Sięgnął do wnętrza małymi nożycami, próbując odciąć uchwyty pasów w miejscu ich mocowania. Nie mógł jednak się do nich dostać; próbował raz za razem, przeklinając cichym, monotonnym głosem blokujące drogę kawałki pociętej blachy.

Scroll zsunął się ze skrzydła i nagle znalazł się twarzą w twarz z mężczyzną w mundurze klasy A, i w graniastej czapce z daszkiem. Tak wystrojony, szeregowiec pierwszej klasy wyglądał przedziwnie w towarzystwie oficerów i podoficerów poubieranych w grube kombinezony, baseballowe czapki, podbite wojsłokiem kurtki i ciepłe swetry.

Szeregowiec zaszalutował starannie.

- O co chodzi? - spytał Scroll. Zdążył polubić Farebrothera i potrzeba mu było czasu, by na powrót przybrać beznamiętną pozę, nieodłącznie związaną ze stopniem i funkcją.

- Szeregowiec pierwszej klasy Fryer - przedstawił się żołnierz. - Pracuję w biurze kontaktów z prasą i właśnie oprowadzam dziennikarzy. Czy mogliby tu przyjść, panie pułkowniku?

- Chodzi wam o to, żeby zobaczyli wojnę na własne oczy? - Scroll przerwał, ale młody żołnierz był na tyle sprytny, by nie odpowiedzieć. - Taka jest wasza profesjonalna opinia? - przyciskał go pułkownik.

Szeregowca Fryera trudno było onieśmielić. Dawno temu nauczył się, że prasa jest potęgą większą niż generałowie, a rozmawiał przecież ze zwykłym podpułkownikiem.

- Ludzie tam, w domu, powinni z pierwszej ręki poznać nasze poświęcenie - oznajmił, a kiedy pułkownik nie zareagował, dodał: - I niech lista strat bojowych nabierze dla nich ludzkiego wymiaru.

- Nazwisko tego pilota nie znajdzie się na liście strat. Wypadki przy starcie, przy lądowaniu, jak również uszkodzone maszyny spadające do Kanału nie wchodzą do statystyki.

- Tak jest, panie pułkowniku. - W głosie Fryera po raz pierwszy pojawił się ton niepewności. Nie bardzo wiedział, o co pułkownikowi chodzi. Widok Farebrothera nie mógł przecież wyprowadzić z równowagi człowieka znanego wśród żołnierzy pod pseudonimem „Żelazna Dupa”. - Rzeczywiście, zapomniałem, jak oblicza się straty.

- Trzymaj tych ludzi z dala ode mnie - rozkazał Scroll. - Z całą pewnością nie chcemy, żeby włązili tu, robiąc sobie zdjęcia do albumów!

- Jak pan sobie życzy, panie pułkowniku. - Szeregowiec Fryer doszedł do wniosku, że oficer administracyjny musi mieć wrzód albo inną dolegliwość powodującą okresowe napady złego humoru. Kapitan Madigan często powtarzał, że wykłady z zakresu kontaktów z prasą powinny być obowiązkowe dla wszystkich oficerów. Fryer nigdy nie zgadzał się z tą opinią bardziej niż teraz.

Scroll wszedł do dzipa.

- Wracamy do biura - rozkazał kierowcy. Po drodze próbował ułożyć sobie w głowie, co ma powiedzieć generałowi Bohnenowi, kiedy wreszcie się do niego dodzwoni.

Ku swemu zdumieniu w biurze zastał czekającego oficera technicznego grupy.

- Nie ma sensu, żebym tam tkwił - usprawiedliwił się major. - Ten porucznik z ratownictwa więcej wie o wrakach maszyn, niż ja nauczę się do końca życia. Mam inną sprawę. Jak się pan zapatruje na zablokowanie jedyne go czynnego na naszym lotnisku pasa?

- Co możemy zrobić? - spytał z kolei Duke.

- Prosta sprawa: usunąć szczątki. Mam buldożer; robota na pięć minut.

Scroll powoli zdjął okulary. Stał nieruchomo, trzymając je w obu dłoniach.

- Przed wyciągnięciem pilota?

- To jest najgorsze - przyznał major. - Ale... dzwoniłem do meteorologów. Twierdzą, że pogoda najprawdopodobniej jeszcze się pogorszy. Mała zmiana w kierunku wiatru i już będzie wiał z boku. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że popołudniami mieliśmy tu ostatnio niską mgłę, lądowanie z połową pasa zajętą przez wrak może się okazać katastrofalne.

- Myśli pan, że nie zdaję sobie z tego sprawy, majorze?

- Bardzo mi przykro, panie pułkowniku.

- Jaki wpływ na morale pilotów będzie miała wiadomość, że zepchnęliśmy buldożerem rannego jak jakąś cholerną zarżniętą krowę?

- Nie potrafię odpowiedzieć, panie pułkowniku.

Duke Scroll również nie znał odpowiedzi na to podstawowe pytanie, ale przecież dowódca bazy znajdował się w powietrzu, a wraz z nim także jego zastępca, oficer operacyjny Kevin Phelan.

- Zostawcie go tak, jak jest, póki nasi nie wrócą - polecił w końcu. -

Trzymajcie w pogotowiu załogę buldożera i zostawcie w biurze wiadomość, gdzie was mogę znaleźć. - Obrócił okulary w dłoniach. - Może porozmawiam z pułkownikiem Danem przez radio...

Wydzwonił sierżanta, nie zwalniając oficera technicznego.

- Mamy kontakt radiowy z grupą? - spytał.

Sierżant Kinzelberg zerknął na zegarek.

- Prawdopodobnie właśnie zbliżają się do granicy niemieckiej, panie pułkowniku. Zapewne udałoby się nam z nimi połączyć, ale odpowiadać musieliby przez samolot komunikacyjny.

Scroll przygryzł wargi.

- Dobrze - zdecydował. - Na jakiś czas dajmy sobie z tym spokój. Mają swoje problemy, więc na razie nie będziemy ich obciążać jeszcze i naszymi.

Oficer techniczny zasalutował i wyszedł. Pułkownik zwrócił się do sierżanta:

- Znajdź generała Bohnena... gdziekolwiek jest. Zrozumiano?

- Czy mam mu coś przekazać?

- Sam z nim porozmawiam. Po prostu go znajdź.

Sierżant wyszedł. Duke Scroll ulokował się za biurkiem, rzucił okulary na tackę z korespondencją przychodzącą i siedział, pocierając oczy. Nie chciał denerwować pułkownika, ale kiedy Dan wróci i zastanie czekającego generała Bohnena, będzie wściekły jak cholera. Z drugiej strony... Jezu Chryste, jak w takiej sytuacji nie zawiadomić ojca!

Podczas gdy Kinzelberg próbował znaleźć Bohnena, Duke chodził niespokojnie po gabinecie tam i z powrotem. W końcu udał się do biura inspektora technicznego grupy. Spencer Larsson, flegmatyczny major z Milwaukee, siedział za zawalonym papierami biurkiem, pykając ze starej glinianej fajeczki. Kiedy Scroll pojawił się w drzwiach, skoczył na równe nogi, zakaszłał i ręką zaczął odganiać dym sprzed twarzy.

- Spike, posłuchaj mnie bardzo uważnie, bo nie może być żadnych nieporozumień. Bierz oficera technicznego Dywizjonu 199 i swych

najlepszych ludzi. Macie zbadać to cholerne podwozie kawałek po kawałku!

- Podwozie maszyny, która skapotowała na pasie?

Scroll opanował się i nie zaklął jak szewc.

- Tak, Spike, podwozie maszyny, która rozleciała się na części na moim jedynym czynnym pasie startowym! Widziałbyś ją przez okno, gdybyś nie postawił tu zasłony dymnej. Przeprowadzisz dochodzenie w sprawie wypadku przy pomocy swych najlepszych ludzi. I trzy razy upewnisz się, że nikt niczego nie ukrywa, że nikt niczego nie zmiotł pod dywan.

- O co ten hałas, Duke? Myślisz, że to sabotaż albo coś w tym rodzaju? - Larsson wystukał fajkę, upewnił się, że w cybuchu nie pozostała ani odrobina popiołu i nie wypalonego tytoniu, po czym ostrożnie ulokował ją w popielniczce.

- Nie, nie myślę. Obawiam się, że nie wolno mi dyskutować z tobą na ten temat. Moja kryształowa kula mówi mi jednak, że w każdej chwili w moim biurze może pojawić się wysoki brunet z gwiazdką, i pierwsze, o co zapyta, to czy zacząłem dochodzenie w sprawie tego wraka. A kiedy powiem: „tak, oczywiście” i wezwę ciebie, masz przyjść z grubą teczką rozkazów, raportów technicznych i zdjęć. Ma to być przykład idealnego dochodzenia, najlepszego w historii Ósmej Armii Lotniczej, bo kiedy akta dotrą na biurko samego głównodowodzącego, to jeśli znajdzie on choćby jeden błąd gramatyczny w protokole przesłuchania, jeśli choć jedna fotografia zrobiona będzie na zadrapanym papierze, przerobi mnie na hamburgera, a ty będziesz keczupem do niego. Rozumiesz?

- Jasne, Duke. Zostaw to mnie. Rozumiem, że mogę użyć fotografów, stenotypistek i tak dalej.

- Major Tarrant będzie ci pozował nago na wieży startowej, jeśli tylko zechcesz!

- Może do tego nie dojdzie - powiedział z nadzieją Larsson.

Scroll podniósł wzrok i zobaczył, że major się uśmiecha.

- Przygotuj notatkę z informacją, co robisz, i złóż ją na moim biurku za godzinę, Spike. Póki nie skończysz z dochodzeniem, zapomnij o wszystkich bieżących zajęciach.

Powiedziawszy to, Scroll uciekł, nim major zdążył wdać się w swe słynne długie, nudne, najeżone terminologią techniczną wyjaśnienia.

Nawet pomysłowemu sierżantowi Kinzelbergowi znalezienie generała Bohnena zajęło przeszło godzinę. Był w Lancashire, gdzie rozwiązywał skomplikowany problem omyłkowej dostawy w wielkim labiryncie głównego magazynu Armii Stanów Zjednoczonych w Burtonwood koło Liverpoolu.

Pułkownik Scroll znalazł starego przyjaciela z West Point, który tam pracował, i wyjaśnił mu, że musi rozmawiać z generałem.

- To pilna... tak, wyjątkowo pilna sprawa. Mielśmy wypadek... tak, ktoś bliski generałowi. A teraz zacznijcie go wreszcie szukać! Rozumiesz, co mówię? Doskonale. Pewnie będzie chciał dotrzeć tu jak najszybciej, ale wielosilnikowiec nie wylądaje u nas za skarby świata, oba pasy mam nie do użytku. Proponuję, żeby poleciał do Narrowbridge, podstawimy mu tam samochód. Uważajcie na niego, może to ciężko znieść... Nie, nic więcej nie mogę ci powiedzieć, przyjacielu. Zadzwoń, kiedy zlokalizujesz generała. Czekam przy telefonie.

Odwiślał słuchawkę i zawołał:

- Sierżancie, mamy informacje od doktora Goldmana?

- Jeden z kancelistów był tu przed chwilą. Farebrother jest wciąż w kokpicie.

- Jak długo jeszcze?

Kinzelberg spodziewał się tego pytania. Już zdążył obliczyć, kiedy załogi znajdą się nad celem.

- Pięćdziesiąt pięć minut, panie pułkowniku.

Zadzwoił telefon. Scroll rzucił się na słuchawkę, by przekonać się, że to tylko Tarrant, dowódca żandarmerii.

- Przykro mi, że panu przeszkadzam, pułkowniku - powiedział twardym, metalicznym głosem, którego Duke nie znosił. Takim głosem odzywali się do niego policjanci, kiedy nakryli go z dziewczyną w samochodzie ojca. - Chciałbym dowiedzieć się, czy nie dzwoniła do pana policja z Cambridge. Brytyjska policja.

- Nie. Nie dzwoniła.

- I nikt nie pytał o oficerów na przepustce?

- Nie mam ochoty na grę w dwadzieścia pytań, Tarrant. O co chodzi?!

- Miałem telefon od naszego porucznika, łącznika z brytyjskimi cywilnymi glinami. Mówi, że u nich, w pokoju detektywów, panuje jakieś zamieszanie. Nie chcą mu nic powiedzieć, ale pytali o wyniki sekcji. Być może prowadzą dochodzenie w sprawie o morderstwo. Mówi, że mają zdjęcie pilota zrobione na tle samolotu. Mówi, że ten samolot oznaczony jest naszym znakiem kodowym.

- Jeśli ktoś od nas kogoś zamordował, Angole mają obowiązek przekazać nam fakty tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli ci faceci chcą coś ukryć, to możesz być pewny, że nikt z nas nie jest w nic wplątany. Może szukają kogoś, żeby mu coś przypiąć?

Major Tarrant przyjął uwagi na temat brytyjskiej policji jako spostrzeżenia o policji w ogóle, co sprawiło, że pretensje Scrolla nabrały w jego oczach osobistego wymiaru.

- Przykro mi, że pana niepokoiłem - powiedział chłodno i odłożył słuchawkę.

- Zdaje się, że obraziłem majora Tarranta - zwierzył się Duke sierżantowi. - A to nie lada sztuka.

Jako następny zadzwonił generał Bohnen. Wysłuchał opisu wypadku, nie przerywając ani słowem.

- Czy kapitan Farebrother jest poważnie ranny? - spytał w końcu.

- Nasz lekarz nie może go zbadać, póki tkwi w kokpicie.

- Myślę, że powinienem natychmiast do was przylecieć.

- Kwatery jest już przygotowana, panie generale. Czy życzy pan

sobie, by z Londynu dostarczyli pańskie rzeczy osobiste? Mogę to załatwić.

Dopóki Scroll nie wspomniał o kwaterze, generał zachowywał zimną krew i mówił spokojnie, kiedy jednak ze słów oficera administracyjnego zrozumiał, że Jamie może być śmiertelnie ranny, głos mu się załamał.

- Dziękuję panu, pułkowniku Scroll, to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Proszę to załatwić.

Scroll odłożył słuchawkę i oparł rękę o aparat, jakby w ten sposób chciał go powstrzymać przed kolejnym dzwonkiem.

- Sierzancie! - krzyknął. - Moglibyście przynieść mi kanapkę z szynką? Chyba na razie nie powinienem się stąd ruszać.

Wyjrzał przez okno. Na zachodzie niebo przejaśniło się, wzgórza za Steeple Thaxted oświetlone były nawet słabymi promieniami słońca, ale wiatr nawiewał nad bazę nowe deszczowe chmury.

- Sierzancie Kinzelberg - powiedział, kiedy kancelista wrócił z kanapką. - Czy mamy jakieś przepisy dotyczące towarzyszenia grupom dziennikarzy na terenie bazy?

Kinzelberg patrzył na niego w milczeniu.

- Bo widzicie... - Scroll podniósł górną kromkę, by sprawdzić, ile szynki włożono do kanapki. - Akurat teraz dużą grupę oprowadza po bazie jakiś szeregowiec. Czy to prawidłowe?

Sierzant stał, wyłamując palce. Otarł dłonie o spodnie, poprawił węzeł krawata.

- Na litość boską, Kinzelberg, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Czy wszyscy tu poszaleli?!

- Mógłbym prawdopodobnie znaleźć odpowiedni przepis, paragraf i punkt, ale ogólnie rzecz biorąc, cywile mogą przebywać na terenie bazy tylko pod warunkiem, że przez cały czas towarzyszy im któryś z oficerów. Z całą pewnością wydział prawny armii klasyfikuje dziennikarzy jako zwykłych cywilów. Nawet jeśli mają na sobie coś w rodzaju munduru.

Scroll skinął głową i wbił zęby w kanapkę. W tym momencie zauważył, że kancelista postawił na biurku szklankę whisky. Podniósł ją, powąchał.

- A po jaką cholerę przyniosłeś mi wóde?! - zezłościł się. - Widziałeś, żebym kiedyś pił w środku powszedniego dnia? Jezu Chryste, Kinzelberg, chcesz, żeby mnie zwolnili z armii za pijaństwo czy co?!

- Pułkownik nie żyje.

- Odpowiedzcie, sierżancie. Czy kiedykolwiek widzieliście mnie... Co?!...

- Pułkownik nie żyje. - Sierżant przerwał na moment. - Właśnie wracam z operacyjnego... Myślałem, że może mnie pan zapytać, jak się układają sprawy; czasami pan pyta...

- Tak, słusznie. Czasami pytam.

- Szkopska formacja zaatakowała ich od czoła. Jeden z nich wpadł na pułkownika.

Scroll napił się whisky.

- Obawiam się, że nie ma żadnych wątpliwości - kontynuował sierżant. - Mnóstwo ludzi widziało kolizję. Major z operacyjnego uznał, że może najlepiej będzie, jak ja panu powiem... No i doszedłem do wniosku, że szklaneczka...

- Niedługo przyleci do nas generał Bohnen - oświadczył Scroll. - Przypuszczam, sierżancie, że wiecie już, iż kapitan Farebrother jest jego synem?

Kinzelberg skinął głową.

Scroll dokończył whisky, unosząc szklankę wysoko, by wysączyć z niej ostatnie krople. Kiedy ją odstawił, powiedział:

- No to bierzmy się do roboty, Kinzelberg. Jutro rano, być może jeszcze dzisiaj wieczorem, będziemy mieli na karku nowego dowódcę. Taka jest polityka, wiesz? Żeby się nie rozczulać i nie oplakiwać strat.

- Znalazłem te przepisy o obecności dziennikarzy. Czy mam napisać notatkę dla oficera prasowego, czy to może być sprawa do załatwienia prywatnie, w klubie oficerskim?

- Mówiłem mu, żeby dziś nie leciał - Duke przerwał sierżantowi. - Błagałem. Potrzebował odpoczynku; był cholernie zmęczony...

Usłyszeli kroki. Ktoś wszedł do pokoju Kinzelberga.

- Kto tam?! - krzyknął sierżant.

W drzwiach pojawił się kapral Walker. Był bez czapki, na spodniach miał plamy oleju i zabrudzoną kurtkę.

- O co chodzi? - spytał sierżant. W jego głosie pobrzmiwała deza-
probata.

- Kapral Walker z sekcji medycznej. Mam wiadomość dla pułkownika Scrolla.

- Jaką wiadomość? - Duke rozpoznał kaprala, który pomagał doktorowi przy maszynie.

- Doktor Goldman przesyła pozdrowienia. Mam też panu powiedzieć, że nie uda nam się wyciągnąć kapitana Farebrothera przed powrotem grupy.

- Co z nim?

- Mnie pan pyta, panie pułkowniku? - Walker nie zachowywał się prowokująco, nie sprawiał wrażenia niezdyscyplinowanego, Scroll natychmiast jednak rozpoznał sposób bycia dobrze opłacanego cywila, który zgłosił się na ochotnika do walki za swój kraj, lecz chciał, by dowódcy wiedzieli o jego statusie amatora i uznawali go. Uważał, że należy liczyć się z tym życzeniem, jeśli to tylko możliwe.

- Jasne, że w a s pytam. Jesteście wykwalifikowanym sanitariuszem, prawda?

- Wątpię, czy kapitan Farebrother przeżyje tę noc, panie pułkowniku. Moim zdaniem jest bardzo poważnie ranny. - Walker wyciągnął dłoń z rozstawionymi palcami, jak przesypany ziemię wieśniak. - Silnik uderzył go z ogromną siłą, wystarczającą, żeby zgnieść siedzenie. Kapitan jest w szoku... i ma rozległe rany brzucha. Pan czy ja zmarlibyśmy z takimi obrażeniami w kilka minut. On jest młody, silny, ale to na nic. - Spojrzał na swą wyciągniętą dłoń, a potem wprost w oczy pułkownika. - Statystycznie rany brzucha częściej okazują się śmiertelne niż rany głowy.

- Czy kapitan Goldman wspomniał o możliwości kontaktu z zespołem medycznym z Narrowbridge? Mają tam wielki szpital dla załóg bombowców, a ostatnio te B-17 niemal z każdego lotu wracają z ciężko rannymi.

- Ludzie z Narrowbridge nie są w stanie niczego nauczyć doktora Goldmana. Jak tylko wyciągniemy kapitana, będzie go natychmiast operował.

Pułkownik Scroll uznał, że niemądrze byłoby interweniować w tej sprawie. Zupełnie niezależnie od procedur wojskowych czy łańcucha dowodzenia w Służbie Medycznej Armii, między lekarzem i pacjentem wytwarza się specyficzna więź. Laik na tyle głupi, by między nich wchodzić, może znaleźć się nagle w ostrym konflikcie z wszystkimi przedstawicielami zawodu.

- Cóż, w tych okolicznościach kapitan Goldman jest z pewnością autorytetem - powiedział. - Poproście, żeby zadzwonił do mnie, kiedy znajdzie chwilę czasu. Kapitan Farebrother będzie miał gościa. Już do nas leci.

- To niech się lepiej pośpieszy - rzekł Walker.

- Wyjść! - rozkazał sierżant Kinzelberg. - A kiedy następnym razem wejdziecie do gabinetu pułkownika, upewnijcie się przedtem, że jesteście przyzwoicie ubrani. Nikt nie powiedział, że sanitariusze mają specjalne prawa do latania po bazie bez czapek.

Scroll podszedł do biurka i skończył kanapkę. Jest jeszcze ta Angielka - Victoria Jakjejtam. Tarrant rozpoznał u niej ciężę. Tarrant może być sobie dokuczliwym dupkiem, ale z pewnością nie jest idiotą. A w zeszłym tygodniu, przy barze, Jamie Farebrother niby przypadkiem spytał, jaka jest procedura, jeśli oficer pragnie się ożenić.

Zadzwonił telefon Kinzelberga. Sierżant mruknął do kogoś „dobra”. No, powiedzmy, że pośle się po dziewczynę - Victoria Cooper, tak, nazywa się Victoria Cooper - no więc przypuśćmy, że się ją znajdzie, a potem okaże się, że generał Bohnen nic o niej nie wie albo nie pochwała planów syna, albo rozkaże usunąć ją z terenu bazy. Może powinienem

podjechać do wraka? - pomyślał Scroll. - Jeśli Farebrother jest przytomny i pyta o dziewczynę, łatwiej będzie mi podjąć decyzję.

- Dzwonili z operacyjnego - zameldował sierżant.

Pułkownik patrzył na niego nie widzącym wzrokiem.

- Dobra? - zdziwił się.

- Nasi wracają. Dowodzi major Tucker, a porucznik Morse przejął od niego Dywizjon 199. Bombowce ciężko oberwały. Oprócz pułkownika straciliśmy pięć maszyn, a może ich być więcej, bo szkopy nadal atakują.

- Miałeś może uczucie, Kinzelberg, że dziś rano nie powinieneś wstawać z łóżka?

Sierżant wiedział dokładnie, czego się po nim oczekuje. Spróbował uśmiechnąć się. Scroll nadal gapił się za okno, jakby stamtąd oczekiwał jakiegoś pomysłu. Kancelista czekał cierpliwie.

Pułkownik przerwał wreszcie milczenie.

- Wkrótce przyjedzie generał Bohnen. On będzie najstarszy stopniem.

- Grupa mogłaby wylądować w Narrowbridge, panie pułkowniku.

- Wygląda na to, że nasi chłopcy przylecą postrzelani i na resztkach benzyny. To co, mamy im urządzić ćwiczenia z nawigacji i podać namiary na nowe lotnisko? - Nie było to oczywiście pytanie, na które sierżant mógłby odpowiedzieć. - Wszystkie grupy z okolicy są dziś w powietrzu - mówił Scroll. - Narrowbridge czeka na swe własne maszyny... wielkie maszyny, które oberwały gorzej od naszych, a w nich znajdują się konający i trupy. Popatrz tylko na pogodę. Nad połową lotnisk w południowej Anglii już leży mgła.

- Trudno podjąć taką decyzję, panie pułkowniku.

- A w dodatku cokolwiek zrobię, i tak będzie źle - burknął Duke. - Znam generała na tyle dobrze, żeby mieć tę pewność.

- Ktoś musi rozkazać, by usunięto wrak, panie pułkowniku. Jeśli pan tego nie zrobi, decyzja spadnie na generała Bohnena. Jeśli wierzyć

pułkownikowi Danowi, kapitan to jego syn, a generał nie ośmieli się zostawić go tam i narazić na niebezpieczeństwo powracającą z lotu bojowego grupę. Ostatnio pełno tu u nas dziennikarzy. Z pewnością coś by przewąchali, a potem ukrzyżowali generała.

Scroll obrócił się i spojrzał swemu sierżantowi wprost w oczy.

- No więc co mam zrobić, Kinzelberg? - spytał. Miał piskliwy głos rozgniewanego mężczyzny, czującego, że musi się bronić. - Czy mam powiedzieć generałowi Bohnenowi, żeby się wynosił? Czy mam nalegać na zatrzymanie dowództwa, ponieważ dysponuję doświadczeniem niezbędnym do podjęcia tego rodzaju decyzji?

- Nie, panie pułkowniku - odparł sierżant mechanicznym głosem, stanowiącym jedyną obronę żołnierza przed dowódcą.

- Dziękuję wam bardzo. A teraz powiedzcie majorowi Tarrantowi, że spodziewamy się wkrótce odwiedzin pana generała. Oczekuję, że wystawi wartę przed bramą i powita go ze wszystkimi honorami.

33. Generał brygadier Alexander J. Bohnen

Księżyc wprawdzie świecił, ale jego blasku wystarczało zaledwie na tyle, by powlec srebrem ciemne zarysy hangaru i mustangów na stanowiskach postojowych. Panowała niemal całkowita cisza, przerywana od czasu do czasu dźwiękiem silnika samotnego samolotu, lecącego gdzieś w celu znanym wyłącznie pilotowi, oraz melodyjką wygrywaną przez kuranty zegara kościelnego w Steeple Thaxted; słyhać je było tylko w te noce, kiedy wiatr wiał z zachodu.

W małej, pomalowanej na biało salce szpitala bazy znajdowało się czterech mężczyzn. Sierżant Walker wziął dodatkową służbę w miejsce tutejszego sanitariusza, który pracował przez całe popołudnie. Ubrany w biały bawełniany fartuch, siedział na krześle przy łóżku, czytając wzięty ze stosu magazyn „Yank”.

Twarz porucznika Morse'a zastygła w wyrazie powagi. Długie włosy miał potargane. Przyszedł do szpitala zaraz po zakończeniu odprawy po locie. Podwinął rękawy koszuli, zdjął krawat, zsunął buty i oparł głowę o ścianę. W tej pozycji od czasu do czasu przysypiał na moment, by zaraz obudzić się z prychnięciem. Zdarzało mu się nawet chrapać.

Generał Bohnen nadal miał na sobie mundur z kurtką zapiętą pod szyję. Siedział wyprostowany na stołku najbliższym łóżka. Ustawił go tak, by móc patrzeć na syna. Nie spuszczał z niego wzroku.

O trzeciej nad ranem w sali pojawił się doktor Goldman - jak zwykle punktualnie; przychodził co godzinę, niczym sterowany przez melodyjkę

kościelnych kurantów. Wyglądał, jakby właśnie wstał z łóżka. Zignorował wszystkich obecnych z wyjątkiem kaprała Walkera, któremu rzucił porozumiewawcze spojrzenie. Sprawdził puls rannego, przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się w jego oddech, a potem położył mu dłoń na czole, by sprawdzić, czy nie jest przypadkiem zimne i lepkie. Było. Zły znak.

Tym razem generał Bohnen poszedł za wychodzącym z sali Goldmannem do kuchni. Jeśli lekarz zdawał sobie sprawę, że ma towarzystwo, to niczym się nie zdradził, póki nie zaparzył kawy. Kiedy już ją przygotował, uniósł zwykły biały kubek i spytał:

- Napije się pan?
- Nie, dziękuję, kapitanie.

Nazywa mnie kapitanem, pomyślał Goldman. A więc będzie ze mną rozmawiał jako generał. Nalał sobie wielką porcję czarnej kawy. Otworzył metalowe pudełko po herbatnikach, mając nadzieję, że znajdzie w nim pączka.

Niestety, było puste.

- Tym razem nie sprawdził pan ciśnienia krwi - stwierdził Bohnen.
- Nie, tylko puls - przyznał Goldman.
- Tam leży mój syn. - W głosie generała brzmiała rozpacz. - Mam stać i patrzeć, jak pije pan kawę i pozwala mu umrzeć?
- Nie mogę zrobić dla niego nic więcej, niż już zrobiłem, panie generale.
- A więc sprowadzę kogoś z pułku. Porozmawiam z londyńskimi lekarzami. Może Brytyjczycy mają specjalistów...
- Rozumiem, co pan czuje, panie generale, ale w ten sposób nie zwiększy pan szans syna na przeżycie. Przeniesienie go w ogóle nie wchodzi w grę. I doprawdy nie wierzę, by jakikolwiek specjalista był w stanie zrobić coś, czego nie zrobiliśmy tutaj.
- A co właściwie zrobiliście? - Bohnenowi nie udało się zapamiętać nad głosem; zabrzmiała w nim wrogość, której nie zamierzał ujawnić.

- Na ile zna się pan na medycynie? - spytał Goldman.

Pytanie, a także sposób, w jaki zostało zadane, potwierdziły przypuszczenia generała. Najwyraźniej zadawanie pytań, nie wspominając już o domaganiu się odpowiedzi, jest surowo zabronione wszystkim... z wyjątkiem członków elity medycznej.

- Nie jestem lekarzem, kapitanie Goldman, lecz mimo to domagam się odpowiedzi.

- Rozumiem, co pan czuje, generale.

- A czy to pana syn, jedyny syn, umiera na tamtej sali?

Lekarz potrząsnął głową. Nastawił budzik i wziął gazetę, ciasno zwinęty, tak że widać było rozwiązana w połowie krzyżówkę.

- Żądam odpowiedzi, kapitanie.

Goldman, patrząc mu wprost w oczy, wyrecytował mechanicznie:

- Pierwsze cięcie, którego dokonałem w obrębie jamy brzusznej, ujawniło bardzo poważny krwotok wewnętrzny. Pracowałem przy znieczuleniu miejscowym z powodu złego stanu ogólnego pacjenta. Wstrzyknąłem peritoneum, tkankę okrywającą jelita i utrzymującą je w jamie brzusznej. Następnie zaszyłem trzy rany otrzewnej i pięć ran jelit, a także zająłem się kilkoma mniej poważnymi obrażeniami. Potem zszyłem ściany żołądka i rozpocząłem zszywanie jamy brzusznej. - Wypił łyk kawy i zadrżał, tak była gorzka. - Przez cały czas myślę tylko o operacji i nie widzę możliwości zrobienia dla pacjenta ani czegoś innego, ani czegoś więcej.

- A dokąd idzie pan teraz?

- Do nocnej dyżurki, znajdującej się w tym korytarzu. Nastawię budzik tak, by za godzinę móc znów zbadać kapitana.

- Czy jest pan tu jedynym doktorem?

- Jednym z dwóch, pełniemy więc dwunastogodzinne dyżury. Dostaliśmy nowe rozkazy bojowe, a w operacyjnym świeci się światło, co jest najlepszym sygnałem, że jutro znów czeka nas trudna misja. Mam tu

jeszcze pilota z wrzodem żołądka nie reagującym na leczenie i ropień, szczególnie dający się we znaki w nocy.

Obaj mężczyźni byli rozgniewani i obaj czuli się ofiarami systemu nie tolerującego outsiderów. Generał nalał sobie kubek kawy; doktor uznał to za odprawę i wyszedł. Bohnen pił kawę stojąc przy zlewie. Przyglądał się odwróconym białym kubkom na suszarce i przyczepionym do tablicy ogłoszeń karteczkom z wypisanymi ręcznie wezwaniami do wyłączenia wentylatora i termy. Nie usłyszał wchodzącego Walkera i zaskoczyło go, kiedy ten odezwał się za jego plecami.

- Nie wolno było panu tego zrobić, generale. - Kapral mówił ścisłym głosem.

- Czego nie wolno mi było zrobić, kapralu?

- Nie powinien pan rozmawiać w ten sposób z doktorem Goldmannem.

- Dlaczego nie, kapralu?

Walker rozmasował obolałe mięśnie szyi. Był zmęczony, straszliwie zmęczony; inaczej nie odezwałby się do generała tak obcesowo.

- Dlatego, że on jest najlepszy. Doktor Goldman ukończył studia w klinice Johna Hopkinsa, z wszelkimi możliwymi honorami. Odmówił przyjęcia pracy ordynatora chirurgii i wspaniałej pensji, żeby pójść na wojnę. Jego ojciec jest profesorem chirurgii i konsultantem pięciu wielkich nowojorskich szpitali. W zeszłym miesiącu lekarze grupy bombowej z Narrowbridge ściągnęli go do siebie, żeby przeprowadził trudną operację, z którą sami nie umieli sobie poradzić.

Generał nie czuł się przekonany.

- Jeśli rzeczywiście jest taki dobry, powinien pracować w jednym z wielkich szpitali wojskowych.

- On chciał walczyć! Chciał iść do piechoty! Jest Żydem. Jego wuj był najbardziej znanym chirurgiem we Frankfurcie, póki Niemcy nie wysłali go do obozu koncentracyjnego. Doktor prowadzi z nimi swoją prywatną wojnę. Nie potrzebuje pańskich rad, żeby robić, co może.

Zwłaszcza gdy chodzi o uratowanie życia chłopaka, który zabija nazi-
stów. Dziś po południu odciąłby sobie prawą dłoń, gdyby mogło to
zwiększyć szanse pańskiego syna.

- Musieliśmy przesunąć wrak - powiedział Bohnen. - Nie mieliśmy
innego wyjścia.

- Ja też mam dzieci. Co noc wznoszę modły, żeby ta cholerna wojna
skończyła się, nim zostaną powołane do wojska.

- Powinno się to zrobić przed moim przyjazdem. Wszyscy wiedzie-
li, że trzeba go przesunąć, ale wydanie rozkazu zostawili mnie. - Sierżant
patrzył w żaden sposób nie okazując współczucia i to zdenerwowało
generała jeszcze bardziej. - Co wy, do cholery, wiecie o mnie i o moim
synu? Wy tu ferujecie wyroki, ale skąd możecie wiedzieć, ile m n i e to
kosztowało? Gdybym go tam zostawił, nazwalibyście to zaniedbaniem.
Ponieważ rozkazałem oczyścić pas, uznaliście, że jestem pozbawiony
ludzkich uczuć. Na pana czekają w domu dzieci, kapralu. Widział pan,
jak dorastają. Doskonale, cieszę się pańskim szczęściem. Ale ja straci-
łem syna właśnie, kiedy dorastał. Straciłem go tego dnia, kiedy odwio-
złem go na pociąg. Kupiłem mu lody, żartowałem, bo chciałem, żeby się
śmiał, i kazałem mu kochać nowego tatusia tak, jak kocha mnie. Straci-
łem go wtedy, kapralu, bo jego matka mi go zabrała, nastawiła przeciw-
ko mnie i nigdy go już nie odzyskałem. Widziałem, jak pociąg rusza,
widziałem, jak chłopiec macha mi dłonią, póki ostatni wagon nie znikł
za horyzontem, a potem wróciłem do pustego mieszkania i po raz pierw-
szy w życiu upiłem się do nieprzytomności - mówił Bohnen z goryczą. -
Kiedy wasze dziecko ma ospę albo krup, możecie mu przynieść słody-
cze, możecie je trzymać za rączkę. Kiedy Jamie był chory, ja dostawa-
łem suche listy od jego matki z żądaniem, żebym nie przysyłał prezen-
tów, bo go to denerwuje. Czy wam ktoś zwrócił kiedyś kupiony dla
dziecka model samolotu i książkę o Lincolnie z adnotacją, że są to pre-
zenty militarystyczne i matka nie życzy sobie, żeby go poddawać „takim

wpływom”? Czy wiecie, ile razy leciałem trzy tysiące mil tylko po to, żeby spędzić z nim kilka minut? Czy wiecie, ile kosztowała mnie dziesięcioletnia decyzja? Nie, nie odpowiadajcie mi, kapralu, póki nie przemyślicie sobie rzeczy, których istnienia nawet nie podejrzewaliście. Nie uczcie mnie, jak prowadzić wojnę, i nie udzielajcie mi rad na temat ojcostwa.

- Powinien pan spróbować się przespać, panie generale - poradził Walker. - Bez snu nie da się żyć.

- Na to będzie jeszcze mnóstwo czasu - odparł Bohnen.

Jamie odzyskał przytomność zaledwie na kilka minut. Nastąpiło to wkrótce po rozmowie jego ojca z kapralem Walkerem. Bohnen był wówczas sam w sali - kapral zmieniał opatrunek na ropniu, a porucznik Morse poszedł akurat do toalety - i wdzięczny był losowi za ten zbieg okoliczności.

Trzymał Jamiego za rękę, jak wtedy, kiedy był on małym chłopcem.

- Wygramy, synku - powiedział. - Ty i ja. Jak w dawnych czasach, pamiętasz?

Jamie nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, co się wokół niego dzieje. Wydawało mu się, że jest w powietrzu.

- Powinienem zostać w kluczu, to jest zadanie skrzydłowego - szepnął.

- Jamie... synku. To ja, twój ojciec.

- Myszka? Myszka Mickey? - Jamie uśmiechnął się. - To ty? Strząśnąłeś ich z ogona, MM?

- Wszystko będzie dobrze. - Bohnen położył mu rękę na czole, lepkim i zimnym. Jamie oddychał szybko, płytko. - Wszystko będzie dobrze.

- MM?... MM?... Posłuchaj, musisz mnie wysłuchać!

- Słucham - powiedział Bohnen.

- Do diabła z nimi wszystkimi, MM. Idź na całość... Wiesz, chodzi mi o Verę. Rób to, co uważasz za słuszne, MM.

- A ojciec? Co z ojcem?

- MM? Nie utrzymam się w szyku!

- Jamie...

- Próbuję, MM, ale to nigdy nie była dobra maszyna, pod tym względem miałeś absolutną rację.

- Jamie, posłuchaj mnie. To ja, twój ojciec.

- Żegnaj, Myszko Mickey i dzięki. Nie martw się, dolecę do brzegu.

Powiedz Vicky, że dolecę do brzegu.

Jamie opadł na poduszki, umościł się wygodnie i zamknął oczy. Generał rozejrzał się; przy łóżku stał porucznik Morse.

- Jego maszyna powinna być w muzeum, generale, ale Jamie za nic nie chciał z niej zrezygnować. Twierdził, że przynosi mu szczęście.

- Myślał, że rozmawia z panem. Powiedział, żeby szedł pan na całość... i coś o jakiejś Verze... Pan pewnie rozumie, o co mu chodziło. Mówił, żeby robił pan to, co uważa za słuszne.

- Wkrótce będę musiał wyjść, panie generale. Wiszę na tablicy, a jutro czeka nas ciężki lot. Nasz pułkownik zginął dzisiaj. Dowodzę dywizjonem.

- Wiem - powiedział Bohnen.

Powierzył majorowi Tuckerowi tymczasowe dowództwo grupy i zatelegrafował do Londynu z żądaniem, by potwierdzono je i awansowano Tuckera odpowiednio do funkcji. Głęboko uraził go pierwszy rozkaz nowego dowódcy - mianowanie porucznika Morse'a dowódcą dywizjonu i przywrócenie mu prawa do lotów, ze skutkiem natychmiastowym. Potrząsając ręką młodego pilota w żaden sposób nie okazał jednak gniewu.

- Powodzenia, poruczniku.

- Jamie miał najlepszego szefa mechaników w całej grupie, panie generale. Gdyby cokolwiek świadczyło o tym, że może zawieść opona albo podwozie, Tex z pewnością by to zauważył.

- Kiedy pan tu wróci, Jamie pewnie pomacha panu z okna.
- No to idę.
- Żegnaj, Myszko Mickey - rzekł generał.

Kapitan James Farebrother zapadł w śpiączkę około piątej nad ranem. Zmarł o dziewiątej trzydzieści trzy, kiedy Myszka Mickey startował na czele swego dywizjonu.

Epilog, 1982

Myszka Mickey stał przy prowadzącej na teren farmy, znajdującej się niedaleko dywizjonowego dispersalu, bramie zamkniętej na zardzewiałą kłódkę. Potrząsnął nią mocno, ale nadal zagradzała drogę w przeszłość. Z tego miejsca widział barak służący niegdyś pilotom Dywizjonu 199. Rube, Earl, Jamie i on sfotografowali się na jego progu. Teraz z baraku pozostał tylko pozbawiony dachu szkielet, ale stojąca obok betonowa toaleta wydawała się nie naruszona przez czas.

Pola pszenicy zmieniły lotnisko. Falowały na wietrze niczym zielony ocean, przecięty jednak oświetlonym słabymi promieniami słońca nierównym betonem pasa, na którym złożyło się niegdyś podwozie „Kibitzera”.

Victoria przyniosła płaszcz.

- Załóż go, kochanie - powiedziała. - Wiesz, co lekarze mówią o tych twoich przeziębieniach.

Oboje postarzeni się z wdziękiem, jak to się często zdarza parom darzącym się miłością i szacunkiem. Victoria była może nieco tęższa w biodrach, a Myszka prawie całkiem wyłysiał, niemniej jednak łatwo było ich rozpoznać.

- Myślałem o Madiganie - rzekł Myszka. - Zmienił życie nas wszystkich, prawda?

- Vince Madigan? - Żona zapięła mu nowy płaszcz pod szyją i poprawiła wełniany szalik. Lubił, żeby się o niego troszczyć, choć często protestował.

- Mąż Very zastrzelił go, a powinien zastrzelić m n i e . Nic nie

przeciekło do prasy, ale tak to było, i oboje o tym wiemy.

- Przecież często rozmawialiśmy na ten temat, Myszek, kochanie. Obiecałeś...

- Vera uratowała mi życie. Myślę, że powiedziała mężowi, iż to Madigan jest jej kochankiem. Chyba chciała mnie osłonić.

- Biedna Vera. Śniła mi się zeszłej nocy. Pewnie dlatego, że wróciliśmy do Anglii... i dużo o niej myślałam.

- Ten mały pułkownik... ten z hollywoodzkim gadanym. Przyjechał do bazy, zanim dowiedziałem się, że Vera nie żyje. Opowiedział mi o podwójnym morderstwie i o samobójstwie Rega Hardcastle'a. Nazwał to *crime passionel*. Kazał mi wziąć przepustkę.

- A ty przyjechałeś do Walii i powiedziałeś mi o Jamiem...

- Że jesteś w ciąży, domyśliłem się tej nocy, kiedy Tucker odstawił swój taneczny numer. Następnego ranka przejął grupę i dostał awans na pułkownika. Śmieszne! Na początku wcale go nie lubiłem, ale coś się w nim zmieniło, kiedy zaczął dowodzić.

- Matka chciała wysłać mnie do Szkocji, żebym urodziła dziecko. Nigdy byś mnie nie znalazł.

- Popłakałaś się, kiedy cię poprosiłem o rękę.

- Wcale nie poprosiłaś mnie o rękę! Powiedziałaś, że twoim zdaniem powinniśmy się pobrać.

- Przecież to na jedno wychodzi, prawda?

Przytuliła go mocno.

- Oczywiście, kochanie.

- A wszystko przez Madigana. Przez niego ty poznałaś Jamiego, ja poznałem ciebie i Verę. Wszystko zaczęło się od tego głupiego wołowego Madigana.

- Biedny Vince z tym swoim Mozartem i seksownym głosem, o którego działaniu czasami zapominał. Mówił mi, że zawsze zakochuje się nieszczęśliwie.

MM parsknął.

- Jak wszystkim! To była jego regularna gadka. - Obrócił głowę,

by popatrzeć na wielki autobus, który przywiózł tu członków Stowarzyszenia 220. Grupy Myśliwskiej. Autobus podjechał drogą kołowania. - Stary Tarrant właśnie wysiadł i idzie w naszym kierunku. Czego może chcieć?...

- Bądź dla niego miły, kochanie. Ma opisać to spotkanie dla gazetki Stowarzyszenia. Traktuje to bardzo poważnie.

- Był najbardziej zakutą pałą w całej bazie. Nikt go nie lubił. Bezczelny facet, pisze do gazetki!

Harry Tarrant zmienił się w tęgiego pana z czerwoną twarzą. Dotarł do Morse'ów trzymając w jednej ręce długopis, a w drugiej notatnik. Trudno było pogodzić jego sylwetkę z twardym żandarmem, którego Myszka tak nie znosił. Na głowie miał miękką czerwoną czapkę z emblematem agencji ochrony, dla której pracował. Uśmiechał się szeroko.

- Z radością przyjąłem wiadomość, że państwo Morse'owie wezmą udział w naszej wycieczce - zagał.

Myszka zareagował na to oświadczenie z lodowatą obojętnością.

- Wspaniale ją zorganizowano - powiedziała Vera.

Tarrant skinął głową.

- Staramy się, staramy - przyznał skromnie. - Zbieram materiały do numeru naszej gazetki na przyszły miesiąc - wyjaśnił, pisząc „Morse” u góry kartki.

- A co już masz? - Myszka zajął mu w notatki.

- Wiesz, że Tex Gill, jeden z szefów mechaników, w 1975 roku pośedł na wojskową emeryturę jako pułkownik.

- Tak, wiem.

Tarrant uśmiechnął się i przejrzał notatki.

- Duke Scroll chciał do nas dołączyć, ale żona mu zachorowała. Był wiceprezesem wielkiej linii lotniczej aż do przejścia na emeryturę w zeszłym roku. Próbuje namówić nas, żeby następny zjazd zorganizować w Palm Springs, gdzie teraz mieszka.

- No, jego chyba byłoby stać na niżkowy bilet - stwierdził Myszka.

- Nic o tym nie wiem - powiedział niezręcznie Tarrant, uśmiechając się współczująco do Victorii.

- A Tucker?

- Będzie jutro na ceremonii. Przed przejściem na emeryturę dostał gwiazdkę. Słyszałeś o tym? - Tarrant wdepnął w krowi placek i teraz wycierał but o pręty bramy.

- Wszyscy myśleliśmy, że dostanie ją jeszcze przed końcem wojny. I pewnie tak by się stało, gdyby zamiast przejmować grupę po pułkowniku Danie poszedł do sztabu.

- Trudno myśleć o nim jako o generale. Zawsze przyjeżdża na spotkania i świetnie się na nich bawi. Zobaczysz pani jutro, pani Morse - jest prawdziwą duszą towarzystwa. - Zapisał w notatniku „Kariera Tuckera?”
- Oczywiście, nie zawsze tak było. Sporo czasu minęło, nim się rozluźnił, nie, Myszka?

- Ale w końcu mu się udało. - MM ciągle pamiętał dzień, w którym Niemcy się poddali. Tucker opuścił biuro i przyszedł do niego na kwatery. Wszedł, zamknął drzwi i wyjął butelkę scotcha. W milczeniu napełnił dwie szklaneczki, podał jedną gospodarzowi i w końcu powiedział: „Doczekaliśmy, Myszka!” Tylko oni dwaj zostali; reszta albo zginęła, albo odniosła rany, albo zakończyła turę. Wypili tę butelkę we dwóch i kompletnie pijani skończyli w rowie, bo spadli z roweru Tuckera. - Fajny z niego facet!

- A co się stało z doktorem? - zainteresowała się Victoria. - Był dla mnie taki miły.

- Domyślałam się, że chodzi o kapitana Goldmana. Jego nazwisko figuruje na liście oficerów, ale Stowarzyszenie nie zdołało się z nim skontaktować. Szczęśliwym trafem dowiedziałem się o nim wczoraj od pana Walkera, to ten bardzo godny dżentelmen z diamentową spinką u krawata; jest właścicielem drugstore'u w Chicago. Pamiętasz go, MM? Widziałeś, jak podjechał na lotnisko własną limuzyną? Z szoferem! Trudno uwierzyć, że był zaledwie kapralem sanitariuszem. - Tarrant przerzucił kartki notesu. - Aha, jest Goldman. Został przeniesiony do jednostki

medycznej, która w dniu inwazji lądowała na plaży Omaha. Zabił go pocisk moździerza, który trafił w namiot szpitala polowego. - Postukał w notes długopisem, na którym także widniał emblemat jego firmy. - Będziesz jutro na ceremonii? Podczas lunchu Bobby Baxter formalnie przejmie obowiązki prezesa Stowarzyszenia.

- Bobby Baxter! - Myszka roześmiał się drwiąco. - Gość, który latał jako skrzydłowy Tuckera? Też mi prezes! Ten dureń nie spędził w grupie chyba nawet dziesięciu minut! Przecież byłem przy tym, gdy wyskoczył nad Monachium, Brunszwikiem czy czymś takim. Do końca wojny siedział w obozie jenieckim. Pamiętam, że nieustannie pisał do Tuckera z prośbą o papierosy i słodycze. Prezes! - parsknął.

Tarrant przeczekał tyradę cierpliwie. Znał opinię Myszki na temat Baxtera w ogóle, a na temat jego przydatności do pełnienia wyższych urzędów szczególnie. Uśmiechnął się, ale nie na tyle szeroko, by można to było uznać za ewentualną nielojalność wobec nowych władz Stowarzyszenia.

- Bobby był zawsze bardzo aktywny, MM. W zeszłym roku zrezygnował nawet z drugiego tygodnia wakacji i przyleciał aż z Hawajów, żeby być z nami w Nowym Orleanie. Jest obecny na każdym spotkaniu.

- A czy ktoś dowiedział się kiedykolwiek czegoś o moim skrzydłowym, Rube'em Weinie?

- Próbowałem różnych sposobów, wiesz przecież. Umieściliśmy ogłoszenie w wydawnictwie „Stowarzyszenia Emerytowanych Oficerów”, pisałem do Waszyngtonu i pod wszystkie jego znane adresy.

- Trzeba było napisać do Berlina. Moim zdaniem Rube nie dotarł do obozu jenieckiego. Szkopy dostały go, tak jak podejrzewał.

Tarrant poruszył się niespokojnie.

- No, nie powinniśmy wyciągać przedwczesnych wniosków. Na lunchu i jutrzejszej uroczystości gośćmi będzie kilku niemieckich weteranów.

- Tylko nie mów mi, że mam się godnie zachowywać. Kiedy ty

zajmowałeś się puszkowaniem nieszczęśników, którym zdarzyło się wypić kilka piw, te sukinsyny próbowały mnie zabić!

Victoria pociągnęła męża za rękę, sygnalizując, że przesadza. Tarrant znów postukał długopisem w notes.

- A co u was, kochani? - spytał. - Nie przyleciałem tu z notesem, żeby rozmawiać z wami o innych. Zbierzmy kilka podstawowych informacji. - Wyciągnął aparat Olympus, żeby zrobić zdjęcie Morse'ów na tle ruin baraku przy dispersalu. - Byłeś asem grupy, Myszka. Jesteś znacznie sławniejszy niż ktokolwiek z nas. - Głos miał lekko stłumiony trzymanym przy twarzy aparatem. - Mój najstarszy czytał któregoś dnia magazyn lotniczy, więc zajrzałem mu przez ramię. I co ujrzałem? Twoje zdjęcie! Powiedziałem mu: „To mój dobry kumpel”, a on nie chciał uwierzyć! Nie krzyw się, Myszka, to ma być wesołe zdjęcie!

- Kinzelberg jest sławniejszy, niż ja kiedykolwiek będę.

- Ha, ha!

- To ten, który dostał dwadzieścia lat? - zainteresowała się Victoria.

- Ten, o którym pisały gazety?

- Sędzia twierdził, że obrobił ten bank na przeszło milion - powiedział Myszka.

- Kinzelberg organizował partyjki kości?

- Na głowę upadłeś, Tarrant?! On był sierżantem kancelistą oficera administracyjnego... Twardy sukinsyn z blizną na twarzy. Nie powiedziałby ci, która godzina, nie sprawdzisz przedtem, co mówią na ten temat regulaminy. Gość, na którego polowałeś, nazywał się Boyer.

- Boyer! Słusznie, Boyer! - Tarrant pstryknął palcami. - Jak mogłem zapomnieć! Duke Scroll zamienił mi życie w piekło przez tego Boyera i hazard. Bieda w tym, że kiedy łapałem skurczybyka na gorącym uczynku, zawsze obok niego stał pułkownik Dan z kośćmi w ręku.

MM roześmiał się.

- On nigdy nie wstąpił do Stowarzyszenia - zauważył. - Pisałem do niego parę razy. Twierdził, że jest administratorem bloku mieszkalnego

nad zatoką Hilo na Hawajach. Znajomy jechał tam na wakacje, poprosiłem go więc, żeby się rozejrzał, i okazało się, że jest raczej właścicielem niż administratorem. No, chyba wystarczająco dużo zarobił na wojnie.

- A teraz wracamy do państwa. - Tarrant ostrożnie włożył aparat do torby. - Mam rację, twierdząc, że jest pani Angielką, pani Morse? I że spotkaliście się tutaj, kiedy Myszka odbywał loty bojowe?

Victoria skinęła głową. Ośmieliło to Tarranta.

- I Myszka był na najlepszej drodze do rekordu zestrzeleń w Siłach Lotniczych, kiedy się pobraliście?

- Tak. Obawiam się, że to ja mu przeszkodziłam w osiągnięciu celu. Oświadczył mi się, dostaliśmy pozwolenie na ślub, a on również urlop. Załatwił nam to pułkownik nazwiskiem Shelley. Nim jednak skończył się nasz miesiąc miodowy, rekord Rickenbackera został pobity i wszystkie gazety rozpisywały się o tym chłopcu znad Pacyfiku.

- Mam tu w notatkach, że jesteś konsultantem „Bohnen and Morse, Electronics and Leisure”. - Tarrant przyjrzał się uszytemu na zamówienie płaszczowi Myszkę i kosztownemu strojowi Victorii. - Wygląda na to, że udało się wam od początku. No więc wszystko to napisze jak trzeba Fred Fryer, który pracował w biurze oficera prasowego. Jest zawodowym pisarzem. Ja tylko zbieram dla niego materiały. Studiowałaś elektronikę w ramach programu pomocy dla zdemobilizowanych żołnierzy?

- Zarządzanie. Ale nie skończyłem studiów. Za głupi byłem na uniwersytet.

- Bzdury! - przerwała Victoria.

- Moja żona jest absolwentką Oxfordu. Zapisz to - zażądał Myszka i Tarrant posłusznie przeniósł jego słowa na papier.

- MM rzucił studia i poszedł do pracy, żeby zarobić na utrzymanie moje i małego Jamiego, więc niech pan nie wierzy w te bzdury o wyrzuceniu z uczelni.

- Jedno dziecko, Jamie. Dobrze zapisałem imię? Ludzie strasznie się denerwują, kiedy myślę imiona.

- Chcieliśmy więcej - oświadczył Myszka, a Victoria uściśliła jego dłoń.

- Mój mąż został dyrektorem małej firmy budującej łodzie motorowe - powiedziała. - Zarabiał odpowiednio, żeby Jamie mógł skończyć Harvard, a potem MIT.

- Małe jachty zaczęły się doskonale sprzedawać - tłumaczył MM.

- Czy to przypadkiem nie wasz syn wynalazł jakiś nowy aparat fotograficzny? Sam jestem niezłym fotografem i wydaje mi się, że czytałem o tym w jednym z magazynów branżowych. To właśnie wasz syn, ten przystojny młodzieniec siedzący z żoną za kierownicą?

- Jamie zbudował radiograficzny aparat neutronowy, taki specjalistyczny rentgen fotografujący tkanki. Od tego zaczęła się nasza firma.

- A kim jest Bohnen? Dostarczył gotówki?

- Daleki krewny - wyjaśnił Myszka. - Dał nam gwarancje. Kiedy zmarł, wszystkie udziały zostawił Jamiemu, ale jego nazwisko pozostało w nazwie firmy. Chcieliśmy jakoś mu się odwdziaczyć, no i chyba przyniosło nam to szczęście.

- Rzeczywiście... A powiedz mi jeszcze, jak wygląda u ciebie ochrona?

- Ja się tym nie zajmuję.

- Nie szkodzi. Proszę, weź. - Tarrant wręczył mu wizytówkę, z której wynikało, że jest dyrektorem odpowiedzialnym za nowych klientów. Myszka włożył ją do kieszeni ledwie rzuciwszy okiem.

- Powiedz mi wreszcie, Tarrant, dlaczego przywoziłeś nas do Anglii o tej porze roku? Od czasu, kiedy wylądowaliśmy, ani razu nie było mi ciepło. Czy w tych cholernych hotelach nie ma ogrzewania?

- Bilety i hotele wychodzą nam taniej po sezonie. Mnóstwo członków Stowarzyszenia nie byłoby w stanie przyjechać, gdybyśmy znacznie nie zredukowali kosztów. Biedny stary Kevin Phelan musiał pożyczyć pieniądze na podróż. Wszystkim o tym opowiada, więc nie nadużywam w tym momencie jego zaufania.

Kierowca zatrąbił. Tarrant zerknął na zegarek.

- Lepiej wracajmy - poradził. - Mamy napięty program.

Ruszyli do autobusu. Po drodze Tarrant czytał z notatek:

- Pokaz gimnastyczny skautów, wystawa modeli samolotów w domu kultury, wizyta w jednym z najstarszych college'ów Cambridge, herbata i kanapki w Steeple Thaxted, przemówienie powitalne burmistrza. Potem wracamy do hotelu, żeby się trochę odświeżyć, i jedziemy na kolację do „The King's Head” w Lower Collingwood.

Podniósł głowę, uśmiechając się dumnie.

- Brzmi nieźle - orzekł Mysza.

Na ścianie jednego ze zrujnowanych baraków Victoria dostrzegła świeżo namalowane hasło: „Precz z bombą atomową! Jankesi do domu!” Poszła dalej, trzymając męża pod rękę i udając, że nic nie zauważyła.

Podziękowania

Biorąc pod uwagę, jak wiele zawdzięczam radom i pomocy udzielanym mi w ciągu przeszło sześciu lat pracy nad tą książką, czuję się zobowiązany do spłacenia długu zaciągniętego wobec przynajmniej części ludzi, którzy mi pomagali. Przepraszam tych, których nazwiska nie znalazły się tu z powodu braku miejsca, nieczytelnych notatek sporządzonych przeze mnie lub niedoskonałości mej pamięci.

Przygotowałem także listę dokumentów i książek (publikowanych i nie publikowanych), z których korzystałem portretując epokę w błyskawicznym tempie przechodzącą do historii. Moja książka nie jest jednak dokumentem i opisane w niej wydarzenia nie zawsze oparte są na faktach, postaci zaś nie mają odpowiedników wśród prawdziwych uczestników zdarzeń.

Nie muszę chyba wspominać, że za popełnione błędy odpowiadam wyłącznie ja; nie zawinił nikt, kto z poświęceniem pomagał mi w gromadzeniu faktów.

W Stanach Zjednoczonych chciałbym podziękować przede wszystkim (w kolejności alfabetycznej): Kenowi Allsteadowi (Siedemdziesiąta Ósma Grupa Myśliwska), Sheldonowi Berlowowi (Trzysta Pięćdziesiąta Druga Grupa Myśliwska), Paulowi Chrystowi (Dziewięćdziesiąta Pierwsza Grupa Bombowa), Robertowi DeGeorge'owi (nawigatorowi, Trzysta Dwudziesty Trzeci Dywizjon Bombowy), Frankowi G. Donofrio (Stowarzyszenie Pamięci Memphis Belle), świętej pamięci Gordonowi Hunsbergerowi (Trzysta Pięćdziesiąta Piąta Grupa Myśliwska), Willardowi Kormeyerowi (pilotowi myśliwskiemu), Robertowi E. Kuhnertowi

(sekretarzowi Stowarzyszenia Trzysty Pięćdziesiątej Piątej Grupy Myśliwskiej), Williamowi E. McGavernowi (Dziewięćdziesiąta Pierwsza Grupa Bombowa), Miltonowi Greenowi (Dziewięćdziesiąta Pierwsza Grupa Bombowa), Joe G. Myersowi jr (Piąty Dywizjon Obsługi), Peterowi E. Pompetti (pilotowi Osiemdziesiątego Czwartego Dywizjonu Myśliwskiego), Charlesowi W. Redenbaughowi (pilotowi Trzysty Pięćdziesiątego Ósmego Dywizjonu Myśliwskiego), Howardowi E. Siskowi (mechanikowi obsługi naziemnej), Alecowi Thomasowi (pilotowi Trzysty Dwudziestego Trzeciego Dywizjonu Bombowego), Jackowi M. Webbowi (inżynierowi lotniczemu, Trzysty Siedemdziesiąty Czwarty Dywizjon Bombowy), Henry'emu D. Wertzowi (Trzysty Pięćdziesiąta Piąta Grupa Myśliwska), generałowi majorowi Stanleyowi T. Wrayowi (dowódcy, Dziewięćdziesiąta Grupa Bombowa).

Pragnę także złożyć specjalne podziękowania moim przyjaciołom: pułkownikowi Artowi Jacksonowi i pułkownikowi Lou Malonowi, pilotom, którzy udzielili mi cennych rad i zachęcali do pracy.

Otrzymałem także pomoc od wielu organizacji weteranów oraz ich gazetek i magazynów. Szczególną wdzięczność winien jestem: „Mustangowi”, gazetce Trzysty Pięćdziesiątej Piątej Grupy Myśliwskiej, gazetce Stowarzyszenia Trzysty Osiemdziesiątej Ósmej Grupy Bombowej, gazetce Stowarzyszenia Trzeciego Magazynu Lotniczego, wydawnictwu Stowarzyszenia Trzysty Sześćdziesiątego Dziewiątego Dywizjonu Myśliwskiego, „8th Air Force News”, pismu Towarzystwa Historycznego Ósmej Armii Lotniczej.

Mnóstwa istotnych informacji udzielili mi eksperci i entuzjaści w Anglii. Specjalne podziękowania należą się Malcolmowi Batesowi za zachętę do rozpoczęcia pracy, natomiast dowódca skrzydła „Beau” Carr (pionier lotnictwa RAF i autor książki „You Are Not Sparrows”) pomógł mi dostać się na wycieczkę, którą weterani Ósmej Armii Lotniczej odbyli do swych baz w Anglii w 1978 roku. Tony Beeton (East England Aviation Society) udzielił mi cennej pomocy podczas tej podróży, podobnie jak wielu innych, łącznie z Malcolmem Osbornem (ze Stowarzyszenia

Historycznego Lotniska w Nuthampstead, znanym członkiem Przyjaciół Ósemki), Davidem C. Crowem (brytyjskim oficerem łącznikowym Stowarzyszenia Trzysta Pięćdziesiątej Piątej Grupy Myśliwskiej) i Vince'em Hemmingsem (Tower Museum Dziewięćdziesiątej Pierwszej Grupy Bombowej w Bassingbourn).

Hojnie wspomogli mnie i dodali mi odwagi także pisarze, zwłaszcza Roger Freeman (autor „The Mighty Eight”), Danny Morris („Aces and Wingmen”) i Ian Hawkins (pracujący nad książką o nalocie Setnej Grupy Bombowej na Munster).

Wiele informacji zaczerpnąłem z pism Przyjaciół Ósemki i Stowarzyszenia Lotnictwa Wschodniej Anglii.

Fachowej pomocy udzielił mi także bardzo doświadczony pilot Tony Gaze z Australii i Paul Coggan z Mustang International.

Pilot myśliwski Witold „Lanny” Lanowski łaskawie zgodził się dokonywać dla mnie nagrań magnetofonowych. Ostoja historii dwudziestego wieku, London Imperial War Museum, pomogło mi zza oceanu, gdy potrzebowałem danych na temat aktywności Luftwaffe nad terytorium Anglii, umożliwiło mi także dostęp do kolekcji samolotów w Duxford. Specjalne podziękowania należą się panu G. Cloutowi z działu książek opublikowanych.

Niewyczerpanym źródłem informacji w zakresie faktów i danych dotyczących Sił Lotniczych Stanów Zjednoczonych był mój przyjaciel Sean O'Driscoll.

Szczególnemu szczęściu zawdzięczam pomoc generała Johna M. Bennetta (Setna Grupa Bombowa) i pułkownika Williama J. Hovde'a (Trzysta Pięćdziesiąta Piąta Grupa Myśliwska), słynnych uczestników bitew powietrznych, o których piszę. Obaj, wraz z kapitanem E. M. Porterem z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych (pilotem bojowym i oblatywaczem) oraz Johnem Tileym (historykiem) zgodzili się uprzejmie przeczytać rękopis książki i udzielili mi cennych rad, podobnie jak Jonathan Cloves, mój agent.

Książka ta napisana została na edytorze tekstu Olivetti; komputera tego używałem także do przechowywania notatek i materiałów źródłowych. W związku z tym pragnę podziękować panu Davidowi Maroniemu z firmy Olivetti i personelowi Bryan S. Ryan, ich agenta.

Profesor Maurice Lessoff z Guy's Hospital w Londynie udzielił mi pomocy przy tej, jak i przy poprzednich książkach, za co pragnę mu gorąco podziękować.

Pan Anton Felton i jego sekretarka Jean Stokes zebrali informacje dotyczące obowiązujących w Anglii podczas wojny przepisów, racji żywnościowych itp. Dziękuję gorąco osobom i instytucjom, które udzieliły im informacji: Biuru Prasowemu Ministerstwa Rolnictwa, Połowów i Żywności, panu G. Whitemanowi, asystentowi bibliotekarstwa Centralnej Biblioteki Wydziału Służb Publicznych, i panu Richardowi White'owi z Wydziału Energii. Za badania na temat Cambridge w czasie wojny czuję się w obowiązku złożyć podziękowania mojej przyjaciółce Charlotte Metcalf i panu Michaelowi Farrarowi, archiwście hrabstwa Cambridgeshire.

W Kalifornii Bill Jordan (WCJ, Inc.) udzielił mi cennych rad oraz telexu i innych środków przekazu w czasie, który spędziłem w Stanach Zjednoczonych. W Londynie nieocenionej pomocy w wielu kwestiach udzielił mi Ray Hawkey.

Chciałbym też podziękować moim wydawcom, Brianowi Permanowi z Hutchinson i Bobowi Gottliebowi z Knopf, osobiście zaangażowanym w proces powstawania książki.

Dziękuję także ich personelowi, zwłaszcza tym ludziom, którzy pomogli w ostatecznym opracowaniu rękopisu.